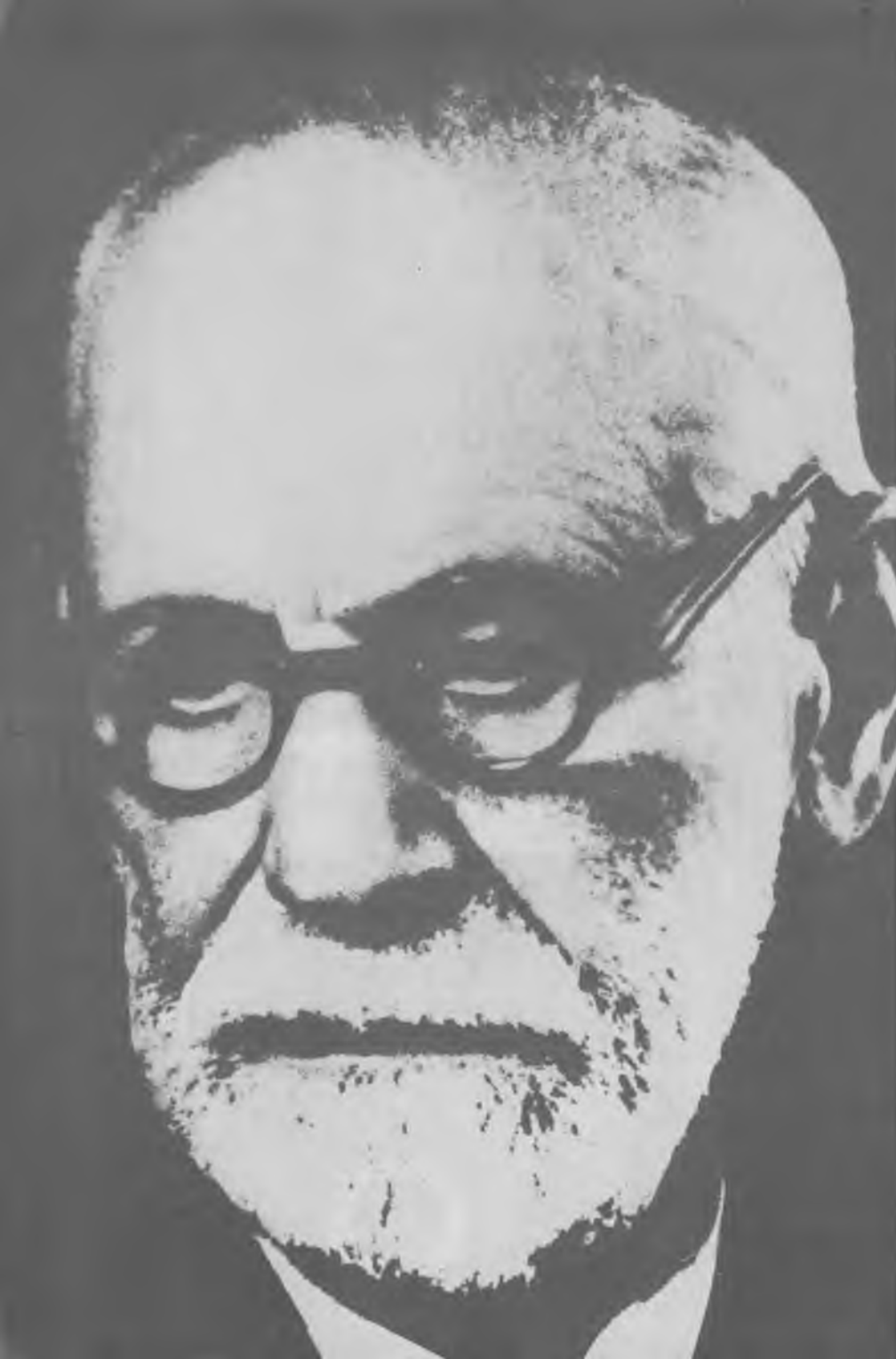




SIGMUND FREUD

WSTĘP
DO
PSYCHO-
ANALIZY



SIGMUND FREUD

WSTĘP DO PSYCHO- ANALIZY



Warszawa 2000
Wydawnictwo Naukowe PWN

Tytuł oryginału
Vorlesungen zur Einführung in die Psychoanalyse
Pierwsze wydanie polskie 1935
w przekładzie *S. Kempnerówny i W. Zaniewickiego*
Wydawnictwo J. Przeworskiego
Wydanie II — Warszawa 1957, Książka i Wiedza
Wydanie III — Warszawa 1982, PWN, poprawione —
przejrzał i przedmową opatrzył
Kazimierz Obuchowski

Okladkę i strony tytułowe projektowała: *Maryna Wiśniewska*
Redaktor: *Zofia Kłębowska*
Redaktor techniczny: *Teresa Skrzypkowska*
Korektor: *Sławomir Skrzekut*

© Copyright for the Polish edition
by Państwowe Wydawnictwo Naukowe
Warszawa 1982

ISBN 83-01-03863-2

Wydawnictwo Naukowe PWN SA
00-251 Warszawa, ul. Miodowa 10
tel.: (0-22) 695-43-21
faks: (0-22) 826-71-63
e-mail: pwn@pwn.com.pl
<http://www.pwn.com.pl>

Przedmowa do III wydania w przekładzie polskim

I

Osobliwością nauk humanistycznych jest istnienie dwóch odrębnych porządków trwania i upowszechniania się idei. Jedne z nich zyskują uznanie już od chwili pojawienia się, budzą respekt przeciwników, stają się znakiem epoki i wraz z nią zapadają w niebyt dysertacji już tylko historycznych. Inne, rodząc się z trudem, nieporadne, lokowane na marginesach wielkiej nauki — nie tylko nie dają się z niej wyrzucić, ale przeciwnie, trwają wbrew wszelkim przewidywaniom, rozszerzają swój teren działania i stają się trwałą składnikiem kultury ogólnoludzkiej. Przypominają w tym dzieła sztuki, które — dookreślane przez pokolenia — trwają ponadhistorycznie. Można by powiedzieć, pozwalając sobie na pewien luz dowodowy, że owe modne koncepcje to kreacje wymyślone zgodnie z linią sezonu. Skrojone elegancko według wymagań metodologów, są martwe, gdyż ich znaczenie nie wykracza poza funkcje dekoracyjne.

Koncepcje humanistyczne żyją wówczas, gdy dotyczą najbardziej istotnych spraw żywych ludzi. Najbardziej istotnych, to znaczy takich, które istnieją na zasadzie archetypów, występują w różnych epokach i kulturach, jako stały składnik dramatów człowieka, nieuchronnych konfliktów jego egzystencji.

Tu znowu znajdujemy analogie z wielką sztuką, która może być dookreślana przez kolejne pokolenia ludzi dlatego właśnie, że dotyczy spraw dla każdego pokolenia istotnych, żywych, nie wymyślonych, dzięki czemu człowiek może ująć swoją istotę w kategoriach przerasztających sprawy jego dnia powszedniego¹.

¹ Obuchowski K. *Sztuka i jej współtwórcy*. Poznań, 1978, ISME.

Można by to ująć również tak, że koncepcja humanistyczna składa się z dwóch warstw: warstwa formalna, wyrażona zwykle w określonym języku, artykułowana jest w sposób bardziej lub mniej zgodny z obowiązującymi w danym okresie paradygmatami. Natomiast warstwę drugą stanowi treść tkwiąca poza świadomością badacza, a ściślej mówiąc — niekoniecznie w ich świadomości z warstwą pierwszą łączona, gdyż dotyczy ich osobiście. Treść ta jest wypierana, gdyż od powstania współczesnej nauki obowiązuje zasada, iż wytwór naukowy nie powinien być projekcją problemów osobistych uczonego. Jeśli owa konotacyjna warstwa koncepcji dotyczy treści przeżyć wspólnych wielu ludzi, porusza tkwiące w nich nadzieje, lęki, konflikty, nadaje to jej zdolność do życia samodzielnego, poza książką, poza metodami weryfikacji naukowej. Raz ujawniona, zartykułowana, pozostaje niezniszczalnym składnikiem kultury.

Wyżej sformułowany pogląd mógłby być próbą wyjaśnienia fenomenu psychoanalizy — fenomenu, którego trwałość i rozwój zdają się zaprzeczać obowiązywaniu reguł zdrowego rozsądku w postępie nauki.

Niewiele jest koncepcji teoretycznych, przeciw którym — jak przeciw psychoanalizie — posłużono się równie potężnym, a zarazem nieskutecznym arsenałem argumentów. Niewiele koncepcji rozwijało się tak spontanicznie, i to poza formalną organizacją akademicką. Niewiele teorii zdobyło się na tak śmiałą dramaturgicznie koncepcję losu człowieka — śmiałą, ale nie beztroską.

Twórca psychoanalizy — Zygmunt Freud — tworzył swoją wizję wbrew metodologii naukowej, do jakiej nawykł. „Nowicjat” naukowy odbył przecież w roli anatoma, który w ciszy laboratorium prowadził badania porównawcze mózgu, wyróżniając się biegłością i pomysłowością w sporządzaniu preparatów mikroskopowych. Praktykę lekarską podjął powodowany sytuacją materialną i społeczną.

Freud tworzył swoją wizję także wbrew bliskiej mu koncepcji mechanizmów funkcjonowania człowieka, w której nie mogło być miejsca na cokolwiek poza fizjologią i świadomością. I również wbrew swoim rygorystycznym poglądom moralnym, zgodnie z którymi sprawy seksualne należało lokować w sferze wstydliwych i mało istotnych funkcji fizjologicznych. Mogłoby to oznaczać, że wejście na drogę badań psychoanalitycznych było dla Zygmunta Freuda realizacją swego rodzaju przymusu wewnętrznego, podobnego do owych zjawisk, które zaniepokoiły go w trakcie analizy postępowania jego pacjentów.

Zjawiska te, wywołane sztucznie, mógł on obserwować w klinice u Charcota i u Bernheima, gdzie pogłębiał swoją wiedzę lekarską. Polegały one na tym, że pacjent wprowadzony w stan hipnozy i poddany sugestii posthipnotycznej realizował po obudzeniu się treść tych sugestii wykonując czynności, których powód był dla niego samego niezrozumiały. Nie uświadamiał sobie związku tych czynności z przebiegiem seansu hipnotycznego i nie umiał powstrzymać się od ich realizacji. Wyglądało więc na to, że postępowaniem człowieka mogą kierować siły przez niego nie uświadomione i tak potężne, że świadomość musi im się przyporządkować. Zwracało uwagę, że pacjent wykonujący polecenia hipnotyzera próbował znaleźć dla nich uzasadnienie i wierzył w te swoje racje nawet wówczas, gdy były one zasadniczo sprzeczne i z jego wiedzą o świecie, i po prostu z logiką sytuacji. Coś więc musiało sterować tym postępowaniem, które było zborne, miało pozory racjonalnego sensu i do czegoś prowadziło. W wypadku osób hipnotyzowanych, tym nieświadomym celem było zrealizowanie zalecenia hipnotyzera.

Zygmunt Freud doszedł do wniosku, że również u niektórych jego pacjentów pewne formy postępowania, właśnie te, które stanowiły oś symptomów chorobowych, zdają się przebiegać podobnie jak postępowanie zasugerowane osobnikowi w stanie hipnozy. Mają one charakter zachowań przymusowych, jakby działało coś poza świadomością jednostki — coś, co jest obce zasadniczym kierunkom postępowania danej osoby i bywa interpretowane przez nią w sposób nieraz ewidentnie sztuczny. Powstaje wówczas jednak pytanie o to, kto czy co gra w tych wypadkach rolę hipnotyzera i co jest owego postępowania celem.

Odpowiedź podsunęli sami pacjenci, a właściwie uczyniły to pacjentki. W toku długotrwałych indagacji przypominały one sobie takie wydarzenia z okresu dzieciństwa, które można by było powiązać z obecnymi symptomami chorobowymi — jeśliby przyjąć założenie, że symptomy te są owych wydarzeń symboliczną reprezentacją, a zarazem sposobem spychania ich z obszaru świadomości. Nasuwało się przypuszczenie, że owym czynnikiem powodującym wystąpienie przymusowych, jakby z zewnątrz narzuconych myśli, obaw, sposobów postępowania, jest przeżycie we wczesnej fazie rozwoju osobowości takich wydarzeń, których osoba nie chce pamiętać, a właściwie do których uświadomienia sobie nie może dopuścić, dlatego że są one dla

niej zbyt bolesne, nie do przyjęcia, zbyt nieprawdopodobne, aby można było pogodzić się z ich istnieniem. A jednak one w psychice istnieją, co oznacza, że psychiki nie należy utożsamiać z samą tylko świadomością i że pamięć jest aktywnym procesem, nie zaś tylko reprezentacją doświadczenia.

W ten sposób rozwiązany został problem pochodzenia owych wyizolowanych, tkwiących poza świadomością treści psychologicznych, zmuszających osobę do modyfikacji jej postępowania w stopniu nieraz tak nasilonym, że w ogóle uniemożliwiającym racjonalne funkcjonowanie społeczne.

Rozwiązanie to było równoznaczne z przyjęciem założenia o istnieniu nie uświadomionych obszarów psychiki oraz swego rodzaju „paraświadomości”, spełniającej rolę podwójną. Dopuszcza ona do głosu treści w psychice danej osoby istniejące, lecz utajone, ale czyni to w taki sposób, aby został ukryty przed świadomością ich rzeczywisty sens. Miałby to więc być aparat psychiczny o własnej „intencjonalności”, działający poza regułami fizjologii mózgu i świadomości.

Przy tym wiedza o owym nowo odkrytym kontynencie psychiki ludzkiej została wyprowadzona tylko teoretycznie. Nie stanowił on rzeczywistości, którą można by zmierzyć, a więc nie powinien być przedmiotem poważnych badań przyrodniczych. Można więc było uznać postępowanie badawcze psychoanalizy za niedopuszczalne z punktu widzenia zasad badania życia psychicznego człowieka.

Niektórzy uczeni owych czasów, inspirowani przez ewolucjonizm, skłonni by byli nawet zaakceptować pogląd, że w człowieku tkwią jakieś atawizmy popędowe, które — podobnie jak owłosienie czy kość ogonowa — przypominają o jego pochodzeniu. One chyba są, ale ujawnienie ich istnienia jest zbyt kosztowne i nie przystoi człowiekowi kulturalnemu. To już raczej artyści oraz co bardziej niezrównoważeni emocjonalnie filozofowie mogą sobie pozwolić na głoszenie koncepcji podwójnej natury człowieka, zdominowanej przez chęć, lęk lub agresję. Natomiast lekarz, i to mający ambicje zajęcia poważnej pozycji w kręgach medycznej szkoły wiedeńskiej, kultywującej pozytywistyczne tradycje „szkiełka i oka”, nie powinien być sobie pozwolić na twierdzenia o istnieniu obszarów funkcji mózgu pozostających zarówno poza polem widzenia mikroskopu, jak i introspekcji — a więc na twierdzenia o istnieniu czegoś, czego nie ma i być nie może.

Tak więc Zygmunta Freud przekroczył bariery własnego poglądu

na świat zarówno w jego aspekcie epistemologicznym, jak i ontologicznym.

Cała sprawa mogłaby pozostać w kręgu możliwych do tolerowania indywidualnych upodobań, gdyby nie to, że pacjentki w sposób zadziwiająco jednolity określały rodzaj problemów, które musiały pozostać poza świadomością, lecz dawały o sobie znać przybierając postać symptomów chorobowych. Były to mianowicie problemy seksualne z okresu dzieciństwa.

Zygmunt Freud uznał, że nie może cofnąć się przed uczynieniem następnego kroku, jakim było uznanie, że tym, co w dzieciństwie odgrywa tak znaczną rolę, iż może wyznaczyć kształt dorosłego życia — jest seksualizm.

Tak więc Zygmunt Freud przekroczył również własne bariery moralne i wzburzył już nie tylko świat lekarski, ale i opinię publiczną.

Dalsze odkrycia, a więc stworzenie tzw. pierwszej teorii, a następnie drugiej, były już tylko konsekwencją przyjęcia założenia o *istnieniu podświadomości* jako istotnego czynnika życia psychicznego i założenia o *decydującej roli popędu seksualnego* w determinacji postępowania człowieka. Przy tym od samego początku zarysowały się dwa kierunki rozwoju koncepcji. Jeden z nich łączył się z praktyką lekarską. Doprowadził on do skonstruowania technik ujawniania tego, co zostało ze świadomości wyparte, oraz rozładowania nabrzmiałych, zniekształcających organizację psychiczną problemów. Podstawą teoretyczną tych technik była teoria lęków i mechanizmów obronnych Ego.

Natomiast kierunek drugi dotyczył psychologii normalnego człowieka, rozwoju osobowości, organizacji osobowości, motywacji i w konsekwencji prowadził do sformułowania teorii kultury, która wzbudzała najwięcej kontrowersji w czasach, gdy już seksualizm dziecięcy przestał kogokolwiek szokować.

II

Aby dobrze zrozumieć istotę psychoanalizy w jej wydaniu klasycznym, trzeba sobie zdać sprawę z tego, że Zygmunt Freud był badaczem i myślicielem, który nie miał zwyczaju cofania się przed najbardziej nawet nieprawdopodobną konkluzją, gdy tylko sądził, że pozwala mu ona lepiej zrozumieć przedmiot badania, i który tworzył swoją koncepcję warstwami, krok po kroku.

Zwróćmy uwagę na kilka danych biograficznych. Freud urodził się w połowie wieku XIX, a zmarł podczas II wojny światowej jako 83-letni starzec. Przetrwiał więc kilka epok historycznych, a pracował wytrwale i nieustannie. Mimo wielu operacji przeżył dwadzieścia lat chorując na raka i do ostatniej chwili odmawiał zażywania uśmierzających ból środków farmakologicznych, aby zachować jasność umysłu potrzebną do pracy. Swoją koncepcję budował w ciągu 50 lat. Dzieło jego stało się jeszcze za życia historią — gdyż dożył powstania neopsychoanalizy. Przeżył swojego najwybitniejszego ucznia — a w późniejszym okresie dysydenta — Alfreda Adlera, który zmarł w wieku 67 lat. Za życia Freuda Karen Horney napisała *Neurotyczną osobowość naszych czasów*, kładąc podwaliny pod psychoanalizę kulturową, natomiast Erich Fromm dokonał pierwszej psychoanalitycznej interpretacji faszyzmu. Składali Freudowi hołdy Tomasz Mann i Albert Einstein. Jego książki płonęły na stosach w Niemczech hitlerowskich.

Pierwsze prace Zygmunta Freuda poświęcone były analizie symptomów histerycznych i wyróżnieniu niektórych kategorii osobowości. Odnosiły się więc do jednostki ludzkiej, jej aparatu psychicznego, doświadczeń z okresu dziecięcego, a zakres ujmowanych w tych pracach relacji społecznych nie wykraczał poza paraseksualne związki syna z matką i córki z ojcem. Nawiasem mówiąc, ten drugi rodzaj związku był wyłączną niemal treścią doświadczeń klinicznych dra Freuda, natomiast w pismach swoich zajmował się on najczęściej relacjami syna z matką. Zachowały się świadectwa na temat tego, że Freud był wstrząśnięty, gdy obejrzał w teatrze *Króla Edypa*. Wydaje się, że zrozumiał wówczas z jednej strony to, jak uniwersalna — obejmująca niemal wszystko swoim zasięgiem — jest podstawowa relacja społeczna „matka — syn”, z drugiej zaś strony uchwycił jej dwoistość. Jest to mianowicie układ kulturowy i biologiczny, a więc konieczny, a zarazem immanentnie sprzeczny, tak jak sprzeczne są tabu kulturowe i dążenia ludzi. Rozwiązanie tych sprzeczności decyduje o kształcie osobowości na całe życie.

III

I wojna światowa wywarła, jak się wydaje, silny wpływ na ogólną orientację światopoglądową Freuda. Uczestniczyli w niej jego synowie; przyjaciół i współpracowników również rozpędził wiatr dziejów. Sam

Freud, po początkowych uniesieniach patriotycznych, zaczął coraz dogłębniej rozumieć polityczny, społeczny oraz ekonomiczny bezsens i tragizm tej okrutnej rzezi. Wyjaśnienia doprowadzających do niej sił szukał we wnętrzu ludzkim — w utajonych w tym wnętrzu energiach, a wzorem pomocnym w ich zrozumieniu była dlań owa wyżej wspomniana dramatyczna sytuacja formowanej społecznie, a zdeterminowanej biologicznie, psychiki.

Nowy etap działalności Freuda podsumowała w r.1929 głośna rozprawa *Kultura jako źródło cierpień*. Freud rozszerzył spektrum badanej rzeczywistości, zajmując się odtąd już nie tyle jednostką ludzką, ile raczej podstawowymi zasadami biologii i kultury. Na tym poziomie dramat „matka — syn” występuje w postaci „okrutny patriarcha — synowie” i „kultura — jednostka”.

Ostatnie większe dzieło Z. Freuda to *Mojżesz i monoteizm*. Autor pogłębił w nim perspektywę historyczną swoich zainteresowań. Warto wspomnieć, że wywołało ono protesty środowiska żydowskiego i od tej pory nie było już ani jednej wyraźnie określonej grupy społecznej i politycznej, która by w jakiś sposób nie wyraziła swojego potępienia dla teorii Freuda.

Psychoanaliza jest zatem koncepcją budowaną przez jedną osobę, z uporem i bezkompromisowo. Twórca jej wyszedł od pojedynczych obserwacji klinicznych i prób ich interpretacji, aby wprowadzając coraz bardziej różnorodny materiał dojść do uogólnienia całokształtu problemów człowieka i jego świata. W ciągu dziesięcioleci budowania tej koncepcji dokonywały się jakościowe zmiany w naukowych zasadach interpretacji rzeczywistości, w opisie jej obrazu, a także w zasadach organizacji życia społecznego świata, przeoranego przez wojnę światową, rewolucje i kryzysy gospodarcze. Odbijały się one na kształcie i zakresie psychoanalizy, zwłaszcza, że jej idee przyciągały coraz więcej ludzi o bardzo różnych specjalnościach zawodowych, a także bardzo różnych kwalifikacjach umysłowych. Byli wśród nich lekarze, psychologowie, politolodzy, byli wśród nich poważni uczeni i sprytni hochsztaplerzy. Wielu uczniów Freuda nie umiało lub nie chciało nadążyć za szybkim tempem zmian poglądów mistrza i tworzyło ortodoksyjne sekty — sekty, gdyż bardziej przypominały one zgromadzenia religijne strzegące czystości dogmatu niż społeczności naukowe. Inni z kolei nie mogli pogodzić się z biologizmem mistrza, z jego poglądami na rolę seksualizmu, lub też po prostu z kategorycznością

jego sądów. Stwarzali wobec tego własne kierunki psychoanalityczne. Wytworzyła się sytuacja, w której *psychoanaliza jako sposób interpretacji psychiki ludzkiej i jej uwarunkowań zaczęła funkcjonować poza treścią formuł teoretycznych Freuda*. Już w r. 1937 Karen Horney ujęła to następująco: „Jeśli ktoś traktuje psychoanalizę wyłącznie jako sumę teorii wysuniętych przez Freuda, to przedstawione tutaj rozważania nie są psychoanalizą. Jeśli natomiast ktoś uważa, że zasadniczym składnikiem psychoanalizy są pewne podstawowe kierunki myślenia dotyczące roli procesów nieświadomych i sposobów ich wyrażania oraz specyficzna forma terapii prowadzona do uświadomienia sobie tych procesów, to przedstawiony tu materiał jest psychoanalizą”². Wyglądało to na początek dezintegracji psychoanalizy, a w każdym razie na odłożenie treści Freuda do lamusa szacownych pamiątek. I tu — po jakiś czasie — niespodzianka: właśnie w ostatnich latach daje się zauważyć renesans tej najbardziej klasycznej wersji psychoanalizy — z czasów, gdy Freud koncentrował uwagę na tym, jak skonstruowany jest aparat psychiczny człowieka, i zaczynał tworzyć teorię popędów.

W owym renesansie można wyróżnić dwa etapy. W etapie pierwszym (koniec lat pięćdziesiątych) zajęto się eksperymentalną weryfikacją hipotez dotyczących mechanizmów wypierania i przeniesienia. Wypieranie jest kluczowym pojęciem wszelkich kierunków psychoanalitycznych i tym samym wzbudzało największe zainteresowanie. Stanowi ono jeden z mechanizmów obronnych Ego, polegający na usuwaniu ze świadomości tych treści, które byłyby nie do przyjęcia ze względu na zinterioryzowane normy kulturowe. Dzięki wypieraniu człowiek uświadamia sobie tylko to, co chce sobie uświadomić, a zwłaszcza to, na co sobie może emocjonalnie pozwolić.

Na początku lat sześćdziesiątych w czasie mojej pracy dydaktycznej często powtarzałem znany już eksperyment, w toku którego każda grupa studencka mogła przekonać się, że odczytanie nieprzyjemnego słowa eksponowanego w czasie bliskim progu spostrzegania przychodzi osobom badanym z trudem lub nawet jest niemożliwe. Natomiast słowa o neutralnej treści są w tych samych warunkach odczytywane swobodnie.

² Horney K. *Neurotyczna osobowość naszych czasów*, Warszawa 1976, PWN, s. 2.

W tychże latach Glucksberg i King³ kojarzyli nonsensowne sylaby z przykrym szokiem elektrycznym. Sylaby te były szybciej zapominane niż inne, których wyuczeniu nie towarzyszyły żadne przykre doświadczenia.

Często też powtarzano eksperyment biograficzny, w toku którego osoby badane mają za zadanie opisanie przykrych i przyjemnych wydarzeń ze swojego życia. Z reguły okazuje się, że znaczna liczba wydarzeń przykrych zostaje pominięta wskutek zapomnienia. Na przykład ubocznym wynikiem badania wspomnień dzieci, które przebywały w szpitalu na 5 lat przed badaniem⁴, było stwierdzenie, że najbardziej przykre wydarzenia zostały całkiem wyparte z pamięci i ujawniają się tylko symbolicznie, w treści rysunków lub izolowanych błędów. Natomiast pojedyncze, przyjemne zdarzenia zostały zapamiętane dokładnie. Przy tym dzieci pamiętały prawie wyłącznie i bardzo silnie cierpienia innych dzieci — co można było wyjaśnić mechanizmem projekcji wypartych treści.

Z wypieraniem wiąże się właśnie mechanizm projekcji wypartych treści — stanowi on od lat podstawę teoretyczną standardowej diagnostyki psychologicznej i wyszedł daleko poza zakres stosowania psychoanalizy (Test Apercepcji Tematycznej, Próba Niedokończonych Zadań i wiele innych równie popularnych metod). Natomiast niektórzy współcześni badacze za najważniejsze odkrycie psychoanalizy uznają mechanizm przeniesienia⁵. Polega on na zwróceniu określonych nastawień emocjonalnych z jednego obiektu na inny. Przeniesienie ma zapobiec negatywnym konsekwencjom, jakie groziłyby osobie, gdyby nie dokonała zmiany obiektu uczucia. Freud sądził, że niektóre nerwice mają charakter przeniesieniowy. Przeniesienie, zwane w przypadku nerwic transferencją, jest typowym objawem świadczącym, że terapia analityczna w danym przypadku czyni postępy. Pacjent zaczyna

³ Glucksberg S., King L. *Motivated forgetting mediated by implicit verbal chaining: A laboratory analog of repression*. „Science” 1967, 27, s. 517–519.

⁴ Obuchowski K., Obuchowska I., Goncarzewicz M., Krzywińska K. *Badania nad odzwierciedleniem przeżyć szpitalnych dziecka w rysunku i w opowiadaniu*. W: *Księga pamiątkowa XII Zjazdu Pediatrów Polskich*. Warszawa 1962 PZWL.

⁵ Podkreśla jego znaczenie Leon Chertok w swoim napisanym wspólnie z De Saussure studium dotyczącym historii idei, które złożyły się na współczesną psychoanalizę. Por. Chertok L. *From Messmer to Freud. The Revolution in Psychotherapy*, 1973.

traktować terapeutę jako obiekt swoich zablokowanych uprzednio potrzeb uczuciowych i tym samym uzyskuje szansę ich wyrażenia i zaspokojenia.

Koncepcja tego mechanizmu znalazła zastosowanie praktyczne w okresie, gdy problemem naszej kultury stały się czyny chuligańskie, a więc przestępstwa dokonywane bez żadnego racjonalnego powodu, przeważnie na nie znanych sprawcom, bezbronnym osobach lub przypadkowych przedmiotach. Grupa badaczy z Uniwersytetu w Yale⁶ wysunęła hipotezę, że chodzi tu o przeniesienie agresji wywołanej frustracją jakichś nie całkiem jasno uświadomionych dążeń. Teoria ta została między innymi potwierdzona analizą zależności między liczbą samosądów popełnianych na ludności murzyńskiej południowych stanów USA a spadkiem cen bawełny, w owych latach decydujących o stopie życiowej białej ludności tych stanów.

Zweryfikowano również niektóre niezwykle kontrowersyjne twierdzenia Freuda dotyczące nieświadomego lęku kastracyjnego u chłopców i zazdrości o penisa u dziewcząt. Wykorzystano w tym celu analizę snów — „królewską drogę do podświadomości”, której w tej książce poświęcono jedną trzecią tekstu. W roku 1965 Hall i Van de Castle⁷ zebrali pewną liczbę protokołów snów od osób specjalnie w tym kierunku przeszkolonych. Następnie poddali te protokoły analizie przeprowadzonej przez sędziów kompetentnych, którzy posługiwali się zestawem kategorii opartych na symbolice opracowanej przez Freuda. Zakładano, że sny mężczyzn i kobiet będą istotnie różniły się rodzajem dominującej symboliki. U mężczyzn pojawiają się częściej symbole wskazujące na występowanie lęków kastracyjnych, a u kobiet — symbole dążenia do kastracji i zazdrości o penisa. Założenie to znalazło w tych badaniach potwierdzenie w stopniu statystycznie istotnym. Zgodność między sędziami wynosiła więcej niż 87% w odniesieniu do każdej z trzech zmiennych.

Interesująco wypadła też weryfikacja innej koncepcji Freuda — dotyczącej humoru. W pracy z r. 1905 *Dowcipy i ich stosunek do nieświadomości* Freud postawił tezę, że efekt humorystyczny jest

⁶ Dollard J., Dobb L.W., Miller N.E., Mowrer O.H., Sears R.S. *Frustration and aggression*. Wyd. 6, New Hovland 1947.

⁷ Hall C., Van de Castle R. *An empirical investigation of the castration complex in dreams*. „Journal of Personality”, 1965, 33, 2. 20–29.

wynikiem nagłego spadku napięcia lękowego. Lęk, jak sądził, jest wyrazem wewnątrzpsychicznego konfliktu związanego z niemożnością bezpośredniej ekspresji nie akceptowanych dążeń. Shurcliff⁸ w r. 1968 zorganizował precyzyjny eksperyment, w którym trzy grupy osób miały wykonać różne czynności wywołujące różny stopień napięcia lękowego i obrzydzenia. Po podjęciu tych czynności niespodziewanie okazywało się, że obawy były całkiem nieuzasadnione. Na przykład badany oczekiwał, że będzie musiał wyjąć z pojemnika bardzo agresywnego szczura i pobrać mu krew. Obok stały inne pojemniki, w których widać było szczury i naczynia z krwią. Po otwarciu swojego pojemnika, badany znajdował w nim zabawkę. Wywoływało to śmiech. Reakcja ta była tym silniejsza, im silniejszy stan pobudzenia został uprzednio wytworzony.

Dodam tu fakt, że w ramach tzw. teorii przystosowania, która przez długie lata stanowiła fundament teoretyczny psychologii klinicznej, mechanizmy obronne Ego⁹ doczekały się ogromnej liczby opracowań klinicznych i eksperymentalnych.

W latach siedemdziesiątych natomiast zaczęła wzrastać liczba prac poświęconych koncepcjom społecznym Freuda. Na pierwszym miejscu znajduje się tu kompleks Edypa u chłopców i jego pochodna, jaką stanowią rywalizacyjne postawy wobec ojca. Symetrycznie ma się rzecz z kompleksem Elektry u dziewcząt, który jednakże jest mniej nasilony, ze względu na to, że stosunek kazirodczy córki z ojcem stanowi słabsze tabu niż stosunek syna z matką. Prowadzi się również wiele badań dotyczących związku seksu z agresją.

IV

Jest więc teoria Zygmunta Freuda naukową koncepcją czy mitem?

W rozważaniach wstępnych zawarta była myśl, że dobra koncepcja humanistyczna powinna objąć te same problemy co ponadhistoryczna warstwa mitologiczna kultury. *Król Edyp*, *Hamlet* i *Bracia Karamazow*

⁸ Shurcliff A. *Judget, humor arousal and the relief theory*. „Journal of Personality and Social Psychology”, 1968, s. 360–363.

⁹ Do nich — oprócz wypierania, projekcji i przeniesienia — należy też m.in. racjonalizacja, reakcja przeciwstawna, insulacja.

— to opowieści, które wstrząsają zawsze, ale którym wspólny jest tylko schemat psychoanalizy. Trudno zinterpretować decyzję Raskolnikowa lub Macbetha poza kategoriami psychoanalizy. Zygmunt Freud odnajdywał zarówno w życiu psychicznym swoich pacjentów, zwykłych ludzi, jak i w analizach historycznych różne wersje odwiecznych dramatów zazdrości, miłości płynącej z nienawiści i nienawiści płynącej z miłości, ujawniał mechanizmy żądzy władzy i radość cierpienia. Za pomocą utworzonego przez Freuda systemu teoretycznego można było interpretować zjawiska, których w sposób zdroworozsądkowy lub akademicki nie można przedstawić inaczej jak w sposób zbanalizowany, a których wzajemne zderzenia dokonują się głęboko pod powierzchnią obrazu codziennego życia, z lekka tylko wstrząsanego symptomami „czynności pomyłkowych”. Owe głęboko ukryte mechanizmy ludzkiego postępowania już na wiele wieków przedtem dostrzegli wielcy pisarze, poeci. Właśnie ci, których twórczość nie zestarzała się, pozostała żywa.

Był Freud chyba w pełni świadomy tego, że wielka literatura i psychoanaliza mają wspólną problematykę. Kończąc rozprawę *Kultura jako źródło cierpień*, pisze on o odwiecznym problemie synów, którzy musieli zabić represyjnego ojca, aby żyć, ale ich miłość do niego ukarała ich poczuciem winy. Jest to symbol człowieka, który kochając, staje się niewolnikiem przedmiotu miłości, musi więc go nienawidzić, a nienawidząc musi odczuwać skruchę i zacząć nienawidzić siebie. Zaklęty krąg sprzeczności, z których nie ma wyjścia i które z poziomu stosunków dwojga ludzi przenikają na poziom rodziny i społeczeństwa. Każde rozwiązanie tego konfliktu jest brzemienne w nowe konflikty stanowiące przypadki odwiecznej walki między Erosem i popędem śmierci.

Freud cytuje dalej Goethego oskarżenie „mocy niebiańskich”:

„Wy nas w krąg życia wprowadzacie
I obarczywszy winami ciężkimi
Nieszczęśliwego później opuszczacie
Bo wszelka wina mści się na tej ziemi”

— po czym daje następujący komentarz: „I można westchnąć uświadamiając sobie, że są tacy, którym dane jest wydobywać z wiru własnych uczuć, właściwie bez wysiłku, najgłębsze poznanie, ku

któremu my wszyscy inni musimy torować sobie drogę poprzez dręczącą niepewność, po omacku”¹⁰.

O żywotności teorii Freuda zadecydowała historia i czyjakolwiek opinia nie może mieć w tej mierze najmniejszego znaczenia. Możemy się wypowiadać tylko o jej zasadności, chyba że przyjmimy, że żywotność nie jest wystarczającą racją istnienia.

Warto przy okazji zwrócić uwagę na to, że koncepcje neo-psychoanalityczne, które są w istocie akomodacją psychoanalizy do problemów współczesności, nigdy nie uzyskały jej wymiaru, jakkolwiek są bardziej do przyjęcia dla naszych umysłów. *Są rozsądniejsze. Nie są jednak dosyć namiętne.* Ta ostatnia uwaga wskazuje, że *być może oczekujemy, iż wiedza o człowieku stanowić będzie coś więcej niż tylko zweryfikowany eksperymentalnie zestaw twierdzeń. Chcemy, aby wyrażała ona nie tylko reguły organizacji jego czynności, ale i ich dramatyczne źródła i konsekwencje. Aby była zdolna uchwycić moment, w którym między ludźmi przebiega iskra zapalająca lont historii.*

Może najbliżsi prawdy będziemy, jeśli psychoanalizę określimy jako mit konstruowany tak, jak konstruuje się teorię naukową, każdy krok weryfikując empirycznie i dbając o logiczną spójność całości.

Jest ona mitem zwłaszcza w swojej drugiej, rozszerzonej na kulturę wersji, budowanej przez Freuda po doświadczeniach I wojny światowej i na progu własnej starości.

V

Książka, którą PWN chciałby przypomnieć polskiemu Czytelnikowi, powstała w okresie poprzedzającym ów przełom. W warunkach wojennych, od roku 1914, zmalał znacznie napływ pacjentów. Zygmunta Freud znalazł się w kłopotach materialnych. Zabrakło mu bezpośrednich inspiracji do dalszego rozwijania swoich koncepcji. Wydaje się, że właśnie wówczas zaczął on odczuwać braki swojej teorii, zwłaszcza w odniesieniu do praktyki terapeutycznej, i jej bezsilności w umożliwieniu zrozumienia toku historii. Miał tak przykre dla twórcy poczucie, że jego koncepcja zbliża się do pułapu swoich możliwości

¹⁰ Freud Z. *Nieukontentowanie w kulturze*. W: Baczek B. (red.) *Filozofia i socjologia XX wieku*. Wyd. 2, cz. I, Warszawa 1965, Wiedza Powszechna, s. 167.

i grozi jej zastój, może skostnienie, że oświetla zbyt wąski fragment rzeczywistości. Nadal też spotykał się z silną opozycją, ale przede wszystkim z niezrozumieniem. To, co głosił, było bardzo obce codziennemu doświadczeniu człowieka.

W roku 1915 rozpoczął Freud niezwykle gorączkową aktywność naukową, mając na celu podsumowanie swojej wiedzy. Jak podaje jego najbardziej wiarygodny biograf i przyjaciel Ernest Jones, napisał on wówczas 9 esejów w ciągu niespełna 3 miesięcy. Była to „...furia aktywności niespotykana w dziejach nauki”¹¹. Jako całość nigdy nie ukazały się te prace w druku. Można sądzić, że część ich weszła do jego „Wykładów wprowadzających do psychoanalizy”, gdyż właśnie tak w dosłownym tłumaczeniu powinien brzmieć tytuł niniejszej książki.

Okres ten zakończył mały esej opublikowany po węgiersku w piśmie „Nyugat”, a następnie w piśmie „Imago” poświęconym „niemedycznym zastosowaniom psychoanalizy”, co jeszcze wyraźniej wskazuje na zmiany w orientacji naukowej Freuda. Tytuł eseju „Trudności na drodze psychoanalizy”. Po przedstawieniu zalet teorii *libido*, autor pisze, że *jednostronność, z jaką sam zajmuje się problemami seksualizmu, nie oznacza, jakoby negował on inne, niewątpliwie istotne problemy człowieka. Porównuje siebie do chemika, który zajmując się składem chemicznym badanych substancji, nie neguje istnienia sił grawitacyjnych, tylko po prostu zostawia ten problem fizykom.*

Zauważa, że narcyzm i samouwielbienie właściwe ludziom doznały trzech silnych ciosów z ręki nauki. Pierwszy cios spotkał ludzką dumę ze strony astronomii. Kopernik wykazał, że Ziemia nie jest centrum uniwersum, wokół którego krąży wszystko, lecz stanowi fragment niezliczonego mnóstwa ciał niebieskich. Biologia była następną dyscypliną gotową do przywołania człowieka do pokory: Karol Darwin wykazał, że człowiek to jeden z gatunków w świecie zwierząt. Ostatni cios ludzkiej dumie zadała psychologia, wykazując, że świadomość czy dusza nie jest tym, dzięki czemu człowiek rządzi wszystkim, co w nim jest, i ma pełną kontrolę nad swoją wiedzą i motywacją. Freud przy tym jednakże przyznaje, że psychologia dostarczyła tylko naukowych uzasadnień takiemu właśnie sądowi filozofów. Tym, który wskazał na znaczenie „nieświadomej woli” i seksualnych instynktów, był Schopenhauer.

¹¹ Jones E. *The life and work of Sigmund Freud*. 1955 Basic Books, t. II, s. 185.

Gdy Karol Abraham delikatnie zwrócił uwagę Freudowi, że esej ten jest bardzo osobistym dokumentem, Freud odpowiedział: „Masz rację mówiąc, że to wyliczenie w mojej ostatniej pracy stwarza wrażenie, jakbym domagał się miejsca zaraz po Koperniku i Darwinie... Schopenhauer jednak był pierwszy”¹².

VI

Na te lata właśnie przypada napisanie *Wstępu do psychoanalizy*, który następnie doczekał się przekładu na 16 języków i został wydany nawet w alfabecie Braille'a. Zygmunt Freud długo nie zyskiwał uznania ze strony swojej Alma Mater. Dopiero około 60 roku życia otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Tytuł ten nie dawał żadnych uprawnień poza możliwością prowadzenia jednego wykładu opłacanego przez słuchaczy. Wprawdzie pozwolono mu na wykłady (w zastępstwie) już wcześniej, przed 15 laty, ale nie przychodziło na nie wtedy więcej niż 3 osoby. Tym razem miał ponad 70 słuchaczy. Na drugim wykładzie było ich już więcej niż setka. Freud był zachwycony. Pojawiła się okazja bezpośredniego wyjaśnienia laikom podstawowych założeń koncepcji. Znał on główne zastrzeżenia, jakie wobec niej wysuwano. Sprawę potraktował na tyle serio, że wykłady swoje przygotował w postaci napisanego tekstu. Skoncentrował się wstępnie na tych objawach nieświadomości, które występują w życiu codziennym. Starał się wyjaśnić, że nic w naszym życiu psychicznym nie pojawia się przypadkowo. Są tylko zjawiska zrozumiałe, które umiemy zinterpretować, i niezrozumiałe, których jeszcze nie umiemy zinterpretować. Freud był skrajnym deterministą i optymistą poznawczym.

Analiza czynności pomyłkowych i marzeń sennych to szkoła psychoanalizy. Jej warsztat pracy stanowią nerwice. Nie są one zbiorem symptomów schorzenia układu nerwowego, ale znakami języka podświadomości, z którą świadomość nie może uzyskać kontaktu, gdyż wyrazy tego języka są nieustannie fałszowane. *W życiu codziennym zafalszowania te ułatwiają funkcjonowanie człowieka. Jednakże w nerwicy czynią jego funkcjonowanie niemożliwym, gdyż*

¹² Por. *op. cit.*, s. 226.

powodują, iż człowiek tworzy sobie świat fikcji, zdeterminowanej przez nie zagojone rany psychiczne.

Tu już Freud w swoim wykładzie nie mógł odwoływać się do codziennego doświadczenia swoich słuchaczy. Musiał prowadzić ich w świat dla nich całkiem obcy. Dlatego też, inaczej niż w częściach I i II, prezentuje teraz nie tylko sposób ujmowania zjawiska i jego interpretacji, ale i opis samego zjawiska z punktu widzenia psychoanalizy. Dopiero w wykładach końcowych, przekonany, że słuchacze dysponują wiedzą wystarczającą do zrozumienia bardziej złożonych problemów, przystępuje do prezentacji trzech zasadniczych wątków teorii psychoanalitycznej — *teorii lęku, teorii libido i narcyzmu oraz teorii przeniesienia*.

Ukoronowanie całości stanowi prezentacja terapii psychoanalitycznej. Właściwie prezentacja nie tyle samej techniki, ile sposobów, jakimi psychoanaliza prowadzi do uzdrowienia pacjenta. Jest tu zawarta polemika z jednym z głównych zarzutów, jakie wysuwano wobec teorii psychoanalitycznej. Zarzut ten zresztą wysuwa się po dzień dzisiejszy i trudno go obalić. Różne jego wersje można przedstawić następująco: Istotę wyleczenia pacjenta stanowi usunięcie lęku, jaki odczuwa on, nie rozumiejąc tego, co się z nim dzieje. Jest wobec swojego stanu bezradny, dzieje się z nim coś całkiem niezrozumiałego. Psychoanaliza ma być sposobem przekonania pacjenta w toku wielomiesięcznych seansów, że jego trudności mają przyczynę zrozumiałą, związaną z jego naturą ludzką, że rządzą nimi określone prawidłowości. Właśnie owo przekonanie, jeśli nawet nie usuwa choroby, to w każdym razie zmienia stosunek do niej, co w wypadku nerwic może okazać się decydujące. Psychoanaliza jest więc, zdaniem krytyki, niczym innym, jak techniką sugestii, tyle że bez stosowania hipnozy. *Nie ma więc znaczenia treść teorii psychoanalitycznej, byleby teoria ta stwarzała szanse interesującej i dramatycznej interpretacji cierpień neurotyka.*

Freud rozumiał, że ten zarzut jest najbardziej groźny dla jego koncepcji. Zawarta w ostatnim wykładzie polemika jest, jak sądzą znawcy, najbardziej wyczerpującym przedstawieniem argumentów na obronę obiektywnej wartości psychoanalizy.

Celem niniejszej „Przedmowy” było przedstawienie możliwie różnorodnych aspektów formowania się i funkcjonowania psychoanalizy jako fenomenu kulturowego i naukowego. W literaturze naszej dominuje krytyka. Sądzę, że nie byłoby właściwe namawianie do przeczytania książki, traktując ją jedynie jako ciekawostkę historyczną, bez wartości dla dnia dzisiejszego. Dlatego też starałem się wskazać na pozytywy psychoanalizy, jej racje i determinacje.

Nie oznacza to uznania jej uzasadnień, ani — i to przede wszystkim — zawartej w niej koncepcji człowieka i zasad bycia człowieka w świecie.

Te właśnie problemy wysuwam na plan pierwszy, ponieważ dotyczą paradygmatów, po dzień dzisiejszy określających koncepcje psychologiczne, pedagogiczne i socjologiczne. Charakteryzuje je bezwzględny determinizm w ujmowaniu biologicznej i społecznej sytuacji człowieka, niepozostawianie w niej miejsca na realizowanie własnych programów życiowych jednostki, na autentyzm pragnień. To minimum autonomii, którą — jak się wydaje — posiadamy realizując własne dążenia, psychoanaliza skłonna jest traktować jako sposób uzasadnienia realizacji libidinalnych popędów, jako drogę zrealizowania „zasady przyjemności”. Jeśli dodamy do tego, że kultura, która wytworzyła człowieka, jest uważana za narzędzie represji, skierowane przeciwko jego naturalnym instyktom — represji, którą on musi odeprzeć, aby móc normalnie żyć, wskutek czego jednakże powstaje u niego poczucie winy dla zadośćuczynienia jego sumieniu — to powinniśmy stwierdzić, że wizję człowieka, jaką miał Freud, cechowała wyjątkowa beznadziejność.

Istnieją wprawdzie wypowiedzi Freuda wskazujące, że mogłoby nastąpić „królestwo wolności”, gdyby człowiek w pełni uświadomił sobie swoją sytuację, a więc gdyby poznał samego siebie. Wydaje się jednak, że w świetle jego teorii nadzieja ta jest nieuzasadniona. Nie wiadomo, jak by mogło dojść do takiego stanu rzeczy.

Zwróćmy uwagę na to, że Freud w swojej terapii nie tylko nie wzmacniał woli pacjenta, nie rozszerzał zakresu autonomii psychicznej, ale na odwrót — niszczył jego wolę¹³ i uczył podporządkowania

¹³ Zwraca na to szczególną uwagę Rollo May w pracy *Miłość i wola*. Warszawa 1978, PIW.

bezwzględny determinant własnej biografii. Ulga, którą przynosił, była ulgą poczucia konieczności.

Twórca psychoanalizy nie wyjaśnia, jak doszło do tego, że człowiek utworzył sobie ową ograniczającą go i grożącą mu karami kulturę. Freud przyjmował jako fakt pierwotny istnienie groźnego, zachłannego, a mimo to ukochanego ojca, który samym swoim istnieniem nie zostawił synom innej szansy uzyskania wolności niż mord i dręczące poczucie winy. Jakąś w tym rolę chyba odegrały XIX-wieczne idee hordy pierwotnej, a sam Freud uzupełnił je koncepcją przymusu powtarzania błędów rodziców.

Być może, u podstaw tego poglądu leżała ekstrapolacja na życie społeczne zasady, że wszystko co żyje, co jest zorganizowane, jest wynikiem gwałtu, jakiego wszelkie działanie kreacyjne dokonuje na naturze, charakteryzującej się nieustannym rozpadem. Tę właściwość natury po wielu latach nazwano zasadą entropii. Freud uważał, że zasada ta musi znaleźć wyraz również w popędach człowieka. Jedne popychają go do tworzenia, do życia, inne do zniszczenia, do śmierci. Tak więc nasz stosunek do siebie i do innych jest zawsze dwoisty i sprawą przypadkowych układów jest czasowa dominacja konstrukcji nad destrukcją. Konstrukcja w stosunku do samych siebie możliwa jest tylko wówczas, gdy dokonujemy destrukcji otoczenia. Gdy nam na to się nie pozwala, musimy dokonać destrukcji siebie. Kultura jako stabilizator społeczeństwa nie pozwala nam ani na jedno, ani na drugie. Możemy jednak ominąć jej zakazy i wymyślić wojnę, zabijając z racji wyższych, ideowych, i dać się z tych samych racji zabić. Nie ma więc miejsca w społeczeństwie na stosunki kooperacyjne, altruizm jest odchyleniem od normy, a logika życia jest logiką walki. Freud pisał: „Walka jest istotną treścią życia w ogóle, i dlatego rozwój kultury można krótko określić jako witalną walkę gatunku ludzkiego. I te zmagania gigantów chcą nasze niańki zastąpić bajeczkami o niebie”¹⁴. Oto do czego prowadzi konsekwentny biologizm i determinizm w wyjaśnianiu postępowania człowieka.

Pozostaje pytanie, czy ów człowiek psychoanalizy jest w całości wytworem doktrynerskiej konsekwencji, czy też stanowi opis pewnego

¹⁴ Freud Z., *Nieukontentowanie w kulturze*. W: Baczek B. (red.) *Filozofia i socjologia XX wieku*. Wyd. 2, cz. I, Warszawa 1965, Wiedza Powszechna.

typu ludzi żyjących w określonych warunkach i dysponujących określoną wizją świata. Przeważa pogląd, że bardziej słuszne byłoby stanowisko drugie. *Opisani przez Freuda ludzie istnieją, ich zachowanie jest wyrazem szczególnej patologii*. Staralem się dosyć obszernie wykazać, co było powodem rozszerzenia zakresu koncepcji psychoanalitycznej. Była to chęć zrozumienia przez pryzmat doświadczenia klinicznego wyjątkowo dramatycznych okoliczności, w jakich znajdowała się Europa owych czasów.

Powyższe uwagi miały na celu uzupełnienie tego obrazu psychoanalizy, który wytworzy sobie Czytelnik niniejszej książki, gdyż to, co w niej zawarte, stanowi tylko pierwszą fazę rozwoju teorii, gdy Freud nie wyszedł jeszcze poza analizę popędów *libido*, nie wyszedł jeszcze w ogóle poza zainteresowania jednostką i jej najbardziej bezpośrednimi relacjami społecznymi.

Wspomniałem, że istnieje pewien renesans idei Freuda. Trzeba jednak stwierdzić, że ostało się z nich niewiele. Więcej niż chcieliby dostrzec skrajni krytycy, ale bardzo mało w porównaniu z tym, co on sam uważa za niezwykle istotne. Istnieje jednakże jeden zasadniczy powód, dla którego, nawet po odrzuceniu całej jego teorii, możemy i powinniśmy zaliczyć go do największych myślicieli naszych czasów. Nawet taki jego przeciwnik jak Georg Miller, który uważa, że psychoanaliza jest chorobą, z której powinniśmy wyleczyć naszą kulturę, zaraz po tym stwierdzeniu dodaje: „Freud postawił pytania, bez których nie byłoby współczesnej psychologii”.

Wydaje się, że nie były to tylko pytania. Freud był pierwszym, który w okresie, gdy psychologia jeszcze koncentrowała się na analizie zależności między bodźcami i reakcjami, zwrócił uwagę na możliwość interpretacji zachowań psychologicznych w kategoriach mechanizmów psychologicznych. Otworzył w ten sposób przed psychologią całkiem nowe perspektywy.

W czasach, gdy tylko świadomość uznawano za przedmiot badań psychologicznych, to właśnie Freud wskazał na możliwość istnienia mechanizmów regulacji psychicznej działających poza świadomością, wskutek czego rozszerzył zakres zainteresowań psychologii.

Wskazał on również na istotny wpływ, jaki wywiera miejsce człowieka w układzie stosunków społecznych na formowanie się jego osobowości. Po raz pierwszy postawił także sam problem rozwoju osobowości i utworzył jego teorię.

Był tym, który zwrócił uwagę na to, że doświadczenia wczesno-dziecięce mogą mieć wpływ na właściwości psychiczne dorosłego człowieka.

Pokazał, że pamięć jest procesem aktywnym, który służy nie tylko zapamiętywaniu wydarzeń, ale bierze również udział w interpretowaniu świata.

Wyjaśnił błędy, wywołane myśleniem życzeniowym i racjonalność tych zachowań, które uważano za zwykłe przypadki zakłóceń czynności psychicznej.

Przede wszystkim pokazał, że subiektywność doznań jest tylko jednym z wielu mechanizmów psychicznych postępowania o obiektywnych, dostępnych metodom przyrodniczym uwarunkowaniach wewnętrznych. Dlatego też często zestawiano go z Iwanem Pawłowem, mimo że treść ich koncepcji nie miała ze sobą nic wspólnego.

We wszystkich tych sprawach był pierwszym. Popełniał błędy, ale czynił to tworząc. Zazdrościł poetom intuicji, ale miał ponadto siłę kontynuacji. Warto o tym pamiętać przystępując do lektury tej najbardziej popularnej z jego książek.

Kazimierz Obuchowski

Krajkowo, 1981 r.

Przedmowa do II wydania w przekładzie polskim

Byłem wtedy studentem medycyny.

„Oho! Freud miałby tutaj coś do powiedzenia” — rzekła śmiejąc się koleżanka, gdy przez pomyłkę wziąłem dwa papierosy naraz z podanej mi przez nią papierośnicy. Może miły uśmiech kobiecy sprawił, że słowa, których znaczenia na razie nie rozumiałem, utkwiły mi w pamięci. Zaprowadziły mnie one do książki Freuda „Psychoopatologia życia codziennego”. Przeczytałem ją jednym tchem. Dowiedziałem się między innymi, że czynności pomyłkowe bywają czasem czynnościami normalnymi i celowymi, a wtedy są poczęte z ukrytego i nie uświadamianego pragnienia.

Jeśli od opisu tego drobnego zdarzenia zaczynam przedmowę do książki „Wstęp do psychoanalizy”, napisanej tak urzekająco, że trudno niekiedy wobec niej ustosunkować się z chłodną rozwagą, to dlatego, między innymi, że w książce tej czynnościom pomyłkowym, przejęzieniom, zapominaniom itp. poświęcony jest obszerny rozdział i że rozdział ten zawiera wiele twierdzeń i spostrzeżeń całkowicie słusznych, podczas gdy wobec innych rozdziałów książki mogą powstawać opory u czytelników, zwłaszcza jeśli są nimi psychiatrzy lub psycholodzy.

Ale przede wszystkim słów kilka o narodzinach nauki Freuda, o jej twórcy i jej rozwoju.

Sigmund Freud (1856–1939), młody docent wiedeński (habilitowany w 1885 r.), zajmuje się początkowo neurologią. Jego praca habilitacyjna dotyczy zaburzeń mowy (afazji) i porażenia dziecięcego, a więc dziedzin, które z jego późniejszą nauką niewiele miały wspólnego.

Neurologia jest nauką ścisłą, niemal jak matematyka, i może być szkołą drobiazgowości, dokładności i precyzji.

Zbrojny w swój młotek i szpilkę, którą bada wrażliwość na

ukłucia, oraz we własny palec, którym ocenia subtelność doznań dotyku, neurolog potrafi z całą precyzją dowieść, że w danym miejscu rdzenia kręgowego lub mózgu istnieje zmiana chorobowa, czy będzie nią wylew krwawy, guz czy też ucisk blaszki kostnej.

Gdy jednak neurolog napotyka zaburzenia psychiczne, wówczas musi opuścić teren swej specjalności i przejść na teren, zdaje się, pokrewny, ale jakże odmienny, musi stać się psychiatrą, niekiedy zaś również i psychologiem.

Odmienność i niewspółmierność tych dwu wymienionych przed chwilą dziedzin wiedzy lekarskiej wydaje się dziwną, tym bardziej że obie zajmują się chorobami układu nerwowego. Jest ona również dziwną i przez to, że dziedziny te często wspierają się i zachodzą na siebie. Spotykamy bowiem dość często zmiany psychiczne u chorych na cierpienia neurologiczne i na odwrót: objawy neurologiczne u chorych psychicznie; często też zmiany psychiczne możemy uzależnić od uszkodzeń określonych części mózgu, które ściśle oznaczyć pozwala nam badanie neurologiczne.

Gdy jednak pomyślimy o Freudzie, to nigdy nie myślimy o nim jako o neurologu. A przecież pierwsze kroki młodego badacza nie mogły nie pozostać bez wpływu na późniejszy bieg jego prac naukowych. W rzeczy samej dążenie do precyzji myślenia, tak charakterystyczne dla Freuda i czyniące jego książki tak przejrzystymi, jest zapewne w pewnej mierze właściwością uzyskaną w toku pracy w klinice neurologicznej.

Teoria Freuda zaczęła formować się około 1895 roku, przy czym jej punktem wyjściowym były zagadnienia związane z histerią.

Cierpienie to specjalnie interesowało twórcę psychoanalizy, a zapoznał się z nim szczegółowo i gruntownie podczas swych studiów u Charcota w Paryżu oraz u założyciela nauki o sugestii, Bernheima, w Nancy (1885–1886).

W pismach Freuda opisana jest historia pacjentki imieniem Anna, którą Freud leczył wraz z J. Breuerem.

Młoda dziewczyna chorowała od dwu lat na histerię, przy czym wśród objawów wysuwały się na plan pierwszy zaburzenia świadomości, utrata czucia w kończynach, zaburzenia wzrokowe, porażenia kończyn oraz wstręt do spożywania płynów. Objawy te pojawiły się u pacjentki po raz pierwszy, gdy pielęgnowała ciężko chorego ojca.

Freud i Breuer poddali chorą hipnozie, w czasie której opowiedzia-

ła, że raz, po wejściu do pokoju przyjaciółki, ujrzała psa, który pił ze szklanki. Pies ten był bardzo odrażający i widok jego wywarł na chorej wyjątkowo przykre wrażenie. Opowiedziawszy we śnie hipnotycznym o tym zdarzeniu, chora poprosiła o podanie szklanki wody do picia i obudziła się z hipnozy.

W całej tej historii najbardziej zastanawiały Freuda dwa momenty. Jednym z nich był fakt, że chora na jawie nie pamiętała o swoim przeżyciu, drugim zaś, że po opowiedzeniu o nim w śnie hipnotycznym — całkowicie wyzdrowiała.

Omawiając ten przypadek Freud był zdania, że choroba pacjentki, w danym razie histeria, była skutkiem urazu psychicznego i że ujawnienie przykrego przeżycia drogą analizy psychologicznej tłumaczyło, z jednej strony, mechanizm choroby, z drugiej zaś strony, stało się środkiem leczniczym, gdyż umożliwiło usunięcie owego długo tłumionego urazu psychicznego.

Takie usunięcie Freud nazwał „catharsis” — oczyszczeniem. Proces badania mającego służyć wykryciu nie uświadomianych a chorobliwie działających przeżyć — to psychoanaliza.

Rozporządza ona rozmaitymi metodami, wśród nich zaś hipnoza odgrywa rolę raczej drugorzędną. Częściej Freud stosował rozmowę, w której lekarz od czasu do czasu wymieniał choremu jakieś słowo, polecając mu mówić wszystko, co w związku z tym słowem pojawia się w myśli pacjenta. Jest to metoda tzw. swobodnych skojarzeń. Lekarz słucha bacznie wypowiedzi chorego, które mogą mieć związek z przeżytym urazem psychicznym, najczęściej jeszcze nie znanym i nie uświadomianym przez chorego. Przy takiej swobodnej rozmowie niektóre nie uświadomiane przeżycia mają ujawnić się w świadomości.

Jest rzeczą charakterystyczną, że przy tej metodzie chory często tylko z wielkim trudem przyznaje się do zapomnianego przeżycia oraz jego roli chorobotwórczej i wyjaśnienia lekarza traktuje jako coś obcego, co wprawdzie rozumie, ale co jest nie do przyjęcia. Psychika chorego, zdaniem Freuda, stawia opór przy sięganiu w sfery nieświadomości. Zjawiska nieświadome, stanowiące przyczynę chorobliwych objawów, powodują, że chory często nie jest w stanie zrozumieć przyczyn i objawów swego cierpienia, rzeczą przeto lekarza jest wytłumaczenie mu tego. Jak mówiliśmy, według założeń Freuda, już sam fakt zrozumienia przez chorego mechanizmu powstania jego cierpienia z urazu psychicznego prowadzić ma do wyleczenia. Ale

zrozumienie to nie przychodzi choremu łatwo, tłumaczenia lekarza przyjmuje on często z niechęcią, wydają się mu one dziwne i obce. Nieświadomość, w której — zdaniem Freuda — toczy się bujne życie psychiczne, z trudem tylko ujawnia fakty tego życia, często wstydlive, i z oporem i niechętnie pozwala wydobyć je na jaw świadomości.

„Opór chorych — pisze Freud — bywa bardzo różnorodny, wysoce wyrafinowany, często trudny do rozpoznania, zmienia, niby Proteusz, swą postać. Lekarz więc powinien nie dowierzać i mieć się na baczności... Polecamy choremu wprawić się w stan spokojnej samoobserwacji bez rozmyślania i dzielić się z nami wszelkimi spostrzeżeniami, myślami, wspomnieniami w tym porządku, w jakim się wyłaniają. Ostrzegamy go przy tym wyraźnie, aby nie kierował się jakimkolwiek motywem, który by mógł spowodować wybór lub wykluczenie kojarzeń, choćby motyw ten głosił, że jedno jest zbyt nieprzyjemne lub zbyt niedyskretne, by je wypowiedzieć, inne znów jest zbyt mało ważne, nie należy do rzeczy lub jest bezsensowne... Wiemy, że to właśnie skojarzenia, przeciw którym podnoszą się wyżej wymienione wątpliwości i zarzuty, zawierają z zasady materiał, który prowadzi do wykrycia nieświadomego”.

Oczywiście, przy takiej technice badania opór ze strony chorego nasila się i chory stara się wszelkimi sposobami ominąć dyrektywy.

„To zapewnia, że nic się mu nie nasuwa, to znowu, że nasuwa mu się tak wiele, że nie może niczego uchwycić. Potem spotrzegamy ze zdumieniem, że pacjent dopuścił ten lub inny zarzut krytyczny, zdradza się mianowicie przez długie pauzy, które występują w jego odezwaniach. Zapytany, przyznaje, że tego a tego nie może opowiedzieć rzeczywiście, gdyż wstydzi się... lub że przyszło mu coś na myśl, lecz dotyczy do innej osoby, nie jego samego, a więc zostanie przemilczane, lub że to, co się mu teraz nasunęło, jest naprawdę zupełnie nieważne, zbyt głupie i bezsensowne... wobec czego musimy wyjaśniać, że powiedzieć wszystko — oznacza rzeczywiście wszystko powiedzieć”.

„Opór zmienia wciąż swe nasilenie w ciągu leczenia, zwiększa się zawsze, gdy zbliżamy się do nowego tematu, jest najsilniejszy u szczytu jego opracowania... Jeśli wniesiemy do świadomości pacjenta nowy i szczególnie dlań przykry element nieświadomego materiału, wówczas pacjent jest skrajnie krytyczny; jeśli zrozumiał i przyjął przedtem wiele, to teraz zdobycze są jak gdyby zmiecione”.

Te cytaty z Freuda malują dokładnie trudności metody swobodnych

kojarzeń, związane z przeniknięciem do tematyki nieświadomego. Zazwyczaj bowiem tematyka ta jest wstydliva, a co najważniejsze — obca świadomości chorego i nierozpoznawalna przezeń jako częśćka jego ja.

Ale nieświadome życie psychiczne daje ustawicznie znać o sobie również w inny sposób. Ujawnia się ono spoza zasłon nieświadomości, w wielu naszych czynnościach pomyłkowych, przejęzyczeniach, faktach zapomnienia przez chorych ważnych zdarzeń życiowych, które odegrały znaczną rolę w powstawaniu ich cierpienia. Psychoanaliza winna więc korzystać również i z tych źródeł poznania nieświadomego, które wstydliwie kryją się poza firanką i wyzierają tylko ukradkiem i jakby przez roztargnienie albo przez pomyłkę.

„Dążenia w przedśionku nieświadomego — pisze Freud — są ukryte przed wzrokiem świadomości, która znajduje się przecież w innym pokoju: muszą one naprzód być nieświadome. Lecz na progu między tymi dwoma pomieszczeniami pełni swą służbę strażnik, który rewiduje pojedyncze dążenia duchowe, cenzuruje je i nie wpuszcza do salonu, jeśli mu się nie podobają. Jeśli precyzyjnie się one do progu i zostały odprawione przez strażnika, są nie do uświadomienia; zwiemy je stłumionymi. Ale i te dążenia, które strażnik przepuścił przez próg, nie stały się jeszcze przez to świadome; mogą stać się nimi, jeśli uda się im skierować na siebie wzrok świadomości. Możemy przeto z zupełną słusznością nazwać ten pokój systemem p r z e d ś w i a d o m e g o”.

Te cytaty z Freuda przytoczyłem w tym celu, aby czytelnik uzyskał pogląd na to, co Freud nazywa cenzurą oraz tłumieniem, nieświadomością i przedświadomością. Ich obrazowy język uplastycznia wyraźnie istotę tych pojęć.

Widzieliśmy z opisu metody swobodnych kojarzeń, że przeniknąć do tajemnic nieświadomych przeżyć można — według Freuda — drogą rozmowy z chorym z lekka tylko sterowanej przez lekarza. Widzieliśmy na przykładzie, że to samo udaje się niekiedy we śnie hipnotycznym. Przy tej ostatniej metodzie tłumienie i opór ze strony chorego zostają usunięte przez zabieg hipnozy. Ma ona więc — zdaniem Freuda — tę wadę, że nie pozwala na ocenę siły tego oporu oraz siły tłumienia, a więc dynamiki czynników chorobotwórczych.

Jest jeszcze trzeci sposób poznania życia nieświadomego. Freud poświęca mu wiele uwagi. Chodzi tu o treść marzeń sennych.

We śnie — zdaniem Freuda — nikną lub rozluźniają się opory, strażnik strzegący dostępu do pokoju świadomości zasypia, a sam pokój pogrążony jest w mroku, w którym nie widać zarysów przeżyć w ich prawdziwej postaci. Snują się po nim widziadła, symbole przeżyć nieświadomych, daleko od nich odbiegłe w swej formie i treści. Kto potrafi ten zmieniony język snów odczytać, ten łatwiej niż w inny sposób może ujawnić właściwe oblicze przeżyć wypartych ze świadomości lub też nie uświadomianych od chwili swych narodzin, niekiedy jednak ważnych i mącających spokój chorego.

Jak to rozpatrzymy poniżej, wielką rolę wśród przeżyć stłumionych i wypartych ze świadomości, a zwłaszcza przeżyć chorobotwórczych, odgrywają — zdaniem Freuda — przede wszystkim przeżycia seksualne. Nic więc dziwnego, że w snach chorych doszukiwał się on przede wszystkim tych przeżyć.

Symbolika senna jest w ujęciu Freuda tak daleka od pojęciowej lub dążeńiowej treści, którą ma reprezentować, że wzbudziła zastrzeżenia i protesty wielu, którzy godzili się z jego teorią pomyłek, a nawet z założeniami metody wolnych skojarzeń.

Jest to symbolika głównie erotyczna, ale jakże dziwna i wzbudzająca opory czytelnika: psychiatry czy psychologa.

„Kobięcy narząd płciowy bywa przedstawiony symbolicznie — pisze Freud — przez te przedmioty, które posiadają jego właściwość, a mianowicie: wydrążenie mogące w sobie coś pomieścić. A więc: szyby, kopalnie, jamy, naczynia, flaszki, pudła, szkatuły, kufry, puszki, skrzynie, kieszenie itd.”

Osobny słownik reprezentuje symbole męskich narządów płciowych.

Spółkowanie — to we śnie taniec, jazda konno, wspinanie się, uczucie, że się jest przejechanym, zagrożenie bronią.

Jak widzimy, Freud tworzy własny sennik dla odczytania symboli przedstawiających przeżycia, które we śnie wychodzą z zamkniętego szczelnie pokoju nieświadomości, przy czym w jego interpretacji są to niemal wyłącznie przeżycia erotyczne.

Już sama symbolika marzeń sennych podana przez Freuda niejednego zdumiewa i razi, aczkolwiek przyznać trzeba, że każdy, kto czyta go, oszołomiony jest i zdezorientowany talentem, wymową i sugestywnością jego wywodów. Urzekają one i czarują, ale przecież w nauce winniśmy być wolni od czarów i trzeźwi.

Czytelnik zapozna się bliżej z freudowską interpretacją poszczegół-

nych marzeń sennych cytowanych w tej książce i czytając ją będzie olśniony ich magią i siłą przekonywania, niech więc każdy pamięta, że interpretacje te wzbudziły wielki opór i protest wielu poważnych słuchaczy.

Sen w ujęciu psychiatrii jest jedynym stanem spotykanym u zdrowego człowieka, w którym występują omamy (halucynacje), i to przeważnie wzrokowe. Nie ulega wątpliwości, że w omamach tych rzeczywistość zmienia swe oblicze, że patrzą na nas w snach twarze nie znane albo znane, a przecież zmienione, i że baśń staje się w nich dostrzegalnym, własnym, jakby realnym przeżyciem, ale nie mamy dowodów na to, że w baśni tej występują postacie i rzeczy podporządkowane liczmanom freudowskiego sennika, pływającego w tańcu porywów seksualnych wydobytych z dna nieświadomości. Przypomnieć tutaj winniśmy, że niektórzy przyjmują, iż rozczłonkowane fragmenty i ułamki przeżyć łączą się we śnie w nowe syntetyczne całości dlatego, iż człowiek, odcięty od podnieć zewnętrznych, przeżywa ślady minionych wrażeń bez trzeźwej kontroli świadomości i w sposób wzmocniony przez senne uciszenie innych procesów, które mogłyby zaćmiewać te ślady, ale nie oznacza to bynajmniej, aby w snach snuły się głównie postacie odziane w erotyzm, i to usymbolizowany w sposób tak oddalony od swego właściwego oblicza.

Wprawdzie Freud nie wyklucza snów o treści nieseksualnej, lecz całą uwagę zwraca na tematykę erotyczną.

Ale staśmy znowu na stanowisku założeń Freuda, mianowicie założenia, że psychoanaliza wyjaśnia mechanizmy cierpienia nerwowego i leczy je zarazem drogą wykrycia przeżyć, które były dla chorego urazem, oraz założenia, że psychoanalizę można prowadzić albo w hipnozie, albo metodą swobodnych kojarzeń, albo analizując zachowanie chorego, a zwłaszcza jego czynności pomyłkowe, albo też badając sny chorego.

Twórca psychoanalizy stwierdził wkrótce, że często spotyka się chorych, u których nie można było w wyżej podany sposób wykryć aktualnych przeżyć, które stały się powodem cierpienia, np. nerwicy, albo też, że przyżycie aktualne było zbyt błahe, aby mogło takie cierpienie wywołać.

Skloniło to Freuda do wysunięcia poglądu, że przyczyną reakcji nerwicowych są seksualne urazy psychiczne powstające we wczesnym dzieciństwie, w wieku od 2 do 4 lat, tj. w okresie, gdy życie seksualne dopiero się kształtuje.

Freud rozumuje mniej więcej w ten sposób:

Podobnie jak w załączku rośliny czy w pierwszej komórce, z której rozwinąć się ma ustrój zwierzęcy, istnieją zadatki wszystkich narządów tej rośliny czy też zwierzęcia, które dopiero potem się ukształtują, tak samo u dziecka jest pewna masa energii życiowej, libido, z której rozwinię się potem popęd seksualny skierowany na zewnątrz. Dając za Jungiem tej sile popędowej nazwę „libido” Freud podkreśla, iż we wczesnym dzieciństwie nie ma ona przeznaczenia *stricte* seksualnego. Jest ona raczej motorem wielu czynności, które przynoszą dziecku uczucie organicznego zadowolenia. Do takich czynności należy początkowo ssanie piersi, podrażnienie okolic płciowych i odbytu przy zabiegach higienicznych, przy oddawaniu moczu i przy defekacji. Później dopiero dołączają się tu czynności coraz bardziej koncentrujące się koło właściwych narządów płciowych i coraz bardziej skierowane na zewnątrz.

Dziecko do pewnego wieku przyjmuje te wszystkie rozkoszne dla niego doznania bez wstydu i bez poczucia winy. W miarę kształtowania się jaźni dziecka, tj. w miarę pojawiania się hamulców narzucanych przez wychowanie, obyczaj, wstyd, karę — energia libido zostaje ujęta w karby, zgwałcona niejako, co nie odbywa się bezkarnie, gdyż pociąga za sobą pierwsze urazy psychiczne, i to natury seksualnej. Dziecko przebyć musi ten okres urazów dlatego, aby dostosować się do rzeczywistości, nie razić otoczenia, nie czuć się winnym i nie ulec karze. Urazy te stwarzają konflikty pomiędzy popędami dziecka a jego jaźnią; konflikty te są właśnie identyczne z kompleksami w freudowskim znaczeniu tego słowa.

Zwłaszcza ciężki jest dla dziecka okres, gdy oczy jego otwierają się na tajemnicę płci, gdy stwierdza ono istnienie różnic w budowie narządów płciowych, gdy dowiaduje się o życiu płciowym.

Przedtem cała energia miłości (*libido*) skierowana była ku sobie, ku najbliższym: matce, ojcu, rodzeństwu, zwłaszcza płci odmiennej.

Już przedtem dziecko było zazdrosne o matkę lub ojca (kompleks Edypa) — i już przedtem odczuwało, jako coś zmniejszającego wartość człowieka, różnicę w budowie narządów płciowych (kompleks kastracji).

Rzeczywistość nie pozwalała nigdy wypowiedzieć się miłości do rodziców bez reszty; matka, przy całej swej czułości dla dziecka, chociaż odbierała jego pieczyoty, należała przecież do kogoś kto miał

większe prawa do niej niż syn, ojciec odgrywał w oczach dziewczynek tę samą rolę. Dziecko musiało ograniczać naturalne porywy nieokiełznanej czułości — powstawały tarcia, urazy — kompleksy.

Następował nowy okres: młody człowiek stawał teraz oko w oko z obcym światem. Musiał szukać, wybierać, oceniać, być ocenianym, musiał iść szlakiem konwenansu z wędzidłem hamulców etyczno-moralnych nałożonych na porywy miłości.

Poprzedni okres uległ zapomnieniu. Łatwo zapomina się to, co w ocenie późniejszej stałoby się hańbiące i pełne wstydu.

Freud podpatrzył, że aczkolwiek doskonale pamiętamy niekiedy przeżycia z lat odległych, to jednak okres od niemowlęctwa do lat 2–4 całkowicie niemal wypada z naszej pamięci. Ten okres zapomnienia łączy on z pojęciem stłumienia i wyparcia kompleksów i konfliktów seksualnych, które odtąd wiodą jedynie jaskiniowy żywot w mrokach nieświadomości. Zdaniem Freuda, konflikty te jednak nigdy nie umierają i niekiedy dają znać o sobie, mącąc wtedy spokój psychiczny i zdrowie człowieka.

Mówiliśmy już, że po pierwszych triumfach psychoanaliza zawiodła Freuda o tyle, iż często nie znajdował on u swych pacjentów aktualnych konfliktów, które by tłumaczyły zaburzenie równowagi nerwowej, na które cierpieli. Wypowiedział on wówczas pogląd, że niekiedy błahe aktualne przeżycie, niekoniecznie nawet erotyczne, prowadzić może do ciężkiej choroby przez to, że ulega ono wzmocnieniu przez aktualizację dziecięcego urazu seksualnego, który naładowany dużym zasobem okiełznanej energii, żyje wciąż w nieświadomości. Powstaje wtedy silny konflikt między aktualnym przeżyciem, a uczuciami moralnymi, co prowadzi do wyparcia ze świadomości aktualnego przeżycia. Od tej chwili, gdy Freud zwrócił tak baczną uwagę na rolę konfliktów dziecięcych w zaburzeniach nerwowych, zaczyna on wyraźnie lekceważyć rolę przeżyć aktualnych. Jego poszukiwania psychoanalityczne są nastawione odtąd na ujawnianie seksualnych konfliktów dziecięcych w swobodnych skojarzeniach, snach, czynnościach pomyłkowych lub — rzadziej — w zachowaniach podczas snu hipnotycznego.

Konflikty dziecięce zawiązują się pomiędzy jaźnią a chaosem sił popędowych, owym „es”, według terminologii Freuda. Jaźń — to kryteria i wędzidła rzeczywistości, nakazu i woli. Wraz z wyłonioną z siebie nadjaźnią nagina ona przebieg tendencji popędowych do wymagań świata, pokonując przy tym opory, jakie stawia „es”.

Nadjażń — to instancja nakazów etycznych, moralnych i społecznych. Jest to „ja” idealne.

Wszystkie te 3 instancje: es, jażń i nadjażń, mają ładunek energetyczny wywodzący się z popędowej siły: libido, a ponieważ wszystkie one związane są z konfliktami dziecięcymi, które uległy stłumieniu — bytują w nieświadomości. Tendencje nadjażni są w tej hierarchii najbardziej uwzniośnione i sublimowane.

Wychodząc z założeń swej teorii, odnoszących się do sfery popędowej, Freud tworzy niebawem swoistą psychologię, konsekwentnie rozbudowaną na bazie założeń wyjściowych. Jest to tzw. psychologia głębi.

W sposób najbardziej syntetyczny ujmuje ją K. Jaspers:

„Według Freuda wszystko, co psychiczne, jest zdeterminowane, tj. uzależnione wzajemnie przez związki przyczynowe, jednak zależności tej często nie możemy stwierdzić wśród zjawisk świadomych, bowiem mają one za podłoże sferę zjawisk ukrytych w nieświadomości, gdzie sięgają korzenie zależności przyczynowych pomiędzy zjawiskami. «Nieświadome» jest — zdaniem Freuda — właściwym życiem psychicznym, które nie przenika bezpośrednio do świadomości, lecz przechodzi przez stacje cenzury, do których należy przedświadomość. Świadomość w rozumieniu Freuda jest tylko jakby organem zmysłowym odbierającym jakości psychiczne, a również i podniety zewnętrzne. Rola jej jest całkowicie bierna; nie tworzy ona jakości psychicznych, które są produktem nieświadomości. Nawet myślenie nie jest według Freuda funkcją wyłącznie świadomości, istnieje myślenie nieświadome. W nieświadomości istnieje też energia natury afektywnej, która odpływa, przenosi się, zalega. Energię tę Freud sprowadza w istocie do jedynej siły, którą jest seksualność czy libido, a przejawia się rozmaicie, odpowiednio do rozmaitych tendencji życiowych ustroju, z których najważniejszą jest popęd seksualny i dlatego nadaje on nazwę całości”.

Zdania te, wyjęte z książki K. Jaspersa (*Allgemeine Psychopathologie*), precyzują dostatecznie jasno konkluzje Freuda. Nietrudno jest dostrzec w tych zdaniach pewien ton dezaprobaty.

W rzeczy samej trudno jest pogodzić się z poglądem o biernej roli świadomości w czasach, w których precyzja świadomego myślenia rozbiła atomy i gotuje się do pokonania przestrzeni międzygwiazdnych.

Zdaniem Freuda, tylko w wieku dziecięcym życie psychiczne może przechodzić bez zmiany z nieświadomości do świadomości, później zaś

przechodzi ono do niej po doznaniu głębokich przeobrażeń i przekształceń, które dokonują się za pomocą aparatu cenzury. Wyniki tych przekształceń są niekiedy bardzo odległe od zjawisk psychicznych, które reprezentują, a reprezentują je w sposób symboliczny i trudny do rozwikłania.

Przekształcenia te obejmują tzw. *przesunięcia*, kiedy to jakaś osoba lub przedmiot zostają zastąpione przez inny (podobnie jak to bywa w snach), *zagęszczenie* (gdy jedna osoba lub jedno zjawisko reprezentuje kilka osób lub zjawisk), przyłącza się zaś do nich tendencja do *symbolizacji*, którą omawialiśmy wyżej, gdy chodziło o marzenia senne.

Zajmując się zaburzeniami nerwowymi Freud posługuje się terminem „regresja”. *Regresją* nazywa on pojawienie się w życiu osobnika dawno przebytych faz rozwojowych z właściwymi ich okresowi konfliktami (kompleksami), które zdarzyły się w okresie kształtowania się życia popędogo i jego rozwoju. Większość nerwic zawiera — według Freuda — właśnie objawy takiego cofnięcia się do przebytych okresów rozwoju, czyli objawy regresji.

W teorii Freuda uderza specjalne zaakcentowanie roli popędu seksualnego. Zaakcentowanie to stało się powodem wielu ataków na Freuda, nikt bowiem wprawdzie nie neguje wielkiej roli tego popędu w życiu człowieka oraz w zaburzeniach równowagi nerwowej jego zdrowia, wielu jednak nie zgadza się z tak pojętym prawem wyłączności.

Jednak w pracy *Jenseits des Lustprinzips* Freud wypowiada zdanie, że istnieje również inny popęd, przeciwny seksualnemu, jak gdyby jego negatyw, który nazywa popędem śmierci, agresji lub zniszczenia. Przejawy tego popędu dostrzegamy już w młodym wieku w krnąbrności dziecka, tendencji do okrucieństwa, do zadawania bólu innym, a manifestuje się on również zwłaszcza w niektórych zboczeniach, np. sadyzmie lub masochizmie. Popęd ten, w skali całej ludzkości, prowadzi do agresji i wojny. W pracy swej *Das Unbehagen in der Kultur* (1930) Freud wyraża obawę, że popęd śmierci może popchnąć ludzkość na drogę zagłady. Te pesymistyczne nastroje łączą się u niego ze wspomnieniem pierwszej wojny światowej.

Teoria Freuda, która — jak widać było z uprzednich rozważań — jest przede wszystkim teorią psychologiczną w oparciu o pojęcie biologiczne, rozpościerać się zaczyna na olbrzymi zakres zagadnień kultury, polityki, socjologii i innych. Ale przecież poczęła się ona z poszukiwań terapeutycznych, służyła początkowo terapii, i stworzył ją lekarz.

Pierwotnie terenem zastosowania teorii Freuda w medycynie były głównie nerwice, później jednak sam Freud i jego uczniowie zaczęli ją stosować w innych cierpieniach psychicznych.

Jak wiemy, istnieje szereg jednostek chorobowych w psychiatrii, których nie możemy zaliczyć do zaburzeń czynnościowych, takich jak np. nerwice, i które nie są z pewnością cierpieniami wywołanymi przez przeżycia natury konfliktowej. Są one wywołane raczej przez rozmaite choroby organiczne układu nerwowego: zatrucia, urazy fizyczne, zaburzenia hormonalne, zmiany starcze, miażdżycowe i inne. Niektóre jednak z chorób psychicznych, o których wszyscy doświadczeni klinicyści wiedzą, że nie są one chorobami czynnościowymi, lecz że u ich podłoża leżą nie wykryte jeszcze do dzisiaj zmiany w ustroju lub mózgu, nie mają dotychczas poznanej etiologii, innymi słowy, przyczyna ich jest nie znana. Do takich chorób należy między innymi schizofrenia, owo najczęściej spotykane, a wyjątkowo ciężkie schorzenie psychiczne.

Otóż Freud i jego uczniowie uparcie zaliczali schizofrenię do nerwic, a więc schorzeń czynnościowych, i uparcie leczyli ją psychoanalizą, niekiedy stosowaną przez całe lata i z reguły bezskutecznie. Można to wysunąć jako poważny zarzut zarówno z punktu widzenia orientacji naukowo-klinicznej, jak i z punktu widzenia ciężkiego błędu polegającego na zastosowaniu mylnej terapii w stosunku do chorego.

Zanim przejdziemy do innych zastosowań freudyzmu w medycynie i wielu dalekich od medycyny dziedzinach nauki i filozofii, chciałbym zaznaczyć, a nawet podkreślić, że nie wolno przemilczeć, iż poglądy Freuda nie były teorią usztywnioną, niezmienną i wolną od przekształceń, wyrzeczeń, nawet i wahań. Pod tym względem podlegały one prawom, którym podlega każda nauka kształtująca się w toku rozważań dziejących się w czasie.

Działalność naukową Freuda można by podzielić na 3 okresy.

W pierwszym z nich doszukiwał się on przyczyn nerwic w konfliktach aktualnych, a później w konfliktach wieku dziecięcego.

W drugim okresie uważa poprzednie swe stanowisko za zbyt wąskie i twierdzi, że w powstawaniu nerwic rozstrzygają zaburzenia popędów, uczuć i osobowości.

W trzecim okresie swej działalności Freud zajmuje się sytuacją, jaką psychoanaliza wprowadziła do psychologii. Poświęca się również zastosowaniu psychoanalizy w rozmaitych zagadnieniach kulturalnych.

Podkreślić należy, że już w książce *Das Ich und das Es* (1923) Freud odwraca się od wyłączności teorii seksualnej, która w okresie pisania *Wstępu do psychoanalizy* królowała w teorii Freuda niepodzielnie. Pomimo tych zmian wielu freudystów trzymało się uparcie pierwotnych koncepcji swojego mistrza, mało tego, polemizowało z nim, gdy usiłował wprowadzać zmiany w swoich poglądach.

Czytelnik książki, do której piszę tę przedmowę, powinien przeto pamiętać, że Freud stopniowo zmieniał swoje poglądy, i odróżniać czarującą wprost sugestię jego wykładu w tej książce od wniosków, które mu wolno wysuwać jako ostateczne.

Sam twórca psychoanalizy stopniowo uprzytamniał sobie jej braki zarówno jako metody badawczej, jak i środka terapii, nie mógł przy tym nie ulec uczuciu głębokiego zwątpienia. Teoria opracowana była w sposób genialny i z niezwykłą precyzją, ale przecież cała tak ciekawa nauka wywodziła się wyłącznie z psychoanalizy i na jej fundamentach wznosiła swe szeroko rozbudowane konstrukcje. Tymczasem Freud mógł stwierdzić po upływie lat doświadczeń i badań, po sumiennym gromadzeniu i opracowaniu faktów, że jego pierwotne założenia wysnute były na podstawie zbyt małej liczby doświadczeń, że psychoanaliza często zawodziła tam, gdzie „nie powinna była zawodzić”, że zakres jej skuteczności był o wiele węższy, niż początkowo przypuszczał, że spekulacja naukowa zbyt często rozmijała się z życiem. Freud, i to jest wielką jego zasługą, przynoszącą mu zaszczyt, schylił wówczas głowę przed faktami, ale stało się to jego tragedią.

Oto co pisze sam twórca psychoanalizy.

„Pod wpływem urazowej teorii historii nawiązującej do Charcota było się raczej skłonny uznać za realne i za doniosłe pod względem etiologicznym relacje pacjentów sprowadzające objawy chorobowe do biernych przeżyć seksualnych wczesnego dzieciństwa..., a mówiąc po prostu: do uwiedzenia¹. Kiedy etiologia ta rozbiła się o własne swe nieprawdopodobieństwo i o sprzeczność z okolicznościami stwierdzonymi ponad wszelką wątpliwość, jedynym, co z tego na razie wynikało, był stan zupełnej bezradności. Psychoanaliza doprowadzała

¹ Uwiedzeniem (*Verfehrung*) Freud nazywa skierowanie uczuć seksualnych dziecka do osoby starszej, która najczęściej jest dla niego autorytetem, np. do ojca, wychowawcy czy wychowawczynie. Jak widzimy, chodzi tu zarówno o kompleks Edypa, jak i analogiczne doń konflikty.

w sposób poprawny do (stwierdzenia — przyp. red. PWN) takich seksualnych urazów dziecięcych, a jednak były one nieprawdą. Straciło się więc grunt rzeczywistości. Najchętniej rzuciłbym wtedy całą pracę, podobnie jak szanowny mój poprzednik J. Breuer wobec swojego niepożądanego odkrycia. Może dlatego tylko wytrwałem, że nie miałem możliwości rozpoczęcia czegoś innego”.

Powyższa wypowiedź, świadcząca o beznamiętnym dążeniu jej autora do prawdy, i przynosząca mu zaszczyt, zawiera sens, który jest ukryty pomiędzy wierszami i dlatego, być może, trudny do uchwycenia. Zawiera ona wszak nie co innego, jak przyznanie, że rzeczy wykrywane przez psychoanalizę były nieprawdą, tj. — innymi słowy — były one zaszczepiane osobom badanym przez badających te osoby psychoanalityków.

W swej pracy z roku 1937 *Kończąca się i nie kończąca psychoanaliza* autor rezygnuje otwarcie z wielu dawnych optymistycznych poglądów na skuteczność tej metody leczniczej, podkreśla on przy tym wagę czynników dziedziczno-konstytucjonalnych, stwarzających nieodwracalny i fatalistyczny charakter wielu schorzeń, przeciwny leczeniu i oporny na nie.

Powyższe krytyczne uwagi sędziwego już wówczas Freuda do wyników pracy całego jego życia nie przeszkodziły jednak temu, że kierunek przeniósł się stworzony stał się metodą leczniczą w rękach wielu psychoterapeutów (lekarzy i psychologów), że znalazł on szerokie zastosowanie w socjologii, nauce o przestępczości, w literaturze i sztuce (surrealizm). Bez wątpienia w niektórych dziedzinach swego zastosowania przybrał on takie formy, które mogłyby nawet zadziwić samego Freuda, gdyby dane mu było dożyć naszych czasów. Dlatego to należy omówić pewne kierunki wywodzące się z freudyzmu. Na początek parę słów o trzech modyfikacjach freudyzmu reprezentowanych przez jego uczniów. Ogólnie biorąc, cechuje je raczej pewne umiarkowanie w stosunku do pierwszych założeń Freuda, które były bardziej ortodoksyjne i krańcowe w porównaniu z nimi.

Trzeba zaznaczyć, że sam twórca psychoanalizy ustosunkowywał się dość krytycznie do prac niektórych swych uczniów, a wśród nich do twórców wspomnianych trzech modyfikacji, tj. do A. Adlera, K. Junga i W. Stekla.

Kierunek stworzony przez A. Adlera, noszący nazwę psychologii indywidualnej, wprowadził do nauki o nerwicach pojęcie dążenia do potęgi i do znaczenia oraz pojęcie kompleksu mniejszej wartości

narządów, który może niekiedy prowadzić do poczucia mniejszej wartości psychicznej, jak również kwestię finalnej roli nerwic. Adler odrzuca pogląd Freuda o wyłącznej roli libido w życiu człowieka, wprowadza pojęcie wyimaginowanej przez siebie przewodniej linii życia, tj. pewnego kierunku rozwoju, oraz pojęcie mniejszej wartości psychicznej, powstałej na podłożu psychopatycznym czy też na skutek urazów psychicznych albo braków organicznych.

W niektórych nerwicach chodzi — zdaniem Adlera — o wyładowanie energii hamowanej przez uczucie mniejszej wartości, przy czym człowiek dotknięty taką nerwicą tworzy cele odbiegające od normy i chce je realizować za pomocą odbiegających od normy środków (hiperkompensacja).

W. Stekel poddawał rewizji pogląd Freuda na istotę popędów. Wyróżniał on dwa popędy: życia i śmierci, co degradowało nieco rolę czynnika seksualnego. Popęd życia ma, według Stekla, składać się z tendencji samozachowawczych i tendencji seksualnych. Stekel degraduje również chorobotwórcze znaczenie kompleksów Edypa i kastracji, odrzuca też pojęcie nieświadomego i mówi o procesach toczących się obok świadomości. Twierdzi on, że „ja idealne” jest związane ze świadomością. Dużo nerwic jest, zdaniem Stekla, skutkiem urazów aktualnych. W marzeniach sennych dostrzega on, obok przeżyć nie uświadomianych i konfliktów dziecięcych, również przeżycia aktualne. Stekel zwalcza również magiczną symbolikę marzeń sennych.

Jung był zwolennikiem nadawania kierunku przez lekarza w procesie badania psychoanalitycznego i zastosował w tym celu eksperyment asocjacyjny, polegający na cytowaniu badanemu szeregu słów, na które ten odpowiada bez namysłu innym słowem. Z charakteru wypowiedzi i czasu utajenia reakcji można wnioskować, jakie z pojęć reprezentują sferę zbliżoną do pojęć mających związek z urazem (kompleksem). Jung jest również twórcą nauki o ekstra- i introwersji, tj. skierowaniu zainteresowań na świat zewnętrzny lub na przeżycia wewnętrzne. Na podstawie tych pojęć rozróżnia on typy ludzkie ekstra- i introwersyjne.

Freud na ogół ustosunkowywał się niechętnie do zmian, które wprowadzali jego uczniowie do nauki o psychoanalizie.

Szereg freudystów, a głównie psychiatrzy i psycholodzy nie będący freudystami krytykowali fakt, iż Freud rozróżniał jedynie dwa popędy, a mianowicie popęd seksualny i popęd śmierci, z których popęd seksualny był dominujący.

Popęd jest pojęciem raczej biologicznym niż psychologicznym. Chodzi tu o siłę witalną, która staje się powodem takich czy innych procesów ustroju, wyzwała pewne czynności tegoż ustroju lub kieruje życiem ustroju w określony sposób.

Na ogół wyróżnia się wiele różnych popędów, na przykład popęd samozachowawczy, obrony czynnej i biernej, zachowania gatunku (seksualny), poznawczy, do wykonywania ruchów, popęd śmierci, swobody czy wolności, rozwoju i wzrostu ustroju i in.

Z punktu widzenia nauki o popędach każdy proces życiowy ustroju jest skutkiem działania jakiejś siły popędowej. A więc np. zabliznianie się rany, wzrost kończyn w miarę wieku, podział komórek i ich rozmnażanie jest skutkiem i przejawem popędów.

Przypisywanie wyłącznej roli dwom jedynie popędom, a mianowicie popędowi zachowania gatunku (seksualnemu) i popędowi śmierci, który jest tylko jakby odwróceniem i negatywem tego pierwszego, jest, zdaniem wielu autorów, niesłuszny. Pogląd taki nie umniejsza bynajmniej wielkiej roli popędu seksualnego, ani też zasług Freuda, iż miał odwagę tę rolę stwierdzić i udowodnić. Ale nawet niektórzy freudyści, np. u nas Markuszewicz, domagali się silnie uwzględnienia w psychoanalizie roli popędu samozachowawczego, twierdząc, że kryzys psychoanalizy jako metody badawczej i leczniczej wynikał z tego, iż wychodziła ona ze zbyt ciasnych założeń seksualizmu.

W Polsce i za granicą szereg badaczy ostro atakowało Freuda za wąski seksualizm w podejściu do zagadnień psychicznych, a jego sennik stawał się przedmiotem szczególnych ataków nawet ze strony tych, którzy doceniali rolę seksualizmu w życiu ustroju.

Jak wiedzieliśmy, Stekel i Adler opuścili swego mistrza właśnie głównie z powodu różnic w poglądzie na rolę popędu seksualnego i na popędy w ogóle, opuścił go również jego bliski współpracownik Breuer. Mówiliśmy już, że nawet sam Freud zmodyfikował z czasem swoje poglądy co do wyłączności roli popędu seksualnego w zaburzeniach nerwowych.

Stwierdzając to, nie trzeba przecież zapominać, że dziś jeszcze istnieje szereg freudystów, którzy ani na jotę nie odstępili od pierwotnych koncepcji swojego mistrza i którzy ortodoksyjnie tłumaczą wszystkie przejawy życia ustroju, a więc również zdrowie i chorobę, przesłankami opartymi o popędowość płciową.

Jak daleko może sięgać zaślepienie, rzekłbym nawet pewne wyn-

turzenie poglądów na te sprawy, świadczy o tym historia tzw. psychosomatyki. Jest to kierunek obecnie rozpowszechniony w niektórych krajach Zachodu oraz w Ameryce, który zakłada, że każda choroba ustroju, nawet cielesna, jest skutkiem zaburzenia popędów i winna być leczona za pomocą psychoanalizy.

Stanowisko takie można pojąć jedynie wychodząc z założenia, że psychoanaliza leczy zaburzenia popędów, choroba zaś, np. zranienie ciała, wymaga odnowy i wzrostu komórek, procesu zablizniania się, który — jak wszystko, co się dzieje w ustroju — jest skutkiem działania popędu (w rozumieniu freudystów — jedynie seksualnego). Oczywiście, tego rodzaju poglądy wydają się czymś absurdalnym nawet dla laika, który nigdy przecież nie obserwował, aby rana ciała czy też złamanie kości miały wyleczyć się na skutek rozmowy czy też perswazji. Jeszcze przed wojną słyszałem tego rodzaju poglądy od jednego z freudystów, obecnie przebywającego w Ameryce. Powiedział on, że zapalenie wyrostka robaczkowego można leczyć psychoanalizą, co wzbudziło protesty obecnych na zebraniu kolegów psychiatrów.

Jak widzimy, nauka Freuda w interpretacji zagorzałych freudystów znalazła zastosowanie w wielu gałęziach medycyny.

Zastosowanie freudyzmu przekroczyło jednak daleko zakres nauk lekarskich, sięgając przede wszystkim do psychologii, zwłaszcza wychowawczej. Zrozumiałe jest, że freudyzm w psychologii zwrócił uwagę przede wszystkim na wiek kształtowania się równowagi popędowej u dziecka, wiek tworzenia się dziecięcych konfliktów seksualnych. Nie można nawet na tym polu odmówić freudystom wiele pomyślnych oddziaływań, zwłaszcza profilaktycznych. Jednak obserwacja obiektywna rozwoju dziecka w świetle danych pochodzących od kompetentnych badaczy nie potwierdziła założeń Freuda dotyczących długotrwałości utrzymywania się u dziecka kompleksów Edypa czy kastracji oraz ich roli chorobotwórczej w wieku późniejszym, nawet jeśli badacze ci zgadzają się z Freudem co do istnienia tych kompleksów.

Podkreślić należy, że chociaż nauka Freuda rzuca snop światła na rozwój seksualny dziecka i na niebezpieczeństwa tego okresu rozwoju, to jednak pozostawia na uboczu cały szereg zagadnień psychologii wychowawczej, której ważnym narzędziem jest umiejętna organizacja oddziaływań środowiska.

W ujęciu szkoły Freuda wpływ warunków zewnętrznych na człowieka jest znacznie pomniejszony, jeśli nie zdegradowany zupełnie.

Człowiek jest w tym ujęciu istotą, której rozwój jest zdeterminowany bez reszty przez wrodzony układ sił popędowych, decydujących o wszystkim, co jest w człowieku nie tylko psychiczne, lecz również fizyczne. Zmiany, jakie zachodzą w człowieku, dotyczą według freudystów jedynie dzieciństwa i sprowadzają się do tarć i zaburzeń pomiędzy sferą popędów a wyłonioną z nich jaźnią, późniejsze zaś przeżycia, włączając w nie wszelkie aktualne przeżycia człowieka dorosłego, nic w tym już zmienić nie mogą, choćby były nawet silne i drastyczne. Oczywiście, tego rodzaju stanowisko ogranicza mocno pogląd na wagę i znaczenie środków wychowawczych.

Wielu psychologów kwestionuje, jeśli już nie istotę, to zakres działania procesów nieświadomych, odmawiając im roli tak przemożnej i decydującej, jaką przypisuje im Freud oraz jego uczniowie, wielu też nie zgadza się z pomniejszaniem przez freudystów roli świadomości w życiu psychicznym człowieka. Przeciwnie, wielu badaczy rozpatruje najważniejsze przeżycia człowieka jako zjawisko odbywające się z dużym udziałem świadomości, wyjąwszy pewne zaburzenia chorobowe, jak np. w histerii, w których udział świadomości może być niekiedy znikomy.

Smutne i fatalistyczne perspektywy, jakie snuje teoria Freuda na polu oddziaływań wychowawczych, stają się tragiczne i złowieszcze, gdy przechodzimy do innej dziedziny zastosowania freudyzmu, np. do socjologii. Nauka ta interesowała szczególnie nie tylko samego twórcę psychoanalizy, lecz i jego zwolenników.

Uderza nas przy tym nie tylko niesłuszność rozumowania freudystów, lecz również ich krzywdząca tendencyjność. Właściciel zakładu pracy ma według nich (za B. Kermanem) symbolizować ojca, podczas gdy walczący o poprawę bytu robotnik — krnąbrne dziecko o zachwianej sferze popędowej. Nawet wypadki przy pracy freudyści tłumaczą jako skutek rzekomych konfliktów psychologicznych, np. z powodu zbyt raptownego odłączenia od piersi. Freudyści tworzą w Ameryce coś w rodzaju „psychopatologii bezrobocia”, dowodząc, że prowadzi ona do zaniku nadziei otrzymania pracy, i usprawiedliwiają niemożność znalezienia takowej brakiem energii starania się o pracę. Stwierdzają też u bezrobotnych przerost fantazji oraz istnienie rozmaitych konfliktów dziecięcych. W ten sposób bezrobocie staje się całkowicie winą robotnika. Watts uważa, że przyczyną niepokojów socjalnych jest uczucie mniejszej wartości robotników.

Aczkolwiek Freud, który był wielkim humanistą, nie podpisałby się z pewnością pod tego rodzaju wnioskami wyciąganymi z jego nauki, to jednak trzeba przyznać, że do pewnego stopnia wpływają one z jego fatalistycznych i konstytucyjnych poglądów na strukturę człowieka i na znikomą rolę wpływów środowiskowych w kształtowaniu życia jednostki, która to rola zaznacza się jedynie w okresie dzieciństwa jako przyczyna dziecięcych konfliktów seksualnych.

Przestępczość stała się wcześniej ośrodkiem zainteresowania psychoanalityków. W latach 1915–1916 Freud opisał w czasopiśmie „Imago” — „przestępcę ze świadomością winy”. Zdaniem jego, osobnicy wzorowi pod względem socjalnym i etycznym mogą niekiedy dopuszczać się przestępstw, aby odreagować i unicestwić dręczące ich nieokreślone poczucie winy, której geneza tkwi w konflikcie, np. kompleksie Edypa. Zdaniem Reika, przestępców cechuje przewaga popędów nad jaźnią. S. Bernfeld podkreśla, że często przestępstwo jest skutkiem oddziaływania popędów destrukcyjnych, agresywnych, w chwili gdy brak jest możliwości zaspokojenia innych popędów i tendencji wywodzących się z dążeń seksualnych. Rozpatrując zagadnienie kary niektórzy freudyści uważają ją za wyładowanie tłumionego sadyzmu w sposób legalny i dozwolony. Natomiast społeczne przyczyny przestępczości są przez nich na ogół mało uwzględniane. Rola tych przyczyn sprowadzać się ma jedynie do urazów, które wprawiają w grę mechanizmy odziedziczone lub powstałe we wczesnych okresach życia popędowego. Kryminolodzy-psychoanalitycy podkreślają ważność metody psychoanalitycznej dla poznania genezy przestępstw.

Obszar zainteresowań freudystów jest niezwykle szeroki. Wchodzą w niego wszelkie przejawy działalności człowieka, wszelkie zagadnienia kultury, literatury i sztuki. Tak np. w malarstwie surrealisticznym znać wyraźnie wpływy freudyzmu.

Rozpatrując kierunki psychoanalityczne panujące obecnie na Zachodzie, a zwłaszcza w Ameryce, trzeba ogólnie powiedzieć, że są to kierunki bardzo niejednolite i że często, zwłaszcza u bardziej umiarkowanym freudystów, wywodzą się one z poglądów Stekla, Adlera lub Junga. Dużo jednak współczesnych freudystów kontynuuje w prostej linii wyjściowe poglądy Freuda, nie uwzględniając nawet zmian, które on sam w nich wprowadzał w ciągu swego życia.

Przypomnieć bowiem raz jeszcze należy, że u schyłku swego życia twórca psychoanalizy przyznał się do jej ograniczonej skuteczności, do

odkrywania przez nią rzekomych konfliktów, które w ogóle nie istniały, i do wielu klęsk swoich pierwotnych założeń.

Głęboki pesymizm Freuda, który był skutkiem zakwestionowania przezeń własnej teorii, przebijał przedtem w wielu jego dziełach pisanych jeszcze w okresie wiary w swoje założenia.

Pesymizm ten widoczny jest zwłaszcza w książce pt. *Unbehagen in der Kultur* i wynika z rozważań nad losem ludzkości, która — zdaniem Freuda — posuwa się po drodze wytyczonej przez popęd śmierci. Ten pesymizm nie opuszczał Freuda i później. Gdy wybuchła druga wojna światowa, zdawała się ona potwierdzać również jego założenia. Freud nie przeżył nowego kataklizmu. Po przyłączeniu Austrii do Niemiec przez Hitlera zabrany został przez najbliższych z Wiednia do Londynu, w którym zmarł 23 IX 1939 r. w wieku lat 83.

Oczywiście, w przedmowie, którą piszę, nie byłem w stanie powiedzieć wszystkiego o Freudzie, freudystach i jego nauce. Wymagałoby to wiele miejsca i czasu.

Zastanówmy się teraz nad dorobkiem Freuda. Innymi słowy, przechodzimy do oceny krytycznej.

Czytelnik zanotował zapewne w pamięci pierwsze zdania tej przedmowy, w których mowa o sugestywności dzieł Freuda. Zdążył też pewno zauważyć nutę sympatii i podziwu, która powtarzała się w mojej przedmowie. Krytyka Freuda nie może być wolna od tego podziwu, a przecież musi być ostra i beznamiętna, tak jak beznamiętną jest prawda.

Mówi się o Freudzie, że był człowiekiem genialnym. Biorąc za punkt wyjścia parę bezsprzecznych faktów, wyjaśnił on je w sposób misterny, uogólnił to wyjaśnienie i stworzył teorię rozbudowaną aż po najdrobniejsze szczegóły. Teoria ta urzeka siłą sugestii i gdyby nie fakty, byłaby naprawdę genialna. Niemniej jednak Freud położył wielkie zasługi, wykrywając, że w poszczególnych przypadkach, zwłaszcza gdy chodzi o nerwicę, wielka rola przypada przeżyciom seksualnym. Błędem jego było to, iż nie uwzględnił innych przyczyn nerwic albo uwzględnił je w zbyt słabym stopniu. Niemalą zasługą Freuda jest odkrycie wczesnych uczuciowych urazów dziecięcych, wiążących się z załążkami tych uczuć, z których potem rozwinię się seksualność. Trudno jest zakwestionować istnienie w poszczególnych przypadkach takich konfliktów jak kompleks Edypa. Istnienie tego rodzaju kompleksu potwierdzono już przed Freudem, a Sofokles uczynił go przedmiotem swojej tragedii.

Trudno zaprzeczyć Freudowi, gdy twierdzi, iż uprzytomnienie choremu zapomnianych przeżyć urazowych może prowadzić do jego uzdrowienia — z zastrzeżeniem, że dotyczy to tylko nielicznych przypadków, podczas gdy Freud podnosi ten zabieg do rangi prawa obejmującego całą terapię w jej bardzo szerokim zakresie.

Podkreślić należy zasługę Freuda polegającą na stworzeniu metody, za pomocą której w pewnych przypadkach można sięgnąć w głąb duszy ludzkiej, w mroki zapomnienia. Ale trzeba wierzyć Freudowi, gdy sam później przyznaje, że przy zastosowaniu tej metody często odkrywano konflikty, który nie było, innymi słowy, sugerowane choremu przez psychoanalitików. Przyznając to Freud chylił głowę przed faktami: twórca genialnej teorii nie waha się poświęcić ją prawdzie.

Psychoanaliza jest kamieniem węgielnym całej teorii Freuda, nic więc dziwnego, że po ograniczeniu jej roli leczniczej i badawczej oraz po odebraniu jej cech wszechstronnej skuteczności gmach jego nauki uległ zachwianiu. Przyznaje się do tego Freud, wbrew licznym rzeszom swoich wyznawców zasugerowanych tokiem jego wykładu.

Usunięcie fundamentu wielkiej budowy pozwala nam dzisiaj ocenić jej wady, czego Freud nie miał już odwagi i czasu sam dokonać.

Trzeba stwierdzić przede wszystkim, że mylił się on deprecjonując rolę warunków zewnętrznych w kształtowaniu się osobowości ludzkiej i że warunki te, nie negując wagi konstytucji i podłoża, wpływają potężnie na rozwój jednostki, modelując ten rozwój w szczegółach bardzo istotnych, takich jak uczucia społeczne i etyczne, jak stosunek jednostki do świata.

Wielką zasługą Freuda jest zwrócenie uwagi na psychologię przeżyć nie uświadamianych, stłumionych lub wypartych ze świadomości. Błędem natomiast jest brak prawidłowej oceny wagi procesów świadomych, wśród nich świadomego myślenia, które jest źródłem najbardziej doskonałego poznania rzeczywistości, źródłem wiedzy poznawczej i odkrywczej.

Trzeba stwierdzić wbrew Freudowi, że przy nerwicach wielka rola przypada przeżyciom aktualnym i bynajmniej nie zawsze seksualnej natury. Sprowadzanie wszystkiego w życiu człowieka do wspólnego mianownika — popędu seksualnego — trzeba uznać za nieaktualne. Odkrycia Freuda, które — zdawałoby się — przemawiają za tą aktualnością, były bowiem oparte na zdobyczach psychoanalizy, ta zaś — jak podaje sam jej twórca — odkrywała często rzeczy nie

istniejące, tj. przeżycia zasugerowane pacjentom przez psychoanalityków. Nie umniejsza to roli przeżyć seksualnych w wielu przypadkach schorzeń nerwowych.

Popęd płciowy winien w świetle rewizji nauki Freuda zająć swe określone a ważne miejsce wśród innych popędów, które w pewnych przypadkach, gdy są gwałcone przez tamy rzeczywistości, mogą być również źródłem zaburzeń nerwowych.

Wydaje się, że Freud — ten głęboki humanista, bolejący nad nieszczęściem płynącym z agresji i wojny — nie podpisałby się nigdy pod wnioskami, jakie wyciągają z jego nauki niektórzy socjologdy-freudyści, chcący widzieć w teorii Freuda argument przeciw walce robotnika o poprawę jego warunków socjalnych.

Kto wie, czy widząc wspaniały rozwój ludzkości, która pozostawiając za sobą drogę wojny, mozolnie toruje sobie drogę do pokoju, wolności i szczęścia, Freud nie otworzyłby oczu na to, do czego — jak sam mówi — nie miał odwagi się już w końcu przyznać, a mianowicie: że nie tylko dziedzictwo popędów, ale i urok świata wpływa na osobowość człowieka. Może wówczas wniósłby poprawki do swego dzieła. *Unbehagen in der Kultur*, przeżartego pesymizmem śmierci, i prześwietlił je blaskiem nadziei.

Mam wrażenie, że czytelnik zrozumie wywody autora przedmowy. Nie chce on umniejszać geniuszu Freuda, który stworzył niezwykłą, choć w dużej mierze spekulatywną teorię, a jednocześnie wniósł tyle istotnych zdobyczy do psychologii, psychiatrii i filozofii. Znaczenie nauki Freuda należy jednak ustawić w świetle właściwym, zestawić je z życiem, które nie zawsze schyla głowę nawet przed ludźmi genialnymi.

Wstęp do psychoanalizy zawiera zasadnicze momenty nauki Freuda w jej najbardziej istotnych i pierwotnie wyznawanych przez autora zarysach. Wydanie (powtórne) tej książki jest bardzo celowe. Pozwoli ona czytelnikowi zapoznać się z dziedziną dotychczas w Polsce niemal nie znaną, a stanowiącą wielki rozdział w historii nauki.

Pozwoli mu też na zajęcie odpowiedniego stanowiska wobec literatury zachodniej, wciąż nasyconej zagadnieniami freudyzmu.

Lucjan Korzeniowski

Słowo wstępne

To, co tutaj oddaję czytelnikowi jako „wstęp do psychoanalizy”, nie chce pod żadnym pozorem konkurować z istniejącymi pracami, omawiającymi całokształt tej gałęzi wiedzy (Hitschmann *Nauka Freuda o nerwicach*, 1913; Pfister *Metoda psychoanalityczna*, 1913; Leo Kaplan *Podstawy psychoanalizy*, 1914; Régis et Hesnard *La psychoanalyse des névroses et des psychoses*, Paryż 1914; Adolf F. Meijer *De Behandeling van Zenuwzieken door Psycho-Analyse*, Amsterdam 1915). Jest to wierna kopia wykładów, które wygłosiłem podczas dwóch semestrów 1915/16 i 1916/17 przed audytorium składającym się z lekarzy i laików obojga płci.

Wszystkie osobliwości, które uderzą czytelnika tej pracy, tłumaczą się warunkami, w których powstała. Nie można było zachować w opisie chłodnego spokoju rozprawy naukowej; przeciwnie, mówca zmierzał do tego, by podczas dwugodzinnego wykładu nie wyczerpać uwagi swoich słuchaczy. Względ na doraźne działanie wymagał wielokrotnego powracania do tego samego tematu, np. raz w związku z tłumaczeniem snów, później przy omawianiu nerwic. Ugrupowanie materiału pociągnęło za sobą i to, że niektóre ważne zagadnienia, np. zagadnienie nieświadomego, nigdzie nie zostały potraktowane wyczerpująco; są one kilkakrotnie podejmowane i odsuwane, aż do chwili, kiedy nadarzy się sposobność dorzucenia nowych danych do ich poznania. Ten, kto zna dobrze literaturę psychoanalityczną, niewiele znajdzie w tym „wstępie” materiału, który by mu nie był znany z innych, o wiele bardziej wyczerpujących publikacji. Konieczność zaokrąglenia i odpowiedniego ujęcia całości zmusiła autora do dodania w poszczególnych rozdziałach (o etiologii lęku, o fantazjach histerycznych) materiału dotychczas nie użytowanego.

Freud

Część I

Czynności pomyłkowe

WYKŁAD I

Wstęp

Panie i panowie! Nie wiem, co państwo wiecie o psychoanalizie z lektury, coście o niej słyszeli. Temat, o którym wedle zapowiedzi mam mówić — wstęp elementarny do psychoanalizy — zmusza mnie do traktowania państwa tak, jak gdybyście nic nie wiedzieli i potrzebowali pierwszych wskazówek.

Tylko tyle mogę przypuszczać, że wiadomo państwu, iż psychoanaliza jest metodą, za pomocą której leczy się nerwowo chorych. Z miejsca mogę przy tej okazji dać przykład, jak się w tej dziedzinie niejedno odbywa inaczej, często wprost przeciwnie, aniżeli się to dziać zwykło na innych odcinkach medycyny.

Kiedy stosujemy wobec chorego nową dla niego technikę lekarską, staramy się w zasadzie oszczędzić mu przykrych stron tej techniki i dajemy mu optymistyczne obietnice na temat skuteczności kuracji. Sądzę, że jesteśmy do tego uprawnieni, gdyż przez takie postępowanie wzmagamy prawdopodobieństwo, że zabiegi, które stosujemy, dadzą dobre rezultaty. Skoro jednak chodzi o neurotyka, wobec którego mamy zastosować psychoanalizę, postępujemy inaczej. Mówimy mu o trudnościach metody, o jej trwaniu, o wysiłkach i ofiarach, które za sobą pociąga, a co się tyczy jej powodzenia — oświadczamy, że trudno coś przyrzec z całą pewnością, wiele zależy od zachowania się chorego, od jego zrozumienia dla sprawy, umiejętności przystosowania się, wytrwałości. Oczywiście, ten przeciwny sposób postępowania ma swoje słuszne przyczyny; może później zrozumiecie je i będziecie mogli wejrzeć w rzecz bardziej szczegółowo.

Proszę się nie gniewać, jeżeli na razie traktować będę was jak tych nerwowo chorych. Szczerze mówiąc, nie radzę państwu słuchać mnie

po raz drugi. W tym celu zademonstruję wam, jakie niedokładności towarzyszą z konieczności wykładom o psychoanalizie, jakie trudności powstają na drodze do zdobycia własnego sądu.

Pokażę państwu, jak cały kierunek waszego dotychczasowego wykształcenia, wszystkie wasze przyzwyczajenia myślowe musiały was siłą rzeczy uczynić przeciwnikami psychoanalizy, ile będziecie musieli w sobie przewyciężyć, by pokonać ten instynktowny opór. Nie mogę, oczywiście, powiedzieć z góry, czy pod wpływem moich wiadomości zdobędziecie zrozumienie dla psychoanalizy. Mogę wam natomiast przyrzec, że przez słuchanie moich wykładów nie nauczycie się badania ani też leczenia psychoanalitycznego.

Gdyby się jednak znalazł ktoś wśród was, kogo nie zadowalałaby przelotna znajomość z psychoanalizą, kto by chciał wejść z nią w stałe związki, nie tylko będę mu to odradzał, lecz wprost przestrzegę go przed tym. Tak, jak sprawy wyglądają dzisiaj, byłby ten wybór zawodu przekreśleniem jakiegokolwiek możliwości sukcesu akademickiego. A jeżeli człowiek taki pójdzie w życie jako praktykujący lekarz, znajdzie otoczenie nie rozumiejące jego dążeń, zacofane i wrogie; otoczenie to skieruje przeciw niemu wszystkie drżące w sobie złe siły. Może ze zjawisk towarzyszących szalejącej dziś w Europie wojnie potraficie państwo mniej więcej ocenić, jak dalece (słuszne byłoby tu powiedzenie — przyp. red. PWN) imię tych mocy jest legion.

Dosyć jest jednak ludzi, dla których, mimo tych niedogodności, to, co stanowi nową krainę poznania, ma swoją siłę atrakcyjną. Gdyby niektórzy spośród was do nich należeli i gdyby przechodząc do porządku dziennego nad moimi przestrogiąmi, zjawili się tu po raz drugi, powitam ich chętnie. Ale wszyscy państwo mają prawo dowiedzieć się, jakie to trudności towarzyszą psychoanalizie. A więc przede wszystkim trudność samego nauczania psychoanalizy. Wykłady medyczne nauczyły was widzieć. Widzicie państwo anatomiczny preparat, osad przy chemicznych reakcjach, skurcz mięśnia jako rezultat podrażnienia jego nerwów. Potem zmysłom waszym pokazują chorego, objawy jego cierpienia, produkty procesu chorobowego, niejednokrotnie widzicie zarazki chorobotwórcze w izolowanym stanie. W dziedzinie chirurgii jesteście państwo świadkami zabiegów, którymi pomaga się chorym, wolno wam samym próbować stosowania tych zabiegów. Nawet psychiatra demonstrowa wam chorego, jego grę twarzy, sposób mówienia, zachowanie; wszystkie te obserwacje pozostawiają w was

głębokie wrażenie. Tak tedy profesor medycyny gra przeważnie rolę przewodnika i tłumacza, który towarzyszy wam w muzeum, podczas gdy wy wchodzić w bezpośredni kontakt z obiektami i pod wpływem własnych obserwacji przekonujecie się o istnieniu nowych faktów. Niestety, w dziedzinie psychoanalizy sprawa wygląda inaczej. W traktowaniu analitycznym odbywa się jedynie wymiana słów między analizowanym i lekarzem. Pacjent mówi, opowiada o minionych przeżyciach, o obecnych wrażeniach, skarży się, spowiada się ze swych pragnień i uczuć. Lekarz słucha, stara się kierować myślami pacjenta, nagina jego uwagę w określonych kierunkach, wyjaśnia mu pewne sprawy i obserwuje reakcje dodatnie lub ujemne, które wywołał u chorego. Niewykształceni krewni naszych chorych, którym imponuje jedynie to, co można zobaczyć lub usłyszeć, którzy zjawiska ujmują wedle logiki ekranu filmowego, nie zaniedbują żadnej okazji, by wyrazić swe wątpliwości, czy za pomocą samej rozmowy można coś zaradzić przeciw chorobie. Jest to równie krótkowzroczne, jak niekonsekwentne. Przecież to ci sami ludzie, którzy tak dobrze wiedzą, że chorzy objawy choroby tylko sobie „wmawiają”. Słowa były niegdyś czarami i do dziś słowo zachowało coś ze swej siły czarodziejskiej. Słowami może człowiek uszczęśliwić lub doprowadzić do rozpacz, słowami nauczyciel przenosi na uczniów swą wiedzę, słowami mówca porusza słuchaczy, decyduje o ich sądach i rozstrzygnięciach. Słowa wywołują afekty, są powszechnym środkiem do tego, by ludzie mogli na siebie wpływać. Nie będziemy więc w psychoterapii lekceważyli używania słów, będziemy zadowoleni, skoro będziemy mogli stać się świadkami słów wypowiedzianych przez analityka i jego pacjenta. Ale i to jest niemożliwe. Rozmowa, podczas której odbywa się zabieg psychoanalityczny nie znosi słuchaczy, nie można jej również zademonstrować. Oczywiście, można w czasie wykładu psychiatrycznego pokazać słuchaczom neurastenika lub histeryka. Opowie on o swych bólach i objawach, ale na tym koniec. Informacji potrzebnych dla analizy udzieli taki człowiek tylko wtedy, kiedy będzie związany specjalnymi więzami uczuciowymi z lekarzem, zamilknie, gdy tylko zobaczy obojętnego sobie świadka. Informacje te bowiem dotyczą najbardziej intymnych szczegółów jego życia duchowego, wszystkiego, co jako jednostka samodzielna pod względem społecznym musi przed innymi ukrywać, wszystkiego, do czego jako indywiduum nie chce przyznać się przed samym sobą.

Nie mogą więc państwo być tylko świadkami zabiegu psychoanalitycznego. Możecie tylko słyszeć o nim; psychoanalizę w ścisłym tego słowa znaczeniu możecie poznać jedynie ze słyszenia. Przez te informacje z drugiej ręki powstają dla sformułowania własnego sądu warunki niezwykle. Prawie wszystko zależy od tego, jakim stopniem wiary obdarzają państwo swego informatora.

Przypuśćmy, że nie przyszedł na wykład psychiatryczny, przypuśćmy, że jesteście słuchaczami wykładu historycznego i wykładowca opowiada wam o życiu i czynach wojennych Aleksandra Wielkiego. Jakie powody miałibyście do uwierzenia, że słowa wykładowcy odpowiadają rzeczywistości?

Wydaje się nawet, że sytuacja jest tu jeszcze bardziej niepomyślna aniżeli w wypadku psychoanalizy. Nauczyciel historii tak samo nie był świadkiem wypraw wojennych Aleksandra Wielkiego jak i państwo, psychoanalityk zaś mówi przynajmniej o sprawach, w których sam grał pewną rolę. Teraz przychodzi kolej na to, co pozwala wam wierzyć historykowi. Może on powoływać się na relacje starożytnych pisarzy, którzy albo byli współcześni Aleksandrowi Wielkiemu, albo też, jak Diodor, Plutarch, Arrian i inni, byli bliscy zdarzeniom, o które chodzi. Może dalej pokazać wam odbitki monet i posągów królewskich, może zaznajomić was wszystkich z fotografią mozaiki pompejańskiej przedstawiającej bitwę pod Issos. Ściśle mówiąc, wszystkie te dokumenty dowodzą jedynie tego, że już dawne generacje wierzyły w istnienie Aleksandra i w jego czyny. Krytyka wasza mogłaby się rozpocząć od nowa. Stwierdziłaby ona, że nie wszystkie informacje o Aleksandrze są wiarygodne, nie wszystkie szczegóły pewne. Mimo to trudno przypuścić, że państwo opuścilibyście salę wykładową z wątpliwościami co do istnienia Aleksandra Wielkiego. Na rozstrzygnięcie wasze miałyby wpływ dwie okoliczności. Po pierwsze — okoliczność, że wykładowca nie ma logicznej przyczyny podawania wam za rzecz realną czegoś, czego sam nie uważa za realne. Po drugie fakt, że wszystkie książki historyczne przedstawiają temat, o którym mowa, w podobny sposób. Jeżeli później przejdziecie państwo do badania dawnych źródeł, uwzględnić będziecie jako te same momenty ewentualne motywy waszych informatorów i zgodność wzajemną świadectw. Rezultat badania będzie w wypadku Aleksandra niezawodnie uspokajający; byłby on prawdopodobnie inny, gdyby chodziło o takie osobistości, jak Mojżesz czy Nemrod. Wątpliwości, jakie mogą w was

powstać w stosunku do wiarygodności psychoanalityka, poznać wystarczająco dokładnie przy dalszych okazjach.

Teraz macie państwo prawo zapytać: jeżeli nie istnieje obiektywna wiarygodność psychoanalizy, jeżeli nie ma możliwości zademonstrowania jej, w jakim w ogóle sposób można nauczyć się jej i przekonać się o prawdziwości jej twierdzeń? Istotnie, nie jest to rzeczą łatwą, niewiele też ludzi gruntownie nauczyło się psychoanalizy. Oczywiście, istnieje jednak wyjście. Psychoanalizy uczy się człowiek przede wszystkim na samym sobie, przez studiowanie własnej osobowości. Nie jest to równoznaczne z obserwowaniem samego siebie, ale, od biedy, można drugą z tych funkcji podporządkować pierwszej. Istnieje szereg częstych, znanych powszechnie zjawisk psychicznych, które człowiek sam może uczynić przedmiotami analizy przy pewnym obeznananiu się z techniką. Przy tej sposobności zdobywa się poszukiwane przekonanie o realności zjawisk, które opisuje psychoanaliza, oraz przeświadczenie o słuszności jej poglądów. Postęp na tej drodze jest jednak ograniczony. O wiele dalej zajść można, gdy się człowiek daje analizować przez doświadczonego analityka, gdy przeżywa działanie analizy na własnej jaźni i korzysta ze sposobności, by podpatrzeć u innego subtelny technikę działania. Świetna ta droga dostępna jest, oczywiście, zawsze tylko dla jednostek, nie dla całego kolegium słuchaczy.

Za drugą trudność w poznawaniu przez państwa psychoanalizy nie ponosi już odpowiedzialności psychoanaliza, lecz wy sami, moi słuchacze, o ile dotychczas zajmowaliście się medycyną. Wykształcenie dotychczasowe dało waszemu sposobowi myślenia pewien kierunek, daleki od psychoanalizy. Szkolono was w tym kierunku, byście funkcje organizmu i ich zakłócenia uzasadniali anatomicznie, wyjaśniali chemicznie i fizycznie, ujmowali biologicznie. Ani cząstki waszego zainteresowania nie skierowano na życie psychiczne, które jest przecież punktem szczytowym tego przedziwnie skomplikowanego organizmu. Dlatego obcy wam jest psychologiczny sposób myślenia i dlatego przyzwyczailiście się patrzeć nań z niedowierzaniem, odmawiać mu naukowego charakteru, pozostawiać go laikom, poetom, filozofom i mistykom. To ograniczenie jest niezawodnie szkodliwe dla waszej działalności lekarskiej, gdyż chory, jak się to zdarza z reguły w stosunkach między ludźmi, przede wszystkim ukazuje wam swą duchową fasadę. Obawiam się, że za karę zmuszeni będziecie część działania terapeutycznego, o które wam chodzi, pozostawić tak przez was

pogardzanym znachorom i mistykom. Zdaję sobie sprawę, jakie istnieje wytłumaczenie dla tego braku w waszych dotychczasowych studiach. Brak wam filozoficznej nauki pomocniczej, która mogłaby stanąć na usługi waszych lekarskich zamierzeń. Ani filozofia spekulatywna, ani psychologia opisowa, ani bliska fizjologii zmysłów tak zwana psychologia doświadczalna, w tej formie, jak się ich uczy w szkołach, nie są w stanie powiedzieć nic użytecznego o stosunku między dziedziną fizyczną i psychiczną; nie mogą one również dać w wasze ręce klucza do zrozumienia ewentualnych zakłóceń funkcji psychicznych. Wprawdzie w obrębie samej medycyny opisywaniem zaobserwowanych zaburzeń psychicznych i ułożeniem z nich klinicznych obrazów chorobowych zajmuje się psychiatria, ale w pewnych chwilach sami psychiatrzy mają wątpliwości, czy ich dane o charakterze czysto opisowym zasługują na miano nauki. Objawy składające się na te obrazy chorobowe są co do swego pochodzenia, mechanizmu i wzajemnych powiązań nie zbadane; albo nie odpowiadają im żadne wyraźne zmiany anatomicznego narządu duszy, albo też są to zmiany tego rodzaju, które wam niczego nie wyjaśniają. Te zaburzenia psychiczne są tylko wtedy dostępne oddziaływaniu terapeutycznemu, kiedy można je rozpoznać jako objawy poboczne innego organicznego schorzenia. Tu mamy lukę, którą stara się wypełnić psychoanaliza. Chce ona dać psychiatrii brakującą podstawę psychologiczną, ma nadzieję, że odkryje wspólny grunt, na którym zetknięcie się zaburzeń fizycznych z psychicznymi stanie się zrozumiałe. Aby ten cel osiągnąć, psychoanaliza musi uwolnić się od obcych jej przesłanek natury anatomicznej, chemicznej lub fizjologicznej, musi pracować wyłącznie przy użyciu czysto psychologicznych pojęć pomocniczych. Dlatego właśnie obawiam się, że z początku wydawać się będzie państwu obca.

Następną trudnością nie chcę obciążać ani was, ani waszego wykształcenia lub nastawienia. Dwiema tezami obraża psychoanaliza cały świat i naraża się na jego awersję. Jedna z nich skierowana jest przeciw przesądowi intelektualnemu, druga przeciw przesądowi natury estetyczno-moralnej. Nie powinniśmy tych przesądów lekceważyć; są to czynniki potężne, emanacje pożytecznych, nawet koniecznych faz rozwojowych ludzkości. Podtrzymują je siły płynące z afektu; walka z nimi jest ciężka. Pierwsza z tych niepopularnych tez psychoanalizy utrzymuje, że procesy duchowe są w swej istocie nieświadome, procesy zaś świadome stanowią jedynie poszczególne akty i części całego życia

psychicznego. Proszę przypomnieć sobie, że przyzwyczajeni jesteśmy do czegoś przeciwnego: do utożsamiania zjawisk psychicznych z świadomymi. Świadomość jest dla nas cechą określającą stronę psychiczną, psychologia nauką o treści świadomości. To identyfikowanie wydaje nam się samo przez się tak zrozumiałe, że twierdzenie czegoś przeciwnego wygląda na nonsens. Mimo to psychoanaliza nie może wysunąć tego przeciwnego poglądu, nie może stanąć na stanowisku, że świadome jest identyczne z psychicznym. Według jej definicji na psychologię składają się procesy z dziedziny odczuwania, myślenia i woli; musi ona bronić poglądu, iż istnieje nieświadome myślenie i nieznanne dążenie. Przez to z góry traci sympatię wszystkich przyjaciół trzeźwej naukowości i ściąga na siebie podejrzenie fantastycznej wiedzy tajemnej, która chce budować w ciemnościach i łowić ryby w mętnej wodzie. Ale państwo, którzy mnie słuchacie, nie możecie, oczywiście, jeszcze zrozumieć, jakim prawem zdanie tak abstrakcyjnej natury, jak: „to, co jest psychiczne, jest świadome”, uważam za przesąd. Nie możecie również odgadnąć, jakie drogi rozwojowe mogły doprowadzić do zaprzeczenia istnienia nieświadomego, jeżeli ono w ogóle istnieje, i jaka korzyść mogła być rezultatem tej negacji. Kwestia, czy należy psychikę utożsamić ze świadomością, czy też ma ona wyjść poza świadomość, wygląda na pustą grę słów. Mogę was jednak zapewnić, że przez przyjęcie tezy o nieświadomych procesach psychicznych utworzona została w świecie i nauce droga do decydującej, nowej orientacji.

Tak samo nie możecie państwo przeczuć, jak ścisły zachodzi związek między pierwszą śmiałą tezą psychoanalizy a drugą, o której zaraz będę mówił. Druga teza, którą psychoanaliza uważa za jedno ze swych osiągnięć, zawiera twierdzenie, że popędy, które w ciaśniejszym i szerszym ujęciu określić można jedynie jako seksualne, odgrywają w genezie chorób nerwowych i umysłowych niezwykle wielką, dotychczas niedostatecznie docenianą rolę. Jeszcze więcej: że te same popędy seksualne współdziałają przy powstawaniu najwyższych kulturalnych, artystycznych i socjalnych twórców ducha ludzkiego.

Wedle mego doświadczenia, niechęć do tego rodzaju badań psychoanalitycznych jest najważniejszym źródłem oporu, na jaki one natrafiają. Chcecie państwo wiedzieć, jak sobie to tłumaczymy? Sądzimy, że kultura stworzona została pod wpływem konieczności życiowej kosztem zaspokojenia popędów. Tworzy się je ciągle na

nowo, ilekroć jednostka wstępująca do ludzkiej społeczności powtarza ofiary z zaspokojenia popędów na korzyść ogółu. Wśród tych sił grają popędy seksualne ważną rolę; zostają one przy tym sublimowane, to znaczy odsuwane od swych celów seksualnych i skierowywane ku celom socjalnie wyżej stojącym, już nie seksualnym. Struktura ta jest jednak płynna, popędy seksualne są niedostatecznie opanowane. Każdy, kto pragnie współpracować w dziele kultury, narażony jest na niebezpieczeństwo, że jego popędy seksualne będą takiemu ich użytkowaniu stawiały opór. Za największe zagrożenie kultury uważa społeczeństwo wyzwolenie się popędów seksualnych i ich powrót do pierwotnych celów. Społeczeństwo nie lubi więc, gdy się zwraca uwagę na tę drażliwą stronę jego powstawania, nie zależy mu na tym, by siła popędów seksualnych była uznana, a ich znaczenie stało się dla każdego jasne i wyraźne. Przeciwnie, dla celów wychowawczych poszło ono drogą odwracania uwagi od całej tej dziedziny. Dlatego nie znosi rezultatu badań psychoanalitycznych, o którym mówiliśmy, chciałoby go napiętnować jako estetycznie odrażający, moralnie godny potępienia i niebezpieczny. Ale zarzuty takie nie mogą w niczym osłabić obiektywnych rezultatów pracy naukowej. O ile protest ma być groźny i słyszany, musi się go przenieść do dziedziny intelektualnej. Ale to już leży w naturze ludzkiej, że się jest skłonny do uważania czegoś za niesłuszne, jeżeli się tego czegoś nie znosi. Nie trudno wtedy o argumenty przeciw temu. Społeczeństwo czyni więc z tego, co mu jest niesympatyczne, rzecz niesłuszną, zwalcza prawdy psychoanalityczne argumentami logicznymi i rzeczowymi, płynącymi jednak ze źródeł afektu, i te zastrzeżenia, będące przesądami, wysuwa przeciw wszelkim próbom ich obalenia.

My jednak możemy twierdzić, że przez stawianie zakwestionowanej tezy nie szliśmy po linii żadnej tendencji. Chcieliśmy jedynie dać wyraz pewnemu stanowi faktycznemu, który poznaliśmy w trakcie żmudnej pracy. Mamy pełne prawo odrzucić kategorycznie wtrącanie tego rodzaju względów praktycznych do pracy naukowej, zanim zdążyliśmy zbadać, czy obawa, która nam te względy chce narzucić, jest uzasadniona, czy też nie.

Oto niektóre spośród trudności, które stoją na drodze waszej pracy nad psychoanalizą. Na początek to chyba więcej niż dosyć. Skoro przezwyciężycie to wrażenie, będziecie mogli kontynuować naszą pracę.

Czynności pomyłkowe

Panie i panowie! Nie rozpoczniemy dziś od przypuszczeń, lecz od badania. Za przedmiot badania weźmiemy objawy występujące bardzo często, dobrze znane i zbyt mało doceniane. Nie mają one nic wspólnego z chorobami o tyle, że można je obserwować również u człowieka zdrowego. Są to tak zwane czynności pomyłkowe, a więc: gdy ktoś chce powiedzieć jakieś słowo, a wypowiada inne, albo gdy się to samo zdarza przy pisaniu, co piszący równie dobrze może zauważyć, jak i nie zauważyć; albo mylenie się przy czytaniu, gdy człowiek czyta coś innego niż to, co zostało uwidocznione w druku lub na piśmie; dalej przesłyszenie się, gdy się mylnie słyszy to, co zostało powiedziane, oczywiście, bez organicznych zaburzeń słuchu. Dalszy szereg takich zjawisk ma za podstawę zapomnienie, nie trwałe, lecz chwilowe. Na przykład gdy ktoś nie może przypomnieć sobie czyjgoś nazwiska, które przecież zna, albo kiedy ktoś zapomina wykonać pewien zamiar, który sobie później przypomina, więc zapomniał tylko na pewien okres czasu. W trzeciej kategorii zjawisk odpada warunek chwilowości, na przykład przy zarzuceniu czegoś, gdy się jakiegoś przedmiotu gdzieś zapomniało i nie można go odszukać, albo przy zupełnie analogicznym zgubieniu czegoś. Jest to zapomnienie, które należy jednak traktować inaczej niż każde inne, z powodu którego dziwimy się lub gniewamy, zamiast je rozumieć. Do tej grupy zjawisk dołączają się pewne błędy, w których znowu zjawia się chwilowość, kiedy np. przez jakiś czas wierzy się w coś, o czym i przedtem, i później wiadomo, że wygląda inaczej, oraz cały szereg podobnych zjawisk występujących pod różnymi określeniami.

Wszystkie te objawy nie są objawami natury zasadniczej, są przeważnie przelotne i nie odgrywają zbyt wielkiej roli w ludzkim życiu. Tylko w wyjątkowych wypadkach któryś z tych objawów, na przykład zgubienie czegoś, nabiera pewnego praktycznego znaczenia. Dlatego niewiele zwraca się na nie uwagi, dlatego nie bardzo nas one przerażają.

Na te właśnie objawy chcę teraz skierować waszą uwagę. Odpowiedzcie mi z pewną niechęcią: „Świat i życie psychiczne pełne są tylu wielkich zagadek, tyle jest dziwów w dziedzinie zaburzeń psychicznych,

które wymagają wyjaśnienia i zasługują na nie, że tracenie czasu i wysiłku na takie drobiazgi robi wrażenie jakiejś psoty. Gdyby pan potrafił wyjaśnić, w jaki sposób człowiek o normalnym wzroku i słuchu w jasny dzień może widzieć i słyszeć rzeczy, których nie ma, gdyby mógł pan powiedzieć, dlaczego komuś ni stąd ni zowąd zaczyna się wydawać, że najbliżsi go prześladują, dlaczego ktoś z całą ścisłością uzasadnia szaleńcze fantazje, które każdemu dziecku wydać się muszą nonsensami, bylibyśmy skłonni mieć respekt dla psychoanalizy. Jeżeli jednak nie stać ją na nic innego, jak tylko na zajmowanie nas kwestią, dlaczego mówca na bankiecie zamiast danego słowa powiedział inne albo dlaczego gospodyni zarzuciła gdzieś klucz lub inne podobne drobiazgi, to wolimy w inny sposób zużytkować swój czas i zainteresowania”. Odpowiedziałbym na to: cierpliwości! Mam wrażenie, że w krytyce swej nie jesteście na właściwej drodze. Psychoanaliza nie może poszczycić się tym, że nigdy nie interesowała się drobiazgami — to prawda. Przeciwnie, jej materiał doświadczalny tworzą przeważnie te niepozorne zdarzenia, które inne gałęzie wiedzy odrzucają jako zbyt bagatelne, jako coś w rodzaju resztek ze świata zjawisk. Czy nie utożsamiacie państwo przypadkiem w swej krytyce ważności zagadnień z jaskrawością oznak? Czy nie istnieją bardzo ważne sprawy, które przy pewnych warunkach, w pewnych okresach czasu przejawić się mogą tylko przez zupełnie słabe oznaki? Z łatwością mógłbym wskazać sporo takich wypadków. Z jakichże to drobnych oznak młodzi panowie spośród was dochodzą do wniosku, że zdobyli przychyłność młodej niewiasty? Czy czekają na wyraźne wyznanie miłości, na gwałtowne zarzucenie ramion na szyję, czy też wystarczy im spojrzenie, zaledwie przez innych zauważone, przelotny ruch, przedłużenie o sekundę uścisku ręki? A gdy ktoś bierze udział w śledztwie jako urzędnik policji kryminalnej, czyż spodziewa się, że morderca zostawi na miejscu zbrodni swą fotografię i dokładny adres, czy też zadowolony się z konieczności słabszymi i mniej wyraźnymi śladami? Nie lekceważmy więc drobnych objawów i oznak: może przy ich pomocy natrafimy na ślady czegoś większego. Co się tyczy wielkich problemów świata i nauki, jestem tego samego zdania co wy — uważam, że przede wszystkim one zasługują na nasze zainteresowanie. Ale głośne powzięcie zamiaru zgłębienia tego czy innego wielkiego problemu przeważnie nie na wiele się przydaje. Często nie wiadomo, dokąd skierować pierwsze kroki. W pracy naukowej lepsze rezultaty daje branie się do tego, co się ma przed sobą i do czego zbadania można znaleźć drogę. Gdy się to czyni gruntownie,

bez zastrzeżeń i bez zbyt wielkich nadziei, gdy się ma szczęście, wtedy przez związek, który wszystko ze wszystkim zespała, a więc i rzeczy małe z wielkimi, praca najbardziej niepozorna musi otworzyć dostęp do badań nad wielkimi problemami.

W ten sposób odpowiedziałbym, by wywołać i utrzymać w was zainteresowanie dla pozornie tak drobnych czynności pomyłkowych ludzi zdrowych. A teraz weźmy kogoś, komu psychoanaliza jest obca, i zapytajmy go, jak sobie tłumaczy, że sprawy takie się zdarzają.

Z pewnością odpowie naprzód: ach, nie warto tego tłumaczyć, to przypadkowe drobiazgi. Cóż to ma znaczyć? Czyż ze słów tych ma wynikać, że istnieją tak drobne wydarzenia wypadające z łańcucha dziejów, które równie dobrze, jak istnieją, mogłyby nie istnieć? Jeżeli ktoś w ten sposób przełamuje naturalny determinizm na jednym odcinku, obala równocześnie cały naukowy pogląd na świat. Można wtedy wskazać na to, o ile więcej konsekwencji mieści się w religijnym poglądzie na świat, gdyż pogląd ten zapewnia z całą stanowczością, że bez specjalnej woli Boga nawet wróbel nie może spaść z drzewa. Sądzę, że nasz przyjaciel nie będzie wyciągał konsekwencji ze swej pierwszej odpowiedzi, że zmieni kierunek rozumowania i powie: jeżeli będę te sprawy badał, znajdę dla nich wytłumaczenie. Chodzi przecież o małe wykoślenie funkcji, o niedokładności psychicznego procesu, których warunki można ustalić. Człowiek, który na ogół mówi normalnie, może się pomylić, jeżeli 1) jest nieco niedysponowany i zmęczony; 2) jest podniecony; 3) inne sprawy zbyt mocno go pochłaniają. Nietrudno to udowodnić. Istotnie, z przeżyczeniami mamy przeważnie do czynienia, gdy jesteśmy zmęczeni albo mamy ból głowy czy migrenę. W tych okolicznościach zapomina się łatwo imion.

Dla niektórych osób to zapomnianie jest zapowiedzią zbliżania się migreny. Również w podnieceniu przedstawiamy często słowa i przedmioty, a zapomnianie wykonania zamiaru oraz cała masa innych nie zamierzonych czynności występuje ze szczególną jaskrawością, gdy się jest roztargnionym, to znaczy, gdy uwaga jest skoncentrowana na czymś innym. Znany przykładem takiego roztargnienia jest ów profesor z *Fliegende Blätter*, który zostawia parasol i bierze cudzy kapelusz, ponieważ myśli o zagadnieniach swej najbliższej książki. Przykłady na to, jak można zapomnieć o zamiarach, które się powzięło, o obietnicach, które się uczyniło, bo tymczasem przeżyło się coś, co człowieka mocno pochłaniało, znają wszyscy z własnego doświadczenia.

Brzmi to zupełnie zrozumiale i, zdaje się, nie napotyka protestów. Nie jest to może bardzo interesujące, w każdym razie nie tak, jak się oczekiwali. Przypatrzmy się jednak bliżej temu wyjaśnieniu czynności pomyłkowych. Warunki, w których zjawiska te powstają, nie są jednolite. Niedyspozycje i nienormalny obieg krwi dają fizjologiczne uzasadnienie odchyłeń w normalnym funkcjonowaniu; podniecenie, zmęczenie, odwrócenie uwagi — to momenty innego rodzaju, które nazwać można psychofizjologicznymi. Łatwo je przenieść w dziedzinę teorii. Zarówno przez zmęczenie, jak przez odwrócenie uwagi, może również przez ogólne podniecenie, powstaje pewne rozproszenie uwagi, którego skutkiem jest zbyt małe poświęcenie jej danej funkcji. Funkcja ta może być lekko zakłócona lub niedokładnie wykonana. Lekka niedyspozycja, zmiany obiegu krwi w ośrodkach nerwowych mogą mieć ten sam skutek, mogą w ten sam sposób wpływać na rozproszenie uwagi. We wszystkich tych wypadkach mielibyśmy więc do czynienia z zakłóceniami uwagi bądź z przyczyn organicznych, bądź z psychicznych.

Wydaje się, że dla zainteresowań psychoanalitycznych niewiele z tego wynika. Mogłaby powstać potrzeba zaniechania tego tematu. Gdy jednak spojrzymy dokładniej, nie wszystko tu okazuje się zgodne z teorią wyjaśniającą czynności pomyłkowe procesami uwagi albo przynajmniej nie wszystko się z niej wywodzi. Doświadczenie uczy nas, że takie pomyłki, takie zapomnienia zdarzają się również u osób, które nie są ani przemęczone, ani roztargnione, ani podniecone, lecz pod każdym względem znajdują się w stanie normalnym, chyba że chcielibyśmy *ex post* przypisywać im podniecenie, do którego się nie przyznają, właśnie na podstawie ich błędnych odruchów. Trudno również uważać za pewnik, że jedna czynność przez wzmożenie skierowanej na nią uwagi jest niejako zabezpieczona, druga, przez osłabienie tej uwagi, zagrożona. Istnieje wielka ilość posunięć dokonywanych czysto automatycznie, z minimalną uwagą, a jednak z całą pewnością. Spacerowicz, który nie wie dokładnie, dokąd idzie, trzyma się jednak wytyczonej drogi i zatrzymuje się u celu, nie zabłądziwszy (tak przynajmniej bywa w zasadzie). Wyćwiczony pianista uderza w odpowiednie klawisze nie myśląc wcale o tym. Oczywiście, może czasami uderzyć w fałszywy klawisz, ale gdyby gra automatyczna zwiększała niebezpieczeństwo omyłki, właśnie ten wirtuoz, którego gra wskutek nieustannych ćwiczeń w zupełności się zautomatyzowała,

musiałby być najbardziej narażony na to niebezpieczeństwo. Przeciwnie, widzimy niejednokrotnie, że wiele czynności udaje się z całą precyzją, choć nie są one przedmiotem specjalnie natężonej uwagi, omyłki zaś i wykolejenia zdarzają się właśnie wtedy, gdy specjalnie zależy nam na tym, by wszystko było w porządku, a więc z pewnością nie ma mowy o odwróceniu potrzebnej uwagi. Można wtedy powiedzieć, że to rezultat „podniecenia”, trudno jednak zrozumieć, dlaczego właśnie podniecenie nie wzmaga raczej uwagi w kierunku tego, co tak usilnie pragniemy uczynić. Gdy ktoś w ważnym przemówieniu lub w rozmowie wskutek przejęzyczenia się wypowiada coś innego, aniżeli miał zamiar powiedzieć, trudno to wytłumaczyć na podstawie teorii odwołującej się do psychofizjologii czy teorii podkreślającej tu rolę uwagi. Czynnościom pomyłkowym towarzyszy wielka ilość drobnych objawów dodatkowych, których nie rozumiemy, do których nie zbliżyliśmy się przez dotychczasowe wyjaśnienia. Gdy na przykład zapominamy na chwilę jakiegoś nazwiska, zaczynamy się irtutować, chcemy je sobie na gwałt przypomnieć, nie chcemy ustąpić. Dlaczegoż tak rzadko udaje się człowiekowi zirytowanemu skierować swą uwagę na słowo, o które mu chodzi, które, jak powiada, „ma na końcu języka”, które od razu poznaje, gdy je wypowie ktoś inny. Zdarzają się również wypadki, że czynności pomyłkowe uwielokrotniają się, wzajemnie się zazębiają lub uzupełniają. Raz zapomina się o spotkaniu, później, gdy się sobie postanowiło nie zapomnieć, okazuje się, że w pamięci pozostała fałszywa godzina; albo drogą pośrednią staramy się przypomnieć sobie zapomniane słowo, a tu zapominamy innego słowa, które by przy odszukaniu pierwszego mogło być pomocne. Zaczynamy szukać tego drugiego słowa i nagle przepada trzecie itp. To samo zdarza się przy omyłkach w druku, które należy traktować jako czynności pomyłkowe zecera.

Taki uporczywy błąd drukarski wkraść się kiedyś podobno do pewnego dziennika socjalistycznego. W sprawozdaniu z pewnej uroczystości wydrukowano: wśród obecnych zauważono również jego wysokość *kornprinca*. Na następny dzień pojawia się notatka: zamiast *kornprinca* miało być, oczywiście, *knorprinca* (nowy błąd, zamiast: *kronprinz* — przyp. red. PWN). — W takich wypadkach mówi się chętnie o chochlikach drukarskich i innych podobnych określeniach, które w każdym razie wychodzą poza psychofizyczną teorię błędu drukarskiego.

Nie wiem, czy państwu wiadomo, że można przejęzyczenie sprostokować, wywołać drogą sugestii. Oto anegdotka na ten temat. Gdy pewnego aktora debiutanta obarczono w *Dziewicy Orleańskiej* ważną rolą, polegającą na zameldowaniu królowi, że constable odsyła swój miecz, wykonawca roli głównej zażartował sobie i podczas próby kilkakrotnie powtórzył nieśmiało adeptowi: „Constable odsyła swego konia”. — I cel został osiągnięty. Na przedstawieniu nasz nieszczęśliwy debiutant wypowiedział fałszywy tekst, choć go przestrzegano, a może właśnie dlatego, że mu zwracano uwagę.

Wszystkie te drobne cechy czynności pomyłkowych nie znajdują wyjaśnienia w teorii o odwróceniu uwagi. Nie wynika z tego, by teoria ta musiała być błędna. Może jej tylko czegoś brakuje, może potrzebuje jakiegoś uzupełnienia, by mogła nas zadowolić. Ale niektóre czynności pomyłkowe mogą być jeszcze rozpatrywane z innej strony.

Weźmy najbardziej dla naszych celów nadające się przejęzyczenie (moglibyśmy równie dobrze wybrać pomyłki przy pisaniu lub czytaniu). Musimy sobie wreszcie powiedzieć, że dotychczas pytaliśmy tylko o to, kiedy, w jakich warunkach człowiek się przejęzycza, i tylko na to otrzymaliśmy odpowiedź. Można jednak skierować zainteresowanie w inną stronę i chcieć się dowiedzieć, dlaczego przejęzyczamy się właśnie w ten sposób, a nie w inny, można zająć się tym, co z przejęzyczenia wynika. Dopóki na to pytanie nie odpowiemy, dopóki nie zostanie wyjaśniony skutek przejęzyczenia, dopóty z punktu widzenia psychologii zjawisko to jest przypadkowe, bez względu na to, czy znalazło wyjaśnienie fizjologiczne. Gdy przejęzyczam się, może to się stać w nieskończenie wielu formach, mogę zamiast właściwego słowa powiedzieć jedno z tysiąca innych, mogę dokonać nieskończonej ilości zniekształceń właściwego wyrazu. Czy istnieje więc coś, co mi w specjalnym wypadku spośród wszystkich możliwych rodzajów przejęzyczeń ten właśnie rodzaj narzuca, czy też jest to przypadek, dowolność, czy może w tej sprawie w ogóle nie można wypowiedzieć nic rozsądnego?

Dwaj autorzy, Meringer i Mayer (filolog i psychiatra), spróbowali w roku 1895 ująć kwestię przejęzyczenia z tej strony. Zaczęli zbierać przykłady, traktując je zrazu czysto opisowo. Nie daje to, oczywiście, wyjaśnienia, ale może być do niego drogą. Podzielili oni zniekształcenia, jakich doznaje mowa przez przejęzyczenie, na: przestawienia, antycypacje, oddziaływania następcze, pomieszania (kontaminacje) i pod-

stawienia (substytucje). Dam państwu przykłady wymienionych autorów charakteryzujące ważniejsze grupy. Przetawienie zachodzi, gdy ktoś mówi: Milo z Venus zamiast: Venus z Milo (przetawienie kolejności słów). Oddziaływaniem następczym byłby znany nieudany toast: „Wzywam państwa do zbiorowej czkawki za zdrowie naszego szefa” (Ich fordere Sie auf, auf das Wohl unseres Chefs aufzustossen; (*aufstossen*: mieć czkawkę, *anstossen*: trącić się kielichami — przyp. tłum.). Te formy przejęzyczeń nie są zbyt częste. O wiele częstsze są wypadki, w których przejęzyczenie powstaje przez złączenie, względnie zgęszczenie pewnych słów, na przykład gdy jakiś, pan mówi do pani spotkanej na ulicy: „Chętnie bym panią odpro... obraził” (Ich möchte Sie gerne *begleitdigen*); (odprowadzić to po niemiecku *begleiten*; obrazić — *beleidigen* — przyp. tłum.). W tym pomieszaniu tkwi i chęć obrazy, i odprowadzenia (mówiąc nawiasem, nie ulega wątpliwości wielki sukces młodzieńca).

Próba wyjaśnienia, którą obydwaj autorzy opierają na podstawie swych przykładów, jest zupełnie niewystarczająca. Sądzą oni, że dźwięki i sylaby słowa mają różne wartości, że wysokowartościowe elementy wśród tych dźwięków i sylab wpływać mogą zakłócająco na elementy niskowartościowe. Opierają się przy tym na rzadkich w zasadzie antycypacjach i oddziaływaniach następczych: dla innych skutków przejęzyczeń wyróżnienia asocjacji dźwiękowych, o ile w ogóle istnieją, nie wchodzi w rachubę. Przeciż najczęściej mamy do czynienia z przejęzyczeniem, gdy zamiast jednego słowa pada inne, bardzo podobne, i to podobieństwo wielu ludziom wystarczy jako wytłumaczenie przejęzyczenia. Na przykład pewien profesor stwierdza w swej mowie inauguracyjnej: „Nie jestem *sklonny* (Ich bin nicht *geneigt*, zamiast: ich bin nicht *geeignet* — nie jestem godny) do uczczenia zasług mego poprzednika”. Albo jego kolega z innego fakultetu: „...przy genitaliach kobiecych mimo wielu *pokus*” (*Versuchung*), „przepraszam, pomyliłem się: mimo wielu *prób*” (*Versuche*)...

Najzwyczajszą i najczęstszą formą przejęzyczenia jest wypowiedanie czegoś przeciwnego, niż się chciało powiedzieć. Jest to bardzo odległe od związków i pokrewieństw dźwiękowych.

Można się przy tym powołać na to, że przeciwieństwa złączone są bardzo silnym pokrewieństwem pojęciowym i są sobie wzajemnie specjalnie bliskie przez skojarzenie psychologiczne. Istnieją w tej dziedzinie historyczne przykłady. Oto prezydent parlamentu otworzył

kiedyś posiedzenie następującymi słowami: Panowie! stwierdzam obecność tyłu a tyłu posłów i oświadczam, że posiedzenie jest *zamknięte*.

Równie kusząco jak związki między przeciwieństwami działa każde inne utarte skojarzenie, które w pewnych warunkach może być dosyć kłopotliwe. Tak na przykład opowiadają, że na bankiecie z okazji ślubu syna H. Helmholtza z córką znanego wynalazcy i przemysłowca, W. Siemensa, sławny fizjolog Dubois-Reymond wygłosił wspaniały toast zakończony w następujący sposób: „A więc niech żyje nowa firma Siemens i Halske!” Była to właściwie nazwa starej firmy, niezwykle popularnej na terenie Berlina.

Musimy więc do związków dźwiękowych i do podobieństw między słowami dodać jeszcze wpływ asocjacji słownych. Ale to nie wystarczy. W szeregu wypadków wyjaśnienie zaobserwowanego przeoczenia będzie niemożliwe, dopóki nie uwzględnimy tego, co zostało powiedziane, lub nawet pomyślane poprzednio. A więc znowu przypadek reprodukcji, jak ten, o którym mówił Meringer, tylko z większego oddalenia. Na ogół mam wrażenie, że teraz oddaliliśmy się od zrozumienia czynności pomyłkowej przy przejęzyczeniu bardziej niż kiedykolwiek.

Nie myślę się chyba przypuszczając, że podczas przeprowadzonej przed chwilą analizy przykładów przejęzyczeń obudziły one w nas wszystkich nowe wrażenia, nad którymi warto by się nieco zastanowić. Zbadaliśmy warunki, w których przejęzyczenie w ogóle dochodzi do skutku, następnie poznaliśmy źródła określające rodzaj zniekształcenia przy przejęzyczeniach, ale samego skutku przejęzyczenia, bez względu na jego powstanie, jeszcześmy nie rozpatrywali. Skoro zdecydujemy się i na to, będziemy musieli zdobyć się wreszcie na odwagę i powiedzieć: w niektórych przykładach ma sens i to, co powstaje przy przejęzyczeniu. Cóż to znaczy sens? Otóż chodzi o to, że skutek przejęzyczenia ma chyba prawo do tego, by go uważać za pełnowartościowy akt psychiczny, który również dąży do swego własnego celu i winien być traktowany jako przejaw o pewnej treści i znaczeniu. Mówiliśmy dotychczas ciągle o czynnościach pomyłkowych, ale teraz wydaje się, że czasami czynność pomyłkowa może być czynnością normalną, która zajęła miejsce innej, oczekiwanej lub zamienionej.

Ten właśnie sens czynności pomyłkowej jest przecież w pojedynczych wypadkach uchwytny i niezaprzeczalny.

Gdy przewodniczący w pierwszych słowach swej mowy zamyka

posiedzenie parlamentu zamiast je otworzyć, skłonni jesteśmy na podstawie orientowania się w stosunkach uważać tę pomyłkę za pełną sensu. Nie spodziewa się po obradach niczego dobrego, byłby zadowolony, gdyby je mógł z miejsca przerwać. Wskazanie tego sensu, a więc wyjaśnienie przejęzyczenia, nie sprawia nam trudności. Weźmy inny przykład. Pewna pani, uchodząca za energiczną, powiada: „Mój mąż pytał lekarza, jakiej ma przestrzegać diety; lekarz oświadczył, że dieta jest zbyteczna, może jeść i pić, co *ja* uważam za stosowne”. Czyż to przejęzyczenie nie jest oczywistym wyrazem konsekwentnie przeprowadzonego programu życiowego?

Panie i panowie! Gdyby się miało okazać, że nie tylko nieliczne wypadki przejęzyczenia i czynności pomyłkowych w ogóle mają swój sens, lecz że wypadków takich jest większa ilość, ten sens czynności omyłkowych, o którym dotychczas nie było mowy, stanie się dla nas sprawą najbardziej zajmującą i słusznie odsunie na drugi plan wszystkie inne punkty widzenia. Możemy wtedy pozostawić na boku wszystkie momenty fizjologiczne lub psychofizyczne, wolno nam poświęcić się badaniom czysto psychologicznym na temat sensu, tj. znaczenia i celu czynności pomyłkowej. Dla sprawdzenia, czy nadzieje nasze są uzasadnione, będziemy musieli rozszerzyć ramy materiału obserwacyjnego.

Zanim jednak zamiar ten wykonamy, chciałbym, by państwo poszli za mną kierując się innym śladem. Zdarza się niejednokrotnie, że poeta używa przestawienia słów lub innej czynności pomyłkowej jako środka natury artystycznej. Sam ten fakt musi być dla nas dowodem, że czynność pomyłkową, w tym wypadku przejęzyczenie, uważa on za pełną sensu, bo przecież stwarza ją celowo. Nie dzieje się tak, że poeta przy pisaniu popełnił pomyłkę i później tę pomyłkę zostawi w utworze jako przejęzyczenie. Przez przejęzyczenie chce nam poeta coś uświadomić i możemy zbadać, o co mu chodzi, czy chce np. zaznaczyć, że dana osoba jest roztargniona, zmęczona lub znajduje się bezpośrednio przed atakiem migreny. Jeżeli poeta używa przejęzyczenia jako zwrotu pełnego sensu, nie należy tego, oczywiście, przeceniać. W rzeczywistości mogło ono być pozbawione sensu, mogło być psychicznym przypadkiem, a tylko w wyjątkowych wypadkach mogło posiadać sens; poeta ma pełne prawo stopniować skalę tego sensu stosownie do swoich celów. Nie byłoby jednak nic dziwnego i w tym, gdybyśmy od poety mogli dowiedzieć się o przejęzyczeniu więcej aniżeli od filozofa lub psychiatry.

Taki przykład przejęzyczenia znajdujemy w *Wallensteinie* („Rodzina Piccolominich”, akt pierwszy, odsłona piąta). W poprzedniej scenie Maks Piccolomini opowiedział się z całą gwałtownością za księciem, wypowiadając entuzjastyczną tyradę na temat błogosławieństw pokoju, które mu się objawiły podczas odprowadzania córki Wallensteina do obozu. Ojciec Maksa i wysłannik dworu, Questenberg, pozostają pod druzgocącym wrażeniem tej tyrady.

Oto scena piąta:

Questenberg: O biada, biada! Czy tak rzeczy stoją?
(Niecierpliwie i pośpiesznie).

I ty powagą nie weźmiesz go swoją?
Dozwalasz odejść mu w takim zapale,
ócz nie otworzysz tak zaślepijonemu?

Oktawio (z głębokiego zamyślenia):
On właśnie moje w tej otworzył dobie,
I więcej widzę, niżli życzę sobie.

Questenberg: Ja twojej mowy nie pojmuję wcale...

Oktawio: Przeklinać muszę dzień jego podróży!

Questenberg: I cóż się stało?

Oktawio: Nie bawmy tu dłużej!
Ja muszę śledzić, widzieć własnym okiem —
Ach śpieszmy!

(Chce go wyprowadzić).

Questenberg (zdziwiony): Dokąd?

Oktawio (niecierpliwie): Do niej!

Questenberg: Do niej?

Oktawio: Tak, do — (poprawia się) księcia. Idźmy!

(tłumaczenie Jana Nepomucena Kamińskiego
ze zbiorowego wydania dzieł Schillera —
Lwów, nakład Altenberga).

Oktawio chciał powiedzieć: do niego, do księcia. Przez słowa „do niej” zdradza się z tym, że doskonale rozumie, kto jest przyczyną entuzjazmu młodego wojaka dla pokoju.

Jeszcze bardziej przekonujący przykład odnalazł O. Rank u Szekspira. Znalazł go w *Kupcu weneckim*, w słynnej scenie wyboru trzech skrzynek przez szczęśliwego wybrańca. Zdaje się, że uczynię najlepiej, jeżeli, odczytam krótkie wywody Ranka.

Oto one:

W *Kupcu weneckim* Szekspira (akt trzeci, scena druga) znajdujemy przejęzyczenie poetycko bardzo zręcznie umotywowane, technicznie

świetnie wyzyskane, dowodzące tak samo jak na przykładzie Freuda z Wallensteinem, że poeci znają dobrze mechanizm i sens czynności pomyłkowych, i są pewni, że ich czytelnicy również się w tym orientują. Porcja, wskutek woli ojca, uzależniona w wyborze męża od losu, dotychczas potrafiła przez szczęśliwy wypadek pozbyć się niemiłych konkurentów.

Spotkawszy Bassania, którego pokochała, lęka się, że i on fałszywy los wyciągnie. Chciałaby mu powiedzieć, że i w tym wypadku może być pewny jej miłości, ale nie pozwala na to przysięga. W tej rozterce poeta każe jej wypowiedzieć do Bassania następujące słowa:

Wstrzymaj się jeszcze, signore; zczekaj
Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru;
Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną
Byłabym twojej obecności; bądź więc
Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi
(*Lecz to nie miłość*), że rozstać się z panem,
Z trudnością by mi przyszło, a sam przyznasz,
Że nienawiści głos bywa odmienny.
Abyś mnie jednak lepiej pan zrozumiał
(Choć to kobiecie myśleć tylko wolno,
Ale nie mówić), chętnie bym cię miesiąc,
Albo dwa, w moim zatrzymała domu,
Złamać bym moją musiała przysięgę,
Mogłabym jeszcze podać ci wskazówki
Co do trafności wyboru, lecz wtedy
Złamać bym moją musiała przysięgę,
A tego nie uczynię. Tak więc
Możesz mnie chybić; jeślibyś zaś chybił,
Zaiste dałbyś mi powód do grzechu,
Boby mi przyszło żałować, żem była
Wierną przysiędze. O, te oczy wasze,
Opanowały mnie i rozdwoiły:
Jedna połowa moja już jest waszą,
Druga połowa waszą, to jest moją,
Chciałam powiedzieć; lecz jeżeli moją,
To waszą także, więc i całość wasza.

(tłumaczenie Jana Paszkowskiego).

Właśnie to, do czego chciała tylko uczynić lekką aluzję, bo właściwie nie miała o tym mówić, że już przed wyborem całkowicie należy do niego i kocha go, poeta, kierowany podziwu godnym

wycuciem psychologicznym, ujawnia przez przedstawienie wyrazów. Dzięki temu majstersztykowi uspokaja zarówno nieznośną niepewność kochanków, jak i napięcie słuchacza co do wyniku wyboru.

Proszę jeszcze zwrócić uwagę, w jak delikatnej formie Porcja rzuca pomost między wyznaniem, zawartym w grze słów, jak niweluje zawartą w niej sprzeczność, jak wreszcie wraca do swej pomyłki, podkreślając, że w niej zawarta jest prawda, gdy mówi:

„Lecz jeżeli moją, to waszą także, więc i całość waszą”.

Pewien myśliciel, daleko stojący od medycyny, odkrył nam również sens czynności pomyłkowej i oszczędził trudu wyjaśnienia tego wypadku. Jest nim pełen polotu satyryk Lichtenberg (1742–1799), o którym Goethe powiedział: w każdym jego żarcie jest ukryty problem. Przy sposobności żartu przychodzi również nieraz rozwiązanie problemu. W jednym ze swych dowcipnych, satyrycznych utworów notuje Lichtenberg zdanie następujące: zawsze zamiast słowa „angenommen” (przyjął, przyjęte, biorąc pod uwagę — przyp. tłum.) czytał „Agamemnon”, tak był przesiąknięty lekturą Homera. — Oto mamy istotną teorię omyłek przy czytaniu.

Następnym razem postaramy się ustalić, czy w ujmowaniu czynności pomyłkowych wolno nam iść drogą wytkniętą przez poetów.

WYKŁAD III

Czynności pomyłkowe

(ciąg dalszy)

Panie i panowie! Podczas poprzedniego wykładu wpadliśmy na pomysł rozpatrywania czynności pomyłkowych w oderwaniu od zakłóconej czynności zamierzonej, jako całości zamkniętej w sobie. Odnieśliśmy wrażenie, że czynności te w poszczególnych wypadkach zdradzają swój własny, odrębny sens, i powiedzieliśmy sobie: jeśli nam samym udałoby się stwierdzić, że czynność pomyłkowa ma sens, sens ten mógłby stać się bardziej zajmujący niż okoliczności, wśród których czynność pomyłkowa doszła do skutku.

Ustalmy raz jeszcze, co chcemy rozumieć przez „sens” procesu

psychicznego. Nic innego, jak zamiar, któremu służy, i jego stanowisko w szeregu psychicznym. W przeważającej liczbie naszych badań możemy „sens” zastąpić słowami „zamiar” lub „tendencja”. Czy więc był to tylko złudny blask czynności pomyłkowej, czy też jej wywyższenie przez poezję, gdy się nam zdawało, że widzimy w niej zamiar?

Pozostańmy przy przykładach przejęzyczenia, rozszerzmy tylko zasięg obserwacji. Znajdziemy całe kategorie wypadków, w których widoczny jest zamiar czy sens przejęzyczenia. Będą to przede wszystkim wypadki, w których na miejscu tego, cośmy zamierzali, występuje coś przeciwnego. Przypomnijmy sobie słowa przewodniczącego, który na posiedzeniu inauguracyjnym oświadcza, że posiedzenie jest zamknięte. Nie ma tu nic dwuznacznego. Sensem i zamiarem jego pomyłkowego przemówienia jest chęć zamknięcia obrad. „Sam to przyznaje”, chciałoby się powiedzieć, wystarczy go „wziąć za słowo”. Proszę mi teraz nie przeszkadzać zarzutem, że to niemożliwe, że przecież wiemy, iż chciał otworzyć posiedzenie, a nie zamknąć je, że sam, jako najwyższa, uznana przez nas instytucja, gotów jest potwierdzić: chciałem otworzyć. Zapominacie państwo, przy tej okazji, że zgodziliśmy się na traktowanie czynności pomyłkowej jako czegoś oderwanego; o jej stosunku do intencji, którą zakłóca, pomówimy później. W przeciwnym razie popełnilibyście błąd logiczny, skutek którego ominęlibyście to właśnie zagadnienie, o które nam tutaj chodzi.

W innych wypadkach, gdy się drogą pomyłki nie powiedziało czegoś przeciwnego niż to, co się chciało powiedzieć, może mimo to przez przejęzyczenie wyjść na światło sens przeciwny. „Nie jestem *sklonny* (geneigt) do uczczenia zasług mego poprzednika”. „Skłonny” (geneigt) nie jest przeciwieństwem słowa „zdolny” (geeignet), a jednak mamy wyraźnie wyznanie, pozostające w jaskrawym przeciwieństwie do sytuacji, w której znalazł się nasz mówca.

W innych jeszcze wypadkach przejęzyczenie dodaje do sensu zamierzonego sens drugi. Zdanie, którego słuchamy, sprawia wrażenie stłoczenia, zgęszczenia lub skrótu z większej ilości zdań. Oto energiczna dama, która oświadcza: „Może jeść i pić, co *mnie* się podoba”. To zupełnie tak, jak gdyby opowiadała: „Może jeść i pić, co tylko zechce, ale czegoż on może chcieć? Ja chcę za niego”.

Przejęzyczenia robią często wrażenie takich skrótów. Na przykład kiedy profesor anatomii po wykładzie o jamach nosowych, otrzymawszy odpowiedź, że został przez słuchaczy zrozumiany, mówi w dalszym

ciągu: „Nie bardzo w to wierzę, gdyż ludzi orientujących się dobrze w sprawach jam nosowych, nawet w milionowym mieście, policzyć można *na palcu...* przepraszam, na palcach jednej ręki” — to ten skrót ma także swój sens; mówi o tym, że jest tylko jeden człowiek, który się w tym orientuje.

Obok takich czynności pomyłkowych, które same przez się wyrażają swój sens, mamy inne grupy przejęzyczeń nie wykazujących żadnego sensu, a więc przeciwstawiających się zdecydowanie naszym oczekiwaniom. Jeżeli ktoś przez przejęzyczenie przekręca czyjeś imię albo popełnia błędy w szyku głosek, wydaje się na podstawie bardzo częstego powtarzania się tego rodzaju wypadków, że pytanie, czy wszystkie czynności pomyłkowe produkują coś, co ma sens, przesądzone zostało w sensie negatywnym. Jednak przy każdym badaniu tych przykładów okazuje się, że będzie można bez trudu znaleźć wyjaśnienie dla tych zniekształceń, że różnica między tymi mniej jasnymi wypadkami a poprzednimi, zupełnie jasnymi, wcale nawet nie jest tak wielka.

Jegomość zapytany o zdrowie swego konia wypowiadał słowa: Ja, das *draut* ...das *dauert* (to potrwa) — (pewnie jeszcze jeden miesiąc). Zapytany, co właściwie chciał powiedzieć, oświadcza, że uważa to za *smutną historię* (traurige Geschichte). Połączenie *dauert* (trwa) i *trauring* (smutny) dało w rezultacie owo *draut* (Meringer i Mayer).

Ktoś inny, opowiadając o sprawach, które mu się nie podobają oświadcza: Dann aber sind Tatsachen zum *Vorschwein* gekommen (potem wyszły na jaw fakty. Wyjść na jaw po niemiecku: *zum Vorschein kommen* — przyp. tłum.). Na zapytanie wyjaśnia, że fakty te chciał określić jako świństwo. Ze słów *Vorschein* i *Schweineri* (świństwo) wyszło dziwne *Vorschwein* (M. i M.).

Proszę sobie przypomnieć wypadek młodzieńca, który chciał *begleitdigen* nieznaną damę. Pozwoliliśmy sobie na rozłożenie tego tworu na słowa *begleiten* (odprowadzić) i *beleidigen* (obrazić) i uważaliśmy tę interpretację za słuszną, nie żądając potwierdzenia. Z przykładów tych widzą państwo, że mniej jasne wypadki przejęzyczenia można tłumaczyć przez spotkanie, *interferencję*, dwóch różnych intencji słownych. Różnice polegają jedynie na tym, że raz jedna intencja drugą w zupełności zastępuje (substytuuje) — dzieje się to przy przejęzyczeniu, którego rezultatem jest wypowiedzenie czegoś przeciwnego niż to, co leżało w zamiarze — kiedy indziej musimy zadowolić

się jej zniekształceniem lub modyfikacją, dzięki czemu powstają jakieś mieszaniny o większym lub mniejszym sensie.

Wydaje nam się teraz, że uchwyciliśmy tajemnicę wielu przejęzyczeń. Stojąc na tym stanowisku będziemy mogli zrozumieć inne jeszcze ich grupy, dotychczas zagadkowe. Przy zniekształceniu imion i nazwisk, na przykład, nie można wyjść z założenia, że zawsze chodzi tu o współzawodnictwo dwóch podobnych, a jednak różnych imion czy nazwisk. Ale ten drugi zamiar nie jest trudny do odgadnięcia.

Zniekształcenie nazwiska zdarza się często poza obrębem przejęzyczenia i chodzi w nim o próbę stworzenia nazwiska o niemiłym, poniżającym brzmieniu. Jest to znany sposób obrazy, z którego nawet wykształcony człowiek niechętnie rezygnuje, którego używa często jako „kawalek” o bardzo niskim poziomie. Jaskrawym i obrzydliwym przykładem takiego zniekształcenia nazwisk jest nazywanie w okresie wojny prezydenta republiki francuskiej Poincaré — *Schweinskarré* (pieczeń wieprzowa).

Można więc dopatrzeć się przy przejęzyczeniu zamiaru obrazy, który się przejawia w zniekształceniu nazwiska. Podobne wyjaśnienia narzucają się dla pewnych typów przejęzyczeń z komicznym lub absurdalnym efektem, jak np. wezwanie do czkawki na cześć szefa (Ich fordere Sie auf, auf das Wohl unseres Chefs *aufzustossen* — zamiast: *anzustossen*).

Uroczysty nastrój został tu niespodzianie zakłócony przez wdarcie się słowa wywołującego nieapetyczne wrażenie. Na podstawie pewnych przemówień o charakterze obelżywym możemy śmiało przypuszczać, że chce tutaj znaleźć swój wyraz tendencja sprzeciwiająca się energicznie wysuniętemu na plan pierwszy uczczeniu, że chce powiedzieć: Nie wierzcie temu, nie mówię serio, gwizdź sobie po prostu na tego pana itd.

Wiemy, że wielu ludzi umyślnie, dla pewnego zadowolenia, zniekształca niewinne słowa, tworzy wyrazy o posmaku gorszącym; uchodzi to za dowcipne. U osobników tego typu trzeba stwierdzić, że przekształcenie jest umyślnym zrobieniem kawału, czy też rezultatem przejęzyczenia.

Tak tedy przy stosunkowo niewielkim wysiłku mielibyśmy rozwiązanie zagadki czynności pomyłkowych.

Nie są to objawy przypadkowe, lecz poważne akty psychiczne, mają swój sens, powstają przez współdziałanie, albo raczej przez

wzajemne oddziaływanie na siebie dwóch różnych zamiarów. Teraz mogę zrozumieć, dlaczego zasypią mnie państwo masą pytań i wątpliwości, na które należy odpowiedzieć, które trzeba załatwić, zanim będziemy mogli nacieszyć się rezultatem naszej pracy. Nie chcę was nakłaniać do zbyt pośpiesznych decyzji. Rozważmy wszystko po kolei.

O cóż chcecie mnie pytać? Czy sądzę, że tłumaczenie dotyczy wszystkich wypadków przejęzyczenia, czy też pewnej tylko ich liczby? Czy to samo ujęcie można rozszerzyć na szereg innych rodzajów czynności pomyłkowych, na pomyłki przy czytaniu, pisaniu, za zagubienie, zarzucenie itd.?

Co mają oznaczać czynniki zmęczenia, podniecenia, roztargnienia, jaką rolę w obliczu psychicznej natury czynności pomyłkowych gra zakłócenie uwagi? Jest przecież oczywiste, że wśród dwóch rywalizujących ze sobą tendencji czynności pomyłkowych jedna jest zawsze wiadoma, druga nie zawsze. Cóż czynimy, by tę drugą odgadnąć, a jeżeli zdaje się nam, żeśmy ją zrozumieli, jak możemy przeprowadzić dowód, że jest nie tylko prawdopodobna, lecz jedynie prawdziwa? Macie jeszcze jakieś pytania? Jeżeli nie, sam będę je kontynuował. Przypominam, że właściwie na czynnościach pomyłkowych nie bardzo nam zależy, że z ich badania chcemy nauczyć się czegoś, co znalazłoby zastosowanie w psychoanalizie. Dlatego stawiam pytanie: cóż to za zamiary i tendencje w ten sposób przeszkadzają innym, jaki stosunek zachodzi między tendencjami zakłócającymi a tendencjami ulegającymi zakłóceniu? W ten sposób praca nasza zacznie się na nowo dopiero po rozwiązaniu problemu.

A więc, czy jest to wytłumaczenie wszelkiego rodzaju przejęzyczeń? Jestem skłonny uważać, że tak, a to dlatego, że w każdym wypadku przejęzyczenia można znaleźć tego rodzaju rozwiązanie. Nie można jednak udowodnić, że nie zdarzają się przejęzyczenia bez takiego mechanizmu. Niech i tak będzie; teoretycznie jest to dla nas obojętne, gdyż wnioski, które chcemy wysnuć dla wprowadzenia was do psychoanalizy, pozostają w mocy — co zresztą nie odpowiada stanowi faktycznemu — nawet gdyby tylko mniejszość wypadków przejęzyczenia mieściła się w ramach naszego ujęcia. Na następne pytanie: czy to, co ustaliliśmy jako rezultat przejęzyczenia, możemy rozszerzyć również na inne rodzaje czynności pomyłkowych? — nie chcę na razie odpowiadać. Przekonacie się o tym sami, gdy przejdziemy do przykładów z dziedziny pomyłek na piśmie itd. Ze względów technicznych

jednak proponuję odłożenie tej pracy do chwili, w której samo przejęzyczenie zbadamy jeszcze dokładniej.

Pytanie o to jakie znaczenie mogą mieć dla nas wysunięte przez szereg badaczy na pierwszy plan momenty zaburzeń w krążeniu krwi, zmęczenia, podniecenia, roztargnienia oraz teoria zaburzenia uwagi, jeżeli stoimy na stanowisku opisanego mechanizmu psychicznego przejęzyczenia, zasługuje na szczegółową odpowiedź. Zwracam uwagę, że nie negujemy tych momentów. Psychoanaliza w ogóle rzadko przeczy twierdzeniom strony przeciwnej. Z zasady dodaje tylko coś nowego, a przy tej okazji zdarza się, oczywiście, że właśnie to, co dotychczas było przeoczone, staje się istotne. Wpływ warunków fizjologicznych, które powstają na skutek lekkiej niedyspozycji, zaburzenia obiegu krwi, wyczerpania, nie da się przy przejęzyczeniu zaprzeczyć; poucza nas o tym codzienne doświadczenie osobiste. Jakże to jednak mało tłumaczy! Przede wszystkim nie są to warunki konieczne czynności pomyłkowej. Przejęzyczenie bowiem jest również możliwe przy pełnym zdrowiu i stanie normalnym. Te momenty cielesne mają więc jedynie wartość ułatwień w swoistym mechanizmie psychicznym przejęzyczenia. Dla tej ich roli użyłem kiedyś porównania, które powtórzę, gdyż nie znalazłem żadnego lepszego. Przypuśćmy, że o późnej, nocnej godzinie idę przez samotną miejscowość i jakiś bandyta napada na mnie, zabiera mi zegarek i woreczek z pieniędzmi. Przypuśćmy, że zjawiam się po rabunku na najbliższym posterunku policji, a ponieważ nie widziałem dokładnie twarzy złoczyńcy, oświadczam: „Samotność i ciemność obrabowały mnie przed chwilą”. Komisarz policji może mi na to powiedzieć: „Wydaje mi się, że pan niesłusznie kładzie zbyt wiele na karb ujęcia czysto mechanicznego. Przedstawmy raczej stan rzeczy w taki sposób: pod osłoną ciemności korzystając z tego, że na drodze nikogo nie było, obrabował pana jakiś nieznany złoczyńca. Wydaje mi się, że najważniejszą rzeczą w naszym wypadku jest odnalezienie sprawcy zbrodni. Może wtedy odbierzemy mu zrabowane przedmioty”.

Momenta psychofizjologiczne — podniecenie, roztargnienie, zakłócenie uwagi — w niewielkim, jak widać, stopniu przyczyniają się do wyjaśnienia sprawy. To tylko zwroty retoryczne, parawany, które nie powinny nas powstrzymać od dalszych badań. Zachodzi raczej pytanie, co wywołało tutaj podniecenie, czy też specjalne odwrócenie uwagi. Wpływy dźwiękowe, podobieństwa słowne i pospolite skojarzenia,

nawiązujące do słów, należy raz jeszcze uznać za rzeczy ważne. Ułatwiają one przejęzyczenie, wskazując mu drogi, po których może wędrować. Ale gdy mam przed sobą drogę, czy już bezapelacyjnie zdecydowane, że nią pójdę? Potrzebny jest jeszcze do decyzji motyw, potrzebna siła, która pcha mnie naprzód. Te relacje dźwiękowe i słowne są więc, tak jak dyspozycje cielesne, elementami pomocniczymi przejęzyczenia i nie mogą dać właściwego wyjaśnienia. Proszę pamiętać jeszcze o jednym: w ogromnej większości wypadków mowie mojej nie przeszkadza okoliczność, że używane przeze mnie słowa dźwiękowo przypominają inne, że są ściśle związane ze swymi przeciwieństwami, albo że są one punktem wyjścia dla utartych skojarzeń. Można by powiedzieć wraz z filozofem Wundtem, że przejęzyczenie wtedy dochodzi do skutku, gdy pod wpływem wyczerpania fizycznego skłonności skojarzeniowe biorą górę nad pozostałą intencją mowy. Brzmiałoby to bardzo pięknie, gdyby nie przeczyło temu doświadczenie; w szeregu wypadków przejęzyczeń brak bowiem ułatwień fizycznych, w innych wypadkach nie ma ułatwień skojarzeniowych.

Szczególnie jednak interesuje mnie wasze następne pytanie, w jaki sposób można stwierdzić obie tendencje, które tutaj ze sobą kolidują.

Prawdopodobnie nie przeczuwacie, jak brzemienne to w skutki sprawa. Prawda, jedna z dwóch tendencji, ta, która została zakłócona, jest zawsze niewątpliwa: osoba, która czynność pomyłkową wykonywa, zna ją i przyznaje się do niej. Powód do wątpliwości i namysłu może dać tylko druga, ta, która przeszkadza. Słyszeliśmy już i z pewnością nie zapomnieliście o tym, że w szeregu wypadków ta druga tendencja jest równie wyraźna. Wskazuje na nią skutek przejęzyczenia, jeżeli tylko mamy odwagę rozpatrywać go w oderwaniu. To jasne, że przewodniczący, który przejęzyczył się i powiedział coś przeciwnego, chce otworzyć posiedzenie; ale równie jasne jest, że chciałby je zamknąć. Jest to wyraźne, nie wymaga komentarzy. Ale w innych wypadkach, w których tendencja zakłócająca zniekształca jedynie pierwotną, nie ujawniając się w całej pełni? Jak odgadnąć w nich poza zniekształceniem tendencję, która je wywołała? W pierwszym szeregu wypadków w sposób bardzo prosty i pewny, tak samo jak przy ustalaniu tendencji zakłóconej, sam mówca komunikuje ją bezpośrednio, gdy po przejęzyczeniu wypowiada tekst pierwotnie zamierzony: Das *draut*, nein, das *dauert* vielleicht einen Monat (analizę tego przykładu podaliśmy już w tym samym wykładzie — przyp. tłum.). Nasz

rozmówca wyjawia również tendencję zniekształcającą. Pytają go: Dlaczego pan powiedział naprzód: *drauf*? Odpowiada: (Chciałem powiedzieć:) Das ist eine *traurige* Geschichte. W drugim wypadku (również już omówionym — przyp. tłum.) otrzymujemy potwierdzenie, że przy wyrazie *Vorschwein* chodziło o zwrócenie uwagi na *Schweinerei* (świństwo). Ustalenie tendencji zakłóconej udało się tu z równą pewnością, jak sprecyzowanie tendencji przeszkadzającej. Nie bez powodu wzięłem tu przykłady nie pochodzące ani ode mnie, ani od moich zwolenników. W obydwóch jednak potrzebny był dla rozwiązania pewien zabieg. Trzeba było zapytać mówiącego, dlaczego właśnie *tak* się przejęzyczył, co może powiedzieć o swym przejęzyczeniu? Gdyby nie to, przeszedłby może obok swego przejęzyczenia nie starając się go wyjaśniać. Zapytany, podał wyjaśnienie w pierwszym skojarzeniu, które mu przyszło na myśl. Ten mały zabieg i jego sukces to właśnie psychoanaliza, wzór każdego badania psychoanalitycznego, które będziemy stosowali w dalszym ciągu.

Czy jestem zbyt niedowiarkiem, jeżeli przypuszczam, że w tym momencie, gdy wyłania się przed wami psychoanaliza, podnosi również głowę opór przeciw niej? Czy nie macie ochoty zarzucić mi, że informacje zapytanej osoby, która przejęzyczyła się, nie mają pełnej siły dowodowej? Powiadacie tak: Oczywiście, chciała ona wytłumaczyć przejęzyczenie, ale właśnie dlatego rzuciła pierwsze lepsze słowa, które, zdaniem jej, mogą sprawę wyjaśnić. Dowodu, że przejęzyczenie tak właśnie doszło do skutku, nie ma. Mogło być tak, ale równie dobrze inaczej. Mogło jej wpaść do głowy coś innego, równie dobrego, lub nawet lepszego.

Rzecz charakterystyczna, jak mało w gruncie rzeczy macie państwo szacunku dla faktu psychicznego. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś przeprowadził analizę chemiczną pewnej substancji i zważył dokładnie, w miligramach, część tej substancji. Z tej wagi można wyciągnąć określone wnioski. Czy sądzicie, że jakimś chemikowi wpałoby do głowy kwestionować te wnioski na tej podstawie, że wydzielona substancja mogłaby mieć również inną wagę? Każdy chyli czoło przed faktem, że to właśnie ta waga, a nie inna, i na tej podstawie z całym zaufaniem buduje gmach dalszych wniosków. Gdy jednak mamy do czynienia z faktem z dziedziny psychicznej, gdy zapytany wpada na pewien pomysł, nie zgadzacie się i oświadczacie, że równie dobrze mogło mu wpaść na myśl co innego! Jest w was złudzenie wolności

psychicznej i nie chcecie z niego zrezygnować. Przykro mi, że pod tym względem stoję na stanowisku krańcowo różnym.

Przerwiecie mi w tym miejscu, ale tylko po to, by podjąć atak na innym odcinku. A więc powiecie: Rozumiemy, że specjalna technika psychoanalizy polega na rozwiązywaniu jej zagadnień przez same osoby analizowane. Weźmy więc inny przykład, ten, w którym mówca na bankiecie wzywa zebranych, by na toast za zdrowie szefa odpowiedzieli czkawką (*aufstossen*), zamiast trącić się kieliszkami (*anstossen*). Twierdzi pan, powiecie, że tendencją zakłócającą jest tu chęć obrazy, to ona przeciwstawia się wyrażeniu szacunku. Ale jest to tylko pańska interpretacja, oparta na spostrzeżeniach poza obrębem przejęzyczenia. Jeżeli w tym wypadku zapyta pan tego, który się przejęzyczył, nie odpowie on, że miał zamiar obrazić, przeciwnie, zaprzeczy temu z całą stanowczością. Dlaczego pańska interpretacja, pozbawiona dowodów, nie ma ustąpić przed tym wyraźnym oświadczeniem?

Tak, tym razem argument jest mocny. Wyobrażam sobie nieznanego mówcę; jest to prawdopodobnie asystent szefa, który obchodzi jubileusz, może już docent, młody człowiek z najlepszymi widokami na przyszłość. Chcę z niego wydobyć, czy jednak nie odczuł czegoś, co się przeciwstawiło wezwaniu do uczczenia szefa. Ładna spotyka mnie odpowiedź! Zniecierpliwiony, oświadcza podnieconym tonem: „Niechże pan nareszcie przerwie tę indagację, bo inaczej będę niegrzeczny. Przez swoje podejrzenia zepsuje mi pan jeszcze całą karierę. Powiedziałem *aufstossen* zamiast *anstossen*, ponieważ w tym samym zdaniu dwa razy użyłem słów zaczynających się od *auf*. Meringer nazywa to *podźwiewkiem*. Szkoda o tym mówić. Zrozumiał mnie pan? Basta!”

Hm, to niespodziewana reakcja, naprawdę energiczna odprawa. Widzę, że nie dam sobie rady z tym młodym człowiekiem, równocześnie zaś myślę sobie: bardzo zależy mu na tym, by jego czynność pomyłkowa nie miała sensu. Będziecie zapewne również tego zdania, że niesłusznie przy badaniu czysto teoretycznym tak się unosi, ale w końcu pomyślicie sobie: jednak ten człowiek musi sam wiedzieć, co chciał powiedzieć, a co leżało poza jego zamiarami.

Czy naprawdę musi? A może to jeszcze kwestia?

Teraz jesteście przekonani, że trzymacie mnie w rękę. Słyszę, jak mówicie: A więc to tak wygląda pańska technika! Gdy osobnik, który przejęzyczył się, wypowiada coś, co panu dogadza, uważa go pan za

ostatnią instancję, podkreślając: „przecież on sam to potwierdza!” Skoro jednak to, co mówi, nie przypada panu do smaku, twierdzi pan nagle: „to nic nie warte, temu nie należy wierzyć”.

Jest to rozumowanie słuszne. Mogę jednak przytoczyć podobny wypadek, w którym sytuacja wygląda równie niesamowicie. Gdy oskarżony przyznaje się przed sędzią do czynu, sędzia wierzy jego przyznaniu; gdy jednak przeczy, sędzia nie wierzy. Gdyby było inaczej, nie byłoby sądownictwa, więc mimo możliwości pomyłek musimy pozostać przy tym systemie.

A zresztą, czyż państwo są sędziami, ten zaś, kto się przejęzyczył, oskarżonym? Czy przejęzyczenie jest przestępstwem?

Może nawet nie należy odrzucać tego porównania. Niech państwo tylko popatrzą, do jak głęboko sięgających różnic doszliśmy przy pewnym pogłębieniu tak pozornie niewinnych problemów czynności pomyłkowych. Są to różnice, których chwilowo wcale nie potrafimy wyrównać. Proponuję wam chwilowy kompromis na podstawie porównania z sędzią i oskarżonym. Przyznajcie mi, że sens czynności pomyłkowej nie dopuszcza wątpliwości, jeżeli osobnik poddawany analizie sam go potwierdza. Za to ja zgodzę się na to, że bezpośredni dowód przypuszczalnego sensu nie da się osiągnąć, gdy analizowany odmawia wyjaśnień lub gdy go nie ma pod ręką dla złożenia tych wyjaśnień. Wtedy, jak przy sądownictwie, jesteśmy zdani na poszlaki, które czynią ostateczny dowód raz więcej, raz mniej prawdopodobnym. W sądzie, z praktycznych względów, muszą przy dowodach z poszlak zapadać wyroki skazujące. My nie jesteśmy do tego zmuszeni; ale też nic nie zmusza nas do rezygnowania z takich poszlak. Wiara w to, że wiedza składa się z samych ściśle udowodnionych tez naukowych, jest błędna. Równie błędne jest żądanie tego od niej. Żądanie takie wysuwają tylko umysły stawiające ponad wszystko zasadę autorytetu, odczuwające potrzebę zastępowania katechizmu religijnego przez inny, nawet naukowy. Nauka ma w swym katechizmie niewielką ilość zdań apodyktycznych, poza tym tylko twierdzenia, które w pewnym stopniu podnosi do poziomu prawdopodobieństwa. Jedną z cech naukowego sposobu myślenia jest umiejętność zadowalania się tymi zbliżeniami do pewności oraz możność kontynuowania konstruktywnej pracy mimo braku ostatecznych potwierdzeń.

Skądże bierzemy punkt oparcia dla naszych interpretacji, skąd czerpiemy poszlaki, jeżeli informacje osobnika poddanego analizie nie

wyjaśniają sensu czynności pomyłkowych? Z różnych stron. Przede wszystkim z analogii zjawisk poza czynnościami pomyłkowymi, gdy np. twierdzimy, że zniekształcenie nazwiska przy przejściu ma ten sam sens obrażający, co celowe jego przekręcenie. Następnie z sytuacji psychicznej, w której się czynność pomyłkowa przytrafia, z naszej znajomości charakteru osoby popełniającej czynność pomyłkową, z wrażeń, jakich ta osoba doznała przed jej dokonaniem i na które może w ten właśnie sposób reaguje. W zasadzie sprawa wygląda tak, że tłumaczymy czynność pomyłkową wedle zasad ogólnych; mamy więc do czynienia tylko z przypuszczeniem, z pewną próbą wyjaśnienia, którą hartujemy później w ogniu badania sytuacji psychicznej. Aby przypuszczenia nasze umocniły się, musimy czasami poczekać na wydarzenia przyszłe, zasygnalizowane przez czynność pomyłkową.

Trudno by mi to było uzasadnić, gdybym się musiał zasklepić w dziedzinie przejęzyczeń, choć i tu można przytoczyć szereg przykładów. Panią, której mąż może jeść i pić, ile *ona* zechce, znam jako wcielenie energii, trzymające cały dom pod pantoflem. Albo taki wypadek. Na walnym zebraniu towarzystwa „Concordia” młody członek stowarzyszenia wygłasza namiętną mowę opozycyjną, w której członków zarządu zamiast *Ausschussmitglieder* nazywa *Vorschussmitglieder*. (*Vorschuss* — zaliczka, a więc dosłownie: członkowie zaliczki — przyp. tłum.). Powstaje przypuszczenie, że zrodził się w nim jakiś protest przeciw własnemu opozycyjnemu przemówieniu, protest pozostający w związku z zaliczką. Istotnie dowiadujemy się od naszego informatora, że mówca był w ciężkich kłopotach finansowych i właśnie wtedy złożył prośbę o pożyczkę. Intencją zakłócającą była prawdopodobnie refleksja: Hamuj się w swej opozycyjności. To przecież ci sami ludzie, którzy decydują o twojej zaliczce.

Jeżeli sięgnę do innych dziedzin czynności pomyłkowych, będę mógł służyć długim szeregiem takich dowodów opartych na poszlakach.

Gdy ktoś zapomina czyjegoś imienia, które przecież zna doskonale, albo gdy mimo całego wysiłku pamięta je z trudnością, niedalecy jesteśmy od hipotezy, że ten ktoś żywi do posiadacza zapomnianego imienia jakąś urazę, skutek czego niechętnie o nim myśli. Rozważmy następującą sytuację psychiczną, w której powstaje czynność pomyłkowa: „Pan Y zakochał się bez wzajemności w pewnej pani, która po niedługim czasie poślubiła pana X. Jakkolwiek pan Y zna od dłuższego

czasu pana X i nawet łączą go z nim stosunki handlowe, raz po raz zapomina jego nazwiska i przy wysyłaniu do pana X korespondencji musi o nie pytać kilkakrotnie innych ludzi” (wedle C.G. Junga). Jest rzeczą widoczną, że pan Y nie chce nic wiedzieć o swym szczęśliwym rywalu. („Imię jego niechaj będzie zapomniane!...”).

Albo inny przykład. Pewna pani dopytuje się pewnego lekarza o wspólną znajomą, wymieniając jednak jej nazwisko panieńskie. Nazwisko męża wypadło jej z pamięci. Pani ta przyznała się później, że była z tego małżeństwa bardzo niezadowolona i nie znosi męża swej przyjaciółki (według A.A. Brilla).

O zapominaniu imion i nazwisk będziemy jeszcze mówili przy innych okazjach; obecnie interesuje nas sytuacja psychiczna, w której doszło do zapomnienia.

Zapominanie zamiarów daje się ogólnie sprowadzić do intencji, która nie chce wypełnić zamiaru. Nie jest to tylko ujęcie psychoanalityczne. Jest to pogląd powszechny, uznawany w praktyce, negowany dopiero w teorii. Opiekun, który oświadcza pupilowi, że zapomniał o jego prośbie, nie jest w oczach pupila usprawiedliwiony. Pupil myśli z miejsca: nie zależy mu na tym, obiecał, ale nie chce tego uczynić. Pod niektórymi względami zapomnienie cieszy się w życiu niezbyt dobrą opinią, a różnica między przeciętnym i psychoanalitycznym sposobem ujmowania tej sprawy, zdaje się, nie istnieje. Proszę sobie wyobrazić gospodynię, która wita gościa słowami: „Co, dziś pan przychodzi? Zupełnie zapomniałam, że zaprosiłam pana na dzisiaj”. Albo wyobraźmy sobie młodzieńca, który by miał wyznać ukochanej, że zapomniał przyjść w porę na ostatnie rendez-vous. Z pewnością nie przyzna się, raczej wynajdzie najmniej prawdopodobne przeszkody, które rzekomo nie pozwoliły mu przyjść i które uniemożliwiły nawet zawiadomienie o tym fakcie. Że w sprawach wojskowych usprawiedliwianie się zapomnieniem nie pomaga i nie chroni przed karą, wiemy doskonale i musimy uznać to za uzasadnione. Oto nagle wszyscy zgadzają się z tym, że pewna czynność pomyłkowa ma ściśle określony sens. Dlaczegoż nie mamy być dostatecznie konsekwentni, by ten pogląd rozszerzyć na inne czynności pomyłkowe i przyznać się do niego w całej rozciągłości? Oczywiście, i na to jest odpowiedź.

Jeżeli sens zapominania o zamiarach jest nawet dla laika bezsporny, to nie będzie dla was niespodzianką stwierdzenie, że pisarze użytkują tę czynność pomyłkową dla swoich celów. Kto z państwa

czytał lub widział na scenie *Cezara i Kleopatę* Bernarda Shawa, ten sobie przypomina, że odjeżdżającego Cezara trapi w ostatniej scenie myśl: Miałem jeszcze coś uczynić, ale co? Nie pamiętam. — Wreszcie dowiadujemy się, o co chodzi: o pożegnanie z Kleopatą. Ten drobny manewr autora chce wielkiemu Cezarowi przypisać pewną wyższość, której nie posiadał, do której osiągnięcia wcale nie dążył. Z historycznych źródeł możecie się bowiem dowiedzieć, że Cezar kazał przybyć Kleopatrze do Rzymu, że przebywała tam ze swym małym Cezarionem, gdy Cezar został zamordowany, po czym w panice uciekła z miasta.

Wypadki zapominania o zamiarach są na ogół tak jasne, że dla naszego celu, którym jest czerpanie z sytuacji psychicznej poszlak dla zrozumienia sensu czynności pomyłkowej, nie na wiele się przydadają. Zwróćmy się więc dlatego do wybitnie wieloznacznej i nieprzejrzystej czynności pomyłkowej, do gubienia i zrzucania przedmiotów. Twierdzenie, że fakt zgubienia, który jest przypadkiem, niejednokrotnie dotkliwie odczuwany, nie powstaje bez współdziałania naszego zamiaru, z pewnością nie wyda się wiarygodne. Istnieje tu jednak bogata skala obserwacji. Oto młody człowiek gubi ołówek, dla którego miał specjalny sentyment. W przeddzień otrzymał od szwagra list kończący się następującymi słowami: „Na razie nie mam ani chęci, ani czasu popierać twojej lekkomyślności i twojego lenistwa” (podług B. Datnera). Ołówek był właśnie podarunkiem od szwagra. Bez tego zbiegu okoliczności nie moglibyśmy, oczywiście, twierdzić, że do zguby przyczynił się zamiar pozbycia się przedmiotu. Wypadki podobne są częste. Gubi się przedmioty, gdy się między ofiarodawcą i obdarowanym wytworzył stan wrogości, gdy obdarowany nie chce przypominać sobie ofiarodawcy, albo też gdy się człowiekowi podarunek już nie podoba, wreszcie gdy chce stworzyć pretekst dla otrzymania innej, lepszej rzeczy. Ten sam stosunek do przedmiotu wyraża się również w zniszczeniu czegoś, z biciu, złamaniu, rzuceniu o ziemię. Czyż można to uważać za przypadek, jeżeli dziecko w wieku szkolnym właśnie przed dniem swoich urodzin gubi, niszczy, łamie przedmioty codziennego użytku, jak tornister lub zegarek?

Kto dobrze nieraz namęczył się i napocił przy daremnym szukaniu czegoś, co sam gdzieś położył, ten nie zechce uwierzyć w zamiar przy zrzuceniu jakiegoś przedmiotu. A jednak liczne są przykłady, w których okoliczności towarzyszące zrzuceniu wskazują na zamiar usunięcia przedmiotu na stałe lub na jakiś czas określony. Oto w relacji

pewnego młodzieńca jeden z najbardziej przekonujących przykładów:

„Przed kilku laty doszło w moim pożyciu małżeńskim do dysonansów. Uznając wybitne zalety mojej żony, uważałem, że jest za chłodna. Żyliśmy obok siebie bez czułości. Pewnego dnia, wróciwszy ze spaceru, przyniosła mi książkę. Kupiła ją w przekonaniu, że zainteresuje mnie temat. Podziękowałem za ten «dowód uwagi», obiecałem, przeczytam książkę, odłożyłem ją i nie odnalazłem jej więcej. W przeciągu kilku miesięcy przypominałem sobie kilkakrotnie o tej zaginionej książce, na próżno jednak starałem się ją odnaleźć. W jakieś pół roku później zachorowała moja ukochana matka, mieszkająca osobno. Żona opuściła nasz dom, by pielęgnować teściową. Stan chorej stawał się coraz cięższy, poważniejszy, a żona moja okazała przy tym najlepsze strony swego charakteru. Pewnego dnia wracam do domu, przepelniony entuzjazmem i wdzięcznością dla jej dobroci. Po chwili podchodzę do biurka, bez określonego celu, ale z somnambuliczną pewnością, otwieram pewną szufladę i na wierzchu znajduję zarzuconą książkę”.

Z wygaśnięciem motywu skończył się również stan zarzucenia przedmiotu.

Panie i panowie! Mógłbym ten zbiór przykładów powiększać w nieskończoność. Ale nie chcę tego tutaj czynić. W mojej „Psychopatologii życia codziennego” (pierwsze wydanie z roku 1901) znajdziecie bogaty wybór przykładów z dziedziny czynności pomyłkowych; ponadto w zbiorach A. Maedera (franc.), A.A. Brilla (ang.), E. Jonesa (ang.), J. Stärcke (hol.). Wszystkie te przykłady przynoszą jeden i ten sam rezultat: pozwalają wierzyć, że czynności pomyłkowe mają sens, i pokazują, w jaki sposób sens ten można z okoliczności towarzyszących odgadnąć lub potwierdzić. Nie będę się dzisiaj nad tym rozwodził, albowiem celem naszym jest jedynie wykorzystanie naszych badań tych zjawisk dla przygotowania się do psychoanalizy. Muszę tylko jeszcze zająć się dwiema grupami spostrzeżeń. Do jednej należą czynności pomyłkowe powtarzające się i skombinowane, do drugiej potwierdzenie naszych interpretacji przez wypadki następujące później.

Czynności pomyłkowe powtarzające się i skombinowane to niezaprzeczenie najdoskonalszy wykwit swego gatunku. Gdyby chodziło nam jedynie o to, by udowodnić, że czynności pomyłkowe mogą mieć sens, z góry ograniczylibyśmy się do nich, gdyż właśnie tutaj sens ich jest niezaprzeczony, nawet przy jak najbardziej tępym

ujęciu i najbardziej krytycznych zastrzeżeniach. Skupienie objawów zdradza uporczywość, jaka nie zdarza się prawie w dziedzinie przypadku, ale za to odpowiada zamiarowi.

Wreszcie zamiana poszczególnych czynności pomyłkowych między sobą pokazuje, co jest przy czynności pomyłkowej ważne i istotne; nie jej forma lub środki, którymi się posługuje, lecz cel, któremu sama służy i który ma być osiągnięty najrozmaitszymi sposobami. E. Jones opowiada, że kiedyś z nieznanymi powodów przez szereg dni pozostawiał na biurku pewien list. Wreszcie zdecydował się na wysłanie listu, list jednak został zwrócony przez dyrekcję poczty, gdyż autor zapomniał o adresie. List został zaadresowany, zaniesiony na pocztę, tym razem bez znaczka. E. Jones musiał wreszcie przyznać, że czuł w ogóle niechęć do wysłania tego listu.

W innym wypadku zarzucenie łączy się z zamianą. Pewna pani jedzie w towarzystwie swego szwagra, wybitnego artysty, do Rzymu. Artysta jest w Rzymie przedmiotem wielkiej owacji kolonii niemieckiej, między innymi otrzymuje w darze piękny, antyczny złoty medal. Pani jest zmartwiona, że szwagier zbyt małą wagę przywiązuje do pięknego dowodu pamięci. Wróciwszy do domu, stwierdza przy rozpakowywaniu, że medal — nie wie, jak to się stało — zabrała ze sobą. Natychmiast zawiadamia o tym szwagra i oświadcza mu, że następnego dnia odeśle do Rzymu zabrany przez pomyłkę przedmiot. Następnego dnia medal tak się jakoś „zgrabnie” zarzucił, że nie można go ani znaleźć, ani odesłać. Wtedy dopiero zaczyna jej świtać, co oznacza to całe „roztargnienie”, mianowicie, że po prostu chciała sobie zatrzymać ów medal.

Już przedtem dałem przykład połączenia zapomnienia z pomyłką, gdy ktoś za pierwszym razem zapomina o spotkaniu, drugim razem, pewny, że nie zapomniał, przez pomyłkę nie zjawia się o umówionej godzinie.

Zupełnie analogiczny wypadek ze swego życia opowiadał mi pewien mój przyjaciel, który zajmuje się żywo zarówno problemami nauki, jak literatury. Oto jego słowa: „Przed paru laty przyjąłem wybór do zarządu pewnego stowarzyszenia literatów, w nadziei, że ta organizacja będzie mi kiedyś pomocna w wystawieniu jednego z moich dzieł scenicznych. Regularnie więc, choć bez większego zainteresowania, co piątek brałem udział w posiedzeniach zarządu. Przed kilkoma miesiącami dyrekcja teatru w F. zawiadomiła mnie, że jedna z moich sztuk

zostanie wystawiona, i od tej chwili *regularnie* zacząłem zapominać o posiedzeniach. Gdym odczytywał listy i zapytania w tej sprawie, mówiłem sobie, że to niezjawianie się teraz, gdy ci ludzie nie są mi już potrzebni, jest nieprzyzwoite; w końcu przyrzekłem sobie, że o następnym piątku z pewnością nie zapomnę. Pamiętałem o tym postanowieniu do chwili, w której znalazłem się przed drzwiami sali posiedzeń. Ku mojemu zdumieniu były one zamknięte, posiedzenie już się skończyło. Pomyliłem się bowiem co do dnia, była to sobota!” (według R. Reitlera).

Odczuwam pokusę zebrania większej ilości takich obserwacji, ale idę dalej. Chcę, by państwo rzucili okiem na te wypadki, w których nasza interpretacja czekać musi na potwierdzenie w przyszłości.

Głównym warunkiem tych wypadków jest, oczywiście, by ówczesna sytuacja psychiczna była nam nie znana lub niedostępna naszym badaniom. Wtedy interpretacja nasza ma tylko wartość przypuszczenia, do którego sami nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi. Ale później zachodzi coś, co wskazuje, jak usprawiedliwiona była nasza interpretacja już wtedy.

Byłem kiedyś z wizytą u pewnej młodej pary małżeńskiej. „Świeżo upieczona” mężatka opowiadała ze śmiechem, jak to po powrocie z podróży poślubnej odwiedziła swą niezamężną siostrę i jak, wedle zwyczaju z dawnych, panińskich czasów, poszła z nią po zakupy. Nagle widzi po drugiej stronie jakiegoś mężczyznę i woła do siostry: „Patrz, idzie pan L.” — Zapomniała, że ten pan L. jest od paru tygodni jej mężem. Opowiadanie to przeraziło mnie, ale nie miałem odwagi snuć zbyt daleko idących wniosków. Dopiero po kilku latach przypomniałem je sobie, gdy pożycie małżeńskie moich znajomych skończyło się jak najgorzej.

A. Meader opowiada o pewnej pani, która w przeddzień swego ślubu zapomniała zmierzyć suknię ślubną i ku rozpaczy krawcowej przypomniała sobie o tym dopiero późnym wieczorem. Meader czyni w związku z tym uwagę, że pani ta po bardzo krótkim pożyciu rozeszła się z mężem. Znam pewną rozwódkę, która szereg dokumentów podpisywała swym nazwiskiem panińskim na wiele lat przedtem, zanim do niego powróciła. Słyszałem o kobietach, które podczas podróży poślubnej gubiły obrączki, i wiem, że dzieje ich małżeństwa nieraz nadawały tym zgubieniom właściwy sens. A teraz jeszcze jeden jaskrawy przykład z lepszym rezultatem. Opowiadają, że małżeństwo

pewnego słynnego chemika niemieckiego nie doszło do skutku, ponieważ zapomniał o godzinie ślubu i zamiast do kościoła poszedł do laboratorium. Był na tyle rozsądny, by z tego wyciągnąć konsekwencje, i dożył późnego wieku jako kawaler.

Może przyszło wam również na myśl, że w tych przykładach czynności pomyłkowe zastąpiły wróżby albo przepowiednie starożytnych. Istotnie, część ich to nic innego jak czynności pomyłkowe, gdy na przykład ktoś potykał się lub padał. Inna część miała, oczywiście, cechy obiektywnego zdarzenia, nie subiektywnego działania. Ale nie uwierzylibyście, jak to czasem trudno rozstrzygnąć przy określonym zdarzeniu, czy należy ono do jednej grupy czy do drugiej. Działanie umie tak często maskować się jako bierne przeżycie.

Każdy z nas, kto ma za sobą dłuższe doświadczenie życiowe, powie sobie zapewne, że byłby sobie oszczędził wielu rozczarowań i bolesnych niespodzianek, gdyby znalazł tyle odwagi i stanowczości, by drobne czynności pomyłkowe w stosunkach między ludźmi uważać za zapowiedzi i oznaki ukrywanych jeszcze zamiarów. Przeważnie odwagi tej nam nie staje.

WYKŁAD IV

Czynności pomyłkowe (zakończenie)

Panie i panowie! Jako rezultat naszych dotychczasowych wysiłków możemy, zdaje się, ustalić bezspornie i przyjąć za podstawę dalszych badań, że czynności pomyłkowe mają swój sens. Należy raz jeszcze podkreślić, że nie twierdzimy — twierdzenie to jest dla naszych celów zbędne — jakoby każda czynność pomyłkowa miała swój sens, jakkolwiek uważamy to za prawdopodobne. Wystarczy, jeżeli sens ten można przy różnych formach czynności pomyłkowej względnie często ustalić. Te rozmaite formy wyglądają zresztą pod tym względem rozmaicie. Przy przejrzyczeniu na przykład lub przy pomyłkach w piśmie mogą się zdarzyć wypadki o motywacji czysto fizjologicznej, przy objawach polegających na zapomnieniu (zapominanie nazw

i zamiarów, zarzucanie przedmiotów) trudno mi w to uwierzyć; co do gubienia, to prawdopodobnie zdarzają się wypadki, w których jest ono nie zamierzone. W ogóle zdarzające się w życiu pomyłki tylko w pewnym stopniu poddają się ocenom z naszego punktu widzenia. Należy pamiętać o tych zastrzeżeniach, jeżeli wychodzimy obecnie z założenia, że czynności pomyłkowe są aktami psychicznymi i powstają przez ścieranie się dwóch zamiarów.

Oto pierwszy rezultat psychoanalizy. O istnieniu takich ścierań się i możliwości, że rezultatem ich bywają tego rodzaju zjawiska, psychologia dotychczas nie wiedziała. Rozszerzyliśmy znacznie świat zjawisk psychicznych, zdobyliśmy dla psychologii zjawiska, które dotychczas były poza jej obrębem.

Pozostajemy jeszcze chwilę przy twierdzeniu, że czynności pomyłkowe są „aktami psychicznymi”. Czy zawiera ono więcej niż nasze ogólne twierdzenie, że mają one sens? Nie sądzę; raczej jest bardziej nieokreślone i daje pole do nieporozumień. Wszystko, co można zaobserwować w życiu psychicznym, określać będziemy jako zjawisko duchowe. Będzie właśnie chodziło o to, czy pojedynczy objaw psychiczny wypłynął bezpośrednio z oddziaływań cielesnych, czyli organicznych, w którym to wypadku badanie nie należy do psychologii, czy też pochodzi od innych procesów psychicznych, za którymi gdzieś, później, rozpoczyna się szereg oddziaływań organicznych. Ten właśnie stan rzeczy mamy na oku, gdy jakieś zjawisko określamy jako proces psychiczny, i dlatego bardziej celowe będzie takie sformułowanie naszego twierdzenia: zjawisko jest pełne sensu, ma sens. Przez sens rozumiemy znaczenie, zamiar, tendencję i pozycję w szeregu psychicznych związków przyczynowych.

Istnieje szereg innych zjawisk stojących bardzo blisko czynności pomyłkowych, dla których jednak ta nazwa się nie nadaje. Nazywamy je *czynnościami przypadkowymi* i *symptomatycznymi*. Posiadają również charakter czegoś nie umotywowanego, niepozornego i niewyraźnego, ponadto jednak wyraźniej zaznacza się w nich cecha zbędności. Od czynności pomyłkowej różni je brak innego zamiaru, z którym by się ścierały, który by je zakłócał. Z drugiej strony, przechodzą bez wyraźnego rozgraniczenia w gesty i ruchy, które zaliczamy do wyrazu uczuć.

Do tych czynności przypadkowych należą wszystkie czynności pozornie bezcelowe, dokonywane bez żadnego wysiłku, a odnoszące

się do ubioru, do poszczególnych części naszego ciała, do przedmiotów, które możemy osiągnąć, do melodii, które czasami nucimy pod nosem. Stoję na stanowisku, że wszystkie te zjawiska mają sens i znaczenie w tym samym stopniu co czynności pomyłkowe, co drobne przejawy innych, ważniejszych procesów duchowych i co pełnowartościowe akty psychiczne. Ale nie mam zamiaru pozostawać przy tym rozszerzeniu dziedziny zjawisk psychicznych; wróćmy do czynności pomyłkowych, przy których szereg kwestii ważnych dla psychoanalizy wyraźniej da się ustalić.

Pytania najbardziej przy czynnościach pomyłkowych interesujące, któreśmy postawili, na które jednak jeszcześmy nie odpowiedzieli, wyglądają tak: powiedzieliśmy, że czynności pomyłkowe są rezultatem ścierania się dwóch różnych intencji, z których jedną nazwać by można zakłócającą, drugą zakłóconą; intencje zakłócone nie dają podstawy do dalszych pytań, ale co do tamtych, zakłócających, chcielibyśmy wiedzieć: 1) jakie to intencje występują jako przeszkoda dla innych; 2) jaki jest stosunek intencji zakłócających do zakłóconych.

Pozwolicie państwo, że znowu wezmę przejęzyczenie jako typowe dla całej grupy i że naprzód odpowiem na pytanie drugie.

Intencja zakłócająca przy przejęzyczeniu może pozostawać z intencją zakłóconą w związku treściowym. Zawiera wtedy albo przeciwieństwo intencji zakłóconej, albo jej potwierdzenie, czy też uzupełnienie. Albo — wypadek mniej jasny i bardziej zajmujący — intencja zakłócająca nie ma treściowo nic wspólnego z zakłóconą.

Przykłady dla pierwszego typu ustosunkowania się obydwu intencji znamy już i wyszukiwanie ich nie sprawia wielkich trudności. Prawie we wszystkich wypadkach przejęzyczeń, gdzie intencja zakłócająca wyraża coś przeciwnego niż intencja zakłócona, czynność pomyłkowa jest przedstawieniem konfliktu między dwoma dążeniami nie dającymi się pogodzić. Oświadczam, że posiedzenie jest otwarte, wolałbym jednak, by już było zamknięte — oto sens przejęzyczenia przewodniczącego. Polityczny dziennik, obwiniony o przekupstwo, postanowił wystąpić z artykułem, którego finał ma mieć brzmienie następujące: „Nasi czytelnicy potwierdzą, żeśmy zawsze w sposób najbardziej *bezinteresowny* (in *uneigennützigster* Weise) występowali w obronie dobra ogólnego”. Redaktor, któremu powierzono napisanie artykułu, pisze: „w sposób jak najbardziej *interesowny* (in *eigennützigster* Weise)”. Znaczy to, że sobie myśli: Muszę wprawdzie pisać, co mi polecono, ale

co wiem, to wiem! — Poseł, który wzywa parlament, by *bez zastrzeżeń* (*rückhaltlos*) powiedział cesarzowi prawdę, zląkł się zapewne głosu wewnętrznego, przerażonego tym zuchwalstwem, więc przejęczyła się i zamiast: „*bez zastrzeżeń*” (*rückhaltlos*) woła: „*bez kręgosłupa*” (*rückgratlos*)¹.

W znanych państwu przykładach, które robią wrażenie połączeń i skrótów, chodzi o uzupełnienie, dodatki i dalsze ciągi; przy ich pomocy obok intencji pierwszej przychodzi do słowa intencja druga. „Okazały się rzeczy” (*es sind Dinge zum Vorschein gekommen*) — powiedz lepiej po prostu: „To były świństwa” (*Schweinereien*). A więc w rezultacie: *Es sind Dinge zum Vorschwein gekommen*. — „Ludzi, którzy się na tym znają, można policzyć *na palcach jednej ręki*”; właściwie istnieje tylko jeden człowiek, który się na tym zna. Więc: „można policzyć *na jednym palcu*”. — Albo: „Mój mąż może pić i jeść, co mu się podoba”. Ale pani przecież wie — nie znoszę, by mu się coś podobało. Więc: „może jeść i pić, co *mnie* się podoba”. We wszystkich tych wypadkach przejęczenie albo samo wynika z treści intencji zakłóconej, albo do tej treści nawiązuje.

Drugi rodzaj stosunku między dwiema ścierającymi się intencjami wydaje się dziwny. Jeżeli intencja zakłócająca nie ma nic wspólnego z treścią intencji zakłóconej, to skądże pochodzi i czemu to przypisać, że właśnie na takim miejscu staje się widoczna jako zakłócenie? Obserwacja, która tutaj wyłącznie może dać odpowiedź, pozwala zorientować się, że zakłócenie pochodzi od biegu myśli, który daną osobę zajmował na chwilę przedtem i który działa teraz w tej formie, przy czym jest obojętne, czy już znalazł swój wyraz, czy też nie. Zakłócenie można więc istotnie określić jako echo, ale niekoniecznie echo wypowiedzianych słów. I tu zachodzi związek skojarzeniowy między tym, co zakłóca, a tym, co ulega zakłóceniu, ale nie jest on rezultatem treści, powstaje sztucznie, często drogą bardzo wymyślnych powiązań.

Oto pospolity przykład, który sam zaobserwowałem. Spotykam raz w naszych pięknym Dolomitach dwie wiedenki w strojach turystycznych. Idziemy kawałek razem, mówimy zarówno o przyjemnościach, jak i o niewygodach turystycznego trybu życia. Jedna z pań

¹ W Reichstagu, w listopadzie 1908 r.

przyznaje, że pociąga on za sobą pewne niewygody. To prawda — powiada — że maszerowanie przez cały dzień w słońcu, gdy się ma przepoconą bluzę i koszulę, nie należy do przyjemności. Wypowiadając te zdanie, w pewnej chwili zająknęła się. Później mówi dalej: „gdy się później przychodzi do *spodni (nach Hose)*” — zamiast do domu (*nach Hause* — przyp. tłum.) — „i można się przebrać...”

Nie analizowaliśmy tego przejęzyczenia, ale mam wrażenie, że łatwo je zrozumiecie. Pani, o której mowa, chciała wyliczyć wszystko: bluzę, koszulę i spodnie. Ze względu na przyzwoitość — pominęła spodnie, ale w zdaniu następnym, zupełnie pod względem treści niezależnym od pierwszego, zjawilo się nie wypowiedziane słowo jako zniekształcenie podobnego *nach Hause*.

Teraz możemy zwrócić się do długo odkładanego pytania, cóż to za intencje przejawiają się w tak niezwykle sposób, jako zakłócenie innych? Są one, oczywiście, bardzo różne, ale może poszukamy w nich cech wspólnych. Gdy zbadamy pod tym względem szereg przykładów, będziemy je mogli podzielić na trzy grupy. Do grupy pierwszej należą wypadki, w których tendencja zakłócająca jest mówiącemu znana, którą ponadto przeczuwał on przed przejęzyczeniem. Przy pomyłce *Vorschwein*, o której była mowa, mówiący nie tylko przyznaje, że, zdaniem jego, są to świństwa (*Schweinreien*), ale również potwierdza, że miał zamiar, od którego później odstąpił, dać wyraz temu pogładowi. Drugą grupę tworzą inne wypadki, w których mówiący również przyznaje się do tendencji zakłócającej, ale nie wie, że działała ona w nim bezpośrednio przed przejęzyczeniem. Zgadza się więc na nasze tłumaczenie swego przejęzyczenia, ale w pewnym stopniu dziwi mu się. Przykłady na to znajdują się może łatwiej w dziedzinie innych czynności pomyłkowych. W grupie trzeciej mówiący energicznie przeczy interpretacji tendencji zakłócającej; nie tylko kwestionuje, jakoby tkwiła w nim ona przed przejęzyczeniem, ale twierdzi, że jest mu zupełnie obca. Przypomnijcie sobie przykład z *aufstossen* i niegrzeczny ton, jakim mówca zareagował na wykrycie intencji zakłócającej. Wiecie, że w ujęciu tych wypadków nie doszliśmy do porozumienia. Nic bym sobie nie robił z protestów mówcy bankietowego i trwałbym przy mojej interpretacji. Co do was, to sądzę, że jednak pozostajecie pod wrażeniem jego oporu i zastanawiacie się nad tym, czy nie należałoby zrezygnować z interpretacji takich czynności pomyłkowych i traktować je jako czysto fizjologiczne w sensie przedanalizycznym. Wyobrażam

sobie, co was odstrasza. Według mojej interpretacji, u mówiącego mogą się uzewnętrznić intencje, o których sam nic nie wie, a które ja stwierdzam na podstawie poszlak. Zatrzymujecie się przed takim nowym i brzemiennym w skutki przypuszczeniem. Rozumiem to i nawet do pewnego stopnia przyznaję wam rację. Ale ustalmy jedno: jeżeli chcecie przeprowadzić konsekwentnie koncepcję czynności pomyłkowych, wypróbowaną w ogniu tych przykładów, musicie zdecydować się na ujęcie, o którym przed chwilą mówiłem, a które was odpycha. Jeżeli tego nie potraficie, będziecie musieli znowu zrezygnować z ledwie osiągniętego zrozumienia czynności pomyłkowych.

Zbadajmy jeszcze, co łączy te trzy grupy, co jest wspólne tym trzem mechanizmom przejęzyczenia. W dwóch pierwszych grupach mówiący przyznaje istnienie intencji zakłócającej; w pierwszej dołącza się jeszcze i to, że daje ona o sobie znać przed przejęzyczeniem. W obydwóch jednak wypadkach została ona odparta. Mówiący *zdecydował się nie wyrażać jej słownie i wtedy dochodzi do skutku przejęzyczenie, to znaczy intencja odepchnięta przejawia się wbrew jego woli, zmieniając wyraz dopuszczonej przez niego intencji, łącząc się z tym wyrazem albo zajmując jego miejsce.* Tak oto wygląda mechanizm przejęzyczenia.

Z mego punktu widzenia mogę również doskonale pogodzić procesy trzeciej grupy z opisanym tutaj mechanizmem. Wystarczy, bym tylko stanął na stanowisku, że te trzy grupy różnią się stopniami odsunięcia pewnej intencji na drugi plan. W grupie pierwszej jest intencja, którą mówiący zauważył, zanim zaczął mówić; dopiero później zostaje ona odrzucona, za co szuka odszkodowania w formie przejęzyczenia. W grupie drugiej odrzucenie sięga dalej, intencja nie jest widoczna przed zabraniem głosu. Ciekawe, że nie powstrzymuje jej to od współdziałania w wywołaniu przejęzyczenia.

To ułatwia nam jednak wyjaśnienie procesów grupy trzeciej. Ośmielam się twierdzić, że w czynności pomyłkowej może się również przejawiać tendencja, która od dłuższego, może nawet od bardzo długiego czasu była odrzucona, nie zauważona, i którą dlatego właśnie mówiący neguje. Zostawmy na boku nawet sam problem trzeciej grupy; z obserwacji innych wypadków musicie wysnuć wniosek, że *powściągnięcie istniejącego zamiaru powiedzenia czegoś jest nieodzownym warunkiem tego, by w ogóle doszło do przejęzyczenia.*

Możemy teraz twierdzić, że w zrozumieniu czynności pomyłkowych

zrobiliśmy dalsze postępy. Wiemy nie tylko, że są to akty psychiczne, w których znaleźć można sens i zamiar, i że powstają przez starcie się dwóch różnych intencji. Wiemy ponadto i to, że jedna z tych intencji musi doznać przed wykonaniem pewnego odepchnięcia, by przez zakłócenie drugiej móc się przejawić. Musi ona sama zostać zakłócona, nim będzie mogła powodować zakłócenia. Oczywiście, nie dochodzimy przez to do zupełnego wyjaśnienia zjawisk, które nazywamy czynnościami pomyłkowymi. Natychmiast wylaniają się inne pytania. Zaczynamy przeczuwać, że im dalej zajdziemy w poznaniu, tym więcej znajdzie się sposobności do nowych pytań. Możemy na przykład zapytać, dlaczego nie dzieje się znacznie prościej. Jeżeli istnieje zamiar odrzucenia pewnej tendencji zamiast wykonania jej, to odrzucenie powinno by się tak udać, by nic się z tego zamiaru nie przejawiało. Mógłby się również ten zamiar nie udać, tak że tendencja odrzucona znalazłaby swój pełny wyraz. Czynności pomyłkowe są jednak rezultatem kompromisów, mówią o tym, że każdy z tych dwóch zamiarów w połowie udało się zrealizować, w połowie zaś nie. Zagrożona intencja ani nie jest w całości zdławiona, ani też — poza wyjątkowymi wypadkami — nie znajduje swego pełnego wyrazu. Możemy sobie wyobrazić, że do powstania takich rezultatów ścierania się lub kompromisu potrzebne są wyjątkowe warunki, ale nie jesteśmy w stanie przeczuć, jakiego to rodzaju warunki mogą być. Nie sądzę, byśmy te nie znane nam sprawy mogli odkryć przez dalsze zagłębianie się w badanie czynności pomyłkowych. Raczej konieczną rzeczą będzie zbadać przedtem jeszcze inne ciemne dziedziny życia psychicznego; dopiero analogie, które tam napotkamy, mogą nam dodać odwagi do przyjęcia tych założeń, które są potrzebne dla głębszego wyjaśnienia czynności pomyłkowych.

I jeszcze jedno! Nawet praca nad drobnymi objawami, którą prowadzimy stale w tej dziedzinie, grozi pewnym niebezpieczeństwem. Istnieje schorzenie psychiczne, zwane paranoją, w którym w nieograniczony sposób pacjent wyzyskuje tego rodzaju drobne objawy; oczywiście, nie będę walczył o to, że wnioski wysunięte z takich przesłanek są bezwzględnie słuszne. Przed takimi niebezpieczeństwami może nas jedynie ustrzec szeroka płaszczyzna naszych obserwacji i powtarzanie podobnych doświadczeń z najróżniejszych dziedzin życia psychicznego.

Zaniechamy więc teraz analizy czynności pomyłkowych. Chciałbym

tylko skierować do was jeszcze jeden apel: niechaj w pamięci waszej pozostanie, że sposób traktowania przez nas tych zjawisk ma stanowić jedynie pewien wzór. Z przykładu tego możecie zobaczyć, jakie są zamierzenia naszej psychologii. Nie tylko chcemy zjawiska opisywać i klasyfikować, lecz pragniemy rozumieć je jako przejawy próby sił duchowych, jako wyraz tendencji, dążących do pewnego celu, pracujących razem lub przeciw sobie. Chodzi nam o *dynamiczne ujęcie* zjawisk psychicznych. Zjawiska spostrzegane muszą w naszym ujęciu ustąpić przed dążeniami, których istnienie tylko przypuszczamy.

Nie będziemy się więc dalej zagłębiać w czynności pomyłkowe. Możemy jednak przedsięwziąć coś w rodzaju wędrówki po tej rozległej dziedzinie; odnajdziemy podczas niej rzeczy znane, natrafimy również na pewne nowe ślady. Podczas tej wędrówki będziemy trzymać się podziału na ustalone już w naszych rozważaniach trzy grupy przejęzyczeń. Równocześnie weźmiemy pod uwagę pokrewne im objawy pomyłek przy pisaniu, czytaniu, przesłyszenia się, zapominania, z ich podziałem według zapomnianych przedmiotów (imiona własne, wyrazy obce, zamiary, wrażenia), dalej objawy pomyłek przy zarzucaniu i gubieniu przedmiotów. Pomyłki, o tyle, o ile nas interesują, dotyczą po części zapominania, po części zamiany przedmiotów.

O przejęzyczeniu mówiliśmy już szczegółowo, a jednak trzeba tu jeszcze coś dorzucić. Łączą się z nim drobniejsze zjawiska natury uczuciowej, które zasługują na uwagę. Nikt chętnie się nie przejęzycza; często można nie dosłyszeć własnego przejęzyczenia, natomiast nie zdarza się to nigdy, gdy chodzi o kogoś innego. Przejęzyczenie jest również do pewnego stopnia zaraźliwe; nie tak łatwo mówić o przejęzyczeniu i nie przejęzyczyć się samemu. Najmniej istotne formy przejęzyczenia, a nie wymagające specjalnych wyjaśnień na temat ukrytych procesów psychicznych oraz ich uzasadnienie nietrudno zrozumieć. Gdy na przykład ktoś wypowiada krótko długą samogłoskę wskutek zaburzenia, które może mieć różne uzasadnienie, to przy jednej z następnych samogłosek krótkich przeciąga ją i przejęzycza się na nowo, kompensując poprzednie przejęzyczenia. To samo dzieje się, gdy ktoś wypowiada nieczysto lub niedbale samogłoskę podwójną, np. *eu* lub *ou*, jak *ei*; po chwili mamy próbę naprawienia błędu i zamiast *ei* słyszymy *eu* lub *ou*. Miarodajny jest przy tym zapewne wzgląd na słuchaczy: mówiący nie chce, by otoczenie myślało, że sposób traktowania mowy ojczystej jest mu obojętny. Drugie zniekształcenie,

będące kompensatą pierwszego, zawiera w sobie zamiar zwrócenia uwagi słuchacza na pierwsze i zapewnienia go, że mówiący zauważył je również. Najczęstsze, najprostsze i najmniej ważne wypadki przejęzyczeń polegają na połączeniach i przeddźwiękach, które przejawiają się w sposób niepozorny. Człowiek przejęzycza się np. w dłuższym zdaniu w ten sposób, że przede wszystkim wypowiada ostatnie słowo zamierzonej intencji. Robi to wrażenie pewnego zniekształcenia, chęci zakończenia zdania, i na ogół dowodzi, że mówiący przeciwstawia się wypowiedzeniu tego zdania lub że w ogóle nie chciałby o tym mówić. Dochodzimy w ten sposób do wypadków pozostających niejako na granicy. Zacierają się tutaj różnice między ujęciem przejęzyczenia psychoanalitycznym a pospolitym, fizjologicznym. Zakładamy, że w tych wypadkach istnieje tendencja zakłócająca; może ona jednak tylko wskazywać, że istnieje, nie może zaś ujawnić, jakie ma zamiary. Zaburzenie, które wywołuje, ulega wtedy pewnym wpływom dźwiękowym lub przyciąganiom asocjacyjnym i może być traktowane jako odchylenie uwagi mówiącego od intencji. Ale ani odwrócenie uwagi, ani skłonności skojarzeniowe, które zaczęły działać, nie stanowią o istocie procesu. Jest nią podkreślenie istnienia tendencji zakłócającej zamiar mówiącego, której charakter nie może być tym razem ustalony na podstawie jej skutków, co bywa możliwe we wszystkich bardziej jaskrawych wypadkach przejęzyczenia.

Błędy przy pisaniu, do których teraz przechodzę, o tyle są podobne do przejęzyczenia, że nie należy tu oczekiwać nowych punktów widzenia. Może uda nam się ustalić wybór odpowiednich przykładów. Tak rozpowszechnione drobne omyłki przy pisaniu, jak łączenie słów, pisanie naprzód wyrazów, które by należało napisać później, zwłaszcza wyrazów ostatnich, wskazują znowu na niechęć do pisania lub zniecierpliwienie; bardziej jaskrawe przejawy błędów przy pisaniu pozwalają zorientować się w charakterze i zamiarze tendencji zakłócającej. Na ogół wiadomo, że błędy w listach są dowodem, iż piszący nie miał zupełnego spokoju; nie zawsze można ustalić, co go nurtowało. Często piszący nie zauważa swych błędów, tak samo jak człowiek, który się przejęzycza. Warto zwrócić uwagę na następującą obserwację: pewni ludzie mają zwyczaj czytać każdy list, zanim go wyślą. Inni nie czynią tego, a gdy raz wyjątkowo odstąpią od reguły, znajdują sposobność wykrycia rażących błędów i ich poprawienia. Jak to wytłumaczyć? Wygląda to tak, jak gdyby ludzie ci jednak wiedzieli,

że przy pisaniu listu popełnili szereg błędów. Czy mamy w to istotnie wierzyć?

Ze znaczeniem błędów przy pisaniu łączy się interesujące zagadnienie. Przypominacie sobie może sprawę mordercy H., który potrafił zaopatrzyć się w instytutach naukowych w hodowlę niesłychanie niebezpiecznych bakterii chorobotwórczych, podając się za bakteriologa, i za pomocą tych bakterii ekspediował bliskich sobie ludzi w ten najbardziej nowoczesny sposób na tamten świat. Człowiek ten napisał raz do zarządu jednego z instytutów list, w którym skarży się, że przysłane mu bakterie nie działają; w liście tym błąd polegający na tym, że zbrodniarz zamiast słów: „przy moich doświadczeniach na myszach i świnkach morskich” napisał „przy moich doświadczeniach na ludziach”. Błąd ten uderzył też lekarzy instytutu, ale, o ile mi wiadomo, nie wyciągnęli z niego konsekwencji. No, i cóż sądzicie? Czyż lekarze nie powinni byli raczej uważać tego błędu w liście za wyznanie i dać znać władzom, które by zdążyły na czas sparaliżować zbrodnicze zamiary mordercy? Czy w tym wypadku nasze niewiedza w ujmowaniu czynności pomyłkowych nie stała się w praktyce przyczyną brzemiennego w skutkach zaniedbania? Co do mnie, błąd tego rodzaju wydałby mi się bardzo podejrzany, ale potraktowaniu go jako wyznanie stoi coś bardzo ważnego na przeszkodzie. Ta sprawa nie jest taka prosta. Omyłka w liście jest z pewnością poszlaką, ale sama nie wystarczyłaby do wszczęcia dochodzenia. Omyłka mówi wprawdzie, że człowiek, który pisał list, myślał o zatruciu innych ludzi, ale nie można ustalić, czy myśl ta ma wartość wyraźnie szkodliwego zamiaru, czy też jest fantazją, pozbawioną w praktyce znaczenia. Jest nawet możliwe, że człowiek, który tego rodzaju omyłkę popełnił, z zupełną subiektywną słusnością zaprzeczy tej fantazji i odrzuci ją jako coś zupełnie mu obcego. Gdy później przyjrzymy się różnicy między rzeczywistością psychiczną a materialną, jeszcze lepiej zrozumiecie te możliwości. Będzie to jednak znowu wypadek, w którym czynność pomyłkowa nabiera *ex post* znaczenia, jakiego się nie przeczuwało.

Przy pomyłkach przy czytaniu mamy sytuację psychiczną różniącą się wyraźnie od przejęzyczenia i pomyłek przy pisaniu. Jedna z dwóch rywalizujących ze sobą tendencji jest tu zastąpiona przez podniecie zmysłową, i dlatego jest może mniej odporna. To, co mamy do odczytania, nie jest przecież produktem własnego życia psychicznego,

jak to, co mamy napisać. W większości więc wypadków pomyłki przy czytaniu polegają na pełnej substytucji. Słowo, które ma zostać odczytane, zastępuje się innym, przy czym nie jest konieczne, by istniał treściowy związek między tekstem i rezultatem pomyłki. Z reguły mamy tu do czynienia z podobieństwem słów. Przykład Lichtenberga: *Agamemnon* zamiast *angenommen* (o przykładzie tym już była mowa — przyp. tłum.) należy do najlepszych w tej grupie. Jeżeli się chce poznać tendencję zakłócającą, wskutek której powstaje pomyłka przy czytaniu, można zupełnie odsunąć odczytany tekst i rozpocząć badanie analityczne od dwóch pytań: 1° jakie skojarzenie zjawia się bezpośrednio w związku z pomyłką przy czytaniu; 2° w jakiej sytuacji zdarzyła się pomyłka. Czasami dla wyjaśnienia pomyłki wystarczy, gdy jesteśmy zorientowani co do punktu drugiego. Oto przykład: ktoś przyciśnięty fizjologiczną potrzebą wędruje po obcym mieście i nagle na wielkiej tablicy, umieszczonej na pierwszym piętrze, widzi napis: *Klosethaus* (ustęp). Ma jeszcze czas, by się zdziwić, że tablica umieszczona jest tak wysoko, zanim uświadomi sobie, że przecież na tablicy widnieje napis: *Korsethaus* (pracownia gorsetów). W innych wypadkach właśnie niezależna od kontekstu pomyłka przy czytaniu wymaga gruntownej analizy, której nie można przeprowadzić bez wprawy w technice psychoanalitycznej i bez zaufania do tej techniki. W większości jednak wypadków wyjaśnienie błędów przy czytaniu jest łatwiejsze. Podstawione słowo w przykładzie z „*Agamemnonem*” zdradza bez reszty krąg myśli, z którego zakłócenie wypływa. W obecnym okresie wojny zdarza się ustawicznie, że nazwy miast, nazwiska dowódców i szereg słów z dziedziny wojskowej, które nas ciągle otaczają, odczytujemy wszędzie, gdzie się tylko pojawi podobne słowo. To, co nas interesuje i pochłania, zajmuje miejsce tego, co jest nam obce i nieinteresujące. Refleksy myśli zamazają nowe spostrzeżenia.

Nie brak przy pomyłkach przy czytaniu wypadków, w których sam tekst budzi tendencję zakłócającą; tendencja ta przeważnie daje w rezultacie przeciwieństwo samej siebie.

Mieliśmy odczytać coś, co jest dla nas niepożądane, i przekonujemy się w drodze analizy, że za zmianę tekstu odpowiedzialne jest intensywne pragnienie odrzucenia tego, co czytaliśmy.

W wymienionych na pierwszym miejscu najczęstszych pomyłkach przy czytaniu nie znajdują swego wyrazu dwa momenty, którym w mechanizmie czynności pomyłkowych przypisaliśmy wielką rolę:

starcie się dwóch tendencji i odrzucenie jednej, która znajduje odškodowanie w efekcie czynności pomyłkowej. Nie — żebyśmy przy pomyłce przy czytaniu natrafiali na coś przeciwnego, ale natarczywość myśli, która doprowadziła do pomyłki, rzuca się w oczy o wiele bardziej aniżeli odepchnięcie, które myśl tę uprzednio spotkało.

Właśnie te dwa momenty występują najjaskrawiej w różnych sytuacjach czynności pomyłkowych przy zapominaniu.

Zapominanie zamiarów jest jednoznaczne; interpretacja, jak już słyszeliśmy, nie jest kwestionowana nawet przez laików. Tendencją zakłócającą zamiar jest zawsze zamiar przeciwny. Nie wiemy tylko, dlaczego nie znajduje on swego wyrazu w innej formie, mniej widocznej. Ale istnienie tego przeciwnego zamiaru jest niewątpliwe. Czasami udaje się również odgadnąć motyw zmuszający ten przeciwny zamiar do ukrywania się; zawsze przez czynność pomyłkową osiąga on swój cel ukrycia się, podczas gdy z pewnością zostałby odrzucony, gdyby występował jako otwarty protest. Gdy pomiędzy zamiarem i jego wykonaniem nastąpiła istotna zmiana sytuacji psychicznej, wskutek której wykonanie zamiaru nie wchodzi w rachubę, zapomnienie zamiaru wychodzi poza ramy czynności pomyłkowej. Nie dziwimy się już temu i rozumiemy, że przypominanie zamiaru jest zbyt cenne; zginął on na stałe lub na jakiś czas. Zapomnienie zamiaru można nazwać czynnością pomyłkową tylko wtedy, gdy nie możemy uwierzyć w takie przerwanie zamiaru.

Wypadki zapominania zamiaru są na ogół tak typowe i przejrzyste, że właśnie dlatego nie są zajmujące dla naszych badań. W dwóch wypadkach możemy jednak z badania tej czynności pomyłkowej dowiedzieć się czegoś nowego. Powiedzieliśmy, że zapomnienie, a więc niewykonanie zamiaru, wskazuje na nieprzyjazny mu zamiar przeciwny. Jest to słuszne, ale przeciwny ten zamiar, jak nas uczy doświadczenie, może być dwojakiego rodzaju — bezpośredni lub pośredni. Zamiar pośredni ilustrują najlepiej dwa przykłady. Gdy opiekun zapomina wstawić się u osoby trzeciej za swoim pupilem, przyczyną tego może być okoliczność, że właściwie mało się tym pupilem interesuje i dlatego nie ma wielkiej ochoty wstawiać się za nim. Tak przynajmniej pupil sobie tłumaczył zapomnienie opiekuna. Ale sprawa może być bardziej skomplikowana. Tendencja przeciwstawiająca się wykonaniu zamiaru może płynąć u opiekuna z innego źródła i atakować zupełnie inne miejsce.

Tendencja przeciwna może nie mieć nic wspólnego z samym pupilem, może to być niechęć do osoby trzeciej, u której trzeba się wstawić. Widzicie więc, jakie wątpliwości przeciwstawiają się i tutaj praktycznemu zużytkowaniu naszej interpretacji. Mimo słusznej interpretacji zapomnienia grozi niebezpieczeństwo, że pupil stanie się podejrzliwy i wyrządzi opiekunowi wielką krzywdę. Albo: gdy ktoś zapomniał o spotkaniu, które przyrzekł komuś, najczęściej tłumaczyć to można zdecydowaną niechęcią do spotkania się z daną osobą. Analiza mogłaby jednak przeprowadzić dowód, że tendencja zakłócająca nie jest skierowana przeciw osobie, lecz przeciw miejscu, w którym ma nastąpić spotkanie, a którego się unika ze względu na związane z nim niemiłe wspomnienie. Albo: gdy ktoś zapomina przeczytać list, tendencja przeciwna może się opierać na treści listu; nie jest jednak wykluczone, że list jest bez znaczenia i zapomina się o nim tylko dlatego, że coś w nim przypomina inny list, pisany kiedyś, który tendencji przeciwnej służy za podstawę do bezpośredniego ataku. Można wtedy powiedzieć, że intencja przeciwna przeniosła się tu z poprzedniego listu, gdzie była usprawiedliwiona, na list obecny, z którym właściwie nie pozostaje w żadnym związku.

Widzicie więc, że w stosowaniu waszej uzasadnionej interpretacji należy jednak być powściągliwym i ostrożnym; to, co psychologicznie jest jednowartościowe, może w praktyce być bardzo wieloznaczne.

Zjawiska w rodzaju tych, o których mówiliśmy przed chwilą, wydają się wam pewnie niezwykle. Może będziecie skłonni przypuszczać, że „pośrednia” tendencja przeciwna nadaje procesowi charakter patologiczny. Mogę was jednak zapewnić, że mamy z nią również do czynienia w granicach normy, przy pełnym zdrowiu. Proszę mnie zresztą źle nie rozumieć. W żadnym wypadku nie chcę sam przyznać się do tego, że nie można polegać na naszych analitycznych interpretacjach. Omówiona wieloznaczność zapominania zamiarów istnieje przecież jedynie tak długo, dopóki nie przedsięwzięliśmy analizy wypadku, dopóki nie interpretujemy go na podstawie naszych ogólnych przesłanek. Po przeprowadzeniu analizy z odnośną osobą, za każdym razem dowiadujemy się z wystarczającą pewnością, czy to jest pośrednia tendencja przeciwna albo skąd ona pochodzi.

Punkt drugi wygląda następująco: jeżeli w szeregu wypadków znajdziemy potwierdzenie, że zapominanie zamiaru łączy się z tendencją przeciwną, będziemy mogli śmiało rozwiązanie to rozszerzyć na inny

szereg wypadków, w których osoba analizowana wykrytej przez nas intencji przeciwnej nie potwierdza, lecz ją neguje. Weźcie jako przykłady niezwykle częste wypadki, w których zapomina się zwracać pożyczone książki, wyrównywać rachunki lub oddawać pożyczone pieniądze. Ośmielimy się tym wszystkim, co zapominają, oświadczyć, że w zamiarach ich leży zatrzymanie książek i niepłacenie długów; zaprotestujmy przeciw istnieniu takich zamierzeń, ale nie potrafimy w inny sposób wytłumaczyć swego zachowania. Odpowiadamy na to, że każdy z tych ludzi ma taki zamiar, tylko nic o nim nie wie; nam jednak wystarczy, że zamiar ten zdradza się sam przez rezultat zapomnienia. Cóż stąd, że nas ktoś będzie zapewniał, iż po prostu o tym zapomniał?

Przypominacie sobie państwo tę sytuację? Już raz zetknęliśmy się z nią. Jeżeli zechcemy konsekwentnie rozwijać dalej naszą interpretację czynności pomyłkowych, która tylekroć okazała się słuszna, będziemy zmuszeni do przyjęcia tezy, że istnieją u człowieka tendencje, które mogą działać, choć on o nich nie wie. Przez to jednak przeciwstawiamy się wszystkim poglądom panującym w życiu i w psychologii.

Zapominanie nazwisk i słów obcych da się również w ten sam sposób sprowadzić do przeciwnego zamiaru, który bądź bezpośrednio, bądź pośrednio kieruje się przeciw danemu nazwisku. Kilka przykładów takiej bezpośredniej niechęci dałem już raz poprzednio. Spowodowanie pośrednie zdarza się jednak tutaj specjalnie często, np. w obecnym okresie wojny, który nas zmusił do zrezygnowania z tylu dawnych przyzwyczajzeń, wskutek najdziwaczniejszych powiązań ucierpiała również bardzo zdolność przypominania sobie imion własnych. Niedawno zdarzyło mi się, że nie mogłem przypomnieć sobie nazwy dość dużego miasteczka morawskiego Bisenz; analiza wykazała, że nie ma tu mowy o jakiejś bezpośredniej wrogości; po prostu zapomnienie powstało pod wpływem podobieństwa nazwy Palazzo Bisenz w Orvieto, gdzie kilkakrotnie chętnie przebywałem. Jako motyw tendencji, skierowanej przeciw przypominaniu sobie nazw, występuje tu po raz pierwszy zasada, która później odłoni nam całe swe olbrzymie znaczenie dla powstawania objawów neurotycznych; niechęć pamięci do przypominania sobie czegoś, co było połączone z niemiłymi wrażeniami i co przy przypomnieniu mogłoby te wrażenia odnowić. Tę chęć uniknięcia przykrości we wspomnieniach lub innych aktach psychicznych, tę psychiczną ucieczkę przed przykrością możemy uznać za ostatni skuteczny motyw nie tylko zapomniania nazw, lecz również

przy wielu innych czynnościach pomyłkowych, jak zaniechania, błędy itd.

Zapominanie nazw zdają się również ułatwiać warunki psychofizjologiczne. Zdarza się więc ono wskutek tego również w wypadkach, które nie potwierdzają udziału w nich motywu niechęci. Jeżeli ktoś ma skłonności do zapominania imion, można ustalić w drodze badania analitycznego, że nie tylko dlatego zapomina imion, że sam ich nie znosi, lub dlatego, iż przypominają mu coś niemiłego, lecz i z tego powodu, że to samo imię należy u niego do innego kręgu skojarzeniowego, z którym łączy go ściślejsze związki.

Imię to pozostaje w tym kręgu jak gdyby zatrzymane i nie dopuszczone do innych, chwilowo działających skojarzeń.

Jeżeli przypomnicie sobie sztuki mnemotechniki, będziecie mogli z pewnym zdziwieniem stwierdzić, że zapomina się imion wskutek tych samych współzależności, które się skądinąd stwarza samemu, by się przed zapomnieniem uchronić. Najbardziej jaskrawy przykład na to dają imiona osób, które ze zrozumiałych przyczyn dla różnych ludzi posiadać muszą zupełnie różną wartość psychiczną. Weźcie na przykład imię Teodor. Dla jednego imię to nie ma żadnego specjalnego znaczenia; dla innych jest to imię ojca, brata, przyjaciela albo własne. Doświadczenie analityczne pokaże wam później, że pierwszemu osobnikowi nie grozi niebezpieczeństwo zapomnienia, iż pewna obca osoba tak się nazywa; natomiast ci inni ciągle są skłonni zabierać to imię obcej osobie, gdyż wydaje im się, że jest ono zarezerwowane dla ludzi bliskich. Przyjmijcie, że to zahamowanie skojarzeniowe może połączyć się z działaniem zasady przykrości i ponadto z jakimś pośrednim mechanizmem, a będziecie mogli stworzyć sobie właściwe pojęcie o komplikacji łączącej się z przyczynami powstawania chwilowego zapominania imion. Rzeczowa analiza rozwiąże jednak całkowicie wszystkie te powikłania.

Zapominanie wrażeń i przeżyć jeszcze wyraźniej i jaskrawiej niż zapominanie nazw wskazuje na działanie tendencji do nieprzypominania sobie rzeczy niemiłych. Nie należy ono, oczywiście, całkowicie do czynności pomyłkowych, ale można o nim mówić o tyle, o ile, oceniane wedle miary naszego doświadczenia, wydaje się uderzające i nie usprawiedliwione. Na przykład, gdy odnosi się do świeżych albo zbyt ważnych wrażeń lub do wrażeń tego typu, których wypadnięcie tworzy lukę w dobrze na ogół zapamiętanym związku. Dlaczego

i w jaki sposób w ogóle zapominamy, i to przeżycia, które z pewnością pozostawiły na nas najgłębsze wrażenie, jak przeżycia pierwszych lat chłopięcych, to zagadnienie zupełnie inne, przy którym obrona przed doznaniem przykrości odgrywa pewną rolę, ale nie wszystko tłumaczy. Nie ulega wątpliwości, że wrażenie niemiłe łatwo się zapomina. Stwierdzili to różni psychologowie, a wielki Darwin tak się tym przejął, że postawił sobie za zasadę notowanie ze szczególną pieczołowitością obserwacji nie sprzyjających jego teorii, gdyż przekonał się, że właśnie te spostrzeżenia nie chciały pozostawać w jego pamięci.

Kto po raz pierwszy słyszy o tej zasadzie obrony przed przypomnieniem przykrości za pomocą zapomnienia, ten prawie zawsze występuje z zastrzeżeniem, że — według swego doświadczenia — właśnie o rzeczach przykrych zapomina najtrudniej, gdyż wbrew woli wracają one ciągle, by nas męczyć, jak się to na przykład dzieje przy wspomnieniach obrazy i upokorzeń. Jest to słuszne, ale zastrzeżenie nie trafia w sedno sprawy. Należy liczyć się z faktem, że życie psychiczne jest terenem walk i zamieszek tendencji przeciwstawnych, albo, nie wyrażając się dynamicznie, składa się ze sprzeczności i przeciwieństw. Wykazanie określonej tendencji nie wyklucza tendencji przeciwnej, jest tu dość miejsca dla jednej i drugiej. Chodzi tylko o to, w jaki sposób przeciwieństwa ustosunkowują się do siebie, jakie skutki wyływają z jednego i z drugiego.

Gubienie i zarzucanie przedmiotów jest dla nas szczególnie interesujące przez swą wieloznaczność, a więc przez różnorodność tendencji, w których służbę mogą wstąpić te czynności pomyłkowe. Wszystkie wypadki mają tę cechę wspólną, że się chciało coś zgubić, natomiast różnią się między sobą tym, z jakiego powodu i w jakim celu to się dzieje. Gubi się przedmiot, gdy jest uszkodzony, gdy się ma zamiar zastąpić go lepszym, gdy się przestało go lubić, gdy pochodzi od osoby, z którą stosunki się pogorszyły, albo gdy się go uzyskało w okolicznościach, o których nie chce się myśleć. Temu samemu celowi może służyć upuszczenie czegoś na ziemię, uszkodzenie lub złamanie. W życiu społecznym zaobserwowano podobno, że dzieci narzucone i nieślubne są znacznie wåtplejsze niż dzieci poczęte normalnie. Nie jest to rezultat ordynarnej techniki tzw. fabrykantek aniołków; dla wytłumaczenia wystarczy najzupełniej pewien brak dbałości w opiekowaniu się takimi dziećmi. Z opiekowaniem się przedmiotami mogłyby rzeczy mieć się podobnie jak z dziećmi.

Mogą jednak być przedmioty przeznaczone do zgubienia, które nie straciły niczego ze swej wartości, jeżeli istnieje zamiar złożenia losowi ofiary, by uchronić się od innej straty, której się lękamy. Takie zaklinania losu są wśród nas, wedle rezultatów analizy, bardzo częste, zagubienie jest dlatego często dobrowolną ofiarą. Zagubienie może się również wprząc w służbę przekory lub chęci ukarania siebie, krótko mówiąc, bardziej odległe uzasadnienia tendencji pozbycia się rzeczy przez zgubienie jej są nie do objęcia.

Błędnie skierowanej czynności używamy często, podobnie jak innych pomyłek, by spełnić pragnienia, z których należałoby zrezygnować. Zamiar maskuje się przy tym jako szczęśliwy przypadek: gdy na przykład przy wyraźnej tendencji przeciwnej trzeba pojechać koleją do znajomych za miastem — jak się to zdarzyło jednemu z naszych przyjaciół — i na stacji, gdzie trzeba się przesiadać, wsiada się przez pomyłkę do pociągu wracającego do miasta; albo gdy podczas podróży chciałoby się zatrzymać na dłużej na jakiejś stacji, choć zatrzymanie to wobec pewnych zobowiązań jest niewskazane i potem traci się lub przegapia połączenie, tak że w rezultacie jest się zmuszonym do upragnionej przerwy w podróży. Albo, jak się to zdarzyło z jednym z moich pacjentów, któremu zabroniłem rozmawiać przez telefon z ukochaną, który jednak chcąc zatelefonować do mnie, „w myślach” wypowiedział „przez pomyłkę” fałszywy numer, tak że nagle był połączony z damą swego serca.

Interesujący przykład z dziedziny bezpośrednich pomyłek, nie pozbawiony większego znaczenia, przynosi obserwacja pewnego inżyniera na temat okoliczności towarzyszących uszkodzeniu przedmiotu. Oto ona:

„Pracowałem kiedyś z kilkoma kolegami w laboratorium wyższej uczelni nad szeregiem skomplikowanych doświadczeń z dziedziny elastyczności. Była to robota, do której zgłosiliśmy się dobrowolnie, która jednak wkrótce zaczęła pochłaniać więcej czasu, niż oczekiwaliśmy. Gdy pewnego dnia w towarzystwie kolegi F. szedłem znowu do laboratorium, oświadczył on, że bardzo mu dziś przykro tracić tyle czasu, gdyż ma w domu inną pracę; robiąc aluzję do wypadku, który zdarzył się w ubiegłym tygodniu, odpowiedziałem na pół żartem: — miejmy nadzieję, że maszyna znowu zawiedzie, tak że będziemy mogli przerwać pracę i wyjść wcześniej.

Przy podziale roboty koledze F. przypada kierowanie wentylem, to

znaczy: ma za pomocą ostrożnego otwierania wentyla wypuszczać z akumulatora płyn pod ciśnieniem do walca prasy hydraulicznej; kierownik eksperymentu stoi przy manometrze i ilekroć odpowiednie ciśnienie zostanie osiągnięte, woła głośno: stop! Na ten okrzyk F. chwyta wentyl i z całej siły kręci go w lewo (wszystkie wentyle, bez wyjątku, zamykają się na prawo). Przez to ciśnienie w prasie zrównuje się z ciśnieniem w akumulatorze, na co urządzenie rur nie jest nastawione, tak że jedno z połączeń nagle pęka; powstaje zupełnie niewinny defekt maszyny, który nas jednak zmusza do zaniechania na dziś pracy i pójścia do domu.

Rzecz zresztą charakterystyczna, że w jakiś czas później, gdyśmy ten wypadek omawiali, przyjaciel F. w żaden sposób nie chciał sobie przypomnieć swego opowiadania, choć z całym przekonaniem twierdziłem, iż mi o tym mówił”.

Stąd możecie dojść do przypuszczenia, że nie zawsze niewinny wypadek czyni ręce naszej służby tak niebezpiecznie wrogimi w stosunku do przedmiotów znajdujących się w mieszkaniu. Możecie jednak rzucić również pytanie, czy zawsze jest to rezultat przypadku, jeżeli człowiek sam sobie wyrządza szkodę i naraża siebie na niebezpieczeństwo. Są to myśli, których wartość możecie zbadać przy sposobności szczegółowej analizy odpowiednich spostrzeżeń.

Czcigodni słuchacze! Jest to jednak jeszcze nie wszystko, co należałoby powiedzieć o czynnościach pomyłkowych. Wiele jest tu do zbadania i przedyskutowania. Będę szczerze zadowolony, jeżeli na podstawie dotychczasowych badań w tym kierunku nastąpi pewien wstrząs w waszych dotychczasowych poglądach i będziecie gotowi do przyjęcia nowych. Zresztą muszę poprzestać na tym, by pozostawić was w obliczu spraw niezupełnie wyjaśnionych.

Na podstawie czynności pomyłkowych nie możemy udowodnić wszystkich naszych tez naukowych, nie jesteśmy też w dowodach zależni tylko od tego materiału. Wielkie znaczenie czynności pomyłkowych, o ile chodzi o nasze cele, polega na tym, że są to zjawiska bardzo częste; można je łatwo obserwować na własnej osobie, przy czym wcale nie są uwarunkowane stanem chorobowym. Chciałbym jeszcze przy końcu dać wyraz jednemu waszemu pytaniu, na które nie odpowiedziałem.

Jeżeli, jak to widzieliśmy na wielu przykładach, ludzie tak bardzo zbliżają się do zrozumienia czynności pomyłkowych i często tak się

zachowują, jak gdyby przeczuwali ich sens, to jakże jest możliwe, żeby te zjawiska były przedstawione na ogół jako przypadkowe, pozbawione sensu i znaczenia? I dlaczego mamy do czynienia z tak energicznym oporem przeciw ich psychoanalitycznemu wyjaśnieniu?

Macie rację, to bije w oczy i wymaga wytłumaczenia. Nie dam go jednak, tylko powoli doprowadzę was do splotu związków, z którego wyjaśnienie narzuci się samo, bez mojego współudziału.

Część II

Marzenie senne

WYKŁAD V

Trudności i pierwsze zbliżenia

Panie i panowie! Pewnego dnia zrobiono odkrycie, iż objawy cierpienia pewnych nerwowo chorych mają swój sens¹. Na tej podstawie ugruntowano psychoanalityczny sposób leczenia. W czasie zaś tego leczenia zdarzyło się, że chorzy opowiadali także o swych marzeniach sennych zamiast o objawach choroby. W ten sposób powstało przypuszczenie, że i marzenia senne mają sens.

Nie pójdziemy jednak drogą historyczną, lecz podążymy w odwrotnym kierunku. Pragniemy teraz wykazać — co ma być pracą wstępną dla studiów nad nerwicami — znaczenie tych marzeń sennych. To odwrócenie porządku jest usprawiedliwione tym, że studia nad marzeniami sennymi są nie tylko najlepszą pracą przygotowawczą przy badaniach nad nerwicami, lecz że wykazują one ponadto, iż marzenie senne jest samo przez się objawem neurotycznym, który posiada dla nas tę nieocenioną korzyść, iż występuje u wszystkich, nawet zupełnie zdrowych ludzi. Ba, gdyby wszyscy ludzie byli zdrowi i tylko śnili, to w drodze analizy ich marzeń sennych moglibyśmy dojść prawie do tych samych wyników, do jakich doszliśmy rozpatrując nerwice.

A zatem staje się marzenie senne przedmiotem badania psychoanalitycznego. Znów więc zjawisko zwykłe, lekceważone, pozbawione pozornie wartości praktycznej podobnie jak i czynności pomyłkowe, z którymi łączy je ponadto ta wspólna cecha, że tak jak i one

¹ Józef Breuer w r. 1880–1882. Por. moje odczyty o psychoanalizie wygłoszone w Ameryce w r. 1909 (5 odczytów o psychoanalizie. Przekład polski dra Jekelsa).

występuje u ludzi zdrowych. Poza tym warunki pracy są tu jeszcze mniej korzystne. Pomyłki zostały jedynie zaniedbane przez naukę, zajmowano się nimi niewiele, ale ostatecznie nie uchodziło za hańbę, jeśli się nimi interesowano. Powiadano wprawdzie, że są ważniejsze zagadnienia, ale że można stąd coś dla wiedzy wydostać. Zajmowanie się marzeniami sennymi jest natomiast uważane nie tylko za niepraktyczne i zbyteczne, lecz wprost hańbiące; wieje od niego odium ignorancji i budzi podejrzenia osobistych skłonności ku mistycyzmowi. Jakże może się lekarz zajmować marzeniami sennymi, skoro w patologii neuroz i psychiatrii jest tyle poważnych zagadnień, jako to: guzy dochodzące do wielkości jabłka, a uciskające narząd życia psychicznego, krwotoki, chroniczne zapalenia, przy których można pod mikroskopem dojrzeć zaszły w tkankach zmiany! Nie, marzenie senne jest przedmiotem zbyt błahym i niegodnym badania naukowego.

W dodatku jest to przedmiot, który z natury swej opiera się wszelkim wymaganiom ścisłej nauki. Przy badaniu marzeń sennych nie jesteśmy pewni naszego przedmiotu. Urojenie np. występuje jasno i w pewnych zarysach. „Jestem cesarzem chińskim” — powiada chory głośno. Ale marzenie senne? Wszak przeważnie nie można go wcale opisać. Czy mamy pewność, że opowiadając marzenie senne, opowiedzieliśmy je trafnie, a nie zmieniliśmy go raczej podczas opowiadania, nie dodaliśmy do niego czegoś, zmuszeni niepewnością wspomnienia? Przeważnej ilości marzeń sennych nie przypominamy sobie, zachowując w pamięci li tylko małe fragmenty. I na tłumaczeniu tego materiału ma się oprzeć naukowa psychologia lub zabieg leczniczy?

Pewien nadmiar krytyki budzi w nas już nieufność. Zarzuty skierowane przeciwko marzeniu sennemu jako przedmiotowi naszych roztrząsań idą widocznie za daleko. Już praca nad pomyłkami nauczyła nas, jak odnosić się należy do rzeczy nieważnych. Powiedzieliśmy sobie wówczas, że wielkie sprawy mogą znaleźć wyraz także w małych oznakach. Co się zaś tyczy nieokreśloności marzenia sennego, to stanowi ona jego znamiennej cechę, a nie możemy przecież rzeczom wyznaczać ich charakteru. Bywają zresztą jasne i w całości w pamięci zachowane marzenia senne. Natomiast istnieją inne przedmioty badania psychiatrycznego, które posiadają ten sam charakter niepewności, jak na przykład w wielu wypadkach natręctwa myślowe, którymi zajmowali się przecież psychiatrzy bardzo poważni i cieszący się uznaniem. Wspomnę tylko o ostatnim przypadku z mojej praktyki lekarskiej.

Pacjentka rozpoczyna swe skargi od słów: „Mam dziwne uczucie, jak gdybym skrzywdziła żyjące stworzenie — dziecko ...nie, raczej psa, albo jakbym skrzywdzić chciała, mozem je z mostu strąciła... lub coś innego”. Trudność wynikającą z niepewności wspomnienia możemy jednak usunąć, skoro postanowimy, że opowiedziane przez śniącego marzenie senne zachowuje ważność bez względu na zapomniane lub ewentualnie we wspomnieniu zmienione fragmenty. Ostatecznie nie można znowu tak ogólnikowo twierdzić, że marzenie senne jest czymś tak nieważnym. Wiemy z własnego doświadczenia, że usposobienie, w którym się budzimy ze snu, może przeciągnąć się na cały dzień. Bywają wypadki, zaobserwowane przez lekarza, w których choroba umysłowa powstaje z marzenia sennego i zachowuje urojenia pochodzące właśnie z tego marzenia. Opowiada się też o osobistościach historycznych, iż czerpały z marzeń sennych zachętę i pobudki do ważnych czynów. Pytamy więc: skąd pochodzi wzdardliwy stosunek uczonych do marzenia sennego?

Przypuszczam, że jest on reakcją na przecenianie za dawnych czasów. Odtworzenie przeszłości jest, jak wiadomo, niełatwe, możemy jednak przyjąć z wielką pewnością — o ile dozwolony jest mi ten żart — że nawet nasi przodkowie sprzed 3000 lat, lub więcej jeszcze, śnili podobnie jak my. Wiemy, iż wszystkie narody starożytne przypisywały marzeniom sennym wielkie znaczenie i ceniły je jako praktycznie doniosłe; były one dla nich zwiastunem i wróżbą przyszłości. Wyprawa wojenna Greków czy np. wschodnich ludów była w owych czasach bez uprzedniego zasięgnięcia rad tłumaczy snów tak niemożliwa, jak nie możemy sobie wyobrazić, że można dziś przedsięwziąć walkę nie mając uprzednio zebranych przez lotników informacji. Gdy Aleksander Wielki wybrał się na wyprawę zdobywczą, znajdowali się w jego orszaku najślynniejsi tłumacze snów. Miasto Tyr, leżące wówczas jeszcze na wyspie, stawiało królowi tak wytrwały opór, że postanowił zaniechać oblężenia. Też nocy widział we śnie tańczącego, jakby w triumfie, satyra, a skoro tłumacze, którym przedłożył ten sen, orzekli, że przepowiada on zwycięstwo nad miastem, wydał rozkaz wznowienia ataku i Tyr zdobył. U Etrusków i Rzymian używano odmiennych sposobów, by dowiedzieć się o przyszłych zdarzeniach. Natomiast w czasach grecko-rzymskich kultywowano i wysoko ceniono tłumaczenie snów. Główne dzieło owej literatury zachowało się po dziś dzień, jest to rozprawa Artemidorosa z Daldis, żyjącego podobno za

czasów cesarza Hadriana. Jak doszło do tego, że sztuka tłumaczenia snów upadła, a marzenie senne utraciło na wiarygodności, nie mogę wam powiedzieć. Nie mogło to być dziełem oświaty, gdyż ciemne średniowiecze zachowało wiernie większe niedorzeczności niżli dawne tłumaczenie snów. Faktem jest, że zainteresowanie się marzeniem sennym upadało stopniowo aż do przesądu, a wiarę w nie zachowali jedynie ludzie niewykształceni. Ostatnie nadużycie tłumaczenia snów, które zachowało się do naszych czasów, służy do wykombinowania z marzeń sennych liczb mających przynieść na loterii główną wygraną. Natomiast współczesna nauka ścisła zajmowała się wielokrotnie marzeniem sennym, ale tylko w zamiarze zastosowania swoich teorii fizjologicznych. Marzenie senne było dla lekarzy naturalnie aktem niepsychicznym, wyrazem podnieć somatycznych w życiu duchowym. Binz tłumaczy w r. 1876 marzenie senne jako „przebieg cielesny przeważnie zupełnie zbyteczny, w wielu wypadkach natomiast wprost chorobliwy, ponad którym dusza świata oraz nieśmiertelność unoszą się równie wysoko, jak niebieski eter ponad porośłą chwastem płaszczyną piasków w najgłębszej nizinie”. Maury porównuje marzenie senne z beładnymi drgawkami tańca św. Wita, w przeciwieństwie do skoordynowanych ruchów normalnego człowieka; zaś według starego porównania treść marzenia sennego to dźwięki „wywołane niewprawną ręką biegnącą po klawiszach instrumentu”.

Interpretować — znaczy tyle, co znaleźć ukryte znaczenie; przy tego rodzaju ocenie charakteru marzenia sennego nie może być o tym mowy. Proszę tylko rzucić okiem na opisy marzeń sennych u Wundta, Jodla i innych filozofów nowoczesnych. Ograniczają się oni do wyliczenia cech, którymi różni się życie senne od myślenia na jawie, i w zamiarze poniżenia go podkreślają rozpad skojarzeń, zniesienie krytyki, zupełne wyłączenie wszelkiej wiedzy i inne oznaki obniżonej działalności psychicznej. Jedyne wartościowe przyczynki do poznania marzenia sennego, jakiego dostarczyła nam nauka ścisła, odnosi się do wpływu podnieć cielesnych działających podczas snu na treść marzenia sennego. Niedawno zmarły norweski pisarz, J. Mourly Vold, jest autorem dwóch grubych tomów poświęconych badaniom doświadczalnym nad marzeniem sennym (w r. 1910 i 1912, tłumaczone na język niemiecki). Zajmuje się on prawie wyłącznie skutkami wywołanymi przez zmianę pozycji części ciała. Dzieło to zachwalają nam jako wzór ścisłych badań nad marzeniem sennym. Czy możemy sobie zatem

wyobrazić, jakie stanowisko zajęłaby nauka ścisła, skoroby się dowiedziała, że usiłujemy znaleźć *znaczenie* tych marzeń sennych? Możliwe jest, że wypowiedziała już swe zdanie. Lecz nie damy się tym odstraszyć. Skoro pomyłki mogły mieć znaczenie, to mieć je mogą i marzenia senne, a wszakże pomyłki mają w wielu wypadkach sens, który uszedł uwagi ścisłego badania. Przyznajmy się zatem do przesądów starożytnych i ludowych i wstąpmy w ślady starodawnych tłumaczy.

Przede wszystkim musimy zdać sobie sprawę z naszego zadania i rozejrzeć się w dziedzinie marzeń sennych. Czym więc jest marzenie senne? Trudno to określić jednym zdaniem. Nie chcemy też próbować definicji tam, gdzie wystarcza wskazanie znanego każdemu przedmiotu. Pragniemy tylko podkreślić istotne cechy marzenia sennego. Gdzie można je znaleźć? Panuje tu niezwykła różnorodność w granicach zakreślających naszą dziedzinę, różnorodność pod każdym względem. Istotnymi cechami będą te, które będziemy mogli wykazać jako wspólne wszystkim marzeniom.

A więc pierwszą wspólną cechą wszystkich marzeń sennych byłaby ta, że występują one w czasie snu. Widoczne jest, że marzenie senne jest wyrazem duchowego życia w czasie trwania snu, które wprawdzie posiada pewne podobieństwo do życia na jawie, lecz zarazem znacznie się od niego różni. Tak określił już marzenie senne Arystoteles. Jest możliwe, że między marzeniem sennym, a samym snem istnieją jeszcze bliższe stosunki. Często budzimy się z powodu marzenia sennego, albo też zdarza się, że śnimy, gdy nagle zrywamy się, kiedy ktoś nam gwałtownie podczas snu przeszkadza. Marzenie senne zdaje się być zatem stanem pośrednim między snem a czuwaniem. W ten sposób skierowujemy naszą uwagę na sen. Czymże jest sen?

Jest to zagadnienie fizjologiczne, lub też biologiczne, po dziś dzień jeszcze sporne. Nie możemy tu nic rozstrzygnąć, spróbujmy jednak dać psychologiczną charakterystykę snu. Sen jest stanem, podczas którego nie chcę nic wiedzieć o świecie zewnętrznym, od którego odwróciłem moje zainteresowanie. Popadam w sen, skoro się od tego świata odsuwam i trzymam z dala od siebie jego podniety. Usypiam też, kiedy jestem nim znużony, a zasypiając powiadam do niego: zostaw mnie w spokoju, gdyż chcę spać. Dziecko powiada przeciwnie: nie chcę jeszcze spać, nie jestem zmęczone, chcę jeszcze coś przeżyć. Odpoczynek jest, jak się zdaje, zamiarem biologicznym snu, podczas gdy przerwa w zainteresowaniu się światem — jego znamieniem

psychologicznym. Widocznie nie możemy bez przerwy wytrwać w tym świecie, na który przyszedliśmy tak niechętnie. Usuwamy się zatem czasowo w stan przedistnienia, niby do łona matki. Stwarzamy sobie przynajmniej zupełnie podobne warunki, jak wówczas: ciepło, ciemno i bez podniet. Wielu z nas zwija się w mały kłębuszek i przybiera we śnie tę samą pozycję jak w łonie matki. Ma się wrażenie, jak gdyby świat posiadał nas dorosłych tylko w dwóch trzecich; jedna trzecia nie przyszła jeszcze na świat. Po każdym rannym przebudzeniu się jesteśmy więc jak nowo narodzeni. Określamy też zwykle nasz stan po śnie tymi słowami: „jesteśmy jak nowo narodzeni”, mając, zda się, bardzo fałszywe pojęcie o ogólnym stanie uczuć noworodka. Możemy przyjąć, że tenże, przeciwnie, niezbyt błogo się czuje. Określamy też akt urodzenia słowami: ujrzeć światło dzienne.

Skoro ten stan nazywamy snem, to w programie jego nie ma w ogóle marzenia sennego, które, zdaje się, jest tu raczej niepożądaną przyprawą. Najlepszym i jedynie właściwym snem jest, jak sądzimy, sen bez marzeń. We śnie nie powinna istnieć żadna czynność duchowa; skoro ją spostrzegamy, znaczy to, że nie udało się nam przywrócić stanu spoczynku płodowego, że resztki czynności psychicznej nie dały się całkowicie usunąć. Resztki te stanowią marzenie senne. Wobec tego wydaje się rzeczywiście zbyt cennym, by marzenie senne miało jakiś sens. W wypadku czynności pomyłkowych rzecz miała się inaczej; były to przecież czynności na jawie. Ale gdy zasypiam i wstrzymuję aktywność duchową, a tylko nie mogłem powstrzymać pewnych jej resztek, to nie jest wcale konieczne, by te oto resztki miały znaczenie. W ogóle nie mogę tego znaczenia zużytkować, skoro reszta mojego życia duchowego śpi. Chodzić tu może tylko o reakcje błyskawiczne i tylko o takie zjawiska psychiczne, które występują wprost pod działaniem podniet cielesnych. A więc marzenia byłyby resztkami psychicznej czynności na jawie, wicherzycielami snu, i moglibyśmy powziąć zamiar porzucenia tego nieodpowiedniego dla psychoanalizy tematu.

Lecz mimo to, że marzenie senne jest zbyt cenne, istnieje ono, usiłujemy więc zdać sobie sprawę z tego istnienia. Dlaczego nie zasypia życie psychiczne? Prawdopodobnie dlatego, że coś nie daje duszy spokoju. Podniety działają na nią, więc musi na nie reagować. Marzenie senne jest zatem oddziaływaniem duszy na wpływające na nią w stanie sennym podniety. Tu spostrzegamy drogę do zrozumienia marzeń

sennych. Wobec tego możemy w poszczególnych marzeniach sennych poszukiwać podniet zakłócających stan snu, na które śpiący odpowiada mową marzeń sennych. O tyle więc mielibyśmy wyodrębnioną pierwszą wspólną cechę wszystkich marzeń sennych.

Czy istnieją jeszcze inne cechy wspólne? Tak, są one widoczne, lecz trudne do ujęcia i opisania. Akty psychiczne mają we śnie zupełnie inny charakter niż na jawie. Przeżywamy wiele w marzeniu sennym i wierzymy w to, podczas gdy przecież w rzeczywistości nie przeżyliśmy nic, co najwyżej niepokojącą nas podniętę. Przeżycia te są przeważnie natury wzrokowej; tu i ówdzie mogą im towarzyszyć uczucia, myśli, tudzież przeżycia innych zmysłów; jednak widziadła przeważają. Trudność opowiedzenia marzenia sennego pochodzi po części stąd, że musimy te obrazy przetłumaczyć na słowa. Mógłbym to narysować, powiada często śpiący, ale nie wiem, jak mam opowiedzieć. Widzimy więc, że nie jest to właściwie niższa czynność duchowa, jak to ma miejsce, gdy porównujemy osobnika głupawego z geniuszem; istnieje tu różnica co do jakości, lecz trudno określić, na czym ona polega. G. Th. Fechner wyraził raz przypuszczenie, że widownia, na której rozgrywają się (w duszy) marzenia senna, różni się od tej, na której rozgrywają się wyobrażenia na jawie. Nie rozumiemy wprawdzie tego, nie wiemy, co mamy o tym myśleć, ale to określenie odpowiada rzeczywiście osobliwemu wrażeniu, jakie odnosimy z przeważnej części marzeń sennych. Również porównanie czynności marzenia sennego z czynnościami ręki niemuzycznej nie jest trafne. Fortepian odpowiada przynajmniej tymi samymi tonami, jeśli już nie melodiami, gdy przypadkowo przebiegniemy ręką po jego klawiszach. Mimo że nie rozumiemy tej drugiej wspólnej cechy, zachowamy ją dobrze w pamięci.

Czy istnieją jeszcze inne wspólne właściwości? Nie spostrzegam żadnych, widzę tylko wokół różnorodność, i to we wszelkich kierunkach, zarówno w pozornym trwaniu, jak i pod względem wyrazistości, momentów uczuciowych, trwałości itd. Wszystkie te cechy nie są właściwie takie, jak byśmy się spodziewali, gdyby marzenie senna miało być tylko skąpym i chwilowym odparciem podniet, użytym w akcie samoobrony. Rozmiary marzeń sennych są bardzo różne: bywają krótkie o jednym obrazie lub o kilku małych, zawierające tylko jedną myśl lub tylko jedno słowo, inne zaś bogate w treść, zawierające całe powieści, zda się, bardzo długo trwające. Bywają sny tak jasne, jak przeżycie, tak jasne, że nawet jakiś czas po ocknięciu się

nie uznajemy ich tylko za marzenie; inne zaś zupełnie słabe i nikłe jak cień; zdarza się również, że w jednym i tym samym marzeniu zmieniają się nawzajem silnie podkreślone i zaledwie zarysowane części. Marzenia mogą mieć sens, albo przynajmniej wątek, nawet czasami dowcip, fantazję i piękno, inne zaś są pogmatwane, bezrozumne, niedorzeczne, czasami wprost szalone. Bywają sny, które nie czynią na nas żadnego wrażenia, i takie, które poruszają w nas głębie uczuć, ból spotęgowany do płaczu, lęk — aż do przebudzenia, zdumienie, podziw itd. Przeważnie tuż po ocknięciu się ze snu idą marzenia senne w zapomnienie. Niekiedy zachowujemy je jednak w pamięci w ciągu całego dnia, i to w ten sposób, że ku wieczorowi błędnie ich wspomnienie stopniowo. Inne znów, jak np. marzenia senne z czasów dzieciństwa, utrzymują się w pamięci, jak świeże przeżycie, przez przeciąg 30 lat. Marzenia senne mogą pojawiać się, tak jak ludzie, jeden raz i nigdy więcej, lub też zjawiają się one kilkakrotnie u jednej i tej samej osoby, nie zmieniając wcale — lub też tylko nieznacznie — treści. Krótko mówiąc, ta znikoma nocna czynność psychiczna rozporządza niezwykłym repertuarem i mierzyć się może z każdą czynnością psychiczną na jawie, a przecież nie jest z nią identyczna.

Moglibyśmy spróbować zdać sobie sprawę z owych wielorakich właściwości marzenia sennego, gdybyśmy przyjęli, że odpowiadają one różnym stanom pośrednim między snem a jawą, różnym stopniom niezupełnego snu. Ale w miarę wzrastania wartości, treści i wyrazistości czynności marzenia sennego musiałaby wówczas wzrastać pewność, że jest to marzenie senne, gdyż podczas takiego marzenia sennego dusza jest bliska przebudzenia. Wobec tego byłoby niemożliwe, aby bezpośrednio po wyrazistej i rozsądnej części snu następował fragment bezsensowny i niejasny, po czym znów część zupełnie dobra. Tak szybko dusza nie jest w stanie zmieniać głębi snu. Wyjaśnienie to na nic się więc nie zdaje; w ogóle trudno tak, w mgnieniu oka, znaleźć wytłumaczenie.

Zrezygnujmy zatem z „sensu” marzenia sennego, spróbujmy natomiast, opierając się na wspólnych cechach marzeń sennych, utworować sobie drogę do ich zrozumienia. Ze stosunku marzeń sennych do stanu snu wywnioskowaliśmy już, że marzenie senne stanowi reakcję na podniecie zakłócającą sen. Jak już wiadomo, jest to jedyny punkt, w którym może nam przyjść z pomocą ścisła psychologia doświadczalna. Podaje ona nam dowód, że działające podczas snu

podniety występują w marzeniu sennym. Tego rodzaju badania czyniono z różnych stron, nie wyłączając poprzednio już wspomnianego Mourly Volda; a każdy z nas znalazł się chyba już niejednokrotnie w tym położeniu, że może te wyniki potwierdzić własnymi spostrzeżeniami. Wybieram tu kilka dawniejszych doświadczeń. Maury stosował tego rodzaju doświadczenia na własnej osobie. Dano mu podczas snu do wążania wodę kolońską: śnił wówczas, iż jest w Kairze w sklepie Jana Marii Farina; po czym nastąpił dalszy ciąg jakichś szalonych przygód. Albo: uszczypnięto go z lekka w kark, a śniło mu się, że przykłada mu plaster lekraz, który go leczył w dzieciństwie. To znów skropiono mu wodą skroń: był wówczas w marzeniu we Włoszech, pocił się silnie i pił białe wino z Orvieto.

To, co nas teraz uderza w marzeniach sennych wywołanych doświadczalnie, ujmiemy wyraźniej na przykładach tych marzeń sennych, które wywołane zostały przez jakiś bodziec zewnętrzny. Są to trzy marzenia senne podane przez doskonałego obserwatora Hildebrandta. Są one reakcją na hałaśliwe odezwanie się budzika.

„Pewnego wiosennego poranka przechadzam się, błądząc po zieleniejących już polach, i dochodzę do sąsiedniej wsi, gdzie spostrzegam mieszkańców w odświętnych strojach, z książkami do nabożeństwa, śpieszących do kościoła. Rzeczywiście, toż to niedziela i zaraz rozpoczną mszę świętą. Postanawiam być tam również obecnym, poprzednio jednak, ponieważ się zgrzałem, ochłonąć trochę w ogrodzie cementarnym, który otacza kościół. Czytam różne napisy na grobach, gdy nagle słyszę, jak dzwonnik wychodzi na wieżę, i widzę w górze dzwon wiejski, który lada chwila ma dać znak rozpoczęcia mszy. Chwilę jeszcze wisi on bez ruchu, następnie poczyną się kołysać — i nagle rozlegają się jego tony jasno i przenikliwie — tak jasno i tak przenikliwie, że przerywają mi sen. Odgłosy dzwonu pochodzą od budzika”.

„Druga kombinacja. Jasny dzień zimowy; ulice zasypane wysoko śniegiem. Przyrzekłem wziąć udział w wycieczce sankami, muszę jednak dość długo czekać, aż usłyszę znak, że sanki stoją przed drzwiami. Rozpaczam przygotowania, wkładam futro, wydjmuję worek na nogi — wreszcie siedzę na swoim miejscu. Jeszcze odjazd się przeciąga, dopiero bicz daje dotkliwy znak czekającym rumakom. Teraz zbliżają się, silnie potrząsane dzwonki rozpoczynają znaną wszystkim muzykę, i to z taką gwałtownością, że natychmiast zostaje

przedarta pajęczna tkanina marzenia sennego. Ale i tym razem jest to tylko ostry dzwonek budzika”.

„Jeszcze trzeci przykład. Widzę służącą, która niesie kilka tuzinów talerzy, jeden na drugim, wzdłuż korytarza, zmierzając do jadalni. Słup z porcelany w jej ramionach zdaje mi się być w niebezpieczeństwie, mam wrażenie, że traci równowagę. Uważaj, napominam ją, cały ten stos spadnie na ziemię. Oczywiście, nie brak tu zwykłej odpowiedzi: jest już przecież do takich rzeczy przyzwyczajona itd., podczas czego śledzę trwożliwie idącą dalej dziewczynę. I rzeczywiście, na progu potyka się — naczynia spadają i ze stukiem rozpryskują się na sto kawałków. Lecz — ten nie kończący się szmer nie jest, jak wkrótce spostrzegam, właściwym stukiem, lecz jedynie dzwonieniem; to tylko budzik spełnia swą powinność, co budzący się teraz dopiero rozpozna”.

Te marzenia senne są wcale ładne, mają pewien sens, nie są bezładne, co jest zwykle właściwością innych marzeń sennych. Wspólną ich cechą jest, że sytuacja kończy się każdorazowo hałasem, który śniący rozpoznaje jako dzwonek budzika. Widzimy więc tutaj, jak tworzy się marzenie senne, a równocześnie uczymy się czegoś nowego. Marzenie senne nie rozpoznaje budzika — budzik wcale tutaj nie występuje — zastępuje go innym hałasem, interpretuje, i to za każdym razem w inny sposób, podniętę, która sen przerywa. Czemu to? Na to nie ma odpowiedzi, wydaje się to dowolne. Jeśli chcemy zrozumieć marzenie senne, to winniśmy poprzednio wykazać, czemu wybrało ono właśnie ten hałas, a nie inny, by dać obraz bodźca. Ten sam zarzut musimy podnieść przeciwko doświadczeniom Maury’ego, gdyż znajdujemy wprawdzie w marzeniu sennym czynną podniętę, dlaczego jednak w tej właśnie formie, tego się nie dowiadujemy i widoczne jest, że nie jest ona zależna od rodzaju bodźca zakłócającego sen. Prócz tego dołącza się do bezpośredniego, wywołanego podniętą wyniku obfity obcy materiał marzenia sennego, jak np. dziwne przygody w marzeniu o wodzie kolońskiej; z tego zaś, jak do tego dochodzi, nie możemy na razie zdać sobie sprawy.

Weźmy pod rozwagę i to, że marzenia senne, których istotę stanowi budzenie śpiącego, są właściwie najodpowiedniejsze dla stwierdzenia wpływu podnięt zewnętrznych zakłócających sen. W wielu innych wypadkach napotka się większe trudności. Nie budzimy się przecież ze wszystkich marzeń sennych, a jeśli rankiem je sobie

przypominamy, jakże tu jeszcze odnaleźć zakłócającą podniętę, która może oddziaływała w ciągu nocy? Udało mi się raz stwierdzić tego rodzaju hałaśliwy bodziec, ale to, oczywiście, dzięki wyjątkowym okolicznościom. Obudziłem się pewnego ranka w górskiej miejscowości tyrolskiej z uczuciem, iż śniłem tej nocy, że umarł papież. Nie mogłem sobie tego snu wytłumaczyć, lecz wkrótce zapytuje mnie żona: „Czy słyszałeś dziś rano to niemożliwe dzwonienie we wszystkich kościołach i kaplicach?” „Nie, nic nie słyszałem, mam twardy sen”. Lecz dzięki tej informacji zrozumiałem swoje marzenie senne. Jak często mogą tego rodzaju podniety wywoływać u śpiącego marzenia senne, by przy tym ze związku tego nie zdawał on sobie zupełnie sprawy? Być może — bardzo często, być może — nigdy. O ile nie można stwierdzić podniety, nie można też nabrać tu pewnego przekonania. Skoro wiemy zatem, że zewnętrzne pobudki zakłócające sen wyjaśniają tylko część marzenia sennego, a nie całkowitą reakcję, nie przecenimy ich znaczenia.

Mimo to nie należy całkowicie lekceważyć tej teorii. Tym bardziej, że można ją dalej rozwinąć. Widocznie jest obojętne, co zakłóca sen, a pobudza duszę do marzeń sennych. Skoro nie zawsze jest to podrażnienie narządów zmysłowych, może ono wystąpić również w narządach wewnętrznych, może to być tak zwana podnieta cielesna. Z łatwością możemy wyrazić to przypuszczenie, wszak odpowiada ono jednemu z najpopularniejszych sądów o powstawaniu marzenia sennego. Sny pochodzą z żołądka — słyszymy często. Ale i w tym wypadku należy przypuścić, że nie możemy często wykazać po ocknięciu się występującej w nocy podniety cielesnej, tak że pozostaje ona nie udowodniona. Mimo to nie mamy zamiaru lekceważyć doskonałych doświadczeń, na których opiera się teoria powstawania marzeń sennych na tle podrażnień cielesnych. Na ogół jest niewątpliwe, że stan narządów wewnętrznych może wpłynąć na marzenia senne. W wielu przypadkach treść marzeń sennych wykazuje tak wyraźny związek z przepełnieniem pęcherza moczowego lub z podnieceniem narządów płciowych śpiącego, że nie jesteśmy w stanie go przeoczyć lub zapoznać. Od tych przejrzystych przypadków dochodzimy do innych, w których z treści marzeń sennych wywnioskować możemy — z pewnym uzasadnieniem — wpływ tego rodzaju podniety cielesnej, a to na podstawie śladów w tej treści wskazujących nam, że zaszło tu bądź opracowanie, bądź pogłądowe przykrojenie lub przedstawienie

tych podniet. Znany badacz marzeń sennych Scherner popierał gorąco teorię o wywodzeniu się marzeń sennych z podrażnień cielesnych i przytoczył też kilka pięknych przykładów. Skoro widzi w marzeniu sennym „dwa rzędy pięknych, jasnowłosych, o delikatnej cerze chłopców, którzy stoją naprzeciw siebie, drżąc z pragnienia walki, nacierają na siebie i znów od siebie odstępują, potem przybierają dawną pozycję, powtarzając całe to zajście na nowo”, wówczas tłumaczy on sobie te rzędy chłopców jako zęby; przemawia nam to rzeczywiście do przekonania i potwierdzone zostaje w zupełności, skoro po tej scenie następuje inna, podczas której „wyciąga on sobie ze szczęki długi ząb”. Również tłumaczenie (pojawiania się w marzeniu sennym — przyp. red. PWN) długich, wąskich i krętych dróg podnieta pochodząca z jelit wydaje się uzasadnione i potwierdza wywody Schenera, według których marzenie senne stara się przedstawić narząd, od którego pochodzi podnieta, przez podobne doń przedmioty.

Wobec tego musimy być przygotowani do przyznania podnietom wewnętrznym tej samej roli, co i zewnętrznym. W wielu natomiast przypadkach pozostaje tłumaczenie marzenia sennego jako reakcji na podnieta cielesną niepewne i nie udowodnione; wszak nie wszystkie, lecz tylko pewna część marzeń sennych budzi podejrzenie, że w ich powstaniu brały udział podniety natury organicznej. Wreszcie nie sądzę, by wewnętrzna podnieta cielesna, podobnie jak i zewnętrzna podnieta zmysłowa, była w stanie dostatecznie wyświecić problem marzenia sennego. Wyjaśnienie, które im zawdzięczamy, odpowiada jedynie bezpośredniej reakcji marzenia sennego na dany bodziec. Pozostaje zatem jeszcze nie wyjaśnione zagadnienie, skąd pochodzi reszta marzenia sennego.

Zachowajmy jednak w pamięci pewną właściwość marzeń sennych, ujawniającą się przy badaniu wpływów tych bodźców. Marzenie senne nie powtarza po prostu danego podrażnienia, lecz je opracowuje lub o nim jedynie napomyka, umieszcza w pewnym związku lub zastępuje czym innym. Jest to pewna cecha pracy marzenia sennego, która nas musi zająć, gdyż jest możliwe, że zbliża nas ona do poznania jego istoty. Skoro czynimy coś z pewnej pobudki, nie znaczy to, że dana pobudka dzieło nasze w zupełności wyczerpuje. *Macbeth* Szekspira jest np. sztuką okolicznościową, pisaną z okazji wstąpienia na tron króla, który po raz pierwszy złączył pod swym berłem trzy kraje. Ale czy te motywy historyczne wyczerpują treść dramatu, czy wyjaśniają

nam jego wielkość i zagadki? Może podrażnienie zewnętrzne i wewnętrzne są jedynie bodźcami do powstania marzenia sennego, co jednak nie zdradza nam jeszcze jego istoty.

Inną właściwość marzeń sennych, ich osobliwość psychiczną, możemy ująć tylko z trudnością, ponadto brak nam punktu oparcia dla dalszego jego badania. Przeżycia w marzeniu sennym są przeważnie natury wzrokowej. Czy bodźce mogą nam dać wytłumaczenie tego zjawiska? Czy przeżywamy tę pobudkę w rzeczywistości? Czemuż zatem przeżycie to jest wzrokowe, skoro bardzo rzadko bodziec wzrokowy wywołuje marzenie senne? Czy możemy też udowodnić, że skoro śnimy o rozmowach, dotarła podczas snu do naszych uszu mowa lub podobny do niej szmer? Tę możliwość ośmielam się stanowczo odrzucić.

Skoro nie postępujemy naprzód rozstrząsając wspólne cechy marzeń sennych, to spróbujmy może uczynić to z ich odrębnymi cechami. Marzenia senne są przecież często bezsensowne, pogmatwane, niedorzeczne, lecz bywa, że miewają sens, są trzeźwe i rozsądne. Przypatrzmy się, czy te ostatnie nie zdołają nam objaśnić marzeń bezsensownych. Przytaczam tu najświeższe, rozsądne marzenie senne opowiedziane mi przez pewnego młodego mężczyznę: „Przechadzałem się po ulicy M..., gdzie spotkałem pana X i podszedłem do niego na chwilę, potem poszedłem do restauracji. Dwie panie i jeden pan przysiedli się do mego stołu; było to początkowo nieprzyjemne i postanowiłem nie patrzeć na nich, potem spojrzałem i stwierdziłem, że są wcale mili”. Opowiadający dodaje, że wieczoru poprzedzającego ten sen był rzeczywiście na tej ulicy, którą zwykle chodzi, i że spotkał tam pana X. Druga część marzenia sennego nie jest wprost wspomnieniem, ma tylko pewne podobieństwo do przeżycia z dawnych czasów. Inne marzenie senne, pewnej pani: „Mąż mnie zapytuje: Czy nie należałoby kazać nastroić fortepian? A ja odpowiadam: Nie opłaca się, gdyż w każdym razie muszę go dać obić skórą”. Sen ten jest tylko z nieznacznymi zmianami powtórzeniem rozmowy, która miała miejsce poprzedniego dnia między nią a mężem. Czegóż uczymy się z tych dwóch trzeźwych snów? Dostrzegamy w nich to jedynie, że zawierają powtórzenie faktów dnia lub do nich nawiązują. Stanowiąc by to mogło pewien przyczynek, gdybyśmy mogli to nasze orzeczenie zastosować do wszystkich marzeń sennych. Ale o tym nie ma mowy. Odnosi się ono zaledwie do drobnej części snów, w przeważnej zaś ich

części nie napotykaemy śladów nawiązujących do dnia poprzedniego, a sny bezsensowne i niedorzeczne nie dają się wcale z tego punktu widzenia wyjaśnić. Wiemy tylko, że zetknęliśmy się tutaj z nowym zadaniem. Chcemy wiedzieć nie tylko, co powiada marzenie senne, ale również — skoro opowiada coś wyraźnie, jak to wykazują nasze przykłady — dlaczego i po co powtarza znane i świeże przeżycie.

Sądzę, że jesteście, tak jak i ja, znużeni już kontynuowaniem tego rodzaju prób. Widzimy przecież, że całe nasze zainteresowanie dla problemu jest niewystarczające, skoro nie znamy drogi prowadzącej do rozwiązania. Drogi tej na razie jeszcze nie mamy. Psychologia doświadczalna dostarczyła nam jedynie cennych wskazówek co do znaczenia podniet jako sił wywołujących marzenie senne. Ze strony filozofii nie oczekujemy niczego innego jak dumnego zarzutu, że zajmujemy się przedmiotem o tak małej wartości intelektualnej; a nie chcemy szukać wskazówek w dziedzinie wiedzy tajemnej. Historia i pojęcia ludowe powiadają nam, że marzenie senne ma znaczenie, i to pełne doniosłości, i że ma ono dar patrzenia w przyszłość, co trudno nam przyjąć i czego z pewnością nie można udowodnić. Tak to nasze pierwsze starania kończą się zupełną bezradnością.

Niespodzianie zyskujemy jednak pomoc ze strony, w którą nie spoglądaliśmy dotychczas. Język — nie będący zgoła czymś przypadkowym, lecz osadem dawnej wiedzy, z której korzystać można tylko z pewną ostrożnością — mowa nasza, zna coś, co nazywa dziwnym mianem „marzeń na jawie”. Marzenia na jawie są to fantazje, powszechne zjawiska, które spostrzec możemy zarówno u zdrowych, jak i u chorych i które z łatwością możemy zaobserwować u siebie samych. Co nas najbardziej uderza w tych fantastycznych tworach, to nadanie im nazwy „marzenia na jawie”; však brak im obu wspólnych cech marzeń sennych. Nazwa ich przeczy sama przez się temu, jakoby istnieć miał jakikolwiek ich związek ze stanem snu, co się zaś tyczy drugiej wspólnej cechy, to w marzeniu na jawie nie przeżywamy, nie halucynujemy, tylko wyobrażamy sobie. Wiemy wówczas, że fantazjujemy — że nie widzimy, tylko myślimy. Tego rodzaju marzenia występują w okresie przed dojrzewaniem płciowym, w późniejszych latach dzieciństwa, przeciągają się aż do okresu dojrzałości, po czym albo zostają zaniechane, albo zachowane do późnego wieku. Są to sceny i przygody, w których znajdują zaspokojenie pragnienia samolubne, ambicja i potrzeba władzy oraz pragnienia erotyczne danej osoby.

U młodych mężczyzn przodują ambitne fantazje, u kobiet, których ambicja podąża w kierunku powodzenia w miłości, erotyczne. Lecz często kryje się pragnienie erotyczne również i u mężczyzn, wszak czyny bohaterskie i powodzenie mają zdobywać podziw i łaskę niewiast. Marzenia na jawie odznaczają się ponadto bujną treścią i doznają zmiennych losów. Albo bywają po pewnym czasie zaniechane i zastąpione innym marzeniem, albo — zachowane i przetworzone w długie opowieści — przystosowują się tylko do zmienionych warunków życia. Biegną one, że tak powiem, z czasem, który wyciska na nich „piętno” i uwidacznia w ten sposób wpływ nowej sytuacji. Są one surowcem tworów poetyckich; albowiem poeta ze swoich marzeń na jawie, przekształcając je, opracowując i skreślając, tworzy sytuacje, które umieszcza potem w swoich nowelach, powieściach i sztukach teatralnych. Bohaterem marzeń na jawie jest zawsze własna osoba, bądź wprost, bądź też w przejrzystym utożsamieniu się z inną.

Czyżby marzenia na jawie zawdzięczały swą nazwę podobnemu stosunkowi do rzeczywistości, by zaznaczyć w ten sposób, że treść ich należy brać równie mało realnie jak treść marzeń sennych? Kto wie, czy ta wspólność nazwy nie polega na nie znanym nam jeszcze charakterze psychicznym marzeń sennych, właśnie tym, którego poszukujemy! Możliwe, że w ogóle nie mamy słuszności przypisując głębsze znaczenie tej wspólności nazwy. Lecz to wyjaśnić się może dopiero później.

WYKŁAD VI

Założenia i technika tłumaczenia

Panie i panowie! By móc ruszyć naprzód z miejsca, na którym stanęliśmy przy badaniu marzeń sennych, potrzebna nam jest nowa ścieżka, nowa metoda. Proponuję wam zatem — co wydaje mi się uzasadnione — przyjmijmy naprzód jako założenie, że *marzenie senne nie jest zjawiskiem somatycznym, lecz psychicznym*. Co to oznacza — wiecie, ale cóż upoważnia nas do tego przypuszczenia? Nic, ale również nic nie stoi mu na przeszkodzie. Rzecz się ma tak: skoro

marzenie senne jest zjawiskiem somatycznym, to ono nas wówczas nic nie obchodzi. Zająć nas może tylko wtedy, kiedy jest zjawiskiem psychicznym. Pracujemy zatem zakładając, że jest ono nim rzeczywiście, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Czy nasze przypuszczenie jest słuszne i czy je potem uważać mamy tylko za rezultat naszych usiłowań, o tym rozstrzygnie wynik naszej pracy. Cóż chcemy właściwie uzyskać, dokąd zdążamy? Naszym dążeniem, jak zresztą w ogóle w nauce, jest zrozumienie zjawisk, ustalenie związku między nimi, a w końcu, gdzie to jest możliwe, rozszerzenie naszej władzy nad nimi.

Przyjmując, że marzenie senne jest zjawiskiem psychicznym, prowadzimy w dalszym ciągu naszą pracę. Jest więc ono dziełem i pewnego rodzaju wypowiedzeniem się śniącego, które nam jednak nic nie mówi i którego nie rozumiemy. Cóż zrobicie na przykład, skoro pewien sposób mego wyrażania się będzie dla was niejasny? Zapytacie się mnie, nieprawdaż? Czemuż zatem nie ma być nam dozwolone *zapytać śniącego, co oznacza jego marzenie senne?*

Przypomnijcie sobie, że byliśmy już raz w podobnej sytuacji! Miała ona miejsce przy badaniu pewnych czynności pomyłkowych, w wypadkach przejęzyczenia. Ktoś powiedział: „Da sind Dinge zum *Vorschwein* gekommen”. Na to wówczas zapytaliśmy się — nie, na szczęście nie my, tylko inni ludzie, z psychoanalizą nie mający nic wspólnego — a więc zapytano się naszego rozmówcy: cóż on chciał właściwie wyrazić przez te niezrozumiałe słowa? Odpowiedział natychmiast, że miał zamiar powiedzieć: to były świństwa (*Schweinereien*), ale stłumił ten zamiar na korzyść innego, łagodniejszego określenia: „wyszły na jaw pewne rzeczy”. Tłumaczyłem wam już wówczas, że to dopytywanie się służy nam za wzór przy badaniu psychoanalitycznym, a teraz zrozumiecie, że psychoanaliza posługuje się techniką, która stara się wydostać — o ile to tylko możliwe — rozwiązanie zagadki. I tak winien nam jest sam śniący wyjaśnienie swego marzenia sennego.

Oczywiście, że sprawa ta nie idzie tak gładko przy marzeniu sennym. W niektórych przypadkach czynności pomyłkowej ten rodzaj badania nie napotyka trudności; bywały jednak i tu wypadki, że zapytywany nie chciał nic powiedzieć, ba, nawet zgorszony, nie uznawał odpowiedzi, którąśmy mu podsuwali. Przy marzeniu sennym brak jest zupełnie wypadków pierwszej kategorii, śniący powiada zawsze, że nic nie wie. Nie może zaś odrzucić naszego tłumaczenia, gdyż nie mamy żadnego, które myśmy mogli mu przedłożyć. Czy

wobec tego mielibyśmy znów zaniechać naszych prób? Ponieważ śniący o niczym nie wie, my również nie wiemy, a ktoś trzeci dopiero na dobre nic wiedzieć nie może, nie mamy chyba żadnych widoków dowiedzenia się czegokolwiek. Tak, skoro chcecie, to porzucicie tę próbę. Jeśli jednak jesteście innego zdania, możecie mi towarzyszyć na mej drodze. Właściwie powiadam wam, że jest bardzo możliwe, bardzo prawdopodobne, że śniący przecież wie, co oznacza jego marzenie senne, tylko *nie zdaje sobie sprawy z tego, że wie o tym, i dlatego sądzi, że nie wie.*

Zwróćcie mi uwagę, że w tym krótkim wywodzie wprowadzam już drugie przypuszczenie i w ten sposób niezmiernie obniżam wiarygodność mego postępowania — wszystko to, wychodząc po pierwsze z założenia, że marzenie senne jest zjawiskiem psychicznym, a po wtóre, że istnieją w człowieku zjawiska psychiczne, o których wie, sam nie zdając sobie z tego sprawy. Jeśli zważymy potem wewnętrzne nieprawdopodobieństwo każdego z tych dwóch założeń, to możemy ze spokojem odwrócić nasze zainteresowanie od opartych na nich wniosków.

Tak, panie i panowie, nie wezwałem was tutaj, by przedstawić wam coś w niewłaściwym, rozmyślnie przeze mnie przygotowanym świetle, i nie było też moim zamiarem ukryć coś przed wami. Zapowiedziałem wprawdzie: „Wykłady elementarne jako wstęp do psychoanalizy”, ale tym samym nie zamierzałem wcale przedstawić wam mojej nauki *in usum delphini*, wykazując gładkie związki, ukrywając troskliwie wszelkie trudności, wypełniając luki, zamalowując wątpliwości, by w ten sposób wzbudzić w was uczucie spokoju, żeście się czegoś nowego nauczyli. Nie, właśnie przeciwnie, ponieważ jesteście początkujący, chciałem wam pokazać naszą naukę taką, jaką ona jest, nierówną i kanciastą, pełną pytań i wątpliwości. Wiem bowiem, że w żadnej nauce nie może być inaczej, a szczególnie w początkach każdej wiedzy. Wiem również, że nauczający starają się zwykle ukryć te trudności i niedoskonałości przed uczniami. Ale w psychoanalizie to nie uchodzi. W rzeczywistości wysunąłem dwa przypuszczenia, z tych jedno mieszczące się w granicach drugiego, a ten dla kogo całość jest zbyt uciążliwa i niepewna lub kto przywykł do większej pewności i wytworniejszych wywodów, niech nie podąża za nami. Właściwie chcę powiedzieć: ten niech zostawi w spokoju zagadnienia psychologiczne; gdyż należy przypuścić, że tych ścisłych i pewnych dróg, po których on gotów jest kroczyć,

tutaj nie spotka. Jest też zupełnie zbyteczne, by wiedza, która nam coś dać może, ubiegała się o posłuch i zwolenników. Wyniki jej muszą same za nią mówić, może ona zaczekać, dopóki nie zwrócą na siebie uwagi.

Tym jednak, którzy pragną pozostać przy sprawie, przypominam, że moje dwa przypuszczenia nie są równoważnościowe. Nasze pierwsze założenie, że marzenie senne jest zjawiskiem psychicznym, możemy dopiero udowodnić dodatnim wynikiem naszej pracy. Co się zaś tyczy drugiego, to zostało ono już udowodnione na innym polu, a ja tylko ośmielam się przenieść je stamtąd do naszego zagadnienia.

Gdzież jednak, w jakiej dziedzinie, zebrać mamy dowody, że człowiek wie coś nie zdając sobie z tego sprawy — jak to przyjąć musimy u śniącego. Byłby to wówczas fakt niezwykle i zdumiewający, który by musiał pociągnąć za sobą również zmianę naszych pojęć o życiu psychicznym, a który nie ma potrzeby się ukrywać. Nawiasem mówiąc, jest to fakt sprzeczny z samą swoją nazwą, a mimo to pretenduje do rzeczywistości, prawda *contradictio in adjecto*. Właściwie on się wcale nie ukrywa. Nie on ponosi winę, że my nic o nim nie wiemy lub że się o niego nie troszczymy, tak jak nie jest naszą winą, że wszystkie te problemy psychologiczne rozważane bywają przez ludzi, którzy trzymają się z dala od wszystkich decydujących tutaj spostrzeżeń i doświadczeń.

Dowód został uzyskany na polu zjawisk hipnotycznych. Kiedy w r. 1889 byłem świadkiem niezwykle uderzających eksperymentów Liébaulta i Bernheima w Nancy, obserwowałem również następujące doświadczenie. Gdy pewnemu osobnikowi, wprowadzonemu w stan somnambuliczny, narzucono najrozmaitsze przeżycia omamowe, a potem go rozbudzono, to początkowo zdawał się nic nie wiedzieć o zajściach w czasie swego snu hipnotycznego. Bernheim zażądał wprost od niego, by opowiadał, co się z nim działo podczas hipnozy. Twierdził wówczas, że nie przypomina sobie niczego. Lecz Bernheim obstawał przy tym i zapewniał go, że wie, że musi sobie przypomnieć; i, o dziwo, człowiek ten stawał się niepewny, poczynał sobie coś uprzytamniać, przypominał sobie zrazu mglisto zasugerowane mu przeżycia, później inną ich część, wspomnienie nabierało coraz świeższych barw, stawało się coraz bardziej jasne, zupełnie, aż wreszcie wypłynęło w całości. Ponieważ więc dany osobnik wiedział w końcu, a znikąd nie mógł się dowiedzieć, wobec tego słuszny jest wniosek, że

i poprzednio znane mu były owe przeżycia. Były mu one jedynie niedostępne; nie wiedząc, że o nich wie, sądził, że o nich nie wie. A więc zupełnie ten sam stan rzeczy, który przypuszczamy u śniącego.

Sądzę, że zaskoczeni jesteście stwierdzeniem tego faktu i że się mnie zapytacie: czemu nie powołał się pan na ten dowód już wcześniej, przy pomyłkach, kiedy to byliśmy zmuszeni przypisać owemu mówcy, który się przejęzyczał, zamiary, o których tamtemu nic nie było wiadome i których się wypierał. Skoro ktoś sądzi, że nie wie nic o przeżyciach, których wspomnienie nosi w sobie, to nie wydaje się już nadal tak nieprawdopodobne, że nie wie on również o innych swych przejściach psychicznych. Ten argument byłby z pewnością wywarł wrażenie i poparłby zrozumienie pomyłek! Oczywiście, że mógłbym się już wtedy nań powołać, lecz szczydziłem go, pragnąc go zachować aż do tego punktu, w którym może się okazać jeszcze konieczniejszy. Pomyłki wyjaśniły się po części same, po części ostrzegły nas, że należy uznać istnienie aktów psychicznych, o których się wprawdzie nie wie, lecz które ułatwiają nam zrozumienie związku pewnych zjawisk. Przy marzeniu sennym jesteśmy zmuszeni wprowadzić objaśnienia z innej strony, a prócz tego liczę na to, że chętniej się zgodzicie na przeniesienie ich z hipnozy. Stan, w którym popełniamy pomyłki, musi się wam wydawać normalny, nie ma on nic wspólnego ze stanem hipnotycznym. Natomiast istnieje wyraźne podobieństwo między stanem hipnotycznym a stanem snu, który jest warunkiem marzeń sennych. Hipnozę zwiemy sztucznym snem; powiadamy osobie, którą hipnotyzujemy: „śpij”, a sugestie, których udzielamy, porównać można z marzeniami sennymi. Sytuacje psychiczne są w obydwóch wypadkach rzeczywiście analogiczne. Podczas naturalnego snu odwracamy nasze zainteresowanie od całego świata zewnętrznego, w śnie hipnotycznym również od całego świata z wyjątkiem osoby hipnotyzera, pod którego wpływem pozostajemy. Za odpowiednik jego można by uznać tak zwany sen karmicielki (*Ammenschlaf*), podczas którego pozostaje ona w kontakcie z dzieckiem — jedynie ono jest w stanie ją obudzić. Wobec tego stosowanie pewnych danych znanych nam z hipnozy do snu naturalnego nie wydaje mi się zbyt śmiałe. Uzasadnione jest więc przypuszczenie, że i śniący wie o swoim marzeniu sennym, tylko że ta świadomość nie jest mu dostępna tak dalece, że sam w nią wierzy. Zauważmy zatem, że otwiera się nam tutaj trzeci dostęp do badania marzenia sennego; pierwszy, od strony podniet zakłócających sen,

drugi, pochodzący z marzeń na jawie, a wreszcie teraz trzeci, oparty na snach sugerowanych w hipnozie.

Powróćmy tedy ze wzmożonym zaufaniem do naszego zadania. Jest więc bardzo prawdopodobne, że śniący wie, co oznacza jego marzenie senne; chodzi przeto teraz o to, żeby mu umożliwić odszukanie i zakomunikowanie nam swojej wiedzy. Nie żądamy, by nam natychmiast podał znaczenie swego snu, lecz będzie chyba mógł odszukać jego pochodzenie, zakres myśli i zainteresowań, z których się wywodzi. W wypadku, który sobie przypominacie, pytano się mówcy, w jaki sposób doszedł do błędnego słowa *Vorschwein*, a jego najbliższe skojarzenie dało nam wyjaśnienie. Nasza technika przy marzeniu sennym jest bardzo prosta, naśladuje ona ten przykład. Zapytamy się więc śniącego, w jaki sposób doszedł do swego snu, a jego pierwsza odpowiedź ma nam służyć za wyjaśnienie. Nie zwracamy tu uwagi na różnice, czy dany osobnik sądzi, że coś wie, czy też nie, i traktujemy obydwie wypadki jak gdyby jeden.

Ta technika jest rzeczywiście bardzo prosta, lecz obawiam się, że wywoła surowy sprzeciw z waszej strony i powiecie: znów nowe przypuszczenia, już trzecie z kolei! A do tego najmniej prawdopodobne ze wszystkich. Skoro zapytuję śniącego, co mu przychodzi na myśl w związku z marzeniem sennym, czyż jego pierwsze skojarzenie ma przynieść żądane wyjaśnienie? Albo w ogóle nie musi mu nic przyjść na myśl, albo też może sobie pomyśleć Bóg wie co. Nie możemy zrozumieć, na czym opiera się takie przypuszczenie. Znaczyłoby to wykazywać zbytnią łatwowierność w chwili, gdy bardziej na miejscu byłaby ostrzejsza krytyka. Ponadto marzenie senne nie jest pojedynczym słowem błędnym, lecz składa się z wielu pierwiastków. Które skojarzenie mamy zatem uważać za trafne?

We wszystkich szczegółach macie rację. Marzenie senne różni się od przejęzyczenia także mnogością składników i do tego też zastosować się musi technika. Proponuję wam zatem, by rozdzielić marzenie senne na jego składniki, a badanie rozpocząć od każdego składnika oddzielnie, a wówczas otrzymamy znów analogię do przejęzyczenia. I znów macie rację utrzymując, że zapytany odpowiedzieć może, iż odnośnie do oddzielnych składników jego marzenia sennego nie przychodzi mu nic na myśl. Bywają wypadki, w których uznajemy tego rodzaju odpowiedź; zobaczycie później, jakie. Są to — rzecz ciekawa — także przypadki, w których nam samym może coś przyjść na myśl. Ale

w przeważnej liczbie marzeń sennych energicznie zaprzeczamy śniącemu, skoro podaje, że mu się nic nie kojarzy — zapewniając go, że nieodzownie jakieś myśli muszą mu się nasuwać, i będziemy mieli słusność. W istocie, poda on skojarzenie, jakiegokolwiek, jakie — to jest nam obojętne. Pewnego rodzaju informacji, które nazwać by można historycznymi, z łatwością nam udzieli, na przykład: to wydarzyło się wczoraj (tak jak w tych dwóch znanych nam „trzeźwych” snach), lub też: to przypomina mi niedawne zdarzenie; i w ten sposób spostrzegamy, że marzenie senne nawiązuje znacznie częściej, niż początkowo sądziliśmy, do wrażeń z dni ostatnich. W końcu przypomni sobie śniący wydarzenia sięgające daleko wstecz.

Co do istoty rzeczy nie macie jednak słusności. Mylicie się, jeśli sądzicie, że przypuszczenie, iż najbliższe skojarzenie śniącego przyniesie to, czego szukamy, albo wskaże do tego drogę, jest dowolne; mylicie się mniemając, że skojarzenie to może być byle jakie i bez związku ze znaczeniem całości i że oczekiwania moje są tylko wyrazem naiwności. Już raz ośmieliłem się zwrócić wam uwagę, że tkwi w was głęboko zakorzeniona wiara — zresztą zupełnie nienaukowa — w swobodę i dowolność psychiczną. Lecz ustąpić ona musi przed wymaganiami determinizmu, który opanowuje również życie psychiczne.

Proszę uznać za fakt, że zapytanemu przyszło tylko to jedno na myśl i nic więcej, lecz nie przeciwstawiam jednej wiary drugiej. Owszem, da się udowodnić, że skojarzenie, które wypowiada zapytany, nie jest dowolne, nieokreślone i bez związku z tym, czego poszukujemy. Oto bowiem dowiedziałem się niedawno, nie przykładając zresztą do tego zbytnej wagi, że i psychologia doświadczalna zebrała takie same dowody.

Wobec doniosłości przedmiotu proszę o szczególne skupienie. Skoro żądam od danego osobnika, by powiedział mi, co mu przychodzi na myśl w związku z pewnym składnikiem marzenia sennego, to wymagam od niego, by puścił wodze wolnym skojarzeniom, zachowując pewne wyobrażenia jako punkt wyjścia. To wymaga szczególnego nastawienia uwagi, które różni się od rozmyślania i wyklucza je zupełnie. Niektórzy stosują się do tego z łatwością, inni znów okazują się przy tego rodzaju próbie bardzo niezręczni. Istnieje jeszcze wyższy stopień swobody skojarzeń, gdy wyrzekam się i tego wyobrażenia wyjściowego i oznaczam jedynie rodzaj skojarzenia, na przykład żądając podania mi imienia lub też liczby. Tego rodzaju skojarzenie

musiałoby być jeszcze dowolniejsze, jeszcze bardziej nieobliczalne aniżeli pierwej podane, a stosowane w naszej technice. Daje się jednak wykazać, że i ono jest za każdym razem ściśle określone przez ważne nastawienia wewnętrzne, uczuciowe, które są nam równie nie znane w danej chwili, jak i te tendencje, które wywołują czynności pomyłkowe.

Ja sam i wielu innych po mnie wielokrotnie robiło podobne próby wywołania imienia lub liczby, a niektóre przykłady zostały nawet opublikowane. Postępuje się tu w ten sposób, że w związku z pomyślanym już imieniem daje się podnieść do dalszych skojarzeń, które już nie są zupełnie dowolne, lecz w pewnej mierze wyznaczone, podobnie jak skojarzenia z pierwiastkami marzenia sennego, a to tak długo, aż się nie wyczerpie impuls w tym kierunku. Wówczas wyjaśnia się umotywowanie i znaczenie pomyślanego imienia. Próby tego rodzaju wykazują zawsze to samo, wydobyta wówczas treść czerpie swój materiał bardzo często z bogatych źródeł i wymaga obszernych wywodów. Najbardziej może przemawiają do przekonania skojarzenia ze swobodnie występującymi liczbami, przebiegają one z wielką szybkością i zdążają do ukrytego celu z niepojętą pewnością, olśniewając nas po prostu. Przynotuję wam tu tylko jeden przykład analizy imienia, która nie wymaga wielkiego materiału.

W czasie badania pewnego młodego człowieka przechodzę na ten temat i wypowiadam między innymi zdanie, iż mimo pozornej dowolności nie może nam przejść przez myśl imię, które by nie było ściśle uwarunkowane przez najbliższe okoliczności, przez właściwości badanego osobnika i wreszcie jego chwilową sytuację. Pacjent mój wątpi, więc proponuję mu, by bezzwłocznie sam uczynił tego rodzaju próbę. Ponieważ wiem, że ów jegomość ma liczne stosunki z wszelkiego rodzaju kobietami i dziewczętami, mniemam przeto, że wybór będzie miał wielki, skoro wybierze właśnie imię żeńskie. Zgadza się na tę propozycję. Ku memu, a raczej ku jego zdziwieniu nie wybucha bynajmniej lawiną imion kobiecych, lecz zachowuje jakiś czas milczenie i wyznaje potem, że przyszło mu na myśl tylko jedno imię: Albina, a prócz tego żadne. Jakie to dziwne, ale cóż wiąże się dla pana z tym imieniem? Ile Albin pan zna? Szczególnie, nie znał on żadnej Albiny i nie zjawily się też skojarzenia z tym imieniem. Wobec tego można było przypuścić, że analiza się nie udała; ale przeciwnie, była ona już ukończona, dalsze skojarzenia były już zbyteczne. Ów jegomość miał

niezwykle jasną karnację, w czasie kuracji kilkakrotnie żartobliwie nazwałem go albinosem, byliśmy właśnie wówczas zajęci ustalaniem pierwiastków kobiecych w jego konstytucji. On to był ową Albiną, podówczas najbardziej zajmującą dlań kobietą.

Również i melodie, które nam bezpośrednio wpadają na myśl, ukazują uwarunkowanie i przynależność do pewnego zakresu myśli, które mając prawo nas zajmować, mimo że nie zdajemy sobie sprawy z ich czynności. Z łatwością możemy wtedy wskazać związek istniejący między melodią a jej tekstem lub jej pochodzeniem. Tu jednak zastrzegam się, że nie rozszerzam tych poglądów na ludzi rzeczywiście muzycznych, co do których nie mam przypadkowo doświadczenia. U nich, zdaje się, to muzyczna zawartość melodii powoduje jej wynurzenie się. Częstszy jest jednak pierwszy rodzaj. I tak, znam pewnego młodego człowieka, którego prześladowała — zresztą urocza — melodia pieśni Parysa z *Pięknej Heleny* dopóty, dopóki analiza nie zwróciła mu uwagi na ówczesną rywalizację w jego sercu pewnej „Idy” z pewną „Heleną”.

Skoro zatem owe swobodnie występujące skojarzenia są w ten sposób uwarunkowane i uporządkowane w pewnym oznaczonym związku, to słusznie możemy wywnioskować, że i skojarzenia, które związane są jedynie z wyobrażeniami wyjściowymi, mogą być uwarunkowane przynajmniej w tym samym stopniu. Badania wykazują też, że prócz narzuconego im związku z wyobrażeniem wyjściowym rozpoznać tu możemy jeszcze inną zależność, a mianowicie od pewnego zakresu myśli i zainteresowań o silnym akcencie uczuciowym, tak zwanych kompleksów, których współdziałanie jest w danym momencie nie znane, a więc nieświadome.

Kojarzenia charakteryzujące się tego rodzaju zależnością były już przedmiotem bardzo pouczających badań doświadczalnych, które odegrały doniosłą rolę w historii psychoanalizy. Szkoła Wundta przedstawiła tak zwane doświadczenie kojarzeniowe, podczas którego rzuca się badanej osobie pewne słowa jako podniecie i żąda od niej w odpowiedzi możliwie szybkiej, dowolnej reakcji. Można wówczas badać przerwę dzielącą podniecie od reakcji oraz rodzaj odpowiedzi podanej jako reakcja, ewentualne błędy zachodzące przy późniejszym powtórzeniu doświadczenia itd. Szkoła zurychska, pod przewodnictwem Bleulera i Junga, dała wyjaśnienie reakcji występujących w doświadczeniach skojarzeniowych, żądając od badanych osobników

wyjaśnienia otrzymanych reakcji — o ile uderzyły swą osobliwością — za pomocą dalszych skojarzeń. Okazało się wówczas, że owe osobliwe reakcje wyznaczone były w szczególnie jasny sposób przez kompleksy osób badanych. Toteż zasługą Bleulera i Junga jest rzucenie pierwszego mostu łączącego psychologię doświadczalną z psychoanalizą.

W ten sposób pouczeni, możecie powiedzieć: uznajemy teraz, że swobodne skojarzenia są zdeterminowane, a nie dowolne, jak myśleliśmy dotychczas. Przyznajemy też tę właściwość kojarzeniom w stosunku do pojedynczych składników marzenia sennego. Lecz nie o to nam właściwie chodziło. Pan twierdzi, że kojarzenie ze składnikiem marzenia sennego jest wyznaczone przez nie znane nam tło psychiczne właśnie tego składnika. To nie wydaje się nam dowiedzione. Spodziewamy się wprawdzie, że kojarzenie ze składnikiem marzenia sennego zostanie pokierowane kompleksami śniącego, ale cóż na tym zyskamy? Nie dochodzimy na tej drodze do zrozumienia marzenia sennego, lecz — jak wskazuje owo doświadczenie kojarzeniowe — do poznania tak zwanych kompleksów. Ale cóż one mają wspólnego z marzeniem sennym?

Macie słusność, lecz pomijacie pewną okoliczność, zresztą właśnie tę, z racji której nie wybrałem doświadczenia kojarzeniowego jako punktu wyjścia dla tych rozważań. Podczas tego doświadczenia słowo stanowiące podniętę, a więc jeden z wyznaczników reakcji, zostaje przez nas dowolnie wybrane. Reakcja jest wtedy pośrednikiem między tym słowem-podniętą a pobudzonym przez nas kompleksem osoby badanej. W marzeniu sennym słowo-podnięta zastąpione jest przez pierwiastek duchowy — pochodzący z nie znanych śniącemu źródeł życia psychicznego, a więc stanowiącego z łatwością sam przez się „pochodną kompleksu”. Toteż nie jest zbyt fantastyczne przypuszczenie, że i dalsze skojarzenia nawiązujące do pierwiastków marzenia sennego spowodowane być mogą wyłącznie przez kompleks właśnie tego składnika i że doprowadzają w dalszym ciągu do jego wykrycia.

Pozwólcie, że wykażę wam na innym przypadku, iż doprawdy sprawa ma się tak, jak tu przypuszczamy. Zapominanie imion własnych jest właściwie doskonałym wzorem dla analizy marzeń sennych; tu przypada jednej osobie to wszystko, co podczas analizy snu rozdzielone jest na dwie. Jeśli czasami zapominam jakiegoś imienia, mimo to jestem pewien, że je znam, a tę pewność zdobywamy sobie u śniącego w drodze okrężnej, znajdując wskazówki w doświadczeniu Bernheima.

Imię zapomniane, a mimo to wiadome, nie jest mi dostępne. Rozmyślanie nad nim, nawet najbardziej intensywne, nie przychodzi mi tu z pomocą, o tym wiem już z doświadczenia. Mogę jednak na miejsce zapomnianego wywołać kilka imion zastępczych. Jeśli takie imię zastępcze przychodzi mi na myśl spontanicznie, wówczas staje się widoczna zgodność tej sytuacji z analizą marzenia sennego. Wszak i składnik marzenia sennego zastępuje jedynie to właściwe jądro, którego nie znam i które dopiero analiza marzenia sennego ma mi objawić. Różnica polega na tym, że podczas gdy przy zapominaniu imion bezzwłocznie rozpoznaję, że nasuwające mi się imię zastępcze nie jest właściwe, to pogląd ten odnośnie do składnika marzenia sennego zdobyliśmy z trudem. Atoli i przy zapominaniu imion znamy drogę, którą dojść można od imienia zastępczego do właściwego, nieświadomego, czyli zapomnianego. Jeśli zwrócę swoją uwagę na to imię zastępcze i kojarzę dalej nasuwające mi się imiona, dochodzę po krótszym lub dłuższym błędzeniu do zapomnianego imienia i przekonuję się, że przypadkowe, jak również przeze mnie wywołane imiona zastępcze były w związku z imieniem zapomnianym i zostały przez nie wyznaczone.

Przytoczę wam tutaj analizę tego rodzaju. Pewnego dnia spostrzegam, że nie mogę sobie przypomnieć nazwy państewka na Riwierze, którego stolicą jest Monte Carlo. Gniewa mnie to, ale tak jest. Sprawdzam całą moją wiedzę o tym kraju, myślę o księciu Albercie z domu Lusignan, o jego małżeństwach, jego zamiłowaniu do badań głębin morskich i o wszystkim, co poza tym przypomnieć sobie mogę, lecz na próżno. Zaniechałem zatem rozmyślań, a na miejsce zapomnianego imienia wywołuję inne, zastępcze. Zjawiają się one szybko. Naprzód samo Monte Carlo, następnie Piemont, Albania, Montevideo, Colico. Albania uderza mnie w tym szeregu, potem zjawia się szybko Montenegro, widocznie jako kontrast białego z czarnym. Teraz spostrzegam, że cztery z tych imion zastępczych zawierają zgłoskę mon; błyskawicznie zjawia się zapomniane słowo i wykrzykuję głośno Monaco. Widoczne jest, że imiona zastępcze rekrutują się z imienia zapomnianego; cztery pierwsze z pierwszej zgłoski, ostatnie przynosi znów porządek zgłosek i końcową zgłoskę. Prócz tego rozpoznać mogę z łatwością, co odsunęło ode mnie tę nazwę na pewien czas. Monaco odpowiada również Monachium jako włoska nazwa tego miasta; to miasto wywarło tu hamujący wpływ.

Ten przykład jest bezsprzecznie piękny, lecz za prosty. W innych wypadkach należy puścić cugle skojarzeniom do pierwszych imion zastępczych, a wówczas staje się bardziej przejrzysta analogia z analizą marzenia sennego. I na tym polu mam pewne doświadczenie. Przypominam sobie zdarzenie, kiedy to pewien cudzoziemiec zaprosił mnie na szklanekę włoskiego wina. Gdy przybyliśmy do gospody i mieliśmy zamówić wino, okazało się, że mój znajomy, który mnie zaprosił, zapomniał nazwy owego wina, które zawsze wspominał z uznaniem. Z obfitej ilości różnych imion zastępczych, które wpadały mu na miejsce zapomnianego, wyciągnąłem wreszcie wniosek, że ze względu na jakąś Jadwigę nie zapamiętał owej nazwy. Moje przypuszczenie zostało potwierdzone przez wyznaczenie mego towarzysza, że rzeczywiście pił on po raz pierwszy to wino w towarzystwie pewnej Jadwigi. Po tym wyznaniu znalazł poszukiwaną przezeń nazwę. Był on w owym czasie szczęśliwym małżonkiem, a wspomniana Jadwiga przypominała mu czasy, do których niechętnie powracał myślami.

Jeśli takie postępowanie jest uzasadnione przy zapominaniu imion, oddać nam ono musi te same usługi przy tłumaczeniu marzeń sennych. Dlatego sądzimy, że kojarząc z zastępczymi wyobrażeniami dotrzemy do utajonego właściwego jądra rzeczy. Opierając się na przykładzie zapominania imion możemy przyjąć, że kojarzenia ze składnikami marzeń sennych wyznaczone są zarówno przez składniki snu, jak i przez jego nieświadome jądro. W ten sposób zdołaliśmy zebrać pewne dane gwoli usprawiedliwienia naszej techniki.

WYKŁAD VII

Jawna treść marzenia sennego i utajone myśli senne

Panie i panowie! Jak widzicie, studia nad czynnościami pomysłowymi oddały nam pewne usługi. Dzięki tym usiłowaniom — wychodząc ze znanego wam założenia — zdobyliśmy sobie pojęcie o pierwiastkach marzenia sennego oraz technikę jego tłumaczenia. Pojęcie pierwiastków marzenia sennego formułujemy w ten sposób, że

każdy składnik jest czymś niewłaściwym, namiastką czegoś innego, a śniącemu nie znanego, i podobnie jak tendencja czynności pomyłkowych zastępuje on coś, o czym wprawdzie śniący wie, co mu jednak pozostaje niedostępne. Spodziewamy się, że zdołamy rozciągnąć to pojęcie na całe marzenie senne, które składa się przecież z takich pierwiastków. Zadaniem naszej techniki jest wywołanie drogą swobodnego kojarzenia z pierwiastkami snu tworów zastępczych, z których moglibyśmy odgadnąć ukryte jądro.

Proponuję wam tedy zmianę naszej terminologii, która da nam większą swobodę ruchu. Zamiast „ukryty”, „niedostępny”, „niewłaściwy” powiemy: „świadomości śniącego niedostępny”, czyli *nieświadomy*, stosując w ten sposób ściślejsze określenie. Nie określamy zatem nic innego, tylko to, co nam daje związek z brakującym słowem lub z zakłócającą tendencją czynności pomyłkowej, to znaczy *tymczasowo nieświadome*. Oczywiście, że w odróżnieniu od tego nazwać należy świadomymi pierwiastki marzenia sennego oraz zdobyte drogą skojarzenia wyobrażenia zastępcze. Nadanie nowej nazwy nie jest jeszcze równoznaczne z jakąś budową teoretyczną. Zastosowanie słowa „nieświadome” jako określenia trafnego i łatwo zrozumiałego jest bez zarzutu.

Skoro przeniesiemy nasze ujęcie pojedynczego pierwiastka marzenia sennego na cały sen, okaże się, że jako całość zastępuje on w postaci zniekształconej coś innego nieświadomego, a zadaniem interpretacji marzenia sennego jest wydobyć tego na jaw. Wynikają stąd od razu trzy ważne prawidła, do których należy się stosować przy tłumaczeniu marzeń sennych:

1. Nie należy troszczyć się o to, co sen zdaje się wyrażać, bez względu na to, czy jest rozsądny czy bezsensowny, jasny czy pogmatwany, gdyż w żadnym razie nie jest on poszukiwanym przez nas nieświadomym (pewnego rodzaju ograniczenie tej reguły narzuci się nam później).
2. Pracę ogranicza się jedynie do wywołania wyobrażeń zastępczych dla pojedynczych składników, nie rozmyśla się nad nimi, nie bada się ich, czy zawierają coś odpowiedniego, nie troszczy się o to, czy odbiegają zbyt od składników marzenia sennego.
3. Czeka się, aż ukryte, a poszukiwane przez nas nieświadome zjawi się samorodnie, podobnie jak słowo „Monaco” w opisanym powyżej przykładzie.

Rozumiemy więc teraz, że jest właściwie obojętne, czy przypominamy

sobie marzenie senne całe lub w części, a przede wszystkim — wiernie czy niepewnie. Wszak przypomniane marzenie senne nie jest właściwe, zastępuje ono tylko w zniekształconej postaci inną treść i pomóc ma nam, przez wywołanie innych tworów zastępczych, zbliżyć się do właściwej treści marzenia sennego, uświadomić jego nieświadome jądro. Jeśli więc nasze wspomnienie było niedokładne, to dokonało ono po prostu dalszego zniekształcenia tego surogatu, co zresztą też może być umotywowane.

Można tłumaczyć zarówno własne marzenia senne, jak i sny ludzi obcych. Na snach własnych można się nawet więcej nauczyć, cały proces wypada bardziej przekonująco. Jeśli tego zatem spróbujemy, spostrzeżemy, że coś stawia opór naszej pracy. Zjawiają się wprawdzie skojarzenia, lecz nie wszystkie uznajemy. Widoczne są wpływy oceniające i wybierające. Przy jednym kojarzeniu powiadamy sobie: nie, nie nadaje się, nie odpowiada nam; przy innym znów: to zbyt bezsensowne; przy trzecim: to jest mało ważne; a zauważyć można i w dalszym ciągu, jak dławimy tego rodzaju zastrzeżeniami nasze skojarzenia, nim jeszcze stały się nam one jasne, a w końcu je przepędzamy. A więc z jednej strony trzymamy się zanadto kurczowo wyobrażenia wyjściowego, czyli samego pierwiastka marzenia sennego, z drugiej zaś, wybierając, zakłócamy wynik swobodnych skojarzeń. Jeśli przy tłumaczeniu marzenia sennego nie jesteśmy sami, spostrzegamy wyraźnie jeszcze jeden motyw, którego przy tym nieodzownym wyborze używamy. Powiadamy sobie wtedy: nie, ta myśl jest zbyt nieprzyjemna, nie mogę lub nie chcę się nią podzielić.

Te zastrzeżenia zagrażają wynikom naszej pracy. Musimy się przed nimi bronić, a czynimy to u siebie samych w ten sposób, że przyrzekamy sobie im nie ulec; skoro tłumaczymy marzenie senne innej osoby, stawiamy jako warunek nie do przekroczenia, że każda myśl musi być wypowiedziana bez względu na to, czy uważa się ją za nieważną, bezsensowną, nie należącą do rzeczy lub choćby za przykrą do zakomunikowania. Analizowany przyrzeka przestrzegać tego prawidła, potem zaś możemy się gniewać, o ile nie dotrzymuje ściśle tego przyrzeczenia. Z początku staramy się wytłumaczyć to sobie tym, że mimo autorytatywnego zapewnienia nie zdołaliśmy przekonać pacjenta o celowości swobodnego kojarzenia. Namyślamy się, czy nie należałoby pozyskać go naprzód na drodze teoretycznej, dając mu do czytania prace naukowe lub posyłając go na wykłady, które uczynią

zeń zwolennika naszych zapatrywań na sprawę swobodnych skojarzeń. Atoli spostrzeżenia poczynione na własnej osobie ratują nas przed tego rodzaju uchybieniem. Wszak i tu stwierdzamy, mimo że pewni jesteśmy naszego przekonania, przeciw niektórym z naszych skojarzeń te same krytyczne zastrzeżenia, które dopiero później — że tak powiem „w drugiej instancji” — zostają usunięte.

Zamiast zatem irytować się z powodu nieposłuszeństwa śniącego, możemy skorzystać z tego doświadczenia, by nauczyć się czegoś nowego, co jest tym ważniejsze, że nie byliśmy na to przygotowani. Rozumiemy więc, że praca tłumaczenia marzeń sennych odbywa się wbrew oporowi, który jej przeciwdziała, a krytyczne zastrzeżenia są właśnie jego wyrazem. Ten opór jest niezależny od teoretycznego przekonania śniącego. Owszem, dowiadujemy się jeszcze więcej. Przekonywamy się, że to krytyczne zastrzeżenie nie ma właściwie nigdy racji. Owe skojarzenia, które tak chętnie pragniemy stłumić, okazują się *bez wyjątku* najważniejsze i rozstrzygające przy odszukiwaniu pierwiastka nieświadomego. Jest to pewnego rodzaju wyróżnienie, jeśli skojarzeniu towarzyszy tego rodzaju zastrzeżenie.

Opór ten jest czymś zupełnie nowym, jest to zjawisko, które napotkaliśmy wychodząc z naszych założeń, mimo że nie było ono w nich zawarte. Nowy ten czynnik w naszym procesie nie jest zbyt miłą niespodzianką. Przeczuwamy już, że nie ułatwi nam naszej pracy. Może on nas nawet doprowadzić do tego, że zaniechamy całego trudu badania marzenia sennego. Coś tak nieważnego, jak marzenie senne, i do tego takie trudności zamiast gładkiej techniki! Z drugiej strony, mogą właśnie te trudności dodać nam bodźca i obudzić w nas nadzieję, że praca ta godna jest wysiłku. Napotykamy regularnie opór, jeśli pragniemy przedostać się od zastępczego pierwiastka marzenia sennego do utajonego, nieświadomego. Wobec tego możemy wnioskować, że poza tym „zastępcą” kryje się coś doniosłego. Jakież inny cel bowiem miałyby owe trudności, które utrzymują w mocy to utajenie? Jeśli dziecko nie chce otworzyć piąstki, by pokazać, co w niej trzyma, to z pewnością jest to coś niedozwolonego, coś, czego mu mieć nie wolno.

W chwili, kiedy wprowadzamy do naszych pojęć dynamiczne wyobrażenie oporu, musimy również pamiętać o tym, że moment ten jest czymś ilościowo zmiennym. Bywają większe i mniejsze opory i jesteśmy przygotowani na to, że te różnice będziemy zdolni wykazać podczas naszej pracy. Może zespolimy z tym i inne doświadczenia,

zebrane również przy pracy tłumaczenia marzeń sennych. Czasami wystarczy jedno lub niewiele skojarzeń, by poprowadzić nad od pierwiastka marzenia sennego do jego pierwiastka nieświadomego, podczas gdy innym razem musi się przejść cały łańcuch skojarzeń oraz przewyciężyć wiele krytycznych zastrzeżeń. Powiemy, że ta różnorodność zależna jest od zmiennej wielkości oporu, i będziemy mieli prawdopodobnie słuszość. Skoro opór jest niewielki, to i twór zastępczy jest niezbyt oddalony od nieświadomości; natomiast wielki opór wymaga wielkich zniekształceń pierwiastka nieświadomego, a tym samym znacznego cofnięcia się od namiastki do nieświadomego.

Byłaby już może teraz właściwa pora, by wziąć jakieś marzenie senne, wypróbować na nim naszą technikę, ażeby się przekonać, czy sprawdzają się pokładane w niej nadzieje. Dobrze, ale jakie marzenie senne mamy tu wybrać? Nie uwierzycie, jak trudno mi zdecydować, i nie mogę nawet wytłumaczyć wam, na czym polega ta trudność. Bywają, oczywiście, marzenie senne, które nie doznały wielkiego zniekształcenia, i byłoby może najlepiej rozpocząć od nich. Ale jakie marzenia senne są najmniej zniekształcone? Czy te zrozumiałe i proste, z których dwa już wam przytoczyłem? Tu byśmy się grubo pomylili! Badanie wykazuje, że zostały one w wysokim stopniu zniekształcone. Skoro zatem — nie dbając o szczególne warunki — podam wam dowolne marzenie senne, będziecie z pewnością bardzo rozczarowani. Być może, że będziemy zmuszeni zanotować takie mnóstwo skojarzeń do poszczególnych pierwiastków snu, że cała praca stanie się zupełnie nie do objęcia. Jeśli zapiszemy marzenie senne i z notatką tą porównamy wszystkie nasuwające się kojarzenia, to może się okazać, że ich objętość przewyższy wielokrotnie sam tekst snu. Najdogodniejsze okaże się zatem wyszukanie kilku krótszych marzeń sennych, z których każde może nam przynajmniej coś powiedzieć lub potwierdzić. Zdecydujemy się więc na nie, gdyby doświadczenie nie miało nam wskazać, gdzie znaleźć możemy naprawdę najmniej zniekształcone marzenia senne.

Znam jednak jeszcze inne ułatwienie, które ponadto leży na naszej drodze. Zamiast tłumaczenia całych snów, ograniczymy się do pojedynczych pierwiastków i śledzić będziemy na szeregu tych przykładów, w jaki sposób znajdują one wyjaśnienie przy użyciu naszej techniki.

a) Pewna pani opowiada, że śniła często, jako dziecko, iż *Pan Bóg ma na głowie spiczasty kapelus z papieru*. Jak chcecie to zrozumieć bez

pomocy śniącej? Brzmi to przecież zupełnie bezsensownie. Ale przestaje być takie, gdy nam owa pani opowiada, że jako dziecko ubierano ją do stołu w tego rodzaju kapelusz, by przeszkodzić jej w zerkaniu na talerze rodzeństwa w celu zobaczenia, czy które z nich nie dostało cokolwiek więcej od niej. Kapelusz ten miał spełniać funkcję ochronną. Zresztą jest to informacja historyczna podana bez wszelkiej trudności. Tłumaczenie tego składnika, a zarazem tego całego krótkiego snu, ułatwia następujące kojarzenie śniącej: „Ponieważ słyszałam, że Pan Bóg jest wszechwiedzący i widzi wszystko, to i sen może tylko znaczyć, że ja wszystko wiem i widzę jak Pan Bóg, nawet wówczas, jeśli chcą mi w tym przeszkodzić”. Ten przykład jest może za prosty.

b) Pewna sceptyczna pacjentka ma dłuższe marzenie senne, w którym jacyś ludzie opowiadają o mojej książce „O dowcipie”, bardzo ją chwając. Potem jest mowa o *kanale*, o *jakiejś może innej książce*, w której mowa o *kanale*, lub *coś wspólnego z kanałem... ona nie wie... to jest zupełnie niejasne*.

Jesteście zapewne skłonni przypuścić, że składnik „kanał” z trudem lub wcale nie da się wytłumaczyć, gdyż sam jest tak nieokreślony. Przypuszczenie co do tej trudności jest słuszne, lecz nie z tej racji, że ów składnik jest niewyraźny, lecz właśnie z tej przyczyny, która utrudnia nam również tłumaczenie. Śniącej do słowa „kanał” nic nie przychodzi na myśl; ja, oczywiście, również nie wiem, co powiedzieć. W chwilę potem, w rzeczywistości na drugi dzień, opowiada ona, że przyszło jej na myśl coś, co *może wyjaśni również dowcip*, który słyszała niedawno. Na okręcie między Dover i Calais rozmawia znany literat z pewnym Anglikiem, który cytuje w pewnym momencie następujące zdanie: *Du sublime au ridicule il n’y a qu’un pas*. Na co literat odpowiada: *Oui, le pas de Calais* — przez co chce powiedzieć, że jego zdaniem Francja jest wspaniała, a Anglia śmieszna. Ów *Pas de Calais* jest przecież *kanalem*, mianowicie *Canal la Manche*. Czy ja przypuszczam, że to skojarzenie ma coś wspólnego z marzeniem sennym? Zapewne, rozwiązuje ono zagadkowy pierwiastek snu. Lub może wątpicie w to, że ten dowcip istniał już przed marzeniem sennym jako nieświadome pierwiastka „kanał”, czy przypuszczacie, że został wynaleziony dopiero później? To skojarzenie reprezentuje sceptycyzm, który kryje się w niej za szczerym podziwem, a opór odpowiedzialny jest zarówno za uciążliwość skojarzeń, jak i za niepewność sformułowania odpowiedniego składnika snu. Spójrzcie tu na stosunek

pierwiastka marzenia sennego do jego pierwiastka nieświadomego. Ten pierwszy jest jakby częścią tego drugiego, jak gdyby aluzją do niego; przez wyodrębnienie jednak stał się zupełnie niezrozumiały.

c) Pewien pacjent śni między innymi: *Dokoła stołu o dziwnym kształcie siedzą liczni członkowie mojej rodziny* itd. „Stół” — przychodzi mu na myśl, że widział podobny sprzęt podczas odwiedzin u znajomej rodziny. Jego myśli płyną dalej: w rodzinie tej zachodzi szczególny stosunek między ojcem a synem, a wkrótce dodaje również, że i on pozostaje w tym samym stosunku do swego ojca (stół przejęty został przez marzenie senne, by zaznaczyć tę analogię).

W tym wypadku śniący był od dawna wtajemniczony w arkana analizy marzeń sennych. Ktoś inny byłby może zdziwiony, że taką błażostkę, jak kształt stołu, obraliśmy sobie za przedmiot naszych poszukiwań. W marzeniu sennym nie uznajemy jednak cech przypadkowych lub obojętnych, a oczekujemy wyjaśnień zwłaszcza od tych błażych, nie umotywowanych szczegółów. Zdziwieni może jesteście, że praca marzenia sennego, by wyrazić myśl: i u nas jest tak samo jak u nich — posługuje się właśnie stołem. Ale i to się wam wyjaśni, skoro usłyszycie, że owa rodzina nazywa się Tischler (stolarz). Gdy śniący sadza rodzinę swą przy tym stole, powiada równocześnie, że są Tischlerami (stolarzami). Czy zauważacie, mówiąc nawiasem, jak przy podawaniu tego rodzaju tłumaczeń marzeń sennych popełnia się z musu niedyskrecję? Zrozumiecie teraz, gdzie leży jedna z trudności przy doborze przykładów. Mógłbym z łatwością ten przykład zastąpić innym, lecz prawdopodobnie uniknąłbym tej niedyskrecji tylko za cenę innej.

Wydaje mi się na czasie wprowadzić dwa określenia, których mogliśmy użyć już od dawna. To, co opowiada nam sen, nazwiemy *jawną treścią marzenia sennego*, zaś utajone myśli, do których dochodzimy biegnąc za łańcuchem skojarzeń, *ukrytymi myślami marzenia sennego*. Zwróćmy uwagę w naszych przykładach na stosunek jawnej treści do ukrytych myśli marzenia sennego. Stosunki te bywają bardzo różnorodne. W przykładach a) i b) jawny pierwiastek stanowi tylko nieznaczną część ukrytych myśli. Z owego wielkiego, złożonego psychicznego tworu nieświadomych myśli przedostała się do jawnego marzenia sennego tylko cząsteczka, pewien fragment, w innych wypadkach jak gdyby tylko aluzja, skrót telegraficzny. Zadaniem

analizy jest uzupełnienie, stworzenie całości z tych okruszyn lub z tej aluzji, co powiodło się nam tak pięknie w przykładzie b). Jednym ze sposobów zniekształcania — na czym w istocie polega praca marzenia sennego — jest więc zastąpienie myśli przez odłamek albo aluzję. W przykładzie c) widzimy zresztą jeszcze inny związek, który jednak występuje jeszcze wyraźniej i bardziej przekonująco w następujących przykładach:

d) *Śniący wyciąga spoza łóżka pewną znajomą damę*. Pierwsze skojarzenie pozwala mu znaleźć sens tego składnika, który brzmi: *wyróżnia tę damę* (wyciągnąć: *hervorziehen*, wyróżniać: *vorziehen*).

e) Ktoś inny znów śni, iż *brat tkwi w skrzyni*. Pierwsze skojarzenie przynosi na miejsce skrzyni wyraz „szafa” (*Schrank*), a następnie tłumaczy ten pierwiastek snu: *mój brat ogranicza się* (*schränkt sich ein*).

f) *Śniący wspina się na górę, z której rozpościera się szeroki widok*. To brzmi zupełnie rozsądnie, możliwe, że zbyteczne jest tu wszelkie wytłumaczenie, należy się jedynie dowiedzieć, jakie wspomnienie porusza to marzenie senne i jakie motywy je wywołały. Lecz mylicie się, okazuje się, że i to marzenie senne wymaga tak samo tłumaczenia, jak jakiegokolwiek inne, pogmatwane. Śniącemu nie przychodzi na myśl żadne wspomnienie z własnych wędrówek w górach, tylko przypomina sobie, że jego znajomy wydaje czasopismo „Rundschau” („Przegląd”), które zajmuje się naszymi stosunkami z najbardziej oddalonymi częściami świata. Ukrytą myślą marzenia sennego jest więc utożsamienie się śniącego z osobnikiem dokonującym przeglądu (*Rundschau*).

Tu napotykaemy nowy rodzaj związku między jawnym a ukrytym składnikiem marzenia sennego. Jawny składnik snu nie jest tu wyłącznie zniekształceniem myśli ukrytej, lecz jedynie jej przedstawicielem, jej ujęciem plastycznym, konkretnym i obrazowym, opierającym się na brzmieniu słowa. Lecz właśnie w ten sposób powstaje nowe zniekształcenie, gdyż przy zastosowaniu słowa nie pamiętamy już, z jakiego konkretnego obrazu ono się wywodzi, a wobec tego nie rozpoznajemy go w obrazie, który je zastępuje. Skoro uprzytomnicie sobie, że marzenie senne składa się przeważnie z wzrokowych wrażeń, a rzadziej z myśli lub słów, sami spostrzeżecie, że ten rodzaj związku ma szczególne znaczenie przy jego powstawaniu. Widzicie zatem, że na tej drodze można zastąpić w jawnym marzeniu sennym cały szereg myśli

abstrakcyjnych przez obrazy, które właśnie służą zamiarowi ukrycia. Jest to ta sama technika, co w naszych zagadkach obrazkowych. W czym leży pozór dowcipu, jakim odznaczają się tego rodzaju przedstawienia? To jest szczególne pytanie, na które tu odpowiadać nie będziemy.

Czwartą odmianę stosunku między jawnym a ukrytym składnikiem na razie przemilczam, dopóki nie przyjdzie na nią kolej przy omawianiu techniki tłumaczenia. I wówczas nie będzie to wyczerpujące, ale dla naszych celów dostateczne.

Czy macie teraz dość odwagi, by podjąć się tłumaczenia całego marzenia sennego? Spróbujmy, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani do tej pracy. Nie wybiorę tu, oczywiście, najtrudniejszego marzenia sennego, ale w każdym razie takie, które jasno uwypukla właściwości snu.

A więc: młoda, od wielu lat zamężna pani śni: *siedzi ze swoim mężem w teatrze, jedna strona parteru jest nie zajęta, mąż opowiada jej, że Liza L. i jej narzeczony mieli także pójść, lecz mogli dostać tylko złe miejsca, 3 za 1 fl. 50 hal., a tych przecież wziąć nie mogli. Ona uważa, że nie byłoby to takie straszne.*

Pacjentka opowiada przede wszystkim, że powód, który wywołał sen, poruszony jest w jego jawnej treści. Mąż jej rzeczywiście opowiadał, że Liza L., jej znajoma prawie że równego z nią wieku, zaręczyła się. Marzenie senne jest reakcją na tę wiadomość. Wiemy już, że w wielu wypadkach wykazać możemy tego rodzaju podniecie z dnia poprzedzającego sen i że często sam śniący podaje nam ją bez trudności. Tego samego rodzaju wyjaśnień udziela nam w dalszym ciągu śniąca i co do innych składników marzenia sennego. Skąd bierze się szczegół, że jedna strona parteru jest nie zajęta? Jest to aluzja do realnego zdarzenia z zeszłego tygodnia. Pacjentka postanowiła pójść na pewne przedstawienie teatralne, kupiła dlatego *wcześnie* bilety, tak *wcześnie*, że musiała zapłacić drożej w przedsprzedaży. Gdy przyszli jednak do teatru, okazało się, jak dalece było to zbyteczne, gdyż *jedna strona parteru była prawie pusta*. Byłoby dość czasu do kupienia biletów w dniu przedstawienia. Mąż jej nie omieszkał też przekomarzać się z nią o ten *pośpiech*. Skąd bierze się suma 1 fl. 50 hal.? Z zupełnie innego związku, nie mającego z poprzednim nic wspólnego, który jednak również odnosi się do wiadomości z ubiegłego tygodnia.

Szwagierka jej dostała w podarunku od swego mężą sumę 150 fl. i głupia ta gęś nie miała nic pilniejszego do czynienia, jak pobiec do jubilera i zostawić mu pieniądze w zamian za jakiś klejnot. Skąd bierze się trójka? Nic o tym nie wie, przychodzi jej tylko na myśl, że narzeczona, Liza L., jest tylko 3 miesiące od niej młodsza, a ona przecież jest już od 10 lat zamężna. A ten nonsens, że dwie osoby biorą trzy bilety? Dla tego nie przychodzi pacjentce nic na myśl, a w ogóle odmawia ona wszelkich dalszych skojarzeń i informacji.

Dostarczyła nam jednak tyle materiału z własnych skojarzeń, że możliwe stało się dla nas wysnucie z nich ukrytych myśli. Musi nas uderzyć, że występują w jej skojarzeniach określenia czasu, które motywują wspólność między pewnymi częściami tego materiału. Załatwiła za *wcześnie* bilety do teatru, pośpieszyła się je wziąć, tak że musiała przepłacić; i szwagierka jej *pokwapila się* zanieść w podobny sposób swe pieniądze do jubilera, by kupić za nie klejnoty, jak gdyby obawiała się, że *nie zdąży*. Jeśli zatem prócz tych, w ten sposób podkreślonych, określeń czasu „za wcześniej”, „skwapliwie” uwzględnimy okazję, z jakiej powstało marzenie senne, a więc wiadomość o zaręczynach tylko o 3 miesiące młodszej przyjaciółki z dzielnym przecież człowiekiem, oraz krytykę wyrażoną przez wymyślanie szwagierce: że było nonsensem tak się śpieszyć, to ukaże się nam jak gdyby samorzutnie następująca konstrukcja ukrytych myśli marzenia sennego, dla których jawny sen jest tylko mocno zniekształconą namiastką:

„Było przecież nonsensem tak śpieszyć się z zamążpójściem! Na przykładzie Lizy widzę, że i później dostałabym męża”. (Skwapliwość przedstawiona jest przez zachowanie się śniącej przy kupnie biletów oraz przez zachowanie się szwagierki przy kupnie klejnotów; pójście do teatru zastępuje zamążpójście).

To byłaby myśl przewodnia; może uda się nam pójść dalej, choć z mniejszą pewnością, gdyż analiza nie powinna była zrezygnować w tym miejscu z dalszych wynurzeń śniącej. „I to sto razy lepszego męża mogłabym była dostać za te pieniądze!” (150 fl. jest to sto razy tyle, co 1 fl. 50 hal.). Gdybyśmy zamiast pieniędzy mogli wstawić posag, to zdanie to znaczyłoby, iż za posag można kupić sobie męża, a zarówno klejnoty, jak i złe bilety stałyby na miejscu męża. Jeszcze dogodniej byłoby, gdyby właśnie składnik „3 bilety” miał coś wspólnego z jakimś mężczyzną. Ale tak daleko nie sięga jeszcze nasze

zrozumienie. Wywnioskowaliśmy jedynie, że marzenie sennie wyraża *lekceważenie* własnego męża i *ubolewanie*, że *tak wcześnie wyszła za mąż*.

Moin zdaniem, wynik tej pierwszej analizy marzenia sennego nie zadowala nas właściwie, przeciwnie, jesteśmy raczej zaskoczeni i zmieszani. Za wiele wrażeń na raz, tak że nie jesteśmy w stanie ich objąć i opanować. Zauważamy też, że nie wyczerpiemy wszystkich nauk, które wynikają z tej analizy. Uporządkujmy sobie jednak te wszystkie, które wydają się nam pewne.

Po pierwsze, osobliwe jest, że główny akcent w ukrytych myślach pada na pierwiastek pośpiechu, o czym natomiast nic nie wspomina jawne marzenie sennie. Gdyby nie analiza, nie mielibyśmy pojęcia o tym, że składnik ten odegra jakąś rolę. Wydaje się więc możliwe, że właśnie główny motyw, ognisko myśli nieświadomych, zanika w jawnym marzeniu sennym. Dlatego wrażenie, które ono wywiera, musi być zupełnie zmienione. Po drugie, w marzeniu sennym napotykamy niedorzeczne zestawienie: 3 za 1 fl. 50 hal.; z myśli sennych wnioskujemy następujące zdanie: „To był nonsens” (tak wcześnie wychodzić za mąż). Czy możemy odrzucić przypuszczenie, że myśl „to był nonsens” przedstawiona właśnie została przez wcielenie bezsensownego składnika w jawnym marzeniu sennym? Po trzecie, porównawczy rzut oka poucza nas, że związek pomiędzy jawnymi, a ukrytymi składnikami nie jest tak prosty, a w każdym razie nie tego rodzaju, że zawsze jawny składnik zastępuje ukryty. Nie, raczej musi istnieć pewien związek ogólny między obydwoma obrazami, a w ich ramach zastąpiony może być jeden jawny pierwiastek wieloma ukrytymi, lub też jeden ukryty składnik wieloma jawnymi.

O znaczeniu marzenia sennego i stosunku do niego śniącej można by również powiedzieć wiele ciekawego. Uznaje ona wprawdzie tłumaczenie, lecz jest nim zdziwiona. Nie wiedziała zupełnie o tym, że lekceważy swojego męża, nie wie również, z jakiej racji miałyby go lekceważyć. Tutaj niejedno jest jeszcze niezrozumiałe. I rzeczywiście jestem zdania, że nie jesteśmy jeszcze dostatecznie przygotowani do tłumaczenia snów, wobec czego musimy sięgnąć po dalszą naukę i przygotowanie.

Marzenia senne dzieci

Panie i panowie! Jesteśmy pod wrażeniem, żeśmy się zapędzili. Cofnijmy się przeto cokolwiek wstecz. Zanim zabraliśmy się do próby, która miała nam wskazać, jak należy opanować za pomocą naszej techniki trudność, jaką stanowi zniekształcenie marzenia sennego, powiedzieliśmy sobie, że najlepiej byłoby ją ominąć, a to w ten sposób, że wybierzemy takie marzenie senne, w których zniekształcenie jest nieznaczne albo brak go zupełnie, o ile w ogóle jakieś istnieją. W ten sposób znów odbiegamy od historycznego rozwoju naszego poznania, gdyż w rzeczywistości zauważyliśmy dopiero przy *konsekwentnym* zastosowaniu techniki tłumaczenia i analizy zniekształconych marzeń sennych, że istnieją również sny, których treść nie została zniekształcona.

Sny, których poszukujemy, znajdujemy u dzieci. Są one krótkie, jasne, składne, łatwe do zrozumienia, niedwuznaczne, a przy tym są one bezsprzecznie marzeniami sennymi. Lecz nie przypuszczajcie, że wszystkie marzenia senne dzieci są tego rodzaju. Zniekształcenie senne rozwija swą działalność już we wczesnym dzieciństwie i zanotowane zostały marzenia senne dzieci 5-8-letnich, które mają wszelkie cechy marzeń sennych ludzi w wieku dojralszym. Jeżeli natomiast ograniczymy się do okresu od wystąpienia wyraźnych przejawów życia psychicznego aż do czwartego lub piątego roku, zyskamy szereg marzeń sennych noszących cechy charakteru dzieciennego. Również i w późniejszych latach dzieciństwa spotykamy je tu i ówdzie. Ba, nawet u ludzi dorosłych występują w szczególnych warunkach marzenia senne, które zdradzają wielkie podobieństwo do typowo dziecięcych.

Z tych snów dziecięcych możemy też z łatwością i pewnością zyskać wyjaśnienia co do istoty marzenia sennego, przy czym spodziewamy się, że okażą się one rozstrzygające i ogólnie ważne.

1. Do zrozumienia snów dziecięcych nie trzeba ani ich analizy, ani też zastosowania jakiejś techniki. Zbyteczne też jest wypytywać dziecko, które opowiada nam swe marzenie senne. Musimy tylko dodać część historii z życia tego dziecka. Zwykle przeżycie z dnia poprzedniego wyjaśnia nam marzenie senne. Marzenie senne jest reakcją życia psychicznego podczas snu na dane przeżycie z dnia. Posłuchajmy kilku przykładów, by móc oprzeć na nich dalsze wnioski:

a) Chłopczyk 22-miesięczny ma dać na imieniny w podarunku koszyk czereśni. Widoczne jest, że czyni to niechętnie, jakkolwiek obiecuje mu się, że dostanie kilka do skosztowania. Następnego ranka opowiada swój sen: *He(r)man zjadł wszystkie czereśnie.*

b) Dziewczynka w wieku 3 i 3/4 roku po raz pierwszy odbywa przejażdżkę po jeziorze. Przy wysiadaniu wzbrania się opuścić łódkę i gorzko płacze. Czas spędzony na przejażdżce minął jej za szybko. Następnego ranka powiada: *Tej nocy jeździłam po jeziorze.* Wolno jest nam chyba dodać, że ta jazda trwała dłużej.

c) Chłopczyka w wieku 5 i 3/4 zabrano na wycieczkę do Escherntal koło Hallstattu. Wiedział on o tym, że Hallstatt leży u stóp Dachsteimu, i zdradzał wielkie zainteresowanie dla tej góry. Z mieszkania w Aussee można ją było widzieć, a przez lunetę nawet schronisko Simony na jej szczycie. Kilkakrotnie próbował już dojrzeć je przez lunetę, nie wiadomo jednak, z jakim skutkiem. Wycieczka rozpoczęła się wśród wesołego i pełnego oczekiwania nastroju. Na widok każdej góry pytał nasz chłopczyk: Czy to jest Dachstein? Im częściej dawano mu przeczącą odpowiedź, tym bardziej pochmurniał, aż w końcu zupełnie zamilkł i wzbraniał się odbyć małą drogę do wodospadu. Myślano, że jest przemęczony, lecz następnego poranka opowiada z błogim uśmiechem: *Tej nocy śniłem, że byliśmy w schronisku Simony.* Tak oto ów stan oczekiwania sprawił, że wziął on niejako udział w wycieczce. Ze szczegółów podał jedynie to, co słyszał już poprzednio: idzie się sześć godzin w górę po schodach.

Te trzy marzenia senne dadzą nam wyczerpujące wyjaśnienie.

2. Widzimy, że marzenia senne dzieci nie są bezsensowne, są to *zrozumiałe, pełnowartościowe twory psychiczne.* Czy przypominacie sobie, co wam opowiedziałem o poglądzie świata lekarskiego na sny, o porównaniu z niewprawnymi palcami, biegnącymi po klawiszach fortepianu? Nie ujdzie waszej uwagi, w jakiej sprzeczności z tymi wywodami są marzenia senne dzieci, a byłoby przecież nazbyt dziwne, by właśnie dziecko było w stanie rozwijać podczas snu pełną działalność duchową, podczas gdy dorosły poprzestaje w podobnym wypadku na reakcjach o charakterze odruchowym. Wszelkie okoliczności przemawiają też za tym, że dziecko posiada lepszy i głębszy sen.

3. Sny te wolne są od zniekształceń; toteż zbyteczna jest tu praca tłumaczeniowa. Jawne marzenie senne odpowiada temu, co w nim ukryte. *Zniekształcenie nie należy zatem do istoty marzenia sennego.*

Mniemac chyba moge, ze spadl wam ciezar z serca. Po dokladnym jednak zastanowieniu sie przyznamy i tym marzeniom sennym odrobine zniekształcenia, pewna różnicę między jawną treścią a ukrytymi myślami.

4. Marzenie senne dziecka jest reakcją na przeżycia dzienne, które pozostawiły rozżalenie, tęsknotę, nie ziszczone życzenie. *Marzenie senne przynosi bezpośrednie i niemaskowane spełnienie tego życzenia.* Przypomnijcie sobie tylko nasze rozważania nad rolą podnieć cielesnych zewnętrznych i wewnętrznych jako bodźców, które zakłócają lub wywołują marzenia senne. Zapoznaliśmy się wtedy z wieloma pewnymi faktami, lecz zdołaliśmy w ten sposób wytłumaczyć tylko niewiele marzeń sennych. W snach dziecięcych nie wskazuje nic na to, jakoby oddziaływały tu tego rodzaju podnieć cielesne; nie możemy się tu mylić, wszak sny te są jasne, zrozumiałe i z łatwością możemy je ogarnąć. Lecz z tej racji nie należy zarzucać sprowadzenia snów do działania podnieć. Możemy jedynie zapytać, czemu od samego początku zapomnieliśmy, że prócz cielesnych zakłócających sen podnieć istnieją również i psychiczne. Wiemy przecież, że są to właśnie te zaburzenia, które zakłócają przeważnie sen dorosłych, uniemożliwiając zasypiającemu wywołanie w sobie takiego stanu psychicznego, w którym następuje odwrócenie zainteresowania od świata. Pragnie on raczej nie przerywać życia i pracować dalej nad problemami, które go zajmują, i dlatego też nie śpi. Tego rodzaju podnieć psychiczną zakłócającą sen jest dla dziecka nie spełnione życzenie, na które reaguje ono marzeniem sennym.

5. Stąd otrzymamy najkrótszą drogą wyjaśnienie, jaką funkcję spełnia marzenie senne. Marzenie senne, jako reakcja na podnieć psychiczną, musi tym samym posiadać to znaczenie, że ową podnieć likwiduje, czyli usuwa, chroniąc w ten sposób śpiącego od przerywania snu. W jaki sposób marzenie senne dynamicznie umożliwia tę likwidację, tego jeszcze nie wiemy, lecz na razie stwierdzamy, że *marzenie senne nie jest mącicielem snu*, za co je dotychczas uważano, lecz *strażnikiem snu, usuwającym wszelkie tegoż snu zaburzenia.* Jesteśmy wprawdzie zwykle zdania, że gdyby nie marzenie senne, spalibyśmy znacznie lepiej, lecz jest to niesłuszne, gdyż w rzeczywistości bez pomocy marzenia sennego nie spalibyśmy w ogóle. Jest to jedynie jego zasługą, żeśmy o tyle o ile dobrze spali. Nie leżało w jego mocy nie naruszyć w zupełności naszego snu, podobnie jak niejednokrotnie nie

udaje się nocnemu stróżowi uniknąć hałasu, gdy przepędza głośnych przechodniów, którzy mogą nas swymi okrzykami wyrwać ze snu.

6. Jedną z głównych cech marzenia sennego jest zatem ta, że życzenie wywołuje marzenie senne, którego treścią jest ziszczenie tego życzenia. Druga stała cecha marzenia sennego polega na tym, że nie wyraża ono po prostu pewnej myśli, lecz przedstawia to życzenie jako spełnione, w formie halucynacyjnego przeżycia. Życzenie wywołujące marzenie senne brzmi: *chciałbym jechać po jeziorze*, a treść marzenia sennego to: *jadę po jeziorze*. A więc i marzenia senne dzieci cechuje pewna różnica między treścią ukrytą a jawną, pewne zniekształcenie ukrytej myśli sennej, *przeobrażające myśl w przeżycie*. Tłumacząc marzenie senne musimy przede wszystkim *usunąć tę zmianę*. Gdyby to miała być ogólna cecha marzenia sennego, to należałoby poprzednio przytoczony fragment snu: *widzę mego brata w szafie* — przetłumaczyć: nie mój brat ogranicza się, ale to ja pragnę, żeby mój brat się ograniczał, *mój brat powinien się ograniczać*. Z tych dwóch przytoczonych cech ogólnych marzenia sennego, jak się zdaje, ta druga ma więcej widoków na uznanie bez sprzeciwów niż pierwsza. Dopiero dzięki rozległym badaniom zdołamy udowodnić, że to właśnie zawsze życzenie wywołuje marzenie senne, nie zaś troska lub postanowienie, czy też wyrzuty. Lecz te wywody nie naruszają drugiej cechy marzenia sennego, która polega na tym, że nie oddaje ono po prostu tej podniety, lecz usuwa ją, niweczy i zaspokaja przez pewnego rodzaju przeżycie.

7. Nawiązując do wspomnianych cech marzenia sennego możemy znów podjąć porównanie go z czynnością pomyłkową. W tej ostatniej rozróżniamy zamiar zakłócający i zamiar zakłócony, a czynność pomyłkowa jest kompromisem obydwóch. Schemat ten dostosować też możemy do marzenia sennego. Zakłóconym zamiarem nie może być nic innego jak pragnienie snu. Tendencję zakłócającą zastępujemy tu podniętą psychiczną, a raczej powiedzmy — życzeniem, które domaga się spełnienia, gdyż nie poznaliśmy dotychczas innej podniety psychicznej, która mogłaby zakłócić sen. I tutaj jest zatem marzenie senne wynikiem kompromisu. Śpi się, lecz przeżywa się przecież usunięcie życzenia, zadowala się życzenie, lecz równocześnie śpi się nadal. Obydwa zamiary zostają po części przeprowadzone, a po części zaniechane.

8. Przypominacie sobie, żeśmy spodziewali się pewnego zrozumie-

nia zagadnienia marzeń sennych na tej podstawie, że pewne, bardzo dla nas przejrzyste twory fantazji zwane są *marzeniami na jawie*. Oto te marzenia na jawie są w rzeczywistości spełnieniem życzeń, życzeń ambitnych i erotycznych dobrze nam znanych. Życzenia te są jednak zawsze tylko pomyślane, bo chociaż bardzo często żywo wyobrażane, nigdy jednak nie zostają przeżyte w sposób omamowy. Z dwóch więc głównych cech marzenia sennego ostaje się tu jedynie mniej pewna, podczas gdy druga, jako zależna od stanu sennego i w życiu na jawie niedostępna, odpada w zupełności. W samej więc mowie tkwi przeczucie, że spełnienie życzenia jest główną cechą marzenia sennego. Nawiasem mówiąc, skoro przeżycie w marzeniu sennym jest tylko zmienionym wyobrażeniem, umożliwionym przez szczególne warunki snu, więc niby „marzeniem nocnym”, to rozumiemy też, że proces tworzenia się marzenia sennego może usunąć podniecie nocną i przynieść zaspokojenie; wszak i marzenie na jawie jest czynnością ściśle związaną z zaspokojeniem, które też stanowi jego jedyną rację bytu. Lecz nie tylko w ten sposób objawia nam mowa znaczenie snów. Znane przysłowia powiadają: świnia śni o żołędziach, gęś o kukurydzy; lub też pytają: o czym śni kura — o prosie. Przysłowie sięga zatem niżej aniżeli my, od dziecka do zwierzęcia, i twierdzi, że treść marzenia sennego jest zaspokojeniem pewnej potrzeby. Także i wiele zwrotów w naszej mowie zdaje się o tym napomykać, jak np.: „piękny jak marzenie”, „nawet we śnie nie przyszłoby mi to na myśl”, „nie wyobrażałem sobie tego nawet w najśmielszych snach”. Widoczna jest tu stronniczość naszej mowy. Bywają przecież marzenia sennie lękowe oraz o treści niemiłej lub obojętnej, lecz tego rodzaju marzenia sennie nie znalazły swego odbicia w mowie. Wprawdzie mówimy, że są złe sny, lecz marzenie sennie jest właściwie wcieleniem uroczego spełnienia życzenia. Nie istnieje też przysłowie, które by nas zapewniało, że wieprz lub gęś śnią o zarznięciu.

Byłoby, oczywiście, nie do pojęcia, gdyby badacze nie byli zauważyli w marzeniu sennym tej tendencji do spełnienia życzenia. Owszem, bardzo często ją uznawali; natomiast nie przyszło żadnemu z nich przez myśl uogólnić to zapatrywanie i obrać za główny punkt wyjaśnienia marzenia sennego. Możemy z łatwością wyobrazić sobie, co powstrzymało ich od tego kroku, o czym też później pomówimy.

Spójrzcie jednak, ile bogatych wyjaśnień zdobyliście prawie bez trudu, rozpatrując marzenia sennie dzieci! Zawdzięczamy im wiado-

mość, że marzenie senne jest strażnikiem snu, że powstaje ono z dwóch sprzecznych i walczących ze sobą tendencji, z których jedna pozostaje stała, a jest nią pragnienie snu, druga zaś usiłuje zaspokoić (życzenie stanowiące — przyp. red. PWN) podniecie psychiczną. Prócz tego otrzymaliśmy dowód, że marzenie senne jest aktem psychicznym o pełnym znaczeniu, i poznaliśmy wreszcie dwie jego główne cechy: spełnienie życzenia i przeżycia halucynacyjne. Przy tym mogliśmy nawet zapomnieć, że uprawiamy psychoanalizę. Praca nasza nie zdradza żadnych szczególnych oznak nawiązania do czynności pomyłkowych. Każdy psycholog, któremu zupełnie nie znane są założenia psychoanalizy, mógłby dać to samo wyjaśnienie marzeń sennych dziecka. Czemuż jednak żaden dotychczas tego nie uczynił?

Gdyby istniały tylko marzenia senne o typie dziecięcym, rozwiązany zostałby problem, zadanie nasze byłoby już wykonane, bez wypytywania śniącego, bez uciekania się do nieświadomego i do swobodnych skojarzeń. Doświadczenie pouczyło nas już kilkakrotnie, że cechy, które okazywały się ogólne, zyskiwały potwierdzenie tylko dla pewnej kategorii marzeń sennych. Chodzi nam teraz o to, czy cechy ogólne wywnioskowane z dziecięcych marzeń sennych, okażą się wytrzymalsze, to znaczy, czy zachowują one także swe znaczenie i dla innych marzeń sennych, które nie są przejrzyste, których jawna treść nie wykazuje związku z pozostałościami życzeń dziennych. Co do tych marzeń sennych urobiliśmy sobie pogląd, że doznały one tak daleko idącego zniekształcenia, że początkowo nie możemy ich zrozumieć. Wnioskujemy też, że w celu wyjaśnienia tego zniekształcenia zwrócić się musimy do naszej techniki psychoanalitycznej, której pomoc okazała się zbyt cenna przy uzyskaniu zrozumienia dziecięcych marzeń sennych.

Istnieje jeszcze pewien rodzaj nie zniekształconych marzeń sennych, które, tak jak marzenia senne dzieci, z łatwością rozpoznać możemy jako spełnienia życzeń. Są to te marzenia senne, które w ciągu całego życia wywoływane bywają przez przemożne potrzeby cielesne, a więc: głód, pragnienie, pożądanie płciowe; są to zatem spełnienia życzeń jako reakcje na wewnętrzne podniecia cielesne. I tak: zanotowałem marzenie senne 19-miesięcznej dziewczynki, którego treść stanowiło menu oraz jej imię (*Anna F...*, *poziomki, jagody, jajecznicą, papu*). Było ono reakcją na jednodniową głodówkę, przeprowadzoną z powodu „zepsucia” żołądka, a niedyspozycję przypisywano właśnie przejedzeniu się jagodami, które dwukrotnie występują w marzeniu sennym. Tej

samej nocy śniła tejże dziewczynki babka — której wiek uzupełniony wiekiem wnuczki wynosił siedemdziesiąt lat i która z powodu dolegliwości wędrującej nerki skazana była również na całodzienny post — że jest w gościnie, gdzie podają jej najlepsze smakołyki. Spostrzeżenia zebrane u głodnych więźniów lub u osób skazanych podczas podróży lub wyprawy na wielkie niedostatki pouczają, że wśród tych okoliczności śnią oni przeważnie o zaspokojeniu owych potrzeb. I tak: Otto Nordenskjöld donosi w swej książce *Antarctic* w r. 1904 o załodze, która z nim przezimowała (tom I, s. 336): „Charakterystyczne dla naszego kierunku myśli były nasze marzenia senne, które nigdy nie były tak żywe i liczne jak wtedy. Nawet ci koledzy, którzy na ogół rzadko śnili, opowiadali teraz długie historie co rano, gdy zwykliśmy sobie opowiadać wzajemnie ostatnie przeżycia z naszego świata fantazji. Treść każdego z nich nawiązywała do tak dalekiego nam teraz świata zewnętrznego, ale dostosowana była bardzo często do naszych teraźniejszych warunków. Jedzenie i picie było najczęściej głównym tematem, dokoła którego krążyły nasze marzenia senne. Jeden z nas, którego specjalnością we śnie było branie udziału w wielkich biesiadach, był uszczęśliwiony, gdy mógł rano opowiedzieć, że «spożył obiad z trzech dań»; inny śnił o tytoniu, o całych górach tytoniu; inny znów o okręcie, który pod pełnymi żaglami płynie ku nam na otwartym morzu. I jeszcze jeden sen godzien jest wspomnienia: listonosz przynosi pocztę i usprawiedliwia się, że tak długo musiano nań czekać: mylnie ją doręczył i dopiero z wielkim trudem udało mu się dostać ją z powrotem. Oczywiście, że zajmowaliśmy się podczas snu jeszcze bardziej niemożliwymi sprawami, uderzający jest jednak brak fantazji zarówno w moich własnych snach, jak i znanych mi z opowiadania. Nie ulega wątpliwości, że byłoby z wielką korzyścią dla psychologii, gdyby spisane zostały wszystkie te sny. Toteż łatwo zrozumieć, jak tęskniliśmy za snem, który darzył nas tym wszystkim, czegośmy najgoręcej pożąдали”. Cytuję tu także Du Prela: „Mungo Park w podróży swej po Afryce, usychając prawie z pragnienia, śnił bezustannie o obfitujących w wodę dolinach i łąkach ojczystych. Również głodem dręczony Trenck widywał siebie w Sternschanze, w Magdeburgu, przy sutym stole, a Jerzy Back, uczestnik pierwszej wyprawy Francklina, bliski śmierci głodowej na skutek straszliwego wyczerpania, śnił stale o sutym stole”.

Kto po spożyciu na wieczerzę pieprznych potraw dostaje pragnienia, ten śni z łatwością o picciu. Oczywiście, że niemożliwe jest zaspokojenie

silniejszego głodu lub pragnienia w marzeniu sennym, zwykle też budzimy się z niego spragnieni, by pokrzepić się rzeczywistą wodą. Działalność marzenia sennego jest w tym wypadku praktycznie nieznaczna, choć niemniej jasne jest, że powstała w tym celu, by utrzymać sen wbrew działaniu podniety, zmierzającej do przebudzenia. Przy mniej intensywnie odczuty potrzebach spełniają często tego rodzaju marzenia senne całkowicie swą funkcję.

W podobny sposób pod wpływem podrażnień płciowych marzenie senne stwarza zaspokojenia, które odznaczają się jednak cechami szczególnymi. Ponieważ popęd płciowy jest mniej zależny od swego przedmiotu niżli głód i pragnienie — zaspokojenie w marzeniu sennym zakończonym polucją może być rzeczywiste. Często się też zdarza, że na skutek pewnych trudności związanych z przedmiotem zaspokajającym — o czym zresztą później dopiero wspomnimy — to zaspokojenie realne połączone jest z niewyraźną lub zniekształconą treścią marzenia sennego. Ta właściwość marzeń sennych zakończonych polucją czyni je, zdaniem O. Ranka, podatnymi obiektami dla badań nad zniekształceniem sennym. Prócz zaspokojenia miewają takie marzenia senne dorosłych także inną jeszcze treść, której źródło jest czysto psychiczne, a zrozumienie jej wymaga tłumaczenia.

Nie chcemy też utrzymywać, że marzenia senne dorosłych, powstałe na wzór spełniających życzenia snów dziecięcych, występują tylko jako reakcja na przytoczone powyżej przemożne potrzeby. Znamy również i tego rodzaju jasne marzenia senne, które mają bez wątpienia swe źródło w podniecie psychicznej, a powstały pod wpływem pewnych dominujących sytuacji. Do nich należą marzenia senne wyrażające niecierpliwość, skoro przygotowując się do podróży, na interesujące nas przedstawienie, odczyt czy wizytę, śnimy o przedwczesnym zniszczeniu naszych oczekiwań; widzimy się w noc przedtem we śnie u celu podróży lub w teatrze, w rozmowie ze znajomymi. Do nich też zaliczyć możemy, słusznie tak zwane, marzenia senne powstałe z pragnienia wygody; kiedy ktoś chętnie spałby dłużej, śni, że już wstał, myje się lub jest już w szkole, podczas gdy w rzeczywistości śpi dalej, a więc chętniej wstaje we śnie aniżeli w rzeczywistości. Pragnienie snu, którego udział rozpoznawaliśmy stale przy tworzeniu się marzeń sennych, dochodzi w nich do głosu i staje się istotnym ich twórcą. Potrzeba snu staje słusznie w szeregu innych ważnych potrzeb cielesnych.

Na reprodukcji obrazu Schwinda w galerii Schacka w Monachium pokażę wam, jak trafnie pojął ów malarz powstanie marzenia sennego pod wpływem pewnej dominującej sytuacji. Jest to „sen więźnia”, którego treść stanowić może tylko jego uwolnienie. Bardzo ładnie przedstawione jest uwolnienie, które ma nastąpić przez okno, gdyż właśnie przez okno wpada podnieta świetlna, która budzi więźnia. Karzełki, stojące jeden na drugim, wyobrażają, zda się, jego własne stopniowe pozycje, które zająć by musiał wspinając się na wysokość okna, i jeśli się nie mylę, jeśli nie posądzam artysty o zbyt wiele rozmysłu, to najwyżej stojący karzełek, który przepiłowuje kraty, a więc czyni to, co pragnąłby uczynić sam więzień, posiada rysy jego twarzy.

Przy wszelkich innych marzeniach sennych, wyjąwszy sny dziecięce i sny dorosłych o tym typie, natrafiamy zwykle na zniekształcenie senne, które wchodzi nam w drogę. Zrazu nie możemy powiedzieć, czy i one są spełnieniem życzeń, jak przypuszczamy; z ich jawnej treści nie możemy odgadnąć, jakiej podniecie psychicznej zawdzięczają swe powstanie, i nie możemy udowodnić, że usiłują one również usunąć lub zaspokoić tę podniecie. Widocznie należy je naprzód wyjaśnić, to znaczy przetłumaczyć, cofnąć zniekształcenie, zastąpić jawną treść przez ukrytą, a wtedy dopiero będziemy w stanie osądzić, czy cechy, które odkryliśmy przy badaniu marzeń sennych dziecka, odnoszą się z tą samą ważnością do wszystkich innych snów.

WYKŁAD IX

Cenzura senna

Panie i panowie! Z badań nad marzeniami sennym dzieci poznaliśmy powstawanie, istotę i funkcję marzenia sennego. *Marzenia senne usuwają drogą halucynacyjnego zaspokojenia podniety psychiczne, które zakłócają sen.* Z marzeń sennych dorosłych wyjaśniliśmy tylko jedną grupę, którą określiliśmy jako marzenia senne o typie dziecięcym. Jak się rzecz ma z innymi, nie wiemy jeszcze, ale ich też nie rozumiemy. Zyskaliśmy na razie rezultat, którego znaczenia nie chcemy nie doceniać. Jeśli marzenie senna jest zupełnie zrozumiałe, okazuje się

ono wtedy zawsze halucynacyjnym spełnieniem życzenia. To połączenie nie może być przypadkowe lub obojętne.

Co do marzenia sennego innego rodzaju, to przyjmujemy na podstawie różnorodnych rozważań i przez analogię do naszego poglądu na czynności pomyłkowe, że zastępuje ono w sposób zniekształcony nieznaną treść, do której dopiero należy je sprowadzić. Dlatego też pierwszym naszym zadaniem jest zbadanie i zrozumienie tego *zniekształcenia* marzenia sennego.

To właśnie zniekształcenie snu czyni go nam obcym i niezrozumiałym. Chcemy się też wiele o nim dowiedzieć: po pierwsze, skąd pochodzi, gdzie jest źródło jego dynamiki; po drugie, czego dokonuje, i wreszcie, w jaki sposób. Możemy też powiedzieć, że zniekształcenie marzenia sennego jest dziełem pracy, jakiej dokonuje sen. Pragniemy opisać pracę marzeń sennych i wykryć działające w niej siły.

A teraz posłuchajcie następującego snu. Spisany on został przez pewną panią z naszego koła¹ i pochodzi, według jej informacji, od pewnej bardzo poważnej, wykształconej starszej osoby. Nie analizowano tego snu. Nasza referentka zauważyła, że dla psychoanalityka zbyt cenne jest tu tłumaczenie. Śniąca też go nie tłumaczyła, ale oceniła go i osądziła w ten sposób, jak gdyby umiała go wytłumaczyć. Albowiem wyraziła się o nim w ten sposób: „I tak ohydne głupstwa śnią się kobiecie 50-letniej, której jedyną myślą w dzień i w nocy jest troska o jej dziecko!” A oto marzenie sennie o „usługach miłosnych”². Idzie do szpitala okręgowego Nr 1 i powiada do stojącego na warcie żołnierza, że musi mówić z lekarzem naczelnym... (tu wymienia nie znane jej nazwisko), gdyż chce pełnić służbę w szpitalu. Przy czym w ten sposób podkreśla słowo „służba”, że sierżant natychmiast miarkuje, że chodzi tu o „służbę miłosną”. Ponieważ jest starszą niewiastą, przepuszcza ją po chwili wahania. Zamiast jednak pójść do naczelnego lekarza, dostaje się ona do dużego, ponurego pokoju, w którym siedzą i stoją oficerowie i lekarze wojskowi dokoła długiego stołu. Z propozycją zwraca się do pewnego lekarza pułkowego, który zrozumiał ją po kilku słowach. Oto dosłowne brzmienie jej mowy we

¹ Pani dr von Hug-Hellmuth.

² Pakunki z żywnością lub innymi podarunkami wysyłane podczas wojny żołnierzom na front nosiły nazwę *Liebesgaben* („dary miłosne”). Przep. tłum.

śnie: „Ja sama, jako też wiele innych kobiet i dziewcząt wiedeńskich jesteśmy gotowe żołnierzom, szeregowcom i oficerom, bez różnicy...” Tu następuje w marzeniu sennym mamrotanie. Że zostało ono jednak zrozumiane, na to wskazują po części zażenowane, po części ironiczne miny oficerów. Niewiasta ta mówi w dalszym ciągu: „Wiem, że nasze postanowienie brzmi osobliwie, lecz dla nas jest to gorzka prawda. Wszak i żołnierza w polu nie pytają, czy chce zginąć czy nie”. Następuje kilkuminutowa przykra cisza. Lekarz pułkowy obejmuje ją wpół ramieniem i powiada: „Ależ proszę pani, przypuśćmy, że rzeczywiście do tego dojdzie...” (mamrotanie). Wysuwa się z jego ramion, myśląc: a przecież ten jest taki sam jak inni, i odpowiada: „Mój Boże, jestem starą kobietą i może wcale nie znajdę się w tej sytuacji. Zresztą pod pewnym warunkiem: uwzględnić należy wiek; żeby jakaś starsza niewiasta młodemu chłopcu... (mamrotanie); to byłoby «straszne». Lekarz pułkowy: «Rozumiem doskonale». Kilku oficerów, między nimi widzi również znajomego, który się o nią starał w młodych latach, zaśmiało się głośno, a śniąca prosi, by zaprowadzono ją do znajomego lekarza celem całkowitego uporządkowania tej sprawy. Jakież jest jej przerażenie, kiedy sobie uprzytamnia, że nie wie, jak się on nazywa. Mimo to lekarz ów wskazuje jej uprzejmie i z szacunkiem bardzo wąskie, żelazne, kręte schody, które prowadzą wprost do pokoju na górne piętra. Idąc w górę, słyszy, jak jeden z oficerów powiada: to rzeczywiście jest nadzwyczajna decyzja, bez względu na to, czy która jest młoda czy stara; z całym szacunkiem!

Z uczuciem, że spełnia po prostu swój obowiązek, idzie bez końca po schodach.

To marzenie senne powtórzyło się jeszcze dwa razy w ciągu kilku dni, i, jak sama zauważa, tylko z nieznacznymi bezsensownymi zmianami”.

Ze względu na swój przebieg odpowiada to marzenie senne fantazji dziennej; stanowi mniej więcej jednolitą całość, a niejeden szczegół jego treści mógłby zostać wyjaśniony, gdyby możliwe było wybadanie śniącej, czego, jak wiecie, zaniechano. Uderzający, a zarazem bardzo zajmujący jest fakt, że sen ten wykazuje kilka luk nie we wspomnieniu, lecz w treści. W trzech miejscach treść jest jakby wymazana. Zdania, w których się te luki znajdują, przerwane są niezrozumiałym bełkotem. Ścisłe rzecz biorąc, skoro nie przeprowadziliśmy analizy tego snu, nie mamy prawa wydać żadnego orzeczenia co do jego znaczenia. Lecz

zawiera on aluzje, z których niejedno można wywnioskować, jak np. ze słów „usługi miłosne”, a przede wszystkim wymagają uzupełnienia te części rozmów, które poprzedzają owo bełkotanie. Uzupełnienia te mogą jednak wypaść tylko jednoznacznie; jeśli je wstawimy, to treść tej fantazji jest, że sniąca gotowa jest, wypełniając swój obowiązek patriotyczny, oddać swą osobę dla zaspokojenia potrzeb erotycznych wojska, zarówno oficerów, jak i szeregowców. To byłoby rzeczywiście bardzo gorszące. Wzór zuchwałej fantazji erotycznej, ale nie występuje ona przecież wcale w marzeniu sennym. Tam właśnie, gdzie wątek opowiadania wymagałby tego wyznania, napotykamy w jawnej treści marzenia sennego na niezrozumiałe mamrotanie; coś zaginęło lub zostało usunięte.

Przypuszczam, że było to właśnie ich gorszące znaczenie. Gdzie znajdziecie analogię do takiego zdarzenia? W dzisiejszych czasach nie należy zbyt daleko szukać. Weźmy na przykład do ręki jakikolwiek dziennik polityczny, a zauważymy, że w niejednym miejscu brak tekstu, a miast niego lśni biel papieru. Wiadomo wam, że jest to dziełem cenzury. W tych pustych miejscach było coś, co nie przypadło do gustu wysokiej władzy cenzorskiej, i dlatego też zostało usunięte. Żałujecie tego zwykle i mniemacie, że musiało to być najbardziej zajmujące, tak zwane „najlepsze miejsce”.

Innym razem cenzura nie miała wpływu na gotowe już zdanie. To autor, przewidując, które miejsca mogłyby narazić się cenzurze, złagodził je, z lekka zmienił, lub też zadowolił się przybliżeniami, aluzjami do tego, co popłynąć chciało spod jego pióra. Wówczas nie ma ów dziennik pustych miejsc, lecz czytelnik wnioskuje z pewnych omówień i niejasności wyrażen, że autor użył ich ze względu na cenzurę.

Trzymajmy się więc porównania. Powiadamy: przecież i te miejsca opuszczone, kryjące się poza mamrotaniem, padły ofiarą cenzury. Mówimy też wprost o cenzurze sennej, której należy przypisać udział w zniekształceniu snu. Wszędzie, gdzie znajdują się luki w jawnej treści marzenia sennego, winę ponosi cenzura. Winniśmy pójść dalej i rozpoznać działanie cenzury wszędzie tam, gdzie jakiś element snu zostaje przypomniany w sposób szczególnie słaby, nieokreślony i wątpliwy na tle innych, wyraźniejszych. Rzadko jednak odzywa się cenzura tak otwarcie, że tak powiem, naiwnie, jak w przykładzie przytoczonego marzenia sennego. Częściej posługuje się ona tym drugim rodzajem wyrażania się, a mianowicie złagodzeniem, przybliżeniem lub aluzją zamiast właściwej myśli.

Trzeciego sposobu działania cenzury nie mogę porównać z panowaniem się cenzury w dziennikach, mogę go natomiast zademonstrować właśnie na tym jedynym dotychczas zanalizowanym przykładzie marzenia sennego. Przypominacie sobie marzenie sennie o owych złych biletach teatralnych za 1 fl. 50. W myślach ukrytych tego snu przodował składnik „skwapliwie, przedwcześnie”. Brzmiały one: nonsensem było tak wcześnie pójść za mąż — było też nonsensem tak wcześnie kupić bilety do teatru — śmieszne było ze strony szwagierki pośpieszyć się tak z wydawaniem pieniędzy, by kupić sobie za nie klejnoty. Do jawnej treści marzenia sennego nie przedostało się nic z owego głównego elementu; tutaj osią treści jest pójście do teatru i zakupienie biletów. Dzięki przesunięciu akcentu, dzięki przegrupowaniu składników treści staje się jawne marzenie sennie tak niepodobne do ukrytego, że nikt by nie przypuścił, iż to drugie kryje się za pierwszym. To przesunięcie akcentu jest głównym środkiem pomocniczym zniekształcenia snu i nadaje mu to piętno obcości, na skutek którego sam śniący nie chciałby go uznać za własny wytwór.

Opuszczenia, zmiany, przegrupowania materiału są dziełem cenzury marzenia sennego, jak również środkiem pomocniczym dla zniekształcenia. Cenzura snu jest co najmniej jednym ze sprawców zniekształcenia, którym obecnie się zajmujemy. Zmiany te zwykliśmy obejmować mianem *przesunięcia*.

Skoro zatem omówiliśmy oddziaływanie cenzury, zwróćmy teraz uwagę na jej dynamikę. Sądzę, że nie bierzecie tego wyrażenia zbyt antropomorficznie i nie wyobrażacie sobie pod tym określeniem cenzora, małego surowego człowieka, lub też ducha zamieszkującego małą komórkę mózgową, gdzie sprawuje swój urząd. Nie wolno wam również myśleć przy tym o określonym ośrodku mózgowym, z którego wychodzi ów wpływ cenzurujący, wpływ, który byłby usunięty w razie uszkodzenia lub zniszczenia tego ośrodka. Tymczasem przedstawia on jedynie dogodne określenie dla związku dynamicznego. Słowo to nie przeszkodzi nam w zapytaniu, w imię jakich tendencji on działa i na jakie tendencje oddziałuje; nie zdziwi nas to wcale, jeśli dowiemy się, że poprzednio już natrafiliśmy na cenzurę marzenia sennego, nie rozpoznając jej jednakże.

I tak rzeczywiście rzecz się miała. Czy przypominacie sobie, jakiego dziwnego i nieoczekiwanego wrażenia doznaliśmy zastosowując po raz pierwszy naszą technikę swobodnych skojarzeń? Wówczas już

zauważyliśmy, że naszym usiłowaniom dotarcia od składnika marzenia sennego do nieświadomego pierwiastka, którego jest on zastępcą, przeciwstawił się opór. Powiedzieliśmy wtedy, że ów opór może przybrać różne rozmiary, raz może być olbrzymi, innym razem nieznaczny. W ostatnim wypadku należy przeprowadzić pracę tłumaczenia przez kilka tylko ogniów, skoro jednak opór jest wielki, musimy przejść długi łańcuch skojarzeń, jaki od tego elementu prowadzi i nas od niego znacznie oddala, przy czym musimy po drodze pokonywać wszelkie trudności, które występują jako krytyczne zarzuty przeciwko nasuwającej się myśli. To, co się nam przy tłumaczeniu przedstawia jako opór, musimy wprowadzić do pracy marzenia sennego jako cenzurę. Opór przy tłumaczeniu jest obiektywizacją cenzury. Udowadnia on nam również, że siły cenzury nie wyczerpują się tworząc zniekształcenie marzenia sennego i nie gasną po jego dokonaniu, lecz przeciwnie, że cenzura istnieje nadal jako stała instytucja, której celem jest utrzymywanie w mocy zniekształcenia. Podobnie zresztą jak przy tłumaczeniu snu zmienny był zależnie od jego składnika rozmiar oporu, tak samo zniekształcenie spowodowane cenzurą może w tym samym marzeniu sennym przy każdym składniku wypaść z nierówną siłą. Porównując marzenie senne jawne i ukryte, widzimy, że pewne ukryte pierwiastki zostały całkowicie wykluczone, inne mniej lub więcej zmienione, a inne znów zachowały swą postać, możliwe, że zostały nawet silniej w jawnej treści podkreślone.

Chcieliśmy jednak zbadać, jakim tendencjom służy cenzura, ewentualnie przeciwko jakim występuje. Na to podstawowe pytanie, ważne nie tylko dla zrozumienia marzenia sennego, ale, być może, i całego naszego życia psychicznego, możemy z łatwością odpowiedzieć, jeśli przejrzymy szereg marzeń sennych, które zostały zanalizowane. Dążności, którym służy cenzura, uznaje śniący w swym sądzie na jawie, czuje się z nimi w zgodzie. Możecie być przekonani, że skoro nie chcecie uznać prawidłowo przeprowadzonego tłumaczenia własnego marzenia sennego, działają tu te same motywy, na jakich opiera się cenzura wytwarzająca zniekształcenie i potrzebę tłumaczenia. Uprzymiśnijcie sobie marzenie senne naszej 50-letniej pani. Pani ta uważa swój sen za ohydny, a byłaby jeszcze bardziej oburzona, gdyby jej dr von Hug powtórzyła cokolwiek z tego oczywistego tłumaczenia, lecz właśnie temu potępieniu należy przypisać, że owe nieprzyzwoite miejsca zostały w marzeniu sennym zastąpione bełkotaniem.

Te dążności jednak, przeciwko którym zwraca się cenzura, musimy naprzód określić z punktu widzenia tej instancji. Wówczas dopiero możemy powiedzieć, że są one bez wyjątku godne odrzucenia ze względów czy to etycznych, czy to estetycznych, czy też społecznych; są to sprawy, o których nie ważymy się nawet myśleć lub myślimy o nich ze wstrętem. Przede wszystkim są te cenzurowane i w marzeniu sennym zniekształcone życzenia wyrazem bezgranicznego i bezwzględnego egoizmu. Własne „ja” występuje bowiem w każdym śnie i gra w nim główną rolę, choćby nawet zdołało się ono w jawnej treści dobrze ukryć. Ten „święty egoizm” marzenia sennego pozostaje z pewnością w związku z naszym nastawieniem na sen, które polega na odwróceniu naszego zainteresowania od świata zewnętrznego.

Jaźń, wyzwolona z wszelkich więzów etycznych, solidaryzuje się z takimi pragnieniami seksualnymi, które od dawna już zostały potępione przez nasze wychowanie estetyczne. Nie sprzeciwia się ona też dążeniom skrępowanym dotychczas obyczajnością. Pragnienie rozkoszy — libido, jak mówimy — wybiera swoje przedmioty nie hamując się, i to najchętniej zabronione, nie tylko żonę bliźniego, lecz przede wszystkim obiekty według uświęconego obyczaju kazirodcze: u mężczyzny — matkę i siostrę, u kobiety — ojca i brata (i w marzeniu sennym owej 50-letniej pani jasne jest, że swe libido kieruje ona do syna). Pożądania, o których sądzimy, że są obce ludzkiej naturze, okazują dość siły, by wywołać marzenie senne. I nienawiść może się wyładować bezgranicznie, pragnienie zemsty i życzenie śmierci najbliższym i najukochańszymi osobom, rodzicom, rodzeństwu, żonie czy mężowi, własnym dzieciom nie są czymś niezwykłym. Te ocenzurowane życzenia zdają się wyrastać z prawdziwego piekła; a po tłumaczeniu na jawie najradykalniejsza cenzura nie wydaje się nam dla nich zbyt surowa.

Lecz nie należy tu winić marzenia sennego za jego złą treść, ani nie wolno nam zapomnieć, że jego niewinną a użyteczną funkcją jest strzeżenie snu od zakłócenia tego rodzaju; zło nie tkwi w istocie marzenia sennego. Wiecie przecież, że istnieją sny, które uznać musimy za zaspokojenie słusznych życzeń i naglających potrzeb cielesnych. Nie wykazują one wprawdzie zniekształcenia, jest ono też dla nich zbyt użyteczne, wszak mogą spełniać swoją funkcję nie obrażając etycznych ani też estetycznych dążności naszej jaźni. Uprzytomnijcie sobie również, że zniekształcenie marzenia sennego odpowiada dwom

czynnikom. Z jednej strony, jest ono o tyle większe, o ile gorsze jest życzenie, które ma zostać ocenzone, z drugiej — musi się ono stosować do każdorazowych wymagań cenzury, która nie zawsze jest w równym stopniu ostra. Młoda, surowo wychowana i nieprzystępna dziewczyna zniekształca i nieubłaganie cenzuruje zapędy marzenia sennego, które my, lekarze np., uznajemy za dozwolone, niewinne życzenia libido, a śniąca sama po dziesięciu latach też osądzi je w ten sposób.

Poza tym nie zaszczyliłyśmy jeszcze tak daleko, by wolno nam było oburzać się na wyniki naszego tłumaczenia. Sądzę, że nie rozumiemy ich jeszcze należycie; naszym zadaniem jest przede wszystkim obronić je przed pewnymi zarzutami. Wszak nie trudno znaleźć tutaj jakąś słabą stronę. Marzenia senna tłumaczymy wychodząc z założenia, które już poprzednio wyłuszczyliśmy, a mianowicie, że marzenie senna ma w ogóle sens, że do normalnego snu możemy zastosować zdobyte przez nas przekonanie o istnieniu nieświadomych zjawisk psychicznych w śnie hipnotycznym i że wszelkie nasuwające się wyobrażenia są zdeterminowane. Gdybyśmy na podstawie tych założeń doszli do wiarygodnych wyników tłumaczenia marzeń sennych, wówczas moglibyśmy wywnioskować, że i te założenia były słuszne. Cóż począć jednak, skoro wyniki wyglądają właśnie tak, jak je poprzednio opisałem? Wszak najtrafniejszą wobec tego, zda się, odpowiedzią byłoby orzeczenie, że są to wyniki niemożliwe, niedorzeczne, a przynajmniej nieprawdopodobne, a więc i założenia nie były zupełnie w porządku. A zatem albo marzenie senna nie jest zjawiskiem psychicznym, albo też nie istnieje pierwiastek nieświadomy w stanie normalnym, lub wreszcie jest w naszej technice jakaś luka. Czyż nie byłoby znacznie prościej i bardziej zadowalająco przyjąć te przypuszczenia niżli te obrzydliwości, które podobno odkryliśmy na mocy naszych założeń?

W istocie! Byłoby prościej i bardziej zadowalająco, ale niekoniecznie słuszniej. Poczekajmy trochę — kwestia ta nie nadaje się jeszcze do dyskusji. Przede wszystkim możemy zaostrzyć jeszcze krytykę naszego tłumaczenia marzeń sennych. Nie zaważyłaby może jeszcze w takim stopniu okoliczność, że wyniki ich są tak niemiłe i niesmaczne. Silniejszym zarzutem jest fakt, że skoro przedstawiamy śniącym wyniki z tłumaczenia tendencje życzeniowe, ci wypierają się ich, i to z wszelkimi pozorami słuszności. — Co? — powie ktoś — pan chce mi udowodnić, że żal mi tej sumy, którą wydałem na wyprawę siostry i wychowanie

mego brata? Ależ to niemożliwe, pracuję i żyję przecież jedynie dla mego rodzeństwa, nie mam poza tym innego zainteresowania w życiu, wypełniam moje obowiązki wobec nich tak, jak przyrzekłem mej matce nieboszczce. — Lub też oburza się sniąca niewiasta: — To ja życzę memu mężowi śmierci? Cóż to za oburzający nonsens! Pomijając już, że nasze pożycie małżeńskie jest najszcześniejsze — w to prawdopodobnie pan nie uwierzy — śmierć jego zabrałaby mi wszystko, co na świecie posiadam. — Lub też kto inny powie nam: — To ja pożadam mej siostry? To śmieszne, wszak nic sobie z niej nie robię, żyjemy źle ze sobą i od lat nie zamieniliśmy ani słowa. — Moglibyśmy brać lżej te sprawy, gdyby sniący nie potwierdzali przypisywanych im tendencji, lub im nawet zaprzeczali, i moglibyśmy wtedy powiedzieć, że są to rzeczy, o których właśnie nie wiedzą. Ale fakt, że odczuwają oni dążności wprost przeciwne, na co wskazuje cały ich tryb życia, musi nas wreszcie wprowadzić w zdumienie. Czy nie byłoby teraz na czasie porzucić w zupełności naszą pracę nad tłumaczeniem marzeń sennych wobec tego, że wyniki jej prowadzą do niedorzeczności?

Nie, jeszcze nie! I ten najsilniejszy zarzut upada, skoro ujmemy go krytycznie. O ile przyjmiemy, że istnieją nieświadome dążności w życiu psychicznym, to wykazanie w świadomości prądów zupełnie im przeciwnych nie świadczy jeszcze o niczym. Wszak możliwe jest, że w życiu psychicznym jest dość miejsca dla sprzecznych tendencji, dla kontrastów, które istnieć mogą obok siebie; ba, nawet nie jest wykluczone, że górowanie pewnych porywów jest warunkiem nieświadomości impulsów przeciwnych. A więc pozostajemy przy początkowo czynionych zastrzeżeniach, że wyniki tłumaczenia marzeń sennych nie są proste i nie bardzo pocieszające. Co do pierwszego zarzutu, to tylko mogę powiedzieć, że — mimo całego zachwyty dla prostoty — z tego punktu widzenia nie można rozwiązać ani jednego z zagadnień snu i że tutaj musicie się już zgodzić z istnieniem bardziej zawiłych stosunków. Co się zaś tyczy drugiego waszego zarzutu, to zgoła niesłusznie jest uzależniać sąd naukowy od tego, czy w danym wypadku odczuwamy zadowolenie, czy też odrazę. Czegóż to dowodzi, że wyniki tłumaczenia marzeń sennych wydają się nam niemiłe, zawstydzające, a nawet wstrętne? *Ça n'empêche pas d'exister*, mówił w podobnym przypadku mój mistrz Charcot, kiedy byłem jeszcze młodym lekarzem. Trzeba być pokornym, usunąć na bok własne sympatie i antypatie, jeśli chcemy się dowiedzieć, gdzie jest prawda.

Jeśli udowodnić wam może fizyk, że życie organiczne na tej ziemi wkrótce ulec musi zupełnemu zastygnięciu, czy wówczas odważycie się mu odpowiedzieć: to nie może być, ta perspektywa jest nazbyt niemiła? Sądzę, że będziecie milczeli, dopóki nie zjawi się inny fizyk, który wykaże pierwszemu błędy w jego założeniach i rachunkach. Skoro odtrącacie to, co wam jest nieprzyjemne, to powtarzacie raczej mechanizm tworzenia się snu, zamiast go zrozumieć i przezwyciężyć.

Przyrzekniecie mi może teraz pominięcie odrażających cech ocenzonego życzeń marzenia sennego, natomiast podniesiecie zarzut, że jest nieprawdopodobne przypisać złu tyle miejsca w ustroju człowieka. Ale czy własne doświadczenia upoważniają was do podobnego sądu? Nie chcę mówić o tym, jacy wydajecie się sami sobie, ale czy natrafiliście na tyle życzliwości u swoich przełożonych i konkurentów, na tyle rycerskości u swych nieprzyjaciół i tak mało zawiści u swoich znajomych, że czujecie się zobowiązani wystąpić przeciwko roli zła i egoizmu w naturze ludzkiej? Czy nie wiecie, jak nieopanowana i nieobliczalna jest większość ludzi w sprawach życia seksualnego? Lub czy nie wiecie też, że wszelkie nadużycia i wykroczenia, o których w nocy śnimy, bywają codziennie popełniane na jawie jako przestępstwa? Psychoanaliza potwierdza tutaj jedynie stare słowa Platona, że dobrzy są ci, którzy poprzestają na tym, aby śnić o rzeczach, które inni, źli — czynią.

Lecz teraz odwróćcie swą uwagę od jednostki, a przypatrzcie się wojnie, która jeszcze wciąż pustoszy Europę, uprzytomnijcie sobie, co za bezmiar brutalności, okrucieństwa, zakłamania rozpanoszył się dziś swobodnie w świecie kulturalnym. Czy rzeczywiście wierzycie, że udałoby się garstce karierowiczów i uwodzicieli bez czci i wiary rozpuścić wszystkie te złe duchy, gdyby nie było w tym i winy milionów tych, których za sobą pociągnęli? Czy odważycie się więc wśród tych okoliczności kruszyć kopie o wykluczenie zła z psychicznej konstrukcji człowieka?

Zarzucicie mi może, że osądzam wojnę jednostronnie; wszak rozbudziła ona najpiękniejsze i najszlachetniejsze porywy w człowieku, jego bohaterstwo, poświęcenie, jego poczucie społeczne. Zapewne, lecz nie popełniajcie tu tej samej niesprawiedliwości, którą się tak często popełnia wobec psychoanalizy, wytykając jej, że zaprzecza istnieniu pewnych właściwości przez to, że podkreśla inne. Nie leży w naszych zamiarach zaprzeczenie szlachetnym dążeniom natury ludzkiej i nigdy też nie przyczyniliśmy się w niczym do obniżenia ich wartości.

Przeciwnie, wszak pokazują wam nie tylko ocenzone złe życzenia senne, lecz równocześnie i cenzurę, która je usuwa i przeinacza. Zło w człowieku rozpatrujemy dlatego z silniejszym naciskiem, że inni zaprzeczają mu, skutkiem czego życie psychiczne człowieka nie staje się wprawdzie lepsze, ale za to — niezrozumiałe. Jeśli zaniechamy jednostronnej oceny etycznej, zyskamy z pewnością słuszniejszą formułę dla określenia w naturze ludzkiej stosunku zła do dobra.

Pozostajemy więc przy tym. Nie jest konieczne, byśmy wyrzekli się wyników swojej pracy nad tłumaczeniem marzeń sennych, mimo że wywołują one nasze zdumienie. Możliwe, że później na innej drodze uda się nam lepiej je zrozumieć. Tymczasem zapamiętajmy sobie: zniekształcenie marzenia sennego jest wynikiem cenzury, która działa pod wpływem uznanych tendencji naszej jaźni przeciwko jakimkolwiek gorszącym życzeniom, budzącym się w nas w nocy podczas snu. Dlaczego właśnie w nocy i skąd pochodzą te godne wzgardy życzenia? Tu, oczywiście, powstaje szereg pytań i zagadnień.

Byłoby niesłuszne nie wspomnieć o jeszcze jednym wyniku, który zasługuje na podkreślenie. Występujące w marzeniach sennych życzenia, które chcą nam zakłócić sen, są nam nie znane, dowiadujemy się o nich dopiero dzięki tłumaczeniu snów; należy je zatem uważać za nieświadome w omówionym już znaczeniu, ale musimy sobie powiedzieć, że są one nieświadome bardziej niż tymczasowo. Sam śniący wypiera się ich, o czym dowiedzieliśmy się w wielu wypadkach, po ich poznaniu drogą tłumaczenia. Tu powtarza się ta sama sytuacja, co w przytoczonym wypadku przejęzyczenia „aufstossen”, kiedy to młodzieniec wznoszący toast, oburzony, zapewniał, że ani wtedy, ani kiedykolwiek poprzednio nie uświadamiał sobie, iż odnosi się bez szacunku do swego przełożonego. I już wtedy zwątpiliśmy o wartości takiego zapewniania i przyjęliśmy po prostu, że mówca nie zdaje sobie sprawy z tego uczucia. Powtarza się to przy każdym tłumaczeniu silnie zniekształconego marzenia sennego i zatem zyskuje na znaczeniu dla naszego rozumienia. Jesteśmy teraz gotowi przyjąć, że w życiu psychicznym istnieją procesy, dążenia, o których się w ogóle nic nie wie, nic nie wie od dłuższego czasu, a nawet może nigdy nie wiedziało. Nieświadome otrzymuje dla nas w ten sposób nowe znaczenie, znika z jego istoty „tymczasowość” lub „doczesność” i termin ten oznaczać może również to, co *stale* jest nieświadome, a nie tylko „tymczasowo ukryte”. Oczywiście, że i o tym musimy później pomówić obszerniej.

Symbolika w marzeniu sennym

Panie i panowie! Nasze rozważania wykazały, że zniekształcenie marzenia sennego, które przeszkadza nam w jego zrozumieniu, jest wynikiem działania cenzury kierującej się przeciwko życzeniom nieświadomym, których przyjąć nie możemy. Oczywiście, nie utrzymywaliśmy, że to jedynie cenzura jest tym czynnikiem powodującym zniekształcenie marzenia sennego, toteż rozpatrując marzenie senne w dalszym ciągu, dochodzimy do przekonania, że współdziałały tutaj także inne momenty. To znaczy, jak gdybyśmy powiedzieli: nawet gdyby cenzura była wykluczona, to i wtedy nie byłibyśmy w stanie zrozumieć marzeń sennych, jawne marzenie senne nie byłoby identyczne ze swymi ukrytymi myślami.

Ten drugi moment powodujący niejasność marzenia sennego, ten nowy czynnik zniekształcenia, odnajdujemy, skoro zwrócimy uwagę na pewne niedomaganie naszej techniki. Przyznałem wam, że analizowanym nie przychodzi czasami nic na myśl w związku z pewnymi pojedynczymi pierwiastkami snu. Rozumie się, że nie zdarza się to tak często, jak oni utrzymują, i w wielu wypadkach udaje się wytrwałością wymusić skojarzenie. Pozostaje jednak jeszcze dość wypadków, w których skojarzenie odmawia posłuszeństwa, lub też, wymuszone, nie dostarcza tego, czego od niego oczekujemy. Jeśli ma to miejsce podczas leczenia psychoanalitycznego, to nabiera szczególnego znaczenia, co nas jednak tutaj nie obchodzi. Zdarza się to jednak również przy tłumaczeniu marzeń sennych ludzi normalnych, lub też własnych snów. Po przekonaniu się, że wszelkie wysiłki woli w tych wypadkach na nic się nie zdadzą, spostrzegamy wreszcie, że ów niemile widziany przypadek występuje regularnie przy pewnych tylko składnikach marzenia sennego, i nabieramy przekonania, że istnieć tu muszą pewne prawa, a nie, jak początkowo przypuszczaliśmy, wyjątkowe niedomagania naszej techniki.

W ten sposób dajemy się skusić, by owe „nieme” pierwiastki snu tłumaczyć samemu, próbować przełożyć je własnym przemysłem. Narzuca się myśl, że za każdym razem otrzymujemy zadowolający sens, jeśli odważymy się na takie podstawienie. W przeciwnym wypadku marzenie senne pozostaje bezsensowne, a wątek przerwany na tak długo, dopóki nie zdecydujemy się na ten krok.

Wielokrotne i częste powtarzanie się podobnych wypadków upewnia nas w tym, co początkowo było tylko nieśmiałą próbą.

Przedstawiam to wszystko nieco schematycznie, niechaj będzie mi to dozwolone w celach dydaktycznych, tym bardziej iż nic tu nie fałszuję, a tylko upraszczam.

W ten sposób otrzymuje się dla szeregu składników marzenia sennego stałe tłumaczenia, a więc zupełnie podobnie jak w owych popularnych sennikach. Nie zapominacie przecież, że przy stosowaniu naszej techniki skojarzeń nie zjawiają się nigdy stałe wyobrażenia zastępcze pierwiastków snu.

Powiecie też natychmiast, że ten sposób tłumaczenia wydaje się wam jeszcze bardziej niepewny i mniej przemawiający do przekonania niż poprzedni, oparty na swobodnych skojarzeniach. Lecz to nie wszystko. Skoro mianowicie zbierze się dzięki doświadczeniu dość tych stałych wyobrażeń zastępczych, to powiemy sobie raz jeszcze, że rzeczywiście mogliśmy owe części tłumaczenia marzeń sennych wypełniać na mocy własnych wiadomości, że mogą być one rzeczywiście zrozumiałe i bez skojarzeń śniącego. Skąd winniśmy znać ich znaczenie, to wytłumaczy nam druga część naszych rozważań.

Tego rodzaju stały związek między składnikiem marzenia a jego tłumaczeniem zwiemy *symbolicznym*, a sam składnik marzenia sennego *symbolem jego nieświadomych myśli*. Przypominacie sobie, że poprzednio, przy omawianiu związku między składnikami snu, a ich właściwymi odpowiednikami, rozróżniłem trzy rodzaje tego związku, mianowicie: część całości, aluzja, przedstawienie obrazowe. O czwartym wspomniałem wprawdzie, nie wymieniając go jednak. Ten czwarty związek, teraz tutaj wprowadzony, jest właśnie związkiem symbolicznym. Wiąże się z nim interesujące rozważania, którymi się zajmiemy, zanim jeszcze przedstawimy nasze szczegółowe spostrzeżenia co do symboliki. Symbolika jest może najciekawszym rozdziałem nauki o marzeniach sennych.

Przede wszystkim, skoro symbole są stałymi przekładami, to urzeczywistniają one w pewnym stopniu ideał zarówno starożytnego, jak i ludowego tłumaczenia marzeń sennych, od którego oddaliliśmy się znacznie stosując naszą technikę. Zezwalają one nam czasami tłumaczyć marzenia senna bez wypytywania śniącego, który i tak nie zna sensu symbolu. Znając zarówno utarte symbole marzeń sennych,

jak i osobę śniącego, warunki, w których żyje, oraz wrażenia, po których nastąpiło marzenie senne, jesteśmy często w stanie tłumaczyć sen bez trudności, jakby od ręki. Tego rodzaju sztuczka schlebia tłumaczowi i imponuje śniącemu; stanowi ona miły kontrast z mozolną pracą wypytywania śniącego. Nie dajcie się jednak tym skusić. Nie jest naszym zadaniem wykonywanie sztuczek. Tłumaczenie oparte na znajomości symboliki nie może ani zastąpić, ani też mierzyć się z techniką skojarzeń. Uzupełnia ją ono tylko i dopiero w połączeniu z nią daje użyteczne rezultaty. Co się zaś tyczy sytuacji psychicznej śniącego, to zważyć musimy, że tłumaczymy sny nie tylko dobrych znajomych, że w zasadzie nie znamy wydarzeń dnia wywołujących marzenie senne i że właśnie skojarzenia analizowane zaznajamiają nas z tym, co zwiemy sytuacją psychiczną.

Jest ponadto szczególnie osobliwe i ze względu na związki, które później omówimy, to, że przeciwko istnieniu związku symbolicznego między marzeniem sennym a nieświadomym podniosły się najgłośniejsze sprzeczności. Nawet osoby o pewnym sądzie i znaczeniu, które dotychczas sprzyjały psychoanalizie, odmówiły nam teraz swojej współpracy. To zachowanie się jest tym osobliwsze, że po pierwsze, symbolika nie jest właściwa tylko marzeniu sennemu i nie charakteryzuje wyłącznie jego, a po drugie, nie została ona wcale odkryta przez psychoanalizę, jakkolwiek ta ostatnia nie jest bynajmniej uboga w zdumiewające odkrycia. Odkrywcą symboliki marzenia sennego jest filozof K.A. Scherner (1861), o ile w ogóle przypisać ją chcemy czasom nowożytnym. Psychoanaliza potwierdziła dane Scherнера, wprowadzając jednakże zasadniczą zmianę.

Zechcecie wreszcie usłyszeć coś o symbolice marzeń sennych i zapoznać się z jej przykładami. Chętnie podzielę się z wami moją wiedzą, lecz przyznaję, że nasze zrozumienie nie sięga tak daleko, jakbyśmy sobie tego życzyli. Istotą symboliki jest porównanie, lecz nie dowolne. Przeczuwamy, że porównanie to zależne jest od pewnych warunków, lecz nie wiemy, na czym one polegają. Nie wszystko, z czym możemy porównać pewien przedmiot czy pewien proces, występuje w marzeniu sennym jako jego symbol. Prócz tego marzenie senne nie symbolizuje pewnego dowolnego pierwiastka, lecz przeciwnie, tylko ściśle określone składniki swoich ukrytych myśli. Widzimy więc, że są tu ograniczenia z dwóch stron. Musimy też przyznać, że nie możemy ściśle odgraniczyć pojęcia symbolu, gdyż stapia się on często

czy to z wyobrażeniem zastępczym, czy to z obrazem, a nawet zbliża się do aluzji. W pewnych symbolach podstawa porównania jest oczywista. Atoli przy wielu innych symbolach musimy sobie postawić pytanie, gdzie należy szukać tej wspólności, owego *tertium comparationis* przypuszczalnego porównania. Możemy ją znaleźć później po dokładniejszym rozważeniu, lub też pozostaje dla nas ukryta. Zdumiewa nas również to, że skoro symbol jest porównaniem, nie otwiera się on przed nami drogą skojarzeń, że ponadto śniący nic o nim nie wie, że posługuje się nim nie znając go. Ba, co więcej, śniący nie okazuje ochoty uznania go, skoro mu go przedstawiamy. Widzicie zatem, że związek symboliczny jest porównaniem osobliwego rodzaju, którego uzasadnienia jeszcze na razie jasno ująć nie możemy. Możliwe, że później zdołamy zebrać poszlaki, które pozwolą nam znaleźć tę niewiadomą.

Zakres rzeczy, które bywają w marzeniu sennym symbolicznie wyrażone, nie jest wielki: ciało ludzkie jako całość, rodzice, dzieci, rodzeństwo, poród, śmierć, nagość — i jeszcze coś. Typowym, tj. regularnie występującym obrazem osoby jako całości jest *dom*, co rozpoznał Scherner, który zresztą przypisywał temu symbolowi wybitne znaczenie, co, naszym zdaniem, jest niesłuszne. Zdarza się we śnie, że — czy to z uczuciem rozkoszy, czy bojaźni — zsuwamy się z fasad domów. Domy o gładkich murach oznaczają mężczyzn, inne zaś, z przybudówkami, balkonami, o które się można oprzeć, oznaczają kobiety. Rodzice występują w marzeniu sennym jako *cesarz i cesarzowa* lub jako *król i królowa*, lub też inne osoby, do których odnosimy się z szacunkiem. Marzenie senne postępuje tu z wielkim pietyzmem. Mniej czule obchodzi się z dziećmi i rodzeństwem; symbolizują je *zwierzątka i robactwo*. Poród bywa zwykle wyobrażony przez związek z *wodą*; albo wpada się do wody, albo wychodzi się z niej, ratuje się jakąś osobę z wody, albo jest się przez nią ratowanym, znaczy to, że pozostaje się do niej w stosunku macierzyńskim. Umieranie zastępuje w marzeniu sennym *odjazd, jazda koleją*, a samą śmierć oznaczają różne ciemne, niby nieśmiałe napomknienia; nagość podkreślają *suknie i uniformy*. Widzicie zatem, jak zacierają się tutaj granice pomiędzy symbolem a aluzją.

Ubogie wyda się nam to wyliczenie, skoro porównamy je z bogatą symboliką, która wyobraża przedmioty i sprawy innego zakresu. Jest to zakres życia płciowego, narządów płciowych, spraw i stosunków

seksualnych. Przeważna ilość symboli w marzeniu sennym to symbole płciowe. Okazuje się tutaj dziwna dysproporcja.

Przedmiotów oznaczonych jest niewiele, natomiast symboli dla nich wyjątkowo dużo, tak że każdy z tych przedmiotów może być wyrażony za pomocą licznych, prawie że równowartościowych symboli. Przy tłumaczeniu okazuje się potem coś, co budzi ogólne zgorszenie. Tłumaczenia symboli są, w przeciwieństwie do różnorodności obrazów sennych, bardzo jednostajne. To nie podoba się nikomu, kto się o tym dowiaduje. Ale cóż na to poradzić?

Ponieważ po raz pierwszy w ciągu tych wykładów poruszam sprawę życia seksualnego, poczuwam się do obowiązku przedstawienia wam, jak zamierzam ten temat traktować. Psychoanaliza nie widzi tutaj powodu do osłonek i aluzji i nie uważa za konieczne wstydzić się tego, iż zajmujemy się tą tak ważną materią: mniema, że jest postępowaniem poprawnym i przyzwoitym nazywanie wszystkiego po imieniu, i spodziewa się, że w ten sposób uda się jej najlepiej usunąć wszelkie myśli uboczne. Nie może tu niczego zmienić ta okoliczność, że audytorium składa się z obojga płci. Tak jak nie istnieje wiedza *in usum delphini*, tak nie ma jej dla podlotków, a panie, które się *tutaj* zjawily, dały nam tym samym do zrozumienia, że pragną być traktowane na równi z mężczyznami.

Marzenie senne posługuje się dla przedstawienia narządu męskiego szeregiem obrazów symbolicznych, przy czym najczęściej jest zupełnie jasna wspólna podstawa porównania. Symbolicznie doniosła jest dla oznaczenia męskich narządów płciowych święta liczba 3. Bardziej uderzająca i dla obojga płci więcej zajmująca część narządu, a więc członek męski bywa zastąpiony po pierwsze przez przedmioty podobne mu formą, a więc długie i sterczące do góry, jak na przykład *laski*, *parasole*, *pręty*, *drzewa* itp.; ponadto przez przedmioty, których wspólną właściwością jest możliwość wtargnięcia w ciała, przy równoczesnym uszkodzeniu, więc ostra broń wszelkiego rodzaju: *noże*, *sztylety*, *włócznie*, *szable* oraz broń palna: *strzelby*, *pistolety*, a szczególnie nadający się do tego dzięki swej formie *rewolwer*. W marzeniach lękowych dziewcząt gra znaczną rolę prześladowanie przez mężczyznę z nożem lub bronią palną. Jest to może najczęściej występujący symbol marzenia sennego, który też możecie sobie z łatwością przetłumaczyć. Łatwo zrozumiałe jest również zastąpienie członka męskiego przedmiotami, z których ciecze woda: *kurki wodociągowe*,

konewki do polewania, wodotryski, oraz wieloma innymi przedmiotami, które można przedłużać: *lampy wiszące, ołówki do wykręcania* itd. Związek symboliczny pomiędzy *ołówkami, obsadkami, pilnikami, młotkami* i innymi *instrumentami* a męskim narządem płciowym wiąże się również z pewnym pojęciem o roli tego narządu.

Osobliwa właściwość członka, który może podnosić się wbrew sile ciężkości, objaw erekcji, powoduje wyobrażenie symboliczne przez *balony powietrzne i samoloty*. Marzenie senne zna jednak jeszcze inny, bardziej uderzający sposób symbolizowania erekcji. Przenosi ono tę właściwość członka na całą osobę i każe jej samej *unosić się w powietrzu*. Nie bierzcie sobie tego zbyt do serca, że tak często piękne *marzenia senne o locie*, które wszyscy znamy, tłumaczone być muszą jako marzenie senne o ogólnym podnieceniu płciowym, o erekcji. Spośród badaczy psychoanalitycznych P. Federn zebrał dowody, które nie pozwalają nam wątpić w słuszność tego tłumaczenia. Również Mourly Vold, znany i ceniony za swą trzeźwość sądu, a stojący rzeczywiście daleko od psychoanalizy, może nawet nic o niej nie wiedząc, doszedł, przeprowadzając podobne eksperymenty za pomocą sztucznych pozycji ramion i nóg, do tych samych wyników. Niesłuszny byłby również zarzut, że i kobiety mają marzenia senne o locie. Przypomnijcie sobie przecież, że nasze marzenia senne usiłują spełnić życzenia, a pragnienie stania się mężczyzną istnieje świadomie lub nieświadomie u wielu kobiet. Że możliwe jest dla kobiety urzeczywistnić to życzenie na drodze tych samych doznań, co i dla mężczyzny, nie zdziwi to nikogo, kto jest obeznany z anatomią. Kobieta posiada w swoim narządzie płciowym również mały członek podobny do członka męskiego, mianowicie łechtaczkę (*clitoris*), która w dzieciństwie i w okresie przed normalnym życiem płciowym odgrywa tę samą rolę, co duży członek męski.

Do mniej dobrze zrozumianych męskich symboli płciowych należą niektóre *plazy i ryby*, a przede wszystkim znany symbol *węża*. Dlaczego *kapelusz i płaszcz* są w tym samym sensie używane, jest, oczywiście, niełatwe do zrozumienia, nie możemy jednak wątpić w ich symboliczne znaczenie. W końcu należy postawić pytanie, czy można uznać, że penis bywa zastępowany w marzeniu sennym innym członkiem, jak np. nogą lub ręką, i czy możemy zastąpienie takie nazwać symbolicznym. Sądzę, że zmusza nas do tego związek i porównanie z kobiecymi symbolami.

Kobięcy narząd płciowy bywa przedstawiany symbolicznie przez wszystkie te przedmioty, które posiadają jego właściwość, a mianowicie wydrążenie mogące w sobie coś pomieścić. A więc: *szyby, kopalnie, jamy, naczynia, flaszki, pudła, szkatuły, kufry, puszki, skrzynie, kieszenie* itp. Również i *okręt* należy do nich. Inne symbole wykazują znów więcej związku z łonem matki niżli z narządem płciowym kobiety, a więc: *szafy, piece*, a przede wszystkim *pokój*. Symbolika pokoju styka się tu z symboliką domu, *drzwi* i *brama* oznaczają symbolicznie otwór płciowy. Również i materiały są symbolami kobiety, *drewno, papier*, jak również przedmioty z tych materiałów sporządzone: *stół* i *książka*. Ze zwierząt należy co najmniej wspomnieć o *ślimakach* i *muszlach*, które są widocznymi symbolami kobiecymi. Z części ciała należy tu wymienić *usta*, zastępujące otwór płciowy, z budowli — *kościół* i *kaplicę*. Jak widzicie, wszystkie te symbole nie są w równej mierze zrozumiałe.

Do genitaliów zaliczyć musimy również piersi, których wyobrażeniem — podobnie jak i większych półkulistych części ciała kobiecego — są *jabłka, brzoskwinie* i wszelkie *owoce*. Uwłosienie narządów płciowych zostaje opisane przez marzenie senne jako *las* i *gęstwina*. Zawila topografia kobiecych narządów płciowych czyni zrozumiałym, dlaczego bywają one przedstawiane bardzo często przez *krajobraz* ze skałami, lasem i wodą, podczas gdy okazałość mechanizmu narządu płciowego męskiego sprawia, że bywa on zastąpiony symbolicznie przez wszelkie trudne do opisanie, skomplikowane *maszyny*.

Godny wzmianki jest jeszcze symbol narządów płciowych kobiecych w postaci *szkatułki na klejnoty; klejnoty* i *skarbu* służą do określenia ukochanych osób również w marzeniu sennym; słodczyce wyobrażają często rozkosz płciową. Samo zaspokojenie płciowe bywa oznaczone przez wszelkiego rodzaju grę, a więc również przez *grę na fortepianie*. Specyficznym symbolem onanii jest *posuwanie się* i *zsuwanie* oraz *zrywanie gałęzi*. Szczególnie osobliwym symbolem jest *wypadanie zębów* lub *rwanie zęba*. Oznacza ono na pewno przede wszystkim kastrację jako karę za onanię. Szczególne wyobrażenia spółkowania nie są tak liczne, jak byśmy mogli przypuszczać. Wymienić tu należy czynności rytmiczne: *taniec, jazdę konną, wspinanie się*, również i gwałtowne doznania, jak np. *uczucie, że się jest przejechanym*;; wreszcie pewne *czynności rękodzielnicze* oraz, oczywiście, *zagrożenie bronią*.

Nie należy jednak wyobrażać sobie stosowania, czy też tłumaczenia tych symboli tak bardzo prosto. Zdarza się tu często coś, co nie odpowiada naszym oczekiwaniom. I tak, wydaje się nam wprost nieprawdopodobne, że symbolika nie rozróżnia wyraźnie różnic płciowych. Pewne symbole oznaczają narząd płciowy w ogóle, obojętne — męski czy kobiecy, jak np. *małe dziecko*, *mały syn* lub *mała córka*. Innym razem może być stosowany wyraźnie symbol męski dla określenia genitalii kobiecych i odwrotnie. Nie rozumiemy tego, dopóki nie wejrzymy w rozwój ludzkich wyobrażeń seksualnych. W niektórych wypadkach może być tego rodzaju dwuznaczność symboli tylko pozorna; najwyrazistsze symbole, jak *broń*, *kieszeń*, *skrzynia*, nie bywają stosowane biseksualnie.

Moim zamiarem nie jest jednak wytłumaczyć wam symbole opierając się na tym, co one wyobrażają, lecz przeciwnie, chcę wam dać przegląd symboli oraz dziedzin, z których je wzięto, i dodać kilka uzupełnień ze szczególnym uwzględnieniem symboli o niezrozumiałym podłożu wspólnym. Takim niejasnym symbolem jest *kapelusz*, czy w ogóle okrycie głowy, symbolem o znaczeniu męskim, nie wykluczającym również i żeńskiego. Również *plaszcz* oznacza mężczyznę, może nie zawsze w charakterze płciowym. Wolno wam zapytać, dlaczego. Zwisający i przez kobietę nie noszony *krawat* jest wyraźnie symbolem męskim. *Biała bielizna*, a zwłaszcza *plótno*, jest kobiecym symbolem. *Suknie*, *uniformy* zastępują, jakieśmy już słyszeli, *nagość*, *kształty ciała*; *bucik*, *pantofel* — narząd płciowy kobiety. *Stół* i *drzewo* wymieniliśmy jako zagadkowe, ale bezsprzeczne symbole kobiece. *Drabina*, *schody* jak i chodzenie po nich, są pewnymi symbolami obcowania płciowego. Po głębszym namyśle wpada nam rytm chodzenia jako wspólna cecha, a może wzrost podniecenia i brak tchu, im wyżej idziemy.

Krajobraz uznaliśmy już za symbol narządów kobiecych. *Góra* i *skala* są symbolami członka męskiego, *ogród* bardzo częstym symbolem genitaliów kobiecych. *Owoc* nie oznacza dziecka, lecz piersi. *Dzikie zwierzęta* oznaczają ludzi zmysłowo podnieconych, poza tym również złe popędy, namiętności. *Kwiaty* wyobrażają genitalia kobiety, zwłaszcza dziewiczość. Nie należy zapominać, że kwiat jest rzeczywiście narządem płciowym roślin.

Wiemy już, że *pokój* stanowi symbol, a w konsekwencji okna i drzwi mają znaczenie otworów w ciele. Również *otwarcie* lub

zamknięcie pokoju to momenty sprzyjające rozwinięciu tej symboliki, a *klucz*, który otwiera, jest stanowczo symbolem męskim.

Oto materiał do symboliki marzeń sennych. Nie jest on kompletny i można by go zarówno pogłębić, jak i rozszerzyć. Lecz sądzę, że tymczasowo wystarczy on wam, możliwe, że nawet usposobi niechętnie. Zapytacie: czy rzeczywiście żyjemy pośród symboli seksualnych? Czyż wszystkie te przedmioty, które nas otaczają, wszystkie ubrania, które nosimy, wszelkie rzeczy, które bierzemy do ręki, czyż są to zawsze symbole seksualne, a nic innego? Dość jest chyba okazji do zadawania zdziwionych pytań, z których pierwsze będzie brzmiało: skąd właściwie mamy znaczenie tych symboli marzenia sennego, skoro śniący sam nie może nam dać wystarczającej odpowiedzi?

Odpowiadam: z różnych źródeł, z baśni i mitów, z dowcipów, folkloru, to jest nauki o obyczajach i zwyczajach, przypowieściach i piosenkach ludowych, i z mowy poetyckiej czy też zwykłej. Wszędzie napotykamy tu tę samą symbolikę, w wielu miejscach rozumiemy ją bez wszelkich dalszych wskazówek. Rozważając i badając poszczególne źródła, znajdujemy tyle analogii do symboliki marzeń sennych, że upewniamy się stanowczo o słuszności naszego tłumaczenia.

Wspomnieliśmy już, że ludzkie ciało wyobrażone zostaje często, według poglądu Schernera, przez symbol domu. W konsekwencji zatem okna, drzwi i bramy przedstawiają otwory wejściowe do jamy ciała; fasady są gładkie lub opatrzone balkonami jako punktami oparcia. Tę symbolikę spotykamy w naszej mowie potocznej witając dobrego znajomego poufale: *Altes Haus!* (stara chałupa) lub też osądzając, że ktoś jest *nicht richtig im Oberstübchen* — ma źle w głowie. W anatomii zwiemy otwory ciała *Leibesporten* (brama ciała).

Że rodziców widzimy w marzeniu sennym jako parę cesarską lub królewską, to wydaje się rzeczywiście z początku dziwne, ale znajdujemy analogię w bajkach. Świta nam teraz myśl, że te wszystkie bajki, które rozpoczynają się: „Był sobie raz *król i królowa*”, nie chcą nic innego powiedzieć, jak: był sobie raz ojciec i matka. W rodzinie zwiemy żartobliwie dzieci książętami, a najstarszego następcą tronu. Król sam zwie się *Landesvater* (ojciec kraju). Małe dzieci określamy żartobliwie jako *robaczki* i powiadamy, współczując: *biedny robaczek*.

Powróćmy jednak do symboliki domu. Jeśli w marzeniu sennym służą nam wystające miejsca fasady za punkt oparcia, czy nie przypomina nam to popularnego wyrażenia ludowego mówiącego

o kobiecie o silnie rozwiniętym biuście; tu jest się czego uchwycić? Lud wyraża się jeszcze inaczej, mówiąc: ta ma dużo dREW przed domem — jakby chcąc nam przyjść z pomocą w określeniu, że drewno jest symbolem kobiecym, macierzyńskim.

Jeszcze odnośnie do drewna. Nie rozumiemy, w jaki sposób stało się ono symbolem macierzyństwa, kobiecości. Porównanie języków przyjdzie nam tu z pomocą. Niemieckie słowo *Holz* (drewno) ma być tego samego pochodzenia, co greckie *υλη*, co oznacza materię, surowiec. Widocznie mamy tu do czynienia z częstym zresztą wypadkiem, że ogólna z początku nazwa materii zarezerwowana została dla szczególnego rodzaju materiału. I tak, istnieje na oceanie wyspa Madera. Nazwę tę nadali jej Portugalczycy przy jej odkryciu, gdyż była całkiem pokryta gęstymi lasami, *madeira* zaś znaczy w języku portugalskim drzewo. Widzicie, że *madeira* nie jest niczym innym, jak tylko z lekka zmienionym słowem łacińskim: *materia*, które znowu oznacza materiał w ogólności. Słowo zaś *materia* wywodzi się od *mater*, matka. Materia, z której coś powstaje, jest jak gdyby jego macierzystą częścią. W symbolicznym zastosowaniu drewna dla oznaczenia kobiety, matki żyje zatem jeszcze to stare pojęcie.

Poród czy narodziny bywają regularnie wyobrażane w marzeniu sennym w związku z wodą: wpadamy do wody albo wychodzimy z niej, to znaczy rodzimy albo zostaliśmy urodzeni. Nie zapominajmy też, że ów symbol powołać się może w dwojaki sposób na fakt rozwoju historycznego. Nie tylko że wszelkie lądowe zwierzęta ssące, także i przodkowie człowieka, wywodzą się od zwierząt wodnych — to byłby fakt dalszy — lecz wszak każde zwierzę ssące, każdy człowiek przeżył pierwszą fazę swego bytu w wodzie, jako płód w łonie matki, i rodząc się wydostał się z wody. Nie chcę utrzymywać, że śniący wie o tym, przeciwnie, jestem zdania, że zbyteczne jest, by o tym wiedział. Możliwe, że śniący wie o czymś innym, ponieważ tak opowiadano mu w dzieciństwie, lecz i co do tego punktu jestem pewny, że wiedza jego nie przyczyniła się do wytworzenia tego rodzaju symboliki. Opowiadano mu przecież w dzieciństwie, że bocian przynosi dzieci, ale skąd je wziął? Ze stawu, ze studni, a więc znów z wody. Jeden z moich pacjentów, któremu dano podobne wyjaśnienie, gdy był jeszcze mały, znikł potem na całe popołudnie. Znalezione go wreszcie nad brzegiem stawu, z twarzą pochyloną nad zwierciadłem wody, ciekawie spoglądającego, czy nie ujrzy na jej dnie dzieci.

W mitach o narodzinach bohatera, które O. Rank poddał badaniom porównawczym, porzucenie dziecka w wodzie i uratowanie go z niej gra wielką rolę. Najstarszy mit tego rodzaju o królu Sargonie z Agady pochodzi z r. 2800 przed Chr. Rank rozpoznał, że chodzi tu o narodziny, podobnie jak w marzeniu sennym. Jeśli w marzeniu sennym ratujemy pewną osobę z wody, to podnosimy ją do roli własnej matki, ostatecznie w ogóle do roli matki; w micie przyznaje się osoba ratująca dziecię z wody, że jest rzeczywistą matką dziecka. W znanej anegdocie pytają się inteligentnego młodego Żyda, kto był matką Mojżesza. Odpowiada bez namysłu: księżniczka. Ależ nie, zaprzeczają mu, wszak ona go tylko wyciągnęła z wody, na co chłopiec rezolutnie odpowiada: tak *ona* mówi; i daje tym dowód, że znalazł właściwe tłumaczenie mitu.

Odjazd znaczy w marzeniu sennym śmierć. Jest też w zwyczaju opowiadać dzieciom dopytującym się o miejscu pobytu zmarłego, którego brak odczuwają, że *odjechał*. I znów muszę zaprzeczyć mniemaniu, jakoby ów symbol pochodził od owej wobec dziecka użytej wymówki. Wszak i poeta posługuje się tym samym związkiem symbolicznym, skoro mówi o tamtym świecie jako o kraju nie odkrytym, z którego nie wraca żaden *podróżujący* (*no traveller*). Również w życiu codziennym mówimy zwykle o ostatniej podróży. Znaczący starożytny obrzęd wie, jak poważnie brano w starym Egipcie wyobrażenie podróży do kraju śmierci. W wielu egzemplarzach zachowała się księga zmarłych, którą dawano mumii w podróż, jak gdyby baedekera. Od czasu oddalenia miejsca pochowania od miejsca zamieszkania stała się ta ostatnia podróż zmarłego rzeczywistością.

Niemniej i symboliki seksualnej nie należy przypisywać tylko marzeniu sennemu. Wszak każdy z was był przynajmniej raz tak nieuprzejmy, że nazwał starą kobietę *starym pudlem*, może nie wiedząc wcale, że posługuje się symbolem seksualnym. W Nowym Testamencie czytamy, że kobieta jest słabym *naczyniem*. Pisma święte Żydów w swym stylu, zbliżonym do formy poetyckiej, roją się do wyrażen seksualno-symbolicznych, które nie zawsze zostały słusznie zinterpretowane. Toteż tłumaczenie ich w *Pieśni nad pieśniami* doprowadziło do niejednego nieporozumienia. W późniejszej literaturze hebrajskiej jest bardzo rozpowszechnione wyobrażenie kobiety jako domu, gdzie drzwi zastępują otwór płciowy. I tak, żali się mąż, który nie znalazł swej żony dziewicą, że zastał *drzwi otwarte*. Również symbol stołu dla

kobiety jest dobrze znany w tej literaturze. Żona powiada o swoim mężu: przygotowałam mu *stół*, *lecz on go odwrócił*. Kulawe dzieci mają rodzić się dlatego, że *mąż odwraca stół*. Przykłady te zaczerpnąłem z rozprawy L. Levy w Brnie pod tytułem: *Symbolika seksualna w Biblii i Talmudzie*.

Etymologowie ułatwiają nam też zrozumienie okrętu jako symbolu kobiecego, utrzymując, że *Schiff* (V) okręt była to pierwotna nazwa glinianego naczynia i znaczy to samo, co słowo *Schaff* (L) szaflik. Greckie podanie o Periandrze z Koryntu i jego żonie Melisie przynosi nam również potwierdzenie tłumaczenia pieca jako symbolu kobiety i łona matki. Herodot podaje, że po zamordowaniu z zazdrości swej ukochanej małżonki tyran wzywał jej cień, pragnąc się czegoś dowiedzieć o niej, wówczas zmarła wylegitymowała się, przypominając mu, że on Periander, *wsunął swój chleb do zimnego pieca*, co było aluzją do wydarzenia, o którym nie mogła wiedzieć żadna inna osoba. W dziele pt. *Anthropophyteia*, doskonałym i niezbędnym zbiorze wiadomości z dziedziny życia płciowego ludów, wydawanym przez F.S. Kraussa, czytamy, że w pewnym niemieckim państewku mówi się o kobiecie, która urodziła, że *jej się piec zapadł*. Rozpalanie ognia oraz wszelkie czynności, które mają z nim coś wspólnego, są ściśle przesiąknięte symboliką seksualną. Płomień jest zawsze męskim narządem, a ognisko łonem kobiety.

Jeśli dziwicie się, że tak często w marzeniu sennym użyte bywają krajobrazy w celu przedstawienia narządów kobiecych, to niechaj pouczą was mitologowie, jaką rolę odgrywa *ziemia-matka* w wyobrażeniach i kultach dawnych czasów i jak pojęcie rolnictwa było określone przez tę symbolikę. To, że pokój przedstawia w marzeniu sennym kobietę, będziecie skłonni uznać, opierając się na naszej mowie, która zamiast słowa *Frau* (kobieta) używa słowa *Frauenzimmer*, zastępując osobę przez przeznaczone dla niej pomieszczenie. Podobnie mówimy o *wysokiej bramie* (*hohe Pforte*), a mamy na myśli sułtana i jego rządy; również imię dawnego władcy egipskiego *faraon* nie oznacza nic innego jak *duże podwórze*. (Na starożytnym Wschodzie były podwórza między podwójnymi bramami miasta miejscami spotkania, podobnie jak w świecie klasycznym plac rynkowy.) Jednak sam jestem zdania, że tłumaczenie to jest zbyt powierzchowne. Prawdopodobniejsze wydaje mi się twierdzenie, że pokój ze względu na swą właściwość przestrzeni zamykającej w sobie człowieka stał się symbolem

kobiety. Dom znamy już w tym znaczeniu; z mitologii i języka poetyckiego należy tu zaliczyć jako dalsze symbole kobiety: *miasto*, *zamek*, *pałac* i *twierdzę*. Kwestię tę można by łatwo rozstrzygnąć na podstawie marzeń sennych osób, które nie mówią po niemiecku i nie rozumieją tego języka. W ostatnich latach leczyłem przeważnie cudzoziemców i, jak sobie przypominam, pokój oznaczał w ich marzeniach sennych zawsze kobietę, mimo że w ich języku nie było analogicznego (do niemieckiego *Frauenzimmer* — przyp. red. PWN) wyrażenia. Zresztą mamy jeszcze inne oznaki świadczące, że związek symboliczny może przekroczyć granicę języka, co spostrzegł także dawnym badacz snów Shubert (1862). Co prawda, żaden z tych pacjentów nie był zupełnie pozbawiony znajomości języka niemieckiego, tak że wyjaśnienie tej sprawy pozostawić muszę psychoanalitykom w innych krajach, którzy mogą zbierać dowody u swoich pacjentów, mówiących tylko językiem ojczystym.

Symboliczne wyobrażenia narządów męskich, bądź to w wulgarnych, bądź żartobliwych, bądź wreszcie poetyckich wyrażeniach, powracają prawie że bez wyjątku, a szczególnie u starożytnych poetów. Wchodzą tu w rachubę nie tylko symbole występujące w marzeniu sennym, lecz również i inne, jak np. narzędzia, przede wszystkim pług. Zresztą omawiając symbole męskości wchodzimy już w dziedzinę bardzo rozległą i sporną, od której będziemy się jednak ze względów ekonomicznych trzymali z dala. Pragnę tu jedynie wspomnieć o symbolu trójki. Pozostawmy na uboczu pytanie, czy liczba ta nie zawdzięcza swej świętości właśnie temu związkowi symbolicznemu. Pewne jest jednak, że wiele rzeczy składających się w naturze z trzech części zawdzięcza swe zastosowanie jako godła i herbu temu znaczeniu symbolicznemu, jak np. liść koniczyny. Zarówno trójdzielną tak zwana lilia francuska, jak i osobliwy herb dwóch tak oddalonych od siebie wysp, jak Sycylia i *Isle of Man*, mianowicie *Triskeles* (trzy nogi wół zgięte, wychodzące z jednego punktu) są jedynie stylizowanymi wyobrażeniami męskich narządów. Podobizny męskiego członka uchodziły w starożytności za najskuteczniejsze środki (*Apotropaea*) przeciw złym wpływom i z pewnością tu należy szukać związku, dla którego amulety naszych czasów są przeważnie łatwo zrozumiałymi symbolami seksualnymi. Przypatrzmy się takiemu zbiorowi, który zwykle nosi się jako srebrne wisiorki: czterolistna koniczyna, prosię, grzyb, podkowa, drabina, kominiarz. Czterolistna koniczyna zajęła

miejsce właściwego symbolu, trójlistnej; świnia jest starym symbolem płodności; grzyb niewątpliwie symbolem członka męskiego, bywają grzyby, które zawdzięczają temu bezsprzecznemu podobieństwu swą nazwę w systematyce (*Phallus impudicus*); podkowa odtwarza kontury żeńskiego otworu płciowego, a kominiarz, który nosi drabinę, należy również do tego szeregu, gdyż dokonuje tych czynności, z którymi bywa w wulgarnej mowie porównywany akt płciowy (*vide: Anthroponphyteia*). Jego drabinę poznaliśmy w marzeniu sennym jako symbol seksualny; niemieckie wyrażenie przychodzi nam tutaj z pomocą, wskazując, że słowo *steigen* (iść pod górę) stosuje się w znaczeniu czysto seksualnym. Powiada się *den Frauen nachsteigen* (uganiać się za kobietami) i *ein alter Steiger*, zupełnie podobne we francuskim *un vieux marcheur*, gdzie stopień znaczy *la marche*. Zapewne stoi to w związku z faktem, że u wielu zwierząt podczas aktu płciowego rzeczywiście samiec wchodzi na samicę.

Zrywanie gałęzi jako symbol onanii zgadza się nie tylko z wulgarną nazwą określającą w ten sposób sam akt, lecz natrafia poza tym na liczne analogie w mitologii. Osobliwe zwłaszcza jest wyobrażenie onanii, lub też, ściślej mówiąc, kary za nią, a więc kastracji, przez wypadanie lub wrywanie zęba, w etnologii znajduje się bowiem odpowiednik, który jest znany prawdopodobnie niewielu śniącym. Bez wątplenia i stosowane u wielu ludów obrzezanie jest ekwiwalentem i jednocześnie zwolnieniem od kastracji. Dowiadujemy się również, że niektóre pierwotne plemiona Australii dokonują obrzezania jako rytuału w okresie dojrzewania płciowego (celem uczczenia męskości młodzieży), podczas gdy inne, z nimi sąsiadujące, zamiast obrzezania zadowolają się wybijaniem zęba.

Tymi przykładami kończę moje przedstawienie tej sprawy. Są to jedynie przykłady, wiemy o tym więcej; możecie sobie zatem wyobrazić, o ile bogatszy i bardziej zajmujący byłby taki zbiór, gdyby pracowali na tym polu nie dyletanci, jakimi my jesteśmy, lecz właściwi znawcy mitologii, antropologii, lingwistyki i folkloru. Narzucają się nam pewne konkluzje, które nie mogą być wyczerpujące, lecz które nam dadzą dużo do myślenia.

Po pierwsze, stoimy przed faktem, że śniący rozporządza symbolicznym sposobem wyrażania się, którego nie zna na jawie i którego później nie poznaje. Jest to tak dziwne, jak gdybyście odkryli, że wasza pokojowa rozumie sanskryt, mimo iż wiecie, że pochodzi ona z czeskiej

wioski i że nigdy się go nie uczyła. Nie łatwo fakt ten pogodzić z naszymi zapatrywaniami psychologicznymi. Możemy jedynie powiedzieć, że znajomość symboliki jest dla śniącego nieświadoma i należy do jego nieświadomego życia psychicznego. Ale i to przypuszczenie nie wystarcza. Dotychczas musieliśmy uznawać dążenia nieświadome, o których przejawiająca je osoba nie wie chwilowo lub stale. Teraz jednak chodzi o coś więcej, prawie że o nieświadome wiadomości, o związki myślowe, o porównywanie różnych przedmiotów, które doprowadza do stałego zastępowania jednych przez inne. Tych porównań nie przeprowadzamy za każdym razem na nowo, lecz leżą one w pogotowiu, są dane raz na zawsze; wynika to przecież z ich zgodności u różnych osób, ba, zgodność tę znajdujemy nawet mimo różnicy językowej.

Skąd pochodzi znajomość tych związków symbolicznych? Mowa nasze bierze odpowiedzialność za pewną tylko ich część. Liczne paralele z innych dziedzin są przeważnie nie znane śniącemu, wszak i my musieliśmy je dopiero z trudem wyszukać.

Po drugie, związki te nie są właściwe jedynie śniącemu, lub też pracy marzenia sennego, przez którą zostają wyrażone. Wszak dowiedzieliśmy się, że tą samą symboliką posługują się mity i baśnie, lud w swoich przysłowiach i pieśniach, gwara i fantazja poetycka. Sfera symboliki jest niezwykle obszerna, a symbolika marzeń sennych stanowi tylko jej małą cząstkę; nie jest też wcale celowe ten problem ujmować z punktu widzenia marzeń sennych. Wiele symboli stosowanych gdzie indziej nie występuje w marzeniu sennym wcale lub występuje w nim bardzo rzadko, a znów pewnych symboli występujących w marzeniu sennym nie napotykamy w innych dziedzinach lub spotykamy je tylko tu i ówdzie. Odnosimy wrażenie, że mamy tu do czynienia z pewnym starym, już zaniechanym sposobem wyrażania się, który utrzymywał się w różnych dziedzinach w nierównej mierze, jedno tylko tu, drugie tam, trzecie może w lekko zmienionej formie w różnych dziedzinach. Wspomnieć tu muszę o pewnym umysłowo chorym, który wyobraził sobie *mowę podstawową*, od której miały pochodzić, jako pozostałości, wszelkie związki symboliczne.

Po trzecie, uderzyć was musi fakt, iż symbolika wymienionych poprzednio dziedzin nie jest wyłącznie seksualna, podczas gdy w marzeniu sennym bywa ona stosowana prawie jedynie w celu wyrażania

przedmiotów lub związków seksualnych. I tego nie możemy tak łatwo wytłumaczyć. Czyżby pierwotne symbole seksualne miały otrzymać inne zastosowanie i czy tu szukać by należało powodu przejścia symbolicznego przedstawienia w inne? Na te pytania nie można widocznie odpowiedzieć, zajmując się jedynie symboliką marzeń sennych. Należy tylko trzymać się przypuszczenia, że istnieje ścisły związek między właściwymi symbolami a sferą seksualną.

Ważną wskazówkę w tym kierunku zyskaliśmy w ostatnich latach. H. Sperber (Upsala), filolog, pracujący niezależnie od psychoanalizy, wypowiedział twierdzenie, że największy udział w powstaniu i dalszym rozwoju języka przypisać należy potrzebom seksualnym. Początkowe dźwięki służyły w celu porozumienia się i przywołania drugiej płci; dalszy rozwój mowy towarzyszy wykonywaniu pracy przez ludzi pierwotnych. Prace te wykonywano wspólnie przy równoczesnym rytmicznym powtarzaniu dźwięków mowy. Przy tym zainteresowanie seksualne przeniosło się na pracę. Człowiek pierwotny upodobał sobie pracę, uważając ją za ekwiwalent czynności płciowych, a słowo wypowiedziane podczas wspólnej pracy miało dwa znaczenia, oznaczało zarówno akt płciowy, jak i czynność roboczą, którą na równi z nim traktowano. Z czasem uwolniło się słowo od swego znaczenia seksualnego i utożsamione zostało z tą pracą. W późniejszych pokoleniach ten sam los spotkał inne słowo, mające również znaczenie seksualne i przystosowane do nowego rodzaju pracy. W ten sposób powstała pewna liczba pierwiastków językowych, które są wyłącznie pochodzenia seksualnego, lecz straciły to swoje pierwotne znaczenie. Jeśli naszskicowany tutaj proces jest słuszny, to otwiera się nam możliwość zrozumienia symboliki marzeń sennych. Zrozumielibyśmy wówczas, dlaczego w marzeniu sennym, które przechowuje elementy z tych najstarszych procesów, istnieje tak wiele symboli płciowych, dlaczego broń i narzędzia oznaczają zazwyczaj męskość, a materiały i pewne przedmioty — kobiecość. Związek symboliczny byłby pozostałością dawnej identyczności słów; przedmioty, które nazywały się kiedyś tak jak genitalia, mogą występować jako ich symbole w marzeniu sennym.

Nasze analogie z symboliką marzeń sennych pozwalają jednocześnie na ocenę charakteru psychoanalizy, który sprawia, iż może ona stać się przedmiotem ogólnego zainteresowania, co nie leżało w mocy ani psychologii, ani też psychiatrii. Przy pracy psychoanalitycznej nasuwa się tyle związków z innymi naukami humanistycznymi, których badanie

obiecuje najcenniejsze wyniki, jak z mitologią, filologią, folklorem, psychologią ludów i nauką o religii. Zrozumiecie też, dlaczego na terenie psychoanalizy powstało czasopismo „Imago” — założone w r. 1912 i prowadzone przez H. Sachsa i O. Ranka — którego wyłącznym zadaniem jest badanie tych związków. We wszelkich tych związkach jest psychoanaliza na razie stroną raczej dającą niż przyjmującą. Wyciąga ona stąd korzyść o tyle, że zapoznajemy się lepiej z jej osobliwymi wynikami, odnajdując je w innych dziedzinach. Lecz właściwie psychoanaliza dostarcza metody technicznej i punktów widzenia, których zastosowanie w tych właśnie dziedzinach winno wydać obfite plony. Psychiczne życie jednostki ludzkiej daje nam przy badaniu psychoanalitycznym takie zrozumienie swych praw, z którego pomocą możemy rozwiązać niejedną zagadkę z życia mas, lub też przynajmniej odpowiednio ją oświetlić.

Nie powiedziałem wam zresztą, wśród jakich okoliczności wejrzeć możemy najgłębiej w ową przypuszczalną „mowę podstawową” i w jakiej dziedzinie zachowała się ona najlepiej. Dopóki tego nie wiecie, nie możecie ocenić należycie doniosłości tego przedmiotu. Tą dziedziną są mianowicie nerwice, jej materiałem — objawy i inne sposoby wyrażania się osób nerwowych, dla których zrozumienia i leczenia stworzona została przeciw psychoanaliza.

Mój czwarty punkt widzenia wraca do punktu wyjścia i skierowuje nas na wyznaczoną nam drogę. Powiedzieliśmy sobie, że gdyby nawet nie było cenzury marzenia sennego, to i wówczas nie byłoby ono jeszcze zrozumiałe, gdyż wtedy stanęlibyśmy przed zadaniem przetłumaczenia mowy symbolicznej na nasz sposób myślenia na jawie. Symbolika jest zatem drugim, niezależnym od cenzury, momentem zniekształcenia marzenia sennego. Wydaje się prawdopodobne, że cenzurze dogadza posługiwanie się symboliką, gdyż prowadzi ona do tego samego wyniku, do osobliwości i niezrozumiałości marzenia sennego.

Czy przy dalszym badaniu marzenia sennego nie natrafimy na nowy czynnik, który wpływa na zniekształcenie marzenia sennego, to musi się wkrótce okazać. Nie chciałbym jednak opuścić tematu symboliki, nie poruszywszy raz jeszcze owej zagadki, czemu napotyka ona tak gwałtowny opór ze strony ludzi wykształconych, podczas gdy niewątpliwie jest jej rozpowszechnienie w micie, religii, sztuce i mowie. Czyżby znowu winien był tutaj jej związek ze sferą płciową?

Praca marzenia sennego

Panie i panowie! Uporawszy się z cenzurą marzenia sennego i symboliką, nie zgłębiliście wprawdzie dostatecznie zniekształcenia marzenia sennego, ale jesteście już w stanie zrozumieć większą część snów. Posługujecie się tu podwójną, uzupełniającą się wzajemnie techniką, a mianowicie wywołujecie skojarzenia śniącego dopóty, dopóki nie dotrzecie od wyobrażenia zastępczego do właściwego, na miejsce zaś symboli podstawiacie ich właściwe, a znane wam znaczenie. O tych niepewnościach, które przy tym powstają, pomówimy później.

Możemy zatem podjąć na nowo pracę, do której zabraliśmy się wtedy, kiedy to nie rozporządzaliśmy jeszcze dostatecznymi środkami. Rozpatrując stosunek pomiędzy składnikami marzenia sennego a właściwymi wyobrażeniami stwierdziliśmy wówczas poczwórny związek, a mianowicie: części i całości, zbliżenia i aluzji, związku symbolicznego i plastycznego przedstawienia w słowie. To samo uczynimy na większą skalę, jeśli porównamy w całości jawną treść marzenia sennego z jego ukrytą treścią, którą poznaliśmy dzięki tłumaczeniu snu.

Spodziewam się, że nie pomieszacie nigdy więcej tych dwóch pojęć. Jeśli się wam to uda, powiem, że zrozumieliście więcej z nauki o marzeniu sennym niżli, jak mniemam, większa część czytelników mego „Tłumaczenia marzeń sennych”. Pozwólcie też, że przypomnę wam jeszcze raz, iż ta praca, która zamienia ukryte marzenie senne na jawne, zwie się *pracą marzeń sennych*. Praca zaś, która działa w odwrotnym kierunku, chcąc dotrzeć od jawnej treści marzenia sennego do myśli ukrytych, jest naszą *pracą tłumaczącą*. Praca tłumacząca dąży do usunięcia pracy marzenia sennego. W marzeniach sennych o widocznym spełnieniu życzenia, które poznaliśmy jako marzenie typu dziecięcego, są również ślady istnienia pracy marzeń sennych, która przetwarza życzenie w rzeczywistość oraz przekształca myśli w obrazy. Zbyteczne jest tu tłumaczenie, należy tylko cofnąć obydwie przemiany. To, co w innych snach świadczy o dalszych wysiłkach pracy marzenia sennego, nazywamy *zniekształceniem*; usunięcie go stanowi cel pracy naszego tłumaczenia.

Porównując ze sobą różne tłumaczenia marzeń sennych, jestem

w stanie przedstawić wam w zwięzłej formie, co czyni praca marzeń sennych z materiałem myśli ukrytych. Proszę was jednak, nie starajcie się zrozumieć zbyt wiele. Jest to tylko opis, którego trzeba wysłuchać ze spokojem i uwagą.

Pierwszym dziełem pracy marzeń sennych jest *zgęszczenie*; rozumiemy przez to ten fakt, że jawne marzenie senne wykazuje mniej treści niż marzenie ukryte i jest wobec tego pewnego rodzaju skróconym tłumaczeniem tego ostatniego. Zdarzyć się może, że brak jest zgęszczenia, lecz w zasadzie spotykamy je, i to nawet w dużych rozmiarach. Natomiast nie zdarza się nigdy, by jawne marzenie senne było obszerniejsze i pełniejsze treści niżli marzenie ukryte. Zgęszczenie powstaje w ten sposób, że *po pierwsze* — zostają opuszczone w ogóle pewne ukryte pierwiastki, *po drugie* — do jawnej treści snu przedostają się tylko okruchy niektórych zespołów marzenia utajonego, *po trzecie* — pierwiastki ukryte, które mają cokolwiek wspólnego ze sobą, bywają w jawnym marzeniu sennym złożone i stopione w jedną całość.

Jeśli chcecie, to możecie zarezerwować sobie nazwę „zgęszczenie” tylko dla ostatnio wymienionego procesu. Jego skutki można z łatwością zademonstrować. Z własnych marzeń sennych przypomnicie sobie bez trudu zgęszczenie wielu osób w jedną. Osoba taka wygląda jak A, ubrana jest jak B, wykonuje czynność przypominającą C, a przy tym jeszcze wiemy, że jest to osoba D. Przez ten mieszany twór podkreślona bywa jakaś cecha wspólna wszystkim tym czterem osobom. Podobnie jak z osób, można zestawić twór mieszany i z miejscowości, i z przedmiotów, pod warunkiem, że owe poszczególne przedmioty i miejscowości łączy wspólna cecha, podkreślona przez ukryte marzenie senne. Tu zyskujemy jakby nowe i ogólne pojęcie, którego jądrem jest wspomniana wspólnota. Owe splecione ze sobą pojedyncze wyobrażenia dają w zasadzie obraz zamazany, bez konturów, podobny do kliszy, na której zrobiono kilka zdjęć.

Widoczne jest, że praca marzeń sennych idzie w kierunku zestawienia tego rodzaju twórców mieszanych, możemy bowiem wykazać, że często stwarza ona rozmyślnie żądane wspólne cechy tam, gdzie ich zrazu brak, np. przez wybór wyrażenia dla danej myśli. Tego rodzaju zgęszczenia i twory mieszane poznaliśmy już wcześniej, grały one rolę przy powstawaniu pewnych przypadków przejęzyczenia. Przypomnijcie

sobie owego człowieka, który chciał pewną damę „odprowadzić”. Istnieją również dowcipy, które wytłumaczyć możemy tego rodzaju zgęszczeniem. Pominąwszy już to, możemy powiedzieć, że przebieg ten jest zgoła osobliwy i zadziwiający. Mieszane twory marzenia sennego przypominają jednakowoż niektóre twory naszej fantazji, która z łatwością splata w jedną całość obce sobie elementy. Za przykład niechaj posłużą centaury i fantastyczne zwierzęta z mitologii starożytnej lub z obrazów Böcklina. Fantazja „twórcza” nie może w ogóle nic wynaleźć, lecz zespala obce sobie składniki. Ale praca marzenia sennego odbywa się w szczególny sposób: materiał, który zostaje przedłożony pracy marzeń sennych, składa się z myśli, z których niejedne mogą być gorszące i niemiłe, lecz poprawnie ułożone i wyrażone. Te myśli zostają przelane przez pracę marzeń sennych w inną formę, ale jest zadziwiające i niezrozumiałe, że przy tym przetłumaczeniu czy przełożeniu jakby na inny język lub pismo bywają zastosowane środki stopienia i kombinacji. Zwykle usiłuje tłumaczenie nie lekceważyć rozróżnień podanych w tekście i właśnie oddzielać podobieństwa. Praca marzeń sennych postępuje przeciwnie, usiłuje ona spleść dwie różne myśli w ten sposób, że, podobnie jak dowcip, wyszukuje wieloznaczne słowo, w którym zderzyć się mogą obydwie myśli. Zrozumienie tej cechy nie jest może chwilowo nieodzowne, lecz może okazać się doniosłe dla zrozumienia pracy marzenia sennego.

Mimo że zgęszczenie powoduje nieprzejrzystość marzenia sennego, nie odnosimy wrażenia, jakoby było ono działaniem zniekształcenia sennego. Uznać można by raczej, że działają tu momenty mechaniczne i ekonomiczne, co nie przeszkadza, że cenzura wyciąga z tego pewną dla siebie korzyść.

Skutki działania zgęszczenia mogą być niezmiernie rozległe. Jemu należy przypisać, że dwie różne myśli ukryte, bywają złączone w jawnym marzeniu sennym, wobec czego można je pozornie trafnie zrozumieć, a przeoczyć właściwe tłumaczenie.

Zgęszczenie powoduje też to, że pierwiastki ukrytego i jawnego marzenia sennego nie stoją do siebie w prostym stosunku, lecz jeden składnik jawny odpowiada jednocześnie kilku ukrytym i na odwrót — ukryty pierwiastek może mieć udział przy formowaniu wielu jawnych. Przy tłumaczeniu marzeń sennych okazuje się też, że skojarzenia

z pojedynczymi pierwiastkami następują nie zawsze kolejno po sobie. Często należy przeczekać, aż całe marzenie senne zostanie wyjaśnione.

Praca marzeń sennych dokonuje zatem niezwyklej w swym rodzaju transkrypcji myśli sennych; nie jest ona tłumaczeniem dosłownym, nie czyni również wyboru według pewnej reguły, według której byłyby na przykład powtórzone tylko spółgłoski jakiegoś słowa, a samogłoski opuszczone; nie możemy też o niej powiedzieć, że zastępuje jednym składnikiem wiele innych. Nie, jest ona czymś zupełnie innym, o wiele bardziej zawiłym.

Drugim dziełem pracy marzeń sennych jest *przesunięcie*. Na szczęście, poczyniliśmy już prace przygotowawcze i wiemy, że jest ono wynikiem wyłącznie cenzury marzeń sennych. Objawia się w dwojaki sposób: po pierwsze, składnik ukryty nie bywa wyobrażony przez własną część składową, lecz przez wyobrażenie obce, a więc zostaje zastąpiony aluzją; po wtóre, akcent psychiczny przechodzi z ważnego składnika na inny, nieważny, tak że marzenie senne wydaje się inaczej zogniskowane i dziwaczne.

Wiemy wprawdzie, że i w naszych myślach na jawie zastępujemy wyobrażenie aluzją, ale zachodzi tu pewna różnica. W myśleniu na jawie rozumiemy aluzję z łatwością, pozostaje ona w związku z treścią wyobrażenia, które zastępuje. Wszak i dowcip posługuje się często aluzją, ale pomijając skojarzenie z treścią, zastępuje je niezwyklej skojarzeniami zewnętrznymi, jak na przykład jednakowym brzmieniem, dwuznacznością wyrazu itp. Utrzymuje on jednak w mocy warunek zrozumiałości; wszak postradałby cały efekt, gdyby droga powrotna od aluzji do właściwej myśli wymagała trudu. Aluzja, którą posługuje się przesunięcie marzenia sennego, nie dba o te ograniczenia. Pozostaje ona w najbardziej zewnętrznym i oddalonym związku z pierwiastkiem, który zastępuje, staje się zatem niezrozumiała, a jeśli chcemy ją cofnąć, to tłumaczenie robi wrażenie nieudanego dowcipu, lub też wymuszonej i sztucznie zestawionej interpretacji. Cenzura marzeń sennych osiąga wtedy cel, gdy uda się jej usunąć wszelki ślad drogi prowadzącej od aluzji do właściwego wyobrażenia.

Niedozwolone jest stosowanie przesunięcia akcentu jako sposobu wyrażenia myśli. Pozwalamy sobie na nie niekiedy tylko w myśleniu na jawie, aby osiągnąć efekt komiczny. Wrażenie zamieszania, które ono wywiera, mogą chyba wywołać i u was, przypominając wam

anegdotę o pewnym kowalu wiejskim, który popełnił zbrodnię, za którą zasłużył na karę śmierci. Sąd orzekł, że winny musi ponieść karę, ale ponieważ ów kowal był jedynym i niezbędnym we wsi, a wioska liczyła aż trzech krawców, przeto powieszono jednego z nich zamiast kowala.

Trzecie dzieło pracy marzeń sennych jest psychologicznie najbardziej zajmujące. Sens jego polega na przeistoczeniu myśli w obrazy. Należy jednak sobie uprzytomnić, że nie wszystkie myśli marzenia sennego doznają tego rodzaju przeobrażenia; niejedna z nich zachowuje swą pierwotną formę i występuje jako myśl lub też jako coś wiadomego; obrazy nie są też jedyną formą, w jaką bywają przekształcone myśli. Są one jednak istotną cechą przy tworzeniu marzeń sennych; ta część pracy marzeń sennych jest, jak już wiemy, drugą z kolei najbardziej stałą jej właściwością. Dla pojedynczych składników marzenia sennego poznaliśmy już „plastyczne przedstawienie słowa”.

Jasne jest, że dokonanie tego dzieła wymaga znacznego wysiłku. By urobić sobie o tym pojęcie, musicie sobie wyobrazić, że podjęliście się zadania zastąpienia artykułu wstępnego pewnego dziennika szeregiem ilustracji. Zamiast pisma literowego powrócilibyście więc do obrazkowego. Osoby i konkretne przedmioty owego artykułu zastąpić możecie z łatwością i nawet bardzo korzystnie obrazami, na trudność natraficie jednak przy odtwarzaniu wszelkich myśli abstrakcyjnych i tych części mowy, które oznaczają związek myślowy, jak na przykład spójników, trybów warunkowych itp. Abstrakcyjne słowa postaracie się przedstawić pomagając sobie różnymi sztuczkami. Na przykład zechcecie tekst artykułu wyrazić słowami, które brzmią może bardziej niezwykle, ale które mieszczą w sobie więcej konkretnych i podatnych do przedstawienia części składowych. Wówczas przypomnicie sobie, że większa część słów abstrakcyjnych to spłowiaste słowa konkretne, toteż zwracać się będziecie tak często, jak tylko będzie to możliwe, do pierwotnego znaczenia tych słów. I cieszyć się będziecie, jeśli zdołacie przedstawić „posiadanie” jakiegoś przedmiotu przez rzeczywiste, cielesne siedzenie na nim. Takich środków chwyta się też praca marzeń sennych. W tych warunkach nie można też rościć sobie pretensji do dokładności wyobrażenia. I nie weźmiemy za złe pracy marzeń sennych, jeśli zastąpi ona tak trudny do obrazowego ujęcia składnik złamania wiary małżeńskiej innym złamaniem, powiedzmy —

złamaniem nogi¹. W ten sposób zdołacie wyrównać pewne niedokładności pisma obrazkowego.

Przy przedstawieniu części mowy oznaczającej związki myślowe, a więc na przykład przy wyrażeniach „ponieważ”, „dlatego”, „lecz” itd., brak nam podobnych środków pomocniczych; te części tekstu tracimy zatem przy obrazowym przedstawieniu. Tak samo rozkłada praca marzeń sennych treść myśli na obiekty i czynności. I zadowolić się musicie tym, że uda się wam pewne, same przez się nie do oddania, związki myślowe zaznaczyć delikatniejszym wycieniowaniem obrazu. Zupełnie w ten sam sposób udaje się pracy marzeń sennych wyrazić w formalnych właściwościach jawnego marzenia sennego niejedną z treści myśli ukrytych, a mianowicie w wyrazistości lub niejasności, podziale na kilka części itd.

Ilość oddzielnych części, z których składa się jedno marzenie senne, odpowiada pod względem ilości tematów głównych szeregom

¹ Podczas korekty tych arkuszy czytam przypadkowo w dzienniku następującą notatkę, którą podaję tu w całości, jako niespodziewaną ilustrację powyższych zdań:

Kara boska

Złamanie ręki za złamanie wiary małżeńskiej

Pani Anna M., żona rezerwisty, wniosła skargę przeciwko p. Klementynie K. o cudzołóstwo. Skarga brzmi, że K. utrzymuje karygodny stosunek z Karolem M., podczas gdy jej własny mąż jest na froncie, skąd też przysyła jej 70 koron miesięcznie. K. otrzymała już od męża powódki dość *dużo pieniędzy*, podczas gdy ona żyje z dziećmi *w głodzie i nędzy*. Koledzy jej męża donieśli jej, że K. odwiedza z M. winiarnie, gdzie do późnej nocy odbywa się pijatyka. Raz nawet zapytała oskarżona męża powódki w obecności kilku kolegów, czy nie rozwiedzie się już wkrótce ze swoją „starą”, by się do niej wprowadzić. Również i dozorczeni domu K. widzieli kilkakrotnie męża powódki w negliżu w mieszkaniu K.

K. wyparła się przed sędzią znajomości z M., a o bliskim stosunku nie może być w ogóle mowy.

Świadek Alberta M. podała jednak, że zaskoczyła K. przy całowaniu męża powódki. M., poprzednio już przesłuchany jako świadek, zaprzeczył, jakoby między nim a oskarżoną istnieć miał intymny stosunek. Wczoraj nadszedł pod adresem sędziego *list*, w którym świadek odwołuje poczynione na pierwszej rozprawie zeznania i *przyznaje*, że miał stosunek miłosny z K. aż do czerwca roku zeszłego. Dodaje też, że wyparł się w pierwszej rozprawie owego stosunku z obwinioną tylko dlatego, że zjawiała się ona u niego przed rozprawą i *na klęczkach go błagała*, by ją ratował i nie zdradził. „Dziś — pisze świadek — czuję się zmuszony złożyć przed sądem szczere zeznanie, gdyż *złamałem lewą rękę*, co wydaje mi się *karą boską* za moje przewinienie”.

Sędzie konstatuje, że czynność karygodna jest już przedawniona, wobec czego powódka odwołuje swoją skargę, a oskarżona zostaje uniewinniona.

myśli ukrytych w marzeniu sennym; krótki wstępny sen, po którym następuje obszerny sen główny, wyobraża właściwie wstęp lub umotywowanie; zdanie podrzędne w myślach marzenia sennego zastępuje wsunięta zmiana sceny w marzeniu jawnym itd. Forma marzeń sennych nie jest zatem bez znaczenia i wymaga sama przez się tłumaczenia. Liczne sny jednej i tej samej nocy mają przeważnie to samo znaczenie i wskazują na wysiłek coraz lepszego opanowania wzrastającej i naglącej podniety. W pojedynczym marzeniu sennym wyraża się szczególnie trudny pierwiastek przez „dublety” tzn. przez kilka symboli.

Przez ciągłe porównywanie myśli marzeń sennych z zastępczym jawnym snem dowiadujemy się o niejednym, na co nie mogliśmy być przygotowani, tak na przykład, że i nonsens, i niedorzeczność mają swoje znaczenie. Ba, właśnie na tym punkcie zaostrza się niebywale różnica między psychoanalitycznym a lekarskim pojmowaniem marzenia sennego. Według poglądu lekarskiego marzenie senne jest niedorzeczne, gdyż śniąca czynność psychiczna zatraciła wszelki krytycyzm; my natomiast powiadamy, że marzenie senne staje się niedorzeczne, jeśli zawarta w myślach snu krytyka — sąd: „to jest niedorzeczne” — ma być przedstawiona w marzeniu sennym. Doskonałym przykładem jest tutaj znane wam marzenie senne o pójściu do teatru (3 bilety za 1 fl. 50). Sąd w ten sposób wyrażony brzmi: *nonsensem* było tak wcześnie wychodzić za mąż.

Podczas pracy tłumaczącej wyjaśniają się nam również wątpliwości i niepewności, często wspomniane przez śniącego, a dotyczące poszczególnych składników marzenia sennego, co do których śniący nie ma pewności, czy miały one miejsce naprawdę. Tym wątpliwościom i niepewnościom nic w ukrytych myślach marzenia sennego nie odpowiada, należy je zatem przypisać działaniu cenzury marzenia sennego, której nie udało się wytepić ich zupełnie.

Do najbardziej zdumiewających naszych odkryć należy sposób, w jaki marzenie senne traktuje sprzeczności ukrytego snu. Wiemy już, że zgodne pierwiastki ukrytego marzenia sennego zostają zastąpione w jawnym przez zgęszczenia. W podobny sposób odnosi się praca marzeń sennych do przeciwieństw, wyrażając je szczególnie chętnie przez ten sam składnik jawny. Pierwiastek jawnego marzenia sennego, dla którego można znaleźć odpowiedni kontrast, może zarówno zachować swoje właściwe znaczenie, jak i oznaczać to swoje przeciwieństwo, oraz mieć obydwa znaczenia; dopiero sens wskazuje nam,

które z tłumaczeń należy wybrać. Z tego wynika, że nie spotykamy w marzeniu sennym kategorii przeczenia, przynajmniej nie spotykamy jednoznacznej.

Rozwój mowy ludzkiej dostarcza nam tu pożądaną analogii. Pewni filologowie twierdzą, że w najstarszych językach przeciwieństwa, jak: silny — słaby, jasny — ciemny, duży — mały, bywały wyrażane przez te same pierwiastki („odwrotne znaczenie prasłów”). W języku staroegipskim *ken* oznaczało pierwotnie silny i słaby. W mowie potocznej unikano nieporozumienia przy stosowaniu tego rodzaju ambiwalentnych słów przez podkreślenie intonacją i gestem właściwego znaczenie, w piśmie — dodając tak zwany determinatyw, to jest obraz, którego nie wymawiano. *Ken* — silny — pisano dodając obok liter obrazek wyprostowanego mężczyzny, a skoro *ken* miało oznaczać: słaby, to następował obrazek niedbale pochylonego człowieka. Dopiero później uzyskano przez osobne zmiany tego równobrzmiącego słowa dwa znaczenia, służące do określenia zawartych w nim kontrastów. W ten sposób powstało z *ken* znaczącego: silny — słaby, *ken* — oznaczające: silny, i *kan* — oznaczające słaby. Nie tylko języki najstarsze, lecz i znacznie młodsze, żywe języki zachowywały w swej ostatecznej postaci bogate pozostałości dawnego znaczenia odwrotnego. Przytoczę wam tu kilka przykładów C. Abla (1884 r.).

W łacinie zachowały się podobnie ambiwalentne wyrazy: *altus* (wysoki, głęboki), *sacer* (święty, bezecny).

Jako przykłady modyfikacji tego samego pierwiastka wyliczam: *clamare* — krzyżeć, *clam* — cicho, spokojnie, tajemnie; *siccus* — suchy, *succus* — sok. W niemieckim *Stimme* — głos, *stumm* — niemy. Na obfitość przykładów natrafimy przy porównywaniu pokrewnych sobie języków. W angielskim *lock* — zamknąć, w niemieckim *Loch*, *Lücke* — dziura. W angielskim *cleave* — łupać, rozcinać, w niemieckim *kleben* — lepić.

Angielskie *without*, właściwie wraz-bez, bywa dziś używane jako *bez*; że *with* prócz przydzielającego miało również i znaczenie odbierające, to jest widocznie w zestawieniach *withdraw*, *withhold*. Podobnie niemieckie *wieder* — znowu.

Jeszcze jedna osobliwość pracy marzeń sennych znajduje analogię w rozwoju mowy ludzkiej. W języku staroegipskim zdarzało się podobnie jak i w innych późniejszych, że kolejność następujących po sobie zgłosek w słowach o tym samym znaczeniu została przestawiona.

Tego rodzaju przykładami w angielskim i niemieckim są: *Topf* — *pot*; *boat* — *tub*; *hurry* (śpieszyć się) — *Ruhe* (spokój); *Balken* — *Kloben, club*; *wait* (czekać) — *tāuwen*.

Pomiędzy łaciną a niemieckim: *capere* — *packen* (chwytać); *ren* — *Niere* (nerka).

Tego rodzaju odwrócenia, jakie spotykamy przy poszczególnych słowach, powstają przy pracy marzeń sennych w różnorodny sposób. Odwrócenie sensu, zastąpienie kontrastem, jest nam już znane. Prócz tego znajdują się w marzeniu sennym odwrócenia sytuacji we wzajemnym stosunku dwóch osób, a więc jak „w świecie na opak”; w marzeniu sennym strzela często zając do strzelca; ponadto odwrócenie porządku zajęć, tak że zajście będące przyczyną następnych umieszczone jest po nich. Dzieje się tu podobnie jak na przedstawieniu w jakiejś budzie teatralnej, gdzie naprzód pada na scenie bohater, a później dopiero zza kulis strzał, który go zabija. Istnieją również marzenia senne, w których kolejność składników została całkowicie odwrócona, tak że przy tłumaczeniu należy wziąć ostatni składnik jako pierwszy, a pierwszy jako ostatni, by wydobyć sens. Przypominacie sobie również z naszych rozważań nad symboliką marzeń sennych, że wejść do wody lub też wpaść do niej znaczy to samo, co wydostać się z niej, a mianowicie: rodzić lub też przyjść na świat; a wchodzenie po schodkach lub drabinie znaczy to samo, co schodzenie po nich. Oczywiście jest korzyść, którą osiąga z tego rodzaju swobody przedstawienia zniekształcenie marzenia sennego.

Te cechy pracy marzeń sennych można nazwać archaicznymi. Trzymają się one również starych sposobów wyrażania, mowy i pisma i pociągają za sobą te same utrudnienia, o których będzie jeszcze mowa w innym związku.

Rozpatrując tę kwestię jeszcze z innego punktu widzenia, stwierdzamy, że przy pracy marzeń sennych chodzi widocznie i o to, by ukryte myśli, ujęte w słowa, zamienić na obrazy. Otóż nasze myśli wywodzą się przecież z tego rodzaju obrazów zmysłowych; pierwszym ich materiałem były wrażenia zmysłowe, poprawnie wypowiedziawszy, ich reprodukcje. Z nimi kojarzy się później słowa, a te, powiązane ze sobą, dawały myśli. Praca marzeń sennych, poddając zatem myśli przeróbce wstecznej, cofa ich rozwój, a podczas tej regresji musi odpaść wszystko to, co w ciągu rozwoju od reprodukcji aż do myśli dostało się jako późniejszy nabytek.

To byłyby zatem praca marzeń sennych. Wobec zagadnień, jakie

tutaj poznaliśmy, musiało ustąpić nasze zainteresowanie dla jawnego marzenia sennego. Pragnę mu jednak poświęcić jeszcze kilka uwag, wszak z nim jednym stykamy się bezpośrednio.

Oczywiście, że jawne marzenie senne traci dla nas na doniosłości. Staje się nam obojętne, czy jest ono dobrze ułożone, czy też rozpada się na szereg pojedynczych obrazów bez związku. Gdyż jeśli nawet posiada ono pozornie pełną sensu postać zewnętrzną, wiemy, że powstała ona przez zniekształcenie marzenia sennego i że nie może mieć organicznego związku z wewnętrzną zawartością snu, podobnie jak nie ma jej fasada kościoła włoskiego z jego strukturą i głównym planem. Innym razem ma i fasada marzenia sennego swoje znaczenie, odtwarzając ważną część ukrytych myśli, nie zaś zniekształcając je zupełnie lub tylko nieznacznie. Nie możemy jednak tego ocenić, dopóki nie poddamy marzenia sennego tłumaczeniu, które może dopiero wykazać, do jakiego stopnia sięga tu zniekształcenie. Podobne wątpliwości odnoszą się i do tego wypadku, kiedy dwa składniki marzenia sennego zdają się być zbliżone do siebie w pewnym znaczeniu. Czasami możemy zaczerpnąć stąd wskazówkę, że odpowiedniki owych składników w ukrytym marzeniu sennym należą również do siebie, to znaczy, że można je ze sobą powiązać, natomiast innym razem możemy się przekonać, że to, co w myślach należy do siebie, zostało w marzeniu sennym rozdzielone.

W zasadzie nie należy usiłować części jawnego marzenia sennego tłumaczyć na podstawie innej części, tak jak gdyby marzenie senne było pomyślane planowo i przedstawione pragmatycznie. Przeciwnie, można je raczej porównać z brescjańskimi głazami, które składają się z przeróżnych odłamków kamieni, spojonych ze sobą za pomocą kitu, i to w ten sposób, że linie, które podczas tego powstają, nie oddają pierwotnych zarysów kamieni. W rzeczywistości istnieje część pracy marzeń sennych, tak zwane *opracowanie wtórne*, którego zadaniem jest zestawienie jakiejś całości z najbliższych sobie wyników pracy marzenia sennego. Materiał zostaje przy tym nieraz ułożony według zupełnie błędnie pojętego sensu i gdzie zachodzi potrzeba, tam zostają dodane rozmaite wstawki.

Z drugiej zaś strony, nie należy ani przeceniać, ani zbyt ufać pracy marzeń sennych. Wyliczyliśmy wszystkie jej rezultaty i na tym koniec. Praca marzeń sennych zgęszcza, przesuwa, plastycznie przedstawia i poddaje całość wtórnemu opracowaniu, lecz nic więcej. Jeśli

w marzeniu sennym napotyamy wydawanie sądu, krytykę, zdumienie, wnioski, to nie jest to dziełem pracy marzeń sennych, a bardzo rzadko — wyrazem rozmyślenia nad nimi, przeważnie jednak są to części ukrytych myśli snu, które, mniej lub więcej zmienione i dostosowane do całości, przedostały się do jawnego marzenia sennego. Praca marzeń sennych nie umie również komponować przemówień. Z małymi wyjątkami, które można wymienić, rozmowy w marzeniach sennych są odtworzeniem i zestawieniem przemówień zasłyszanych lub wygłaszanych dnia poprzedzającego marzenie senne, które jako materiał lub podnieta zostały przeniesione do myśli ukrytych. Praca marzeń sennych nie jest też zdolna do przeprowadzenia rachunków; jeśli napotyamy je w jawnym śnie, to są one przeważnie zestawieniem liczb, rachunkami pozornymi i jako obliczenia są zupełnie bezsensowne, przedstawiają znów tylko kopię rachunków w ukrytych myślach marzenia sennego. Wśród tych okoliczności nie dziwimy się, jeśli zainteresowanie, jakim darzyliśmy dotychczas pracę marzeń sennych, ustępuje i kieruje się na ukryte myśli marzenia sennego, które mniej lub więcej zniekształcone, zdradzają się w jawnym śnie. Jeśli zamiana ta idzie tak daleko, że przy teoretycznym rozważaniu stawiamy ukryte myśli w miejsce marzenie sennego, po czym wydajemy o nim sąd mający znaczenie tylko dla myśli ukrytych, to trudno takie postępowanie usprawiedliwić. Dziwne jest zaiste, że wyniki psychoanalizy mogły zostać użyte do takiej zamiany. „Marzeniem sennym” możemy nazwać jedynie wynik pracy marzeń sennych, to znaczy formę, w jaką obleczone zostały myśli ukryte.

Praca marzeń sennych jest procesem zupełnie szczególnym, jakiego dotychczas nie znano w życiu psychicznym. Tego rodzaju przesunięcia, wsteczne przeistoczenia myśli w obrazy to rzeczy nowe, których zdobycie wynagradza obficie wysiłki psychoanalizy. Sięgając do analogii do pracy marzenia sennego dowiadujemy się przy tej sposobności, jaki związek zachodzi między badaniami psychoanalitycznymi a badaniami innych dziedzin, w szczególności rozwoju myśli i mowy. Jaką doniosłość mają te procesy, zrozumiecie, skoro dowiecie się, że mechanizm powstawania marzenia sennego jest pierwowzorem powstawania objawów neurotycznych.

Wiem również, że nie możemy na razie ogarnąć całkowicie nowych zdobyczy, jakie stąd dla psychologii wynikają. Toteż wskażemy jedynie na to, że znajdujemy tutaj nowe dowody istnienia nieświadomych

aktów psychicznych — a są nimi ukryte myśli marzenia sennego — oraz że tłumaczenie snu zapowiada nam niespodziewanie szeroki dostęp do poznania nieświadomego życia psychicznego.

Zdaje się jednak, że można już zademonstrować wam na różnych przykładach marzeń sennych to, do czego was dotychczas przygotowałem.

WYKŁAD XII

Analiza przykładów marzeń sennych

Panie i panowie! Nie bądźcie rozczarowani, jeśli i dziś przynoszę tu jedynie fragmenty tłumaczenia marzeń sennych, a nie zapraszam was do wzięcia udziału w tłumaczeniu pięknego, długiego marzenia sennego. Powiecie, że właściwie zyskaliście sobie do niego prawo po tak długich przygotowaniach i że jesteście przekonani, iż po pomyślnym dokonaniu tłumaczenia tylu tysięcy marzeń sennych dawno mogła się znaleźć sposobność zestawienia zbioru odpowiednich przykładów, na których dałyby się zademonstrować nasze twierdzenia o pracy i myślach marzenia sennego. Tak, lecz trudności, na które natrafiamy chcąc zrealizować wasze życzenie, są doprawdy znaczne.

Przede wszystkim muszę wam wyznać, że nie istnieje człowiek, który by uważał zajmowanie się tłumaczeniem marzeń sennych za swój główny zawód. Kiedyż to mamy sposobność tłumaczyć marzenia sennie? Tu i ówdzie można się zajmować bez szczególnego zamiaru snami zaprzyjaźnionych osób, lecz też pracuje się nad własnymi, by przysposobić się do pracy psychoanalitycznej; przeważnie jednak ma się do czynienia ze snami osób nerwowych, które poddają się leczeniu psychoanalitycznemu. Sny te są doskonałym materiałem i w niczym nie ustępują marzeniom sennym ludzi zdrowych, tylko że często jesteśmy zmuszeni ze względów technicznych tłumaczenie marzeń sennych podporządkować zamiarom terapii i wiele snów zostawić na uboczu, wybierając spośród nich to tylko, co może służyć za wskazówkę przy leczeniu. Te marzenia sennie, które przypadają na czas kuracji, nie nadają się w ogóle do całkowitego tłumaczenia, gdyż są tylko częścią nie znanego nam materiału psychicznego, toteż wyjaśniają się one dopiero po ukończeniu leczenia. Przedstawienie tego rodzaju

marzeń sennych wymagałoby również odkrycia wszystkich tajników neurozy, co nie zgadza się z naszym planem pracy, według którego sen służy nam za punkt wyjścia właśnie do badań nad nerwicami.

Możliwe, że rezygnujecie chętnie z tego materiału i życzyście sobie wyjaśnienia marzeń sennych ludzi zdrowych lub też swoich własnych. Nie możemy tak bezwzględnie obnażać samych siebie lub osoby, która nam zaufała, czego wszak nie można uniknąć, jeśli przeprowadza się należyte tłumaczenie. Wiecie bowiem, że marzenia senne dotyczą najintymniejszych stron duszy. Do tej trudności w doborze materiału przyłącza się jeszcze inna. Wiecie już o tym, że marzenie senne wydaje się obce samemu śniącemu, cóż dopiero osobie, która go nie zna. Literatura nasza nie jest uboga w dobre i obszerne analizy marzeń sennych; ja również opublikowałem kilka snów w ramach historii chorób. Może najpiękniejszym przykładem tłumaczenia marzeń sennych są opublikowane przez O. Ranka dwa następujące po sobie marzenia senne młodej dziewczyny, które obejmują dwie strony druku, podczas gdy analiza ich zajmuje 76 stron. Ja zaś potrzebowałbym całego półrocza, by przeprowadzić z wami tego rodzaju pracę. Gdybym chciał rozstrząsnąć jakiegokolwiek dłuższe lub zawierające większe zniekształcenia marzenie senne, to musiałbym dodać tyle wyjaśnień, tyle materiału i skojarzeń, tak często odbiegać od głównego przedmiotu, że wykład stałby się zupełnie nieprzejrzysty i nie zadowoliłby was. Proszę was tedy poprzestańcie na tym, co przychodzi nam łatwiej, a więc na drobnych urywkach marzeń sennych osobników neurotycznych, na przykładzie których możemy zapoznać się z tymi lub innymi cechami snu. Najłatwiej można zademonstrować symbole marzeń sennych, poza tym jeszcze pewne szczególne przypadki przedstawienia wstecznego. Przy każdym z przytoczonych snów zaznaczę wam, dlaczego uważam go za godny wzmianki.

1. Marzenie senne, złożone z dwóch krótkich obrazków: *wuj śniącego pali papierosa, mimo że jest sobota — Jakaś kobieta głaszcze i pieści go, jak swoje dziecko.*

W związku z pierwszym obrazem zauważa śniący (Żyd), że jego wuj jest pobożnym człowiekiem, który nigdy tak grzesznego czynu nie popełnił, ani nigdy nie popełni. W odniesieniu do kobiety w drugim obrazie przychodzi mu na myśl tylko jego matka. Te dwa obrazy czy też myśli należy, zdaje się, ze sobą powiązać. Ale jak? Ponieważ relacjonujący swój sen zaprzecza stanowczo

realności podobnej czynności ze strony wuja, to byłoby najprościej wsunąć to słówko „gdyby”. „Gdyby mój wuj, człowiek święty, palił w sobotę papierosa, wówczas mógłbym pozwolić na pieszczoty matki”. Widocznie znaczy to, iż pieszczoty matczyne są w równym stopniu niedozwolone jak palenie przez pobożnego Żyda w sobotę. Przypominacie sobie, iż zwróciłem wam uwagę, że w ciągu pracy marzeń sennych odpadają wszelkie relacje między myślami snu, że przechodzą one w stan surowy i że jest zadaniem tłumaczenia wprowadzić opuszczone związki z powrotem.

2. Od czasu opublikowania mych prac o marzeniu sennym stałem się publicznym doradcą w sprawach dotyczących marzenia sennego i otrzymuję zewsząd listy, w których opowiada mi się sny lub proszą o ich wytłumaczenie. Oczywiście, że jestem wdzięczny tym wszystkim, którzy do opisu swego snu dodają tyle materiału, że tłumaczenie staje się możliwe, albo też podają po prostu własne tłumaczenie. Do tej kategorii należy marzenie senne pewnego medyka z Monachium z r. 1910. Przytaczam je, gdyż może wam ono udowodnić, jak niemożliwe jest zrozumienie marzenia sennego bez odpowiednich informacji. Przypuszczam, iż w zasadzie uważacie za idealne tłumaczenie marzeń sennych drogą stosowania symboliki, podczas gdy stosowanie techniki kojarzenia do snów chcielibyście ominąć. A z tego błędu chcę was wyprowadzić.

„13 lipca 1910. Śnię nad ranem: *Jadę na rowerze jedną z ulic w Tybindze, a brązowy jamnik biegnie za mną i chwyta mnie za piętę. Trochę dalej zsiadam z roweru i spoczywam na jakimś stopniu, przy czym, dzwonię alarmująco na psa, który wgrzyzł się mocno w moją nogę. (Cała ta scena nie sprawia mi wcale przykrości). Naprzeciwko siedzi kilka starszych pań, spoglądając na mnie z szyderczym uśmiechem. Następnie budzę się i, jak to często bywa, w chwili ocknięcia wyjaśnia mi się cały sen*”.

Stosowanie symboliki niewiele nam tu pomaga. Śniący dodaje nam jednak: „Niedawno zakochałem się w pewnej dziewczynie, którą znałem tylko z widzenia na ulicy, nie miałem jednak sposobności zaznajomić się z nią. Najlepszą dla mnie sposobnością byłby tu jamnik, jestem bowiem wielkim przyjacielem zwierząt, i ta właśnie zaleta uderzyła mnie tak mile w tej dziewczynie”. Dodaje również, że już niejednokrotnie z wielką zręcznością i ku zdumieniu widzów rozdzielał walczące ze sobą psy. Dowiadujemy się zatem, że dziewczynę,

która mu się podobała, widywał zwykle w towarzystwie takiego psa. Dziewczyna została jednak z jawnego snu usunięta, a pozostał jedynie pies, z którym się ona kojarzy. Możliwe, że owe szyderczo uśmiechające się starsze panie zajęły miejsce młodej kobiety. Jego dalsze wyjaśnienia nie wystarczają do tłumaczenia tego punktu, a jazda na rowerze podczas snu jest zwykłym powtórzeniem podobnej sytuacji: za dnia spotykał tę panienkę z psem tylko podczas jazdy na rowerze.

3. Po utracie drogiego krewnego śnimy w najrozmaitszy sposób, łącząc i godząc ze sobą dziwacznie wiadomość o śmierci z potrzebą przywołania do życia zmarłego. To nie żyje, to znów żyje nadal, gdyż nie wie, że jest nieżywy, a gdyby o tym wiedział, to dopiero zmarłby na dobre; to znów jest na wpół żywy, a na wpół umarły, a każdy z tych stanów ma swoje odrębne cechy. Nie można snów tych nazwać po prostu bezsensownymi, gdyż zmartwychwstanie nie jest dla marzenia sennego większą niemożliwością niż np. dla bajki, w której jest zwykłym biegiem rzeczy. O ile miałem sposobność analizowania podobnych marzeń sennych, okazywało się zawsze, że można je rozsądnie rozwiązać, tylko że pełne pietyzmu pragnienie przywrócenia zmarłego do życia posługuje się najosobliwszymi środkami. Oto jedno z takich marzeń sennych; brzmi ono dziwacznie i bezsensownie, lecz jego analiza pokaże wam to, do czego zostaliście przygotowani w poprzedzających wywodach teoretycznych. Jest to marzenie sennie mężczyzny, który przed kilku laty stracił ojca:

Ojciec umarł, lecz zwłoki jego wydobyto z ziemi i źle wygląda. Od tego czasu żyje dalej, a śniący dokłada wszelkich starań, by on (ojciec) tego nie spostrzegł. (Potem przechodzi sen na inne tory, pozornie zupełnie oddalone).

Ojciec umarł, o tym wiemy. Wydobyć zwłok nie odpowiada już rzeczywistości, jak w ogóle wszystko dalsze. Śniący jednak opowiada, że po powrocie z pogrzebu ojca zabolął go ząb. Postanowił obejść się z tym zębem według starych przepisów żydowskich, które powiadają: jeśli dokucza ci ząb, to wyrwij go; udał się więc do dentysty. Ten jednakże powiedział: Nie wrywa się zęba tak zaraz, trzeba mieć trochę cierpliwości. Założę lekarstwo, by nerw zatruć, po trzech dniach proszę przyjść znowu, a wówczas go usunę.

Nagle powiada śniący, iż to „wyjęcie” zęba oznacza wydobyć zwłok.

Czyżby śniący miał słuszność? Zgadza się to wprawdzie tylko

w przybliżeniu, bo nie ząb zostanie wyjęty, lecz tylko pewna martwa jego część. Ale tego rodzaju niedokładności można, mając już pewne doświadczenie, przypisać pracy marzeń sennych. W tym wypadku zostałyby postać zmarłego ojca stopiona w jedną całość z zatrutym, lecz utrzymanym zębem. Nic dziwnego zatem, że jawne marzenia senne wydaje się bezsensowne, wszak nie można do ojca zastosować tego wszystkiego, co się mówi o zębie. Gdzie właściwie byłoby tu „tertium comparationis” pomiędzy zębem a ojcem, które umożliwiałoby zgęszczenie?

A jednak tak być musi, gdyż śniący opowiada w dalszym ciągu, że wie o tym, iż w marzeniu sennym wypadnięcie zęba oznacza stratę członka rodziny.

My wiemy, że to popularne tłumaczenie nie jest słuszne lub jest nim tylko w pewnym znaczeniu. Tym bardziej będziemy zatem zdumieni odnajdując ten temat i w innych częściach treści marzenia sennego.

Nie czekając na dalsze zapytanie, śniący opowiada o chorobie i śmierci ojca i o swoim doń stosunku. Ojciec chorował długo, a pielęgnacja i leczenie kosztowały syna bardzo wiele. A mimo to nigdy nie było mu za wiele, nie niecierpliwił się i nigdy nie życzył sobie, by raz już nastąpił koniec. Chwali swój prawdziwie żydowski pietyzm dla ojca, ściśle stosowanie się do przepisów żydowskich. Czy nie uderza nas tu pewna sprzeczność z należącymi do marzenia sennego myślami? Utożsamiał on ojca z zębem. Wobec zęba chciał postąpić według przepisów żydowskich, według których należy go wyrwać, skoro sprawia ból i zmartwienie. Lecz także wobec ojca pragnął postąpić według przepisów prawa, które tu brzmi, iż nie należy baczyć na trud i zmartwienie, lecz cały ciężar wziąć na siebie i nie dopuścić do wrogich zamiarów wobec obiektu sprawiającego ten ból. Czyż zgodność nie byłaby tutaj bardziej uderzająca, gdyby śniący żywił wobec swego ojca podobne uczucia jak wobec chorego zęba, to znaczy, że życzyłby sobie, by szybka śmierć położyła koniec zbytecznej, bolesnej i kosztownej egzystencji?

Nie wątpię, iż tak wyglądał rzeczywisty stosunek do ojca podczas jego uciążliwej choroby i chętlive zapewnienia o pobożnym pietyzmie miały na celu wspomnienia to oddalić. Wśród takich okoliczności budzi się zwykle życzenie śmierci dla rodziciela i kryje się poza maską współczującego rozważania: byłoby to dlań zbawieniem. Czy zauwa-

żyliście jednak, że przekroczyliście sami granicę ukrytych myśli marzenia sennego. Pierwsza ich część była zapewne tylko chwilowo, to znaczy podczas tworzenia marzenia sennego, nieświadoma, podczas gdy wrogie uczucia wobec ojca były, zdaje się, stale nieświadome; możliwe, że pochodziły z czasów dzieciństwa, a podczas choroby ojca nieśmiało i pod maską przedarły się do świadomości. Odnosi się to z większą jeszcze pewnością do innych ukrytych myśli, które przyczyniły się w sposób wyraźny do treści marzenia sennego. W marzeniu sennym nie mamy śladów wrogich uczuć względem ojca. Szukając jednak w życiu dziecka źródeł podobnej nienawiści wobec ojca, przypominamy sobie, że strach przed nim powstaje z tego powodu, iż sprzeciwia się on wczesnym przejawom seksualizmu u chłopca, co ze względów socjalnych powtarza się z reguły w okresie po pokwitaniu. Ten sam stosunek do ojca zachodził i w tym wypadku: prócz miłości odczuwał śniący szacunek i bojaźń, której źródłem było wczesne zastraszenie seksualne ze strony ojca.

Toteż dalsze zdania w opisie jawnego marzenia sennego tłumaczą się kompleksem onanistycznym. „Źle wygląda” może się wprawdzie odnosić do dalszego powiedzenia dentysty, że to źle wygląda, jeśli brakuje zęba w tym miejscu; lecz tyczy się również złego wyglądu, który śniący zdradzał w latach pokwitania na skutek nadmiernego wyżywiania się płciowego. Przerzucenie zatem złego wyglądu na ojca sprawia śniącemu nie lada ulgę, co jest jednym z wielu znanych wam procesów odwrócenia w pracy marzeń sennych. „Żyje dalej” zgadza się zarówno z życzeniem przywołania do życia, jak i z zapewnieniem dentysty, że ząb będzie uratowany. Nader wyrafinowane jest natomiast zdanie: śniący czyni wszystko, by *on (ojciec) nie spostrzegł tego*, zmierzające do podsunięcia nam myśli, że ojciec już nie żyje. Jedyne słuszne uzupełnienie daje nam kompleks onanistyczny, z którego jasno wynika, że chłopiec wszystko czyni, by ukryć przed ojcem swe życie seksualne. W końcu należy przypomnieć, że tak zwane sny o zębach zwykliśmy tłumaczyć onanią i oczekiwaną za nią karą.

Widzicie zatem, w jaki sposób powstało to niezrozumiałe marzenie senne: przez utworzenie osobliwego i łudzącego zgęszczenia, przez pominięcie wszelkich myśli z ośrodka ukrytych dróg myślowych i przez wytworzenie wieloznacznych tworów zastępczych dla myśli najgłębszych i najbardziej oddalonych w czasie.

4. Kilkakrotnie usiłowaliśmy już zrozumieć te trzeźwe i banalne

marzenia senne, które nie odznaczają się ani bezsensownością, ani osobliwością, przy których jednak powstaje pytanie: po co właściwie śnimy o tak obojętnych rzeczach? Chcę więc znowu przytoczyć przykład tego rodzaju, składający się z trzech marzeń sennych pewnej młodej kobiety, związanych ze sobą i śnionych przez nią tej samej nocy.

a) *Idzie przedsionkiem swego domu i uderza głową o nisko wiszący świecznik, przy czym płynie krew.*

Nie jest to żadne wspomnienie, nic, co by w rzeczywistości miało miejsce. Jej wyjaśnienia prowadzą na inne tory. „Wie pan przecież, jak bardzo wypadają mi włosy. Dziecko — powiedziała do mnie wczoraj matka — jeśli to tak dalej pójdzie, to wkrótce będziesz miała głowę podobną do siedzenia”. Głowa zastępuje tu zatem tylną część ciała. Przez świecznik, jak w ogóle przez wszelkie wydłużone przedmioty, rozumiemy symbolicznie, bez specjalnych wskazówek, członek męski. A więc chodzi tu o krwawienie dolnej części ciała wywołane przez zetknięcie się z prąciem. To mogłoby być wieloznaczne; jej dalsze skojarzenia wskazują jednak, że chodzi tu o przesąd, iż krwawienie menstruacyjne spowodowane jest przez obcowanie płciowe z mężczyzną; jest to część „teorii seksualnej” rozpowszechnionej między niedojrzałymi dziewczętami.

b) *Widzi w winnicy głęboki dół, o którym wie, że powstał przez wyrwanie drzewa. Tu robi wzmiankę, że czuje brak tego drzewa. Sądzi, że nie widziała w marzeniu sennym drzewa, lecz to samo brzmienie słów służy do wyrażenia innej myśli, która utwierdza nas całkowicie w tłumaczeniu symbolicznym. Marzenie senne odnosi się do innej części dziecięcych teorii seksualnych, a mianowicie, że dziewczęta pierwotnie posiadały takie same narządy płciowe, jak i chłopcy, a późniejsza forma powstała przez kastrację (wydobicie drzewa).*

c) *Stoi przed szufladą swego biurka, którą zna tak dobrze, że natychmiast poznaje, jeśli ktoś tam manipulował. Szuflada biurka jest, podobnie jak wszelkie szuflady, skrzynie, pudła, symbolem kobiecego narządu płciowego. Pacjentka wie, że ślady stosunku płciowego (a jak ona sądzi, również i dotknięcia) rozpoznać można na genitaliach, czego od dawna już się obawiała. Sądzę, że akcent w tych trzech marzeniach należy położyć na wiedzę. Pacjentka wspomina o swych badaniach seksualnych z czasów dzieciństwa, z wyników których była bardzo dumna.*

5. Znowu mała cząstka symboliki. Lecz tym razem muszę przedtem

pokrótkie skreślić sytuację psychiczną. Pewien pan po spędzeniu nocy miłosnej z pewną kobietą opisuje ją jako jedną z tych natur macierzyńskich, u których w uścisku miłosnym z mężczyzną przedziera się nieprzeparcie pragnienie dziecka. Okoliczności tego stosunku zmuszały jednak do zastosowania środków ochronnych. Po ocknięciu się po tej nocy kobieta ta opowiada następujący sen:

Oficer w czerwonej czapce goni ją na ulicy. Ona ucieka przed nim, biegnie na górę po schodach, on wciąż za nią. Bez tchu dociera do swego mieszkania i zatrząskuje za sobą drzwi. On pozostaje na zewnątrz, a ona, patrząc przez okienko w drzwiach, widzi, że siedzi na ławce i płacze.

Rozumiecie zapewne, że prześladowanie przez oficera w czerwonej czapce oraz pędzenie bez tchu po schodach jest przedstawieniem aktu płciowego. Zamykanie się śniącej przed prześladowcą niechaj posłuży wam za przykład odwrócenia, które tak często bywa stosowane w marzeniu sennym. W rzeczywistości to mężczyzna uchylił się od dokończenia aktu płciowego. Podobnie został przesunięty smutek na jej partnera, który w marzeniu sennym płacze, czym jednocześnie wyrażony został wytrysk nasienia.

Słyszeliście już zapewne nieraz, iż psychoanaliza twierdzi, jakoby wszystkie marzenia senne miały znaczenie seksualne. Teraz oto jesteście sami w stanie przekonać się o niesłuszności tego zarzutu. Poznaliście bowiem marzenia o charakterze czysto życzeniowym, których tematem było zaspokojenie zrozumiałych potrzeb jak: głodu, pragnienia, tęsknoty do wolności; dalej sny wyrażające niecierpliwość lub zaspokajające potrzebę wygody, jak również chciwość i egoizm. Jako wynik badania psychoanalitycznego winniście jednak zachować w pamięci, że przeważająca liczba silnie zniekształconych marzeń sennych, ale nie bez wyjątku, daje wyraz życzeniom seksualnym.

6. Kieruję się szczególnymi motywami, w tym dążeniu do mnożenia przykładów stosowania symboliki w marzeniach sennych. Już przy pierwszym naszym spotkaniu uskarżałem się na to, jak trudne jest zademonstrowanie, a co za tym idzie, wzbudzenie przekonania przy nauczaniu psychoanalizy, i wiem, że niejednokrotnie zgadzaliście się ze mną co do tego punktu. Ponieważ poszczególne tezy psychoanalizy pozostają ze sobą w bardzo ścisłym związku, przeto można z łatwością przekonanie odnoszące się do jednego punktu przenieść na większą część całości. Można by o psychoanalizie powiedzieć, że kto jej da

mały palec, tego chwyta za rękę. Toteż skoro ktoś pojął i uznał wyjaśnienie czynności pomyłkowych, ten, myśląc logicznie, nie może uchylić się od zrozumienia innych części poruszonych tu problemów. Drugim punktem, również łatwo dostępnym, jest symbolika marzeń sennych. Przytoczę wam tutaj ogłoszone już w druku marzenia senne kobiety z ludu, żony policjanta, która z pewnością nigdy nie słyszała ani o symbolice marzeń sennych, ani o psychoanalizie. Osądźcie potem sami, czy tłumaczenie tego snu za pomocą symboli seksualnych jest dowolne i wymuszone.

...potem włamał się ktoś do mieszkania, a ona pełna trwogi woła na pomoc policjanta. Ten jednak poszedł w zgodzie z dwoma «opryskami» do kościoła, do którego prowadziło kilka stopni. Za kościołem była góra, a na górze gęsty las. Policjant odziany był w hełm i płaszcz. Miał długą, ciemną brodę. Obaj włóczędzy, idący całkiem spokojnie z policjantem, mieli dokoła bioder workowato owiązane fartuchy. Z kościoła prowadziła droga pod górę, z obu stron porosła trawą i krzewami. Te stawały się coraz gęstsze, a u szczytu przechodziły w las.

Zastosowane tu symbole rozpoznajecie bez trudu. Męski organ płciowy został tu przedstawiony przez 3 osoby, a kobiety przez krajobraz z kaplicą, górą i lasem. Znow napotykanie tu schody, symbolizujące akt płciowy. Co w marzeniu sennym zwie się górą, nazywa się podobnie w anatomii, mianowicie „mons veneris” (wzgórek wstydlivy).

7. Oto znow marzenie senne, które przez wstawienie symboliki rozwiązuje się łatwo, dla nas z tego względu godne uwagi, że śniący przetłumaczył nam wszystkie symbole, nie mając teoretycznych wiadomości o tłumaczeniu marzeń sennych. Tego rodzaju fakt jest w każdym razie niezwykle, a warunki po temu niedokładnie znane.

Przechadza się ze swym ojcem w pewnym miejscu, będącym zapewne Praterem, gdyż widzi rotundę, przed nią małą budowlę, do której przytwierdzony jest mały balon, zupełnie już obwisły. Ojciec pyta się go, do czego to wszystko służy; on dziwi się temu, lecz objaśnia wszystko. Potem przechodzą na podwórze, na którym rozłożona jest wielka płyta blachy. Ojciec chce dla siebie odciąć duży kawał, ogląda się jednak wprzód dokoła, czy kto tego nie widzi. On powiada do ojca, że należy tylko powiedzieć dozorczy, a będzie mógł zabrać, ile tylko zechce. Z tego dziedzińca prowadzą schody do szybu, którego ściany są miękko wyściełone, podobnie jak skórzany fotel. Na końcu tego szybu mieści się długa platforma, a potem rozpoczyna się nowy szyb.

Śniący tłumaczy sam: rotunda to mój narząd płciowy, a przywiązany doń balon to mój członek, na którego obwisłość często się uskarżam. Można przeto ściślej przetłumaczyć, że rotunda to siedzenie — które zwykle dzieci zaliczają do genitaliów — a mała budowla to worek mosznowy. W marzeniu sennym pyta się go ojciec, po co to wszystko, to znaczy pyta o cel i użytek narządów płciowych. Wydaje się nam prawdopodobne odwrócenie tego stanu rzeczy w ten sposób, że to on jest stroną pytającą. Ponieważ ojciec nie stawiał w rzeczywistości nigdy podobnych pytań, należy pojąć myśl marzenia sennego jako życzenie, lub też postawić je warunkowo: „gdybym poprosił ojca o uświadomienie seksualne”. Dalszy ciąg tej myśli znajdziemy wkrótce na innym miejscu.

Podwórza, na którym rozpostarta jest blacha, nie należy w pierwszej linii brać symbolicznie, jest ono reminiscencją sklepu ojca. Ze względów dyskrecji wstawiłem „blachę” na miejsce innego materiału, którym handluje jego ojciec, nie zmieniając jednak poza tym niczego w brzmieniu snu. Śniący wstąpił do sklepu ojca, oburzając się gwałtownie na niezupełnie dozwolone jego praktyki, na których w znacznej części opiera się zysk. Toteż dalszy ciąg wspomnianej myśli brzmi: „(Gdybym się był zapytał), byłby mnie w ten sposób oszukał, jak oszukuje swych odbiorców”. Odcięcie, które reprezentuje kupiecką nieuczciwość, oznacza również onanie, jak dodaje sam śniący. Wiemy o tym już od dawna, a ponadto zgadza się to doskonale z tym, że zatajenie onanii wyrażone jest przez odwrócenie (skoro to można zupełnie otwarcie czynić). Toteż odpowiada to wszelkim oczekiwaniom, że czynność onanistyczna podsunięta została znów ojcu, podobnie jak pytanie w pierwszej scenie. Szyb tłumaczy śniący od razu jako pochwę, powołując się na miękkie wyścielenie ścian. Że zsuwanie się oraz wspinanie oznacza stosunek płciowy, dodają już od siebie.

Szczegóły jak ten, że po pierwszym szybie biegnie platforma, a potem znów nowy szyb, wyjaśnia on sam biograficznie. Spółkował przez pewien czas, po czym zaprzestał obcowania płciowego ze względu na różne zahamowania i ma nadzieję, że po przeprowadzonej kuracji będzie je mógł podjąć na nowo.

8. Obydwa następujące marzenia senne pewnego cudzoziemca o bardzo poligamicznej naturze przytaczam jako przykład tego, że własne „ja” występuje w każdym marzeniu sennym, nawet tam, gdzie w jawnej treści pozostaje ukryte. Kufry w marzeniu sennym oznaczają kobiety.

a) *Odjeżdża, wóz zabiera jego bagaże na dworzec, wiele kufrów piętrzy się, pośród nich dwa duże czarne, jakby kufry z próbkami. On zwraca się do kogoś z pocieszeniem: te jadą tylko do dworca.*

Podróżuje on w rzeczywistości z dużym bagażem, opowiada jednak także w czasie leczenia wiele historyjek o kobietach. Te dwa czarne kufry odpowiadają dwom czarnym kobietom, które chwilowo grają w jego życiu główną rolę. Jedna z nich chciała przyjechać za nim do Wiednia, lecz za moją radą odradził jej telegraficznie.

b) *Scena przy rewizji celnej: Jeden z towarzyszy podróży otwiera swój kufer i mówi obojętnie, paląc papierosa: nic tu nie mam. Urzędnik zdaje się mu wierzyć, przeszukuje go jednak ponownie i znajduje coś szczególnie wzbronionego. Podróżny powiada później z rezygnacją: tu się nie da nic zrobić.* On sam jest tym podróżnym, a ja urzędnikiem celnym. Przeważnie jest wcale szczery w swoich wyznaniach, postanowił jednak zataić przede mną świeżo nawiązaną znajomość z pewną kobietą, gdyż słusznie przypuszczał, że nie mogła ona być mi nieznajomą. Przykrą sytuację przyłapania przenosi on na osobę obcą, tak że wydaje nam się, jak gdyby jego własna osoba wcale nie występowała w marzeniu sennym.

9. Oto przykład symbolu, o którym dotychczas nie wspomniałem:

Relacjonujący swój sen spotyka swą siostrę w towarzystwie dwóch przyjaciółek, które same są rodzeństwem. Podaje obydwom rękę, tylko siostrze nie. Śniący nie może przypomnieć sobie podobnego rzeczywistego wydarzenia. Myśli jego skierowują go natychmiast do czasów, w których rozmyślał i zastanawiał się nad tym, że piersi dziewczęce rozwijają się tak późno. Dwie siostry to zatem są piersi, których by chętnie dotknął rękoma, gdyby to nie była jego siostra.

10. Tu znów przykład symboliki śmierci w marzeniu sennym:

Idzie z dwiema osobami, których imiona zna, lecz przy obudzeniu się zapomniał, po wysokiej, stromej, żelaznej kładce. Nagle znikają te dwie osoby, a on spostrzega jakby widmo mężczyzny w czapce i ubraniu płóciennym. Zapytuje go, czy jest posłańcem telegraficznym... Nie. Czy może jest woźnicą? Nie. Idzie zatem dalej, odczuwa podczas snu wielką trwogę i snuje w dalszym ciągu sen, fantazjując po obudzeniu, że żelazny most się załamuje, a on spada w przepaść.

Osoby, co do których zaznacza się, że są nam nie znane, że zapomnieliśmy ich imienia, są przeważnie bardzo nam bliskie. Śniący ma dwoje rodzeństwa, a skoro życzył obojgu śmierci, to słusznie

w zamian za to dręczyła go obawa przed śmiercią. Z posłańcem telegraficznym kojarzy się zwykle zwiastowanie nieszczęścia. Ze względu na uniform mógłby być tak samo latarnikiem, który zapala i gasi latarnie, podobnie jak geniusz śmierci gaszący pochodnię. Z woźnicą kojarzy mu się wiersz Uhlanda o przejażdżce morskiej króla Karola i przypomina sobie pełną niebezpieczeństw podróż morską z dwoma towarzyszami, podczas której grał rolę króla z tego wiersza. W związku z mostem żelaznym przychodzi mu na myśl wypadek z ostatnich czasów i głupie powiedzenie: życie jest mostem zwodzonym.

11. Inne przedstawienie śmierci widoczne jest w następującym śnie: *Jakiś nieznany pan oddaje w jego imieniu wizytówkę z czarnymi obwódkami.*

12. Z wielu względów zajmie was następujące marzenie senne, którego pierwszym założeniem jest także i stan neurotyczny.

Jedzie koleją. Pociąg staje w otwartym polu. Śniący sądzi, że nastąpi jakiś wypadek, trzeba zatem pomyśleć o ucieczce, przechodzi przez wszystkie przedziały pociągu i zabija każdego, kogo spotyka, konduktora, maszynistę itd.

Tu wypływa wspomnienie wypadku opowiedzianego mu przez jego przyjaciela. Na pewnej linii we Włoszech przewożono obłąkanego w półprzedziale, lecz przez nieuwagę umieszczono tam jeszcze jednego podróżnego. Chory zabił swego współtowarzysza podróży. Śniący utożsamia się zatem z owym szaleńcem i usprawiedliwia to myślą natrętną, która go chwilowo dręczy, że musi „usunąć wszystkich wtajemniczonych”. Po chwili znajduje jednak sam lepsze umotywowanie, które dało pobudkę do tego snu. Wczoraj w teatrze spotkał dziewczynę, z którą chciał się ożenić, lecz od której odsunął się, gdyż dała mu powód do zazdrości. Przy intensywności, do której dochodzi u niego zazdrość, byłby rzeczywiście szalony, gdyby chciał się z nią ożenić. To znaczy: uważa ją za tak niepewną, że musiałby z zazdrości uprzątnąć wszystkich ludzi, którzy by mu weszli w drogę. Przechodzenie przez szereg pokoi (w tym śnie — przedziałów) znamy już jako symbol stanu małżeńskiego.

O zatrzymaniu pociągu w otwartym polu i o obawie wypadku opowiada: gdy razu pewnego podczas podróży zdarzyło się, że pociąg nagle stanął poza stacją, oświadczyła jedna z podróżujących pań, że możliwe jest, iż nastąpi zderzenie, a wówczas najlepiej podnieść nogi

do góry. Ten szczegół „nogi do góry” grał zresztą rolę w wielu przechadzkach i wycieczkach za miasto przedsiębranych z ową dziewczyną w pierwszym, szczęśliwym okresie ich miłości. Jeszcze jeden dowód, że byłby szalony, gdyby się chciał teraz z nią ożenić. Że mimo to żywił pragnienie takiego szaleństwa, to mogłem śmiało przypuścić, znając całą sytuację.

WYKŁAD XIII

Cechy archaiczne i dziecięce marzenia sennego

Panie i panowie! Pozwólcie mi nawiązać znowu do naszych rozważań, z których wynika, że praca marzenia sennego pod wpływem cenzury wprowadza ukryte myśli snu pod zmienioną postacią. Myśli ukryte nie są niczym innym niż myśli świadome i dobrze nam znane z życia na jawie; nowy sposób wyrażania czyni je niezrozumiałymi dla nas z wielu względów. Powiedzieliśmy już poprzednio, że praca marzenia sennego cofa się do dawno już przez nas przewyżczonych stanów rozwoju intelektualnego, że posługuje się mową obrazową, związkiem symbolicznym, może nawet warunkami, które istniały jeszcze przed powstaniem naszej mowy myślowej. Nazwaliśmy ten sposób przejawiania się pracy marzeń sennych *archaicznym* lub *wstecznym*.

Z tego możecie wywnioskować, że głębsze badania pracy marzeń sennych mogłyby nam przynieść cenne wiadomości o początkach naszego rozwoju psychicznego, o czym wiedzieliśmy dotychczas niezbyt dużo. Mam nadzieję, że i to nastąpi, ale dotychczas nikt się tą sprawą nie zajął. Praca marzeń sennych cofa nas do wczesnych okresów dwojakiego rodzaju, po pierwsze, do indywidualnej przeszłości dzieciństwa, po drugie, do wczesnych okresów rozwoju (życia społecznego — tj. etapu życia — przyp. red. PWN) szczepowego, które każdy osobnik przechodzi w skróceniu, wraz z całym rozwojem rodzaju ludzkiego. Nie jest też, moim zdaniem, wykluczone, że uda się nam zbadać w ukrytych procesach psychicznych, jaki udział przypada przeżyciom

indywidualnym, a jaki należy przypisać filogenezie czasów pierwotnych. Takim dziedzictwem filogenetycznym wydaje mi się związek symboliczny, którego nikt nie uczył się indywidualnie.

Lecz nie jest to jedyną cechą archaiczną marzenia sennego. Wszak znacznie dobrze z własnego doświadczenia osobiwą amnezję dzieciństwa. Mam na myśli fakt, że przeżycia z pierwszych lat, to jest do piątego, szóstego lub ósmego roku życia, nie zostawiają tych śladów w pamięci co przeżycia późniejsze. Napotykamy wprawdzie tu i ówdzie pojedyncze osoby, które mogą pochwalić się wspomnieniami sięgającymi daleko wstecz, lecz o wiele częściej spotykamy pierwszy wypadek, ową lukę pamięciową. Moim zdaniem, fakt ten nie wywołał dostatecznego zdziwienia. Dwuletnie dziecko mówi już dobrze i okazuje wkrótce, że umie się znaleźć w zawiłych sytuacjach psychicznych, wyraża swoje uczucia, ale nie przypomina ich sobie, skoro mu się o tym po kilku latach opowiada. A przecież pamięć jest w tym okresie bardziej podatna, bo mniej obciążona niż w latach późniejszych. Prócz tego nie mamy żadnych danych, by uznać czynność pamięciową za specjalnie wysoką i trudną funkcję psychiczną, przeciwnie, często napotykamy doskonałą pamięć u osób stojących na niskim poziomie umysłowym.

Jako drugą osobiwość, która nawarstwia się na pierwszą, muszę nadmienić, że z próżni, jaką w zasobie wspomnień stanowią lata dzieciństwa, wyłaniają się niektóre dobrze zachowane wspomnienia, często plastycznie odczutyh wydarzeń — wspomnienia, które niczym swojej trwałości nie usprawiedliwiają. Z materiałem wraźniowym naszego późniejszego życia postępuje nasza pamięć w ten sposób, że przeprowadza wybór, zachowuje ważne, a nieważne odrzuca. Z zachowanymi wspomnieniami dzieciństwa ma się rzecz inaczej. Niekoniecznie odpowiadają one przeżyciom doniosłym, ba, nawet takim, które by z punktu widzenia dziecka mogły uchodzić za ważne. Są one często banalne, bez najmniejszego znaczenia, i zdziwieni pytamy się wtedy, dlaczego te właśnie szczegóły zostały wydarte z mroków zapomnienia. Swego czasu usiłowałem zbadać zagadkę amnezji dziecięcej i przerywających ją resztek wspomnień za pomocą analizy i doszedłem do wniosku, że i pamięć dziecka zachowuje wyłącznie tylko fazy o ważnym znaczeniu. Tylko że przez znany nam proces zgęszczenia, a zwłaszcza przesunięcia, przeżycia ważne zostały zastąpione we wspomnieniu przez inne, które wydają się nam bez znaczenia. Nazwałem te wspomnienia dzieciństwa *wspomnieniami*

pokrywczymi; drogą pracy analitycznej można z nich wydobyć cały materiał zapomniany.

Podczas leczenia psychoanalitycznego stawiamy sobie z reguły za zadanie wypełnić owe luki we wspomnieniu dziecięcym, a jeśli osiągamy jakiegokolwiek wyniki kuracji, a więc nader często, wydobywamy stale na powierzchnię treść owych niepamięcią pokrytych lat dziecięcych. Te wrażenia nie były właściwie nigdy zapomniane, były one jedynie niedostępne, ukryte i należały do nieświadomego. Zdarza się jednak, że wynurzają się one z nieświadomego spontanicznie, przyłączając się w tym wypadku do marzenia sennego. Okazuje się stąd, że marzenie senne umie znaleźć dostęp do tych ukrytych przeżyć dziecińczych. Wiele podobnych pięknych przykładów znaleźć można w literaturze, a i mnie również udało się znaleźć taki przyczynek. Śniłem razu pewnego między innymi o pewnej osobie, która mi wyświadczyła ongiś przysługę i którą wyraźnie przed sobą widziałem. Był to jednooki mężczyzna o małej postaci, gruby, o głowie tkwiącej głęboko między ramionami. Z całego związku mogłem wywnioskować, że był lekarzem. Na szczęście, mogłem zapytać się matki mojej, która jeszcze żyła, o wygląd lekarza w moim mieście rodzinnym, które opuściłem w trzecim roku życia, i dowiedziałem się od niej, że był jednooki, mały, gruby i głowę miał głęboko tkwiącą w ramionach. Dowiedziałem się też, przy jakim to, zapomnianym przeze mnie wypadku udzielił mi swej pomocy. To rozporządzenie zapomnianym materiałem z czasów pierwszego dzieciństwa jest więc dalszą cechą archaiczną marzeń sennych.

To samo wyjaśnienie stosuje się w dalszym ciągu do innej napotkanej przez nas zagadki. Przypomnienie sobie, z jakim zdumieniem przyjęta została wiadomość, że sprawcami marzeń sennych są gwałtowne, złe, rozpustne pragnienia, które czynią koniecznym powstanie cenzury i zniekształcenie marzenia sennego. Jeśli tego rodzaju marzenie senne tłumaczymy śniącemu, który w najlepszym razie nie protestuje przeciwko samej interpretacji, to zazwyczaj stawia on nam pytanie, skąd bierze się u niego takie pragnienie, zgoła obce i sprzeczne z jego poczuciem świadomości. Nie należy wątpić, że uda nam się wskazać pochodzenie tego pragnienia. Te złe życzenia pochodzą z przeszłości, często nawet z niedalekiej. Możemy wykazać, że w swoim czasie były one osobnikowi analizowanemu znane i świadome, mimo że dziś jest inaczej. Niewiasta, której marzenie senne oznacza, że

pragnęłaby zobaczyć nieżywą swoją 17-letnią córkę, dowiaduje się przy naszej pomocy, że przecież żywiła kiedyś podobne życzenie śmierci. Dziecko to jest owocem nieszczęsnego, wkrótce rozwiązanego małżeństwa. Kiedy córkę nosiła jeszcze w swym łonie, po scenie z mężem w napadzie wściekłości uderzyła się pięściami gwałtownie w brzuch, by zabić dziecię. Ileż to matek, dziś gorąco, może nawet za gorąco, kochających swe dzieci, przyjęło je niechętnie i życzyło sobie, by kielkujące w nich życie nie rozwijało się dalej; ba, nawet często zamieniały one życzenia te na czynności, na szczęście, nieszkodliwe. Życzenia śmierci skierowane przeciwko osobom ukochanym, później zagadkowe, pochodzą zatem z wczesnego okresu stosunku do tychże osób.

Ojciec, którego marzenie senne uprawnia nas do tłumaczenia, że życzy on śmierci wyróżnianemu przezeń najstarszemu dziecku, musi sobie również przypomnieć, że to życzenie nie było mu swego czasu obce. Gdy dziecko to było jeszcze niemowlęciem, myślał wówczas, niezadowolony z małżeństwa, że gdyby nie było tej istoty, która dlań tak niewiele znaczy, wtedy byłby wolny i mógłby lepiej użyć swej swobody. Podobne pochodzenie uczuć wrogich możemy wykazać w wielu wypadkach; są to wspomnienia przeszłości, które, niegdyś świadome, odegrały w życiu psychicznym pewną rolę. Wobec tego zechcecie wyciągnąć wniosek, że tego rodzaju życzenia i marzenia senne nie powinny istnieć, jeśli uczucia w stosunku do pewnej osoby nie uległy zmianie, lecz przeciwnie, miały od początku ten sam charakter. Jestem gotów przyznać wam słuszość, pragnę jednak przypomnieć, że nie należy zważać na dosłowne brzmienie marzenia sennego, lecz na sens jego po tłumaczeniu. Może się zdarzyć, że pewne marzenie senne przybrało tylko straszną maskę śmierci ukochanej osoby, a oznacza coś zupełnie innego, albo też jest ona tylko osobą zastępczą, wprowadzoną w celu zamydlenia nam oczu.

Ten sam stan rzeczy wywoła u was jednak inne jeszcze, daleko ważniejsze pytanie. Powiecie: skoro to życzenie śmierci rzeczywiście raz istniało, co potwierdzają jeszcze wspomnienia, to nie jest ono dostatecznym wyjaśnieniem. Wszak zostało ono już dawno przewzyciężone i może tkwić jedynie w nieświadomym jako wspomnienie bez afektu, a nie jako uczucie o pewnej sile napędowej. Nic przecież za tym faktem nie przemawia. Po co więc przypomina o nim marzenie senne? To pytanie jest rzeczywiście uzasadnione; próba odpowiedzi na

nie zaprowadziłyby nas za daleko i zmusiłyby do zajęcia stanowiska w jednym z najważniejszych punktów nauki o marzeniu sennym. Zmuszony jednak jestem trzymać się ram naszych rozważań i być powściągliwym. Musimy zatem tymczasem zrezygnować. Zadowolmy się udowodnieniem, że to przewyżnione pragnienie wywołuje rzeczywiście marzenie senne, i prowadźmy w dalszym ciągu nasze badania, by przekonać się, czy i inne złe życzenia dadzą się sprowadzić do tego samego źródła w przeszłości.

Zatrzymajmy się przy tych życzeniach usunięcia osób drogich, które musimy przypisać przede wszystkim nieograniczonemu egoizmowi śniącego. Podobnie życzenia można bardzo często wykazać jako motywy marzenia sennego. Kto kiedykolwiek w życiu staje nam na drodze, a zdarza się to przecież często wobec tak skomplikowanych warunków życia, tego marzenie senne gotowe jest natychmiast usunąć ze świata — bez względu na to, czy jest to ojciec, matka, rodzeństwo czy małżonek itp. Dość już dziwiliśmy się, że natura ludzka mieści w sobie tyle złego, i nie byliśmy bynajmniej skłonni uznać tak po prostu wyników tłumaczenia marzeń sennych za słuszne. Skoro jednak dalsze poszlaki prowadzą nas do poszukiwania źródła podobnych życzeń w przeszłości, to natrafiamy wkrótce na okres przeszłości osobnika, kiedy tego rodzaju egoizm i impulsy wobec osób najbliższych przestają nas tak bardzo dziwić. Jest to pierwszy okres dzieciństwa, później pokryty niepamięcią, który wykazuje często te oznaki egoizmu w sposób krańcowy, w zasadzie zaś tylko jego pozostałości. Dziecko bowiem kocha naprzód jedynie siebie, później uczy się kochać innych i poświęcać im część swego ja. Nawet osoby, które, zda się, kocha od samego początku, kocha początkowo tylko ze względów samolubnych, bo ich potrzebuje. Dopiero później uwalnia się uczucie miłości od egoizmu, lecz w rzeczywistości dziecko nauczyło się kochać właśnie z egoizmu.

Godne uwagi jest również przeprowadzenie porównania pomiędzy stosunkiem dziecka do rodzeństwa, z jednej, a zachowaniem się wobec rodziców, z drugiej strony. Dziecko nie zawsze kocha swe rodzeństwo, często niechęci swojej nawet nie ukrywa. Bez wątpienia nienawidzi wówczas braci i sióstr jako swych rywali i wiadomo, że stosunek taki trwa lata całe aż do okresu dojrzałości, czasami nawet i dłużej. Często wprawdzie zmienia się ten stosunek w serdeczny, powiedzmy lepiej, owa czułość pokrywa tylko nienawiść, która zwykle jest wcześniejsza.

Najłatwiej możemy to zaobserwować u dziecka 2 i 1/2-letniego aż po 4 lub 5 rok życia, gdy rodzina powiększa się o nowego potomka. Bywa on zwykle przyjmowany bardzo nieprzychylnie. Zdania jak: „niech bocian je weźmie z powrotem”, „nie cierpię go” — nie należą do rzadkości. Później korzysta dziecko z każdej sposobności, by tego nowego przybysza poniżyć, ba, nie należą nawet do rzadkości usiłowania szkodenia mu lub bezpośrednio zamachy. Przy mniejszej różnicy wieku natrafia dziecko na konkurenta już po obudzeniu się intensywniejszego życia psychicznego i wtedy się doń przystosowuje. Przy większej różnicy wieku uważa dziecko swego małego rywala za przedmiot zajmujący, jak gdyby pewnego rodzaju żywą lalkę, która może obudzić sympatię; zwłaszcza u dziewcząt przy różnicy 8 lat lub też większej budzą się instynkty opiekuńcze i macierzyńskie. Lecz mimo to, mówiąc szczerze, jeśli odkrywamy w marzeniu sennym życzenie śmierci skierowane przeciwko rodzeństwu, to nie należy go traktować jako zagadkę, gdyż bez trudu znajdziemy jego pierwowzór we wczesnych latach dzieciństwa, a często nawet w późniejszych okresach współżycia.

Nie ma prawdopodobnie rodzeństwa, między którym nie zachodziłyby owe konflikty. Współubieganie się o miłość rodziców, o wspólną własność, o miejsce w mieszkaniu — oto ich motywy. Wrogie popędy skierowują się zarówno przeciw starszemu, jak i młodszemu rodzeństwu. Jeśli się nie mylę, to Bernard Shaw powiedział to zdanie: „Jeśli jest ktoś, kogo młoda angielska dama nienawidzi bardziej niż swej matki, to jest to jej starsza siostra”. W tym aforyzmie uderza nas jeden osobliwy szczegół. Nienawiść i współzawodnictwo pomiędzy rodzeństwem możemy jeszcze od biedy zrozumieć, lecz w jaki sposób mogły się dostać uczucia wrogie w stosunku córki do matki, rodziców do dzieci?

Stosunek ten jest również z punktu widzenia dziecka bardziej korzystny. Odpowiada to naszym oczekiwaniom; oceniamy pobłażliwiej brak miłości do rodzeństwa aniżeli do rodziców. Możemy powiedzieć, że uczucie miłości tylko w drugim wypadku ma dla nas coś świętego w sobie, ale codzienne spostrzeżenia uczą nas, jak często stosunek uczuciowy między rodzicami a dorosłymi dziećmi odbiega od ideału ustanowionego przez społeczeństwo. Ileż nienawiści, powstrzymywanej przez pietyzm i czułość, pozostaje w ukryciu, nie mogąc się wyładować! Motywy są wszystkim dobrze znane i polegają na dążeniu do

rozdzielania osób tej samej płci, matki od córki, ojca od syna. Córka widzi w matce autorytet, który hamuje jej wolę i przestrzega wymaganej przez społeczeństwo rezygnacji ze swobody seksualnej. W niektórych wypadkach jest ponadto matka rywalką, która niechętnie ustępuje z placu. Ten sam stosunek, może jeszcze jaskrawszy, istnieje między synem a ojcem. Ojciec ucieleśnia wobec syna wszelki, niechętnie znoszony przymus społeczny; zamyka mu dostęp do wolności i do przedwczesnego użycia płciowego, a gdzie istnieje wspólny majątek rodzinny, tam zabrania mu ojciec skorzystania z niego. Czyhanie na śmierć ojca wzrasta u następcy tronu do tragicznych wprost rozmiarów. Mniej zagrożony jest stosunek ojca do córki, matki do syna. W ostatnim wypadku mamy najczystsze przykłady tkliwości, nie zamąconej przez żadne względy samolubne.

Po cóż właściwie wspominam o rzeczach tak banalnych i powszechnie znanych? Ponieważ istnieje niewątpliwie chęć zatuszowania ich znaczenia w życiu, a ideał wymagany przez społeczeństwo wydaje się przez to osiągnięty o wiele częściej, niżli to ma miejsce rzeczywiście; a przecież jest lepiej, jeśli wypowiada prawdę psycholog, niż gdyby to zdanie miało przypaść cynikowi. To zatuszowanie odnosi się wprawdzie tylko do życia rzeczywistego, natomiast w powieści lub dramacie dozwolone jest posługiwanie się motywami, które wyrastają z konfliktu z owym ideałem.

W większości wypadków nie należy się zatem dziwić, jeśli w marzeniu sennym odkrywamy życzenie usunięcia rodziców, szczególnie tej samej płci. Możemy nawet przyjąć, że życzenie to istnieje na jawie i czasem przenika do świadomości, jeśli może się ukryć poza innym motywem, jak to było w naszym przykładzie 3, gdzie przyjęło ono maskę współczucia dla bezcelowego cierpienia ojca. Rzadko się zdarza, że nienawiść opanowuje ów stosunek w zupełności, znacznie częściej ustępuje ona uczuciom tkliwości, które ją tłumią, tak że dopiero marzenie senne wydobywa ją na jaw w czystym stanie. To, co w marzeniu sennym na skutek wyodrębnienia dochodzi do olbrzymich rozmiarów, kurczy się z powrotem, skoro po dokonanych tłumieniu zestawimy je w związku z życiem (H. Sachs). Podobne życzenie senne spotykamy jednak również i tam, gdzie w życiu nie ma ono wcale punktu oparcia i gdzie człowiek dorosły nie musiałby się nigdy przyznać do niego na jawie. Tłumaczy się to tym, że najgłębszy i najczęstszy motyw oddalenia się od siebie dwóch osób, przeważnie tej samej płci, rozwija się już we wczesnym dzieciństwie.

Mam tu na myśli współzawodnictwo miłosne z wyraźnym podkreśleniem charakteru płciowego. Już jako małe dziecko odczuwa syn szczególną czułość dla matki, uważając ją za swoją własność, ojca zaś za współzawodnika, który ubiega się również o tę wyłączność. Podobnie widzi mała córka w matce osobę, która zakłóca jej stosunek z ojcem i zajmuje miejsce, które by i ona sama dobrze mogła wypełnić. Z naszych spostrzeżeń dowiadujemy się, jak dawnych czasów sięgają tego rodzaju uczucia, które określamy jako *kompleks Edypa*, ponieważ to właśnie podanie realizuje z nieznacznym złagodzeniem owe dwa krańcowe życzenia syna: zabójstwo i poślubienie matki. Nie utrzymuję, że kompleks Edypa wyczerpuje stosunek dzieci do rodziców; często może on być bardziej skomplikowany. Kompleks Edypa może być mniej lub bardziej rozwinięty, może nawet ulec odwróceniu, jest to jednak czynnik, który występuje zawsze w życiu psychicznym dziecka i odgrywa w nim dużą rolę; raczej zachodzi obawa niedoceny jego wpływu niż przecenienia. Często zresztą zespół Edypa jest reakcją dzieci na zachowanie się samych rodziców. Zdarza się bowiem, że rodzice powodują się w swym wyborze różnicą płci, tak że ojciec wyróżnia córkę, a matka syna, zaś w okresie ochłodzenia miłości małżeńskiej zastępuje dziecko obiekt miłosny, który utracił swą wartość.

Nie możemy powiedzieć, by świat za odkrycie kompleksu Edypa okazał psychoanalizie swoją wdzięczność. Przeciwnie, wywołało ono najgwałtowniejszy opór ze strony dorosłych, a osoby, które nie zdołały zawczasu wyprzeć się tego wzgardzonego i zabronionego związku uczuciowego, powetowały to sobie następnie w ten sposób, że przez opaczne tłumaczenie tego kompleksu pozbawiły go właściwej wartości. Według mego nie zmienionego przekonania nie ma się tu czego wypierać ani nie ma co upiększać. Należy pogodzić się z faktem, który uznany został nawet przez greckie podanie za nieuniknione przeznaczenie. Ciekawe jest, że ów zespół Edypa, wyrzucony za nawias życia, odstąpiony został poezji, jakby do jej swobodnego użytku. O. Rank wykazał w swej starannej pracy, że właśnie kompleks Edypa dostarcza poezji dramatycznej bogatych motywów w niezliczonych odmianach, złagodzeniach i przystrojeniach, a więc w podobnych zniekształceniach, jakie znamy z działalności cenzury. Zespół Edypa trzeba zatem nieraz przypisać także i tym śniącym, którzy szczęśliwie uniknęli w późniejszym życiu konfliktu z rodzicami. W ścisłym związku z nim stoi zespół kastracyjny, a zwiemy tak reakcję

na odstraszanie seksualne syna przez ojca, lub też na pohamowanie wczesnych przejawów seksualności dziecięcej.

Dotychczas nasze rozważania wskazywały nam na konieczność badania życia psychicznego dziecka, toteż przypuszczamy, że pochodzenie innej części zakazanych życzeń marzenia sennego, mianowicie wybujałych impulsów seksualnych, wyjaśnione zostanie w podobny sposób. Zyskujemy zatem podniecie do zajęcia się rozwojem dziecięcego życia seksualnego. Dowiadujemy się przy tym z różnych źródeł, co następuje: przede wszystkim bezwzględnie błędne jest twierdzenie, jakoby dziecko nie miało życia seksualnego, jakoby sfera płciowa budziła się dopiero w okresie pokwitania wraz z dojrzewaniem narządów płciowych. Przeciwnie, dziecko prowadzi od samego początku intensywne życie seksualne, które różni się wprawdzie w wielu punktach od późniejszego, normalnego. To, co zwiemy u ludzi dorosłych „zбочeniem”, odbiega od normalnej linii pod następującymi względami: po pierwsze, przez nieliczenie się z podziałem na gatunki (rozdział między człowiekiem a zwierzęciem), po drugie, przez przekroczenie granic wstrętu i, po trzecie — przekroczenie zapory zakazu kazirodztwa, tj. zaspokajanie pragnień płciowych w stosunku do bliskich krewnych, po czwarte — przez obcowanie bez względu na płeć, po piąte wreszcie — przez przeniesienie roli narządów płciowych na inne narządy lub części ciała. Wszystkie te granice nie istniały od samego początku, lecz zostały wytworzone stopniowo, z biegiem rozwoju i wychowania. Małe dziecko nie zna ich jeszcze. Nie wie jeszcze nic o tej głębokiej przepaści dzielącej człowieka od zwierzęcia. Wyniosłości, z jaką człowiek odgranicza się od zwierzęcia, nabywa ono dopiero później. Początkowo nie okazuje wstrętu do ekskrementów, lecz nabiera go dopiero pod naciskiem wychowania; nie przykładą zbyt wielkiej wagi do różnicy płci i przypuszcza, że przedstawiciele obu płci posiadają te same narządy płciowe; pierwsze swe zachcianki seksualne i ciekawość dziecko skierowuje ku osobom najbliższym i z innych względów najukochańszymi, a więc ku rodzicom, rodzeństwu i piastunkom, w końcu zaś widoczne jest, co przebija zresztą później i u szczytu stosunku miłosnego, że nie oczekuje ono rozkoszy płynącej jedynie z narządów płciowych, lecz że wiele innych części ciała posiada u niego tę samą pobudliwość, że dają one podobne uczucia rozkoszy, a więc tym samym mogą grać rolę genitaliów. Dziecko możemy zatem nazwać „wielokształtnie perwersyjnym”, że zaś przejawy tych popędów

są zaledwie zaznaczone, należy to, z jednej strony, przypisać mniejszej intensywności w porównaniu z późniejszymi okresami życia, z drugiej zaś zważyć, że wychowanie tłumi od razu w sposób energiczny wszelkie przejawy seksualizmu dziecka. To stłumienie przechodzi w dalszym ciągu, że tak powiem, w teorię, gdyż dorośli starają się zamykać oczy na pewne przejawy dziecięcej seksualności, inne zaś pozbawić charakteru seksualnego drogą interpretacji, tak że w końcu mogą przeczyć istnieniu ich wszystkich. Często ci sami ludzie, którzy dopiero co w pokoju dziecinnym zwalczali wybryki seksualne dzieci, bezpośrednio potem przy biurku stają w obronie niewinności dziecka. Gdzie dzieci pozostają bez dozoru lub ulegają złym wpływom, tam mogą one zająć daleko w przejawianiu perwersyjnych popędów płciowych. Oczywiście, że raczej mają rodzice nie przykładając wiele wagi do tych „dzieciństw” i „zabawy”, gdyż dziecko nie jest w pełni odpowiedzialne ani wobec prawa, ani wobec obyczajności publicznej. A jednak są to fakty, które mają swe znaczenie i jako oznaki odziedziczonej konstytucji i jako przyczyny późniejszego rozwoju; wyjaśniają nam owe dziecięce życie seksualne, a tym samym życie seksualne człowieka w ogóle. Skoro zatem w naszych marzeniach sennyh odnajdujemy wszystkie te perwersyjne pragnienia, znaczy to tylko to, że marzenie senne i na tym polu cofa nas do stanu dziecięcego.

Na szczególne podkreślenie zasługują tutaj zakazane pragnienia kazirodcze, dotyczące stosunku płciowego z rodzicami i rodzeństwem. Wiecie, z jakim wstrętem odnosi się do nich (przynajmniej tak głosi) społeczeństwo ludzkie i z jakim naciskiem podkreśla swoje zakazy. Czyniono wysiłki do granic możliwości w celu wyjaśnienia owego strachu przed kazirodztwem. Jedni uważali, że ważne są względy biologiczne — zdrowie rasy — które znajdują swój wyraz w tym zakazie psychicznym, albowiem kazirodztwo mogłoby wpłynąć szkodliwie na cechy rasowe; inni znów utrzymywali, że dzięki współżyciu od najmłodszych lat z pewnymi osobami przestają one być przedmiotem pragnień seksualnych. W obu tych wypadkach do unikania kazirodztwa dochodziłoby automatycznie, tak że byłoby niezrozumiałe tworzenie tak surowych zakazów, wskazujące raczej na silne pożądania. Badania psychoanalityczne wskazały jednak niewątpliwie, że kazirodczy wybór przedmiotu miłości jest czymś zwykłym i pierwotnym i że dopiero później budzi się przeciw niemu opór, którego nie można zrozumieć opierając się na psychologii indywidualnej.

Zestawmy teraz to, co zyskaliśmy dla zrozumienia marzenia sennego przez zgłębienie psychologii dziecka. Zauważyliśmy nie tylko, że marzeniu sennemu dostępny jest materiał zapomnianych przeżyć dziecięcych, lecz widzieliśmy również, że dla marzenia sennego, a więc w nieświadomym, istnieje nadal życie psychiczne dziecka z wszelkimi jego właściwościami, z jego egoizmem, pragnieniami kazirodczymi itd., i że marzenie senne sprowadza nas noc w noc z powrotem do tego stanu dziecięcego. W ten sposób uzyskujemy potwierdzenie naszej tezy, że *nieświadome życie psychiczne zachowuje swą strukturę dziecięcą*. Łagodnieje zatem nasze pierwsze wrażenie, iż w człowieku tkwi tyle zła. To zło okropne jest po prostu tylko zaraniem, pierwotnym, dziecięcym stadium życia psychicznego, którego ślady znaleźć możemy u dziecka, lecz ze względu na ich nikłe rozmiary po części je przeoczamy, a po części nie bierzemy ich zbyt poważnie, nie stawiając dziecku wysokich wymagań etycznych. Skoro marzenie senne cofa się na ten stopień, budzi w nas to wrażenie, jak gdyby wydobywało na jaw tkwiące w nas zło. Jest to jednak tylko zwodniczy pozór, któremu daliśmy się nastraszyć. W istocie nie jesteśmy tak źli, jak należałoby sądzić na podstawie interpretacji marzeń sennych.

Skoro zatem te złe popędy marzeń sennych są tylko pozostałościami dzieciństwa, powrotem do początków naszego rozwoju etycznego, gdyż marzenie senne każe nam po prostu myśleć i czuć w sposób właściwy dzieciom, to, rozsądnie rzecz rozważywszy, nie powinniśmy się wstydzić tych brzydkich snów. Lecz rozsądek stanowi tylko część naszego życia psychicznego, poza którą dzieje się w naszej duszy niejedno, co jest nierozsądne, i tak już jest, że wbrew rozsądkowi wstydzimy się jednak takich marzeń sennych. Poddajemy je cenzurze, wstydzimy się i gorszymy, jeśli wyjątkowo jednemu z tych życzeń uda się dotrzeć do świadomości w tak niezmienionej postaci, że je rozpoznać musimy. Ba, czasami wstydzimy się nawet i zniekształconych marzeń sennych, tak jak gdybyśmy je zrozumieli. Przypomnijcie sobie oburzenie owej zacnej starszej pani, z jakim osądziła swoje nie tłumaczone marzenie senne o „usługach miłosnych”. Zagadnienie to nie jest więc jeszcze rozwiązane, toteż zachodzi możliwość, że przy dalszych badaniach nad pierwiastkiem zła w marzeniach sennych dojdziemy do innego sądu i do innej oceny natury ludzkiej.

Jako wynik całego naszego badania wyłaniają się dwa pojęcia, które znów stanowią jedynie początek nowych zagadek, nowych

wątpliwości. Po pierwsze: regresja marzeń sennych nie jest tylko natury formalnej, lecz także materialnej. Nie tylko przekłada ona nasze myśli na język pierwotny, lecz budzi również właściwości naszego pierwotnego życia psychicznego, dawną wszechwładzę jaźni oraz początkowe popędy naszego życia seksualnego, by, nawet nasze dawne zasoby intelektualne, o ile mamy prawo zaliczyć do nich związek symboliczny. Po wtóre, ten element dziecięcy, który pierwotnie panował wszechwładnie w naszej duszy, musimy obecnie zaliczyć do nieświadomego, przez co zmienia się i rozszerza nasze o nim wyobrażenie. Nieświadome przestaje być nazwą dla tego, co jest ukryte tymczasowo, nieświadome okazuje się oddzielnym państwem psychicznym, z własnymi pragnieniami, o własnym sposobie wyrażania się i o swoistych mechanizmach psychicznych, które nie mają mocy gdzie indziej. Lecz te ukryte myśli marzenia sennego, które poznajemy po jego tłumaczeniu, nie pochodzą z tego zakresu, przeciwnie, są one tego rodzaju, że moglibyśmy myśleć o nich na jawie; są one jednak nieświadome. Jak więc da się rozwiązać ta sprzeczność? Zaczynamy przeczuwać, że należy tu przeprowadzić pewne rozróżnienie. Coś, co pochodzi z naszego życia świadomego i nosi jego cechy — zwiemy to resztkami dziennymi — łączy się z czymś innym, z krainy nieświadomego, by stworzyć marzenie senne. Między tymi dwiema częściami rozgrywa się praca marzeń sennych. Widocznie warunkiem regresji jest wpływ pierwiastka nieświadomego na resztkiienne. To jest nasze najgłębsze zrozumienie istoty marzenia sennego, do którego dojść mogliśmy tutaj, zanim zdołaliśmy zbadać inne dziedziny psychiki. Lecz zbliża się już czas, by nadać inne miano nieświadomemu charakterowi ukrytych myśli, które ma je odróżnić od nieświadomego z krainy dzieciństwa.

Możemy naturalnie postawić także pytanie: co zmusza czynność psychiczną podczas snu do tego rodzaju regresji? Czemu nie daje sobie bez niej rady z podnietami psychicznymi, które zakłócają sen? A jeśli ze względu na cenzurę marzenia sennego zmuszona jest posługiwać się dawną, dziś niezrozumiałą formą wyrazu, na cóż jej przywołanie do życia dziś już przewyżczonych impulsów, pragnień, cech charakteru, a więc regresja materialna prócz formalnej? Jedyna odpowiedź, która by mogła nas zadowolić, brzmiałaby: tylko w ten sposób może powstać marzenie senne, usunięcie w inny sposób podniety marzenia sennego jest niemożliwością dynamiczną. Lecz na razie nie mamy jeszcze prawa udzielić podobnej odpowiedzi.

Spełnienie życzenia

Panie i panowie! Czy mam wam znowu przypomnieć, jaką drogę odbywaliśmy dotychczas? Jak przy zastosowaniu naszej techniki zetknęliśmy się ze zniekształceniem marzenia sennego, jak postanowiliśmy początkowo zejść mu z drogi, by zdobyć wprzód zasadnicze wiadomości co do istoty marzenia sennego na podstawie badania marzeń sennych dzieci. Jak potem, uzbrojeni w wyniki naszych badań, zabraliśmy się wprost do sprawy zniekształcenia i jakieśmy z nią stopniowo — jak sądzę — dali sobie radę. Lecz teraz musimy sobie powiedzieć, że to, co znaleźliśmy na jednej i na drugiej drodze, nie zgadza się ze sobą w zupełności. Jest więc teraz naszym zadaniem zestawić i wzajemnie porównać te dwojakiemu rodzaju wyniki.

Z obydwu stron okazało się, że istotą pracy marzeń sennych jest przeistoczenie myśli w przeżycia halucynacyjne. W jaki sposób stać się to może, jest samo przez się zagadkowe, lecz stanowi to zagadnienie psychologii ogólnej, które nie należy w tej chwili do nas. Z dziecięcych marzeń sennych dowiedzieliśmy się, że praca snu dąży przez spełnienie życzenia do usunięcia podniety cielesnej zakłócającej sen. O zniekształceniach w marzeniach sennych nie mogliśmy powiedzieć czegoś podobnego, dopóki nie umieliśmy ich tłumaczyć. Przypuszczaliśmy jednak od samego początku, że uda się nam te „zniekształcone” marzenia senne rozważać z tych samych punktów widzenia, co i sny dziecięce. Pierwsze ziszczenie tego oczekiwania przyniosło nam zrozumienie faktu, że właściwie wszystkie sny są dziecięcymi marzeniami sennymi — o dziecięcym materiale, dziecięcych pobudkach psychicznych i o tym samym mechanizmie. Skoro uważamy zniekształcenie w marzeniu sennym za przezwyciężone, z tych samych względów musimy zwrócić nasze badania w kierunku zagadnienia, czy pojęcie spełnienia życzenia odnosi się również do zniekształconych marzeń sennych.

Dopiero niedawno poddaliśmy tłumaczeniu szereg marzeń sennych, nie zwracając jednak uwagi na spełnienia życzenia. Jestem przekonany, że niejednokrotnie nasuwało się wam pytanie: gdzie tu jest spełnienie życzenia, które ma być podobno celem pracy marzeń sennych? Jest to pytanie doniosłe, gdyż stało się ono pytaniem naszych krytyków

nie-specjalistów. Jak wiecie, ludzie żywią instynktowną niechęć do wszelkich nowości intelektualnych. Do jej objawów należy zredukowanie takiej nowości do jak najmniejszego zakresu oraz, o ile to możliwe, sprowadzenie jej do łatwej formułki. Tego rodzaju formułką nowej nauki o marzeniu sennym stało się spełnienie życzenia. Laik, skoro tylko usłyszał, że marzenie senne ma być spełnieniem życzenia, natychmiast stawia pytanie: gdzie jest spełnienie życzenia? I w chwili, kiedy je zadaje, sam na nie odpowiada przecząco. Natychmiast przypomina sobie niezliczone własne doświadczenia z zakresu marzeń sennych, w których uczucie przykrości spotęgowane było do lęku, tak że to twierdzenie psychoanalizy wydaje mu się zgoła nieprawdopodobne. Z łatwością możemy mu odpowiedzieć, że w zniekształconych marzeniach sennych spełnienie życzenia może nie być widoczne, lecz że należy go dopiero szukać, tak że nie możemy go wskazać przed tłumaczeniem snu. Wiemy również, że życzenia w marzeniach zniekształconych — to życzenia zakazane, odrzucone przez cenzurę, których istnienie jest właśnie przyczyną zniekształcenia i cenzury marzenia sennego. Lecz laikowi trudno wytłumaczyć, że przed dokonaniem tłumaczenia marzenia sennego nie należy pytać o spełnienie życzenia. On i tak o tym zapomni. Jego oporne stanowisko wobec teorii spełnienia życzenia jest również tylko konsekwencją cenzury marzenia sennego, namiastką i wpływem odrzucenia ocenzurowanych życzeń snu.

Oczywiście, że i my odczuwamy potrzebę wyjaśnienia faktu, iż istnieje tyle marzeń sennych o treści przykrej, szczególnie snów lękowych. Napotykamy tu zagadnienie afektów w marzeniu sennym, które zasługuje na szczegółowe badanie, lecz na tym miejscu zająć nas, niestety, nie może. Skoro marzenie senne jest spełnieniem życzenia, natenczas nie powinny się w nim znajdować uczucia przykre; w tym punkcie wydaje się, jakby nasz krytyk miał słuszność. Zachodzą tu jednak trojaki komplikacje, o jakich on nie pomyślał.

Po pierwsze, jest możliwe, że nie udało się dzięki pracy marzeń sennych całkowicie spełnić życzenia, tak że pewna część przykrych afektów mających związek z myślami będącymi przedmiotem snu przedostała się do jawnej treści snu. Analiza musiałaby wówczas wykazać, że owe myśli były jeszcze bardziej niemiłe niż marzenie senne, które zostało z nich wysnute. A to możemy udowodnić za każdym razem. Przyznajemy wówczas, że praca marzeń sennych nie

osiągnęła swego celu, podobnie jak wywołany przez pragnienie sen o piciu nie osiąga swego celu ugaszeniu pragnienia. Pragnienie pozostaje i zmusza nas do przebudzenia się i zaspokojenia go. Lecz mimo to był to prawdziwy sen, któremu nie brak żadnych z jego cech właściwych. Musimy tedy powiedzieć: *Ut desint vires, tamen est laudanda voluntas*. Godnym pochwały pozostaje przynajmniej oczywisty zamiar. Tego rodzaju nieudane wypadki nie są rzadkością. Przyczynia się do tego ta właściwość pracy marzeń sennych, że trudniej przychodzi jej zmiana afektów niżli zmiana treści myślowych; uczucia są bowiem czasami bardzo odporne. Tak więc zdarza się, że praca marzeń sennych przerabia przykrą treść myśli sennych na spełnienie życzenia, podczas gdy przykry afekt przedostaje się do marzenia w niezmienionej formie. W takich marzeniach sennych uczucie nie odpowiada treści snu, a nasi krytycy mogą powiedzieć: jakżeż może być marzenie senne spełnieniem życzenia, skoro nawet najniewinniejsza treść budzi w nas tak niemiłe uczucia? Na te uwagi, zdradzające całkowite niezrozumienie, odpowiadamy, że właśnie w takich marzeniach sennych najwidoczniejsza jest tendencja do spełnienia życzenia, gdyż występuje ona tutaj zupełnie wyodrębniona. Błąd zaś pochodzi stąd, że ludzie nie znający się na nerwicach wyobrażają sobie, iż związek między treścią a uczuciem jest tak ścisły, że nie może być zmieniona treść bez zmiany uczucia, które jej odpowiada.

Oto drugi moment, daleko ważniejszy i głębszy, lecz przez laika również zaniewany. Spełnienie życzenia winno zapewne sprawiać zadowolenie, lecz pytam, komu? Oczywiście, temu, kto żywi owo życzenie. Wiemy jednak o śniącym, że ma on do swoich życzeń szczególny stosunek. Odrzuca je, cenzuruje, po prostu nie znosi ich. A więc spełnienie życzenia nie może mu sprawiać rozkoszy, wręcz przeciwnie. Doświadczenie uczy nas też, że sprzeciw ten, co wymaga jeszcze wyjaśnienia, występuje pod postacią lęku. Możemy zatem wyobrazić sobie śniącego w jego stosunku do własnych życzeń w marzeniu sennym jedynie jako zespolenie dwóch osób związanych ze sobą wspólnymi w dużej mierze cechami. Zamiast dalszych wywodów opowiem wam znaną bajkę, w której napotkacie podobne stosunki. Jakaś dobra wróżka przyrzekła parze biedaków, mężczyźnie i kobiecie, spełnienie trzech pierwszych życzeń. Ci, uszczęśliwieni, postanawiają wybrać je z całą rozwagą. Niewiasta ulega jednak zapachowi smażonej kiełbasy, który dobiega ją z pobliskiej chaty,

i życzy sobie tego smakołyku. Kiełbaski zjawiają się natychmiast i — oto zostało spełnione pierwsze życzenie. Oburza to męża i w swym gniewie życzy sobie, by na nosie żony zawisły kiełbaski. I to życzenie zostało spełnione natychmiast, a kiełbasek nie można już ruszyć z miejsca. Lecz to życzenie męża było tym razem nie bardzo miłe dla żony. Wiecie, jaki jest dalszy ciąg tej bajki. Ponieważ oboje stanowią właściwie jedną całość — mąż i żona — toteż następne musi być życzenie, by kiełbaski opuściły nos niewiasty. Moglibyśmy kilkakrotnie tę bajeczkę zużytkować i w innym związku, tutaj niechaj służy jako ilustracja tego, że spełnienie życzenia jednej osoby może być niemiłe dla drugiej, skoro obie nie są jednego zdania.

Z łatwością dojdziemy teraz do jeszcze lepszego zrozumienia lękowych marzeń sennych. Zużytkujemy tu tylko jeszcze spostrzeżenie, by potem zdecydować się na przypuszczenie, za którym przemawia niejeden argument: treść snów lękowych bardzo często nie nosi śladów zniekształcenia; że tak powiem, uszła cenzurze. Marzenie senne lękowe jest często nie zamaskowanym spełnieniem życzenia — oczywiście, życzenia nie uznanego, lecz potępionego. Zamiast cenzury zjawił się lęk. Podczas gdy o dziecięcym marzeniu sennym możemy powiedzieć, że jest ono otwartym spełnieniem życzenia, które zostało zaakceptowane, a o zwykłym zniekształconym śnie, że jest on zakapturzonym spełnieniem życzenia stłumionego, to marzeniu sennemu lękowemu odpowiada jedynie formuła, że stanowi ono otwarte spełnienie życzenia stłumionego. Lęk jest oznaką, że życzenie stłumione okazało się silniejsze niż cenzura, że wbrew jej woli doznało ono swego spełnienia, lub też miało zamiar do niego doprowadzić. Pojmujemy też, że to, co dlań stanowi spełnienie życzenia, w nas, którzy stoimy po stronie cenzury, wywołuje uczucie przykre i chęć odparcia. Lęk, występujący w marzeniu sennym, jest — jeśli chcecie — obawą przed siłą życzeń zwykle powstrzymywanych. Dlaczego to odparcie występuje pod postacią lęku, tego nie możemy odgadnąć jedynie na podstawie badań nad marzeniami sennymi; widocznie należy zbadać lęk również i w innych źródłach.

Wszystko to, cośmy powiedzieli o nie zmienionych marzeniach sennych lękowych, odnosi się również do snów, które doznały pewnego zniekształcenia i do innych marzeń sennych o treści niemiłej, które wywołuje w nas uczucie przykre, zbliżone zapewne do lęku. Marzenie senne lękowe jest zazwyczaj równocześnie snem budzącym; zwykliśmy

przerywać sen, zanim stłumione życzenie, ominąwszy cenzurę, doznało swego całkowitego zaspokojenia. W tym wypadku nie udało się marzeniu sennemu jego dzieło, ale jego istota pozostaje przecież niezmieniona. Porównywaliśmy już marzenie senne ze stróżem nocnym czy strażnikiem, któremu przypada rola czuwania nad naszym snem. I stróż nocny może znaleźć się w położeniu nakazującym mu obudzenie śpiącego, a to wówczas, gdy sam czuje się zbyt słaby do odpędzenia sprawcy niepokoju lub do zażegnania niebezpieczeństwa. Jednakowoż udaje się nam nieraz utrzymać sen nawet wtedy, kiedy marzenie senne staje się podejrzanе i zaczyna skłaniać się ku lękowi. Powiadamy wtedy, śpiąc dalej: „to przecież tylko sen”.

Kiedy zatem może się zdarzyć, że życzenie marzenia sennego zdolne jest pokonać cenzurę? Warunki ku temu mogą być dane zarówno ze strony samego życzenia, jak i ze strony cenzury. Czasami nabiera życzenie z nieznanых nam powodów niezwyklej mocy, lecz częściej odnosimy wrażenie, że to cenzura ponosi winę przy przesunięciu tego układu sił. Słyszeliśmy już, że cenzura pracuje w każdym poszczególnym wypadku z różną intensywnością, że traktuje ona każdy składnik snu z innym stopniem surowości; teraz chciałbym tylko wyrazić przypuszczenie, że jest ona w ogóle bardzo zmienna i że często nie występuje z tą samą srogością przeciwko jednemu i temu samemu gorszącemu ją elementowi. I jeśli się tak składa, że czuje się bezbronna wobec życzenia marzenia sennego, które napada na nią niespodzianie, wówczas chwytą się zamiast zniekształcenia ostatecznego środka, który jej pozostaje, a mianowicie, rozwijając lęk — przerywa sen.

Tu przychodzi nam wreszcie na myśl, że nie wiemy dotychczas, dlaczego budzą się te złe, odtrącone przez nas życzenia właśnie w nocy, by zakłócić nam sen. Odpowiedź nasza musi uciec się do przypuszczenia, które dotyczy istoty stanu sennego. Podczas dnia cenzura ciąży tak dotkliwie nad tymi życzeniami, że w zasadzie nie jest możliwe, by mogły one w jakikolwiek sposób dojść do słowa. W nocy odpada, lub przynajmniej słabnie znaczenie działania cenzury, jak w ogóle wszelka działalność życia psychicznego, na korzyść jedyne go życzenia, to jest chęci spania. Temu ograniczeniu cenzury podczas nocy zawdzięczają owe zabronione życzenia swobodę ruchu. Bywają ludzie nerwowi, cierpiący na bezsenność, którzy przyznają, że początkowo sami jej pragnęli. Nie mieli odwagi zasnąć, obawiając się swych

marzeń sennych, to znaczy właśnie owej konsekwencji ograniczenia cenzury. Łatwo wam zauważyć, że to odwołanie cenzury nie jest jeszcze tak wielką nieostrożnością. Stan snu poraża nasz aparat ruchowy, tak że nasze złe zamiary doprowadzić mogą tylko do powstania marzenia sennego, które praktycznie jest nieszkodliwe. Wszak sam śpiący robi tę bardzo rozsądną, choć we śnie, lecz nie do życia sennego należąca uwagę: „przecież to tylko marzenie senne! A więc nie psujmy mu zabawy i śpijmy dalej”.

Skoro nadto przypomnicie sobie, że śniący, który broni się przed swym życzeniami, odpowiada sumie dwóch oddzielnych, a przecież w jakiś sposób powiązanych ze sobą osób, to pojmiecie również i inną możliwość, że przez spełnienie życzenia nastąpić może coś bardzo nieprzyjemnego, a mianowicie ukaranie. Tutaj znów służyć wam może za ilustrację owa bajeczka o trzech życzeniach: smażone kiełbaski na talerzu są bezpośrednim spełnieniem życzenia pierwszej osoby, żony, kiełbaski zdobiące jej nos to spełnienie życzenia drugiej osoby, męża, ale równocześnie kara za owo niemądre życzenie żony. W nerwicach spotykamy się z umotywowaniem trzeciego życzenia, o którym wspomina bajka. Podobne tendencje do karania samego siebie są w życiu psychicznym człowieka nader częste; są one bardzo silne i ponoszą odpowiedzialność za część przykrych marzeń sennych. Powiecie może teraz, że w ten sposób nie pozostaje wiele z tego tak zachwalanego spełnienia życzenia. Przypatrzmy się jednak bliżej, a spostrzeżecie, jak niesłuszny jest wasz zarzut. W przeciwieństwie do różnorodności, o której później jeszcze wspominaamy, a którą różni autorzy chcą przypisać marzeniu sennemu, odszyfrowanie jego treści jako: spełnienia życzenia, spełnienia lęku i spełnienia kary — jest rozwiązaniem bardzo ograniczonym, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że lęk stanowi bezpośrednie przeciwieństwo życzenia, a przeciwieństwa zbliżają się do siebie w skojarzeniach, w nieświadomym zaś — jakżeśmy już słyszeli — łączą się w jedną całość. Ponadto i kara jest spełnieniem życzenia, życzenia tej drugiej osoby, która sprawuje cenzurę.

Zestawiając to, co powiedziałem, muszę zaznaczyć, że nie uczyniłem ustępstwa na rzecz waszego zarzutu przeciwko teorii o spełnieniu życzenia. Jesteśmy jednak obowiązani wykazać spełnienie życzenia na każdym dowolnym zniekształconym marzeniu sennym i wcale też nie zamierzamy uchylić się od tego zadania. Zwróćmy się znów do owego

już tłumaczonego marzenia sennego o trzech złych biletach teatralnych za 1 fl. 50, na którym nauczyliśmy się niejednego. Przypominacie je sobie zapewne. Pewna niewiasta, której mąż opowiedział w ciągu dnia, że zaręczyła się jej przyjaciółka Liza, o trzy miesiące od niej młodsza, śni w nocy, że siedzi z mężem w teatrze. Jedna część parteru jest prawie pusta. Mąż powiada do niej, że Liza i jej narzeczony mieli również zamiar pójść do teatru, lecz nie mogli dostać innych biletów jak tylko 3 za 1 fl. 50. Ona myśli, że nie byłoby to takie straszne. Wywnioskowaliśmy wówczas, że myśli marzenia sennego wyrażają niezadowolenie, że wyszła ona tak wcześniej za mąż, i że w ogóle nie jest zbyt zachwycona swym małżonkiem. Możemy zadać sobie pytanie, w jaki sposób te przykre myśli zostały przerobione na spełnienie życzenia i gdzie znajduje się ich ślad w jawnej treści. Wiemy już, że składnik „za wcześniej, zbyt pośpiesznie” wykluczony został przez cenzurę z marzenia sennego. Pusty parter jest doń aluzją. Zagadkowe „trzy za 1 fl. 50” rozumiemy teraz lepiej za pomocą poznanej przez nas symboliki. Trójka¹ ta oznacza w rzeczywistości mężczyznę, a składnik jawny można z łatwością przetłumaczyć: kupić sobie męża za posag (sto razy lepszego męża mogłam sobie kupić za mój posag). Zamażpójście zastąpione jest tutaj przez pójście do teatru: „za wczesne załatwienie biletów” występuje zamiast przedwczesnego pójścia za mąż. To podstawienie jest właśnie dziełem spełnienia życzenia. Nasza śniąca nie była zawsze tak niezadowolona ze swego wczesnego zamażpójścia, jak w owym dniu, kiedy to otrzymała wiadomość o zaręczynach swojej przyjaciółki. Swego czasu była nawet z tego bardzo dumna i uważała się za wyróżnioną w porównaniu z przyjaciółką. Naiwne dziewczęta dają podobno nieraz po zaręczynach wyraz swej radości, że wkrótce będzie im wolno chodzić do teatru na wszystkie sztuki, które były dotychczas zabronione, że wszystko będą już mogły oglądać. Ta część rozkoszy oglądania, czy też ciekawości, która się przy tym ujawnia, była zapewne początkowo seksualną rozkoszą patrzenia zwróconą ku życiu płciowemu, zwłaszcza rodziców, a później stała się silnym motywem skłaniającym wiele dziewcząt do wczesnego zamażpójścia. W ten sposób pójście do teatru staje się

¹ Pomijam tu inne tłumaczenie owej trójki — bardzo prawdopodobne z tego względu, że niewiasta ta jest bezdzietna — gdyż analiza nie dostarczyła nam odpowiedniego materiału.

bardzo prawdopodobnie aluzją zastępczą dla zamążpójścia. W obecnym niezadowoleniu ze swego wczesnego zamążpójścia powraca śniąca do owych czasów, w których małżeństwo to stanowiło dla niej spełnienie życzenia, gdyż zaspokajało jej pragnienie obserwacji i teraz mocą owego dawnego życzenia zastępuje ona w dzisiejszym marzeniu sennym wyjście za mąż przez pójście do teatru.

Możemy wprawdzie powiedzieć, że nie wybraliśmy tu najłatwiejszego przykładu, by udowodnić utajone spełnienie życzenia. W podobny sposób bylibyśmy zmuszeni postępować i przy innych zniekształconych marzeniach sennych. Nie mogę uczynić tego wobec was, toteż wyrażam tylko przekonanie, że nam się to zawsze powiedzie. Pragnę atoli zatrzymać się jeszcze przez chwilę przy tym punkcie naszej teorii.

Doświadczenie pouczyło mnie, że punkt ten jest jednym z najbardziej zagrożonych w całej nauce o marzeniu sennym i że wiąże się z nim wiele sprzeczności i nieporozumień. Poza tym macie może wrażenie, że część swych twierdzeń już odwołałem, ponieważ oświadczyłem, że marzenie senne jest spełnieniem życzenia lub jego przeciwieństwem, urzeczywistnionym lękiem albo karą, i będziecie zdania, że jest to sposobność do żądania ode mnie dalszych ustępstw. Słyszałem również i takie zarzuty, że sprawy, które wydają mi się jasne, przedstawiam zbyt zwięźle i przez to nie dość przekonująco.

Zdarza się dość często, że ktoś, kto uszedł z nami spory kawał drogi w kierunku tłumaczenia marzeń sennych i przyjął wszystko, co ona dotychczas przyniosła, nagle przystaje przy sprawie spełnienia życzenia i pyta: przypuśćmy, że marzenie senne zawsze ma sens, który daje się odkryć za pomocą techniki psychoanalitycznej, czemuż jednak należy zawsze to marzenie senne — na przekór wszelkiej oczywistości — wtłoczyć w formułkę o spełnieniu życzenia? Czemuż nie mógłby sens myśli nocnych być tak samo różnorodny, jak i myśli dziennych, a więc raz odpowiadałoby marzenie senne spełnieniu życzenia, w innym wypadku, jak pan sam powiada, jego przeciwieństwu, to jest urzeczywistnionej obawie, to znów wyrażałoby postanowienie, przestrożę, rozmyślanie za i przeciw lub też jakiś wyrzut, napomnienie sumienia, usiłowanie przygotowania się do czekającego zadania etc.? Czemuż zawsze tylko życzenie lub w najlepszym razie jego kontrast?

Można by pomyśleć, że różnica co do tego punktu nie jest tak ważna, skoro poza tym jest się tego samego zdania. Wystarczy, że odkryliśmy sens marzenia sennego i drogi prowadzące do jego

poznania; nie gra już wtedy roli to, czy sens ten ujęliśmy za ciasno. Ale tak jest. Nieporozumienie co do tego punktu dotyczy istoty całokształtu wiadomości naszych o marzeniu sennym i zagraża ich wartości dla zrozumienia nerwic. Prócz tego ten rodzaj ustępliwości, który ceni się w życiu kupieckim, nie jest na miejscu przy rozważaniach naukowych i działa tu raczej szkodliwie.

Moja pierwsza odpowiedź na pytanie, dlaczego marzenie senne nie miałyby być wieloznaczne w sensie powyższym, brzmi jak zwykle w takich wypadkach: nie wiem, dlaczego by tak być nie miało. Nie miałbym nic przeciwko temu. Jeśli idzie o mnie, niechaj tak będzie. Jedna tylko drobnostka sprzeciwia się temu szerokiemu i wygodniejszemu pojmowaniu marzenia sennego, a mianowicie to, że w rzeczywistości tak nie jest.

Moja druga odpowiedź podkreśli, że i mnie nie jest obce przypuszczenie, iż marzenie senne odpowiada różnorodnym formom myślenia i czynności intelektualnych. Opisując pewną historię choroby, podałem w swoim czasie marzenie senne, które występowało przez trzy noce z rzędu i nigdy więcej, i wyjaśniłem to w ten sposób, że ów sen odpowiadał pewnemu postępowaniu, po którego wykonaniu nie zachodziła więcej potrzeba jego powtórzenia. Jakże mogę teraz zatem zaprzeczać i twierdzić, że marzenie senne to tylko spełnienie życzenia?

Czynię to, bo nie chcę dopuścić do głupiego nieporozumienia, którego ofiarą stać się może cały owoc naszej pracy, nieporozumienia, które miesza marzenie senne z jego ukrytymi myślami i przypisuje mu coś, co tyczy się jedynie tych ostatnich. Oczywiście, twierdzenie, że marzenie senne odpowiada — jak to wymieniliśmy poprzednio — postępowaniu, przestrodze, zastanowieniu się, przygotowaniu lub próbie rozwiązania pewnego zadania itd., jest zupełnie słuszne. Lecz gdy się dobrze przyjrzy, spostrzeżecie, że odnosi się to wszystko tylko do myśli ukrytych, które zostały przekształcone w marzenie senne. Dowiadujecie się z tłumaczenia snów, że myśli nieświadome zajmują się tego rodzaju postanowieniami, przygotowaniem, rozmyślaniami itp., z których potem praca marzeń sennych urabia sen. Skoro na razie nie zajmujecie się pracą marzeń sennych, lecz interesuje was nieświadoma praca myślowa człowieka, to wyłączacie pracę marzeń sennych i mówicie — praktycznie zupełnie słusznie — że marzenie senne odpowiada pewnej przestrodze, postanowieniu itp. W ciągu pracy psychoanalitycznej zdarza się to dość często. Dążymy przeważnie

tylko do tego, by zburzyć gmach marzenia sennego, a z ukrytych myśli, z których wysnute zostało marzenie senne, utworzyć nowe ogniwo.

W ten sposób, rozważając kwestię myśli ukrytych dowiadujemy się przypadkowo, że wszystkie wymienione tu, bardzo zawile akty psychiczne powstają nieświadomie. Jest to wynik zarówno nadzwyczajny, jak i oszołamiający!

Lecz, wracając do rzeczy, przyznaję wam rację, skoro uprzytomniliście sobie, że posługiwaliście się skróconym sposobem wyrażania się i skoro nie wierzycie w konieczność zastosowania wspomnianej różnorodności do istoty marzenia sennego. Jeśli mówicie o „marzeniu sennym”, to przez to słowo rozumieć należy bądź to marzenie senne jawne, to znaczy wytwór pracy marzeń sennych, bądź też najwyżej samą pracę marzenia sennego, to znaczy ów proces psychiczny, który urabia z myśli ukrytych jawne marzenie senne. Każde inne użycie tego słowa jest pomieszaniem pojęć, które może wyrządzić wiele złego. Jeśli twierdzenia wasze odnoszą się do myśli ukrytych poza marzeniem sennym, wtedy powiedzcie to wprost i przez niedbałe sformułowania nie mąćcie zagadnienia snu. Myśli ukryte przedstawiają materiał, który praca marzeń sennych przetwarza w jawne marzenie senne. Czemuż zatem pragniecie koniecznie zastąpić sam materiał pracą, która go urabia? Czym różnicie się wówczas od tych, którzy znali jedynie wytwór tej pracy, nie mogąc sobie jednak wytłumaczyć, skąd on pochodzi i jak powstaje?

Jedyna istotna część marzenia sennego to praca senna, która wpłynęła na materiał myślowy. Nie mamy prawa omijać jej w teorii, mimo że można ją zaniedbywać w niektórych sytuacjach praktycznych. Obserwacja analityczna poucza nas także, że praca marzeń sennych nie ogranicza się tylko do przekładania tych myśli na znany wam archaiczny lub wsteczny sposób wyrażania się, ale dodaje ona stale coś jeszcze, co nie należy do ukrytych myśli dziennych, lecz co stanowi właściwą siłę napędową przy tworzeniu marzenia sennego. Tym niezbędnym dodatkiem jest również nieświadome życzenie, dla którego spełnienia przeistoczona została treść snu. Marzenie senne może oznaczać wszystko, co chcecie, o ile na względzie macie tylko myśli, które wyraża, a więc np. przestrożę, postanowienie, przygotowanie; jest ono jednak zawsze również i spełnieniem nieświadomego życzenia i jest tylko tym, o ile uważacie sen za wynik pracy marzenia sennego.

Marzenie senne nie jest zatem nigdy po prostu postanowieniem czy przestrogą, lecz zawsze postanowieniem itp. przełożonym za pomocą nieświadomego życzenia na język archaiczny i w celu spełnienia tych życzeń przeistoczony. Ta jedna cecha, spełnienie życzenia, jest zawsze stałą, inne mogą być zamienne; może ona być ze swej strony również życzeniem — wtedy marzenie senne wyraża za pomocą nieświadomego życzenia ukryte życzenie dzienne jako spełnione.

Ja osobiście rozumiem to doskonale, lecz nie wiem, czy udało mi się uczynić to zrozumiałym również dla was. Napotykam bowiem trudności przy udowodnieniu wam moich myśli. Z jednej strony, trudno tu sobie poradzić bez starannej analizy wielu marzeń sennych, z drugiej zaś nie można przedstawić tego najbardziej drażliwego i najdonioślejszego punktu naszych poglądów na marzenie senne, nie nawiązując do rozważań późniejszych. Czy możecie w ogóle uwierzyć, że mimo ścisłego związku pomiędzy wszystkimi zagadnieniami można przeniknąć głęboko w naturę jednego z nich nie troszcząc się o inne podobne? Ponieważ nie wiemy jeszcze nic o objawach nerwicowych, a te są najbardziej pokrewne marzeniu sennemu, przeto musimy poprzestać na tym, cośmy dotychczas zdobyli. Pragnę wyjaśnić jeszcze jeden przykład i wypowiedzieć pewien nowy pogląd.

Powróćmy znów do owego marzenia sennego o trzech biletach teatralnych za 1 fl. 50, o którym wspominaliśmy tu już kilkakrotnie. Mogę was zapewnić, że zrazu wybrałem ten przykład zupełnie dowolnie. Ukryte myśli tego snu są wam już znane: niezadowolenie kobiety, że pośpieszyła się tak z zamążpójściem, wywołane wiadomością o zaręczynach przyjaciółki; zlekceważenie własnego męża i myśl, że dostałaby lepszego, gdyby była czekała. Życzenie, jakie ulepiło z tych myśli marzenie senne, znamy również, jest nim pragnienie patrzenia, możliwość pójścia do teatru, która prawdopodobnie stanowi jakies odgałęzienie dawnej ciekawości pragnącej się wreszcie dowiedzieć, co się naprawdę dzieje w małżeństwie. Ta ciekawość dotyczy zasadniczo, jak wiadomo, życia płciowego rodziców, jest więc popędem dziecięcym, a o ile występuje także i później, natenczas źródła jej również szukać należy w dzieciństwie. Lecz nowina dnia tego nie dała powodu do obudzenia się pragnienia patrzenia, obudziła tylko niezadowolenie i żal. Zrazu życzenie to nie należało do ukrytych myśli snu, wobec czego mogliśmy włączyć do analizy wynik tłumaczenia owego snu nie uwzględniając życzenia. Lecz niezadowolenie nie był samo przez się

zdolne utworzyć marzenia sennego; mogło ono natomiast powstać, jeśli prócz myśli: „nonsensem było tak wcześnie wychodzić za mąż” rozbudzone zostało również dawne życzenie, by wreszcie przyjrzeć się temu, co się dzieje w małżeństwie. Wtedy życzenie to uformowało treść marzenia sennego, zastępując zamążpójście pójściem do teatru i nadając mu formę wcześniejszego spełnienia życzenia: oto teraz wolno mi chodzić do teatru i oglądać wszystko, co zabronione, a tobie nie. Ja jestem zamężna, a ty musisz jeszcze czekać. W ten sposób została zamieniona obecna sytuacja w jej przeciwieństwo, a dawny triumf zajął miejsce świeżej porażki. Przy tym zaspokojenie pragnienia patrzenia splotło się tutaj z egoistyczną satysfakcją zwycięskiej rywalki. To zaspokojenie nadaje wreszcie ostateczną formę jawnej treści marzenia sennego, w którym rzeczywiście ona siedzi w teatrze, podczas gdy jej przyjaciółka nie mogła doń znaleźć dostępu. Owa sytuacja zaspokojenia doznała jednak pewnych zmian niestosownych i niezrozumiałych, poza którymi jednak kryją się jeszcze myśli utajone. Analiza marzenia sennego powinna pominąć to wszystko, co służy do przedstawienia spełnienia życzenia, na przykład z owych aluzji odtworzyć przykre, ukryte myśli snu.

Rozważanie, którym chcę się z wami teraz podzielić, ma zwrócić waszą uwagę na wysunięte teraz na pierwsze miejsce ukryte myśli snu. Proszę was tedy o niezapominanie, że po pierwsze, są one dla śniącego nieświadome, po drugie — są zupełnie zrozumiałe i powiązane, tak że można je uważać za zrozumiałe reakcje na bodziec snu, a po trzecie, że mogą one posiadać wartość jakiegokolwiek przeżycia lub działalności intelektualnej. Toteż ściślej jeszcze niż poprzednio nazwę te myśli „resztkami z dnia”, bez względu na to, czy śniący się do nich przyznaje czy nie. Wyodrębniam obecnie resztki dnia i myśli ukryte, a jako myśli ukryte określam, zgodnie zresztą z naszym poprzednim zwyczajem, wszystko to, co nam przynosi analiza snu, podczas gdy resztki z dnia są jedynie częstkami myśli ukrytych. Według naszych pojęć zatem przyłączyło się do tych resztek z dnia coś z dziedziny nieświadomego, jakieś silne, lecz stłumione życzenie, i ono jedynie jest zdolne utworzyć marzenie senne. Wpływ tego życzenia na resztki z dnia powoduje dalsze współdziałanie myśli ukrytych, i to takie, którego nie można wyjaśnić racjonalnie i na podstawie życia na jawie.

W celu określenia stosunku, w jakim pozostają resztki z dnia do nieświadomego życzenia, użyłem porównania, które mogę tu tylko

powtórzyć. W każdym przedsiębiorstwie potrzebny jest kapitalista, który ponosi koszty, i przedsiębiorca, który daje pomysł i umie go wprowadzić w życie. Rolę kapitalisty przy tworzeniu marzenia sennego gra zawsze nieświadome życzenie, które dostarcza energii psychicznej; przedsiębiorcą jest resztką z dnia, która decyduje o zużytkowaniu tej inwestycji. Lecz zdarzyć się może, że sam kapitalista może się pochwalić bogactwem idei i znajomością rzeczy, lub też, że przedsiębiorca sam posiada kapitał. Ułatwia to w praktyce sytuację, utrudnia jednak zarazem jej teoretyczne zrozumienie. W gospodarce społecznej przeprowadza się wprawdzie ciągle rozdział tej jednej osoby na obydwa czynniki, na kapitalistę i przedsiębiorcę, i w ten sposób stwarza się z powrotem sytuację podstawową, na której opierało się nasze porównanie. Przy tworzeniu marzenia sennego powstają często podobne odmiany, a dalsze ich rozwiązanie pozostawiam już wam samym.

Nie możemy iść tutaj dalej, gdyż prawdopodobnie przeszkadza wam już od dawna pewna wątpliwość, która zasługuje na uwagę. Czy resztki z dnia są nieświadome w tym samym znaczeniu, co nieświadome życzenie, które musi się do nich dołączyć, jeśli ma z nich powstać marzenie senne? Wasze wyczucie jest trafne. To jest jądrem całej sprawy. Nie, nie są one nieświadome w tym samym znaczeniu. Życzenie marzenia sennego należy do innej dziedziny nieświadomego, do tego nieświadomego, którego korzenie sięgają dzieciństwa, a którego osobliwe mechanizmy poznaliśmy już poprzednio. Byłoby wskazane odgraniczyć od siebie te dwa rodzaje nieświadomego przez nadanie im różnych nazw. Lecz poczekajmy z tym tak długo, aż zapoznamy się bliżej z dziedziną nerwic. Wszak zarzuca się nam, że nasze nieświadome jest zjawiskiem fantastycznym, a cóż dopiero powiedzą, gdy przyznamy się, że dopiero przyjęcie dwóch rodzajów nieświadomego jest w stanie nas zadowolić.

Na tym przerwiemy. I tym razem usłyszeliście coś niepełnego, lecz czy nie przejmujecie was otuchą myśli, że nasza wiedza ma swój ciąg dalszy, który stworzymy sami albo inni po nas? I czyż nie poznaliśmy sami wielu rzeczy nowych i niespodziewanych?

Niepewności i krytyki

Panie i panowie! Nie zechcemy przecież opuścić dziedziny marzenia sennego, nie pomówiwszy o najczęstszych wątpliwościach i niepewnościach, jakie łączyły się z naszymi dotychczasowymi odkryciami i poglądami. Część materiału dla tego celu zebrał już zapewne niejedyn spośród mych uważnych słuchaczy.

1. Odnieśliśmy może wrażenie, że wyniki naszej pracy analitycznej, mimo poprawnego zastosowania techniki, dopuszczają tyle wątpliwości, iż przez to udaremnione zostaje pewne przetłumaczenie jawnego marzenia sennego na myśli ukryte. Oświadczycie mi, że po pierwsze nigdy nie wiadomo, czy należy rozumieć dany składnik marzenia we właściwym znaczeniu, czy też symbolicznie, gdyż przedmioty, które zostały jako symbole, nie tracą swego właściwego charakteru, są nadal tym, czym są w rzeczywistości; skoro nie ma się zatem obiektywnego punktu oparcia, by móc to rozstrzygnąć, natenczas tłumaczenie bywa w tym miejscu pozostawione dowolności tłumacza. Następnie — wskutek zatarcia się przy pracy marzeń sennych wszelkich kontrastów — niepewne jest za każdym razem, czy dany składnik należy rozumieć w znaczeniu pozytywnym czy negatywnym, to znaczy, czy mamy przyjąć go tak, jak nam się przedstawia, czy też jako jego kontrast. Świeża sposobność dla samowoli tłumacza! Po trzecie, wolno tłumaczowi — opierając się na tym, że marzenie senne posługuje się chętnie odwróceniami — przeprowadzać podobne odwrócenia w tych punktach marzenia sennego, które on uznaje za stosowne. Wreszcie powołacie się na często wytyczany zarzut, że rzadko jesteśmy pewni, czy znalezione tłumaczenie jest tym jedynie możliwym. Można się w tym wypadku narazić na przeoczenie innego, również dopuszczalnego tłumaczenia. Wśród tych okoliczności — wywnioskujecie — jest otwarte pole dla dowolności tłumacza, która nie stoi w żadnym stosunku do obiektywnej pewności naszych wyników. Możecie również przyjąć, że błędu nie należy szukać w marzeniu sennym, lecz w niesłuszności naszych pojęć i założeń.

Cały wasz materiał jest doskonale zebrany, lecz mimo to sądzę, że nie daje wam prawa do wyciągania podobnych wniosków, które zmierzają w dwóch kierunkach, a mianowicie: że tłumaczenie marzeń

sennych, tak jak je stosujemy, wydane jest na łup samowoli oraz że braki w wynikach podają w wątpliwość słusność naszego postępowania. Zgodzę się na to, jeśli zamiast samowoli tłumacza umieścicie: jego zręczność, doświadczenie i zrozumienie. Z podobnymi momentami osobistymi musimy się liczyć rzeczywiście, zwłaszcza przy trudniejszych zadaniach tłumaczenia snów. Nie dzieje się jednak inaczej i w innych dziedzinach nauki. Nie ma środka, który mógłby zapobiec temu, że jedni opanowują pewną technikę lepiej, a inni gorzej. Co zresztą, jak na przykład przy tłumaczeniu symboli, imponuje jako dowolność, to zostaje unieszkodliwione przez to, że w zasadzie związek między myślami marzenia sennego oraz pomiędzy snem a życiem śniącego, jako też cała sytuacja psychiczna, w której powstaje marzenie senne, decyduje o wyborze jednej spośród danych możliwości tłumaczenia, a odrzuceniu innych jako bezużytecznych. Co się zaś tyczy wniosku, że niedomagania naszego tłumaczenia wskazują na niesłusność naszych wywodów, to upada on, jeśli zważymy, że wieloznaczność i nieokreśloność marzenia sennego stanowią jego nieodzowną właściwość.

Przypomnijmy sobie, że powiedzieliśmy, iż rezultatem pracy marzeń sennych jest przekład myśli marzenia sennego na prymitywny sposób wyrażania się, podobny do pisanja obrazkowego. Wszystkie te prymitywne systemy wyrażania się są jednak bardzo niepewne i wieloznaczne, a mimo to nie mamy prawa powątpiewać o możliwości ich zastosowania. Wiadomo wam, że połączenie w jedność kontrastów przy pracy marzeń sennych znajduje swą analogię w tak zwanym „odwrotnym znaczeniu prasłów” w najstarszych językach. Filolog K. Abel (1884), któremu ten pogląd zawdzięczamy, robi nam uwagę, że nie należy mniemać, jakoby porozumiewanie się dwóch osób za pomocą tak ambiwalentnych słów miało być przez to dwuznaczne. Ton i gest, towarzyszące mowie, w związku z całością nadawały ostateczne piętno, tak że nie było wątpliwości, który z dwóch kontrastów mówca miał na myśli. W piśmie zamiast gestu stosowano mały znaczek, którego nie wymawiano, i tak na przykład mały skurczony człowieczek, względnie zuchowato wyprężony mężczyzna nadawali właściwy sens dwuznacznemu słowu pisma obrazkowego — „słaby” lub „silny”. W ten sposób unikano nieporozumienia mimo wieloznaczności dźwięków i znaków.

Stare systemy wyrażania się, na przykład pisma najstarszych

języków, zdradzają wielką ilość podobnych niepewności, których nie tolerowalibyśmy w naszym dzisiejszym piśmie. I tak: w niektórych pismach semickich oznaczane bywają tylko spółgłoski. Opuszczone samogłoski musi sobie czytelnik sam poumieszczać stosownie do znajomości rzeczy i wątku. Niezupełnie w ten sposób, lecz podobnie, postępuje pismo obrazkowe i z tego też powodu pozostała dla nas nie znana wymowa języka staroegipskiego. Tak na przykład uszeregowanie hieroglifów od prawej ręki ku lewej czy od lewej ku prawej pozostawione jest dowolności piszącego. By móc czytać, trzeba stosować się do przepisu, według którego należy zważać na twarze figur, ptaków itd. Pisarz mógł jednak umieścić znaki również w porządku pionowym, a przy napisach na małych przedmiotach mógł się dać skłonić, czy to ze względów uprzejmości, czy też chcąc wypełnić puste miejsce, do innej jeszcze zmiany w następstwie znaków. Brak zaś przerw między słowami najbardziej utrudnia odcyfrowanie hieroglifów. Obrazki biegną przez całą stronę w równych od siebie odstępach i przeważnie nie wie się, czy pewien znak należy jeszcze do poprzedniego, czy już jest początkiem nowego słowa. Za to w perskim piśmie klinowym ukośny klin służy za „dzielnik słów”.

Język i pismo chińskie są wprawdzie bardzo stare, lecz po dziś dzień w użyciu 400 milionów ludzi. Nie myślcie, że wiele znam się na tym piśmie; poinformowałem się tylko o nim, sądząc, że znajdę tu analogie do niepewności marzenia sennego. Oczekiwania moje mnie nie zawiodły. Język chiński pełen jest takich niepewności, które są w stanie napędzić nam strachu. Składa się on — jak wiadomo — z pewnej ilości dźwięków zgłoskowych, które wymawia się bądź pojedynczo, bądź też po dwie spojone razem. Jeden z głównych dialektów posiada blisko 400 podobnych dźwięków. Ponieważ jednak zasób słów tego narzecza obliczony jest na około 4000 słów, zatem wynika z tego, że przeciętnie każdy dźwięk ma dziesięć różnych znaczeń, niektóre z nich mniej, a w zamian za to inne o tyleż więcej. Istnieją jednak liczne sposoby, które zapobiegają wieloznaczności, gdyż nie można jedynie z samego wątku myśli odgadnąć, które z tych dziesięciu znaczeń ma mówiący na myśli. Między innymi występuje tu połączenie dwóch dźwięków, tworzących w ten sposób jedno słowo złożone, i cztery różne „tony” podkreślające znaczenie tych zgłosek. Dla naszego porównania ciekawa jest również ta okoliczność, że język ten nie posiada gramatyki. O różnym takim jednozgłoskowym słowie

nie można powiedzieć, czy jest to rzeczownik czy też przymiotnik, brak jest też wszelkich końcówek wskazujących na rodzaj, liczbę, czas czy tryb. Język składa się, że tak powiem, tylko z surowca, podobnie jak i nasza mowa myślowa zamienia się w materiał surowy dzięki pracy marzeń sennych, nie stosującej i nie uwzględniającej wyrażenia związków logicznych. W języku chińskim rozstrzyga w każdym niepewnym wypadku słuchacz, który kieruje się tylko wątkiem myśli. Zanotowałem sobie jako przykład pewne przysłowie chińskie, które w dosłownym tłumaczeniu brzmi: „Mało co widzieć, dużo co zadziwiająco”. Nie trudno jest to zrozumieć. Może to znaczyć: im mniej kto widział, tym więcej znajduje rzeczy do podziwiania, lub też: wiele podziwia ten, kto mało widział. Rozstrzygnięcie między tymi dwoma, różniącymi się od siebie tylko gramatycznie, tłumaczeniami nie wchodzi już w rachubę. Znaczący języka chińskiego zapewniają nas, że mimo swej nieokreśloności stanowi on doskonały środek dla wyrażania myśli. A więc nie zawsze nieokreśloność powoduje wieloznaczność.

Przyznać jednak musimy, że dla sposobu wyrażania się marzenia sennego sytuacja jest bardziej niekorzystna, niż jeśli chodzi o stary język lub pismo. Te ostatnie są w gruncie rzeczy środkami porozumiewania się, to znaczy są obliczone na zrozumienie dzięki użyciu tych czy innych środków pomocniczych. Lecz właśnie tej cechy brak jest marzeniu sennemu. Marzenie senne nie chce nikomu nic powiedzieć, nie jest ono żadnego rodzaju komunikatem, przeciwnie, jest sprecyzowane w ten sposób, by pozostać niezrozumiałym. Toteż nie należy dziwić się i opuszczać rąk, jeśli tu i ówdzie wykaże się, że nie możemy rozstrzygnąć jakichś niepewności i wieloznaczności marzenia sennego. Z poprzednio dokonanych porównań zyskamy jedynie to uspokojenie, że podobne niepewności, które podnosi się jako zarzut przeciwko słuszności naszego tłumaczenia marzeń sennych, są właściwie zwykłymi cechami wszystkich prymitywnych systemów wyrażania się.

Jak daleko sięga w rzeczywistości rozumiałość marzenia sennego, to da się stwierdzić jedynie drogą wprawy i doświadczenia. Moim zdaniem, sięga ona bardzo daleko, a moje zapatrywanie potwierdzają wyniki porównawcze wielu doskonale wyszkolonych analityków. Publiczność lubuje się, jak wiadomo, w tym, by wobec trudności i niepewności jakiejś nauki pysznić się wyższością swego sceptycyzmu. Może nie wszystkim wam wiadomo, że podobna sytuacja zdarzyła się w dziejach odcyfrowania napisów babilońsko-asyryjskich. Były czasy,

w których opinia publiczna zaszła tak daleko, że uważała tych, co odcyfrowują pisma klinowe, za fantastów, a całą gałąź badania za „szalbierstwo”. W r. 1857 podjęła jednak *Royal Asiatic Society* decydującą próbę. Zażądała ona od czterech najbardziej poważnych badaczy pisma klinowego (Rawlison, Hincks, Fox Talbot i Oppert), by przysłali jej w zapieczętowanej kopercie, jeden niezależnie od drugiego, tłumaczenie świeżo znalezionej napisu. Po porównaniu tych czterech tłumaczeń wydało Towarzystwo orzeczenie, w którym stwierdza, że zgodność odczytania napisu usprawiedliwia zaufanie do wyników dotychczasowych i budzi nadzieję dalszych postępów. Drwiny uczonych nie-specjalistów powoli ucichły, a od owego czasu wzrosła znacznie pewność w odczytywaniu dokumentów pisma klinowego.

2. Drugi rodzaj wątpliwości wiąże się z wrażeniem, któremuście i wy zapewne ulegli, że pewna ilość tłumaczeń marzeń sennych wydaje się wymuszona, naciągnięta, sztuczna, ba, czasami śmieszna i zakrawająca na dowcip. Tego rodzaju zdania są tak częste, że wybieram, nie zastanawiając się długo, ostatnie, które doszło do mych uszu. Posłuchajcie zatem. W wolnej Szwajcarii usunięto ostatnio z posady dyrektora seminarium za zajmowanie się psychoanalizą. Wniósł on przeciwko temu rekurs, a pewien dziennik berneński podał do wiadomości publicznej orzeczenie władz szkolnych. Z tego dokumentu wybieram tylko kilka zdań odnoszących się do psychoanalizy: „Następnie dziwi nas wiele wyszukanych i sztucznych przykładów, które znajdują się również w cytowanej książce dra Pfistera z Zurychu... Właściwie należałoby wyrazić zdziwienie, że dyrektor seminarium przyjmuje bezkrytycznie wszelkie te twierdzenia i rzekome dowody”. Zdania te zostają podane jako orzeczenie „człowieka o spokojnym sądzie”. Ja zaś ze swej strony sądzę, że ów spokój jest „sztuczny”. Zbliźmy się jednak do tych poglądów, w oczekiwaniu, że nieco namysłu i znajomości rzeczy nie przyniesie szkody nawet spokojnemu sądowi.

Sprawia to rzeczywiście wrażenie orzeźwiający, skoro się widzi, jak szybko i nieomylnie wydają ludzie sąd o drażliwych zagadnieniach psychologii głębi, opierając się jedynie na pierwszym swym wrażeniu. Tłumaczenia wydają się im wyszukane i wymuszone, nie podobają się, a więc są błędne, a cała ta sztuka tłumaczenia nie nadaje się do niczego. Nawet przelotna myśl nie zatrzyma się przy innej możliwości — że tłumaczenia te z pewnych powodów muszą się takimi wydawać i że wobec tego należałoby zadać sobie dalsze pytanie, co to są za powody.

Ten podlegający krytyce stan rzeczy jest przede wszystkim wynikiem przesunięcia, które poznaliście już jako najsilniejszy środek cenzury. Za pomocą przesunięcia buduje cenzura marzenia sennego twory zastępcze, które określiliśmy jako aluzje. Są to jednak aluzje, których, jako takich, nie można łatwo rozpoznać, a droga powrotna od nich do tworu właściwego, kryjącego się za nimi i związanego z nimi za pomocą najosobliwszych, niezwykłych i powierzchownych skojarzeń, jest bardzo trudna. We wszystkich tych wypadkach chodzi o sprawy, które powinny być ukryte i przeznaczone są do zatajenia; to właśnie pragnie osiągnąć cenzura marzenia sennego. Rzeczy zaś, która została ukryta, nie należy szukać w miejscu zwykle dla niej przeznaczonym. Dzisiejsza straż graniczna jest sprytniejsza od szwajcarskich władz szkolnych. Przy poszukiwaniu dokumentów i notatek nie zadowala się ona przeglądaniem tek i portfelów, lecz uważa za możliwe, że szpiedzy i przemytnicy ukrywają tego rodzaju zabronione rzeczy w najgłębszych zakamarkach swego ubrania, do których stanowczo one nie pasują, a więc np. w podwójnej podeszwie buta. Jeśli rzeczy te zostaną tam znalezione, to były one wprawdzie bardzo dobrze schowane, ale zarazem i dobrze — znalezione.

Skoro uznajemy za możliwe najbardziej od siebie oddalone, najosobliwsze, już to śmieszne, już to dowcipne połączenia między ukrytym składnikiem marzenia sennego a jego jawnym tworem zastępczym, to opieramy się na bogatym zasobie przykładów, których rozwiązanie znaleźliśmy w zasadzie nie sami. Bardzo często jest wprost niemożliwe wysnucie podobnego tłumaczenia z własnego pomysłu; żaden myślący człowiek nie mógłby odgadnąć takiego powiązania. Śniący dostarcza nam tłumaczenia bądź to za jednym zamachem przez bezpośredni pomysł — jest to dlań możliwe, gdyż w nim przecież powstał ów twór zastępczy — bądź też przez podanie tak obfitego materiału, że samo rozwiązanie nie wymaga zbytnej bystrości, lecz nasuwa się nam samo przez się, jako jedyny punkt wyjścia. Jeśli śniący nie pomaga nam ani w ten, ani w inny sposób, natenczas ów jawny składnik pozostaje dla nas wiecznie niezrozumiały. Pozwolicie, że dodatkowo wspomnę tu o pewnym wypadku, jaki niedawno miał miejsce. Jedna z mych pacjentek w okresie leczenia się u mnie straciła ojca. Od owego czasu korzysta z każdej sposobności, by przywołać go do życia w swoich marzeniach sennych. W jednym z tych snów zjawia się w pewnym, dla nas bez znaczenia, momencie jej ojciec i powiada:

jest kwadrans na dwunastą, jest wpół do dwunastej, jest trzy kwadransy na dwunastą. Jedynym skojarzeniem pacjentki odnoszącym się do tego osobliwego szczegółu było wspomnienie, że ojcu było przyjemnie, jeśli dorosłe już dzieci stawały się punktualnie do wspólnych posiłków. Było to rzeczywiście w związku z owym pierwiastkiem marzenia sennego, lecz nie dawało powodu do wyciągania pewnych wniosków na temat jego pochodzenia. Sytuacja, panująca w owym okresie leczenia, wzbudzała podejrzenie, że pacjentka odnosiła się z pewnym krytycyzmem do ukochanego i uwielbianego ojca. Uczucie to było, oczywiście, troskliwie tłumione, lecz miałem powód przypuszczać, że odgrywało ono rolę w owym marzeniu sennym. W ciągu dalszych swych skojarzeń, pozornie bardzo oddalonych od marzenia sennego, opowiada śniąca, że omawiano poprzedniego dnia w jej towarzystwie wiele kwestii psychologicznych, a jeden z jej krewnych powiedział: w każdym z nas żyje *człowiek pierwotny* (w oryginale: *Urmensch*). Wyjaśnia to sytuację. Była to doskonała sposobność do przedłużenia życia zmarłemu ojcu. W marzeniu sennym śniąca zamianowała ojca człowiekiem zegarowym (*Uhrmensch*), nakazując mu wyliczanie kwadransów południa.

Uderzające jest w tym przykładzie podobieństwo do dowcipu, niejednokrotnie też zdarzało się, że dowcip śniącego przypisywano tłumaczowi snu. Istnieje mnóstwo podobnych przykładów, gdzie trudno rozstrzygnąć, czy to dowcip, czy marzenie senne. Przypominacie sobie zapewne, że mieliśmy podobne wątpliwości przy pewnych wypadkach przejęzyczenia. Pewien jegomość opowiada, że śnił, iż stryj, podczas gdy siedzieli w jego auto(mobilu), pocałował go. Tłumaczy zaraz sam, iż oznacza to *autoerotyzm* (termin wzięty z nauki o libido, oznaczający zaspokojenie bez obcego obiektu). Czyżby ów jegomość zakpił sobie z nas i opowiedział nam dowcip, jaki właśnie wymyślił? Nie sądzę; śnił on o tym rzeczywiście. Skąd jednak pochodzi to zadziwiające podobieństwo? Pytanie to odwiodło mnie swego czasu dość daleko od mej drogi, zmuszając mnie do specjalnych badań nad istotą dowcipu. Okazało się wówczas, że pewien przedświadomy bieg myślowy poddany zostaje na przeciąg jednej chwili opracowaniu nieświadomego, skąd wynurza się potem pod postacią dowcipu. Pod wpływem nieświadomego ulega on działaniu panujących tam mechanizmów, a więc zgęszczeniu, przesunięciu, to jest tym samym procesom, które współdziałają przy pracy marzeń sennych; tej więc wspólności należy przypisać podobieństwo, tam gdzie ono dochodzi do skutku, pomiędzy

marzeniem sennym a dowcipem. Brak jest jednak temu mimowolnemu „dowcipowi marzenia sennego” cechy wesołości, która jest znamionym rysem dowcipu. Dlaczego tak jest, o tym pouczą was badania nad dowcipem. „Dowcip we śnie” wydaje nam się złym dowcipem, nie pobudza nas do śmiechu i nie czyni na nas wrażenia.

W ten sposób wstępujemy także w ślady tłumaczenia marzeń sennych w starożytności, któremu zawdzięczamy, poza wieloma bezużytecznymi wskazówkami, kilka dobrych przykładów tłumaczenia snów, jakich i my byśmy się nie powstydzili. Wspomnę tu jedynie o bardzo doniosłym historycznym marzeniu sennym Aleksandra Wielkiego, o którym opowiadają z małymi zmianami Plutarch i Artemidor z Daldii. W czasie oblężenia zawzięcie broniącego się miasta Tyr (322 przed Chr.) śnił król (którego wszystkie myśli były ku tej sprawie skierowane), że widzi tańczącego satyra. Arystander, wykładacz snów, który znajdował się wśród walczących, wytłumaczył mu to marzenie senne, rozkładając słowo „Satyros” na *σατυρος* (twoim jest Tyr), i w ten sposób przepowiedział mu zwycięstwo nad miastem. Pod wpływem tego tłumaczenia wydał Aleksander rozkaz nieprzerywania oblężenia i zdobył w końcu Tyr. Tłumaczenie, które rzeczywiście robi wrażenie sztucznego, było niewątpliwie słuszne.

3. Mogę sobie wyobrazić, że wyrze na was szczególne wrażenie fakt, że także osoby, które stosując psychoanalizę zajmowały się przez dłuższy czas tłumaczeniem marzeń sennych, podniosły pewne zastrzeżenia co do naszego pojmowania snów. Byłby to zresztą zbyt niezwykły przypadek, gdyby tak częsta i dobra sposobność nie została wyzyskana do popełnienia nowych błędów. Wskutek pomieszania pojęć i nieuprawnionych uogólnień powstały poglądy, które w swej błędności ustępują niewiele lekarskiemu pojmowaniu marzenia sennego. Jedno z tych pojęć, które już znacie, powiada, że marzenie senne stara się zastosować do teraźniejszości oraz rozwiązać zadania przyszłości, czyli że służy ono „tendencji prospektywnej” (A. Maeder). Poprzednio już wspomnieliśmy, że twierdzenie to polega na zamianie marzenia sennego z ukrytymi myślami, a zatem opiera się na pominięciu pracy marzeń sennych. Jako charakterystyka nieświadomej czynności psychicznej, do której należą ukryte myśli snu, nie jest ono, z jednej strony, wcale nowością, z drugiej zaś strony, nie jest wyczerpujące, gdyż nieświadoma czynność psychiczna zajmuje się nie tylko przygotowaniem przyszłości, ale nadto jeszcze wieloma innymi sprawami.

Znacznie grubsza pomyłka tkwi, jak się zdaje, w twierdzeniu, że poza każdym marzeniem sennym można znaleźć „klauzulę śmierci”. Nie wiem dokładnie, co ta formułka oznacza, przypuszczam jednak, że kryje się poza nią zamiana snu na całą osobowość śniącego.

Niesłuszne uogólnienie kilku dobrych przykładów znajdujemy w twierdzeniu, że każde marzenie senne dopuszcza dwa tłumaczenia, jedno, któreśmy już wskazali, psychoanalityczne, drugie — tak zwane anagogeniczne, nie uwzględniające popędów, lecz zmierzające do wyobrażenia wyższych czynności psychicznych (H. Silberer). Są wprawdzie i tego rodzaju marzenia senne, lecz nadaremnie będziecie usiłowali rozszerzyć to pojmowanie bodaj na większość snów. Zgoła już niezrozumiałe po tym, coście dotychczas słyszeli, wyda się wam twierdzenie, według którego wszystkie marzenia senne należy tłumaczyć biseksualnie, to znaczy jako zetknięcie się tak zwanego dążenia męskiego z dążeniem kobiecym (A. Adler). Oczywiście, że istnieją i tego rodzaju pojedyncze marzenia senne, a jak dowiecie się później, są one zbudowane w podobny sposób jak pewne objawy histeryczne. Wyliczam tu wszystkie te odkrycia nowych ogólnych cech marzenia sennego, by przestrzec was przed nimi lub przynajmniej nie pozostawić was w wątpliwości co do mego o nich sądu.

4. Pewnego dnia zdawała się chwiać obiektywna wartość badań nad marzeniem sennym, a to z powodu następującego spostrzeżenia: zauważono, że pacjenci pozostający w leczeniu psychoanalitycznym poczęli dostosowywać treść swych marzeń sennych do ulubionych teorii swego lekarza; i tak jedni śnili przeważnie o sprawach seksualnych, inni znów o żądzy władzy, a inni o ponownym narodzeniu (W. Stekel). Jeśli zważymy jednak, że ludzie śnili zawsze, nim jeszcze istniało leczenie psychoanalityczne, które mogło nadać kierunek ich snom, i że pacjenci zwykli byli śnić przed poddaniem się tej kuracji, to obawa ta wyda się nam przesadna. To, co w tej nowej teorii jest prawdziwe, okazuje się też wnet zupełnie zrozumiałe i zgoła bez znaczenia dla teorii marzeń sennych. Wszak resztki z dnia, które wywołują marzenia senne, są pochodnymi silnych zainteresowań z życia na jawie. Gdy słowa lekarza i jego wskazówki nabrały znaczenia dla pacjentów, wówczas wkraczają one w zakres resztek z dnia i mogą dać podniecie psychiczną do powstania marzenia sennego, podobnie, jak inne nie zlikwidowane zainteresowania z dnia o silnym akcencie uczuciowym, przy czym działanie ich podobne jest działaniu podczas

snu podniet cielesnych na śpiącego. Podobnie jak inne podniety, mogą i te myśli, które zostały wywołane przez lekarza, wystąpić bądź to w jawnej treści, bądź też w myślach ukrytych. Wiemy już, że można marzenia sennie wywołać doświadczalnie, mówiąc ściślej, wprowadzić do nich pewną część materiału. Wpływ analityka na jego pacjentów porównać można z rolą eksperymentatora, który, podobnie jak Mourly Vold, nadaje rozmaite pozycje członkom ciała osób, które poddają się doświadczeniu.

Można często wpłynąć na śniącego poddając mu temat, na który ma śnić, lecz nigdy nie wpłyniemy na to, co śnić będzie. Mechanizm pracy marzeń sennych oraz nieświadome życzenie uchylają się od wszelkich obcych wpływów. Już przy rozważaniu marzeń sennych powstałych pod wpływem podniety cielesnej uznaliśmy, że osobliwość i samodzielność życia marzenia sennego ujawniają się w sposób, w jaki marzenie sennie reaguje na podniety cielesne lub psychiczne. Omówione tu zapatrywanie, które powątpiewa o obiektywności badań nad marzeniem sennym, zawiera znów ten sam błąd zamiany marzenia sennego na jego materiał.

Tyle, panie i panowie, chciałem wam powiedzieć o zagadnieniach marzenia sennego. Przeczuwacie, że wiele pominąłem, spostrzeżliście również, że we wszystkich prawie punktach musiałem być niezupełny. Przyczyna leży w związku, jaki zachodzi pomiędzy zjawiskiem marzenia sennego a zjawiskiem nerwicy. Zajęliśmy się badaniem marzeń sennych jako pracą wstępną do nauki o nerwicach, i było to bez wątpienia słuszniejsze, niż gdybyśmy byli postąpili odwrotnie. Ale podobnie jak marzenie sennie przygotowuje do zrozumienia nerwic, tak samo z drugiej strony dopiero znajomość objawów nerwicowych ułatwi nam zupełne przeniknięcie istoty marzenia sennego.

Nie wiem, co wy myślicie, lecz co do mnie, to zapewniam was, że nie żałuję, iż poświęciłem tyle z waszego zainteresowania i czasu, jakismy mieli do dyspozycji, dla pracy nad marzeniami sennymi. Przy żadnym z innych przedmiotów nie można nabrać tak szybko przekonania o słuszności wywodów, na których opiera się psychoanaliza. Wykazanie, że objawy pewnego przypadku schorzenia nerwicowego mają sens, że służą pewnym zamiarom oraz że wywodzą się z przeżyć osoby cierpiącej, wymaga mozolnej pracy paru miesięcy, czasami nawet i lat. Natomiast już w przeciągu kilku godzin możemy wykazać ten sam stan rzeczy na zrazu niejasnym, zagmatwanym marzeniu

sennym, a tym samym udowodnić wszystkie założenia psychoanalizy, nieświadomy charakter pewnych procesów psychicznych, osobliwe mechanizmy, które nimi kierują, oraz popędy, jakie się w nich przejawiają. A jeśli porównamy zupełną analogię w budowie marzenia sennego i objawu neurotycznego z szybkością przemiany, która ze śniącego czyni człowieka czuwającym i rozsądnym, to zyskamy pewność, że nerwica polega jedynie na zmienionym układzie sił psychicznych.

Część III

Nauka ogólna o nerwicach

WYKŁAD XVI

Psychoanaliza i psychiatria

Panie i panowie! Rad jestem powitać was po roku w celu kontynuowania naszych rozważań. W roku ubiegłym wykładałem o psychoanalitycznym traktowaniu pomyłek życia codziennego i marzenia sennego; w tym roku chcę umożliwić wam zrozumienie zjawisk nerwicowych, które mają, jak wkrótce zobaczycie, z poprzednimi wiele wspólnego. Ale muszę was uprzedzić, że obecnie stosunek między nami nie może być taki sam, jak w roku ubiegłym. Wtedy zależało mi na tym, by nie uczynić ani kroku bez porozumienia się z wami; dyskutowałem z wami wiele, liczyłem się z waszymi zarzutami, uznawałem was i wasz „zdrowy rozsądek” za instancję decydującą. Tak dalej być nie może, a to z racji bardzo prostej. Pomyłki życia codziennego i marzenia senne nie były wam, jako zjawiska, obce; można by powiedzieć, że posiadaliście lub też łatwo wam było zdobyć doświadczenie równe mojemu. Dziedzina zjawisk nerwicowych jest wam jednak obca; o ile nie jesteście lekarzami, nie macie do niej dostępu inną drogą, jak właśnie poprzez to, czego dowiecie się ode mnie, a na cóż zda się najlepszy sąd, jeśli brak dostatecznej znajomości przedmiotu?

Proszę jednakże mojej przedmowy nie rozumieć w ten sposób, jakobym chciał prowadzić wykłady dogmatyczne i wymagał od was bezwzględnej wiary. Tego rodzaju zrozumienie byłoby krzywdą dla mnie. Nie chcę narzucać przekonań — chcę tylko dać podniecie i zachwiać przesady. Jeżeli wskutek braku konkretnych wiadomości nie możecie wydać sądu, proszę ani nie wierzyć, ani nie odrzucać. Proszę tylko słuchać i pozwolić oddziaływać na siebie temu, co opowiem. Przekonań nie zdobywa się łatwo, a jeśli dochodzi się do

nich bez trudu, okazuje się wkrótce, że są bezwartościowe i niezdolne stawić opór w walce. Prawo posiadania przekonań ma ten dopiero, kto, jak ja, wiele lat pracował nad tym samym materiałem i przy tym zdobył te same nowe i niespodziane doświadczenia. Po cóż w ogóle w dziedzinie intelektu owa ruchliwość przekonań, błyskawiczne nawracania, nagłe odrzucania? Czyż nie widzicie, że ów *coup de foudre*, owa miłość na pierwszy rzut oka, ma swe źródło w dziedzinie zgoła innej, w sferze uczucia? Wszak nie żądamy nawet od naszych pacjentów, by przystępowali do psychoanalizy z przekonania lub jako jej zwolennicy. To czyni ich często w naszych oczach podejrzanymi. Przychylny sceptycyzm — oto co widzimy w nich najchętniej. Pozwólcie więc rozwijać się w was spokojnie owemu psychoanalitycznemu ujęciu, obok zwykłego lub psychiatrycznego, aż nadarzy się sposobność, kiedy te dwa poglądy będą mogły na się oddziaływać, mierzyć się i doprowadzić do rozstrzygnięcia.

Z drugiej strony, nie przypuszczajcie ani na chwilę, że moje pojmowanie psychoanalityczne jest jakimś systemem spekulacyjnym. Jest to raczej doświadczenie, bezpośrednie odnotowanie obserwacji lub też wynik jej opracowania. Dalszy rozwój nauki okaże, czy opracowanie to jest wystarczające i odpowiednie, mogę tylko, po upływie dwóch i pół dziesiątka lat, wiekiem już posunięty, stwierdzić bez przechwałki, że praca, której owocem są te spostrzeżenia, była nader trudna, intensywna i sięgająca w głąb. Miałem często wrażenie, jakoby nasi przeciwnicy nie chcieli wcale brać pod uwagę owych źródeł naszych twierdzeń, tak jak gdyby przypuszczali, że chodzi o koncepcje subiektywne, którym ktoś inny może przeciwstawić swoje własne. Postępowanie takie nie jest dla mnie zrozumiałe. Może przyczyną tego jest fakt, że lekarz tak mało udziela się nerwowo chorym, tak mało zwraca uwagi na to, co mają do powiedzenia, że uniemożliwia sobie dokładną obserwację ich cennych wyznań. Przy tej sposobności przyrzekam, że w ciągu moich wykładów będę unikał polemiki w ogóle, a zwłaszcza polemiki z poszczególnymi osobami. Nie mogłem przekonać się o słuszności twierdzenia, jakoby spór był ojcem wszystkiego. Sądzę, że pochodzi ono od sofistów greckich i, jako takie, przecenia wartość dialektyki. Wręcz przeciwnie, zdaje mi się, że tak zwana polemika naukowa jest na ogół zupełnie bezpłodna, pominąwszy już to, że prowadzona jest zwykle na terenie nader osobistym. Jeszcze przed kilku laty mogłem się pochwalić, że tylko

z jednym jedynym badaczem (Löwenfeldem w Monachium) prowadziłem prawdziwie naukową dyskusję. Koniec był taki, żeśmy się stali przyjaciółmi i zostaliśmy nimi po dziś dzień. Albo długo nie ponawiałem tej próby, nie będąc pewny tego samego wyniku.

Zapewne pomyślicie sobie, że takie uchylanie się od dyskusji świadczy o wielkiej nieprzystępności dla zarzutów, o zarozumiałości, lub też, jak to się zwykło nazywać uprzejmie w polemice naukowej, o „zaciętrzewieniu”. Odpowiem na to, że jeśli kiedykolwiek wielkim nakładem pracy zdobędziecie jakieś przekonanie, będzie wam też dane prawo bronięcia go, nawet z pewną zaciętością. Dalej mogę zaznaczyć, iż w ciągu mej pracy zmieniałem i zastępowałem poglądy moje przez nowe co do kilku ważnych kwestii, co naturalnie podawałem zawsze wiadomości ogółu. Skutek tej szczerości? Niektórzy nie przyjęli w ogóle do wiadomości moich sprostowań i krytykują mnie po dziś dzień z racji twierdzeń, które już dawno utraciły dla mnie swoje znaczenie. Inni znowu wyrzucają mi właśnie owe przekształcenia, mianując mnie nieodpowiedzialnym. Nieprawdaż, kto kilkakrotnie zmieniał swoje poglądy, ten nie zasługuje w ogóle na zaufanie, gdyż sam nasuwa myśl, że i ostatnie jego twierdzenia okażą się błędne? Kto zaś mocno obstaje przy tym, co raz wypowiedział, lub nie dość łatwo od tego odstępuje, ten uchodzi za upartego lub zaciętrzewionego. Cóż pozostaje innego wobec tych dwóch sprzecznych prądów krytyki, jak być takim, jakim się jest, i postępować zgodnie z własnym sądem? Na to też jestem zdecydowany i nic mnie nie powstrzyma od modyfikowania i korygowania mojej nauki zgodnie z postępem mego doświadczenia. Poglądów podstawowych nie miałem powodu dotychczas zmieniać i mam nadzieję, że i nadal tak będzie.

Mam zatem zobrazować wam psychoanalityczne pojmowanie zjawisk nerwicowych. Nasuwa się tu nawiązanie do zjawisk już omówionych, a to zarówno ze względu na analogię, jak i na kontrast. Weźmy na przykład czynność objawową, którą zaobserwowałem u wielu osób w godzinach przyjęć. Z osobami odwiedzającymi nas podczas ordynacji lekarskiej, by w ciągu kwadransa roztoczyć przed nami niedolę długiego życia, psychoanalityk niewiele może począć. Jego głębsza wiedza nie pozwala mu wydać zwykłego lekarskiego orzeczenia: nic panu nie jest — i udzielić rady: niech pan zastosuje lekką hydroterapię. Jeden z kolegów naszych zapytany, jak postępuje ze swoimi pacjentami podczas ordynacji, odpowiedział wzruszając

ramionami: za swawolę nakładam na nich karę w wysokości tyłu a tyłu koron. Nie będziecie więc zdziwieni, słysząc, że nawet u psychoanalityków cieszących się dużą praktyką godzina ordynacji nie jest zbyt ożywiona. Między poczekalnią a moim pokojem ordynacyjnym znajdują się podwójne drzwi zaopatrzone w obicie filcowe. Cel tego urządzenia nie następuje żadnej wątpliwości. I oto zdarza się wciąż, że osoby, które wpuszczam z poczekalni, nie zamykają drzwi za sobą, pozostawiając je prawie zawsze otwarte. Z chwilą gdy to spostrzegam, nalegam w tonie niezbyt uprzejmym, by wchodzący lub wchodząca, choćby to nawet był elegancki pan lub bardzo wystrojona pani, naprawili to, czego zaniedbali. Robi to wrażenie zbyt pedanterii. Blamowałem się nieraz tym żądaniem, gdy szło o osoby, które same nie mogą ująć klamki i chętnie zaoszczędzają sobie, dzięki obcej pomocy, jej dotknięcia. Lecz w większości wypadków miałem słusność, gdyż kto się tak zachowuje, kto zostawia między poczekalnią a pokojem ordynacyjnym lekarza drzwi otwarte, ten należy do pospólstwa i nie zasługuje na uprzejme przyjęcie. Nie zajmujcie jeszcze w tej sprawie stanowiska, póki nie wysłuchacie dalszego ciągu. Ta nonszalancja pacjenta zdarza się tylko wówczas, jeśli znajduje się on w poczekalni sam jeden, a więc zostawia za sobą pusty pokój; nie zdarza się nigdy, jeśli czekają w nim inni, obcy. W tym wypadku rozumie on doskonale, że podsłuchanie przez obcych jego rozmowy z lekarzem nie jest dlań przyjemne, i nigdy nie zaniedbuje zamknięcia starannie obojga drzwi.

Tak określone, nie jest owo zaniedbanie ze strony pacjenta ani przypadkowe, ani bezsensowne, nawet nie bez wagi, wyświatla bowiem stosunek jego do lekarza. Pacjent należy do wielkiej liczby tych ludzi, którzy wymagają światowego autorytetu, którzy chcą być olśnieni, onieśmieleni. Zapytywał może telefonicznie, o jakiej porze będzie najszybciej przyjęty, spodziewał się, że znajdzie natłok szukających pomocy, niby w którejś z filii Juliusza Meinla (Juliusz Meinl — znany sklep kolonialny w Wiedniu). Zamiast tego wchodzi do pustej, ponadto bardzo skromnie urządzonej poczekalni i jest rozczarowany. Musi sobie powetować to, że zjawił się u lekarza ze zbyt dużym zasobem szacunku, i oto zaniedbuje zamknięcie drzwi między poczekalnią a pokojem ordynacyjnym. Chce tym dać do zrozumienia lekarzowi: ach, tu i tak nie ma nikogo i prawdopodobnie jak długo tu będę, nikt się nie zjawi. Będzie się zachowywał podczas wizyty niegrzecznie i bez szacunku, jeżeli na

samym początku nie położymy tamy jego zarozumiałości za pomocą energicznego zwrócenia mu uwagi.

W analizie tej drobnej czynności objawowej nie znajdziecie niczego, co by już wam nie było wiadome: twierdzenie, że nie jest ona przypadkowa, lecz umotywowana, że zawiera sens i cel, że należy do pewnej danej sfery psychicznej i że jest drobnym znakiem — zwiastunem bardziej ważkiego procesu duchowego; przede wszystkim zaś, że ten postępek jest obcy świadomości tego, który go popełnia, gdyż żaden z pacjentów, którzy pozostawili drzwi otwarte, nie zechce przyznać, że przez to zaniedbanie chciał mi wyrazić swoje lekceważenie. Uczucie rozczarowania przy wejściu do pustej poczekalni uświadomi sobie może niejedyn, ale związek między tym wrażeniem a następującą po nim czynnością objawową pozostał poza sferą jego świadomości.

Niechaj obok tej małej analizy czynności objawowej staną spostrzeżenia dokonane na jednej z chorych. Wybieram jedno, które mam świeżo w pamięci, między innymi dlatego, że da się względnie krótko przedstawić. Pewna szczegółowość jest jednak w każdej ilustracji niezbędna.

Młody oficer, bawiący w domu na krótkim urlopie, prosi mnie, bym przyjął na kurację jego teściową, która, żyjąc w szczęśliwych warunkach, zatruwa życie sobie i swoim bliskim z powodu bezsensownej idei. Poznaje 53-letnią kobietę, dobrze zakonserwowaną, uprzejmą i prostą w obejściu, która bez oporu opowiada mi, co następuje. Żyje szczęśliwie na wsi z mężem, który jest kierownikiem dużej fabryki. Nie ma dość słów pochwały dla troskliwości, jaką mąż ją otacza. Małżeństwo z miłości zawarte przed laty trzydziestu, od tego czasu żadnego nieporozumienia, żadnej sprzeczki lub powodu do zazdrości. Mimo pomyślnych małżeństw obojga dzieci, mąż i ojciec pracuje nadal z poczucia obowiązku. Przed rokiem zdarzyło się coś niewiarygodnego, coś niezrozumiałego dla niej samej: uwierzyła od razu w treść listu anonimowego, który oskarżał jej męża o nawiązanie stosunku miłosego z młodą dziewczyną; od tego czasu szczęście jej jest zniszczone. Bliższe szczegóły były następujące: pacjentka miała pokojówkę, z którą może zbyt często intymnie rozmawiała. Dziewczyna ta prześladowała z nienawistną wrogością swoją koleżankę, ponieważ tamta, chociaż nie lepszego pochodzenia, osiągnęła w życiu znacznie więcej. Zamiast iść do służby, zdobyła wykształcenie handlowe, wstąpiła do fabryki i wskutek braku personelu, spowodowanego powołaniem urzędników

do służby wojskowej, osiągnęła dobre stanowisko. Otrzymała mieszkanie w fabryce, była w kontakcie z właścicielami i mówiono do niej „pani”. Pokojowa gotowa była do pomawiania swojej dawnej koleżanki szkolnej o wszystko najgorsze. Pewnego dnia rozmawiała pacjentka z pokojówką o pewnym starszym panu, który był ich gościem i o którym wiadomo było, że nie żyje z żoną, lecz utrzymuje stosunek z inną kobietą. Nie wie, jak to się stało, że nagle wyrwało jej się: „dla mnie byłoby najstraszniejsze, gdybym się dowiedziała, że mój dobry mąż też utrzymuje stosunek miłosny z inną kobietą”. Następnego dnia otrzymała list anonimowy ze zmienionym charakterem pisma, zawierający ową fatalną wiadomość. Doszła do — prawdopodobnie słusznego — wniosku, że list ten jest dziełem złej pokojówki, ponieważ jako kochanka jej męża została wskazana owa osoba, której służąca tak nienawidziła. Aczkolwiek przejrzała natychmiast intrygę i z przykładów otoczenia wiedziała, na jak mało wiary zasługują tego rodzaju tchórzliwe denuncjacje, faktem jest, że list ten zgnębił ją od razu. Ogarnęło ją straszne zdenerwowanie, posłała natychmiast po męża, by mu czynić wyrzuty. Mąż, śmiejąc się, odrzucił to oskarżenie i czynił, co mógł najlepszego: zawezwał domowego lekarza, który zajął się gorliwie uspokojeniem nieszczęśliwej kobiety. Także dalsze postępowanie obojga było rozsądne. Pokojową oddalono, nie oddalono jednak domniemanej rywalki. Odtąd chora uspokajała się kilkakrotnie o tyle, że przestawała wierzyć w treść listu anonimowego, ale niezupełnie i nie na długo. Wystarczyło jej usłyszeć imię owej panny lub spotkać ją na ulicy, by został wywołany nowy atak nieufności, rozpacz i wyrzutów.

Oto historia choroby tej pani. Nie trzeba zbyt wiele psychiatrycznego wykszolenia, by zrozumieć, że w przeciwieństwie do innych chorych nerwowo przedstawiła ona raczej zbyt łagodnie swoją sprawę, a więc, jak się wyrażamy, dyssymulowała, i że nie przewyciężyła właściwie nigdy wiary w oskarżenie zawarte w liście anonimowym.

Jakie stanowisko zajmuje psychiatria wobec takiego przypadku? Jak się zachowa wobec czynności objawowej pacjenta, który nie zamyka drzwi do poczekalni, o tym już wiemy. Uważa ją za coś przypadkowego, bez znaczenia psychologicznego, coś co go dalej nie obchodzi. Lecz ten stosunek nie da się utrzymać w wypadku chorobliwej zazdrości kobiety. Czynność objawowa wydaje się czymś obojętnym, sam objaw choroby narzuca się jednak jako coś znamiennego.

Jest on połączony z intensywnym cierpieniem podmiotowym, przedmiotowo zagraża współżyciu rodzinnemu, jest więc bez wątpienia przedmiotem zainteresowania psychiatrycznego. Psychiatra próbuje najpierw scharakteryzować objaw za pomocą jakiejś istotnej właściwości. Idea, która gnębi tę niewiastę, nie jest sama przez się bezsensowna; zdarza się, że starsi, żonaci mężczyźni utrzymują stosunki miłosne z młodymi dziewczętami. Ale niezrozumiałe i bezsensowne jest tu coś innego. Pacjentka nie ma, prócz twierdzenia anonimowego listu, żadnego powodu wierzyć, że jej czuły i wierny mąż należy do tej, zresztą nie tak rzadkiej, kategorii mężczyzn. Wie, że nie należy przywiązywać do owego listu żadnej wagi, może sobie wytłumaczyć jego pochodzenie w sposób zupełnie zadowalający; mogłaby więc powiedzieć sobie, że nie ma żadnej przyczyny do zazdrości; mówi to sobie w rzeczy samej, mimo to cierpi tak samo, jak gdyby zazdrość ta była umotywowana. Tego rodzaju idee, które są niedostępne argumentom logicznym i zaczerpniętym z rzeczywistości, przyjęto nazywać *urojeniami*. Owa zacna niewiasta cierpi zatem na *urojenie zazdrości*. Oto istotna charakterystyka tego przypadku chorobowego.

Po tym pierwszym stwierdzeniu nasze zainteresowanie psychiatryczne będzie jeszcze żywsze. Jeżeli jakiegoś urojenia nie można usunąć przez skonfrontowanie go z rzeczywistością, nie ma ono na pewno podłoża realnego. Skąd więc pochodzi? Bywają urojenia najrozmaitszej treści; dlaczego w naszym wypadku treścią urojenia jest zazdrość? U jakich osób powstają urojenia, zwłaszcza urojenia zazdrości? Teraz oczekujemy odpowiedzi od psychiatry, ale tu spotyka nas zawód. Przyjmuje on tylko jeden rodzaj naszych pytań. Będzie badał stosunki rodzinne tej kobiety i da nam, być może, odpowiedź: urojenia występują u osób, w których rodzinie miały miejsce podobne i inne zaburzenia psychiczne. Innymi słowy, jeżeli urojenie rozwinęło się u tej właśnie kobiety, była ona do tego dziedzicznie usposobiona. Oczywiście, że to coś znaczy, ale czy jest to wszystko, co chcemy wiedzieć? Wszystko, co spowodowało tę chorobę? Czy wystarczy przyjąć, że jest to obojętne, dowolne lub nie do wyjaśnienia, dlaczego rozwinęło się urojenie zazdrości zamiast jakiegoś innego? I czy należy twierdzenie, które głosi przewagę wpływu dziedzicznego, zrozumieć w sensie negatywnym, jakoby niezależnie od tego, jakim przeżyciom psychika ta podlegała, przeznaczone jej było stworzyć urojenie? Zechćcie usłyszeć, dlaczego psychiatria naukowa nie może udzielić nam dalszych

wyjaśnień. Odpowiem wam: nicponiem jest ten, kto więcej daje, niż posiada. Psychiatria nie zna właśnie żadnej drogi, która prowadziłaby do dalszego wyświatlenia takiego przypadku. Musi zadowolić się diagnozą i niepewnym, mimo obfitego doświadczenia, rokowaniem dalszego przebiegu.

Czy jednak psychoanaliza może dokonać czegoś więcej? Chyba tak; mam nadzieję wykazać wam, że nawet w tak trudnym, wypadku może ona wykryć coś, co umożliwi pierwsze zrozumienie. Zwróćcie, proszę, przede wszystkim uwagę na ten niepozorny szczegół, że pacjentka sprowokowała po prostu ów list, który stanowi oparcie dla jej urojenia, wzmiankując dnia poprzedniego służącej-intrygantce, że największym nieszczęściem dla niej byłoby, gdyby mąż jej miał stosunek miłosny z młodą dziewczyną. Rzecz ta naprowadziła służącą na myśl przysłania jej listu anonimowego. Urojenie zdobywa przez to pewną niezależność od listu; istniało już ono przedtem w chorej, jako obawa — czy jako życzenie? Dodajcie do tego drobne wiadomości, zdobyte przez tylko dwugodzinną analizę. Pacjentka zachowywała się wprawdzie bardzo opornie, kiedy zażądano do niej, by po opowiedzeniu swojej historii mówiła też o dalszych myślach, skojarzeniach i wspomnieniach. Twierdziła, że nic nie przychodzi jej na myśl, że wszystko już powiedziała, i po dwóch godzinach musiała rzeczywiście przerwać próbę, gdyż orzekła, że czuje się już zdrowa i jest pewna, że ta chorobliwa myśl nie powróci. Mówiła to, oczywiście, tylko z oporu i obawy przed dalszą analizą. Lecz w ciągu tych dwóch godzin rzuciła parę uwag, które pozwoliły na pewną określoną, ba, nawet nieodpartą interpretację, rzucającą jasne światło na genezę urojenia zazdrości. Była ona bardzo zakochana w pewnym młodym człowieku, właśnie w swym zięciu, na skutek nalegań którego zjawiła się u mnie jako pacjentka. O tym zakochaniu się nie wiedziała nic, lub też bardzo mało; przy zachodzącym pokrewieństwie skłonność owa łatwo przybrała maskę niewinnej czułości. Na zasadzie naszych doświadczeń w tym kierunku nie trudno nam jest wczuć się w życie duchowe tej 53-letniej zacnej kobiety i troskliwej matki. Takie zakochanie się, jako coś strasznego, niemożliwego, nie mogło przeniknąć do jej świadomości; trwało jednak i, jako nieświadome, wywierało silną presję. Coś musiało się z nim stać, trzeba było poszukać jakiejś pomocy i pierwszą ulgę przyniósł mechanizm przesunięcia, który zawsze bierze udział w powstawaniu zazdrości urojenia. Jeżeli nie tylko ona, stara kobieta, była zakochana

w młodym człowieku, lecz także jej stary mąż utrzymywał stosunek miłosny z młodą dziewczyną, wtedy sumienie jej było uwolnione od ciężaru niewierności. Fantazja o niewierności męża była plastrem chłodzącym na jej piekącą ranę. Jej własna miłość nie doszła do jej świadomości, ale odbicie, przynoszące jej takie korzyści, stało się czymś natrętnym, urojonym, świadomym. Wszystkie argumenty przeciw temu nie mogły naturalnie nic zdziałać, gdyż były skierowane tylko przeciw odbiciu, a nie przeciw obrazowi pierwotnemu, któremu ono zawdzięczało swą siłę i który, nietknięty, pozostawił ukryty w nieświadomym.

Uprzytomnijmy sobie, co dał nam dla zrozumienia tego przypadku krótki i utrudniony zabieg psychoanalityczny — przyjąwszy naturalnie, że odkrycia nasze dokonane zostały poprawnie, czego nie mogą poddać waszemu sądowi. Po pierwsze, urojenie nie jest już czymś bezsensownym ani niezrozumiałym, nabiera znaczenia, jest dobrze umotywowane, leży w obrębie silnego wzruszeniowego przeżycia chorej. Po drugie, jest ono potrzebne jako reakcja na nieświadomy, z innych oznak odgadnięty proces duchowy i zawdzięcza właśnie temu względowi swój charakter urojony, swoją odporność wobec argumentów logicznych i realnych. Jest ono czymś pożądanym, rodzajem pociechy. Po trzecie, to przeżycie poza chorobą wpłynęło niedwuznacznie na to, że urojenie stało się właśnie manią zazdrości, a nie jakkolwiek inną manią. Przypominacie sobie wszak, że pacjentka poprzedniego dnia wzmiankowała służącej, iż byłoby dla niej najokropniejsze, gdyby ją mąż zdradził. Nie przeoccie też tych obu ważnych analogii z analizowaną przez nas czynnością objawową przy wyjaśnieniu znaczenia lub zamiaru i w nawiązaniu z nieświadomą treścią zawartą w sytuacji.

Naturalnie nie jest to odpowiedź na wszystkie pytania, które mogły nasunąć się nam z racji tego przypadku. Zawiera on wiele skomplikowanych problemów, takich, które na razie są jeszcze w ogóle nie do rozwiązania, i innych, które wskutek specjalnych nieprzychylnych okoliczności nie dały się rozwiązać. Na przykład dlaczego ta żyjąca w szczęśliwym małżeństwie kobieta zakochuje się w swoim zięciu i dlaczego ulga, która byłaby możliwa także na innej drodze, obiera sobie formę tego rodzaju odbicia, projekcji własnego stanu na męża? Nie myślcie, że stawianie takich pytań jest zbyteczne i dowolne. Posiadamy już nieco materiału, by dać na nie możliwą odpowiedź. Kobieta owa przeżywa okres krytyczny, który przynosi nagle, niepożądane wzmoczenie się pragnień seksualnych; to wystarczy już samo

przez się. Być może też, że dobry i wierny mąż od lat paru nie posiada już owej mocy płciowej, która by mogła zaspokoić tę jeszcze pełną temperamentu kobietę. Doświadczenie zwróciło naszą uwagę na to, że właśnie tacy mężowie, których wierność jest wtedy sama przez się zrozumiała, odznaczają się szczególną tkliwością względem swych żon i niezwykłym pobbłażaniem dla ich nerwowych dolegliwości. Dalej nie jest obojętne, że przedmiotem tego chorobliwego zakochania się jest właśnie młody mąż jej córki. Silne przywiązanie erotyczne do córki, które ostatecznie sprowadza się do seksualnej konstytucji matki, trwa często dalej w tak zmienionej postaci. W związku z tym pozwolę sobie przypomnieć wam, że stosunek między teściową a zięciem uchodził zawsze za coś nader drażliwego i ludom pierwotnym dał powód do stworzenia potężnych przepisów tabu i zakazów¹. Przekracza on często miarę, której wymaga kultura, zarówno w kierunku dodatnim, jak i ujemnym. Który z tych trzech momentów doszedł w naszym wypadku do głosu, czy dwa, czy też wszystkie trzy się spotkały, tego nie mogę wam powiedzieć, ale tylko dlatego, że nie było mi dane kontynuować analizy tego przypadku dłużej niż dwie godziny.

Spostrzegam teraz, moi panowie, że mówiłem tylko o rzeczach, do których zrozumienia nie jesteście jeszcze przygotowani. Uczyniłem to dla przeprowadzenia porównania między psychiatrią a psychoanalizą. Lecz o jedno chciałbym was teraz spytać: czyście zauważyli jakkolwiek sprzeczność między nimi? Psychiatria nie stosuje technicznych metod psychoanalizy, zaniedbuje nawiązania do treści urojenia i powołując się na dziedziczność, daje nam bardzo ogólną odległą etiologię zamiast wskazać najpierw bardziej szczegółową i bliższą przyczynę. Lecz czyż oznacza to jakąś sprzeczność lub przeciwieństwo? Czy nie jest to raczej uzupełnieniem? Czy moment dziedziczności przeczy znaczeniu przeżycia, czy też raczej nie współdziałają one najsukutekniej? Przyznacie mi, że w istocie pracy psychiatrycznej nie leży nic, co by się mogło sprzeciwiać badaniu psychoanalitycznemu. Psychiatrizy więc, nie zaś psychiatria, sprzeciwiają się psychoanalizie. Psychoanaliza ma się do psychiatrii mniej więcej tak, jak histologia do anatomii; jedna bada formy zewnętrzne narządów, druga budowę ich tkanek i elementów. Sprzeczność między tymi dwoma rodzajami badania, z których jeden

¹ Porównaj *Totem i Tabu*, 1913.

jest dalszym ciągiem drugiego, nie da się pomyśleć. Wiecie, że anatomia jest dziś podstawą naukowej medycyny, lecz był czas, gdy tak samo zabroniona była sekcja ludzkich zwłok, dokonywana w celu poznania wewnętrznej budowy ciała, jak dziś wydaje się godne potępienia zajmowanie się psychoanalizą w celu poznania sprężyn życia duchowego. I można przewidzieć, że dziełem niezbyt odległej przyszłości będzie pogląd, iż naukowo pogłębiona psychiatria nie jest możliwa bez dobrej znajomości głębiej ukrytych, nieświadomych procesów życia duchowego.

Być może, owa tak silnie zwalczana psychoanaliza liczy wśród was także przyjaciół, którzy widzieliby to chętnie, gdyby dała się ona usprawiedliwić i z innego, leczniczego punktu widzenia. Wiecie, że nasza dotychczasowa terapia psychiatryczna nie potrafi wpłynąć na urojenia. Możliwość tę posiada może psychoanaliza dzięki wniknięciu w mechanizm tych objawów? Nie, moi panowie, nie posiada jej; jest ona wobec tego cierpienia — tymczasowo przynajmniej — tak samo bezsilna, jak każda inna terapia. Możemy wprawdzie zrozumieć, co się w chorym odbyło, ale nie posiadamy środka, który by umożliwił choremu to zrozumienie. Słyszeliście, że nie byłem w możności posunąć analizy tego wypadku poza pierwsze punkty. Czy zechcecie twierdzić z tej racji, że analizę takich wypadków trzeba odrzucić, gdyż pozostaje ona bezowocna? Sądzę, że nie. Mamy prawo, ba, nawet obowiązek, prowadzić dalej badanie bez względu na bezpośrednią korzyść wyniku. W końcu — nie wiemy, jak i kiedy — każda cząstka wiedzy przeistoczy się w umiejętność, między innymi i w umiejętność leczniczą. Gdyby psychoanaliza okazała się i wobec innych postaci chorób nerwowych i psychicznych równie bezskuteczna, jak wobec urojeń, byłaby w każdym razie w pełni usprawiedliwiona, jako niezastąpiony środek badania naukowego. Nie bylibyśmy wtedy wprawdzie w możności jej uprawiać; materiał ludzki, na którym chcemy się uczyć, żyje, posiada własną wolę i musi mieć swoje racje, aby współpracować z nami, i wobec takiego przypuszczalnego stanu rzeczy nie dopuściłby nas do siebie. Pozwólcie mi więc zakończyć dziś spostrzeżeniem, że istnieje szereg zaburzeń nerwowych, przy których udało się przenieść nasze lepsze zrozumienie na umiejętność leczniczą, i że przy tych, zresztą bardzo trudno dostępnych chorobach osiągamy w pewnych warunkach rezultaty, które nie pozostają w tyle za żadnymi innymi na polu terapii wewnętrznej.

Znaczenie objawów

Panie i panowie! W wykładzie poprzednim powiedziałem wam, że psychiatria kliniczna troszczy się mało o formę zewnętrzną i treść poszczególnego objawu, że tu właśnie dochodzi do głosu psychoanaliza, która konstatuje przede wszystkim, że objaw jest pełen znaczenia i pozostaje w związku z przeżyciami chorego. Znaczenie objawów nerwicowych zostało odkryte po raz pierwszy przez J. Breuera za pomocą zbadania i uleczenia słynnego od tego czasu przypadku hysterii (1880–1882). Prawdą jest, że P. Janet niezależnie od tego doszedł do tych samych wniosków; badacz francuski posiada nawet prawo pierwszeństwa w literaturze, gdyż Breuer opublikował swoje spostrzeżenia dopiero po latach dziesięciu (1893–1895), podczas współpracy ze mną. Zresztą może nam być dość obojętne, od kogo to odkrycie pochodzi, gdyż, jak wiecie, każde odkrycie dokonane zostaje parokrotnie, żadne od razu, a powodzenie nie idzie w parze z zasługą. Nazwa Ameryki nie pochodzi od nazwiska Kolumba. Przed Breuerem i Janetem wielki psychiatra Leuret wypowiedział zdanie, że nawet majaczenia chorych umysłowo musielibyśmy uznać za pełne znaczenia, gdybyśmy tylko potrafili je tłumaczyć. Przyznaję, że byłem gotów przez długi czas bardzo wysoko cenić zasługę P. Janeta na polu tłumaczenia objawów nerwicowych, gdyż rozumiał je jako wyraz *idées inconscientes*, które opanowują chorych. Ale potem Janet wypowiedział się z nadmierną powściągliwością, jak gdyby chciał się zastrzec, że nieświadome nie było dlań niczym innym jak wyrażeniem, czymś pomocniczym, *une façon de parler*; nie miał on na myśli nic realnego. Odtąd nie rozumiem wywodów Janeta, myślę jednak, że zbytecznie pozbawił się wielkiej zasługi.

Objawy nerwicowe mają zatem swoje znaczenie, podobnie jak czynności pomyłkowe, jak marzenia senne, i — tak jak one — mają związek z życiem osób, u których występują. Chciałbym za pomocą kilku przykładów zaznajomić was bliżej z tym doniosłym poglądem. Mogę tylko twierdzić, nie zaś dowieść, że bywa tak zawsze i we wszystkich wypadkach. Kto sam zdobywa doświadczenie, przekona się o tym. Pewne motywy skłaniają mnie do zaczerpnięcia tych przykładów nie z dziedziny hysterii, lecz z dziedziny innej, niezwykle

osobliwej nerwicy, w gruncie rzeczy bardzo do niej zbliżonej, o której muszę wam powiedzieć kilka słów wstępnych. Ta tak zwana nerwica natręctwa nie jest tak pospolita, jak powszechnie znana histeria, nie jest ona, że się tak wyrażę, tak natrętnie hałaśliwa, wygląda raczej na „prywatną sprawę” chorego, rezygnuje niemal zupełnie z przejawów cielesnych i stwarza wszystkie objawy w obrębie sfery psychicznej. Nerwica natręctwa i histeria są to formy schorzenia nerwicowego, których badanie stanowiło kamień węgielny psychoanalizy, w których leczeniu terapia nasza święci triumfy. Lecz nerwica natręctwa, której brak owego zagadkowego przeskoku z dziedziny duchowej w cielesną, stała się dzięki pracy psychoanalitycznej bardziej przejrzysta i „swojska” niż histeria; dowiedzieliśmy się, że ujawnia ona znacznie jaskrawiej pewne skrajne cechy nerwicowe.

Nerwica natręctwa objawia się w tym, że chorzy zajęci są myślami, które ich właśnie nie interesują, czują w sobie impulsy, które wydają im się dziwaczne i wykonują czynności, które nie sprawiają im wprawdzie żadnej przyjemności, lecz których zaniechanie jest dla nich niemożliwe. Myśli (wyobrażenia przymusowe) mogą być same przez się bezsensowne lub też dla danego osobnika tylko obojętne, często są zupełnie niedorzeczne, we wszystkich wypadkach stanowią one wynik wyczerpanej pracy umysłowej, która wyczerpuje chorego i której poddaje się on bardzo niechętnie. Musi wbrew swej woli zastanawiać się i rozmyślać, jak gdyby chodziło o jego najważniejsze zadania życiowe. Impulsy, które chory odczuwa, mogą również sprawiać wrażenie dziecinnych i bezsensownych, najczęściej jednak posiadają przerażającą treść, jak na przykład pokusa popełnienia ciężkiego przestępstwa, tak że chory nie tylko wypiera się ich jako obcych, lecz, przerażony, ucieka przed nimi i broni się przed ich wykonaniem przez zakazy, rezygnację i ograniczanie swojej swobody. Przy tym nie zostają one nigdy, ale to nigdy wykonane; ucieczka i ostrożność zwyciężają zawsze. To, co chory rzeczywiście wykonuje, tak zwane czynności przymusowe, są to rzeczy nader niewinne, na pewno nic nie znaczące, przeważnie powtarzanie, ceremonialne przyozdabianie czynności życia codziennego, przez co właśnie te konieczne funkcje — kładzenie się do łóżka, mycie się, ubieranie, chodzenie na spacer — stają się zadaniem w wysokim stopniu uciążliwym i ledwie możliwym do rozwiązania. Wyobrażenia, impulsy i czynności chorobowe nie biorą w poszczegól-

nych formach i wypadkach nerwicy natręctwa jednakowego udziału; raczej regułą jest, że ten lub inny czynnik dominuje i daje nazwę chorobie, lecz to, że te wszystkie postaci mają wspólny mianownik, jest oczywiste.

Jest to doprawdy dziwaczne cierpienie. Myślę, że najbardziej wybujała fantazja psychiatryczna nie zdołałaby skonstruować czegoś podobnego, i gdybyśmy nie mogli widywać tego codziennie, nie byłibyśmy w to uwierzyli. Nie myślcie jednak, że oddajecie choremu usługę, radząc mu odwrócić swoją uwagę, nie zajmować się tymi niedorzecznymi myślami i zamiast tych igraszek zająć się czymś rozsądnym. On sam pragnąłby tego, gdyż widzi wszystko jasno, podziela wasz pogląd na swoje natręctwa, ba, nawet sam go wam podsuwa. Ale nie może nic zmienić; to, co w nerwicy natręctwa przeradza się w czyn, ma za swój motor energię, dla której nie mamy prawdopodobnie odpowiednika w dziedzinie normalnego życia psychicznego. Pacjent może tylko przesuwac, zamieniac, jedną niedorzeczną ideę zastąpić inną, nieco słabszą, kroczyć od jednej przezorności lub zakazu do innego, zamiast jednejj ceremonii wypełniać inną. Może ten przymus przesunąć, ale nie znieść. Możliwość przesuwania wszystkich objawów daleko od ich pierwotnego ukształtowania jest główną cechą charakterystyczną jego choroby; prócz tego daje się zauważyć, że przeciwieństwa (biegunowości), zawarte w strukturze życia duchowego, występują u niego zróżnicowane szczególnie ostro. Obok przymusu o treści pozytywnej i negatywnej występuje w dziedzinie intelektualnej zwątpienie, które zaczyna z wolna nadgryzać przekonania zazwyczaj najpewniejsze. Wszystko zmierza do coraz dotkliwszego braku decyzji, energii i do ograniczenia swobody. Osobnik cierpiący na nerwicę natręctwa był pierwotnie człowiekiem o charakterze bardzo energicznym, często z dużą dozą upor, z reguły o intelekcie ponad przeciętną miarę. Osiągnął on najczęściej wysoki stopień rozwoju etycznego, odznacza się nadmiernie wrażliwym sumieniem i nadmierną poprawnością. Możecie sobie wyobrazić, jak wielkiej pracy wymaga zorientowanie się w tym pełnym sprzeczności zespole cech charakteru i objawów chorobowych. Nie dążymy też na razie do niczego innego jak do zrozumienia i wytłumaczenia pewnych objawów tej choroby.

Może chcecie naprzód dowiedzieć się, przez wzgląd na nasze przyszłe rozważania, jaki jest obecnie stosunek psychiatrii do pro-

blemów nerwicy natręctwa. Jest to mizerny rozdział. Psychiatria obdarza rozmaite „przymusy” nazwami, lecz nie mówi o nich poza tym nic więcej. Natomiast podkreśla, że jednostki, które wykazują te objawy, są „degeneratami”. Określenie to nie może nas zadowolić, jest to właściwie wartościowanie, osądzenie, nie zaś objaśnienie. Mamy to rozumieć w ten sposób, jakoby u ludzi, którzy się wyrodzili, mogły się zdarzać wszystkie możliwe osobliwości. Wierzymy, że osoby, u których takie objawy występują, muszą być z przyrodzenia czymś odmiennym od innych ludzi. Lecz chcielibyśmy spytać: czy są oni bardziej „zwyrrodniali” niż inni nerwowcy, na przykład histerycy, lub też psychicznie chorzy? Charakterystyka ta jest widocznie znów zbyt ogólnikowa. Można nawet powątpiewać, czy jest ona usprawiedliwiona, gdy się słyszy, że takie objawy zdarzają się i u ludzi niezwykłych, którzy wykazują działalność wybitną i doniosłą dla ogółu. Na ogół, dzięki ich własnej dyskrekcji i zakłamaniu ich biografów, dowiadujemy się mało o życiu intymnym naszych wielkich ludzi; zdarza się jednak, że któryś z nich jest fanatykiem prawdy, jak Emil Zola, i wtedy dowiadujemy się od niego, na ile osobliwych, natrętnych przyzwyczajzeń cierpiał w ciągu całego życia¹.

Psychiatria znalazła sobie wyjście, mówiąc o *dégénérés supérieurs*. Pięknie — ale zdobyliśmy za pomocą psychoanalizy doświadczenie, że można usunąć zawsze te szczególne objawy natręctwa, podobnie jak i inne cierpienia, jak to się dzieje u innych osób niezdegenerowanych. Mnie samemu udawało się to wielokrotnie.

Chcę wam podać tylko dwa przykłady analizy natręctwa, jeden spośród mych dawniejszych spostrzeżeń, który byłoby mi trudno zastąpić piękniejszym, drugi świeższej daty. Ograniczam się do tak małej liczby, gdyż takie wypadki wymagają obszernego i bardzo szczegółowego omówienia.

Kobieta w wieku około lat 30, cierpiąca na najcięższe objawy natręctwa, której byłbym może pomógł, gdyby podstępny przypadek nie był zniweczył mych usiłowań — może będę miał jeszcze sposobność opowiedzieć wam o tym — wykonywała między innymi wielokrotnie w ciągu dnia następującą osobliwą czynność przymusową. Wybiegała ze swego pokoju do sąsiedniego, stawała tam w pewnym określonym miejscu przy stole, stojącym na środku, dzwoniła na swą pokojówkę,

¹ E. Toulouse, Emile Zola. *Enquête médico-psychologique*, Paris 1896.

dawała jej jakieś obojętne zlecenie lub odsyłała ją bez niego i biegła z powrotem. Nie był to wprawdzie ciężki objaw cierpienia, ale mógł obudzić naszą ciekawość. Wyjaśnienie wyłoniło się w sposób jasny i niewątpliwy, i to bez pomocy lekarza. Nie wiem wcale, na jakiej drodze mógłbym powziąć przypuszczenie co do znaczenia tej czynności przymusowej i jaką zaproponować interpretację. Ilekroć pytałem chorą: Czemu pani to czyni? Co to ma za sens? — ta odpowiadała: Nie wiem. Lecz dnia pewnego, kiedy udało mi się zwalczyć jej zasadnicze skrupuły, znalazła nagle wyjaśnienie i opowiedziała coś, co odniosło się do czynności przymusowej. Przed więcej niż dziesięciu laty poślubiła znacznie starszego mężczyznę, który podczas nocy poślubnej okazał się impotentem. Niezliczoną ilość razy biegł tej nocy ze swego do jej pokoju, by ponowić próbę, lecz za każdym razem bezskutecznie. Rano powiedział z gniewem: trzeba się teraz wstydzić przed pokojówką, która będzie słała łóżko, chwycił butelkę czerwonego atramentu, która przypadkowo znajdowała się w pokoju, i wylał jej zawartość na prześcieradło, ale nie na to właśnie miejsce, które miałyby prawo do takiej plamy. Początkowo nie rozumiałem, jaki związek ma to wspomnienie z niewyjaśnioną czynnością natrętną, gdyż podobieństwo znalazłem tylko w powtarzającym się bieganiu z jednego pokoju do drugiego i w pojawieniu się pokojówki. Wtedy pacjentka zaprowadziła mnie do stołu w drugim pokoju, gdzie spostrzegłem na obrusie dużą plamę. Wyjaśniła też, że staje koło stołu tak, iż wezwana służąca nie może plamy przeoczyć. A zatem nie tylko nie mogło być wątpliwości co do ścisłego związku między ową sceną po nocy poślubnej a jej dzisiejszą czynnością przymusową, ale można się było jeszcze czegoś tutaj nauczyć.

Przede wszystkim jasne jest, że pacjentka identyfikuje się ze swoim mężem, gra jego rolę, naśladując bieganie z jednego pokoju do drugiego. By pozostać w sferze utożsamiania, musimy dodać, że stół i serweta zastępują tutaj łóżko i prześcieradło. Twierdzenie to mogłoby się wydawać dowolne, ale przecież nie na próżno badaliśmy symbolikę marzeń sennych. W marzeniu sennym występuje również często stół, który należy interpretować jako łóżko. Wspólność stołu i łoża właściwa jest małżeństwu, toteż jedno może być łatwo zastąpione przez drugie.

Oto mamy już dowód, że czynność przymusowa jest pełna znaczenia, wydaje się być przedstawieniem, powtórzeniem owej znamiennej sceny. Nic nas jednak nie skłania do zatrzymania się przy tym

pozorze; badając głębiej związek między obiema scenami, otrzymamy prawdopodobnie wyjaśnienie czegoś bardziej istotnego, mianowicie zamiaru czynności przymusowej. Jądrym jego jest widocznie wzywanie pokojówki, której wzrok pani stara się skierować na płamę, w przeciwieństwie do słów męża: Trzeba by się wstydzić przed służącą. On — którego rolę gra ona — nie wstydzi się więc przed służącą, czyli plama jest na właściwym miejscu. Widzimy zatem, że nie tylko powtórzyła ona po prostu scenę, lecz przedłużyła ją, poprawiła i odpowiednio nią pokierowała. W ten sposób poprawia jednak jeszcze i coś innego, to, co było owej nocy tak przykre i uczyniło konieczną pomoc czerwonego atramentu — impotencję. Czynność przymusowa powiada więc: Nie, to nieprawda, on nie miał potrzeby wstydzić się przed służącą, on nie był impotentem; podobnie jak w marzeniu sennym, przedstawia ona to życzenie w czynności terażniejszej jako spełnione, służy więc tendencji podniesienia męża ponad ówczesne jego niepowodzenie.

Do tego przyłącza się wszystko inne, co mógłbym wam o tej kobiecie opowiedzieć, właściwiej powiedziawszy: wszystko, co o niej wiemy poza tym, wskazuje nam drogę do takiego interpretowania tej, samej przez się niezrozumiałej, czynności przymusowej. Kobieta owa żyje od lat w separacji z mężem i walczy z zamiarem wystąpienia o rozwód sądowy. Nie ma jednak mowy o tym, by zdołała uwolnić się od niego, jest zmuszona dochować mu wiary, usuwa się od świata, by nie podlegać pokusie, usprawiedliwia i wyolbrzymia jego postać w swej fantazji. Tak, najgłębszą tajemnicą jej choroby jest to, że przy jej pomocy chroni męża od złośliwych plotek, usprawiedliwia ich separację i umożliwia mu dogodne życie na osobności. Tak więc analiza niewinnej czynności przymusowej prowadzi nas wprost najgłębiej, do jądra przypadku, uchyla nam jednocześnie rąbka tajemnicy nerwicy natręctwa w ogóle. Zatrzymuję was chętnie przy tym przykładzie, gdyż łączy on warunki, które nie łatwo można znaleźć w innych wypadkach. Interpretacja tego objawu została odkryta przez chorą od razu, bez wskazówek lub też pomocy psychoanalityka, przez powiązanie go z przeżyciem, które nie należało jednak, jak zwykle, do zapomnianego okresu dzieciństwa, lecz zdarzyło się w dojrzałych latach chorej i pozostało niezatarte w jej pamięci. Wszystkie zarzuty, które krytyka wytacza przeciw naszej interpretacji objawów, są bezsilne wobec tego wypadku. Naturalnie, że nie zawsze dzieje nam się tak dobrze.

Jeszcze jedno! Czy nie uderzyło was, jak dalece ta niepozorna

czynność przymusowa wprowadziła nas w tajniki życia pacjentki? Kobieta nie ma chyba intymniejszych rzeczy do opowiedzenia niż historię nocy poślubnej, i czyżby to było przypadkowe i bez głębszego znaczenia, żeśmy natknęli się właśnie na szczegóły życia płciowego? Mogłoby to być, oczywiście, skutkiem mego subiektywnego wyboru. Nie sądzmy zbyt pośpiesznie i zwróćmy się do drugiego wypadku, zupełnie innego rodzaju, który jest wzorem dla grupy częstych przypadków, mianowicie do ceremoniału snu.

19-letnia, dobrze rozwinięta, zdolna dziewczyna, jedyne dziecko rodziców, których przewyższa wykształceniem i żywością umysłu, była jako dziecko dzika i swawolna i w ciągu lat ostatnich, bez widocznych przyczyn zewnętrznych, stała się nerwowa. Zwłaszcza w stosunku do matki jest bardzo drażliwa, wiecznie niezadowolona, przygnębiona, niezdolna do decyzji i pełna wątpliwości, przyznaje się wreszcie, że nie może więcej sama chodzić po placach i większych ulicach. Nie będziemy się wiele zajmowali jej skomplikowanym stanem chorobowym, który wymaga co najmniej dwóch rozpoznań klinicznych, agorafobii i nerwicy natręctwa, natomiast zatrzymamy się przy tym, że pacjentka nasza rozwinęła także ceremoniał snu, z którego powodu cierpią jej rodzice. Można rzec, że w pewnym sensie każdy normalny człowiek ma swój ceremoniał snu lub przestrzega pewnych przepisów, których zaniedbanie przeszkadza mu zasnąć; przejście z życia na jawie do stanu sennego ujął w pewne formy, które dokładnie powtarza co wieczór. Lecz wszystko, czego żąda zdrowy człowiek jako warunku snu, jest rozumowo uzasadnione i o ile okoliczności zewnętrzne zmuszają do zmiany, podporządkowuje się on im łatwo i bez straty czasu. Ceremoniał patologiczny zaś jest nieugięty, toruje sobie drogę za pomocą choćby największych ofiar, osłania się jednocześnie rozumowym uzasadnieniem i przy powierzchownej obserwacji różni się od normalnego tylko pewną przesadną starannością. Jednak, przyglądając się bliżej, spostrzegamy, że osłona jest niewystarczająca, że ceremoniał obejmuje przepisy, które sięgają daleko poza uzasadnienie rozumowe, i inne, które mu wręcz przeczą. Pacjentka nasza podaje jako motyw swych nocnych zabezpieczeń, że trzeba jej do snu spokoju, wobec czego musi usunąć wszelkie źródła szmeru. W tym celu postępuje dwojako: w jej pokoju musi zostać zatrzymany duży zegar, wszystkie inne zegary usunięte, nie znosi nawet swojej bransoletki z małym zegarkiem na stoliku nocnym. Doniczki i wazony muszą być tak

ustawione na biurku, by w nocy nie mogły spaść, potłuc się i przerwać jej snu. Wie, że zastosowanie tych środków jako warunków spokoju może być usprawiedliwione tylko pozornie; tykania małego zegarka nie byłoby słychać, gdyby leżał nawet na stoliczku nocnym, a wszyscy wiemy z doświadczenia, że regularne tykanie wiszącego zegara nigdy nie przeszkadza spać, działa raczej usypiająco. Przyznaje też, że obawa, jakoby doniczki i wazon, pozostawione na swoim miejscu, mogły nocą same przez się spaść i potłuc się, pozbawiona jest wszelkiego prawdopodobieństwa. Inne przepisy ceremoniału nie wiążą się zupełnie z warunkami spoczynku. Ba, żądanie, by drzwi między jej pokojem a sypialnią rodziców były uchylone, którego spełnienie zapewnia sobie wsuwając w otwarte drzwi różne przedmioty, wydaje się, przeciwnie, być źródłem hałasu. Lecz najważniejsze przepisy dotyczą samego łóżka. Poduszka u wezglowia nie powinna dotykać jego drewnianej ściany. Jasiek musi tak leżeć na dużej poduszce, by tworzył romb, głowę kładzie wtedy pacjentka akurat wzdłuż jej przekątnej. Pierzyną musi przed przykryciem się tak wstrząsnąć, by część przy nogach stała się bardziej wypchana, lecz potem pacjentka znów ugniata ją równomiernie.

Pozwólcie mi ominąć inne, często bardzo drobne szczegóły tego ceremoniału; niczego nowego nas one nie nauczą, oddalają nas tylko od naszych zamiarów. Ale niech wam się aby nie zdaje, że to wszystko odbywa się tak gładko. Panuje nad tym troska, że nie wszystko jest zrobione należycie; trzeba kontrolować, powtarzać, wątpliwość czepia się już to jednego, już to drugiego zabezpieczenia i w rezultacie mijają jedna do dwóch godzin, w ciągu których dziewczyna i sama spać nie może, i nie daje zasnąć zahukanym rodzicom.

Analiza tych udręczeń nie była tak prosta jak analiza czynności przymusowej naszej poprzedniej pacjentki. Musiałem czynić pewne aluzje i podawać pewne próby interpretacji, które pacjentka za każdym razem kategorycznie odrzucała lub przyjmowała z lekceważącym powątpiewaniem. Lecz po tej pierwszej, negatywnej reakcji nastąpił okres, w którym sama zajęła się zaproponowanymi możliwościami, zbierała do nich skojarzenia, produkowała wspomnienia, zestawiała związki, aż przyjęła wszystkie moje interpretacje, i to w wyniku własnej pracy. W miarę jak się to działo, porzucała wykonywanie natrętnych praktyk i jeszcze przed końcem leczenia zrezygnowała z całego ceremoniału. Musicie też wiedzieć, że praca analityczna, jak

ją dziś wykonywamy, wyklucza wprost konsekwentne opracowanie pojedynczego objawu, póki nie wyświetli się go do końca. Jesteśmy raczej zmuszeni porzucać ciągle ów temat; pewne jest, że inne związki znowu nas nań naprowadzą. Interpretacja objawu, którą wam teraz przedłożę, jest syntezą wyników, których zdobywanie, przerywane innymi pracami, ciągnęło się przez tygodnie i miesiące.

Pacjentka nasza uczy się z wolna pojmować, że wykluczyła ona ze swych przygotowań do nocy zegar jako symbol kobiecego narządu płciowego. Zegar, dla którego znamy jeszcze inne interpretacje symboliczne, otrzymuje tę rolę przez swój stosunek do przejawów okresowych i do równych interwałów. Kobieta może się na przykład przechwalać, że jej menstruacja jest tak prawidłowa jak mechanizm zegara. Lecz obawa naszej pacjentki była skierowana głównie przeciw temu, że tykanie zegara będzie jej przeszkadzało we śnie. Tykanie zegara odpowiada pulsowaniu clitoris przy podnieceniu płciowym. To przykre dla niej uczucie budziło ją w rzeczy samej wielokrotnie ze snu i teraz wyraziła się owa obawa erekcji w nakazie usunięcia na noc z jej pokoju zegarów. Doniczki i wazony są, jak wszystkie naczynia, również symbolami kobiecymi. Ostrożność, przedsięwzięta w tym celu, by nocą nie spadły i nie rozbiły się, nie jest pozbawiona pewnego słusznego sensu. Znamy ów bardzo rozpowszechniony zwyczaj tłuczenia naczyń lub talerza przy zaręczynach. Każdy z obecnych bierze w posiadanie jeden odłamek, co możemy uważać za zrzeczenie się jego wymagań co do narzeczonej z punktu widzenia przepisu o małżeństwie z czasów przed wprowadzeniem monogamii. Do tej części swego ceremoniału nawiązało też dziewczę jedno wspomnienie i szereg skojarzeń. Pewnego razu, jako dziecko, padając z naczyniem szklanym czy glinianym skaleczyła palce, które krwawiły silnie. Gdy podrosła i dowiedziała się o istnieniu stosunku płciowego, zjawiała się trwożliwa myśl, że nie będzie krwawiła w noc poślubną i nie okaże się dziewicą. Jej przezorność skierowana przeciw rozbiciu się wazonów oznacza więc usunięcie całego kompleksu będącego w związku z dziewictwem i krwawieniem przy pierwszym stosunku, usunięcie obawy krwawienia, jak i obawy przeciwnej — niekrwawienia. Z zapobieganiem szmerom, któremu podporządkowała te zarządzenia, miały one tylko daleki związek.

Główny sens swego ceremoniału odgadła ona pewnego dnia, gdy nagle zrozumiała przepis, że poduszka nie powinna dotykać ściany

łóżka. Poduszka była w jej pojęciu — jak mówiła — zawsze niewiastą, zaś prosto stojąca ściana — mężczyzną. Chciała więc — w sposób, możemy dodać, magiczny — trzymać w rozłące mężczyznę i kobietę, to znaczy rozdzielić rodziców, nie dopuścić do obcowania małżeńskiego. Tegoż celu chciała dopiąć dawniej, przed wprowadzeniem ceremoniału, w sposób bardziej bezpośredni. Symulowała lęk lub wyzyskiwała istniejącą skłonność do lęku, tak że drzwi łączących sypialnię rodziców z pokojem dzieciennym nie wolno było zamykać. Ten nakaz został wszak jeszcze zachowany w jej dzisiejszym ceremoniale. W ten sposób miała możliwość podsłuchiwania rodziców, ale wykorzystanie tej możliwości razu jednego spowodowało bezsenność trwającą miesiącami. Niezadowolona z tego rodzaju przeszkadzania rodzicom, dopięła na pewien czas tego, że spała w łożu małżeńskim między ojcem a matką. „Poduszka” i „ściana drewniana” nie mogły się wtedy naprawdę zejść. Wreszcie, gdy tak już podrosła, że nie mieściła się wygodnie w łóżku między rodzicami, symulując świadomie lęk dopięła tego, że matka odstąpiła jej swoje miejsce obok ojca. Ta sytuacja stała się niewątpliwie punktem wyjścia fantazji, których oddziaływanie widzimy w ceremoniale.

Jeżeli poduszka oznaczała kobietę, to miało sens wstrząsanie pierzyny tak długo, aż całe pierze znalazło się w dolnej części i tam wywoływało nabrzmienie. Znaczyło to uczynić kobietę brzemienną, lecz nie zapomniała ona usunąć znów tej ciąży, gdyż żyła lata całe w strachu, że wynikiem stosunku rodziców mogłoby być drugie dziecko, które by współzawodniczyło z nią. Z drugiej strony, jeżeli poduszka była kobietą, matką, mała poduszczyca mogła przedstawiać tylko córkę. Dlaczego ta poduszczyca musiała mieć kształt rombu i głowa dziewczyny musiała leżeć dokładnie wzdłuż jego przekątnej? Z łatwością przypominała sobie, że romb jest to powtarzający się na wszystkich ścianach znak otwartego kobiecego narządu płciowego. Ona sama odgrywała wówczas rolę mężczyzny, ojca, i zastępowała organ męski swoją głową (porównaj symbolikę ścienia głowy dla oznaczenia kastracji).

Brzydkie rzeczy, powiecie, które jakoby błakają się po głowie tej niewinnej dziewczyny. Przyznaję, ale nie zapominajcie: to nie ja stworzyłem te rzeczy, wytłumaczyłem je tylko. Taki ceremoniał snu jest też czymś niezwykłym i nie zaprzeczycie chyba, że odpowiadają mu fantazje ujawnione przez interpretację. Ważniejsze jest jednak,

byście zauważyli, że nie jakaś jedyna fantazja znalazła wyraz w ceremoniale, ale pewna liczba fantazji, mających w istocie jakiś wspólny węzeł; jak również, że przepisy ceremoniału wyrażają życzenie seksualne bądź pozytywne, bądź negatywne, służą częściowo do ich zastąpienia i częściowo do obrony przeciwko nim.

Można by też więcej wydobyć z analizy tego ceremoniału, gdyby go odpowiednio powiązać z innymi objawami u chorej. Lecz droga nasza nie tędy prowadzi. Zadowolcie się wzmianką, że dziewczyna ta uległa erotycznemu przywiązaniu do ojca, czego zawiązki leżą we wczesnym dzieciństwie; może dlatego odnosiła się tak nieprzyjaźnie do matki. Nie możemy też przeoczyć faktu, że analiza tego objawu naprowadza znowu na życie seksualne chorej. Być może, będziemy się temu tym mniej dziwili, im częściej zdołamy wniknąć w sens i cel objawów nerwicowych.

Pokazałem wam zatem na dwóch wybranych przykładach, że objawy nerwicowe, podobnie jak czynności pomyłkowe i marzenia senne, mają znaczenie i pozostają w ścisłym związku z przeżyciami pacjentów. Czy mogę oczekiwać, że na zasadzie dwóch przykładów uwierzycie w to nader ważne twierdzenie? Nie. Lecz czy możecie wymagać, bym wam przytoczył tyle dalszych przykładów, aż przyznacie, że jesteście przekonani? Także nie, gdyż przy dokładności, z jaką omawiam każdy poszczególny wypadek, musiałbym poświęcić pięciogodzinny wykład semestralny, by wyczerpać ten jeden punkt nauki o nerwicach. Ograniczam się więc do tej próbki dla dowiedzenia mego twierdzenia i skieruję was do odnośnych publikacji w literaturze, do klasycznej interpretacji objawów w pierwszym wypadku, ogłoszonym przez Breuera (histeria), do niezwykłego wyświetlenia zupełnie ciemnych objawów w tak zwanym otępieniu wczesnym przez C.G. Junga (z czasów, gdy ten badacz był tylko psychoanalitykiem, a nie chciał jeszcze być prorokiem) i do wszystkich prac, które od tego czasu zapełniły nasze czasopisma. Tych badań mamy właśnie pod dostatkiem. Analiza, interpretacja, tłumaczenie objawów nerwicowych tak pociągały psychoanalityków, że zaniedbali oni początkowo inne problemy nauki o neurozach.

Kto z was zada sobie taki trud, ten odbierze na pewno silne wrażenie pełni materiału dowodowego. Lecz natknie się też na pewną trudność. Znaczenie objawu polega, jak dowiedzieliśmy się, na jego związku z przeżyciami chorego. Im bardziej indywidualnie rozwinięty

jest objaw, tym prędzej możemy oczekiwać wykrycia tego związku. Zadanie polega na tym, by dla bezsensownej idei i bezcelowej czynności znaleźć taką sytuację w przeszłości, kiedy to idea była uzasadniona, a czynność celowa. Czynność przymusowa naszej pacjentki, która biegła do stołu i dzwoniła na służącą, jest wprost wzorem dla tego rodzaju objawów. Ale bywają, i to nawet bardzo często, objawy o charakterze zgoła odmiennym. Należy je nazwać „typowymi” objawami choroby, są one mniej więcej jednakowe we wszystkich wypadkach, ich różnice indywidualne znikają, lub przynajmniej tak się zacierają, że trudno powiązać owe objawy z indywidualnymi przeżyciami chorych i znaleźć ich stosunek do pojedynczych przeżytych sytuacji. Skierujmy nasz wzrok znów ku nerwicy natręctwa. Już ceremoniał snu naszej drugiej pacjentki zawiera wiele cech typowych, przy czym posiada dość rysów indywidualnych, by umożliwić tę, że tak powiem, historyczną interpretację. Lecz wszyscy ci chorzy na nerwicę natręctwa mają skłonność do powtarzania czynności, do wykonywania ich w pewnym rytmie i do izolowania ich od innych. Większość spośród nich zajmuje się zbyt wiele funkcją mycia. Chorzy cierpiący na agorafobię (topofobię, lęk przestrzeni), której nie zaliczamy już do nerwicy natręctwa, tylko zwiemy histerią lękową, powtarzają w obrazach swojej choroby często z nużącą monotonią te same rysy: boją się nie zamkniętych przestrzeni, dużych otwartych placów, ciągnących się daleko ulic i alei. Uważają się za chronionych od niebezpieczeństwa, jeżeli są w towarzystwie znajomych lub jeżeli powóz jedzie za nimi itd. Na to jednostajne tło rzucają jednakże poszczególni chorzy swoje indywidualne warunki, nastroje, które można by rzec, w pojedynczych wypadkach wprost sobie przeczą. Ten boi się tylko wąskich ulic, tamten tylko szerokich; ten może chodzić tylko, gdy jest mało, tamten — gdy jest dużo ludzi na ulicy. Także histeria przy całym bogactwie rysów indywidualnych ma nadmiar wspólnych objawów typowych, które zdają się stawiać opór nawiązaniu do przeszłości (historycznemu). Nie zapominajmy, że są to przecież owe typowe objawy, według których orientujemy się przy stawianiu diagnozy. Jeżeliśmy sprowadzili rzeczywiście w jednym wypadku hysterii objaw typowy do jednego przeżycia lub do łańcucha podobnych przeżyć, na przykład wymioty historyczne do szeregu wrażeń wstrętu, zostajemy zbici z tropu, gdy analiza w innym wypadku wymiotów wykrywa zupełnie inny szereg rzekomo działających przeżyć. Wygląda

to zaraz tak, jak gdyby historycy zmuszeni byli z niewiadomych przyczyn wymiotować, a owe przez analizę dostarczone powody historyczne były tylko pretekstami, zużytkowanymi w miarę swego pojawienia się, przez tę wewnętrzną konieczność.

Dochodzimy więc do smutnego wniosku, że możemy wprawdzie wyjaśnić zadowalająco znaczenie indywidualnych objawów nerwicznych przez ich stosunek do przeżyć, lecz sztuka nasza zawodzi przy znacznie częstszych objawach typowych. Ponadto nie wtajemniczyłem was jeszcze wcale we wszystkie trudności, które ujawniają się przy konsekwentnym śledzeniu za historyczną interpretacją objawów. Nie chcę też tego czynić, gdyż nie mam wprawdzie zamiaru upiększać lub ukrywać przed wami czegokolwiek, ale nie powinienem wszak na początku naszej wspólnej pracy wywoływać w was bezradności i zmieszania. Prawdą jest, że jesteśmy dopiero na początku zrozumienia i interpretacji objawów, lecz musimy trzymać się mocno tego, cośmy zdobyli, i krok za krokiem opanowywać to, czego jeszcze nie rozumiemy. Próbuję więc pocieszyć was rozważaniem, że trudno przypuścić istnienie podstawowej różnicy między jednym a drugim rodzajem objawów. Jeśli objawy indywidualne zależą tak niezaprzeczalnie od przeżycia chorego, to dla objawów typowych istnieje możliwość, że sprowadzają się do przeżycia, które jest samo przez się wspólne wszystkim ludziom. Inne, regularnie powracające rysy nerwicy mogą być ogólnymi reakcjami, które bywają narzucone chorym przez samą istotę zmiany chorobowej, jak na przykład powtarzanie lub wątpliwości przy nerwicy natręctwa. Krótko mówiąc, nie mamy żadnego powodu do przedwczesnego opuszczania rąk; zobaczmy, co się dalej okaże.

W obliczu analogicznej trudności stoimy także w nauce o marzeniu sennym. Nie mogłem jej omawiać w poprzednich naszych wykładach o tym przedmiocie. Jawna treść snów jest wysoce różnorodna oraz indywidualnie zróżnicowana; pokazaliśmy dokładnie, co z tej treści wydobywa analiza. Lecz obok tego bywają marzenia senne zwane również „typowymi”, które u wszystkich ludzi występują w ten sam sposób, marzenia senne o jednolitej treści, przeciwstawiające interpretacji te same trudności. Są to sny o padaniu, fruwaniu, bujaniu, pływaniu, sny, w których jest się zahamowanym, nagim, i pewnie inne sny lękowe, które pozwalają na bądź tę, bądź inną interpretację u poszczególnych osób, przy czym nie znajdujemy wyjaśnienia ani dla ich monotonii, ani dla typowego pojawiania się. Ale i przy tych

marzeniach sennych spostrzegamy, że wspólne podłoże jest urozmaicone dodatkami, zmieniającymi się indywidualnie, i prawdopodobnie dadzą się i one także w sposób naturalny, jedynie przez rozszerzenie naszych poglądów, objąć naszym ogólnym zrozumieniem praw, które rządzą marzeniem sennym.

WYKŁAD XVIII

Związanie z urazem. Nieświadome

Panie i Panowie! Powiedziałem ostatnim razem, że ciąg dalszy naszej pracy chcielibyśmy nawiązać nie do naszych wątpliwości, lecz do naszych odkryć. Dwa najbardziej interesujące wyniki, dające się wyprowadzić z dwóch wzorowych analiz, w ogóle nie zostały jeszcze przez nas zaprezentowane.

Po pierwsze, obaj pacjenci wywierają na nas wrażenie, jak gdyby byli związani z pewnym odłamem przeszłości, jak gdyby nie potrafili uwolnić się od niej i stali się przeto obcy teraźniejszości i przyszłości. Tkwią zatem w swej chorobie tak, jak to za dawnych czasów zwyczajem było udać się do klasztoru, by tam znosić swój ciężki los. Pierwszej naszej pacjentce zgotowało ten los rozwiązane w rzeczywistości małżeństwo. Dzięki swoim objawom kontynuuje procesowanie się ze swoim mężem; nauczyliśmy się rozumieć głosy, które za nim przemawiają, które go uniewinniają, podnoszą i opłakują jego stratę. Aczkolwiek młoda i ponętna dla innych mężczyzn, sięgnęła po wszelkie zabezpieczenia realne i imaginacyjne (magiczne), by mu dochować wierności. Nie ukazuje się obcym, zaniedbuje swój wygląd, ale nie może też podnieść się szybko z krzesła, na którym siedzi, odmawia podpisywania swego nazwiska i nie może nikomu dać podarunku, motywując to tym, że nikt nie powinien mieć czegoś od niej.

U naszej drugiej pacjentki, młodej dziewczyny, tę samą rolę odgrywa erotyczne przywiązanie do ojca, które się wytworzyło w latach przed dojrzałością płciową. Toteż wywnioskowała ona, że nie może wyjść za mąż, póki jest tak chora. Możemy przypuszczać, że zachorowała, by nie być zmuszoną wyjść za mąż i by pozostać przy ojcu.

Nie możemy uchylić się od pytania, jak, jaką drogą i pod wpływem

czego dochodzi się do tak osobliwego i niekorzystnego ustosunkowania się do życia. Przyjmujemy, że taka postawa leży w ogólnym charakterze nerwicy, nie jest zaś specjalną cechą tych dwóch chorych. Jest to też w rzeczy samej ogólna, praktycznie bardzo ważna cecha każdej nerwicy. Pierwsza historyczna pacjentka Breuera była w podobny sposób związana z okresem życia, kiedy to pielęgnowała ojca, który ciężko zachorował. Mimo swego wyzdrowienia zrezygnowała ona od tego czasu pod pewnym względem z życia: pozostała wprawdzie zdrowa i zdolna do pracy, uszła jednak normalnego losu kobiecego. U każdego z naszych chorych możemy przez analizę wykazać, że w swoich objawach chorobowych i przez ich skutki cofnął się do pewnego okresu przeszłości. W większości wypadków chorzy ci wybrali nawet do tego bardzo wczesną fazę życia, okres swego dzieciństwa, ba, aczkolwiek to śmiesznie brzmieć może, nawet czasu swego niemowlęstwa.

Najbliższą analogię do tego zachowania się naszych nerwowo chorych przedstawiają schorzenia, które powstają szczególnie często właśnie teraz, podczas wojny, tak zwane nerwice urazowe. Takie wypadki zdarzały się naturalnie i przed wojną, po katastrofach kolejowych i innych strasznych niebezpieczeństwach zagrażających życiu. Nerwice urazowe nie są w gruncie rzeczy tym samym co nerwice samorzutne, które zwykliśmy badać i leczyć psychoanalizą; nie udało się nam też jeszcze spojrzeć na nie z naszego punktu widzenia i mam nadzieję, że będę wam mógł kiedyś wyjaśnić, na czym polega to ograniczenie naszych możliwości. Lecz co do jednego punktu musimy podkreślić zupełną zgodność. Nerwice urazowe dają wyraźne wskazówki, że u ich podstawy leży związek z momentem wypadku urazowego. W swych marzeniach sennych chorzy ci powtarzają stale sytuację urazową; tam, gdzie się zdarzają napady o typie historycznym, które są dostępne do analizy, dowiadujemy się, że napad odpowiada całkowitemu przeniesieniu się do tej sytuacji. Jest to tak, jak gdyby ci chorzy nie skończyli jeszcze z sytuacją urazową, jak gdyby stała jeszcze przed nimi jako nie rozwiązane zadanie aktualne, i pogląd ten przyjmujemy z całą powagą; wskazuje nam on drogę do, nazwijmy to tak, *ekonomicznego* rozpatrywania zjawisk psychicznych. Tak, nawet wyrażenie „urazowy” posiada jedynie tylko takie znaczenie ekonomiczne. Zwiemy tak przeżycie, które przynosi życiu duchowemu w ciągu krótkiego czasu tak silny przyrost podrażnień, że nie udaje się pozbyć

się ich lub przerobić w sposób normalny, czego wynikiem muszą być stałe zaburzenia w układzie energetycznym.

Ta analogia zachęca nas do nazwania urazowymi także i tych przeżyć, z którymi zdają się być związani nasi nerwowo chorzy. W ten sposób uzyskaliśmy prosty warunek powstawania schorzeń nerwicowych. Nerwicę można by więc było przyrównać do zachorowań urazowych: powstawałaby ona wskutek niemożności uwolnienia się od przeżycia o bardzo silnym akcencie uczuciowym. Tak brzmiało też rzeczywiście pierwsze sformułowanie, które Breuer i ja w latach 1893–1895 wypowiedzieliśmy w teoretycznym sprawozdaniu z naszych nowych spostrzeżeń. Przypadek, jak na przykład naszej pierwszej pacyjki, owej młodej, rozłączonej z mężem kobiety, nadaje się do takiego ujęcia bardzo dobrze. Nie przeboleła ona braku realizacji swego pożycia małżeńskiego i pozostała związana z tym urazem. Lecz już nasz drugi przypadek, owa dziewczyna związana z ojcem, wskazuje nam, że to sformułowanie nie jest dostatecznie obszerne. Z jednej strony takie zakochanie się małej dziewczynki w ojcu jest czymś tak zwykłym i tak często przewyciężanym, że miano „urazowy” straciłoby swoją treść; z drugiej strony historia chorej poucza nas, że to pierwsze erotyczne przywiązanie minęło początkowo rzekomo bez szkody i dopiero po wielu latach ujawniło się jako symptom nerwicy natręctwa. Przewidujemy tu więc większe skomplikowanie, większą mnogość warunków zachorowania, lecz przeczuwamy też, że urazowy punkt widzenia nie musi być odrzucony jako błędny; będziemy musieli zastosować go na innym miejscu.

Przerywamy tutaj znów drogę, którą wybraliśmy. Nie prowadzi ona na razie dalej i musimy dowiedzieć się różnych innych rzeczy, nim znajdziemy jej właściwe przedłużenie. Na temat związania z pewną określoną fazą z przeszłości zauważmy jeszcze, że takie zdarzenia należą do zakresu o wiele szerszego od tego, na jaki składają się nerwice. Każda nerwica zawiera takie związanie, lecz nie każde związanie prowadzi do nerwicy, jest identyczne z nerwicą, lub też bywa przez nią wytwarzane. Wzorem związania uczuciowego z czymś minionym jest żaloba, która również prowadzi do całkowitego odwrócenia się od terażniejszości i przyszłości. Lecz nawet sąd laika odróżnia wyraźnie żalobę od nerwicy. Natomiast bywają nerwice, które można określić jako formę patologiczną żaloby.

Zdarza się też, że wypadek urazowy, wstrząsnąwszy dotych-

czasowymi podstawami życia ludzi, wprowadza ich w stan takiego odrętwienia, że tracą wszelkie zainteresowanie dla teraźniejszości i przyszłości i trwają uparcie w rozpamiętywaniu przeszłości; ale ci nieszczęśliwcy nie muszą stać się przy tym neurotykami. Nie będziemy więc przeceniać tego jednego rysu dla charakterystyki nerwicy, jakkolwiek występuje on regularnie i ma duże znaczenie.

Przystępujemy teraz do drugiego wyniku naszych analiz, dla którego nie mamy potrzeby obawiać się w następstwie ograniczenia. Opowiedzieliśmy, jaką bezsensowną czynność przymusową wykonywała nasza pierwsza pacjentka i z jakimi intymnymi wspomnieniami z życia ją wiązała, potem zbadaliśmy też ich wzajemny stosunek i odgadliśmy cel czynności przymusowej na zasadzie związku z wspomnieniem. Lecz pozostawiliśmy na uboczu jeden moment, który zasługuje na naszą pełną uwagę. Dopóki pacjentka powtarzała czynność przymusową, nie wiedziała nic o tym, że łączy się ona z jej przeżyciem. Związek między tymi dwiema rzeczami był dla niej ukryty; musiała zgodnie z prawdą odpowiadać, że nie wie, wskutek jakich pobudek to czyni. Pod wpływem kuracji zdarzyło się nagle pewnego razu, że znalazła ten związek i mogła o nim opowiedzieć. Lecz wciąż jeszcze nie wiedziała nic o zamiarze, na którego usługach wykonywała czynność przymusową, o zamiarze skorygowania przykrego momentu przeszłości i podniesienia na wyższy poziom ukochanego męża. Trwało to dość długo i kosztowało wiele wysiłku, nim pojęła i przyznała mi, że jedynie taki motyw mógł być motorem czynności przymusowej.

Związek ze sceną po niefortunnej nocy poślubnej i motyw czułości u chorej tworzą wspólnie to, cośmy nazwali „sensem” czynności przymusowej. Lecz podczas gdy chora czynność tę wykonywała, nie znany jej był sens tej czynności, nie wiedziała, skąd ona pochodzi i jaki ma cel. Rozwijały się w niej procesy psychiczne, czynność przymusowa była właśnie ich wynikiem; wynik ten spostrzegła w normalnym stanie duchowym, lecz nic z warunków psychicznych, które do tego działania doprowadziły, nie doszło jej świadomości. Zachowywała się zupełnie tak samo, jak ów osobnik w stanie hipnotycznym, któremu Bernheim poddał myśl otwarcia parasola w sali chorych w pięć minut po obudzeniu się i który spełnił to zlecenie na jawie, lecz nie mógł podać żadnego motywu swego czynu. Taki stan rzeczy mamy przed oczyma, kiedy mówimy o istnieniu *nieświadomych procesów duchowych*. Możemy

wezwać cały świat, by zdał sprawę z tego stanu rzeczy w sposób bardziej prawidłowy i naukowy, a wtedy wyrzekniemy się chętnie przyjęcia nieświadomych procesów psychicznych. Lecz do tego czasu będziemy mocno się go trzymali i musimy, wzruszając z rezygnacją ramionami, odrzucić jako niezrozumiałe, jeżeli chce nam ktoś zarzucić, że nieświadome nie jest w sensie naukowym czymś realnym, że jest to coś pomocniczego, *une façon de parler*. Coś nierealnego, z czego wynikają tak realnie uchwytnie działania jak czynność przymusowa!

W gruncie rzeczy spotykamy to samo u naszej drugiej pacjentki. Stworzyła sobie nakaz, że poduszka nie powinna dotykać do ściany łóżka, i musi słuchać tego nakazu, ale nie wie, skąd on pochodzi, co oznacza i jakim motywom zawdzięcza swą siłę. Czy uważa go sama za obojętny, lub też czy sprzeciwia mu się, jest nań wściekła, postanawia przekroczyć go — jest to dla jego wykonania obojętne. Musi być wykonany i na próżno pyta ona, dlaczego. Trzeba przecież przyznać, że najwyraźniejszy dowód istnienia szczególnego, oddzielnego od reszty zakresu życia duchowego zawiera się w tych objawach nerwicy natręctwa, w wyobrażeniach i impulsach, które wynurzają się nie wiadomo skąd, zachowują się tak opornie przeciw wszelkim wpływom normalnego zresztą życia duchowego, na chorych samych wywierają wrażenie, jak gdyby były przepotężnymi gośćmi z obcego świata, nieśmiertelnymi, którzy wtargnęli w zgiełk świata śmiertelników. Od nich prowadzi droga, której nie można zmylić, do przekonania się o istnieniu nieświadomego w naszej duszy, i dlatego właśnie psychiatria kliniczna, która zna tylko psychologię świadomości, nie może traktować ich inaczej niż jako oznaki szczególnego rodzaju degeneracji. Naturalnie, że same wyobrażenia i impulsy natrętne nie są nieświadome, podobnie jak wykonywanie czynności przymusowej nie wymyka się świadomemu ostrzeganiu. Nie stałyby się objawami, gdyby nie przeniknęły do świadomości. Ale ich warunki psychiczne, do których dochodzimy za pomocą analizy, związki, w które je wplata nasza interpretacja, są nieświadome, przynajmniej tak długo, dopóki za pomocą pracy analitycznej nie przenikną do świadomości chorego.

Jeśli dodacie do tego, że ten stan rzeczy, skonstatowany w obu naszych wypadkach, potwierdza się przy wszelkich objawach wszystkich schorzeń nerwicowych, że zawsze i wszędzie sens objawów bywa nie znany choremu, że analiza pokazuje zazwyczaj, iż objawy te są pochodnymi procesów nieświadomych, które jednakże przy różnorod-

nych pomyślnych warunkach można uświadomić, to zrozumiecie, że w psychoanalizie nie możemy się obejść bez przyjęcia nieświadomego i że zwykliśmy operować nim niby czymś zmysłowo uchwytnym. Może pojmiecie też, jak mało powołani do sądu w tej kwestii są wszyscy ci, którzy znają nieświadome tylko jako pojęcie, którzy nigdy nie analizowali, nigdy nie interpretowali snów lub nie znajdowali dla objawów nerwicowych sensu i motywu. Powtórzmy to raz jeszcze dla naszych celów: możliwość nadania sensu objawom nerwicowym przez interpretację analityczną jest niezbitym dowodem istnienia — lub, jeżeli wolicie, konieczności przyjęcia — nieświadomych procesów duchowych.

Ale to nie wszystko. Dzięki drugiemu odkryciu Breuera, które wydaje mi się nawet bardziej bogate w treść i które jest jego wyłączną zasługą dowiadujemy się jeszcze więcej o związku między nieświadomym a objawami nerwicowymi. Sens objawów bywa stale nieświadomy; co więcej, istnieje też stosunek zastępstwa między tą nieświadomością a możliwością istnienia objawów. Za chwilę mnie zrozumiecie. Twierdzę z Breuerem, co następuje: za każdym razem, kiedy napotykamy objaw, możemy wnioskować o istnieniu u chorego określonych nieświadomych procesów, które właśnie zawierają sens objawu. Lecz konieczne jest również, by sens ten był nieświadomy, jeśli objaw ma dojść do skutku. Ze świadomych procesów nie tworzą się objawy; skoro owe procesy nieświadome staną się świadomymi, objaw musi zniknąć. Poznajecie tutaj od razu dostęp do terapii, drogę doprowadzenia objawów do zniknięcia. Tą drogą uleczył Breuer w istocie swoją histeryczną pacjentkę, to znaczy uwolnił ją od jej objawów; znalazł on technikę doprowadzenia do jej świadomości procesów nieświadomych, które zawierały sens objawów, i objawy znikły.

To odkrycie Breuera nie było rezultatem spekulacji, lecz szczęśliwego spostrzeżenia, umożliwionego przez przychyłność pacjenta. Nie męczcie się teraz nad tym, by je zrozumieć, sprowadzić do czegoś innego już znanego, lecz uznajcie w nim fakt podstawowy, za pomocą którego wiele da się wytłumaczyć. Dlatego pozwólcie mi, bym wam powtórzył to samo w inny sposób.

Tworzenie się objawów zastępuje coś innego, coś, co zostało zaniechane. Pewne procesy duchowe powinny były normalnie rozwinąć się tak dalece, by świadomość się o nich dowiedziała. To się nie stało, natomiast z owych przerwanych, w pewien sposób zakłóconych

procesów, które musiały pozostać nieświadome, powstał objaw. Zdarzyło się więc coś w rodzaju zamiany; jeżeli uda się ją cofnąć, wtedy terapia objawów nerwicowych spełni swoje zadanie.

Odkrycie Breuera jest jeszcze dziś podstawą terapii psychoanalitycznej. Twierdzenie, że objawy znikają, jeżeli ich nieświadome warunki zostają chorym uświadomione, zostało potwierdzone przez każde dalsze badanie, chociaż jeśli podejmiemy próbę jego praktycznego przeprowadzenia, napotykamy najbardziej osobliwe i nieoczekiwane komplikacje. Terapia nasza działa przez to, że przemienia nieświadome w świadome, i działa tylko o tyle, o ile jest w możliwości przeprowadzić tę przemianę.

Jeszcze jedna mała dygresja, byście nie popadli w niebezpieczeństwo wyobrażenia sobie tej pracy terapeutycznej jako zbyt łatwej. Według naszych dotychczasowych wywodów nerwica byłaby skutkiem pewnego rodzaju nieświadomości, niewiedzy o procesach duchowych, o których powinno się wiedzieć. Byłoby to znaczne zbliżenie się do znanej nauki Sokratesa, według której nawet występki polegają na niewiedzy. Zresztą lekarzowi doświadczonemu w analizie udaje się w zasadzie bardzo łatwo odgadnąć, jakie podniety duchowe pozostały nieświadome u danego chorego. Nie powinno mu więc sprawiać trudności uzdrowienie chorego przez uwolnienie go od nieświadomości drogą podania mu swojej wiedzy. Przynajmniej z jedną częścią, nieświadomym sensem objawów, można by w ten sposób łatwo się uporać; z drugiej, ze związku objawów z przeżyciami chorych, lekarz nie może, oczywiście, odgadnąć zbyt wiele, gdyż nie zna tych przeżyć, musi czekać, aż chory przypomni je sobie i opowie. Lecz i to można by w niektórych wypadkach zastąpić czym innym. Od krewnych chorego można dowiedzieć się o jego przeżyciach, będą oni często w stanie rozpoznać pośród nich te, które działały urazowo, mogą nawet opowiedzieć o takich przeżyciach, o których chory nic nie wie, gdyż zdarzyły się w bardzo wczesnych latach jego życia. Przez połączenie tych dwóch sposobów postępowania miałoby się więc perspektywę usunięcia chorobotwórczej niewiedzy pacjenta w ciągu krótkiego czasu i kosztem małego wysiłku.

Tak, gdyby to tak było można! Zdobyliśmy tutaj doświadczenia, na które nie byliśmy początkowo przygotowani. Wiedza nie jest równa wiedzy; bywają różne rodzaje wiedzy, które wcale nie są równowartościowe psychologicznie. *Il y a fagots et fagots*, powiada

gdzieś Molière. Wiedza lekarza nie jest tym samym, co wiedza chorego i nie może wywoływać tych samych skutków. Jeżeli lekarz przenosi swoją wiedzę na chorego, podając mu ją do wiadomości, to nie wywołuje to żadnego skutku. Nie, takie twierdzenie byłoby niesłuszne. Tym skutkiem nie będzie wprawdzie zniknięcie objawów, lecz zapoczątkowanie analizy, czego zwiastunami są często objawy opozycji. Chory wie wtedy coś, czego dotychczas nie wiedział, zna sens swego objawu, a jednak wie o nim więcej niż dotychczas. Dowiadujemy się w ten sposób, że bywa więcej niż jeden rodzaj niewiedzy. Będzie to rzeczą pogłębienia naszych wiadomości psychologicznych wskazać, na czym polegają te różnice. Lecz nasze twierdzenie, że objawy mijają, kiedy poznaje się ich sens, pozostaje mimo to słuszne. Chodzi tylko o to, że wiedza musi polegać na wewnętrznej zmianie w chorym, która może być wywołana tylko przez pracę psychiczną o określonym celu. Stajemy tu wobec problemów, które przedstawia nam się wkrótce jako *dynamika* powstawania objawów.

Proszę panów! Muszę teraz zadać pytanie: Czy to, co mówię, nie wydaje się wam zbyt ciemne i skomplikowane? Czy nie wprowadzam was w zamęt, cofając i zastrzegając się tak często, rozsnuwając pasma myśli i przerywając je? Żałowałbym, gdyby tak być miało. Lecz jestem mocno przeciwny uproszczeniom kosztem ścisłości i prawdy; nie mam nic przeciw temu, byście otrzymali pełne wrażenie wielostronności i zawiłości przedmiotu, i myślę też, że nie szkodzi to wcale, jeśli o każdej sprawie mówię więcej, aniżeli na razie może się wam przydać. Wiem przecież, że każdy słuchacz i czytelnik urabia w myślach materiał, skraca go, upraszcza i wyciąga zeń to, co chciałby zachować. Słuszne jest do pewnego stopnia, że pozostaje tym więcej, im materiał jest obfitszy. Pozwólcie mi mieć nadzieję, że mimo dodatków ubocznych pojęliście jasno to, co jest najistotniejsze w moich wywodach: znaczenie objawów, nieświadome i związek między nimi. Zrozumieliście też pewnie, że dalsze nasze usiłowania będą zmierzały w dwóch kierunkach, po pierwsze, by dowiedzieć się, jak tworzą się choroby i neurotyczne nastawienie życiowe, co stanowi problem kliniczny, i po drugie, jak z warunków powstawania nerwicy rozwijają się objawy chorobowe, co stanowi zagadnienie dynamiki psychicznej. Dla obu problemów musi istnieć jakiś punkt styczny.

I dzisiaj też nie chcę iść dalej, lecz ponieważ mamy jeszcze trochę czasu, chciałbym skierować uwagę waszą na inną cechę

charakterystyczną naszych obu analiz, której właściwa ocena może nastąpić dopiero później — na (to, że mają one za przedmiot — przyp. red. PWN) luki pamięciowe, czyli amnezje. Słyszeliście, że zadanie leczenia psychoanalitycznego można ująć w formułę: wszystko, co chorobotwórcze i nieświadome, należy przekształcić w świadome. Będziecie więc może zdziwieni, gdy się dowiecie, iż formułę tę można też zamienić na inną: wypełnić wszystkie luki pamięci chorego, usunąć jego amnezje. Sprowadza się to do tego samego. Amnezjom neurotyka przypisuje się więc ważną rolę przy powstawaniu objawów choroby. Lecz jeśli weźmiecie pod uwagę wypadek naszej pierwszej analizy, nie znajdziecie usprawiedliwienia dla takiej oceny (— jakoby to był przypadek — przyp. red. PWN) amnezji. Chora nie zapomniała sceny, z którą związana jest jej czynność przymusowa, przeciwnie, zachowała ją żywo w pamięci, a jakaś inna sprawa zapomniana nie wchodzi w grę przy powstawaniu tego objawu. Mniej wyraźny, lecz w ogólnych zarysach analogiczny jest stan rzeczy u naszej drugiej pacjentki, u dziewczęcia z ceremoniałem przymusowym. I ona też nie zapomniała właściwie swego postępowania z lat dawniejszych, kiedy to domagała się otwarcia drzwi między sypialnią rodziców a swoją własną lub kiedy wygnała matkę z jej miejsca w łóżu małżeńskim; przypomina to sobie bardzo dokładnie, aczkolwiek ociągając się i niechętnie. Zastanowić nas może to tylko, że pierwsza pacjentka, wypełniając niezliczoną ilość razy swoją czynność przymusową, nie zwróciła ani razu uwagi na jej podobieństwo do przeżycia z nocy poślubnej i że to wspomnienie nie nasunęło się jej także wtedy, gdy nasze bezpośrednie pytania zachęciły ją do dociekania motywów czynności natrętnej. To samo da się powiedzieć o dziewczynie, u której ceremoniał i jego powody pozostają w związku z tą samą, co wieczór powtarzającą się sytuacją. W obu przypadkach *nie ma właściwej amnezji, żadnej luki pamięci, lecz przerwany został związek, który powinien wywołać reprodukcję, ponowne wyłonienie się wspomnienia.* Tego rodzaju zaburzenie pamięci wystarcza dla nerwicy natręctwa; przy histerii jest inaczej. Ta ostatnia nerwica wyróżnia się po większej części przez rozległe amnezje. W zasadzie analiza każdego poszczególnego objawu histerycznego wskazuje nam na cały łańcuch przeżyć, które przy swym powrotnym zjawieniu się zostają uznane wyraźnie za dotychczas zapomniane. Łańcuch ten sięga, z jednej strony,

najwcześniejszych lat, tak że amnezja histeryczna stanowi bezpośredni ciąg dalszy amnezji dziecięcej, która nam, ludziom normalnym, zasłania początki naszego życia duchowego. Z drugiej strony, dowiadujemy się ze zdumieniem, że i najświeższe przeżycia chorych mogą ulec zapomnieniu i że zwłaszcza okoliczności, przy których choroba wybuchła lub została spotęgowana, zostały przez amnezję nadgryzione, jeżeli nie zupełnie wchłonięte. Z całości obrazu takiego świeżego wspomnienia regularnie znikają ważne szczegóły, lub też bywały zastąpione przez fałszywe wspomnienia. Ba! zdarza się nawet bardzo często, że dopiero na krótko przed zakończeniem analizy wynurzają się pewne wspomnienia świeżych przeżyć, które mogły być wstrzymane tak długo, tworząc dotkliwe luki w pamięci.

Takie ograniczenia zdolności pamięciowej są, jak powiedzieliśmy, charakterystyczne dla hysterii, w której występują też jako objawy stany (ataki histeryczne), które nie pozostawiają w pamięci żadnego śladu. Jeśli w nerwicy natręctwa bywa inaczej, możecie stąd wywnioskować, że w tych amnezjach chodzi o charakter psychologiczny zmiany histerycznej, nie zaś o ogólny rys nerwic. Doniosłość tej różnicy zostanie określona przez następujące rozważanie: „Sens” objawu ujęliśmy dwojako: jego „skąd” i jego „dokąd” lub „po co”, to znaczy wrażenia i przeżycia, z których się wywodzi, i zamiary, którym służy. Owo „skąd” objawu sprowadza się więc do wrażeń, które przyszły z zewnątrz, które bezwzględnie były kiedyś świadome i mogły stać się nieświadome przez zapomnienie. Owo „po co” objawu, jego tendencja, jest jednak za każdym razem procesem endopsychicznym, który, być może, zrazu został uświadomiony, lecz potem od dawien dawna pozostawał w nieświadomym. Nie jest więc bardzo ważne, czy amnezją objęte zostało też owo „skąd” przeżycia, na którym opiera się objaw, jak to bywa w hysterii; owo „dokąd”, tendencja objawu, która może być od początku nieświadoma, jest tym, co uzasadnia jego zależność od nieświadomego, i to w nerwicy natręctwa nie mniej silnie niż w hysterii.

Przez to wysunięcie nieświadomego w życiu duchowym wywołaliśmy właśnie złe duchy krytyków psychoanalizy. Nie dziwcie się temu i nie sądzcie, że opór przeciw nam polega li tylko na trudności zrozumienia nieświadomego lub na względnej niedostępności doświadczeń, które wykazują jego istnienie. Myślę, że źródło tego leży głębiej. W biegu czasów ludzkość musiała znieść ze strony nauki dwie

dotkliwe obrazy naiwnej miłości własnej: pierwszą, kiedy dowiedziała się, że nasza ziemia nie jest punktem centralnym wszechświata, lecz maleńką cząstką systemu światów, którego wielkość ledwie możemy sobie wyobrazić — obraza ta łączy się dla nas z imieniem Kopernika, chociaż już nauka aleksandryjska zwiastowała coś podobnego; drugą — wtedy, kiedy badanie biologiczne zniweczyło roszczenia człowieka do pierwszeństwa, wskazując mu na jego pochodzenie ze świata zwierzęcego i niezniszczalność jego natury zwierzęcej. To przewartościowanie odbyło się za dni naszych pod wpływem Ch. Darwina, Wallace'a i ich poprzedników, nie bez silnego oporu współczesnych. Trzecią i najdotkliwszą porażkę ma ponieść ludzkie urojenie wielkości ze strony dzisiejszych badań psychologicznych, które chcą dowieść naszemu „ja”, że nie jest ono nawet panem we własnym domu, lecz poprzestać musi na skąpych wieściach o tym, co odbywa się nieświadomie w jego życiu duchowym. I tego napomnienia do opamiętania się my, psychoanalicy, nie wygłosiliśmy ani pierwsi, ani jedyjni, ale zdaje się być naszym przeznaczeniem podkreślanie jego jak najdobitniej i utrwalenie przez podanie materiału doświadczalnego, obchodzącego blisko każdą jednostkę ludzką. Stąd ten ogólny protest przeciw naszej nauce, zaniedbanie wszystkich względów akademickiej kurtuazji i wyzwoleń opozycji z wszelkich więzów bezstronnej logiki. Ale nie dość na tym, musieliśmy, jak to wkrótce usłyszycie, jeszcze w inny sposób zakłócić spokój świata.

WYKŁAD XIX

Opór i tłumienie

Panie i panowie! By posunąć się dalej w zrozumieniu nerwic, trzeba nam nowych doświadczeń i oto napotykać dwa — oba bardzo osobliwe i swojego czasu bardzo niespodziewane. Jesteście jednak do nich przygotowani przez nasze rozważania zeszłoroczne.

Po pierwsze, jeśli zamierzamy uzdrowić chorego, uwolnić go od objawów cierpienia, przeciwstawia on nam silny, wytrwały opór, trwający przez cały czas leczenia. Jest to fakt tak osobliwy, iż nie możemy spodziewać się zbyt silnej więi wiary. Krewnym chorego

najlepiej nic o tym nie wspominać, gdyż przypuszczają oni zawsze, że jest to tylko z naszej strony wymówka dla usprawiedliwienia długiego trwania, lub też niepowodzenia naszych zabiegów. Także chory okazuje wszystkie przejawy tego oporu, nie zdając sobie zeń sprawy, i osiągamy już wielki sukces, kiedy uda się doprowadzić do tego, że godzi się i liczy z naszym tłumaczeniem. Pomyślcie przecież: chory, który sam tyle cierpi i jest źródłem cierpień swego otoczenia, który gotów jest do ofiar w czasie, pieniądzach, do mozołu i przewyciężenia się, by się od tych objawów uwolnić, czyżby ten chory miał się opierać swojemu wybawcy na korzyść choroby? A jednak tak jest i gdy zarzucają nam tu nieprawdopodobieństwo, możemy tylko odpowiedzieć, że nie brak mu analogii: każdy, kto był u dentysty z racji nieznośnego zęba, chwycił go za ramię, gdy ten chciał zbliżyć obcęgi do chorego zęba.

Opór chorych bywa bardzo różnorodny, wysoce wyrafinowany, często trudny do rozpoznania, zmienia, niby Proteusz, swoją postać. Lekarz powinien więc nie dowierzać i mieć się na baczności. W terapii psychoanalitycznej stosujemy też technikę, którą znacie z interpretacji marzeń sennych. Polecamy choremu wprawić się w stan spokojnej samoobserwacji bez rozmyślania i dzielić się z nami wszystkimi spostrzeżeniami wewnętrznymi: uczuciami, myślami, wspomnieniami w tym porządku, w jakim się wyłaniają. Ostrzegamy go przy tym wyraźnie, by nie kierował się jakimkolwiek motywem, który by mógł spowodować wybór lub wykluczenie skojarzeń, choćby motyw ten głosił, że jedno jest zbyt *nieprzyjemne* lub zbyt *niedyskretne* by je wypowiedzieć, inne znów jest zbyt *mało ważne*, nie należy do rzeczy lub jest *bezsensowne*, nie musi zostać wypowiedziane. Zwracamy mu szczególnie uwagę na to, by zaniechał wszelkiej krytyki tego, co znajdzie, i dajemy mu do zrozumienia, że powodzenie leczenia, przede wszystkim zaś czas jego trwania zależą od sumienności, z jaką spełnia on tę zasadniczą regułę techniczną analizy. Wiemy wszak z techniki interpretacji marzeń sennych, że te właśnie skojarzenia, przeciw którym podnoszą się wyżej wymienione wątpliwości i zarzuty, zawierają z zasady materiał, który prowadzi do wykrycia nieświadomego.

Przez postawienie tej zasadniczej dyrektywy technicznej osiągamy przede wszystkim ten skutek, że staje się ona punktem zaczepnym dla oporu. Chory stara się wszelkimi sposobami ominąć regułę. To zapewnia, że nic mu się na nasuwa, to znów, że nasuwa mu się tak wiele, że nie może niczego uchwycić. Potem spostrzegamy z niemiłym

zdumieniem, że pacjent dopuścił ten lub inny zarzut krytyczny; zdradza się mianowicie przez długie pauzy, które występują w jego odezvaniach się. Zapytany, przyznaje, że tego a tego nie może opowiedzieć rzeczywiście, gdyż wstydzi się, i pozwala temu motywowi działać wbrew przyrzeczeniu; lub też, że przyszło mu coś na myśl, lecz dotyczy to innej osoby, nie jego samego, a więc zostanie przemilczane; lub że to, co mu się teraz nasunęło, jest naprawdę zupełnie nieważne, zbyt głupie i bezsensowne; nie mogę przecież przypuszczać, że zajmie się takimi myślami, i tak idzie to dalej w niezliczonych wariantach, wobec czego musimy wyjaśnić, że powiedzieć wszystko oznacza — rzeczywiście wszystko powiedzieć.

Nie ma prawie chorego, który by nie próbował zarezerwować dla siebie pewnej dziedziny, by zabronić kuracji dostępu do niej. Pewien pacjent, którego musiałem zaliczyć do najinteligentniejszych, przemilczał przez całe tygodnie intymny stosunek miłosny i, napomniany za przekroczenie świętego prawidła, bronił się argumentem, iż myślał, że ta historia jest jego prywatną sprawą. Naturalnie, że kuracja analityczna nie uznaje takiego prawa azylu. Spróbujmy na przykład w takim mieście jak Wiedeń udzielić placowi Wysoki Rynek lub katedrze Św. Stefana prawa wyjątkowego, że nie można tam nikogo zaaresztować, i usiłujmy potem schwytać pewnego złoczyńcę. Nie można go będzie znaleźć gdzie indziej, jak właśnie w tym schronieniu. Zdecydowałem się kiedyś człowiekowi, od którego zdolności do pracy zależało obiektywnie bardzo wiele, przyznać takie prawo wyjątkowe, gdyż był związany przysięgą służbową, która zabraniała mu mówić z kimkolwiek o pewnych sprawach. Był on wprawdzie zadowolony z rezultatu, ja jednak nie; postanowiłem nie ponawiać próby w takich warunkach.

Chorzy na nerwicę natręctwa potrafią doskonale uczynić naszą regułę techniczną niemal niezdatną do użytku w ten sposób, że odnoszą do niej swój nadmiar sumiennosci i swoje wątpliwości, chorzy na historię lękową doprowadzają ją przy okazji do absurdu, produkując tylko skojarzenia, które są tak odległe od poszukiwanego materiału, że nie przynoszą analizie żadnej korzyści. Lecz nie zamierzam rozważać pospołu z wami tych trudności technicznych. Dość, że udaje się nareszcie dzięki stanowczości i obstawaniu przy swym żądaniu wydrzeć spod władzy oporu pewną dozę posłuszeństwa dla zasadniczej reguły technicznej, ale wtedy przerzuca się ona na inną dziedzinę. Występuje jako opór intelektualny, walczy za pomocą argumentów, korzysta

z trudności i nieprawdopodobieństw, które myślenie normalne, ale niewyszkolone znajduje w nauce psychoanalitycznej. Słyszymy wtedy ów pojedynczy głos, wypowiadający wszystkie te same słowa krytyki i zarzuty, które otaczają nas chórem w piśmiennictwie naukowym. Dlatego też te nawoływania z zewnątrz nie brzmią dla nas obco. Jest to prawdziwa burza w szklance wody. Lecz pacjent pozwala mówić ze sobą; godzi się chętnie, byśmy go informowali, pouczali, dysputowali z nim, wskazywali literaturę, na której może się dalej kształcić. Jest gotów stać się zwolennikiem psychoanalizy pod warunkiem, by analiza jego osobiście oszczędzała. Ale my poznajemy to pragnienie wiedzy jako opór, jako uchylenie się od naszych właściwych zadań, i odrzucamy je. U chorych na nerwicę natręctwa możemy oczekiwać specjalnej taktyki oporu. Pozwala on często analizie kroczyć swoją drogą, nie hamując jej, tak że rzuca ona coraz więcej światła na zagadki danego przypadku, lecz w końcu dziwimy się, że temu wyjaśnieniu nie odpowiada żaden postęp praktyczny, żadne osłabienie objawów. Wtedy możemy stwierdzić, że opór obwarował się poza wątpliwościami nerwicy natręctwa i z tej pozycji zwraca ku nam z powodzeniem swoje ostrze. Chory powiedział sobie mniej więcej tak: „Wszystko to jest bardzo piękne i ciekawe i chętnie będę za tym śledził. Zmieniłoby to bardzo moją chorobę, gdyby było prawdą. Lecz nie wierzę wcale, że to jest prawda, a póki nie wierzę, nie dotyczy to wcale mojej choroby”. Taki stan może trwać tak długo, dopóki się nie dojdzie nareszcie do samej zarezerwowanej przez pacjenta placówki, i wtedy wybucha walka decydująca.

Opory intelektualne nie są najgorsze; mamy nad nimi zawsze przewagę. Ale pacjent potrafi także, pozostając w ramach analizy, tworzyć opory, których pokazanie należy do najtrudniejszych zadań technicznych. Miast przypomnieć sobie, powtarza ze swego życia takie nastawienia i dążenia uczuciowe, które za pośrednictwem tak zwanego przeniesienia dają się zużytkować jako opór przeciw lekarzowi i kuracji. Z reguły czerpie on ten materiał, jeżeli jest mężczyzną, ze swego stosunku do ojca, na którego miejsce stawia lekarza, i wytwarza w ten sposób opory z dążenia do samodzielności swej osoby i swego sądu, ze swej ambicji, której pierwszym celem było dorównać ojcu lub go przewyższyć, z niechęci obarczania się po raz drugi w życiu ciężarem wdzięczności. Miejscami odnosi się wrażenie, jakoby chory zastąpił słuszny zamiar skończenia z chorobą zamiarem wykazania lekarzowi

braku słuszności, dania mu do odczucia jego niemocy, triumfowania nad nim.

Kobiety potrafią po mistrzowsku wyzyskać dla celów oporu tkliwe, zabarwione erotycznie przeniesienie na lekarza. Przy pewnym natężeniu owej skłonności gaśnie wszelkie zainteresowanie dla aktualnej strony kuracji, traci moc każde zobowiązanie, które chora na siebie przyjęła w chwili jej rozpoczęcia, a nieodstępna zazdrość, jak i rozgoryczenie, spowodowane nieuniknioną, jakkolwiek w oględnej formie podaną odmową muszą służyć, do tego, by zepsuć osobiste porozumienie się z lekarzem i w ten sposób wyłączyć jeden z najpotężniejszych motorów analizy.

Oporów tego rodzaju nie należy osądzać jednostronnie. Zawierają one tyle najważniejszego materiału z przeszłości chorego i podają go w tak przekonywający sposób, że stają się najlepszą podporą analizy, jeśli zręczna technika potrafi nadać im właściwy kierunek. Godne uwagi jest to tylko, że materiał ten pozostaje uprzednio zawsze na usługach oporu i ujawnia przede wszystkim swoje wrogie leczeniu oblicze. Można powiedzieć, że właściwości charakteru, nastawienia jaźni zostają uruchomione dla zwalczania zmian zamierzonych przez leczenie. Dowiadujemy się przy tym, jak utworzyły się te właściwości charakteru w związku z warunkami nerwicy i jako reakcja na jej wymagania, i poznajemy rysy tego charakteru, które poza tym mogą nie wystąpić na jaw wcale lub wystąpić nie w tym stopniu, a które możemy nazwać utajonymi. Nie powinniście jednak ulec wrażeniu, jakobyśmy spostrzegli w występowaniu tych oporów coś, co niespodzianie zagraża naszemu wpływowi psychoanalitycznemu. Bynajmniej — wiemy, że te opory muszą się ujawnić; jesteśmy tylko niezadowoleni, jeżeli nie wywołujemy ich dość wyraźnie i nie możemy ich dość jasno wytłumaczyć choremu. Tak, rozumiemy w końcu, że pokonanie tych oporów jest istotną działalnością analizy i tą jedyną częścią naszej pracy, która daje nam gwarancję, że dopięliśmy czegoś u chorego.

Dodajcie do tego, że chory wyzyskuje w celu oporu wszystkie okoliczności przypadkowe, które zjawiają się podczas leczenia, zużytkowuje jako motyw dla zmniejszenia swoich wysiłków każde zdolne odwrócić jego uwagę zdarzenie zewnętrzne, każdą wzmiankę jakiegoś wrogiego analizie autorytetu spośród swego otoczenia, przypadkowe lub też organiczne schorzenia komplikujące nerwicę, ba, nawet każde

poprawienie swojego stanu, a uzyskanie przybliżony, aczkolwiek wciąż jeszcze niepełny obraz form i środków oporu, które zwalczać wypada każdej analizie. Potraktowałem ten punkt tak obszernie, gdyż muszę wam powiedzieć, że to nasze doświadczenie co do oporu neurotyków przeciw ujawnieniu ich objawów stało się podstawą naszego dynamicznego ujęcia nerwic. Breuer i ja sam uprawialiśmy pierwotnie psychoterapię za pomocą hipnozy; pierwsza pacjentka Breuera była poddawana kuracji wyłącznie w stanie hipnotycznym; początkowo szedłem jego śladami. Przyznaję, że praca była wtedy łatwiejsza i przyjemniejsza, trwała też krócej. Lecz skutki były kapryśne i nietrwałe; z tej racji porzuciłem w końcu hipnozę. I wtedy zrozumiałem, że wgląd w dynamikę tych stanów uczuciowych był niemożliwy, dopóki posługiwaliśmy się hipnozą. Stan ten potrafił właśnie ukryć przed okiem lekarza istnienie oporu, odsuwał go na stronę, otwierał pewną dziedzinę dla pracy analitycznej i gromadził opór na granicach tej dziedziny w ten sposób, że stawał się on nieprzenikniony, podobnie jak wątpliwości przy nerwicy natręctwa. Mogłem przeto powiedzieć, że właściwa analiza została zapoczątkowana z chwilą wyrzeczenia się pomocy hipnozy.

Jeżeli jednak stwierdzenie oporu okazało się tak doniosłe, to musimy zapytać z przezornym powątpiewaniem, czy aby nie jesteśmy zbyt pochopni w kwalifikacji oporu. Zdarzają się, być może, rzeczywiście wypadki nerwicy, w których kojarzenia zawodzą z innych przyczyn; być może, argumenty naszych pacjentów przeciw naszym przesłankom zasługują w istocie na rzeczowe uwzględnienie i postępujemy niesprawiedliwie usuwając tak wygodnie na stronę jako opór — ich krytykę intelektualną. Tak jest, proszę panów, ale niełatwo doszliśmy do tego sądu. Mieliśmy sposobność obserwować każdego takiego krytycznego pacjenta podczas wyłaniania się oporu i po jego zniknięciu. Opór zmienia mianowicie wciąż swe nasilenie w ciągu leczenia; zwiększa się zawsze, gdy zbliżamy się do nowego tematu; jest najsilniejszy u szczytu jego opracowywania, opada wraz z zakończeniem tematu. Nigdy nie mamy też do czynienia z całym rozmiarem oporu, jaki pacjent jest w stanie wytworzyć, jeśli nie popełniliśmy specjalnych niezręczności technicznych; ten sam osobnik podczas procesu analizy porzuca niezliczoną liczbę razy swoje stanowisko krytyczne i znowu do niego powraca. Jeśli mamy mu uświadomić nowy i szczególnie dlań przykry element nieświadomego materiału, to pacjent jest skrajnie

krytyczny; jeśli zrozumiał i przyjął przedtem wiele rzeczy, to teraz osiągnięcia te jakby ulegały zmianie; w dążeniu do opozycji pacjent ten może nam np. zademonstrować obraz niedorozwoju umysłowego. Jeśli udało się dopomóc mu w zwalczaniu tego nowego oporu, odzyskuje możliwość wglądu i zrozumienia. Krytyka jego nie jest zatem zdolnością samodzielną, a więc zasługującą na szacunek, jest ona służą jego nastawień afektywnych i pozostaje pod kierunkiem jego oporu. Jeśli mu coś nie odpowiada, potrafi bardzo ostro temu się opierać i wydaje nam się wtedy bardzo krytyczny; jeśli mu jednak coś przypadnie do gustu, może się wtedy okazać nader łatwowiernym. Może wszyscy nie jesteśmy tak bardzo inni; u osobnika analizowanego tylko dlatego ukazuje się tak wyraźnie zależność intelektu od życia uczuciowego, że w analizie przypieramy go tak mocno do muru.

Jakież wnioski wysnuwamy ze spostrzeżenia, że pacjent sprzeciwia się tak energicznie pozbyciu się objawów i przywróceniu normalnego przebiegu jego procesów duchowych? Powiadamy, że wyczuliśmy działanie sił, które sprzeciwiają się zmianie stanu psychicznego; muszą to być te same siły, które swojego czasu ten stan wywołały. Przy tworzeniu się objawów musiało zajść coś, co możemy zrekonstruować na podstawie naszych doświadczeń przy ich rozwiązywaniu. Wiemy już ze spostrzeżenia, poczynionego przez Breuera, że warunkiem istnienia objawów jest fakt, iż pewien proces duchowy nie został doprowadzony do końca w sposób normalny, tak by mógł stać się świadomy. Objaw występuje zamiast tego, co zostało zaniechane. Wiemy zatem, na jakie miejsce musimy przenieść domniemane działanie dynamiczne. Musiał być powstać silny sprzeciw, ażeby ten przypuszczalny proces duchowy nie przedarł się do świadomości; pozostał on przeto nieświadomy. Jako nieświadomy, posiadał on władzę stworzenia objawu. Ten sam sprzeciw podczas kuracji analitycznej opiera się na nowo usiłowaniu doprowadzenia nieświadomego do świadomości. Odczuwamy to jako opór. Proces chorobotwórczy, który zostaje nam objawiony przez opór, nazwiemy stłumieniem.

O tym procesie stłumienia musimy wytworzyć sobie bardziej określone wyobrażenie. Jest on warunkiem wstępnym tworzenia się objawów, ale jest też czymś, do czego żadnej analogii nie znamy. Jeśli weźmiemy jako pierwowzór impuls, proces duchowy z dążnością do przeistoczenia się w czynność, wiemy, że może on zostać nie przyjęty, co nazwiemy odrzuceniem lub potępieniem. Przy tym zostaje on

pozbawiony energii, którą rozporządza, staje się bezwładny, lecz może pozostać jako wspomnienie. Cały ten decydujący proces odbywa się z wiedzą jaźni. Wszystko dzieje się inaczej, gdy wyobrazimy sobie, że ten sam impuls uległ stłumieniu. Zachowałby wtedy swoją energię i nie pozostałoby o nim żadne wspomnienie; poza tym proces stłumienia odbyłby się nie postrzeżony przez jaźń. To porównanie nie zbliża nas więc do istoty procesu stłumienia.

Chcę wam wyjaśnić, jakie wyobrażenia teoretyczne okazują się jedynie przydatne, by pojęciu stłumienia nadać bardziej określoną postać. Trzeba przede wszystkim, byśmy przeszli od czysto opisowego sensu słowa „nieświadome” do jego znaczenia systematycznego, to znaczy decydujemy się powiedzieć, że świadomość lub nieświadomość procesu psychicznego jest tylko jedną z jego własności, i to niekoniecznie jednoznaczną. Jeżeli taki proces pozostał nieświadomy, to niedopuszczenie go do świadomości jest może tylko znakiem losu, który go spotkał, a nie samym losem. By uzmysłwić sobie ten los, przyjmijmy, że każdy proces duchowy — musimy zrobić jednakże jeden wyjątek, o którym później wspomnimy — istnieje uprzednio w fazie nieświadomej i z niej dopiero przechodzi do fazy świadomej, niby obraz fotograficzny, który początkowo jest negatywem, a później przez odbicie staje się obrazem pozytywnym. Podobnie jak nie każdy negatyw musi stać się pozytywnym, tak samo nie jest konieczne, by każdy nieświadomy proces duchowy przekształcił się w świadomy. Formułujemy to najlepiej tak, że pojedynczy proces należy uprzednio do psychicznego systemu nieświadomego i dopiero przy pewnych okolicznościach może przejść do systemu świadomego.

Najprymitywniejsze wyobrażenie o tych systemach jest dla nas najwiarygodniejsze; jest to wyobrażenie przestrzenne. Porównujemy więc system nieświadomego z dużym przedsionkiem, w którym roją się dążenia psychiczne na kształt jednostek. Z tym przedsionkiem graniczy pokój ciasniejszy, rodzaj salonu, w którym przebywa świadomość. Lecz na progu między tymi dwoma pomieszczeniami pełni swą służbę strażnik, który rewiduje pojedyncze dążenia duchowe, cenzuruje je i nie wpuszcza do salonu, jeśli mu się nie podobają. Przyznacie natychmiast, że nie stanowi to wielkiej różnicy, czy strażnik odprawi pojedyncze dążenie już od progu, czy też każe mu przekroczyć próg z powrotem po wejściu do salonu. Chodzi tu tylko o stopień jego czujności i o wczesne rozpoznanie. Trzymanie się tego obrazu pozwala

nam na stworzenie dalszej terminologii. Dążenia w przedsionku, którym jest nieświadome, są ukryte przed wzrokiem świadomości, która znajduje się przecież w innym pokoju; muszą one naprzód być nieświadome. Jeżeli precyzyjnie się do progu i zostały odprawione przez strażnika, są one nie do uświadomienia; zwiemy je stłumionymi. Ale także i te dążenia, które strażnik przepuścił przez próg, nie stały się jeszcze przez to świadomymi; mogą stać się nimi, jeśli uda się im skierować na siebie wzrok świadomości. Możemy przeto z zupełną słuszością nazwać ten drugi pokój systemem *przedświadomego*. Uświadamianie sobie zachowuje wtedy swój sens czysto opisowy. Los stłumienia pojedynczego dążenia polega na tym, że nie zostaje ono wpuszczone przez strażnika z systemu nieświadomego do systemu przedświadomego. Jest to ten sam strażnik, którego poznajemy jako opór, gdy chcemy usunąć stłumienie przez leczenie analityczne.

Wiem, że powiecie, iż wyobrażenia te są równie prymitywne, jak fantastyczne i wcale niedopuszczalne w pracy naukowej. Wiem, że są prymitywne; tak, więcej jeszcze, wiemy też, że są niesłuszne, ale jeśli nie mylimy się bardzo, mamy już w pogotowiu coś, co je lepiej zastąpi. Czy i wtedy jeszcze będą się wam wydawały tak fantastyczne, nie wiem. Tymczasowo stanowią one wyobrażenia pomocnicze, podobnie jak obraz człowieczka Ampère'a, który płynie w kole prądu elektrycznego, i nie są do pogardzenia, o ile bywają użyteczne dla zrozumienia naszych obserwacji. Pragnąłbym zapewnić was, że ta prymitywna koncepcja dwóch pomieszczeń, strażnika na progu między nimi i świadomości jako widza na końcu drugiej sali muszą oznaczać daleko idące zbliżenia do rzeczywistego stanu rzeczy. Chciałbym też, byście przyznali, że nasze określenia: *nieświadomy*, *przedświadomy*, *świadomy* przesądzają znacznie mniej i łatwiej dają się usprawiedliwić niż inne, które zostały zaproponowane lub też są w użyciu, jak *podświadomy*, obok *świadomości* itp.

Toteż będzie to dla mnie ważniejsze, jeśli mnie upomnicie, że urządzenie aparatu psychicznego, które przyjąłem tutaj gwoli objaśnienia objawów nerwicowych, musiałyby mieć znaczenie ogólne i dawać wyjaśnienie funkcji normalnej. W tej sprawie macie oczywiście słuszość. Nie możemy teraz iść dalej za tym wnioskiem, ale nasze zainteresowanie dla psychologii tworzenia się objawów musi się niezwykle spotęgować, gdy otwiera się możliwość otrzymania za pomocą badania stosunków patologicznych wyjaśnienia tak bardzo ukrytych normalnych procesów psychicznych.

Czy nie dostrzegacie zresztą, na czym się opieramy ustanawiając oba systemy, określając ich stosunek wzajemny i ustosunkowanie się do świadomości? Strażnik między nieświadomym, a przedświadomym nie jest wszak niczym innym jak *cenzurą*, której jakeśmy widzieli, podlegało kształtowanie się jawnego marzenia sennego. Resztki dzienne, w których poznaliśmy pobudki do marzenia sennego, stanowią przedświadomy materiał, który uległ nocą, w stanie snu, wpływowi nieświadomych i tłumionych impulsów życzeniowych i wspólnie z nimi, dzięki ich energii, mógł stworzyć utajone marzenie senne. Pod władzą systemu nieświadomego uległ ten materiał opracowaniu — zgęszczeniu i przesunięciu — co w życiu duchowym normalnym, to znaczy w systemie przedświadomym, jest nieznanne lub też dopuszczalne tylko w drodze wyjątku. Ta różnica sposobu pracy scharakteryzowała nam dokładnie oba systemy; stosunek do świadomości jako właściwości systemu przedświadomego był dla nas tylko znakiem przynależności do jednego z tych dwóch systemów. Marzenie senne nie jest wszak zjawiskiem patologicznym; może ono, w warunkach snu, występować u wszystkich zdrowych ludzi. Owo przypuszczenie co do struktury aparatu duchowego, które pozwala nam rozumieć jednocześnie powstawanie marzenia sennego i objawów nerwicowych, ma niewątpliwie prawo do tego by znaleźć zastosowanie i w normalnym życiu duchowym.

Tyle chcemy powiedzieć na razie o stłumieniu. Jest ono jednak tylko warunkiem wstępnym dla tworzenia się objawów. Wiemy, że objaw zastępuje coś, czego ujawnieniu się przeszkodziło stłumienie. Ale od stłumienia do zrozumienia tego tworu zastępczego jest jeszcze daleka droga. Z drugiej strony, problem — w związku ze skonstatowaniem stłumienia — nasuwa pytania: jaki rodzaj prądów duchowych ulega stłumieniu, jakie siły i jakie motywy je przeprowadzają? O tym wiemy dotychczas tylko jedno. Badając opór słyszeliśmy, że pochodzi on od sił jaźni, od wiadomych i utajonych właściwości charakteru. One to więc doprowadziły do skutku stłumienie, lub też przynajmniej brały w nim udział. Wszystko dalsze jest nam jeszcze nie znane.

Tu zaczyna nam pomagać drugie zapowiedziane przeze mnie doświadczenie. Na podstawie analizy możemy zupełnie ogólnie podać, co jest zamiarem objawów nerwicowych. Lecz i to nie będzie dla was niczym nowym. Pokazałem wam to już na dwóch przypadkach

nerwicy. Lecz oczywiście — co znaczą dwa przypadki? Macie prawo żądać, by zostało to wam pokazane dwiście razy, nieskończoną ilość razy. Ale ja tego zrobić nie mogę. Musicie to zastąpić własnym doświadczeniem lub wiarą, która może się w tym względzie powołać na zgodne dane wszystkich psychoanalityków.

Przypominacie sobie, że w tych dwóch przypadkach, których objawy zbadaliśmy dokładnie, analiza wtajemniczyła nas w najintymniejsze szczegóły życia seksualnego naszych chorych. W pierwszym przypadku rozpoznaliśmy prócz tego specjalnie dokładnie zamiar, czyli tendencję, badanego objawu; być może, była ona w drugim przypadku nieco zasłonięta przez moment, o którym będzie mowa później. Otóż to samo, co widzieliśmy w tych dwóch przykładach, pokażą nam wszystkie inne przypadki, które poddamy analizie. Za każdym razem zostajemy wprowadzeni przez analizę w dziedzinę przeżyć seksualnych i życzeń chorego i za każdym razem musimy skonstatować, że jego objawy służą temu samemu zamiarowi. Tym zamiarem jest dążenie do zaspokojenia pragnień seksualnych; objawy służą zaspokojeniu seksualnemu chorych, zastępują to zaspokojenie, którego brak im w życiu.

Pomyślcie o czynności przymusowej naszej pierwszej pacjentki. Kobiecie tej brak bardzo kochanego męża, z którym nie może dzielić życia z racji jego wad i słabości. Musi mu pozostać wierna, nie może oddać jego miejsca innemu. Tu objaw przymusowy daje jej to, za czym tęskni: podnosi jej męża, zaprzecza jego defektom, poprawia je, przede wszystkim zaś niemoc płciową. Objaw ten jest w gruncie rzeczy spełnieniem życzenia, podobnie jak marzenie senne, a nawet spełnieniem życzenia erotycznego, czym nie zawsze bywa marzenie senne. U naszej drugiej pacjentki mogliście pojąć przynajmniej, że ceremoniał jej chciał przeszkodzić stosunkowi płciowemu między rodzicami lub nie dopuścić, by owocem jego było nowe dziecko. Odgadliście może również, że w gruncie rzeczy dążył ku temu, by ona sama zajęła miejsce matki. A więc znów usunięcie przeszkód w osiągnięciu zadowolenia płciowego i spełnienie własnych pragnień seksualnych. O zaznaczonej komplikacji będzie niezadługo mowa.

Moi panowie! Chciałbym zapobiec konieczności poczynienia w następstwie zastrzeżeń co do ogólności tych twierdzeń i dlatego zwracam waszą uwagę na to, że wszystko, co mówię o stłumieniu, tworzeniu się i znaczeniu objawów, zostało uzyskane przy badaniu trzech form

nerwic: hysterii lękowej, hysterii konwersyjnej i nerwicy natręctwa, i ma znaczenie na razie tylko dla tych postaci chorobowych. Te trzy choroby, które zwykliśmy łączyć w jedną grupę, jako *nerwice przeniesienia*, określają też teren, na którym może działać terapia psychoanalityczna. Inne nerwice zostały mniej dobrze zbadane przez psychoanalizę; w jednej z tych grup niemożność oddziaływania terapeutycznego była zapewne przyczyną jej upośledzenia. Nie zapominajcie też, że psychoanaliza jest jeszcze wiedzą bardzo młodą, praca przygotowawcza nad nią wymaga wiele wysiłku i czasu i że do niedawna miała ona tylko jednego poplecznika. Jednakże jesteśmy we wszystkich punktach na drodze prowadzącej do zrozumienia także innych cierpień, które nie są nerwicami przeniesienia. Mam nadzieję, iż będę mógł wam jeszcze przedstawić, jakim rozszerzeniom podlegały nasze założenia i wyniki w zastosowaniu do tego nowego materiału, i pokazać, że dalsze studia doprowadziły nie do sprzeczności, lecz do zbudowania wyższej jednolitości. Jeśli więc wszystko, co tu powiedziałem, ma znaczenie dla trzech nerwic przeniesienia, pozwólcie mi najpierw podnieść wartość objawów przez podanie nowego szczegółu. Badanie porównawcze powodów zachorowania wykazuje mianowicie rezultat dający się ująć w formułę, że osoby te chorują z racji jakiegoś zawodu, jeśli rzeczywistość nie pozwala na zaspokojenie ich pragnień seksualnych. Widzicie, jak doskonale harmonizują ze sobą oba te wyniki. Dopiero teraz zrozumiemy należycie objawy: jako zaspokojenie zastępcze zamiast nie znalezionego w życiu.

Naturalnie, że możliwe są jeszcze rozmaite zarzuty przeciw twierdzeniu, jakoby objawy nerwicowe były zastępczymi zaspokojeniami seksualnymi. Dwa spośród nich chcę dziś jeszcze omówić. Jeśli sami zbadacie analitycznie większą liczbę neurotyków, powiecie mi może, potrząsając głową: z całym szeregiem wypadków wcale się to nie zgadza; objawy mają tam jakoby zamiar przeciwny — wykluczyć lub znieść zaspokojenie seksualne. Nie będę zaprzeczał słuszności waszej interpretacji. Będący przedmiotem psychoanalizy stan rzeczy bywa często bardziej skomplikowany, niżbyśmy sobie tego życzyli. Gdyby był tak prosty, psychoanaliza nie byłaby może potrzebna, by go wyświecić. Rzeczywiście, pewne cechy ceremoniału u naszej drugiej pacjentki pozwalają rozpoznać ten charakter ascetyczny, wrogi zaspokojeniu seksualnemu, na przykład gdy usuwa zegary, co ma sens magiczny uniknięcia erekcji nocnych, lub gdy chce zapobiec spadaniu

i tłuczeniu naczyń, co równa się obronie jej dziewiczości. W innych przypadkach ceremoniału pościeli, które mogłem analizować, był ten charakter negatywny znacznie wyraźniejszy; ceremoniał mógł składać się wyłącznie ze środków obrony przeciw wspomnieniom i pokusom seksualnym. Jenakowoż przekonywaliśmy się już tak często w psychoanalizie, że przeciwieństwa nie oznaczają sprzeczności. Moglibyśmy rozszerzyć nasze twierdzenie w tym kierunku, że objawy mają na celu albo zaspokojenie seksualne, albo też obronę przed nim: w histerii przeważa na ogół charakter pozytywny, spełniający życzenie, w nerwicy natręctwa — charakter negatywny, ascetyczny. Jeżeli objawy mogą służyć zarówno zaspokojeniu seksualnemu, jak i dla przeciwieństwa, to ta dwustronność lub biegunowość posiada doskonałe uzasadnienie w pewnym odłamie swego mechanizmu, o którym nie mogliśmy jeszcze wspomnieć. Są one mianowicie, jak usłyszymy, wynikiem kompromisu powstałego z interferencji dwóch przeciwnych dążeń i zastępują dążenie zarówno stłumione, jak i tłumiące, które współdziałało w ich powstaniu. To zastępstwo może wypaść na korzyść jednej lub drugiej strony, rzadko zachodzi zupełny brak któregoś wpływu. W histerii spotykają się oba zamiary w tym samym objawie. W nerwicy natręctwa rozpadają się często oba udziały; objaw staje się dwuczasy, składa się z dwóch czynności, następujących jedna po drugiej, które się nawzajem znoszą.

Nie tak łatwo rozwiążemy drugą wątpliwość. Przeglądając większą liczbę interpretacji objawów będziecie prawdopodobnie sądzić, że pojęcie zastępczego zaspokojenia seksualnego zostało rozciągnięte w nich do swych granic ostatecznych. Nie omieszkacie zaznaczyć, że objawy te nie przedstawiają jako zaspokojenie nic realnego, że ograniczają się dość często do ożywienia wrażenia zmysłowego lub przedstawienia fantazji z kompleksu seksualnego; dalej, że owo przypuszczalne zaspokojenie seksualne wykazuje tak często charakter dziecinny i niegodny, zbliża się na przykład do aktu onanistycznego lub przypomina te brudne narowy, których się zabrania już dzieciom i od których się je odzwyczajają. Ponadto wyrazicie swe zdziwienie, że uważamy za zaspokojenie seksualne to, co powinno być raczej opisane jako zaspokojenie żądz okrutnych lub szkaradnych, nawet tak zwanych nienaturalnych. Co się tyczy ostatnich punktów, proszę panów, nie osiągniemy porozumienia, dopóki nie poddamy gruntownemu badaniu ludzkiego życia seksualnego i nie ustanowimy, co mamy prawo nazwać seksualnym.

Życie seksualne człowieka

Panie i panowie! Należałoby przecież przypuszczać, że nie podlega wątpliwości, co należy rozumieć przez słowo „seksualizm”. Przede wszystkim seksualizm jest czymś nieprzyzwoitym, czymś, o czym mówić nie należy. Opowiadano mi, że uczniowie znanego psychiatry zadali sobie pewnego razu trud przekonania swego mistrza, że objawy histeryków przedstawiają tak często sprawy seksualne. W tym celu poprowadzili go do łóżka pewnej histeryczki, której napady naśladowały bezsprzecznie proces porodowy. On jednak odparł: rozwiązanie nie jest wszak niczym seksualnym. Oczywiście, że poród nie musi być zawsze i koniecznie czymś nieprzyzwoitym.

Spostrzegam, że bierzecie mi za złe, iż żartuję przy tak poważnych sprawach. Ale nie jest to tylko żart. Naprawdę nie łatwo jest wyrazić, co stanowi treść pojęcia „seksualizm”. „Wszystko, co pozostaje w związku z różnicą pomiędzy dwiema płciami” byłoby może jedynym trafnym określeniem, lecz znajdziecie, że jest ono bezbarwne i zbyt ogólne. Jeśli obierzecie za punkt środkowy sam fakt aktu seksualnego, powiecie może, że seksualne jest to, co zajmuje się ciałem, w szczególności narządami płciowymi osobnika płci odmiennej w celu zaznania rozkoszy i co zmierza ostatecznie do połączenia narządów seksualnych i wykonania aktu płciowego. Ale wtedy jesteście rzeczywiście niedalecy od zrównania seksualizmu z nieprzyzwoitością, a rodzenie nie ma rzeczywiście z seksualizmem nic wspólnego. Jeśli będziecie uważali za jądro seksualizmu funkcję rozrodczą, ulegiecie niebezpieczeństwu wykluczenia całego szeregu spraw, które nia mają na celu płodzenia, a jednakże są na pewno seksualne, jak onanizm, lub nawet całowanie. Lecz jesteśmy już przygotowani na to, że próby definiowania zawsze połączone są z trudnościami; zrezygnujemy z tego, by mogło być lepiej w naszym wypadku. Możemy przeczuwać, że w trakcie rozwoju pojęcia „seksualizm” stało się coś, czego rezultatem według trafnego wyrażenia H. Silberera był „błąd pokrywczy”. Na ogół nie jesteśmy wszak pozbawieni orientacji, w tym, co ludzie zwą seksualnym.

Określenie tego jako czegoś, na co składają się: różnica płci, zdobycie rozkoszy, czynności płodzenia i charakter nieprzyzwoitości, wymagającej tajemnicy — wystarczy dla potrzeb życiowych, ale nie

dla nauki. Dzięki bowiem starannym badaniom, umożliwionym rzeczywiście przez ofiarne przewyciężenie własnej niechęci, zapoznaliśmy się z grupami osobników, których „życie seksualne” odbija w sposób najbardziej jaskrawy od przeciętnego obrazu. Jedni spośród tych „perwersyjnych” skreślili, że się tak wyrażę, ze swego programu różnicę płci. Tylko ta sama płeć może wzniecić ich pożądanie seksualne; płeć odmienna, zwłaszcza jej narządy płciowe, nie jest dla nich w ogóle obiektem seksualnym, a w skrajnych wypadkach jest nawet przedmiotem wstrętu. Zrzekli się oni przez to naturalnie także wszelkiego udziału w płodzeniu. Takie osoby nazywamy homoseksualistami. Są to kobiety i mężczyźni, stojący często — nie zawsze — na wysokim poziomie, rozwinięci intelektualnie i etycznie, obarczeni tylko tym jednym fatalnym zboczeniem. Podają się oni za pośrednictwem swych rzeczników naukowych za specjalną odmianę rodzaju ludzkiego, za „trzecią płeć”, równouprawnioną z obiema innymi. Będziemy może mieli sposobność poddać krytyce ich wymagania. Naturalnie, że nie są oni, jakby chętnie twierdzili, „elitą” ludzkości, lecz mają pośród siebie co najmniej tyle bezwartościowych i nieużytecznych osobników, co jednostki o odmiennym ukształtowaniu seksualnym.

Jednostki perwersyjne odnoszą się do swego obiektu seksualnego mniej więcej tak samo, jak ludzie normalni do swego. Ale oto następuje długi szereg ludzi nienormalnych, których czynność seksualna oddala się coraz bardziej od tego, co człowiekowi rozsądnemu wydaje się godne pożądania. W swej różnorodności i osobliwości dają się oni porównać tylko z groteskowymi potworami, które P. Breughel malował jako pokusę św. Antoniego, lub z zaginionymi bóstwami i ich wyznawcami, których długą procesję przesuwają G. Flaubert przed oczyma pobożnego pokutnika. Ich rojowisko wymaga pewnego uporządkowania, jeśli nie ma zamącić naszych zmysłów. Dzielimy ich na takich, u których, jak u homoseksualistów, zmienił się obiekt seksualny, i na innych, u których przede wszystkim zmieniony został cel seksualny. Do pierwszej grupy należą ci, którzy zrzekli się połączenia obu gatunków i u jednego z partnerów zastępują przy akcie seksualnym narząd płciowy przez inną część lub okolice ciała; przy tym nie wstrzymuje ich ani brak urządzenia organicznego, ani uczucie wstrętu (usta, otwór odbytowy — zamiast pochwy). Dalej następują inni, u których obiektem jest wprawdzie jeszcze narząd płciowy, ale nie z racji jego funkcji seksualnej, lecz skutek innych czynności, w których

bierze on udział ze względów anatomicznych lub ze względu na sąsiedztwo. Dowiadujemy się tutaj, że funkcje wydzielnicze, które przy wychowaniu dziecka zostały usunięte na bok, jako nieprzyzwoite, zachowują możliwość ześrodkowania na sobie całkowitego zainteresowania seksualnego. Potem idą inni, którzy w ogóle porzucili narząd płciowy jako obiekt, na jego miejsce zaś wysuwają jako przedmiot pożądania inną część ciała, pierś kobiecą, nogę warkocz. Są tacy, dla których nawet żadna część ciała nie posiada znaczenia, natomiast jakaś część ubrania, bucik, część bielizny, zaspokajają ich wszystkie pragnienia — to fetyszyści. Dalej idą w tym szeregu osoby, które wprawdzie pożądają całego obiektu, lecz stawiają mu zupełnie określone, osobliwe lub okropne wymagania, nawet i takie, że musi on stać się bezbronny trupem, do czego używają zbrodniczego przymusu, by chuć swą zaspokoić. Ale dosyć tych okropności!

Drugi szereg składa się z osobników perwersyjnych, którzy postawili sobie jako cel pragnień seksualnych to, co stanowi normalnie czynność wstępną i przygotowawczą. Dążą więc oni do oglądania i dotykania drugiej osoby, do przyglądania się jej podczas czynności intymnych, inni znów obnażają własne ukryte części ciała w niejasnym oczekiwaniu, iż zostaną wynagrodzeni przez to samo świadczenie drugiej strony. Dalej następują dziwni sadyści, których tkliwe dążenie nie zna innego celu ponad przyczynianie bólów i mąk swemu obiektowi, od oznak upokorzenia aż do ciężkich uszkodzeń cielesnych; a jakby dla wyrównania, jako przeciwieństwo — masochiści, których jedyną rozkoszą jest znoszenie od ukochanego obiektu wszystkich upokorzeń i męczarni zarówno w postaci symbolicznej, jak i realnej. Są inni jeszcze, u których łączy się i krzyżuje szereg tych nienormalnych warunków; wreszcie dowiadujemy się, iż w każdej z tych grup zdarza się, że obok jednych, którzy szukają swego zaspokojenie seksualnego w rzeczywistości, bywają inni, którzy poprzestają na wyobrażaniu sobie tego zaspokojenia, którzy w ogóle nie potrzebują obiektu realnego, lecz zastępują go sobie za pomocą fantazji.

Przy tym nie ulega najmniejszej wątpliwości, że te szaleństwa, osobliwości i okropności rzeczywiście stanowią czynność seksualną tych osobników. Nie tylko dlatego, że sami tak pojmują i wyczuwają swój stosunek zastępczy; musimy sobie też powiedzieć, że gra to w ich życiu tę samą rolę co normalne zaspokojenie seksualne w naszym, że ponoszą oni w tym celu te same, bardzo często wielkie ofiary i można

sledzić w całości, jak i w subtelniejszych szczegółach, gdzie te nienormalności graniczą ze stanem rzeczy normalnych, a gdzie od niego odstępują. Widzicie również, że odnajdujecie tu charakter nieprzyzwoitości związany z czynnością seksualną; lecz jest on po większej części spotęgowany aż do ohydy.

A więc, panie i panowie, jak odnosimy się do tych niezwykłych rodzajów zaspokożenia seksualnego? Obruszenie się, objawienie naszej osobistej niechęci i zapewnienie, że nie podzielamy tych chuci, nie na wiele się zda. Nie o to nas pytają. Jest to przecież dziedzina zjawisk taka jak każda inna. Wybieg, że są to rzadkości i osobliwości, da się łatwo odrzucić. Chodzi tu, przeciwnie, o zjawiska bardzo częste i szeroko rozpowszechnione. Lecz jeśli usłyszymy, że nie powinniśmy dać się przez nie wprowadzić w błąd w naszych poglądach na życie płciowe, gdyż stanowią one wykołajenie popędu seksualnego — na to należałoby dać poważną odpowiedź. Jeśli nie rozumiemy tych chorobliwych ukształtowań sfery płciowej i nie możemy powiązać ich z normalnym życiem seksualnym, znaczy to, że nie rozumiemy właśnie i normalnej seksualności. Krótko mówiąc, mamy niezaprzeczony obowiązek zdać sprawę teoretyczną z możliwości wyżej wymienionych perwersji i z ich związku z tak zwaną płciowością.

Pomoże nam w tym jeden pogląd i dwa nowe doświadczenia. Pierwszy zawdzięczam Iwanowi Blochowi; koryguje on pojmowanie tych wszystkich perwersji jako „znak zwyrodnienia” za pomocą wykazania, że takie odchylenia od celu seksualnego, takie rozluźnienia stosunku do obiektu seksualnego zdarzały się zawsze, od najdawniejszych aż do naszych czasów, u wszystkich ludów; od pierwotnych aż do najbardziej ucywilizowanych, i zdobywały sobie niekiedy tolerancję i znaczenie. Co do doświadczeń, to zostały one poczynione przy badaniu psychoanalitycznym neurotyków; muszą też wpływać w sposób decydujący na nasze pojmowanie perwersji seksualnych.

Powiedzieliśmy, że objawy nerwicowe są zastępczymi zaspokojeniami seksualnymi, i wspomniałem już, że potwierdzenie tego zdania przez analizę objawów napotyka różne trudności. Jest ono mianowicie wtedy dopiero usprawiedliwione, kiedy mianem „zaspokojenie seksualne” obejmujemy też tak zwane zaspokojenia perwersyjne, gdyż taka interpretacja objawów narzuca się nam niezmiernie często. Roszczenia homoseksualistów do wyjątkowości upadają natychmiast, gdy dowiadujemy się, że próba wykazania istnienia tendencji homoseksualnych

nie zawodzi u żadnego neurotyka i że sporo objawów jest wyrazem tej utajonej inwersji. Ci, którzy sami mianują się homoseksualistami, są to właśnie osobniki dotknięte świadomą i jawną inwersją, których liczba okazuje się znikoma w porównaniu z liczbą homoseksualistów utajonych. Jesteśmy jednak zmuszeni uważać wybór obiektu spośród płci własnej wprost za regularne odgałęzienia życia miłosnego i uczymy się coraz bardziej przypisywać mu duże znaczenie. Naturalnie, że nie znosi to różnic między homoseksualizmem jawnym a zachowaniem się normalnym; ich znaczenie praktycznie pozostaje, ale ich wartość teoretyczna maleje niezwykle. Przy pewnej określonej chorobie psychicznej, której nie zaliczamy do nerwic przeniesienia, przy paranoi, zakładamy nawet, że wywodzi się ona z reguły z próby samoobrony przed nader silnymi homoseksualnymi popędami. Przypominacie sobie może jeszcze, że jedna spośród naszych pacjentek udawała w swej czynności przymusowej mężczyznę — własnego, opuszczonego przez nią męża; takie produkowanie objawów personifikacji męskiej jest u kobiet dotkniętych nerwicą czymś zupełnie zwykłym. Chociaż nie można zaliczyć tego zjawiska wręcz do homoseksualizmu, ma ono jednak dużo wspólnego z jego przesłankami.

Jak zapewne wiecie, nerwica histeryczna może tworzyć swe objawy we wszystkich systemach narządów i przez to zakłócić wszystkie czynności. Analiza pokazuje, że ujawniają się przy tym wszystkie popędy zwane perwersyjnymi, które pragną zastąpić genitalia przez inne narządy. Narządy te zachowują się przy tym jak genitalia zastępcze; dzięki symptomatologii hysterii pojęliśmy właśnie, że narządom naszego ciała należy przypisać prócz ich właściwej roli funkcjonalnej znaczenie seksualne — erogenetyczne — i że spełnianie przez nie pierwszego zadania zostaje zakłócone, jeśli to drugie stawia im zbyt duże wymagania. Niezliczone odczucia i inercje występują jako objawy hysterii w narządach nie mających na pozór nic wspólnego z seksualnością, odsłaniają nam w ten sposób swój charakter jako spełnienie perwersyjnych dążeń seksualnych, z powodu których pewne narządy przywłaszczyły sobie znaczenie narządów płciowych. Widzimy też wtedy, w jak rozległej mierze mogą właśnie narządy służące do przyjmowania pożywienia i do wydalania stać się wyrazicielami podrażnienia seksualnego. Jest to więc to samo, co pokazały nam perwersje, z tą tylko różnicą, że tam było to widoczne bez wysiłku i niezaprzeczalnie, podczas gdy przy hysterii musimy iść drogą okrężną,

poprzez interpretację objawów, i odnośne poglądy seksualne przypisywać nie świadomości osobników, lecz umieścić je w ich nieświadomym.

Okazuje się, że spośród wielu postaci klinicznych, pod którymi występuje nerwica natręctwa, najważniejsze są wywołane przez parcie nader silnych, sadystycznych, a więc perwersyjnych w swym celu, tendencji seksualnych. Objawy służą zatem do tego celu, który odpowiada strukturze nerwicy natręctwa, przeważnie do obrony przed pragnieniami, lub też są wyrazem walki między zaspokojeniem i obroną. Ale przy tym nie zostaje zbyt pokrzywdzone i samo zaspokojenie; potrafi ono drogami okrężnymi przejawiać się w zachowaniu się chorych i zwraca się z zamiłowaniem przeciw ich osobie, czyni ich dręczycielami samych siebie. Inne postaci nerwicy, o charakterze wątpiaco-badawczym, odpowiadają nadmiernej seksualizacji aktów, które zresztą zwykle stanowią przygotowania na drodze do normalnego zaspokojenia seksualnego, jako to chęci patrzenia, dotykania i badania. Ogromne znaczenie obawy dotknięcia i przymusu mycia znajduje tutaj swoje wyjaśnienie. Nieoczekiwanie duża część czynności przymusowych sprowadza się, pod postacią zamaskowanego powtórzenia i modyfikacji, do samogwałtu, który, jak wiadomo jako jedyna stała czynność towarzyszy najróżnorodniejszym postaciom fantazjowania seksualnego.

Nie kosztowałoby mnie wiele wysiłku przedstawienie wam jeszcze dokładniej wzajemnego stosunku między perwersją a nerwicą, sądząc jednak, że to, co powiedziałem dotychczas, wystarczy dla naszego zamiaru. Musimy się jednakże zastrzec, jakobyśmy na podstawie tego wyjaśnienia znaczenia objawów przeceniali częstość i nasilenie perwersyjnych skłonności ludzkich. Słyszeliście, że można zachorować na nerwicę z powodu braku normalnego zaspokojenia seksualnego. Przy tym braku realnym pożądanie przerzuca się na nienormalne drogi podniecenia płciowego. W każdym razie rozumiecie, że skutek takiego zatamowania tendencje perwersyjne muszą wydawać się silniejsze, niżby to miało miejsce, gdyby żadna realna przeszkoda nie stanęła na drodze do normalnego zaspokojenia seksualnego. Podobny wpływ musimy zresztą przyjąć i dla jawnych perwersji. W niektórych wypadkach zostają one wywołane lub ożywione przez to, że normalne zaspokojenie popędu płciowego napotyka zbyt wielkie trudności, bądź skutek okoliczności przejściowych, bądź też trwałych urządzeń społecznych. W innych wypadkach skłonności perwersyjne są zresztą

zupełnie niezależne od takich okoliczności sprzyjających; są one, że tak powiem, dla danego osobnika normalnym trybem życia płciowego.

Być może, że macie chwilowo wrażenie, jak gdybyśmy stosunek między płciowością normalną a perwersyjną raczej zagmatwali, niż wyjaśnili. Lecz trzymajcie się następującego rozważania: jeżeli słuszne jest, że realne utrudnienie lub brak normalnego zaspokojenia seksualnego wyprowadzają na jaw skłonności perwersyjne u osób, które by poza tym ich nie ujawniły, to musi być przecież w tych osobach coś, co perwersjom tym sprzyja: lub — jeżeli chcecie — muszą one w nich istnieć w formie ukrytej. Lecz tą drogą dochodzimy do drugiego odkrycia, które wam zapowiedziałem. Badanie psychoanalityczne było mianowicie zmuszone zatroszczyć się też i o życie seksualne dziecka, a to dlatego, że wspomnienia i kojarzenia przy analizie objawów prowadziły stale wstecz do wczesnych lat dzieciństwa. Cośmy z tego wynioskowali, to zostało potem potwierdzone punkt po punkcie przez bezpośrednią obserwację nad dziećmi. I wtedy okazało się, że wszystkie skłonności perwersyjne mają swe korzenie w dzieciństwie, że dzieci posiadają wszelką dyspozycję w tym kierunku i wprowadzają ją w czyn w rozmiarze odpowiadającym ich niedojrzałości, krótko mówiąc, że seksualność perwersyjna nie jest niczym innym jak zwiększoną, na poszczególne składniki rozłożoną seksualnością dziecięcą.

Teraz ujrzycie jednak perwersje w innym świetle i nie przeoczycie więcej ich związku z życiem płciowym, ale kosztem jakich nieprzyjemnych dla waszego uczucia rozczarowań! Będziecie na pewno skłonni sprzeciwiać się z początku wszystkiemu: faktowi, że dzieci posiadają coś, co możemy nazwać życiem seksualnym, słuszności naszych spostrzeżeń i prawu znajdowania w zachowaniu się dzieci pokrewieństwa z tym, co potępiamy później jako perwersję. Pozwólcie więc, że wyjaśnię najpierw motywy waszej niechęci, a następnie przedłożę całość naszych spostrzeżeń. Przypuszczenie, że dzieci nie mają życia seksualnego — podnieceń seksualnych, potrzeb i pewnego rodzaju zaspokojenia — lecz rozpoczną je dopiero nagle między dwunastym a czternastym rokiem życia, byłoby, pominąwszy wszystkie spostrzeżenia, biologicznie równie nieprawdopodobne, ba, bezsensowne, jak przypuszczenie, że nie przynoszą ze sobą na świat narządów płciowych i te rosną im dopiero w okresie pokwitania. To, co budzi się w nich w tym okresie, jest to funkcja rozrodcza, która posługuje

się dla swych celów znajdującym się już materiałem cielesnym i duchowym. Popęlniacie błąd mieszając pojęcia seksualizmu i płodzenia i zamykacie sobie przez to drogę do zrozumienia płciowości, perwersji i nerwic. Błąd ten jest jednak tendencyjny. Posiada on swe źródło w tym, że sami byliście dziećmi i jako dzieci ulegaliście wpływowi wychowania. Społeczeństwo musi bowiem uważać za jedno ze swych najważniejszych zadań wychowawczych poskramianie popędu płciowego, jeśli wybucha on jako pęd do rozmnażania się, ograniczanie go, poddanie go woli indywidualnej, która jest identyczna z nakazem społecznym. W interesie społeczeństwa leży też odsunięcie jego całkowitego rozwoju aż do czasu, gdy dziecko osiągnie pewien stopień dojrzałości intelektualnej, gdyż z zupełnym rozwojem popędu płciowego kończy się praktycznie możliwość wychowywania. Inaczej popęd zerwałby wszystkie tamy i zniósłby z wielkim trudem zbudowane dzieło kultury. Zadanie poskramiania go nie jest też nigdy tak łatwe, czasem się udaje, kiedy indziej — nie. Motyw społeczeństwa ludzkiego jest w gruncie rzeczy ekonomiczny; ponieważ nie posiada ono dostatecznej ilości środków żywności, by utrzymywać swych członków bez pracy, musi ono ograniczać ilość swych członków i skierować ich energię od czynności seksualnej ku pracy. Oto jest owa wieczna, prastara, trwająca aż po teraźniejszość idea konieczności życiowej.

Wszak doświadczenie pokazało wychowawcom, że zadanie uczynienia powolnymi pragnień seksualnych nowego pokolenia daje się rozwiązać tylko o tyle, o ile zaczyna się wpływać na nie bardzo wcześnie, nie czekając na burzę okresu dojrzewania, lecz począwszy już od przygotowujących ją wczesnych okresów życia seksualnego dziecka. W tym celu zabrania się dzieciom i obrzydza prawie wszystkie infantylne czynności seksualne; stawia się sobie za cel idealny ukształtować życie dziecka bezpłciowo i z biegiem czasu doprowadziło się w końcu do tego, że uważa się je rzeczywiście za takie, co też potem nauka obwieszcza jako prawdę. By nie popaść w sprzeczność ze swą wiarą i swymi zamiarami, przeocza się czynność seksualną dziecka, co nie jest rzeczą łatwą, lub też nauka zadowala się tym, że ją inaczej ujmuje. Dziecko uchodzi za czyste, za niewinne i kto je opisuje inaczej, zostaje oskarżony o niegodziwe zuchwalstwo, obrażające delikatne i święte uczucia ludzkości.

Dzieci są to jedyne istoty, które nie znają tych konwencji, korzystają z całą naiwnością ze swoich praw animalnych i dają ciągle dowody, że drogę do czystości muszą dopiero odbyć. Jest to dość osobliwe, że

ludzie negujący seksualność u dzieci — nie tylko nie są pobłażliwi w ich wychowaniu, lecz właśnie prześladują jak najsurowiej objawy tego, co negują, zwąc je „narowami dziecięcymi”. Teoretycznie wysoce interesujące jest także to, że okres życia przeczący najjaskrawiej przesądowi dzieciństwa bezpłciowego — lata do piątego lub szóstego roku życia — pokryty jest później u większości osób zasłoną niepamięci, którą zdiera całkowicie dopiero badanie analityczne, a która jednak już przedtem przepuszczała pojedyncze elementy marzenia sennego.

Otóż chcę wam przedstawić, co daje się rozpoznać najwyraźniej z życia seksualnego dziecka. Pozwólcie mi też w tym celu wprowadzić pojęcie *libido*. Libido, zupełnie analogicznie do *głodu*, ma być mianem siły, za pomocą której ujawnia się popęd, tutaj popęd płciowy, jak przy głodzie popęd do jedzenia. Inne pojęcia, jak podniecenie i zaspokojenie seksualne, nie wymagają żadnego wyjaśnienia. Sami na pewno przyznacie bez trudu, że przy czynnościach seksualnych niemowlęcia interpretacja ma największe pole działania, lub prawdopodobnie użycie tego jako zarzutu. Interpretacje te otrzymujemy na zasadzie badań analitycznych, śledząc wstecz rozwój objawu. Pierwsze dążenia seksualne występują u niemowlęcia w związku z innymi ważnymi dla życia funkcjami. Jego główne zainteresowanie jest skierowane, jak wiecie, na przyjęcie pokarmu; kiedy, nasycone, zasypia u piersi, zjawia się wyraz błęgiego zadowolenia, który będzie się później powtarzał po przeżyciu orgazmu płciowego. Stanowiłoby to zbyt mało, by oprzeć na tym jakiś wniosek. Ale spostrzegamy, że niemowlę dąży do tego, by powtarzać czynność przyjmowania pokarmu bez żądania nowego pokarmu; nie działa tu więc podnieta głodu. Powiadamy, że ssie, a fakt, że zasypia przy tym znowu z błogim wyrazem, pokazuje nam, że czynność ssania sama przez się dała mu zadowolenie. Jak wiadomo,urządza się ono wkrótce tak, że nie zasypia bez ssania. Naturę seksualną tej czynności stwierdził naprzód stary lekarz chorób dziecięcych w Budapeszcie, dr Lindner. Osoby pielęgnujące dziecko, które nie mają zamiaru zająć żadnego stanowiska teoretycznego, zapatrują się podobnie na ssanie. Nie wątpią, że służy ono jedynie do zdobycia przyjemności, zaliczają je do narowów dziecka, i dlatego zmuszają je za pomocą nieprzyjemnych wrażeń do wyrzeczenia się go, jeśli dziecko samo go nie porzuca. Dowiadujemy się więc, że niemowlę wykonywa czynności, które nie mają żadnego innego celu, jak tylko zdobycie przyjemności. Przypuszczamy, że przeżywa ono najpierw tę przyjemność przyjmowania pokarmu, lecz

uczy się wkrótce uniezależniać ją od tego warunku. Zdobyć przyjemności może prowadzić tylko do podniecenia okolicy ust i warg, toteż nazywamy te części ciała *strefami* lub *okolicami erogenetycznymi*, a przyjemność zdobytą przez ssanie oznaczamy jako *seksualną*. Na temat usprawiedliwienia tej nazwy zmuszeni będziemy na pewno jeszcze podyskutować.

Gdyby niemowlę mogło się wypowiedzieć, uznałoby na pewno czynność ssania piersi matczynej za akt w życiu najważniejszy i miałoby do pewnego stopnia słuszość, gdyż za pomocą czynności tej zaspokaja ono jednocześnie dwie wielkie potrzeby życiowe. Dowiadujemy się potem z psychoanalizy nie bez zdziwienia, jak wiele ze znaczenia psychicznego tej czynności zachowuje się przez całe życie. Ssanie piersi matki staje się punktem wyjścia całego życia seksualnego, niedoścignionym wzorem dla każdego późniejszego zaspokojenia płciowego, do którego to wzoru fantazja wraca dość często w okresach niedosytu. Piers matki staje się pierwszym przedmiotem popędu płciowego; nie mogę wam dać właściwego wyobrażenia o tym, jak ważny jest ten pierwszy przedmiot dla każdego późniejszego znalezienia obiektu, jak głęboko sięgające działanie, nawet na najodleglejsze sfery życia duchowego, ujawnia on w swoich przemianach i namiastkach. Lecz następnie zostaje on porzucony przez niemowlę i przy zachowaniu czynności cmokania zastąpiony przez jakąś inną część jego ciała. Dziecko ssie swój paluch i własny język. Uniezależnia się ono w ten sposób od zezwolenia świata zewnętrznego przy zdobywaniu rozkoszy i prócz tego wywołuje potęgujące ją podniecenie innej okolicy ciała. Strefy erogenetyczne nie są jednakowo wydajne; jest to więc ważne przeżycie, gdy niemowlę, jak to opisuje Lindner, w trakcie poszukiwań na własnym ciele odkrywa specjalnie pobudliwe miejsca swoich narządów płciowych i w ten sposób znajduje drogę od ssania do onanizmu.

Przez uznanie roli ssania zaznajomiliśmy się z dwiema decydującymi cechami płciowości dziecięcej. Zjawia się ona w związku z zaspokojeniem ważnych potrzeb organicznych i zachowuje się *autoerotycznie*, szuka swoich obiektów i znajduje je na własnym ciele. To, co wystąpiło najwyraźniej podczas przyjmowania pokarmu, powtarza się po części przy wydalaniu. Wnioskujemy stąd, że niemowlę odczuwa przyjemność przy wydalaniu moczu i treści jelit i że stara się ono wkrótce czynności te tak wykonać, by przez odpowiednie podrażnienie błon śluzowych przynosiły mu możliwie dużą przyjemność. W tym punkcie przeciwsta-

wia mu się, jak to pokazała wnikliwa Lou Andreas, po raz pierwszy świat zewnętrzny jako moc hamująca, wroga jego dążeniu do rozkoszy i daje mu przeczuwać późniejsze walki zewnętrzne i wewnętrzne. Nie powinno ono wydalać swoich ekskrementów w chwili przez się wybranej, lecz wtedy, gdy nakażą mu to inne osoby. By je skłonić do zrzeczenia się tych źródeł zadowolenia, tłumaczy mu się, że wszystko, co dotyczy tych funkcji, jest nieprzyzwoite i musi zostać utajone. Po raz pierwszy musiało tutaj zrzec się przyjemności na rzecz swej godności socjalnej. Jego stosunek do samych wydalin jest od początku zupełnie inny. Nie odczuwa ono żadnego wstrętu do swego kału, ceni go jako część swego ciała, z którą niełatwo się rozłącza, i używa go jako pierwszego „podarunku”, by wyróżnić osoby, które specjalnie ceni. Jeszcze wtedy, gdy wychowaniu powiodło się oduczyć je tych skłonności, przenosi ono tę ocenę kału na „podarunek” i na „pieniądz”. Na swoją czynność wydalania zdaje się ono spoglądać natomiast z osobliwą dumą.

Wiem, że chcielibyście już dawno przerwać mi, wołając: dość tych okropności! Wydalanie kału miałyby być źródłem zadowolenia seksualnego, które wyzyskuje już niemowlę! Kał cenną substancją, otwór odbytowy rodzajem narządu płciowego! Nie wierzymy temu, ale pojmujemy, dlaczego lekarze chorób dziecięcych i pedagogowie odsuwają od siebie psychoanalizę i jej rezultaty. Nie, panowie! Zapomnieliście tylko, że chciałem wam przedstawić fakty dziecięcego życia seksualnego w związku z faktami perwersji seksualnych. Dlaczego nie macie wiedzieć, że otwór odbytowy u dużej liczby osobników dorosłych, homoseksualnych, jak i heteroseksualnych, przy stosunku płciowym rzeczywiście przyjmuje rolę pochwy! I że jest wiele osób, które zachowują w ciągu całego życia odczucie rozkoszy przy wypróżnianiu i opisują je jako dość znaczne? Co się zaś tyczy zainteresowania aktem defekacji i przyjemności przyglądania się defekacji u kogoś innego, to mogą potwierdzić to same dzieci, gdy nieco podrosną i potrafią się wypowiedzieć. Naturalnie, że nie powinniście tych dzieci uprzednio systematycznie onieśmielać, gdyż rozumieją wtedy dobrze, że powinny to przemilczeć. Co się zaś tyczy innych uwag, w które nie chcecie uwierzyć, to odsyłam was do wyników analiz i bezpośredniej obserwacji dzieci i zapewniam was, że sztuką jest po prostu nie widzieć tego wszystkiego, lub też widzieć inaczej.

Nie mogę też mieć nic przeciwko temu, jeśli pokrewieństwo czynności seksualnej dziecka z perwersjami seksualnymi wyda się

komuś nader uderzające. Jest ono właściwie zrozumiałe samo przez się: jeśli dziecko posiada w ogóle życie seksualne, musi ono być natury perwersyjnej, gdyż dziecku brakuje jeszcze poza niewieloma niejasnymi przejawami wszystkiego tego, co czyni z płciowości funkcję rozrodczą. Z drugiej strony, cechą wspólną wszystkich perwersji jest to, że porzuciły one cel rozrodczy. W tym wypadku właśnie zwiemy czynność seksualną perwersyjną, jeśli rezygnuje ona z celu rozrodczego i dąży niezależnie od niego do osiągnięcia rozkoszy. Rozumiecie więc, że przełom i punkt zwrotny w rozwoju życia seksualnego leży w jego podporządkowaniu zamiarom płodzenia. Wszystko, co odbywa się przed tym zwrotem, także wszystko, co się odeń uchyliło i co służy wyłącznie do zdobycia rozkoszy, zostaje nazwane mało zaszczytnym mianem „perwersyjne” i jako takie wzgardzone.

Pozwólcie mi więc kontynuować mój zwięzły opis płciowości dziecięcej. To, co powiedziałem o dwóch systemach narządów, mógłbym uzupełnić uwzględniając inne układy narządowe. Życie seksualne dziecka wyczerpuje się właśnie w czynności szeregu popędów częściowych, które niezależnie od siebie szukają zdobycia rozkoszy częściowo na własnym ciele, częściowo na obiekcie zewnętrznym. Między tymi narządami wysuwają się bardzo prędko na plan pierwszy narządy płciowe; bywają ludzie, u których doznawanie rozkoszy z własnego narządu płciowego bez pomocy innych genitaliów lub obiektu ciągnie się bez przerwy od czasów onanii niemowlęcej aż do onanii okresu pokwitania i trwa nadal nieokreślenie długo poza ten okres. Z tematem onanii nie załatwimy się zresztą tak prędko; jest to materiał nadający się do wielostronnego rozpatrzenia.

Mimo chęci skrócenia tematu muszę jeszcze coś niecoś powiedzieć o dociekaniach seksualnych dzieci. Są one nader charakterystyczne dla płciowości dziecięcej i bardzo ważne dla symptomatologii nerwic. Dziecięce dociekania seksualne rozpoczynają się bardzo wczesnie, czasem przed trzecim rokiem życia. Nie nawiązują one do różnicy płci, która dla dziecka nie istnieje, gdyż przypisuje ono — przynajmniej chłopcy — obu płciom ten sam narząd męski. Gdy chłopiec spostrzega u swej małej siostrzyczki lub u towarzyszki zabaw pochwę, stara się on najpierw zaprzeczyć temu spostrzeżeniu swych zmysłów, gdyż nie może sobie przedstawić podobnego sobie stworzenia ludzkiego bez tej tak cennej dla niego części. Później przestrasza go ta otwierająca się przed nim możliwość, a pewne dawniejsze groźby, które wywołał przez

zbyt intensywne zajmowanie się swym małym członkiem, zaczynają teraz dochodzić do głosu. Dostaje się pod władzę kompleksu kastracyjnego, którego ukształtowanie się bierze duży udział w formowaniu się jego charakteru — gdy pozostaje on zdrowy, w jego nerwicy — gdy na nią zapada, i wreszcie, w jego oporach — gdy poddaje się leczeniu analitycznemu. O małej dziewczynce wiemy, że czuje się bardzo pokrzywdzona brakiem widocznego członka, zazdrości chłopcu posiadania go, tak że rozwija się u niej głównie z tego powodu pragnienie stania się mężczyzną. Pragnienie to pojawia się znowu później w nerwicy, która wystąpi wskutek jej niepowodzenia jako kobiety. *Clitoris* dziewczynki odgrywa zresztą w wieku dziecięcym rolę członka, jest miejscem szczególnej pobudliwości, miejscem, gdzie osiągane bywa zaspokojenie autoerotyczne. Dla przeobrażenia się dziewczynki w kobietę jest rzeczą bardzo ważną, by *clitoris* we właściwym czasie i w całej rozciągłości przekazała tę wrażliwość wejściu do pochwy. W wypadkach tak zwanej nieczułości płciowej kobiet *clitoris* zachowała tę wrażliwość.

Seksualne zainteresowanie dziecka skierowuje się przede wszystkim ku zagadnieniu, skąd się biorą dzieci, temu samemu, które stanowiło podstawę pytań stawianych przez tybetańskiego sfinksa; zainteresowanie to zostaje wywołane przeważnie egoistyczną obawą przy zjawieniu się nowego dziecka. Odpowiedź, że przynosi je bocian, trafia już u małych dzieci na niewiarę znacznie częściej, niż o tym wiemy. Uczucie, że dorośli je oszukali, nie powiedzieli mu prawdy, przyczynia się bardzo do osamotnienia dziecka i do rozwoju jego samodzielności. Lecz dziecko nie jest w możności rozwiązać tego problemu o własnych siłach. Jego zdolność poznania jest ograniczona przez jego niedojrzały ustrój seksualny. Przypuszcza ono najpierw, że dzieci powstają wtedy, kiedy się zje coś specjalnego, i nie wie też nic o tym, że tylko kobiety mogą mieć dzieci. Później dowiaduje się o tym ograniczeniu i porzuca teorię pochodzenia dzieci od pożywienia, zachowuje się ona tylko w świecie bajek. Nieco starsze dziecko spostrzeża zaraz, że ojciec musi odgrywać pewną rolę przy przyjściu dziecka na świat, ale nie może odgadnąć, jaką. Jeśli staje się przypadkowo świadkiem aktu płciowego, widzi w nim próbę pokonania, walkę — jest to zatem sadystyczne ujęcie spółkowania. Nie widzi jednak początkowo związku pomiędzy tym aktem a poczęciem dziecka. Jeśli odkrywa nawet ślady krwi w łóżku i na bieliźnie matki, przyjmuje je za dowód skaleczenia, które jest winą ojca. W późniejszych latach przeczuwa ono wprawdzie, że

narząd płciowy mężczyzny bierze ważny udział w powstawaniu dzieci, nie może jednak przypisać tej części ciała innej czynności, jak wydalanie moczu.

Od samego początku dzieci zgadzają się z tym, że dziecko rodzi się przez otwór odbytowy, przychodzi więc na świat podobnie jak wydostają się na zewnątrz masy kałowe. Dopiero po przesunięciu się wszystkich zainteresowań analnych porzuca ono tę teorię i zastępuje ją przypuszczeniem, że to pępek lub okolica między piersiami jest miejscem narodzin. W ten sposób dziecko w trakcie swych badań zbliża się do poznania faktów seksualnych lub, błędząc w swej niewiedzy, przechodzi mimo nich dopóty, dopóki, przeważnie w latach poprzedzających okres dojrzewania płciowego, nie otrzyma wyjaśnienia, zwykle poniżającego i niezupełnego, które pociąga za sobą nierzadko skutki urazowe.

Słyszeliście na pewno, moi panowie, że pojęcie seksualizmu zostało w psychoanalizie niezwykle rozszerzone, a to z zamiarem utrzymania w mocy twierdzeń wypowiedzianych na temat przyczyny seksualnej nerwic i znaczenia seksualnego objawów. Możecie sami osądzić, czy rozszerzenie to jest nieusprawiedliwione. Pojęcie seksualizmu rozszerzyliśmy tylko o tyle, że może ono ogarnąć także i życie seksualne osobników perwersyjnych i dzieci. To znaczy, że przywróciliśmy mu właściwy wymiar. To, co poza psychoanalizą zwie się seksualizmem, odnosi się tylko do życia płciowego zwanego normalnym, ograniczonego i pozostającego na usługach rozmnażania.

WYKŁAD XXI

Rozwój libido i organizacje seksualne

Moi panowie! Mam wrażenie, że nie udało mi się prawdziwie przekonywająco przedstawić wam znaczenia perwersji dla naszego pojmowania seksualizmu. Chciałbym to naprawić i uzupełnić, o ile tylko mogę.

Rzecz nie ma się przecież tak, jakoby jedynie perwersje zmusiły nas

do owej zmiany pojęcia seksualizmu, która to zmiana wywołała tak silny sprzeciw. Badanie płciowości dziecięcej przyczyniło się do tego jeszcze bardziej, a zgodność obu tych dziedzin stała się dla nas decydująca. Lecz przejawy seksualizmu dziecięcego, jakkolwiek są niezaprzeczone w późniejszych latach dzieciństwa, zdają się w jego początkach rozpląwać się w nieokreśloność. Kto nie zechce brać pod uwagę historii rozwoju i związku analitycznego, ten będzie zaprzeczał ich charakterowi seksualnemu, przyzna im natomiast jakiś charakter niezróżnicowany. Nie zapominajcie, że nie posiadamy obecnie ogólnie przyjętej oznaki dla natury seksualnej jakiegoś procesu, prócz chyba jego przynależności do czynności płodzenia, którą znów musimy odrzucić, jako zbyt ciasną. Kryteria biologiczne, jak ustanowiona przez W. Fliessa okresowość, obejmująca 23 i 28 dni, są jeszcze zupełnie sporne; specjalne własności chemiczne procesów seksualnych, których istnienie możemy przypuszczać, czekają jeszcze na odkrycie. Perwersje seksualne ludzi dorosłych natomiast są czymś uchwytnym i niedwuznacznym. Jak wskazuje ogólnie przyznana im nazwa, należą one niewątpliwie do sfery płciowej. Można je zwać oznakami zwyrodnienia lub inaczej — nikt jednak nie odważył się jeszcze zaliczyć ich do innej dziedziny aniżeli do zjawisk życia seksualnego. Jedynie z ich racji mamy prawo twierdzić, że seksualizm i rozmnażanie nie pokrywają się nawzajem, gdyż jest to oczywiste, że wszystkie one nie mają na celu zachowania gatunku.

Widzę tu pewną interesującą paralelę. Podczas gdy dla większości „świadome” i „psychiczne” znaczy to samo, byliśmy zmuszeni rozszerzyć pojęcie „psychiczne” i uznać zjawiska psychiczne, które są nieświadome. Zupełnie podobnie dzieje się wtedy, gdy „seksualne” i „należące do rozmnażania” — lub, jeśli chcecie wyrazić to krócej, „genitalne” — określa się jako identyczne, podczas gdy nie możemy pominąć faktu istnienia „spraw seksualnych”, które nie są „genitalne” i nie mają nic wspólnego z płodzeniem. Jest to tylko podobieństwo formalne, ale nie bez głębszego uzasadnienia.

Lecz jeśli istnienie perwersji seksualnych jest tak przekonującym argumentem w tej kwestii, dlaczego nie działał on już dawniej i nie rozwiązał tego pytania? Doprawdy, nie potrafię na to odpowiedzieć. Zdaje mi się, że polega to na tym, iż na perwersje seksualne zostało nałożone specjalne piętno ujemne, które przenika też w dziedzinę teorii i staje na drodze ich naukowej ocenie. Tak, jak gdyby nikt nie

mógł zapomnieć, że są nie tylko czymś wstrętnym, lecz także czymś niesłychanym, niebezpiecznym, jak gdyby uważano je za kuszące i w gruncie rzeczy musiano zwalczać ukrytą zazdrość przeciw tym, którzy się nimi rozkoszują, podobnie jak przyznaje się do niej wymierzający karę landgraf w słynnej parodii Tannhäusera:

„Na górze Venus zapomniał o czci i o honorze!
— Dziwne, że coś podobnego nam zdarzyć się nie może”

W rzeczywistości są osobniki perwersyjne raczej nieszczęśliwcami, którzy niezwykle ciężko pokutują za swoje trudne do zdobycia zaspokojenie.

To, co czynność perwersyjną mimo całej obcości przedmiotu i celów czyni tak niezaprzeczalnie seksualną, to okoliczność, że akt zaspokojenia perwersyjnego kończy się po większej części całkowitym orgazmem i wydaleniem produktów genitalnych. Jest to naturalnie tylko skutkiem dojrzałości osobników; u dziecka orgazm i wydzielenie z narządów płciowych są niemożliwe, zostają one zastąpione przez oznaki, których charakter seksualny nie może być stwierdzony z całą pewnością.

Muszę dodać coś jeszcze, by uzupełnić znaczenie perwersji seksualnych. Jakkolwiek są one potępione i przeciwstawia się je ostro normalnej czynności seksualnej, prosta obserwacja pokazuje przecież, że w normalnym życiu płciowym rzadko brak tego lub innego rysu perwersyjnego. Już pocałunek ma prawo do nazwy aktu perwersyjnego, gdyż polega na połączeniu dwóch erogenetycznych stref ustnych zamiast obu narządów płciowych. Ale nikt nie odrzuca go jako perwersyjnego — przeciwnie, bywa on dopuszczany na scenę, jako łagodniejsze zaznaczenie aktu seksualnego. Lecz właśnie całowanie może łatwo stać się zupełną perwersją, jeśli jest tak intensywne, że wyładowanie narządów płciowych i orgazm następują bezpośrednio po nim, co zdarza się wcale nie tak rzadko. Wiemy też, że dotykanie i oglądanie obiektu jest dla jednego osobnika warunkiem niezbędnym rozkoszy płciowej, że inny szczypie lub gryzie u szczytu podniecenia płciowego, że u kochającego największe podniecenie nie zawsze bywa wywoływane przez narząd płciowy, lecz przez inną część ciała partnera — te i tym podobne zjawiska można spotkać w dowolnym wyborze. Nie ma żadnego sensu wykluczanie z szeregu ludzi normalnych osób z takimi poszczególnymi rysami i zaliczanie ich do perwersyjnych,

natomiast poznajemy coraz wyraźniej, że istota perwersji polega nie na przekraczaniu celu seksualnego, nie na zastępowaniu narządów płciowych innymi, ba, nawet nie na zmianie obiektu, lecz na wyłączności występowania tych odchylających się czynności, przez które akt płciowy, służący funkcji rozrodczej, zostaje usunięty na stronę. Z chwilą, gdy czynności perwersyjne przyczyniają się do wywołania normalnego aktu seksualnego, jako dodatkowe elementy przygotowawcze lub wzmacniające, przestają być właściwie perwersjami. Naturalnie, że przepaść między płciowością normalną a perwersyjną zostaje przez to znacznie zmniejszona. Wynika stąd zupełnie naturalnie, że seksualność normalna powstaje z czegoś, co istniało przed nią, przez wyeliminowanie pewnych składników tego materiału, jako bezużytecznych, oraz przez skupienie innych, które podporządkowuje nowemu celowi, celowi rozmnażania.

Nim zużytkujemy nasze zapoznanie się z perwersjami w tym celu, by z wyjaśnionymi przesłankami zagłębić się na nowo w badania płciowości dziecięcej, muszę podkreślić ważną różnicę między obiema seksualnościami. Seksualność perwersyjna jest z reguły doskonale ześrodkowana, wszystkie działania prą do jednego — zwykle do jedyne — celu; jeden popęd cząstkowy ma w niej przewagę albo jest tym jedynym, który daje się wykazać, lub też podporządkował inne swoim zamiarom. Pod tym względem nie ma między płciowością perwersyjną a normalną innej różnicy niż ta, że panujące popędy cząstkowe, a więc i cele seksualne, są różne. Tu i tam panuje, że się tak wyrazimy, dobrze zorganizowana tyrania, tyle tylko, że tu jedna, tam zaś inna rodzina zagarnęła władzę. Seksualność dziecięca nie posiada na ogół tej centralizacji i organizacji, poszczególne popędy cząstkowe są równouprawnione, każdy dąży na własną rękę do zdobycia rozkoszy. Zarówno brak, jak i obecność centralizacji zgadzają się naturalnie z tym faktem, że obie seksualności, zarówno perwersyjna, jak i normalna, powstały z dziecięcej. Zdarzają się zresztą wypadki seksualności perwersyjnej, które posiadają znacznie więcej podobieństwa do dziecięcej, ponieważ liczne popędy cząstkowe, jeden niezależnie od drugiego, osiągnęły lub — lepiej — osiągają swoje cele. Słuszniej jest mówić w tych wypadkach o infantyлизmie życia seksualnego niż o perwersji.

Tak przygotowani, możemy zająć się roztrząsaniem propozycji, która na pewno nie będzie nam zaoszczędzona. Powiedzą nam:

dłaczego upieracie się przy tym, by nieokreślone, jak twierdzicie sami, przejawy dziecięce, z których później powstaje seksualność, już nazywać płciowością? Dlaczego nie zadowalacie się raczej opisem fizjologicznym i nie powiadacie zwyczajnie, że u niemowlęcia spostrzegamy już takie czynności, jak cmokanie lub zatrzymywanie ekskrementów, co pokazuje nam, że dąży ono do osiągnięcia *przyjemności związanej z narządami*? Uniknęlibyście wówczas obrażającego uczucia nasze przypisywania życia seksualnego już maleńkiemu dziecku. — Tak, moi panowie, nie mam nic przeciw pojęciu rozkoszy narządów; wiem, że najwyższa rozkosz połączenia seksualnego jest też tylko rozkoszą związaną z działalnością genitaliów. Ale czy możecie mi powiedzieć, kiedy owa początkowo indyferentna rozkosz narządów nabywa charakteru seksualnego, który posiada bez wątpienia w późniejszych fazach rozwoju? Czy wiemy więcej o „rozkoszy narządów” niż o seksualizmie? Odpowiedzcie, że charakter seksualny zjawia się wtedy, gdy genitalia zaczynają odgrywać swoją rolę; seksualne pokrywa się z genitalnym. Odrzucicie sami zarzut dotyczący perwersyj, wskazując na to, że przecież w większości perwersyj chodzi o wywołanie orgazmu genitalnego, choćby nawet inną drogą niż przez połączenie genitaliów. Stwarzacie sobie rzeczywiście znacznie lepszą pozycję, skreślając z charakterystyki seksualizmu związek z funkcją płodzenia, nie dający się utrzymać wobec istnienia perwersyj, i wysuwając na jego miejsce czynność narządów płciowych. Ale wtedy nie stoimy już daleko od siebie; narządy płciowe stają po prostu naprzeciw innym narządom. Co jednak uczynić z licznymi doświadczeniami, które wykazują, że genitalia mogą być w celu zdobycia rozkoszy zastąpione przez inne narządy, jak przy normalnym pocałunku, jak w praktykach perwersyjnych wyrafinowanej erotyki, jak w symptomatologii hysterii? Przy tej nerwicy jest rzeczą zwykłą, że zjawiska podrażnienia, doznania i inercje, nawet procesy erekcji, których miejscem zwykłym są genitalia, zostają przesunięte na inne, dalsze okolice ciała (na przykład przy przeniesieniu w górę — na głowę i twarz). W ten sposób przeświadczeni o tym, że nie posiadacie niczego, na czym moglibyście oprzeć waszą charakterystykę seksualności, będziecie zmuszeni zdecydować się iść za moim przykładem i nazwę „seksualne” rozszerzyć również i na czynności wczesnego dzieciństwa, zmierzające do zdobycia rozkoszy narządowej.

Teraz zechciejcie dla umożliwienia mi usprawiedliwienia się zwrócić się ku dwóm dalszym rozważaniom. Jak wiecie, seksualnymi zwiemy

owe wątpliwe i nieokreślone czynności najwcześniejszego dzieciństwa dążące do osiągnięcia przyjemności, gdyż dochodzimy do nich drogą analizy objawów zaczerpniętych z bezsprzecznie seksualnego materiału. Ale weźcie wypadek analogiczny. Wyobraźcie sobie, że nie mamy drogi do obserwacji rozwoju dwóch roślin dwuliściennych, jabłoni i fasoli, z ich nasienia, lecz możemy w obu wypadkach obserwować ich rozwój wstecz, od całkowicie ukształtowanej rośliny aż do pierwszego zarodka z dwoma listkami zarodkowymi. Oba te listki zarodkowe wyglądają jednakowo w obu wypadkach. Czy wobec tego przyjmę, że są w rzeczy samej jednakowe i że specyficzna różnica między jabłonią a fasolą występuje dopiero później, w okresie rośnięcia?

Czyż nie jest raczej pod względem biologicznym poprawniejsze przypuszczenie, że różnica ta znajduje się już w zarodku, jakkolwiek nie dostrzegamy jej w listkach zarodkowych? Postępujemy tak — mianując seksualną tę przyjemność, której dostarczają niemowlęciu jego czynności. Czy każdą przyjemność narządów zwać należy seksualną, czy też obok seksualnej istnieje jeszcze inna, nie zasługująca na to miano, o tym nie mogę tutaj rozprawić. Wiem zbyt mało o rozkoszy narządów i jej warunkach i w ogóle przy kroczącym wstecz charakterze analizy nie powinienem się dziwić, jeśli znajdę się w końcu wobec czynników obecnie jeszcze nie dających się określić.

Jeszcze jedno! Na ogół zyskacie bardzo niewiele dla poparcia waszego twierdzenia o seksualnej czystości dziecka, nawet jeśli zdołacie mnie przekonać, że czynności niemowlęcia należy oceniać raczej jako nieseksualne. Już bowiem od trzeciego roku życia znikają te wszystkie wątpliwości co do życia seksualnego dziecka; w tym czasie zaczynają być wrażliwe genitalia, istnieje już, może stały, okres masturbacji dziecięcej, a więc zaspokojenie genitalne. Psychiczne i socjalne przejawy życia seksualnego nie mogą pozostać nie postrzeżone; wybór obiektu, tkliwe wyróżnianie pojedynczych osób, ba, nawet decyzja co do jednej z płci i zazdrość zostały spostrzeżone przez bezstronną obserwację niezależnie (przed zjawieniem się psychoanalizy) i mogą być stwierdzone przez każdego badacza, który zechce je widzieć. Zarzucicie mi, że nie wątpiliście o wczesnym obudzeniu się czułości, lecz tylko o tym, że ta czułość posiada charakter „seksualny”. Dzieci nauczyły się ukrywać go wprawdzie już między trzecim a ósmym rokiem życia, lecz jeśli będziecie uważni, możecie zebrać dość dowodów „zmysłowych” intencji tej czułości, a to, czego nie zauważycie, wykażą dociekania analityczne

bez wysiłku i w dużym zakresie. Cele seksualne tego okresu życia, których kilka przykładów podałem, są w ścisłym związku z równoczesnymi dociekaniem seksualnymi dziećmi. Charakter perwersyjny niektórych celów jest naturalnie zależny od niedojrzałości ustrojowej dziecka, które nie odkryło jeszcze celu aktu spółkowania.

Mniej więcej od szóstego do ósmego roku życia dają się dostrzec zastój i cofnięcie się w rozwoju seksualnym, które w wypadkach kulturalnie najbardziej pomyślnych zasługują na nazwę okresu utajenia. Okres utajenia może też odpaść, nie musi on wywołać żadnej przerwy w czynnościach seksualnych i zainteresowaniu seksualnym. Większość przeżyć i dążeń występujących przed okresem utajenia ulega amnezji dziecięcej, wyżej wyjaśnionemu zapomnieniu, które spowija naszą pierwszą młodość i czyni ją nam obcą. Każda psychoanaliza stawia sobie za zadanie przywrócić pamięci ów zapomniany okres życia; nie można obronić się przypuszczeniu, że zawarte w nim początki życia seksualnego stały się przyczyną tego zapomnienia, że nastąpiło ono na skutek stłumienia.

Życie seksualne dziecka, poczynszy od trzeciego roku życia, wykazuje wiele zgodności z życiem człowieka dorosłego; różni się ono od tego ostatniego, jak już wiemy, brakiem stałej organizacji pod dominacją genitaliów, obecnością nieuniknionych rysów perwersji i naturalnie także znacznie mniejszą intensywnością całego dążenia. Ale najbardziej dla teorii interesujące fazy rozwoju seksualnego lub, jak się wyrazimy, rozwoju libido, leżą poza tym momentem czasowym. Rozwój ten zawsze ma tak szybki przebieg, że bezpośredniej obserwacji nie uda się prawdopodobnie nigdy ująć tych ulotnych obrazów. Dopiero z pomocą badania psychoanalitycznego nerwic stało się możliwe odgadnięcie leżących jeszcze bardziej wstecz faz rozwoju libido. Są to naturalnie tylko konstrukcje, konieczne i pożyteczne. Jak się to dzieje, że patologia może nam zdradzić tutaj stosunki, które musimy przeoczyć u obiektu normalnego, zrozumiecie niebawem.

Możemy teraz pojąć, jak się kształtuje życie seksualne dziecka przed ustanowieniem hegemonii genitaliów, która przygotowuje się w pierwszym okresie dziecięcym przed okresem utajenia i organizuje się na stałe poczynszy od okresu dojrzewania organizacji, którą będziemy nazywali *przedgenitalną*. Na pierwszym planie w tej fazie nie znajdują się jednak genitalne popędy cząstkowe, lecz *sadystyczne* i *analne*. Przeciwiństwo *męski* — *żeński* nie odgrywa tu jeszcze żadnej

roli; jego miejsce zajmuje przeciwieństwo *czynny* — *bierny*, które można nazwać poprzednikiem biegunowości seksualnej, z którą też zlewa się później. To, co wydaje się nam męskim w czynnościach tej fazy, jeśli obserwujemy je z punktu widzenia fazy genitalnej, jest wyrazem popędu do ovladnięcia, który łatwo przechodzi w okrucieństwo. Dążenia o celu biernym nawiązują do bardzo ważnej w tym czasie strefy erogenetycznej, strefy otworu odbytowego. Popędy do oglądania i badania są silnie pobudzone; narząd płciowy bierze właściwie udział w życiu seksualnym tylko w swej roli narządu wydalania moczu. Częstkowym popędem tej fazy nie brak obiektów, lecz obiekty te niekoniecznie zlewają się w jeden obiekt. Organizacja sadystyczno-analna jest następnym stopniem do fazy hegemonii genitaliów. Pogłębione badanie wykazuje, ile pozostaje z niej dla późniejszego ukształtowania ostatecznego i jakimi drogami jej popędy cząstkowe zmuszone są do podporządkowania się nowej organizacji genitalnej. Poza fazą sadystyczno-analną rozwoju libido spostrzegamy wcześniejszy, bardziej prymitywny stopień organizacji, na którym strefa erogenetyczna ust gra główną rolę. Możecie się domyślić, że należy do niej czynność cmoktania, i powinniście podziwiać mądrość starożytnych Egipcjan, których sztuka charakteryzuje dziecko, także i boskiego Horusa, za pomocą palca w ustach. Abraham opisał niedawno, jakie ślady pozostawia owa pierwotna faza oralna w życiu seksualnym lat późniejszych.

Proszę panów! Mogę przypuszczać, że to, co ostatnio powiedziałem o organizacjach seksualnych, zmęczyło was raczej, aniżeli pouczyło. Być może, że zająłem się znów zbyt szczerzłami. Ale — cierpliwości! To, coście usłyszeli, stanie się dzięki późniejszym zastosowaniom bardziej cenne. Zachowajcie na razie wrażenie, że życie seksualne — jak powiadamy: funkcja libido — nie występuje jako coś gotowego, nie rośnie nadal podobne do samego siebie, tylko przebiega szereg następujących po sobie, lecz niepodobnych do siebie faz, że jest więc wielokrotnie powtórzonym rozwojem, niby rozwój motyla z gąsienicy. Punktem zwrotnym w rozwoju jest podporządkowanie się wszystkich cząstkowych popędów seksualnych hegemonii narządów płciowych, a więc poddanie się seksualności pod władzę funkcji rozrodczej. Przedtem występuje, że tak powiem, rozszczerzone życie seksualne, samodzielna działalność poszczególnych popędów cząstkowych dążących do osiągnięcia rozkoszy z narządów. Anarchia ta jest złagodzona

prze zawiązki organizacji „przedgenitalnych”, przede wszystkim fazą sadystyczno-analną, poza nią oralną, może najprymitywniejszą. Obok występują rozmaite, jeszcze niedokładnie poznane procesy, które prowadzą od jednego stopnia organizacyjnego do dalszego i wyższego. Jakie znaczenie dla pojmowania nerwic ma fakt, iż libido odbywa tak długą i bogatą w etapy drogę rozwoju, o tym usłyszymy następnym razem.

Dzisiaj zajmiemy się jeszcze inną stroną tego rozwoju, a mianowicie stosunkiem cząstkowych popędów seksualnych do obiektu; raczej — rzucimy przelotnie okiem na ten rozwój, by zatrzymać się dłużej przy jego dość późnym wyniku. A więc, niektóre składniki popędu seksualnego mają z góry dany swój obiekt i trzymają się go, jako to: popęd do owdładnięcia (sadyzm), popęd do oglądania i popęd do wiedzy. Inne, wyraźniej związane z określonymi strefami erogenetycznymi, mają go tylko na początku, dopóki opierają się jeszcze na funkcjach nieseksualnych i porzucają go z chwilą, gdy się od nich uwalniają. Tak więc pierwszym obiektem oralnego komponentu popędu seksualnego jest pierś matki, która zaspokaja potrzebę pokarmu niemowlęcia. W akcie cmoktania składnik erotyczny, zadowolany przy ssaniu, usamodzielnia się, porzuca obcy obiekt i zastępuje go częścią własnego ciała. Popęd oralny staje się *autoerotycznym*, który to charakter jest od początku właściwy popędom analnym i innym. Dalszy rozwój ma, by wyrazić się jak najzwięźlejsz, dwa cele: po pierwsze — porzucić autoerotyzm, zmienić znowu obiekt, jakim było własne ciało, na obiekt obcy, i po wtóre — zjednoczyć rozmaite obiekty poszczególnych popędów, zastąpić je przez jeden jedyny obiekt. Może to naturalnie udać się tylko wtedy, gdy tym obiektem jest znowu całe, podobne własnemu, ciało. Nie może się to spełnić, póki pewna ilość autoerotycznych tendencji nie zostanie poniechana, jako nie nadająca się do użytku.

Procesy znajdowania obiektu są dość zawiłane, nie zostały też jeszcze dotychczas przejrzyście i dokładnie przedstawione. Zaznaczymy — co jest ważne dla naszego zamiaru — że jeżeli proces ten w latach dziecięcych przed okresem utajenia został do pewnego stopnia zakończony, to znaleziony obiekt okazuje się prawie identyczny z pierwszym obiektem zdobytym w związku z popędem oralnym. Jest to jeśli nawet nie pierś matki, to w każdym razie matka. Nazywamy matkę pierwszym *przedmiotem miłości*. O miłości mówimy mianowicie wtedy, gdy

wysuwamy na plan pierwszy stronę duchową dążeń seksualnych i odsuwamy lub też chcemy na chwilę zapomnieć o podstawowych, cielesnych lub „zmysłowych” wymogach popędu. W czasie gdy matka staje się przedmiotem miłości, rozpoczęła się już u dziecka psychiczna praca stłumienia, która pozbawia je świadomości pewnej części jego celów seksualnych. Do tego wyboru matki jako przedmiotu miłości nawiązuje to wszystko, co pod nazwą „kompleksu Edypa” stało się tak ważne w psychoanalitycznym wyjaśnieniu nerwic i co miało zapewne niemały udział w oporze przeciw psychoanalizie.

Posłuchajcie o małym zdarzeniu, które miało miejsce podczas wojny obecnej: jeden z dzielnych adeptów psychoanalizy znajduje się jako lekarz na froncie niemieckim gdzieś w Polsce i zwraca uwagę kolegów tym, że udaje mu się niekiedy osiągnąć nieoczekiwaną poprawę stanu jakiegoś chorego. Zapytany, przyznaje się, że w pracy swej posługuje się psychoanalizą, i musi zgodzić się na zapoznanie kolegów ze swoją wiedzą. I oto co wieczór schodzą się lekarze korpusu, koledzy i przełożeni, by służyć tajemnych nauk tej analizy. Przez jakiś czas szło to dobrze, lecz gdy wykładający opowiedział słuchaczom o kompleksie Edypa, wstaje jeden z przełożonych i powiada, iż on w to nie wierzy, że to nikczemność ze strony prelegenta opowiadać takie rzeczy im, dzielnym ludziom, którzy walczą za ojczyznę i są ojcami rodzin, i że zabrania dalszego ciągu wykładów. Na tym się skończyło. Analityk poprosił o przeniesienie go na inny odcinek frontu. Myślę jednak, że jest źle, jeśli zwycięstwo niemieckie wymaga takiej „organizacji” nauki, bo nauce niemieckiej nie przysłuży się taka organizacja.

Będziecie teraz ciekawi dowiedzieć się, co zawiera ten straszny „kompleks Edypa”. Tłumaczy to sama nazwa. Znacie wszyscy greckie podanie o królu Edypie, któremu los przeznaczył zabić ojca i pojąć matkę za żonę, który czyni wszystko, by uniknąć sprawdzenia się proroctwa, i wymierza sobie jako karę — oślepienie, dowiedziawszy, że nieświadomie popełnił oba te przestępstwa. Mam nadzieję, że wielu spośród was przeżyło na sobie samych wstrząsające działanie tragedii, w której Sofokles przedstawia ten temat. Dzieło ateńskiego poety pokazuje, w jaki sposób dawno popełniony czyn Edypa zostaje odkryty stopniowo za pomocą kunsztownie odwleczonego i przez wciąż nowe oznaki wywoływanego dociekania: pod tym względem posiada ono pewne podobieństwo do przebiegu psychoanalizy. W przebiegu dialogu zdarzyło się, że zaślepiona

matka-żona Jokasta sprzeciwiła się przedłużaniu badania. Powołuje się na to, że wielu ludzi śni, iż obcuje z matką, lecz sny można sobie lekceważyć. Co do nas, to nie lekceważymy snów, najmniej zaś sny typowe, takie, które śnią się wielu ludziom, i nie wątpimy, że sen wspomniany przez Jokastę pozostaje w ścisłym związku z dziwną i przerażającą treścią podania.

Dziwne jest, że to raczej właśnie tragedii Sofoklesa nie odrzuca słuchacz z oburzeniem, co byłoby podobną, a znacznie bardziej usprawiedliwioną reakcją niż reakcja naszego prostego lekarza wojskowego. Jest to w gruncie rzeczy sztuka niemoralna, znosi bowiem moralną odpowiedzialność człowieka, pokazuje siły boskie jako sprawców przestępstwa i niemoc moralnych tendencji człowieka broniącego się przed przestępstwem. Można by łatwo pomyśleć, że materiał tego badania ma na celu oskarżenie bogów i losu i w rękach krytycznego, powaśnionego z bogami Eurypidesa stałby się takim oskarżeniem. Ale u wierzącego Sofoklesa nie ma mowy o takim zużytkowaniu tematu; pobożny wybieg, że pogodzenie się z wolą bogów, jeśli nawet nakazuje ona przestępstwo, jest najwyższą moralnością, ułatwia przewyciężenie trudności. Nie uważam, by ta moralność stanowiła siłę sztuki, ale jest ona obojętna dla jej działania. Słuchacz reaguje nie na nią, lecz na tajemny sens i treść podania. Reaguje tak, jak gdyby za pomocą autoanalizy poznał u siebie samego kompleks Edypa i zdemaskował zarówno wolę bogów, jak i wyrocznię, jako wyższe przedstawienie swego własnego nieświadomego. Tak, jak gdyby musiał przypomnieć sobie pragnienie usunięcia ojca i pojęcia matki za żonę i przerazić się tego. Pojmuje też głos poety tak, jak gdyby ten chciał mu powiedzieć: nadaremnie buntujesz się przeciw ponoszeniu odpowiedzialności i powołujesz na to, co uczyniłeś przeciw tym występnyim zamiarom. Jesteś jednak mimo to winny, gdyż nie potrafiłeś ich zniszczyć; trwają one w tobie nieświadomie. I w tym właśnie tkwi prawda psychologiczna. Jeśli człowiek stłumił nawet swoje złe dążenia i chciałby sobie potem powiedzieć, że nie jest za nie odpowiedzialny, jednak jest zmuszony odczuć tę odpowiedzialność jako poczucie winy oparte na nieznanym mu podstawie.

Nie ulega wątpliwości, że należy widzieć w kompleksie Edypa jedno z najważniejszych źródeł poczucia winy, które tak często męczą neurotyków. Ale więcej jeszcze: w pracy o początkach religii i moralności, którą ogłosiłem w roku 1913 pod tytułem *Totem i Tabu*,

nasunęło mi się przypuszczenie, że może ludzkość jako całość nabyła, na początku swej historii, w związku z kompleksem Edypa, właściwego sobie poczucia winy, będącego najgłębszym źródłem religii i moralności. Chętnie opowiedziałbym więcej na ten temat, ale lepiej zaniecham tego. Trudno jest przerwać ten wątek, gdy się go rozpoczęło, ale my musimy powrócić do psychologii indywidualnej.

Co daje się więc rozpoznać z kompleksu Edypa przy bezpośredniej obserwacji dziecka w czasie wyboru obiektu przed okresem utajenia? Otóż spostrzegamy łatwo, że mały człowieczek chce mieć matkę wyłącznie dla siebie, odczuwa obecność ojca jako przeszkodę, patrzy niechętnie na czułości ojca względem matki, wyraża zadowolenie, gdy ten wyjeżdża lub jest nieobecny. Daje często wyraz swoim uczuciom w słowach, przyrzeka matce, że się z nią ożeni. Można by przypuszczać, że jest to niewiele w porównaniu z czynami Edypa, ale w istocie to wystarcza, jest to w zarodku to samo. Spostrzeżenia te bywają często zaciemniane przez okoliczności, że to samo dziecko jednocześnie przy innych sposobnościach okazuje ojcu wielką czułość; ale takie przeciwne — powiedzmy lepiej: *ambivalentne* — stany uczuciowe, które spowodowałyby u człowieka dorosłego konflikt wewnętrzny, potrafią zupełnie dobrze współistnieć w dziecku przez długi czas, tak jak później znajdują na stałe miejsce obok siebie w nieświadomym. Można też zarzucić, że zachowanie się małego chłopca pochodzi z motywów egoistycznych i nie uprawnia do przyjęcia kompleksu erotycznego. Matka dba o wszystkie potrzeby dziecka i dziecko jest zainteresowane w tym, by nie troszczyła się o nikogo innego. I to jest słuszne, ale zaraz stanie się jasne, że w tej i podobnych sytuacjach interes egoistyczny stanowi tylko podłoże, do którego nawiązuje dążenie erotyczne. Jeśli małe dziecko okazuje nieosłoniętą niczym ciekawość seksualną wobec matki, gdy chce spać z nią w nocy, gdy narzuca jej swoją obecność przy toalecie lub podejmuje próby uwiedzenia, co matka może stwierdzać tak często i o czym opowiada ze śmiechem, wtedy erotyczna natura przywiązania do matki nie ulega żadnej wątpliwości. Nie należy też zapominać, że matka rozwija tę samą pieczołowitość w stosunku do córeczki, a jednak nie prowadzi to do tego samego skutku, i że ojciec często idzie z nią w zawody co do troszczenia się o chłopca, przy czym nie udaje mu się uzyskać tego samego znaczenia, jakie ma matka. Krótko mówiąc, moment wyróżnienia seksualnego nie daje się wyeliminować z tej sytuacji przez żadną krytykę. Z punktu widzenia

egoistycznego interesu byłoby niemądrze ze strony małego człowieka, gdyby nie zechciał mieć raczej dwóch osób na swe usługi niż jednej.

Opisałem tylko, jak widzicie, stosunek chłopca do ojca i matki. Dla dziewczynki układa się on z koniecznymi odmianami zupełnie podobnie. Czułe przywiązanie do ojca, potrzeba usunięcia matki, jako zbytycznej, i zajęcia jej miejsca, kokieteria, operująca już niemal środkami późniejszej kobiecości, dają właśnie pełen wdzięku obraz dziewczynki, który pozwala nam zapomnieć o powadze i możliwych poważnych następstwach tej dziecięcej sytuacji. Nie zapomnijmy dodać, że często rodzice sami wywierają decydujący wpływ na obudzenie się kompleksu Edypa u dziecka, jeśli kierując się pociągami erotycznym wyróżniają w swej czułości wyraźnie — tam gdzie jest więcej dzieci — ojciec córeczkę i matka syna. Ale natura spontaniczna dziecięcego kompleksu Edypa nie może zostać obalona nawet przez ten czynnik. Kompleks Edypa rozszerza się do kompleksu rodzinnego, gdy przybywają inne dzieci. Ten ostatni umotywowany jest ponownym poczuciem krzywdy osobistej, tak że nowe rodzeństwo przyjmowane bywa z niechęcią i bez skrupułu usuwane w pragnieniu. Tym uczuciom nienawiści dają dzieci z reguły nawet częściej wyraz słowny niż tym, które pochodzą z kompleksu rodziców. Gdy się takie życzenie spełnia i śmierć zabiera niepożądanego przybysza, można się dowiedzieć z późniejszej analizy, jak ważnym przeżyciem był dla dziecka ten wypadek, jakkolwiek nie musiał zostać utrwalony w pamięci. Dziecko usunięte na drugi plan przez narodziny siostry lub brata, niemal izolowane od matki przez pierwszy okres, tylko z trudnością wybacza jej to opuszczenie; uczucia, które określamy u ludzi dorosłych jako ciężkie rozgoryczenie, zjawiają się u dziecka i stanowią często podstawę długotrwałego poczucia obcości.

Wspomnieliśmy już, że badania seksualne z ich wszystkimi konsekwencjami nawiązują przeważnie do tego doświadczenia życiowego dziecka. Z podrastaniem rodzeństwa ulega stosunek do niego bardzo ważnym przemianom. Chłopiec może wziąć siostrę za obiekt miłości zamiast niewiernej matki; między kilkoma braćmi, którzy ubiegają się o młodszą siostrzyczkę, wytwarzają się w pokoju dziecinnym sytuacje wrogiej rywalizacji, tak ważne w życiu późniejszym. Dziewczynka znajduje w starszym bracie zastępcę ojca, który nie troszczy się już o nią tak czule jak w latach wcześniejszych, lub też bierze młodszą siostrzyczkę w zastępstwie dziecka, którego życzyła sobie nadaremnie od ojca.

To i temu podobne pokazuje bezpośrednia obserwacja dzieci i właściwa ocena ich jasno zachowywanych wspomnień z lat dziecięcych, na które analiza nie miała wpływu. Prowadzi to między innymi do wniosku, że miejsce, jakie zajmuje dziecko w kolejności rodzeństwa, jest czynnikiem bardzo ważnym dla ukształtowania się jego późniejszego życia i powinno być uwzględniane w każdym życiorysie. Ale co ważniejsze, wobec tych łatwych do zdobycia wyjaśnień nie będziecie mogli pomyśleć bez uśmiechu o próbach wytłumaczenia zakazów kazirodczych przez naukę. Bo i czegoż tutaj nie wynajdywano! Pociąg płciowy ma być odwrócony od należących do odmiennej płci członków tej samej rodziny przez współżycie z nimi od dzieciństwa. Albo — tendencja biologiczna do unikania krzyżowania tej samej krwi ma znajdować swój wyraz psychiczny we wrodzonym wstręcie do kazirodztwa! Zapomina się przy tym zupełnie, że zbyteczny byłby ten nieubłagany zakaz prawny i moralny, gdyby istniały jakiegokolwiek pewne naturalne szranki przeciw pokusie kazirodztwa. Prawda jest raczej odwrotna. Pierwszy wybór obiektu u ludzi bywa z reguły kazirodczy, u mężczyzny skierowany na matkę i siostrę, i trzeba najsurowszych zakazów, by powstrzymać od urzeczywistnienia się tę nadal żywą skłonność dziecięcą. Wśród dziś jeszcze żyjących ludów pierwotnych, wśród dzikich szczepów są te zakazy kazirodztwa znacznie ostrzejsze niż u nas. Th. Reik pokazał niedawno w swej świetnej pracy, że obrzędy znamionujące dojrzałość męską u dzikich, a przedstawiające odrodzenie się, mają na celu zniesienie związku kazirodczego chłopców z matką i pojednanie ich z ojcem.

Mitologia poucza nas, że owo, rzekomo tak wstrętne dla ludzi, kazirodztwo zostaje bez wahania przypisane bogom, i możecie dowiedzieć się z historii starożytnej, że kazirodcze małżeństwo z siostrą było uświęconym przepisem dla osoby panującego (u starożytnych faraonów, u Inków peruwiańskich). Chodzi więc tu o przywilej odmawiany zwykłym śmiertelnikom.

Kazirodczy związek z matką jest jednym występkiem Edypa, zamordowanie ojca — drugim. Nawiasem powiedziawszy, są to dwa wielkie występki, które potępia pierwsza socjalno-religijna instytucja ludzka, totemizm. Zwróćmy się od bezpośredniej obserwacji dziecka do badania analitycznego dorosłego neurotyka. Co nam daje analiza dla dalszego zapoznania się z kompleksem Edypa? Otóż można krótko odpowiedzieć. Pokazuje go tak, jak opowiada o nim podanie;

pokazuje, że każdy neurotyk był sam Edypem, lub, co wychodzi na jedno, jako wyraz reakcji na ten kompleks stał się Hamletem. Naturalnie, że przedstawienie analityczne kompleksu Edypa jest powiększeniem i przejawieniem szkicowej tylko jego realizacji w dzieciństwie. Nienawiść do ojca, życzenie jego śmierci przestają już być jedynie nieśmiało zaznaczone, czułość względem matki przyznaje się do celu posiadania jej jako kobiety. Czy możemy rzeczywiście przypisywać jaskrawe i skrajne tendencje uczuciowe tak delikatnemu wiekowi dziecięcemu lub może analiza wprowadza nas w błąd przez wprowadzenie nowego czynnika? Czynniki takie nie trudno jest znaleźć. Za każdym razem, gdy człowiek opowiada o przeszłości, nawet jeśli jest historykiem, musimy brać pod uwagę to, co mimo woli przenosi w przeszłość z teraźniejszości lub okresu poprzedzającego, tak że fałszuje jej obraz. Jeśli chodzi o neurotyka, to nasuwa się nam nawet pytanie, czy to przesunięcie wstecz dzieje się zupełnie mimo woli; z motywami jego zapoznamy się później i w ogóle będziemy musieli należycie ocenić fakt „fantazjowania wstecz” sięgającego w daleką przeszłość. Odkrywamy też z łatwością, że nienawiść do ojca zostaje wzmocniona przez pewną liczbę czynników, które pochodzą z późniejszych czasów i stosunków, że życzenia seksualne względem matki przyjęły formy, które dziecku musiały być jeszcze obce. Lecz daremne byłoby usiłowanie, gdybyśmy całość kompleksu Edypa chcieli wyjaśnić przez fantazjowanie wsteczne i odnieść ją do czasów późniejszych. Pochodzące z okresu dziecięcego jądro, jak i niektóre okoliczności w stosunku do niego pozostają nietknięte, jak to potwierdza bezpośrednia obserwacja dziecka.

Fakt kliniczny, który ukazuje się nam spoza analitycznie stwierdzonej postaci kompleksu Edypa, ma wielkie znaczenie praktyczne. Dowiadujemy się, że w okresie pokwitania, kiedy popęd seksualny występuje po raz pierwszy z całą siłą, dawne obiekty rodzinne i kazirodczne zostają znów podjęte i na nowo opanowane przez libido. Dziecięcy wybór obiektu był tylko słabym, ale nadającym kierunek preludium do wyboru obiektu w okresie dojrzewania. Rozgrywają się tutaj bardzo intensywne procesy uczuciowe w kierunku kompleksu Edypa lub jako reakcja nań, które to jednak procesy, ponieważ ich przesłanki stały się nie do zniesienia, muszą pozostać po większej części z dala od świadomości. Od tego czasu musi jednostka ludzka poświęcić się wielkiemu zadaniu uwolnienia się od rodziców, po

którego rozwiązaniu może dopiero przestać być dzieckiem, by stać się członkiem społeczeństwa. Dla syna polega zadanie to na tym, by oderwać się od matki jako przedmiotu życzeń swej libido i zużytkować owe pragnienia do wyboru realnego obcego przedmiotu miłości, a dalej, by pojednać się z ojcem, jeśli trwa nadal we wrogim doń stosunku, lub też, by uwolnić się spod presji z jego strony, jeśli jako reakcja na dziecięcy bunt nastąpiło poddanie się. Zadania te ma przed sobą każdy; jest godne uwagi, jak rzadko udaje się je wykonać w sposób idealny, to znaczy poprawny zarówno pod względem psychologicznym, jak i społecznym. Neurotykom jednak nie udaje się w ogóle ich rozwiązać — syn pozostaje w ciągu całego życia pod presją autorytetu ojca i nie jest w możności przeniesić swej libido na obcy obiekt seksualny. To samo ze zmianą sytuacji może stać się udziałem córki. W tym sensie mamy prawo uważać kompleks Edypa za jądro nerwic.

Domyślcie się, panowie, jak pobieżnie przebiegłem wielką liczbę ważnych zarówno praktycznie, jak i teoretycznie zagadnień, związanych z kompleksem Edypa. Nie zagłębiam się też w jego odmiany i możliwe odwrócenie. Co do jego bardziej odległych rozgałęzień, chcę jeszcze tylko zaznaczyć, że okazały się one w wysokiej mierze decydujące dla twórczości poetyckiej. Otto Rank dowiódł w swej pożytecznej książce, że dramaturgowie wszystkich czasów czerpali swój materiał przeważnie z kompleksu Edypa i kazirodztwa, ich odmian i tajników. Nie powinniśmy też zapominać o tym, że oba występne pragnienia kompleksu Edypa na długo przed psychoanalizą uznane zostały za właściwych przedstawicieli nieokiełznanego żywiołu popędów. Między pismami encyklopedysty Diderota znajdziecie słynny dialog „Le neveu de Rameau”, który został przez Goethego opracowany po niemiecku. Możecie tam przeczytać osobliwe zdanie: *Si le petit sauvage était abandonné à lui-même, qu'il conserva toute son imbecillité et qu'il réunit au peu de raison de l'enfant au berceau la violence des passions de l'homme de trente ans, il tordrait le cou à son père et coucherait avec sa mère.*¹

¹ Gdyby mały dzikus był pozostawiony samemu sobie, gdyby zachował całe swoje głuptactwo i z okrucieństwem rozsądku dziecka w kołysce łączył gwałtowność namiętności trzydziestoletniego mężczyzny, wówczas ukręciłby szyję swemu ojcu i spał ze swą matką.

Nie mogę jednak pominąć czegoś innego. Matka-żona Edypa nie na próżno przypomniała nam marzenie senne. Czy przypominacie sobie jeszcze rezultat naszych analiz marzeń sennych, według którego życzenia tworzące sen bywają często natury perwersyjnej, kazirodczej lub zdradzają nieoczekiwaną wrogość względem najbliższych i ukochanych członków rodziny? Pozostawiliśmy wtedy bez wyjaśnienia pytanie, skąd pochodzą te złe impulsy. Teraz możecie sobie sami odpowiedzieć. Są to wczesne dziecięce pozycje libido i osoby obiektów dawno porzucone w życiu świadomym, które ukazują się nocą jako jeszcze istniejące i w pewnym znaczeniu zdolne do działania. Ponieważ jednak wszyscy ludzie, nie tylko neurotycy, mają takie sny perwersyjne, kazirodcze i mordercze, możemy stąd wyciągnąć wniosek, że także ludzie dziś normalni odbyli drogę rozwoju poprzez perwersję i obśady obiektów w zakresie kompleksu Edypa, że ta droga jest drogą normalnego rozwoju, że neurotycy pokazują nam tylko w postaci zwiększonej i przejawionej to, co analiza marzenia sennego odkrywa również u człowieka zdrowego. I to jest jednym z motywów, dla których badanie objawów nerwicowych poprzedziliśmy badaniem marzeń sennych.

WYKŁAD XXII

Perspektywy rozwoju i regresji (etiologia)

Panie i panowie! Słyszeliście, że funkcja libido przechodzi długą drogę rozwoju, zanim może w sposób zwany normalnym wstąpić na usługi rozmnażania. Chciałbym teraz pokazać, jakie znaczenie posiada ten fakt dla powstawania nerwic.

Myślę, że jesteśmy w zgodzie z nauką patologii ogólnej, przyjmując, że taki rozwój przynosi ze sobą dwojakie niebezpieczeństwo: po pierwsze, niebezpieczeństwo *zahamowania*, po wtóre — *regresji*. Znaczy to, że przy ogólnej skłonności procesów biologicznych do odmian będzie się musiało zdarzyć, że nie wszystkie fazy przygotowawcze przyjmą pomyślny przebieg i zostaną całkowicie przebyte; części

funkcji zostaną zatrzymane na stałe na tych wcześniejszych stopniach i w całym obrazie rozwoju zaznaczy się w pewnej mierze zahamowanie.

Poszukajmy w innych dziedzinach analogii do tych procesów. Gdy cały naród opuszczał swe siedliska, by szukać nowych, jak to się często zdarzało we wczesnych okresach historii ludzkiej, nie przybywał on na pewno w pełnej swej liczebności na nowe miejsce. Pominąwszy inne straty, musiało zdarzyć się na ogół, że małe gromady lub grupy wędrowców zatrzymywały się i osiedlały po drodze, podczas gdy główna gromada ciągnęła dalej. Lub — by sięgnąć do bliższych nam porównań — wiecie, że u najwyższych ssaków męskie gruczoły płciowe, leżące pierwotnie w głębi jamy brzusznej, w pewnym okresie życia płodowego rozpoczynają wędrówkę, która prowadzi je niemal bezpośrednio pod skórę w okolicy wyjścia miednicy. W rezultacie tej wędrówki stwierdzamy jednak u pewnej liczby męskich osobników, że jeden z tych parzystych narządów pozostał w jamie miednicy lub znalazł stałe miejsce w tak zwanym kanale pachwinowym, przez który oba przejść muszą w swej wędrówce, lub też że kanał ten, który normalnie po zmianie położenia gruczołów płciowych powinien się zrosnąć, pozostaje otwarty. Kiedy jako młody student wykonywałem pod kierownictwem v. Brückego swoją pierwszą pracę naukową, zajmowałem się pochodzeniem tylnych korzonków w rdzeniu kręgowym małej, bardzo archaicznie ukształtowanej ryby. Zauważyłem, że włókna nerwowe tych korzonków pochodzą z dużych komórek szarej substancji tylnego rogu, czego nie znajdujemy już u innych kręgowców. Ale wkrótce potem odkryłem również, że takie same komórki nerwowe znajdują się poza szarą substancją na całej przestrzeni aż do tak zwanego zwoju grzbietowego tylnego korzonka, na zasadzie czego doszedłem do wniosku, że komórki tych mas zwojowych przywędrowały z rdzenia kręgowego do miejsca, w którym znajduje się korzonek nerwowy. To samo pokazuje embriologia; lecz u małej ryby można było odtworzyć dzięki pozostałym komórkom całą wędrówkę. Po głębszym zastanowieniu nie będzie wam trudno odnaleźć słabe strony tych porównań. Dlatego powiemy po prostu, że uważamy za możliwe dla każdego pojedynczego dążenia seksualnego, by oddzielne jego składniki pozostały na wcześniejszych stopniach rozwoju, chociaż inne osiągnęły swój cel ostateczny. Rozumiecie przy tym, że przedstawiamy sobie każde takie dążenie jako prąd trwający od początku życia, który poniekąd rozkładamy sztucznie na oddzielnie następujące

po sobie etapy. Wrażenie, że wyobrażenia te wymagają dalszego wyjaśnienia, jest słuszne, ale próba ta zaprowadziłaby za daleko. Pozwólcie nam jeszcze ustalić, iż takie pozostawanie dążenia cząstkowego na jednym z wcześniejszych stopni będziemy nazywali *fiksacją* (popędu).

Drugie niebezpieczeństwo takiego rozwoju w etapach polega na tym, że także i te składniki, które posunęły się naprzód, mogą łatwo ruchem wstecznym powrócić do jakiegoś wcześniejszego stopnia — zjawisko, które nazywamy *regresją*. Do takiej regresji może pewne dążenie zostać skłonione wtedy, gdy w spełnianiu swej funkcji, jaką jest osiągnięcie zadowolenia w postaci późniejszej lub wyżej rozwiniętej, napotyka silne przeszkody zewnętrzne. Nasuwa nam się myśl, że fiksacja i regresja nie są od siebie niezależne. Im silniejsze fiksacje znajdują się na drodze rozwoju, tym bardziej będzie funkcja wymijała trudności zewnętrzne za pomocą regresji do tych fiksacji, tym więc mniej odporna okaże się wobec przeszkód zewnętrznych w jej przebiegu. Uprzytomnijcie sobie, że jeśli naród, posuwając się naprzód, pozostawił silne oddziały na stacjach swej wędrówki, to ci jego przedstawiciele, którzy posunęli się naprzód, będą skłonni cofnąć się do tych stacji wtedy, gdy zostaną pobici lub natkną się na zbyt silnego nieprzyjaciela. Staną oni jednak tym łacniej w obliczu klęski, im większa ich liczba pozostanie w tyle podczas wędrówki.

Dla zrozumienia nerwic ważne jest, byście nie stracili z oczu tego związku pomiędzy fiksacją a regresją. Zdobywacie wtedy pewny punkt oparcia w sprawie przyczyn powstawania nerwic, czyli w sprawie ich etiologii, do której zaraz przystąpimy.

Na razie pozostanmy jeszcze przy regresji. Po tym, czegoście dowiedzieli się o rozwoju funkcji libido, możecie oczekiwać regresji dwojakiego rodzaju: powrotu do pierwszych spośród obsadzonych przez libido obiektów, które, jak wiadomo, są natury kazirodczej, i powrotu całkowitej organizacji seksualnej do wcześniejszych stopni rozwoju. Oba te rodzaje zdarzają się w nerwicach przeniesienia i odgrywają w ich mechanizmie wielką rolę. Zwłaszcza powrót do pierwszych kazirodczych obiektów libido jest cechą, którą odnajdujemy u neurotyków z nużącą wprost prawidłowością. Znacznie więcej daje się powiedzieć o regresjach libido, kiedy rozpatrujemy inną grupę nerwic, zwanych narcystycznymi, czego obecnie czynić nie zamierzamy. Te schorzenia dają wyjaśnienie innych, jeszcze dotychczas nie wymie-

nionych procesów rozwojowych funkcji libido i pokazują w konsekwencji nowe rodzaje regresji. Myślę jednak, że muszę was teraz przede wszystkim ostrzec, byście nie mieszały *regresji* i *stłumienia*, i muszę wam pomóc w wyjaśnieniu sobie stosunków między obu procesami. Stłumienie jest to, jak sobie przypominacie, ów proces, za pomocą którego akt gotowy do uświadomienia go sobie, a więc należący do systemu przedświadomego, staje się nieświadomy, a więc zepchnięty do systemu nieświadomego. Nazywamy także tłumieniem proces, w którym nieświadomy akt psychiczny w ogóle nie zostaje dopuszczony do następnego, przedświadomego systemu, lecz zostaje na progu odparty przez cenzurę. Pojęcie stłumienia nie zawiera więc żadnego stosunku do seksualności; proszę to sobie dobrze zapamiętać. Oznacza ono proces czysto psychologiczny, który możemy jeszcze lepiej scharakteryzować nazywając go *topicznym*. Chcemy przez to powiedzieć, że ma on do czynienia z przyjętymi przez nas obszarami psychicznymi lub — jeśli porzucimy to prymitywne wyobrażenie pomocnicze — z budową aparatu duchowego złożonego z oddzielnych systemów psychicznych.

To porównanie zwraca dopiero naszą uwagę na to, żeśmy wyrazu „regresja” używali dotychczas nie w jego ogólnym, lecz w zupełnie specjalnym znaczeniu. Jeśli nadacie mu jego ogólny sens powrotu od wyższego stopnia rozwoju do niższego, wtedy i stłumienie znajdzie pewne przyporządkowanie do regresji, gdyż i ono może oznaczać powrót do wcześniejszego i niższego stopnia w rozwoju aktu psychicznego. Tylko że przy stłumieniu nie chodzi nam o ten wsteczny kierunek, gdyż o stłumieniu w sensie dynamicznym mówimy także i wtedy, gdy jakiś akt psychiczny został zatrzymany na niższym stopniu nieświadomego. Stłumienie jest mianowicie pojęciem topiczno-dynamicznym, regresja zaś — czysto opisowym. Ale przez to, co dotychczas nazywaliśmy regresją i co powiązaliśmy z fiksacją, rozumieliśmy wyłącznie powrót libido do wcześniejszych stadiów rozwoju, a więc coś, co w istocie swej jest czymś zupełnie odrębnym i zupełnie niezależnym od stłumienia. Nie możemy też nazwać regresji libido procesem czysto psychicznym i nie wiemy, jakie miejsce mamy jej wskazać w aparacie duchowym. Jeśli wywiera ona nawet bardzo silny wpływ na życie psychiczne, to jednak przeważa w niej czynnik organiczny.

Tego rodzaju wyjaśnienia, proszę panów, muszą wypaść nieco

mucho. Zwróćmy się do kliniki, by znaleźć dla nich właściwe zastosowanie. Wiecie, że histeria i nerwica natręctwa są głównymi przedstawicielkami grupy nerwic przeniesienia. W histerii istnieje wprawdzie — i to jako zasada — regresja libido do pierwotnych, kazirodczych obiektów seksualnych, ale dzieje to się tak, jak gdyby nie było żadnej regresji do jakiegoś wcześniejszego stopnia organizacji seksualnej. Natomiast główna rola w mechanizmie histerii przypada stłumieniu. Jeśli mogę sobie pozwolić na uzupełnienie za pomocą konstrukcji naszej dotychczasowej, mocno ugruntowanej wiedzy o nerwicach, to mógłbym opisać stan rzeczy w sposób następujący: zjednoczenie popędów cząstkowych pod hegemonią narządów seksualnych zostało dokonane, ale ich rezultaty napotykają opór ze strony związanego ze świadomością systemu przedświadomego. Organizacja genitalna jest uznana przez nieświadome, lecz nie przez przedświadome, i to odrzucenie ze strony przedświadomego tworzy obraz, który zawiera pewne podobieństwo do stanu, jaki istniał przed hegemonią genitaliów. Jest to jednak coś zupełnie innego. — Z obu rodzajów regresji libido regresja do wcześniejszej fazy organizacji seksualnej znacznie bardziej bije w oczy. Nie występuje ona w histerii, a całe nasze ujęcie nerwicy pozostaje jeszcze nazbyt pod wpływem badania tej właśnie nerwicy, które było najwcześniejsze, dlatego że znaczenie regresji libido wyjaśniło nam się daleko później niż znaczenie stłumienia. Bądźmy przygotowani na to, że nasze punkty widzenia zostaną jeszcze inaczej rozszerzone i przewartościowane, kiedy prócz histerii i nerwicy natręctwa będziemy mogli włączyć do naszych rozważań także nerwice narcystyczne.

W nerwicy natręctwa, przeciwnie, regresja libido do stopnia wstępnego organizacji sadystyczno-analnej jest faktem najbardziej uderzającym i najbardziej miarodajnym dla kształtowania się objawów. Impuls miłosny musi wtedy maskować się jako impuls sadystyczny. Wyobrażenie natrętne: chciałbym cię zamordować — znaczy w gruncie rzeczy, jeśli się je uwolniło od pewnych, jednak nie przypadkowych, lecz niezbędnych dodatków, nic innego jak: chciałbym cię posiadać w miłości. Dodajcie do tego, że jednocześnie miała miejsce regresja obiektu, tak że te impulsy dotyczą tylko najbliższych i najukochańszych osób, a będziecie mogli wyobrazić sobie przerażenie, jakie budzą w chorym te wyobrażenia przymusowe, i jednocześnie obcość, z jaką występują dla jęgo świadomego postrzeżenia. Ale i stłumienie posiada

w mechanizmie tych nerwic wielki udział, który nie jest w każdym razie łatwy do rozpatrzenia w naszym pobieżnym wstępie. Regresja libido bez stłumienia nie wywołałaby nigdy nerwicy, lecz przeszłaby w perwersję. Widzicie stąd, że stłumienie — to proces, który jest najbardziej właściwy nerwicy i który ją charakteryzuje. Może będnął także kiedyś sposobność przedstawić wam to, co wiemy o mechanizmie perwersji, a wtedy zobaczycie, że i tu nic nie odbywa się tak prosto, jak byśmy to pragnęli skonstruować.

Moi panowie! Myślę, że pogodzicie się jak najprędziej ze świeżo usłyszanyymi wywodami o fiksacji i regresji libido, jeśli uznacie je za przygotowanie do badania etiologii nerwic. Powiedziałem o tym dotychczas tylko jedno, mianowicie to, że ludzie popadają w nerwicę, kiedy im się odbiera możność zaspokojenia swej libido, a więc, jak się wyraziłem, wskutek „odmowy” i że jej objawy występują właśnie w zastępstwie nie osiągniętego zaspokojenia. Naturalnie, że nie znaczy to, iż każda odmowa zaspokojenia libido czyni z każdego, kogo spotka, neurotyka, lecz to tylko, że we wszystkich zbadanych przypadkach nerwicy moment odmowy dawał się wykazać. Zdanie to nie jest więc odwracalne. Zrozumieliście też zapewne, że owo twierdzenie nie miało odkryć całej tajemnicy etiologii nerwic, lecz podkreśliło tylko jeden ważny i niezbędny warunek.

Nie wiadomo teraz, czy dla naszej dyskusji nad tym zdaniem należy trzymać się istoty odmowy, czy też swoistości osoby nią dotkniętej. Odmowa jest przecież nader rzadko wszechstronna i zupełna; by działać chorobotwórczo, musi ona dotyczyć tego rodzaju zaspokojenia, którego jedynie pragnie dana osoba, do którego jedynie jest zdolna. Na ogół istnieje bardzo dużo dróg do zniesienia braku zaspokojenia libido bez popadania w chorobę. Przede wszystkim znamy ludzi, którzy mogą znieść taki brak bez dużej szkody; nie są wtedy szczęśliwi, dręczą się tęsknotą, ale nie chorują. Prócz tego musimy wziąć pod uwagę, że właśnie dążenia seksualne są, jeśli mogą się tak wyrazić, nadzwyczaj *plastyczne*. Jedno może zastąpić drugie, może przejąć intensywność drugiego; wtedy, gdy rzeczywistość odmawia zaspokojenia jednego, zaspokojenie drugiego może ofiarować zupełne odszkodowanie. Zachowują się w stosunku do siebie jak sieć połączonych, napełnionych płynem kanałów, i to pomimo poddania się hegemonii genitaliów, co nie daje się wcale tak łatwo połączyć w jednym wyobrażeniu. Popędy cząstkowe, zarówno jak i składający

się z nich popęd seksualny, wykazują dalej wielką łatwość zmiany obiektu, zamieniają go na inny, a więc także i na łatwiej dostępny; ta przesuwalność i gotowość przyjmowania surogatów muszą silnie przeciwdziałać chorobotwórczemu działaniu odmowy. Pośród tych procesów, chroniących przed zachorowaniem na skutek braku zadowolenia, zyskał jeden zwłaszcza specjalne znaczenie kulturalne. Polega on na tym, że dążenie seksualne porzuca swój cel, skierowany ku rozkoszy cząstkowej lub ku rozkoszy płodzenia, i przyjmuje inny, który jest genetycznie związany z porzuconym, ale sam nie może już być nazwany seksualnym, lecz społecznym. Zwiemy proces ten „uwzniośleniem” (sublimacją), przy czym poddajemy się ogólnie przyjętemu wartościowaniu, które stawia wyżej cele społeczne niż seksualne, w gruncie rzeczy samolubne. Uwznioślenie jest zresztą tylko wypadkiem specjalnym wsparcia się dążeń seksualnych na innych, nieseksualnych. Będziemy musieli mówić o nim raz jeszcze w innym związku.

Odniesiecie wrażenie, że brak zadowolenia utracił wszelkie znaczenie wobec wszystkich tych środków pomagających go znosić. Tak jednak nie jest, zachowuje on swą moc chorobotwórczą. Środki obronne są na ogół niewystarczające. Ilość nie zaspokojonej libido, którą ludzie przeciętnie są w stanie znosić, jest ograniczona. Plastyczność lub swobodna ruchliwość libido nie jest w żadnym razie u wszystkich zachowana w całej pełni, uwznioślenie zaś może zaspokoić tylko pewien fragment libido, pominiawszy tę okoliczność, że zdolność do uwznioślenia posiada wielu ludzi w nieznaczonej jedynie mierze. Najważniejsze spośród tych ograniczeń jest widocznie to, które dotyczy ruchliwości libido, gdyż uzależnia ono zaspokojenie jednostki od osiągnięcia jedynie tych a nie innych bardzo niewielu celów i obiektów. Przypomnijcie sobie, że niepełny rozwój libido pozostawia bardzo rozległe, ewentualnie nawet wielokrotne związania libido z wczesnymi fazami jej organizacji i wyboru obiektu, które przeważnie są nie do zaspokojenia w sposób konkretny, a wtedy ujrzenie w związaniu libido drugi potężny czynnik, który łącznie z odmową powoduje chorobę. W schematycznym skrócie możecie powiedzieć, że fiksacja libido reprezentuje czynnik usposabiający wewnętrzny, odmowa zaś — wypadkowy, zewnętrzny czynnik etiologii nerwic.

Korzystam tu ze sposobności, by was ostrzec przed wzięciem udziału w zupełnie zbytecznym sporze. Na polu pracy naukowej jest rzeczą często praktykowaną, że jakąś część prawdy przyjmuje się

zamiast całości i zwalcza na swoją korzyść jej resztę, która jest nie mniej prawdziwa. Tą drogą odszczepiła się już od ruchu psychoanalitycznego pewna ilość kierunków, z których jeden uznaje tylko popędy egoistyczne, zaprzecza zaś seksualnym, drugi ocenia tylko wpływ realnych zadań życiowych, przeocza jednak wpływ przeszłości osobniczej, i tym podobne. Otóż właśnie w tej chwili nadarza się tu sposobność do podobnego przeciwieństwa i kwestia sporna: czy nerwice są chorobami pochodzącymi z zewnątrz, czy z wewnątrz; czy są nieuniknionym skutkiem pewnego rodzaju ustroju (konstytucji), czy też wytworem pewnych szkodliwych (urazowych) wpływów życiowych; w szczególności: czy są wywoływane przez związanie libido (i w ogóle konstytucję seksualną), czy też przez presję odmowy? Ten dylemat nie wydaje mi się na ogół mądrzejszy niż inny, który mógłbym wam przedłożyć: czy dziecko powstaje przez zapłodnienie ze strony ojca, czy przez poczęcie ze strony matki? Oba warunki są jednakowo niezbędne — odpowiedź z zupełną słusznością. Jeśli chodzi o przyczyny powstawania nerwic, stosunek jest, jeśli niezupełnie ten sam, to jednak bardzo podobny. Przy rozpatrywaniu przyczynowości grupujemy wypadki schorzeń nerwicowych w jeden szereg, w obrębie którego oba momenty — konstytucja seksualna i przeżycie lub, jeśli chcecie: związanie libido i odmowa — są tak reprezentowane, że jedno wzrasta, gdy drugie się zmniejsza. Na jednym końcu tego łańcucha stoją wypadki skrajne, o których możecie z całym przekonaniem powiedzieć: ci ludzie zachorowaliby w każdym razie bez względu na to, co by przeżyli i jak dalece oszczędziłoby ich życie, a to ze względu na ich osobliwy rozwój libido. Na drugim końcu stoją te przypadki, które musicie oceniać wręcz odwrotnie: chorzy ci uniknęliby na pewno choroby, gdyby życie nie postawiło ich w takie lub inne położenie. W wypadkach pośrednich spotyka się większy lub mniejszy udział usposabiającej konstytucji seksualnej przy mniejszym lub większym udziale szkodliwych wymogów życiowych. Konstytucja seksualna nie wywołałaby u takich osobników nerwicy, gdyby nie mieli oni takich właśnie przeżyć, te zaś przeżycia nie działałyby na nich urazowo, gdyby ich układ libido był inny. W łańcuchu tym mogę przyznać pewną przewagę czynnikom usposabiającym, ale i ta koncesja zależy od tego, jak daleko chcecie zakreślić granice nerwowości.

Proponuję oznaczyć tego rodzaju szeregi mianem *szeregów uzupełniających* i uprzedzam, że znajdziemy sposobność do ustanowienia jeszcze innych takich szeregów.

Uporczywość, z jaką libido trzyma się pewnych kierunków i obiektów, ta, że się tak wyrażę, jej *lepkość*, ukazuje się nam jako czynnik samodzielny, indywidualnie zmienny, którego podstawy są zupełnie nieznanne, ale którego znaczenia dla etiologii nerwic nie będziemy odtąd nie doceniali. Nie powinniśmy jednak przeceniać ścisłości tego związku. Ta sama „lepkość” libido — z nieznanых powodów — zdarza się mianowicie w pewnych warunkach u człowieka normalnego i występuje jako czynnik decydujący u osób, które są w pewnym sensie przeciwieństwem neurotyków, u osobników perwersyjnych. Jeszcze przed okresem psychoanalizy było wiadome (Binet), że w anamnezie osobników perwersyjnych często wykrywa się bardzo wczesne wrażenie mające związek z anormalnym kierunkiem popędu lub takimże wyborem obiektu, którego właśnie trzyma się libido tych osobników przez całe życie. Często nie można powiedzieć, dlaczego właśnie to wrażenie staje się tak bardzo pociągające dla libido. Chcę opowiedzieć o przypadku tego rodzaju z mojej własnej obserwacji. Mężczyzna, dla którego dzisiaj narządy płciowe i inne powaby kobiece nie mają żadnego znaczenia, którego tylko w specjalny sposób obuta noga może wprawić w nieodparte podniecenie seksualne, przypomina sobie przeżycie z szóstego roku życia, które stało się decydujące dla fiksacji jego libido. Siedział na stołeczku obok swej guwernantki, u której miał brać lekcje angielskiego. Guwernantka, stara, sucha, nieładna dziewczyna o wodnistych niebieskich oczach i zadartym nosie, miała tego dnia chorą nogę, którą, obutą w zamszowy pantofel, wyciągnęła na poduszce; noga jej była przy tym jak najszczelniej osłonięta. Taka chuda, żylasta stopa, jaką widział wtedy u guwernantki, stała się po nieśmiałej próbie normalnej czynności seksualnej w okresie dojrzewania płciowego jedynym obiektem seksualnym i mężczyzna ten czuł się porwany bez pamięci, jeśli do tej stopy przyłączały się inne rysy, przypominające typ jego angielskiej guwernantki. Z powodu tego związania libido stał się ten człowiek nie neurotykiem, lecz osobnikiem perwersyjnym — jak to nazywamy — fetyszystą stopy. Widzicie zatem, że chociaż nadmierne, a przy tym jeszcze przedwczesne związanie libido jest niezbędne dla wywołania nerwicy, zakres jego działania wychodzi daleko poza dziedzinę nerwic. I ten warunek sam przez się jest równie mało decydujący jak rozważana poprzednio odmowa.

Problem powstawania nerwic zdaje się więc ulegać skomplikowaniu.

W samej rzeczy badanie psychoanalityczne zaznajamia nas z nowym czynnikiem, który nie został uwzględniony w naszym szeregu etiologicznym i który poznaje się najlepiej w wypadkach, kiedy dotychczasowe dobre samopoczucie zostaje nagle zakłócone przez schorzenie nerwicowe. U osobników tych znajduje się z reguły oznaki walki pomiędzy sprzecznymi pragnieniami lub, jak zwykliśmy mówić, *konfliktu psychicznego*. Pewna część osobowości wyraża pewne życzenia, inna występuje przeciw nim i odpiera je. Nie ma nerwicy bez takiego konfliktu i nie wydawałoby się to niczym osobliwym. Wiecie, że w naszym życiu psychicznym kłębią się nieustannie konflikty, które musimy rozstrzygać. Muszą być więc spełniane specjalne warunki, by taki konflikt stał się chorobotwórczy. Możemy zapytać, jakie są te warunki, pomiędzy jakimi mocami psychicznymi rozgrywają się chorobotwórcze konflikty, jaki stosunek zachodzi pomiędzy konfliktem a innymi momentami przyczynowymi.

Mam nadzieję, że będę mógł dać na te pytania odpowiedź wystarczającą, jakkolwiek schematycznie skróconą. Konflikt zostaje wywołany przez odmowę, gdy pozbawiona zaspokojenia libido skazana jest na szukanie sobie innych obiektów i dróg. Warunkiem jego jest to, że owe inne drogi i obiekty wywołują niezadowolenie jednej części osobowości, czego rezultatem jest weto, które przede wszystkim uniemożliwia nowy sposób zaspokojenia. Stąd prowadzi dalej droga do powstawania objawów, którą później będziemy śledzili. Nie akceptowane dążenia libido potrafią jednak przedostać się pewnymi okólnymi drogami, w każdym razie nie bez uwzględnienia opozycji, co przejawia się w postaci pewnych zniekształceń. Drogi okólne są to drogi tworzenia się objawów; objawy są nowym lub zastępczym zaspokojeniem, które stało się konieczne na skutek zaistnienia odmowy.

Można także uwzględnić znaczenie konfliktu psychicznego w inny sposób, mówiąc: do odmowy *zewnętrznej*, jeśli ma działać chorobotwórczo, musi przyłączyć się odmowa wewnętrzna. Odmowa zewnętrzna i wewnętrzna odnoszą się wtedy naturalnie do różnych dróg i obiektów. Odmowa zewnętrzna odbiera jedną możliwość zaspokojenia, odmowa wewnętrzna chciałaby wykluczyć inną, o którą wtedy wybucha konflikt. Dają pierwszeństwo temu rodzajowi przedstawienia, ponieważ zawiera on ukrytą treść — wskazuje mianowicie na prawdopodobieństwo, że owe zahamowania wewnętrzne powstały w prastarych okresach rozwoju ludzkości z konkretnych przeszkód zewnętrznych.

Jakie są jednak owe moce, od których wychodzi opozycja przeciw dążeniu libido, czyli druga strona w konflikcie chorobotwórczym? Są to, mówiąc ogólnie, popędy nieseksualne. Łączymy je pod nazwą „popędów jaźni”; psychoanaliza nerwic przeniesienia nie daje odpowiedniego dostępu od ich dalszego rozbioru, co najwyżej poznajemy je cokolwiek poprzez opory przeciwstawiające się analizie. Konflikt chorobotwórczy jest więc konfliktem pomiędzy popędami jaźni a popędami seksualnymi. W szeregu wypadków istnieje pozór, jakoby mógł też istnieć konflikt między różnymi popędami czysto seksualnymi; ale w gruncie rzeczy jest to to samo, gdyż z dwóch znajdujących się w konflikcie dążeń seksualnych jedno działa zgodnie z jaźnią, drugie zaś wywołuje opór jaźni. Pozostajemy więc przy konflikcie między jaźnią a seksualnością.

Panowie! Często, bardzo często, kiedy psychoanaliza zajmowała się pewnymi zjawiskami psychicznymi jako wytworem popędów seksualnych, zarzucano jej z gniewnym oporem, że człowiek nie składa się tylko z seksualności, że w życiu duchowym istnieją oprócz seksualnych jeszcze inne popędy i zainteresowania, że nie należy „wszystkiego” wyprowadzać z seksualności itp. Otóż jest to bardzo pocieszające, jeśli można przynajmniej raz być w zgodzie ze swymi przeciwnikami. Psychoanaliza nie zapominała nigdy o tym, że istnieją także i popędy nieseksualne; została ona zbudowana na ostrym rozgraniczeniu popędów seksualnych i popędów jaźni i zapewnia wobec każdej opozycji, że nerwice nie pochodzą z seksualności, lecz zawdzięczają swe powstanie konfliktowi między jaźnią a seksualnością. Nie ma też ona żadnego słusznego motywu, by zaprzeczać istnieniu lub znaczeniu popędów jaźni wtedy, gdy śledzi rolę popędów seksualnych w chorobie i w życiu. Przypadło jej tylko w udziale zajęcie się w pierwszej linii popędami seksualnymi, gdyż przez badanie nerwic przeniesienia stały się one najbardziej dostępne jej zrozumieniu, do niej zaś należało zbadanie tego, co zaniedbali inni.

Nie jest też zgodne z prawdą twierdzenie, jakoby psychoanaliza nie troszczyła się wcale o nieseksualną część osobowości. Właśnie odgraniczenie jaźni od seksualności dało nam szczególnie jasno poznać, że i popędy jaźni podlegają dłuższemu rozwojowi, który ani nie jest zupełnie niezależny od libido, ani też nie pozostaje z kolei bez wpływu na nie. Rozwój jaźni znamy wprawdzie znacznie gorzej niż rozwój libido, ponieważ dopiero badanie nerwic narcystycznych obiecuje

wgląd w budowę jaźni. Jednak mamy już godną uwagi próbę Ferenczego teoretycznego skonstruowania stopni rozwoju jaźni i co najmniej w dwóch miejscach zyskaliśmy silne punkty oparcia dla właściwej oceny tego rozwoju. Nie sądzimy przecież, że wymogi libido osobnika od samego początku przeciwstawiają się jego wymogom samozachowawczym; jaźń będzie raczej dążyła na każdym stopniu do pozostania w harmonii ze swoją równoczesną organizacją seksualną i do podporządkowania jej sobie. Następowanie po sobie pojedynczych faz w rozwoju libido odbywa się prawdopodobnie według przepisanej programu; nie można jednak odrzucić przypuszczenia, że przecież ten proces może ulec wpływowi ze strony jaźni, równocześnie zaś należałoby też przewidzieć pewien paralelizm, pewną odpowiedniość faz rozwojowych jaźni i libido; w ten sposób naruszenie tej odpowiedniości mogłoby stać się czynnikiem chorobotwórczym. Ważne jest dla nas zagadnienie, jak zachowuje się jaźń danego osobnika, gdy jego libido przejawia silną fiksację w jednym miejscu swego rozwoju. Może ona dopuścić fiksację i staje się potem w odpowiedniej mierze perwersyjna lub, co znaczy to samo, infantylna. Może się jednak zachować także ujemnie względem tego przytwierdzenia libido i wtedy jaźń zawiera w sobie stłumienie tam, gdzie libido doznała fiksacji.

Tą drogą dochodzimy do poznania, że trzeci czynnik etiologii nerwic, *skłonność do konfliktu*, zależy zarówno od rozwoju jaźni, jak i od rozwoju libido. Nasz pogląd na przyczyny powstawania nerwic został więc uzupełniony. Najpierw, jako warunek najogólniejszy — odmowa, następnie związanie libido, które pcha ją w określonych kierunkach, a potem skłonność do konfliktu, wynikająca z rozwoju jaźni, która odrzuciła dążenie libido. Stan rzeczy nie jest więc tak bardzo zawikłany i nieprzejrzysty, jak wam się prawdopodobnie podczas moich wywodów wydawało. Co prawda okaże się, że to jeszcze nie wszystko. Musimy dodać coś nowego i jedną z rzeczy znanych rozłożyć na prostsze składniki.

By zademonstrować wpływ rozwoju jaźni na tworzenie się konfliktu, a więc i na powstawanie nerwic, pragnąłbym przytoczyć przykład, który jest co prawda zmyślony, ale nie oddala się w niczym od prawdopodobieństwa. Zapożyczając tytuł krotchwili z Nestroja, opatrzymy go nazwą „Na parterze i na pierwszym piętrze”. Na parterze mieszka dozorca, na pierwszym piętrze właściciel domu, bogaty i wytworny pan. Obaj mają dzieci i przyjmijmy, że córeczce

pana domu pozwolono bawić się bez nadzoru z dzieckiem proletariusza. Może się wtedy bardzo łatwo zdarzyć, że zabawy dzieci przyjmą nieprzyzwoity, to znaczy seksualny charakter, że bawią się one „w ojca i matkę”, oglądając się nawzajem przy intymnych czynnościach i drażnią swoje genitalia. Dziewczynka dozorczy, która mimo swych pięciu czy sześciu lat mogła zauważyć to i owo z życia płciowego dorosłych, może przy tym przejąć rolę uwodzicielki. Przeżycia te wystarczą, nawet gdyby trwały przez czas krótki, by wywołać u obojga dzieci dążenia seksualne, które po przerwaniu wspólnych zabaw będą się ujawniały w przeciągu kilku lat jako masturbacja. Tyle jest pomiędzy nimi wspólnego; skutek końcowy będzie u obojga dzieci bardzo odmienny. Córka dozorczy będzie uprawiała nadal masturbację, po kilku latach weźmie sobie kochanka, może będzie miała dziecko, pójdzie tą lub inną drogą życiową, która zaprowadzi ją, być może, na jakieś stanowisko — np. zostanie popularną aktorką i zakończy swoją karierę jako arystokratka. Prawdopodobnie spotka ją los mniej świetny, ale w każdym razie dopełni ona swego życia wolna od nerwicy, nie doznawszy żadnego urazu wskutek swych przedwczesnych wyczynów seksualnych. Inaczej — córeczka właściciela domu. Pojmie ona wcześniej i jeszcze jako dziecko, że czyniła coś niewłaściwego; po krótszym czasie, albo może dopiero po twardej walce wyrzeknie się zaspokojenia przez masturbację, jednakże zachowa w istocie swojej coś stłumionego. Gdy w latach dziewczęcych nadarzy się jej sposobność dowiedzenia się czegoś o stosunku płciowym, odwróci się od niej z niezrozumiałą odrazą i będzie wołała trwać w nieświadomości. Prawdopodobnie ulegnie teraz na nowo przemożnemu pragnieniu masturbacji, na które nie odważy się poskarżyć. W latach, gdy powinna spodobać się mężczyźnie już jako kobieta, wybuchnie w niej nerwica, która przeszkodzi jej w zawarciu małżeństwa i podetnie jej nadzieje życiowe. Jeśli analizie uda się wejrzeć w tę nerwicę, okaże się, że dobrze wychowana, inteligentna dziewczyna o wysokich aspiracjach stłumiła całkowicie swe dążenia seksualne, lecz że te jednak, nieświadomie, trzymają się marnych przeżyć z przyjaciółką z lat dziecińczych.

Różnica obu losów mimo wystąpienia jednakowego przeżycia pochodzi stąd, że jaźń jednej dziewczyny przeżyła rozwój, który nie nastąpił u drugiej. Córce dozorczy wydała się później czynność seksualna tak samo naturalna i nie podlegająca zastrzeżeniom jak w dzieciństwie. Córka właściciela domu podlegała wpływowi wychowania i przyjęła

jego wymagania. Jej jaźń wytworzyła z otrzymanych podniet ideały kobiecej czystości i wstrzemięźliwości, z którymi nie zgadzają się czynności seksualne; jej wykształcenie intelektualne obniżyło zainteresowanie się rolą kobiecą, do której jest przeznaczona. Przez ten wyższy moralny i intelektualny rozwój swego „ja” popadła w konflikt z wymaganiami swej seksualności.

Chciałbym zatrzymać się dziś jeszcze przy drugim punkcie rozwoju jaźni, zarówno z powodu pewnych daleko sięgających widoków, jak i dlatego, że właśnie to, co nastąpi, nadaje się do usprawiedliwienia tego tak nam drogiego, ostrego i niezrozumiałego samo przez się odgraniczenia popędów jaźni od popędów seksualnych. W ocenie rozwoju zarówno jaźni, jak i libido musimy wysunąć punkt widzenia, dotychczas rzadko jeszcze uznawany. Rozwój zarówno jednego, jak i drugiego to w gruncie rzeczy dziedzictwo, skrócone powtórzenie rozwoju, który przeżyła cała ludzkość od czasów najwcześniejszych poprzez długie okresy. Myślę, że rozwojowi libido da się bez trudności przyznać owo pochodzenie *filogenetyczne* (szczepowe). Pomyślcie tylko, że w jednej klasie zwierząt narząd płciowy znajduje się w najściślejszym związku z ustami, że w drugiej nie daje się oddzielić od aparatu wydalającego, że w jeszcze innych jest związany z narządami ruchu — zjawiska, których ciekawe opisy znajdziecie w cennej książce W. Bölschego. U zwierząt widzi się, rzecz można, wszystkie rodzaje perwersji stężale w organizację seksualną. Ale punkt widzenia filogenetyczny u człowieka zostaje po części przesłonięty przez okoliczność, że to, co w gruncie rzeczy jest odziedziczone, w rozwoju osobniczym zostaje jednak nabyte na nowo, prawdopodobnie dlatego, że istnieją nadal i oddziałują na każdego z osobna te same warunki, które w swoim czasie zniewoliły do zdobycia tych cech. Najchętniej powiedziałbym, że działały one w swoim czasie twórczo, teraz zaś działają wywołująco. Prócz tego niewątpliwie jest, że bieg nakreślonego rozwoju może być u każdego człowieka zakłócany i zmieniany jest przez świeże wpływy zewnętrzne. Znamy tę moc, która zmusiła ludzkość do takiego rozwoju i która wywiera dziś swój nacisk w tym samym kierunku; jest to znów odmowa, jaką przynosi rzeczywistość lub, jeśli nazwiemy ją jej właściwym imieniem, niedostatek życiowy — 'Α *νάγκη*. Była ona surową wychowawczynią i wielu z nas pomogła. Neurotycy rekrutują się m.in. spośród dzieci, u których ta surowość wywołała złe skutki, lecz tyle trzeba ryzykować przy każdym wychowaniu. To uznanie

niedostatku życiowego za motor rozwoju nie powinno nas źle usposabiać do znaczenia „wewnętrznych tendencji rozwojowych”, jeśli dają się one dowieść.

Otóż jest godne uwagi, że popędy seksualne i popędy samozachowawcze nie zachowują się w ten sposób względem niedostatku realnego. Popędy samozachowawcze i wszystko, co pozostaje w związku z nimi, są łatwiejsze do wychowania; uczą się one zawczasu znosić niedostatek i ukierunkowywać swój rozwój podług wskazówek rzeczywistości. Jest to zrozumiałe, ponieważ w żaden inny sposób nie mogą zdobywać obiektów, które są im potrzebne; bez tych zaś obiektów musi osobnik zgnać. Popędy seksualne są trudniejsze do wychowania, gdyż z początku nie znają braku obiektów. Ponieważ opierają się pasożytniczo na innych funkcjach ciała i znajdują zaspokojenie autoerotyczne na własnym ciele, usuwają się najpierw spod wychowawczego wpływu niedostatku realnego i zachowują charakter samowoli, niepoddawania się wpływom — co nazywamy „nierozumnym” — u większości ludzi pod pewnym względem przez całe życie. Możliwość wychowania młodocianego osobnika kończy się też z reguły wtedy, gdy jego potrzeby seksualne budzą się z ostateczną siłą. Wychowawcy wiedzą o tym i odpowiednio do tego postępują; lecz, być może, dzięki wynikom psychoanalizy dadzą się skłonić do przesunięcia punktu ciężkości w wychowaniu na pierwsze lata dziecięce, począwszy od okresu niemowlęctwa. Mały człowiek jest już często „gotowy” w piątym lub szóstym roku życia i ujawnia później stopniowo to tylko, co już w nim tkwi.

By należycie ocenić całe znaczenie przedstawionej różnicy między obiema grupami popędów, musimy sięgnąć daleko i włączyć tu jedno z rozważań zasługujących na miano *ekonomicznych*. Wstępujemy tym samym w jeden z najważniejszych, ale niestety też i najciemniejszych zakresów psychoanalizy. Stawiamy sobie pytanie, czy w pracy naszego aparatu psychicznego daje się rozpoznać jakiś zamiar zasadniczy, i odpowiadamy na nie przy pierwszym zbliżeniu, że zamiar ten skierowany jest ku zdobyciu zadowolenia. Wydaje się, że cała nasza działalność duchowa nastawiona jest na zdobywanie zadowolenia i unikanie przykrości, że jest ona automatycznie regulowana przez *zasadę rozkoszy*. Otóż chcielibyśmy nade wszystko wiedzieć, jakie są warunki powstawania zadowolenia i przykrości, ale tego nam właśnie brak. Możemy odważyć się tylko na twierdzenie, że zadowolenie

związane jest w *jakiś sposób* ze zmniejszeniem, osłabieniem lub zgaszeniem sumy podrażnień panujących w naszym aparacie psychicznym, przykrość zaś — ze zwiększeniem tej sumy. Badanie najintensywniejszej rozkoszy dostępnej człowiekowi, rozkoszy przy spełnianiu aktu seksualnego, pozostawia mało wątpliwości co do tego jednego punktu. Ponieważ przy takim postępowaniu badawczym w kwestii rozkoszy chodzi nam o losy sumy podrażnienia lub energii psychicznej, rozpatrywania tego rodzaju zwiemy ekonomicznymi. Widzimy, że zadanie i czynność aparatu psychicznego dają się też opisać inaczej i ogólniej niż przez podkreślenie zdobycia zadowolenia. Możemy powiedzieć, że aparat psychiczny służy zamiarowi opanowania i usunięcia wstępujących weń z zewnątrz i od wewnątrz podrażnień i podnieceń. Co do popędów seksualnych, to widać bez trudu, że pracują one od początku do końca swego rozwoju w celu zdobycia rozkoszy; zachowują tę pierwotną funkcję bez zmiany. Do tego samego dążą początkowo także i inne popędy, popędy jaźni. Ale pod wpływem mentora — niedostatku — popędy jaźni uczą się wkrótce zastępować zasadę rozkoszy przez jej modyfikację. Zadanie zapobiegania przykrości staje się dla nich niemal równoważące z zadaniem zdobycia przyjemności; jaźń przekonywa się, że niezbędne jest zrzec się bezpośredniego zaspokojenia, odsunąć zdobycie rozkoszy, znieść pewną dozę przykrości i porzucić w ogóle pewne źródła zadowolenia. Tak wychowana jaźń stała się „rozsądna”, nie daje się więcej opanować zasadzie rozkoszy, lecz kieruje się *zasadą rzeczywistości*, która w gruncie rzeczy też chce osiągnąć zadowolenie, ale — dzięki uwzględnieniu rzeczywistości — pewne, choć odsunięte i zmniejszone.

Przejście od zasady rozkoszy do zasady rzeczywistości to postępowanie — i to jeden z najważniejszych wśród tych, jakie składają się na rozwój jaźni. Wiemy już, że popędy seksualne zaczynają brać udział w tej części rozwoju jaźni dopiero później, i to uczestniczą w niej z oporem, a usłyszymy jeszcze, jakie skutki ma dla człowieka okoliczność, że seksualność jego poprzestaje na tak luźnym stosunku do rzeczywistości zewnętrznej. A teraz na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Skoro jaźń człowieka ma, jak libido, swoją historię rozwoju, nie będzie to niespodzianką, jeśli usłyszycie, że bywają też „regresje jaźni”, i zechcecie dowiedzieć się, jaką rolę może odgrywać w schorzeniach nerwicowych ten powrót jaźni do wcześniejszych faz rozwoju.

Drogi tworzenia się objawów

Panie i panowie! Dla laika objawy są tym, co stanowi istotę choroby, uleczenie zaś polega dlań na usunięciu objawów. Lekarz stara się odróżnić objawy od samej choroby i powiada, że usunięcie objawów nie jest jeszcze uleczeniem z choroby. Lecz to, co po usunięciu objawów pozostaje uchwytnego z choroby, to tylko zdolność tworzenia nowych objawów. Dlatego chcemy teraz stanąć na stanowisku laika i zgłębienie objawów uważać za równoznaczne ze zrozumieniem choroby.

Objawy — mówimy tutaj naturalnie o objawach psychicznych (lub psychorodnych) i o psychicznym stanie chorobowym — są to akty dla całości życia szkodliwe lub przynajmniej bezużyteczne, na które osobnik skarży się często jako na sprzeciwiające się jego woli, i które są dla niego połączone z przykrością albo cierpieniem. Ich główna szkodliwość polega na tym, że wymagają one nakładu energii psychicznej, i na tym, że dalsze jej wydatkowanie jest potrzebne do ich zwalczania. Oba te wydatki mogą przy większej liczbie objawów choroby spowodować nadzwyczajne zubożenie osobowości pod względem będącej do jej dyspozycji energii psychicznej i w ten sposób prowadzić do jej sparaliżowania w stosunku do wszystkich ważnych zadań życiowych. Ponieważ o ich osiągnięciu przesądza przeważnie ilość w ten sposób zaangażowanej w to energii, rozumiecie to bez trudu, że „być chorym” to w istocie pojęcie praktyczne. Jeśli jednak staniecie na stanowisku teoretycznym i będziecie abstrahowali od tej strony ilościowej, to przyznacie z łatwością, że wszyscy jesteśmy chorzy, tzn. neurotyczni, gdyż warunki tworzenia się objawów można stwierdzić także u ludzi normalnych.

O objawach nerwicowych wiemy już, że są wynikiem konfliktu, który wytwarza się na gruncie nowego rodzaju zaspokajania libido. Obie siły, które się rozeszły, spotykają się znów w objawie, godzą się niejako przez kompromisowość jego powstania. Dlatego też objaw jest tak odporny; podtrzymują go obie strony. Wiemy też, że jedną z obu stron konfliktu jest odepchnięta przez rzeczywistość, nie zaspokojona libido, która musi szukać innych dróg dla swego zadowolenia. Jeśli rzeczywistość pozostaje nieubłagana nawet wtedy, gdy libido jest

gotowa przyjąć inny obiekt na miejsce tego, którego jej odmówiono, ta ostatnia jest zmuszona obrać drogę regresji i szukać zaspokojenia w którejś z już przewyżczonych organizacji lub za pomocą któregoś z wcześniej porzuconych obiektów. Na drogę regresji zostaje libido zwabiona przez fiksację, której uległa na określonych miejscach swego rozwoju.

Tutaj droga wiodąca do perwersji odcina się ostro od drogi ku nerwicy. Jeśli te regresje nie budzą sprzeciwu jaźni, wtedy nie dochodzi do powstania nerwicy i libido osiąga pewne zaspokojenie realne, choć już nieprawidłowe. Gdy jednak jaźń, która rozporządza nie tylko świadomością, lecz i dostępem do unerwienia ruchowego i tym samym do realizacji dążeń psychicznych, nie godzi się na te regresje, wtedy powstaje konflikt. Libido jest jakby odcięta i musi spróbować zboczyć tam, gdzie znajdzie ujście dla swojej energii, stosownie do nakazów zasady rozkoszy. Musi ona ujść kontroli jaźni. Na takie wyminięcie pozwalają jej właśnie związania na drodze rozwoju, którą teraz kroczy w kierunku odwrotnym; przeciw tym związaniom jaźń broniła się w swoim czasie stłumieniami. Libido natomiast podążając wstecz obsadza owe stłumione pozycje, uwalnia się od jaźni i jej praw, ale przy tym wyzbywa się też wszelkiego zdobytego pod wpływem tej jaźni wychowania. Dawała sobą kierować, póki istniała nadzieja osiągnięcia zaspokojenia; pod podwójnym naciskiem odmowy zewnętrznej i wewnętrznej staje się nieposłuszna i przypomina sobie dawne lepsze czasy. Taki jest już jej w gruncie rzeczy niezmienny charakter. Wyobrażenia, które libido obsadza swoją energią, należą do systemu nieświadomego i ulegają procesom systemowi temu właściwym, zwłaszcza zgęszczeniu i przesunięciu. Przez to zostają stworzone warunki zupełnie podobne do warunków, w jakich powstaje marzenie senne. Podobnie jak powstałemu w nieświadomym marzeniu sennemu, które jest spełnieniem nieświadomego życzenia powstałego w fantazji, przychodzi z pomocą odłam przedświadomej czynności psychicznej, który pełni funkcję cenzury i po ugodzie z nią zezwala na tworzenie się jawnego marzenia sennego jako kompromisu, również i reprezentacja libido w nieświadomym musi liczyć się z władzą przedświadomej jaźni. Sprzeciw, który podniósł się przeciw niej w obrębie jaźni, podąża za nią jako „obsada przeciwna” i zmusza ją do obrania sobie takiego wyrazu, który może stać się jednocześnie wyrazem samego sprzeciwu. Tak powstaje objaw jako wielokrotnie zmieniona pochodna

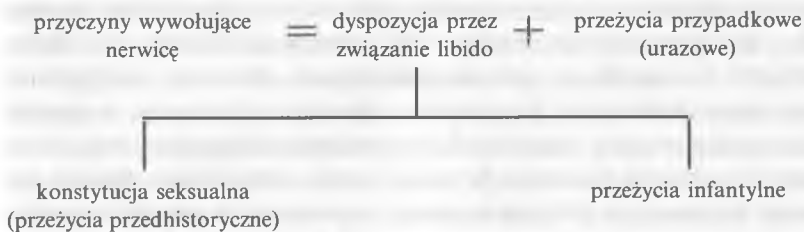
nieświadomego spełnienia pragnienia libido, kunsztownie wybrany dwuznacznik o dwóch zupełnie sprzecznych znaczeniach. Ale w tym ostatnim punkcie daje się rozpoznać różnicę między tworzeniem się marzenia sennego a powstawaniem objawu, gdyż przedświadomy zamiar w tym pierwszym wypadku dąży tylko do potrzymania snu, do niedopuszczenia do świadomości niczego, co by go mogło zakłócić; nie upiera się jednak przy tym, by nieświadomemu dążeniu odkrzyknąć ostro: nie, przeciwnie! Zamiar ten może być bardziej tolerancyjny, gdyż sytuacja śpiącego jest mniej zagrożona. Droga do rzeczywistości jest zamknięta przez sam stan snu.

Widzicie, że zbaczanie libido na skutek warunków konfliktu jest umożliwione przez istnienie fiksacyj. Obsada regresyjna tych związków prowadzi do ominięcia stłumienia i do odpływu — lub zaspokojenia — libido, przy którym muszą być zachowane warunki kompromisu. Drogami okólnymi, poprzez nieświadome i przez dawne fiksacje, udało się nareszcie libido osiągnąć pewne zaspokojenie realne, w każdym razie bardzo ograniczone i niemal nie do poznania. Pozwólcie mi dodać dwie uwagi do tego ostatecznego rezultatu. Po pierwsze, zechciejcie zważyć, jak blisko okazują się tu ze sobą związane z jednej strony libido i nieświadome, z drugiej — jaźń, świadomość i rzeczywistość, chociaż w żadnym razie nie należą do siebie od początku; dalej, zważcie, że wszystko, co tu powiedziano, i to, co nastąpi potem, odnosi się tylko do powstawania objawów w nerwicy historycznej.

Gdzie więc znajduje libido związania, które są jej potrzebne do przełamania stłumień? Znajduje je w czynnościach i przeżyciach seksualności dziecięcej, w poniechanych dążeniach cząstkowych i w porzuconych obiektach dzieciństwa. Do nich więc powraca libido. Znaczenie tego okresu dzieciństwa jest dwojakie: z jednej strony pojawiły się wówczas po raz pierwszy kierunki popędów, które dziecko przyniosło ze sobą na świat jako należące do wrodzonego podłoża, a z drugiej — przez wpływy zewnętrzne, przez przypadkowe przeżycia inne jego popędy zostały tutaj po raz pierwszy zbudzone i wprowadzone w ruch. Myślę, że nie ulega żadnej wątpliwości, iż mamy prawo przyjąć ten podział. Ujawnienie się wrodzonych zadatków nie podlega żadnym zastrzeżeniom krytycznym, lecz doświadczenie analityczne zmusza nas wprost do przyjęcia, że czysto przypadkowe przeżycia dzieciństwa mogą pozostawiać po sobie związania libido. Nie widzę też w tym żadnej trudności teoretycznej. Zadatki ustrojowe powstały

też z pewnością wskutek oddziaływania przeżyć przodków i one więc zostały niegdyś nabyte; bez takiego nabycia nie byłoby dziedziczności. Czy można pomyśleć, by takie nabywanie prowadzące do dziedziczenia miało się skończyć właśnie na pokoleniu, które rozpatrujemy? Znaczenie przeżyć dziecięcych nie powinno być jednak, jak to się często dzieje, lekceważone na korzyść doceniania roli przeżyć przodków i przeżyć okresu własnej dojrzałości, lecz przeciwnie, powinno znaleźć specjalną ocenę. Skutek ich jest tym bardziej ważki, że przypadają na czasy nie ukończonego rozwoju i właśnie z powodu tej okoliczności mogą działać urazowo. Prace o mechanice rozwojowej Roux i innych pokazały, że ukłucie igłą zarodka znajdującego się w okresie podziału komórek pociąga za sobą poważne zaburzenia w rozwoju. To samo uszkodzenie w stosunku do poczwariki lub dorosłego zwierzęcia przeszłoby bez śladu.

Związanie libido człowieka dorosłego, które wprowadziliśmy do etiologicznego równania nerwic jako przedstawiciela czynnika ustrojowego, rozkłada się więc teraz na dwa dalsze czynniki: odziedziczone podłoże i dyspozycję nabytą we wczesnym dzieciństwie. Wiemy, że uczący się mają szczególną sympatię dla schematów. Ujmijmy więc te stosunki w schemat:



Dziedziczna konstytucja seksualna przedstawia wielką różnorodność skłonności, zależnie od tego, czy ten lub inny popęd cząstkowy jest zaznaczony ze szczególną siłą sam przez się czy w związku i innymi. Z czynnikiem przeżyć dziecięcych tworzy konstytucja seksualna znów „szereg uzupełniający” zupełnie podobny do już uprzednio poznanego szeregu: dyspozycji z przeżyciami przypadkowymi człowieka dorosłego. Tu, jak i tam znajdują się te same przypadki krańcowe i te same relacje zastępowania. Nasuwa się tutaj pytanie, czy owa najbardziej uderzająca regresja libido, regresja do wcześniejszych stopni organizacji seksualnej,

nie jest przeważnie uwarunkowana przez czynnik dziedziczno-ustrojowy; ale odpowiedź na to pytanie najlepiej odłożyć do czasu, kiedy będziemy mogli powołać się na znajomość większego szeregu postaci schorzeń nerwicowych.

Zatrzymajmy się teraz przy fakcie, że badanie analityczne pokazuje, iż libido neurotyków związana jest z ich dziecięcymi przeżyciami seksualnymi. Nadaje im ona przez to pozór wielkiej wagi dla życia seksualnego i zachowania człowieka. Znaczenie to pozostaje nie zmniejszone, jeśli chodzi o pracę terapeutyczną. Ale jeśli abstrahujemy od tego zadania, to poznajemy z łatwością, że tkwi tu niebezpieczeństwo nieporozumienia, które mogłoby skłonić nas do zbyt jednostronnego ujmowania życia pod znakiem sytuacji nerwicowej. Trzeba przecież zmniejszyć znaczenie przeżyć dziecięcych, mając na względzie, że libido powróciła do nich na skutek regresji, gdy została wygnana ze swych późniejszych pozycji. Ale w takim razie można by wyprowadzić wniosek wprost przeciwny, że przeżycia libido nie miały w swoim czasie żadnego znaczenia. Przypomnijcie sobie, że zajęliśmy już raz stanowisko wobec takiego postawienia sprawy przy rozpatrywaniu kompleksu Edypa.

Rozstrzygnięcie i tym razem nie będzie dla nas rzeczą trudną. Uwaga, że obsadzenie przez libido przeżyć dziecięcych — a więc i ich znaczenie chorobotwórcze — zostało silnie wzmocnione przez regresje libido, jest niewątpliwie słuszna, ale doprowadzilibyśmy do błędu, gdybyśmy to uznali za jedynie decydujące. Musimy uwzględnić jeszcze inne rozważania. Po pierwsze obserwacja pokazuje w sposób wykluczający wszelką wątpliwość, że przeżycia infantylne mają swoje własne znaczenie i wykazują je już w latach dzieciństwa. Bywają też nerwice dziecięce, w których moment czasowego przesunięcia wstecz z natury rzeczy jest bardzo zmniejszony lub brak go zupełnie, ponieważ schorzenie następuje jako bezpośredni skutek przeżyć urazowych. Badanie tych nerwic dziecięcych chroni nas od niejednego niebezpiecznego niezrozumienia nerwic ludzi dorosłych, podobnie jak marzenia senne dzieci dały nam klucz do zrozumienia marzeń sennych dorosłych. Nerwice występują u dzieci bardzo często, daleko częściej, niż się to przypuszcza. Często się je przeocza, osądza jako oznaki złego zachowania lub niegrzeczności, często trzymają je w korbach wyższe instancje, ale można je łatwo rozpoznać przy późniejszym rzucie oka wstecz. Występują przeważnie jako *histeria lękowa*. Co to znaczy,

o tym dowiemy się przy innej sposobności. Jeśli nerwica wybucha w życiu późniejszym, analiza odsłania z reguły, że jest to bezpośrednio przedłużenie owego, może tylko mglistego, tylko z lekka zaznaczonego schorzenia dziecięcego. Bywają jednak, jak powiedziałem, wypadki, w których ta dziecięca nerwowość trwa nadal bez żadnej przerwy jako stan chorobowy ciągnący się przez całe życie. Kilka przykładów nerwic dziecięcych mogliśmy analizować — w stanie aktualnym — u samego dziecka; znacznie częściej musieliśmy poprzestawać na tym, że człowiek, który zachorował w wieku dojrzałym, pozwolił nam na późniejszy wgląd w swoją nerwicę dziecięcą, przy czym musieliśmy pamiętać o pewnych poprawkach i ostrożności.

Po drugie, trzeba jednak powiedzieć, że byłoby niezrozumiałe, dlaczego libido powraca tak regularnie do czasów dzieciństwa, gdyby tam nie było niczego, co by ją mogło przyciągnąć. Związanie, którego istnienie przyjmujemy w poszczególnych etapach drogi rozwojowej, posiada tylko wtedy znaczenie, jeśli przyznajemy, że istnieje skutek niewyładowania się pewnej określonej ilości energii libido. Wreszcie mogę przypomnieć i o tym, że pomiędzy intensywnością a znaczeniem chorobotwórczym przeżyć dziecięcych i późniejszych zachodzi podobny stosunek uzupełniający, jak w uprzednio przez nas badanych szeregach. Bywają wypadki, w których chorobę w całości wywołują przeżycia seksualne dzieciństwa i w których wrażenia te przejawiają swoje działanie urazowe, nie potrzebując żadnej innej pomocy poza tą, jaką im daje przeciętna konstytucja seksualna i jej niedojrzałość. Obok tych widzimy przypadki, w których powstawaniu punkt ciężkości spoczywa w roli późniejszych konfliktów i podkreślanie przez analizę wrażeń dziecięcych zdaje się mieć związek przede wszystkim z działaniem regresji. Mamy więc tu dwie krańcowości: zahamowanie rozwoju i regresję, pomiędzy nimi zaś współdziałanie obu tych czynników we wszelkich możliwych stopniach.

Sprawy te zasługują na zainteresowanie ze strony pedagogiki, która stawia sobie za zadanie zapobieganie nerwicom przez wczesne zajęcie się rozwojem seksualnym dziecka. Dopóki zwraca się uwagę wyłącznie na przeżycia seksualne dziecka, można mniemać, że uczyniło się wszystko, co trzeba, by zapobiec schorzeniom nerwowym, jeśli tylko troszczyliśmy się o to, by rozwój ten został opóźniony i by oszczędzić dziecku przeżyć tego rodzaju. Ale wiemy już, że warunki wywołujące powstawanie nerwic są bardziej skomplikowane

i uwzględnienie jednego czynnika nie wywiera jeszcze wpływu na nie jako całość. Surowa ochrona dzieciństwa traci na wartości, gdyż jest bezsilna wobec czynnika ustrojowego; jest prócz tego trudniejsza do przeprowadzenia, niż wychowawcy sobie to wyobrażają, i przynosi ze sobą dwa nowe niebezpieczeństwa, których nie należy nie doceniać: jedno to, że osiąga zbyt wiele — sprzyjając szkodliwemu w skutkach nadmiernemu stłumieniu płciowości; drugie, że wysyła w życie dziecko niezdolne do obrony przeciw naporowi pożądań seksualnych, którego należy oczekiwać w okresie pokwitania. Pozostaje więc sprawą wielce wątpliwą, jak daleko należy się posunąć w profilaktyce w okresie dzieciństwa i czy zmiana stosunku do rzeczywistości aktualnej nie byłaby lepszym punktem zaczepienia dla zapobiegania nerwicom.

Powróćmy jednak do objawów. Występują więc one w zastępstwie uniemożliwionego zaspokojenia, a dzieje się to za pośrednictwem regresji libido do czasów dawniejszych, z czym nierozłącznie związany jest powrót do wcześniejszych stopni rozwoju wyboru obiektu lub stopni organizacji. Słyszeliśmy już wcześniej, że neurotyk tkwi mocno gdzieś w swojej przeszłości: wiemy teraz, że jest to ten okres przeszłości, w którym jego libido nie odczuwała braku zaspokojenia, w którym był szczęśliwy. Szuka on tak długo w historii swego życia, dopóki nie znajdzie owego czasu; choćby musiał nawet powrócić do okresu niemowlęstwa, takiego, jakim go sobie przypomina lub wyobraża na zasadzie późniejszych napomknień. Objaw powtarza w pewien sposób ów wczesny dziecięcy rodzaj zaspokojenia, zmieniony przez cenzurę wyływającą z konfliktu i z reguły skierowany ku odczuwaniu cierpienia oraz zmieszany z pierwiastkami wynikającymi z bezpośredniego powodu schorzenia. Rodzaj zaspokojenia, które przynosi objaw, posiada w sobie wiele dziwnego. Pomijamy już, że dany osobnik nie rozpoznaje go wcale, odczuwając rzekome zaspokojenie raczej jako cierpienie i uskarżając się na nie. To przekształcenie należy do konfliktu psychicznego, pod którego naciskiem musiał się objaw wytworzyć. To, co było kiedyś dla danego osobnika zaspokojeniem, musi dziś budzić w nim opór lub odrazę. Znamy dla takiej zmiany upodobania przykład drobny, ale pouczający. To samo dziecko, które ssalo pożądliwie mleko z piersi matki, zwykło w kilka lat później okazywać niechęć do mleka, której przewyciężenie przysparza trudności wychowaniu. Niechęć ta potęguje się aż do wstrętu, jeśli mleko lub inny napój z nim

zmieszany pokryte jest kożuszkim. Może nie należy odrzucać nasuwającego się przypuszczenia, że kożuszek ten wywołuje wspomnienie piersi matczynej, ongiś tak gorąco pożądanej, uwzględnivszy, że tymczasem dziecko doznało działającego bądź co bądź jako uraz przeżycia odstawienia od piersi.

Istnieje coś jeszcze, dzięki czemu wydaje się nam, że objawy są dziwne i jako środek zaspokojenia libido niezrozumiałe — tak dalece nie przypominają nam nic z tego, od czego zwykliśmy normalnie oczekiwać zaspokojenia. Abstrahują one przeważnie od obiektu i uchylają się tym samym od jakichkolwiek stosunków z rzeczywistością zewnętrzną. Pojmujemy to jako rezultat porzucenia zasady rzeczywistości i powrotu do zasady rozkoszy. Jest to jednak także i powrót do pewnego rodzaju rozszerzonego autoerotyzmu, który dawał popędowi seksualnemu pierwsze zadowolenie. Na miejsce dokonywania zmiany w świecie zewnętrznym stawiają doprowadzenie do zmiany we własnym ciele, a więc akcję wewnętrzną zamiast zewnętrznej, przystosowanie się zamiast aktywności, co znowu odpowiada regresji bardzo ważnej w aspekcie rozwoju szczepowego. Zrozumiemy to dopiero w związku z nowymi faktami, o których dowiemy się z badań analitycznych nad powstawaniem objawów. Dalej przypomnijmy sobie, że przy tworzeniu się objawów współdziałały te same procesy w obrębie nieświadomego, co przy tworzeniu się marzenia sennego: zgęszczenie i przesunięcie. Objaw, tak jak marzenie senne, przedstawia coś jako spełnione, jest to więc zaspokojenie na podobieństwo dziecięcego, lecz dzięki krańcowemu zgęszczeniu zaspokojenie to, wciśnięte w jedno jedyne doznanie lub inercję, może zostać przez krańcowe przesunięcie ograniczone do małego szczegółu całego kompleksu libido. Nic więc dziwnego, że i my napotykaemy często trudności w rozpoznawaniu w danym objawie domniemanego i za każdym razem potwierdzonego zaspokojenia libido.

Zapowiedziałem, że mamy dowiedzieć się jeszcze czegoś nowego; jest to rzeczywiście coś niespodziewanego i wywołującego zamieszanie. Wiecie, że przez analizę objawów dochodzimy do poznania przeżyć dziecięcych, z którymi związana jest libido i z których tworzą się objawy. Otóż niespodzianka polega na tym, że owe obrazy dziecięce nie zawsze są prawdziwe. Ba, w większości wypadków są nieprawdziwe, a niekiedy stoją wprost w sprzeczności z prawdą historyczną. Zgodzicie się, że odkrycie to nadaje się, jak żadne inne, do zdyskredytowania bądź analizy, która doprowadziła do tego wyniku, bądź też chorych,

na których zeznaniach zbudowana jest zarówno analiza, jak i w ogóle zrozumienie nerwic. Ale prócz tego jest tu jeszcze coś niezwykle niepokojącego. Gdyby te przeżycia, wydobyte przez analizę na światło dzienne, były za każdym razem realne, mielibyśmy uczucie, że poruszamy się na pewnym gruncie; gdyby były stale zmyślone, gdyby odślaniały oblicze jako wymysł, jako fantazje chorych, wówczas musielibyśmy porzucić ten niepewny grunt i ratować się na innym. A jednak obie te konieczności nie mają miejsca i można wykazać następujący stan rzeczy: przeżycia dziecięce, skonstruowane lub przypominane w analizie, są raz bezspornie fałszywe, innym razem jednak są na pewno prawdziwe, w większości zaś wypadków są mieszaniną prawdy i fałszu. Objawy więc przedstawiają przeżycia, które rzeczywiście miały miejsce i którym można przypisać wpływ na fiksję libido, to znów przedstawiają fantazje chorego, które nie nadają się naturalnie wcale do przypisania im roli przyczynowej. Trudno jest w tym się zorientować. Pierwszy punkt oparcia znajdujemy może w podobnym odkryciu, że, mianowicie, pojedyncze wspomnienia dzieciństwa, które ludzie od dawna i przed jakąkolwiek analizą przechowywali w swej świadomości, mogą także być sfałszowane, lub przynajmniej zawierać obfitą mieszaninę prawdy i fałszu. Wykazanie nieprawdziwości sprawia tu rzadko trudność i możemy się przynajmniej uspokoić myślą, że winę tego nieoczekiwanego rozczarowania ponosi nie analiza, lecz w jakiś sposób sam chory.

Po pewnym namyśle zrozumiemy łatwo, dlaczego ten stan rzeczy wprowadza nas w takie zamieszanie. Widzimy tutaj lekceważenie rzeczywistości, niedocenianie różnicy między nią a fantazją. Odczuwamy pokusę obrażenia się o to, że chory zajmował nas zmyślnymi historiami. Rzeczywistość wydaje nam się czymś o całe niebiosa różnym od zmyślenia i doznaje innej zgoła oceny. To samo stanowisko zajmuje zresztą i chory w swym normalnym myśleniu. Gdy przynosi materiał, który poza objawami prowadzi do sytuacji życzeniowej, naśladującej przeżycia dzieciństwa, to w każdym razie z początku nie wiemy, czy chodzi o rzeczywistość czy fantazję. Później pewne oznaki umożliwiają nam rozstrzygnięcie i stoimy wobec zadania zapoznania z nim chorego. Przy tym w żadnym wypadku nie odbywa się to bez trudności. Jeśli odślaniamy mu od początku, że ma teraz zamiar ujawnić fantazje, którymi przesłonił sobie historię swego dzieciństwa, podobnie jak każdy naród za pomocą legend przesłania zapomniane

czasu swej prehistorii, wtedy spostrzegamy że jego zainteresowanie dla tematu opada nagle w niepożądany sposób. I on także pragnie dowiedzieć się rzeczywistości i pogardza wszelkimi „urojeniami”. Jeśli pozostawimy go jednak aż do wykonania tej części pracy w wierze, że zajmujemy się badaniem rzeczywistych zdarzeń z lat dziecińczych, to ryzykujemy, że zarzuci nam później pomyłkę i wyśmieje nas z powodu naszej pozornej łatwowierności. Dla propozycji postawienia na równi fantazji i rzeczywistości i nietroszczenia się z początku o to, czy przeżycia dzieciństwa, wymagające wyjaśnienia, są jednym, czy też drugim, nie posiada on przez czas dłuższy żadnego zrozumienia. A jednak jest to jedyny właściwy stosunek do tych tworów duchowych. I one posiadają pewien rodzaj realności; pozostaje przecież fakt, że chory stworzył sobie takie fantazje, i fakt ten posiada niemal nie mniejsze znaczenie dla jego nerwicy, niż gdyby treść tych fantazji przeżył rzeczywistość. Fantazje te posiadają realność *psychiczną* w przeciwieństwie do *materiałnej* i stopniowo uczymy się rozumieć, że *w świecie nerwic decydująca jest realność psychiczna*.

Między zdarzeniami powracającymi w dziejach młodości neurotyków stale — a zdarzeń tych prawie nigdy nie brakuje — jest kilka o specjalnej ważności, które też dlatego uważam za godne wysunięcia naprzód przed innymi. Jako przykłady tego rodzaju wymienię: spostrzeżenie stosunku płciowego rodziców, uwiedzenie przez osobę dorosłą i groźba kastracji. Byłoby wielkim błędem przyjąć, że nie posiadają one nigdy rzeczywistości materiałnej; przeciwnie, można jej często dowieść bez zastrzeżeń, wpytując starszych krewnych. Tak na przykład zdarza się nierzadko, że małemu chłopcu, który zaczyna bawić się swym członkiem i nie wie jeszcze, że takie igraszki należy ukrywać, grożą rodzice albo opiekunowie odcięciem członka lub grzesznej ręki. Zapytywani rodzice przyznają często, że przypuszczali, iż za pomocą takiego straszenia da się coś osiągnąć; niektóre osoby posiadają wyraźne, świadome wspomnienie tej groźby, specjalnie wtedy, kiedy miała ona miejsce w latach nieco późniejszych. Jeśli groźbę tę wypowiada matka lub inna osoba płci żeńskiej, to wykonanie jej spycha zazwyczaj na ojca lub — na lekarza. W słynnej książeczce *Struwelpeter* frankfurckiego lekarza chorób dziecięcych, Hoffmanna, tak popularnej właśnie dzięki zrozumieniu przez autora seksualnych i innych kompleksów wieku dziecięcego, znajdziecie kastrację złagodzoną, zastąpioną przez odcięcie palców u rąk, jako karę za uporczywe

cmoktanie. Ale jest to w każdym razie w wysokim stopniu nieprawdopodobne, by dzieciom tak często grożono kastracją, jak to wynika z analiz neurotyków. Poprzestajemy na zrozumieniu, że dziecko układa sobie taką groźbę w fantazji na podstawie napomknień, wiedząc, że zaspokojenie autoerotyczne jest zabronione, i pod wrażeniem odkrycia odmienności kobiecego narządu płciowego. Nie jest też w żadnym razie wykluczone, że małe dziecko, póki nie przypisuje mu się jeszcze zrozumienia i pamięci, jest świadkiem aktu płciowego między rodzicami lub innymi osobami dorosłymi nie tylko w rodzinach proletariackich i nie można zaprzeczyć, że dziecko może *później* to wrażenie zrozumieć i na nie zareagować. Jeśli jednak akt ten opisany bywa z najdokładniejszymi szczegółami, które sprawiają trudność obserwacji, lub, jak to często się zdarza, okazuje się stosunkiem od tyłu, *more ferarum*, wówczas nie ulega żadnej wątpliwości, że fantazja ta opiera się na obserwacji aktu płciowego u zwierząt (psów) i motywowana jest nie zaspokojonym pragnieniem przyglądania się dziecku w okresie pokwitania. Skrajnym przykładem tego rodzaju jest fantazja o obserwowaniu spółkowania rodziców wtedy, kiedy było się jeszcze w łonie matki. Na specjalne zainteresowanie zasługuje fantazja o uwiedzeniu, ponieważ często nie jest fantazją, lecz rzeczywistym wspomnieniem. Ale na szczęście, nie bywa ono tak często realne, jakby się to mogło wydawać początkowo na zasadzie wyników analizy. Uwiedzenie przez dzieci starsze albo tego samego wieku bywa zawsze częstsze niż przez osoby dorosłe, i jeśli u dziewczynek, które opowiadają o tym zdarzeniu ze swej historii dziecięcej — nierzadko jako uwodziciel występuje ojciec, to ani fantastyczność tego oskarżenia, ani pręży do niego motyw nie ulega wątpliwości. Fantazją o uwiedzeniu tam, gdzie uwiedzenie nie miało miejsca, pokrywa dziecko z reguły autoerotyczny okres swej działalności seksualnej. Oszczędza sobie wstydu z powodu masturbacji, przenosząc fantazję o pożądanym obiekcie wstecz w te najwcześniejsze czasy. Nie myślcie zresztą, że seksualne wykorzystywanie dziecka przez najbliższych męskich krewnych należy tylko do krainy fantazji. Większość analityków miała do czynienia z wypadkami, w których takie wydarzenia były realne i mogły być stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, tylko że należały do późniejszych lat dziecięcych i zostały przeniesione we wcześniejsze.

Nie odnosi się innego wrażenia, jak to tylko, że takie upragnione z całą mocą zdarzenia z dzieciństwa, należą do stałych elementów

nerwicy. Jeśli istnieją w rzeczywistości, to dobrze; jeśli zaś zawiodła rzeczywistość, to zostają zbudowane z napomknień i uzupełnione fantazją. Wynik jest ten sam i nie udało się po dziś dzień wykazać różnicy w skutkach zależnie od tego, czy fantazja czy rzeczywistość biorą większy udział w tych zdarzeniach z dzieciństwa. Mamy tu znów właśnie jeden z tak często wymienianych stosunków uzupełniających; jest on w każdym razie najdziwniejszy ze wszystkich, któreśmy poznali. Skąd pochodzi potrzeba tych fantazji i ich materiał? Co do źródeł popędów nie ma chyba żadnej wątpliwości, ale należałoby wyjaśnić tę okoliczność, że za każdym razem zostają wytworzone te same fantazje, tej samej treści. Mam tu w pogotowiu odpowiedź, o której wiem, że wyda się śmiała. Myślę, że te *prafantazje* — chciałbym je tak nazwać wraz z paru innymi — zostały nabyte przez filogenezę. Jednostka sięga w nich poza własne przeżycia, do przeżyć z czasów prastarych, z których wywodzą się te jej własne przeżycia mające charakter szczątkowy. Wydaje mi się zupełnie możliwe, że to, o czym słyszymy dzisiaj w analizie jako o fantazji: uwiedzenie dziecka, objęcie zarzewiem podniecenia seksualnego przy spostrzeżeniu stosunku rodziców, groźba kastracji — lub raczej kastracja — było rzeczywistością w prastarych czasach rodziny ludzkiej i że dziecko fantazjujące wypełniło po prostu luki w prawdzie indywidualnej prawdą historyczną. Wielokrotnie nasuwało się nam podejrzenie, że psychoanaliza nerwic przechowała więcej pamiątek ze starożytnych czasów rozwoju ludzkiego niż wszystkie inne źródła.

Proszę panów! Rzeczy ostatnio wyjaśnione zmuszają nas do zaznajomienia się bliżej z powstawaniem i znaczeniem czynności psychicznej zwanej „fantazją”. Zażywa ona, jak ogólnie wiadomo, wysokiego szacunku, chociaż nie zostało wyjaśnione jej stanowisko w życiu psychicznym. Mogę o tym powiedzieć, co następuje. Jak wiecie, „ja” człowieka zostaje pod wpływem niedostatku zewnętrznego wychowywane powoli w kierunku właściwej oceny rzeczywistości i liczenia się z jej zasadą i musi przy tym przejściowo lub na stałe wyrzec się rozmaitych obiektów i celów swego dążenia do rozkoszy — i to nie tylko seksualnych. Ale wyrzeczenie się przyjemności było dla człowieka zawsze trudne; dochodzi ono do skutku nie bez żądania pewnego rodzaju odszkodowania. Człowiek zastrzegł sobie dlatego czynność duchową, w której wszystkim tym porzuconym źródłom przyjemności i opuszczonym drogom prowadzącym do jej zdobycia

przyznana jest taka forma bytu, w której są one zwolnione od wymagań rzeczywistości i od tego, co nazywamy probierzem rzeczywistości. Każde dążenie osiąga zatem formę spełnienia w wyobraźni; nie ulega wątpliwości, że zatrzymywanie się przy życzeniach spełnionych w fantazji przynosi ze sobą zaspokojenie, chociaż świadomość, że nie dzieje się to w rzeczywistości, nie jest przy tym wcale zmaćona. W fantazji zażywa więc człowiek swobody, której już dawno wyrzekł się w świecie rzeczywistym — jest wolny od przymusu zewnętrznego. Dopiął tego, że może być na przemian to stworzeniem szalonym z rozkoszy, to znowu rozsądną istotą. Nie wystarcza mu skąpe zaspokojenie, które może wyrwać rzeczywistości. „Nie można się w ogóle obejść bez konstrukcji pomocniczych” — powiedział raz Th. Fontane. Twórczość w krainie fantazji znajduje całkowity odpowiednik w urządzeniu rezerwatów przyrody tam, gdzie wymagania rolnictwa, przemysłu czy komunikacji grożą pierwotnemu obliczu ziemi szybką zmianą nie do poznania. Rezerwat zachowuje dawny stan rzeczy, który wszędzie poza tym został z żalem poświęcony użyteczności. Wszystko może tam krzewić się i rosnąć, jak chce, również i to, co jest nieużyteczne, a nawet szkodliwe. Takim rezerwatem, usuniętym spod władzy zasady rzeczywistości, jest także kraina fantazji.

Najbardziej znanymi twórcami fantazji są tak zwane „marzenia sennych”, które już znamy, zaspokojenie w wyobraźni pragnień ambitnych, wielkościowych i erotycznych, które dojrzewają tym bujniej, im bardziej rzeczywistość nawołuje do umiarkowania lub cierpliwości. Istota szczęścia w fantazji, przywrócenie przeżywania rozkoszy niezależności od zezwolenia rzeczywistości, ukazuje się w nich z całą jasnością. Wiemy, że takie marzenia sennych są jądrem i wzorem marzeń sennych. Marzenie sennie nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak marzeniem dziennym nadającym się do zużytkowania dzięki nocnej swobodzie tendencji. popędowych, zmienionym przez nocną postać działalności psychicznej. Zapoznaliśmy się już z myślą, że i marzenie na jawie niekoniecznie musi być świadome, że bywają też nieświadome marzenia sennych. Takie nieświadome marzenia sennych bywają więc zarówno źródłem nocnych marzeń sennych, jak — objawów nerwicowych.

Znaczenie fantazji dla tworzenia się objawów stanie się jaśniejsze dzięki następującemu rozważaniu. Powiedzieliśmy, że libido w wypadku odmowy regresywnie zajmuje opuszczone przez siebie pozycje, do

których pozostała jednak w pewien sposób przyczepiona. Nie będziemy tego cofali ani poprawiali, lecz włączymy ogniwo pośrednie. W jaki sposób znajduje libido drogę do tych miejsc związania? Otóż nie wszystkie porzucone obiekty i kierunki libido zostały porzucone w całej rozciągłości. One lub ich pochodne pozostają jeszcze z pewną intensywnością zatrzymane w wyobrażeniach fantazji. Libido musi więc powrócić do fantazji, by znaleźć od nich drogę otwartą do wszystkich stłumionych rozwiązań. Fantazje te cieszyły się pewną tolerancją i jakkolwiek ostre byłyby przeciwieństwa, nie dochodziło do konfliktu między nimi a jaźnią, dopóki był zachowany pewien warunek. Jest to warunek natury *ilościowej*, którego spełnianie zostaje oto zakłócone przez dopływ libido do fantazji. Dzięki temu dopływowi wyposażenie fantazji w ładunek energii zostaje tak wzmożone, że zaczynają one stawiać wymagania i rozwijają pęd w kierunku ich realizacji. To jednak czyni nieuniknionym konflikt między nimi a jaźnią. Bez względu na to, czy były one przedtem przedświadome czy świadome, ulegają teraz stłumieniu ze strony jaźni i są wystawione na przyciągające działanie nieświadomego. Od tych obecnie nieświadomych fantazji wędruje libido z powrotem do ich początków w nieświadomym, aż do miejsc swych własnych fiksacji.

Powrót libido do fantazji jest stopniem pośrednim w drodze do powstawania objawów, które zasługuje na specjalną nazwę. C.G. Jung nadał mu bardzo odpowiednią nazwę *introwersja*, lecz znaczenie tego terminu rozszerzył w sposób niecelowy. My będziemy się trzymali tego znaczenia, przy którym introwersja oznacza odwrócenie się libido od możliwości zaspokojenia realnego i nadmierne obsadzenie fantazji, które dotąd było tolerowane jako niewinne. Osobnik podlegający introwersji nie jest jeszcze neurotykiem, ale znajduje się w chwiejnej sytuacji psychicznej; przy najbliższym przesunięciu sił psychicznych musi rozwinąć objawy, jeśli nie znajdzie jeszcze innych sposobów ujęcia dla swojej zatamowanej libido. Irrealny charakter zaspokojenia nerwicowego i zlekceważenie różnicy pomiędzy fantazją a rzeczywistością są natomiast już określone przez zatrzymanie się na stopniu introwersji.

Spostrzeżycie na pewno, że w ostatnich wyjaśnieniach włączyłem w ogniwa łańcucha etiologicznego nowy czynnik, a mianowicie ilość, wielkość energii wchodzącej w rachubę. Z tym czynnikiem musimy się teraz liczyć na każdym kroku. Często jakościowa analiza warunków

etiologicznych nie wystarczy. Lub też, by to wyrazić inaczej, czysto *dynamiczne* ujęcie tych procesów duchowych jest niewystarczające, wymaga ono jeszcze *ekonomicznego* punktu widzenia. Musimy sobie powiedzieć, że konflikt między dwoma dążeniami nie wybucha, póki nie zostaje osiągnięta pewna intensywność obsadzenia, chociażby nawet warunki treściowe dawno istniały. Tak samo znaczenie chorobotwórcze czynników ustrojowych opiera się na tym, o ile *więcej* z jednego niż z drugiego popędu cząstkowego występuje w podłożu; można sobie nawet wyobrazić, że podłoża są u wszystkich ludzi jednakowe i różnią się tylko dzięki owym stosunkom ilościowym. Tenże czynnik ilościowy jest nie mniej decydujący dla stopnia odporności przeciw zachorowaniu nerwicowemu. Wszystko zależy od tego, *jaką ilość* nie zużytej libido może dana osoba zachować w zawieszeniu i *jak wielką część* swej libido potrafi skierować z drogi seksualnej ku celom uwznioślenia. Cel ostateczny działalności psychicznej, który daje się opisać jakościowo jako dążenie do zdobywania zadowolenia i unikania przykrości, przedstawia się dla rozważania ekonomicznego jako zadanie opanowania czynnych w aparacie duchowym wielkości podniecenia (sum podrażnienia) i przeszkodzenia takiemu ich zastojowi, który wywołuje przykrość.

Tyle więc chciałem powiedzieć o powstawaniu objawów w nerwicach. Prawda — żebym nie zapomniał raz jeszcze podkreślić — wszystko, co powiedziałem, odnosi się tylko do tworzenia się objawów w hysterii. Już w nerwicy natręctwa można — poza zachowaniem głównych zasad — znaleźć wiele innego materiału. Obsadzenia przeciwne, skierowane przeciw wymaganiom popędu, wysuwają się w nerwicy natręctwa na plan pierwszy i za pomocą tak zwanych tworów reaktywnych opanowują obraz kliniczny. Takie same i dalej sięgające odchylenia wykrywamy w innych nerwicach, gdzie badania dotyczące mechanizmów powstawania objawów nie są jeszcze w żadnym punkcie zakończone.

Nim was dziś zwolnię, chciałbym jeszcze przez chwilę zająć się pewną stroną życia fantazji, która zasługuje na zainteresowanie ogółu. Istnieje mianowicie droga powrotna od fantazji do rzeczywistości, a jest nią — sztuka. Artysta jest w założeniu także człowiekiem podlegającym introwersji, któremu już niedaleko do nerwicy. Jest popychany przez silne pragnienia, chciałby zdobywać zaszczyty, władzę, bogactwo, sławę i miłość; ale brak mu środków, by osiągnąć te

zaspokojenia. Dlatego odwraca się, podobnie jak inny człowiek nie zaspokojony, od rzeczywistości i przenosi całe swoje zainteresowanie, także całą libido, na twory życzeniowe swojej fantazji, od których mogłaby prowadzić droga do nerwicy. Wiele czynników musi pewnie współdziałać, by los ten nie stał się ostatecznym wynikiem rozwoju artysty; wiadomo, jak często właśnie artyści narzekają na częściowe zahamowanie swej zdolności do pracy przez nerwice. Ustrój ich odznacza się prawdopodobnie dużą zdolnością do uwznioślenia, a stłumienia decydujące o konflikcie cechuje u nich pewna swoboda. Powrót do rzeczywistości znajduje jednak artysta w następujący sposób. Nie jest on jedynym, który prowadzi życie w fantazji. Pośrednia kraina fantazji jest uznawana przez ogólnoludzką umowę i każdy, komu brak jakiś doskwiera, oczekuje stamtąd ulgi i pociechy. Ale dla ludzi, którzy nie są artystami, zdobywanie zadowolenia ze źródeł fantazji możliwe jest w bardzo ograniczonej mierze. Nieubłagany charakter ich stłumień zmusza ich do poprzestawania na skąpych marzeniach dziennych, którym wolno jeszcze przedostać się do świadomości. Gdy się jest prawdziwym artystą, ma się do rozporządzenia znacznie więcej. Artysta potrafi, po pierwsze, tak opracować swoje marzeniaienne, że tracą charakter zbyt osobisty, który odstrasza od nich innych, i stają się przez to dostępnym obiektem dla zadowolenia obcych. Potrafi też tak je złagodzić, że niełatwo zdradzają swoje pochodzenie z zakazanych źródeł. Posiada, dalej, zagadkową zdolność formowania określonego materiału, póki nie stanie się on wiernym odbiciem wyobrażenia z jego fantazji, a następnie potrafi związać z tym przedstawieniem swojej nieświadomej fantazji taką sumę rozkoszy, że przez to stłumienia zostają przynajmniej chwilowo przewyciężone i zniesione. Jeśli może dokonać tego wszystkiego, to umożliwia w ten sposób innym czerpanie pociechy i ulgi z własnych źródeł rozkoszy ich nieświadomego, które stały się niedostępne, zyskuje ich wdzięczność i podziw i oto dzięki swej fantazji zdobywa rzeczywiście to, co naprzód zdobył tylko w fantazji: zaszczyty, potęgę i miłość.

Zwykła nerwowość

Panie i panowie! Po dokonaniu tak ciężkiej pracy w ostatnich wykładach, opuszczam na chwilę mój przedmiot, by zająć się wami.

Wiem mianowicie, że jesteście niezadowoleni. Wyobrażaliście sobie inaczej ten nasz „wstęp do psychoanalizy”. Oczekiwaliście, że usłyszycie przykłady czerpane z życia, nie zaś wykład teorii. Powiadacie mi, że pewnego razu, gdy przedstawiłem paralełę „na parterze i na pierwszym piętrze”, pojęliście coś niecoś z przyczyn wywołujących nerwicę, tylko że powinny to były być prawdziwe obserwacje, nie zaś skonstruowane teorie. Następnie, gdy na początku opowiedziałem o dwóch — tym razem chyba nie zmyślonych — objawach, których rozszyfrowanie i związek z życiem chorego przedstawiłem, wtedy wyjaśniło się wam „znaczenie” objawów; mieliście nadzieję, że będę kontynuował wykład w ten sam sposób. Zamiast tego podałem daleko idące, trudne do ogarnięcia teorie, które nigdy nie były zupełne, do których zawsze przybywało coś nowego; operowałem pojęciami, z którymi was jeszcze nie zaznajomiłem; przeszedłem ze sposobu przedstawienia opisowego do ujmowania dynamicznego, z tego zaś do tzw. podejścia ekonomicznego; utrudniłem wam zrozumienie, ile z użytych przeze mnie sztucznych słów znaczy to samo, a następuje jedno po drugim tylko z powodu — powiedzmy — dźwięcznego brzmienia; wyłowiłem punkty widzenia ukazujące tak dalekosiężne perspektywy, jak zasadę rozkoszy i zasadę rzeczywistości oraz właściwości nabyte drogą filogenetyczną, i zamiast was w coś wtajemniczyć, przesuwalem przed waszymi oczyma coś, co się coraz bardziej oddalało.

Dlaczego nie rozpocząłem wstępu do nauki o nerwicach od tego, co sami wiecie o nerwowości i co już dawno wzbudziło wasze zainteresowanie — od tego, co jest swoiście istotne dla ludzi nerwowych, od ich niezrozumiałych reakcji na obcowanie z ludźmi i na wpływy zewnętrzne, od ich pobudliwości, nieobliczalności i niedołęstwa? Dlaczego nie prowadziłem was krok za krokiem od pojmowania prostszych postaci codziennych aż do zagadkowych zjawisk krańcowej nerwowości?

Tak jest, moi panowie, nie mogę wam nawet nie przyznać racji. Nie jestem tak zaślepiiony w swojej umiejętności przedstawiania

zagadnień, bym uważał każdy błąd w nim za specjalny urok. Sam myślę, że można by to zrobić inaczej z większą korzyścią; taki był też mój zamiar. Ale nie zawsze można przeprowadzić swoje rozsądne zamiary. W samym materiale tkwi często coś, co nami kieruje i oddala od pierwotnych zamiarów. Nawet tak nieznaczną pracę jak uporządkowanie dobrze znanego materiału nie poddaje się całkowicie woli autora; udaje się, jak chce, i tylko potem można zapytać, dlaczego wypadła tak, a nie inaczej.

Jeden z powodów tego polega prawdopodobnie na tym, że tytuł *Wstęp do psychoanalizy* nie odpowiada już tej części wykładów, która ma traktować o nerwicach. Wstęp do psychoanalizy dają badania czynności pomyłkowych i marzenia sennego; nauka o nerwicach jest już samą psychoanalizą. Nie przypuszczam, bym mógł was w tak krótkim czasie zaznajomić z treścią nauki o nerwicach inaczej niż w tak skoncentrowanej formie. Chodziło mi o to, by omawiać razem sens i znaczenie objawów, warunki zewnętrzne i wewnętrzne oraz mechanizm ich powstawania. Spróbowałem to uczynić; stanowi to mniej więcej jądro tego, o czym może dziś pouczyć psychoanaliza. Było tu wiele do powiedzenia o libido i jej rozwoju, także coś niecoś o rozwoju jaźni. Do przesłanek naszej techniki, do zasadniczych punktów widzenia dotyczących nieświadomego i stłumienia (oporu) byliście już przygotowani. W jednym z najbliższych wykładów dowiecie się, w jakich dziedzinach praca psychoanalityczna organicznie idzie dalej. Na razie nie ukrywałem, że wszystkie nasze wiadomości pochodzą tylko z badania jednej grupy chorób nerwowych, tak zwanych nerwic przeniesienia. Mechanizm tworzenia się objawów prześledziłem tylko na hysterii. Gdybyście nawet nie mieli zdobyć solidnej wiedzy i zachować w pamięci każdego szczegółu, to jednak — jak ufam — otrzymaliście obraz tego, jakimi środkami pracuje psychoanaliza, jakie pytania porusza i jakie wydała rezultaty.

Podsunałem wam życzenie, że powinienem był zacząć opis nerwic od stanu neurotyków, od przedstawienia, jak cierpią wskutek nerwicy, jak bronią się przed nią i jak się do niej przystosowują. Jest to, oczywiście, materiał interesujący i godny poznania, poza tym niezbyt trudny do przedstawienia, ale byłoby nierozważne od niego rozpocząć. Narażałoby to na niebezpieczeństwo, że nie odkryje się nieświadomego, przeoczy wielkie znaczenie libido i będzie osądzało wszystkie sprawy tak, jak objawiają się one jaźni neurotyka. Że to „ja” nie jest instancją

pewną i bezstronną, to leży jak na dłoni. „Ja” jest wszak mocą, która wyparła się nieświadomego i obniżyła je do poziomu stłumionych treści psychicznych, jak więc można zaufać, że będzie ono wobec tegoż nieświadomego sprawiedliwe? Pomiędzy tymi treściami stłumionymi znajdują się przede wszystkim odrzucone wymogi seksualności; jest zrozumiałe samo przez się, że nie możemy nigdy odgadnąć ich zakresu i znaczenia na podstawie ujmowania ich przez jaźń. Od chwili gdy świta nam punkt widzenia stłumienia, otrzymujemy ostrzeżenie, byśmy nie obrali sędzią sporu jednej z obu sprzeczących się stron, i to w dodatku zwycięskiej. Jesteśmy przygotowani na to, że zeznania jaźni wprowadzą nas w błąd. Jeśli można wierzyć jaźni, to była ona zawsze czynna, sama pragnęła swoich objawów i sama je stworzyła. Wiemy jednak, że znosiła cierpliwie sporą dozę bierności, którą chce zwykle ukryć i upiększyć. W każdym razie nie zawsze odważa się na tę próbę; przy objawach nerwicy natręctwa musi przyznać, że przeciwstawia się jej coś obcego, przeciw czemu broni się z trudnością.

Kto jednak nie daje się powstrzymać przez te przestrogi i bierze zafałszowania jaźni za dobrą monetę, temu wszystko idzie potem z łatwością i temu nie udaje się uniknąć wszystkich oporów, które przeciwstawiają się psychoanalitycznemu podkreślaniu nieświadomości, seksualności i bierności jaźni. Ktoś taki może utrzymywać, jak Alfred Adler, że „nerwowy charakter” jest przyczyną nerwicy zamiast jej skutkiem, ale nie będzie w możności wyjaśnić choćby jednego szczegółu tworzenia się objawów lub jednego marzenia sennego.

Zapytanie: Czyż nie byłoby możliwe uznanie udziału jaźni w nerwowości i powstawaniu objawów bez lekceważenia jednocześnie momentów wykrytych przez psychoanalizę? Odpowiadam: Oczywiście, musi to być możliwe i kiedyś też się stanie; ale rozpoczęcie właśnie od tego punktu nie prowadzi w kierunku pracy psychoanalitycznej. Można przepowiedzieć, kiedy psychoanaliza przystąpi do tego zadania. Bywają nerwice, w których udział jaźni jest znacznie intensywniejszy niż w badanych przez nas dotychczas; nazywamy je nerwicami „narcystycznymi”. Opracowanie analityczne tych cierpień uczyni nas zdolnymi do bezstronnej i pewnej oceny udziału jaźni w schorzeniach nerwicowych.

Jedną z odmian stosunku jaźni do nerwicy jest jednak tak uderzająca, że mogła zostać uwzględniona od samego początku. Zdaje się, że żaden przypadek nie obywa się bez niej; ale rozpoznaje się je

najdokładniej przy chorobie, do której zrozumienia dziś nam jeszcze daleko, a mianowicie przy nerwicy urazowej. Musicie bowiem wiedzieć, że przy powstawaniu wszystkich możliwych form nerwic, jak i w ich mechanizmie działają zawsze te same momenty, lecz główne znaczenie, jeśli chodzi o tworzenie się objawów, przypada to jednemu, to drugiemu z nich. Dzieje się tu podobnie jak z członkami trupy aktorskiej, w której każdy aktor ma swoją stałą typową rolę: bohatera, powiernika, intryganta itd.; każdy jednak wybierze na swój benefis inną sztukę. I tak: fantazje, które przekształcają się w objawy, nie są nigdzie bardziej uchwytnie niż w histerii; obsadzenia przeciwne lub wytwory reakcji jaźni dominują w obrazie nerwicy natręctwa; to, co nazywaliśmy w marzeniu sennym *opracowaniem wtórnym*, wysuwa się na pierwszy plan w paranoi jako urojenie itd.

Tak więc w nerwicach urazowych, specjalnie w takich, które powstają wskutek okropności wojny, narzuca nam się z całą oczywistością egoistyczny, dążący do ochrony i korzyści motyw jaźni, który co prawda nie może sam stworzyć choroby, ale daje jej swoje przyzwolenie i podtrzymuje ją, gdy już się wytworzyła. Motyw ten pragnie uchronić jaźń przed niebezpieczeństwami, których groźba stała się powodem zachorowania, i nie dopuści do uzdrowienia, dopóki powtórzenie tych niebezpieczeństw nie będzie się wydawało wykluczone lub dopóki nie zostanie osiągnięte odszkodowanie za przebyte niebezpieczeństwo.

Ale podobne zainteresowanie okazuje jaźń wobec wszystkich innych wypadków powstawania i trwania nerwicy. Powiedzieliśmy już, że objaw bywa podtrzymywany także i przez jaźń, ponieważ dostarcza pod pewnym względem zaspokojenia jej tłumiącej tendencji. Ponadto zlikwidowanie konfliktu przez powstawanie objawu jest najwygodniejszym i najprzyjemniejszym dla zasady rozkoszy sposobem wyjścia; oszczędza ono jaźni niewątpliwie wielkiej i przykrej pracy wewnętrznej. Ba, bywają wypadki, co do których nawet lekarz musi przyznać, że przejście konfliktu w nerwicę stanowi rozwiązanie najmniej szkodliwe i społecznie najbardziej korzystne. Nie dziwcie się więc słysząc, że niekiedy nawet lekarz bierze stronę zwalczanej przez się choroby. Nie przystoi mu ograniczać się we wszystkich sytuacjach życiowych do postawy fanatyka zdrowia — wie on, że na świecie istnieje nie tylko nieszczęście spowodowane nerwicą, ale także i cierpienie realne, nie dające się usunąć, że konieczność może wymagać od człowieka złożenia

w ofierze zdrowia, i dowiaduje się, że taka ofiara jednostki powstrzymuje często ogrom nieszczęścia wielu osób. Gdyby więc można było powiedzieć, że neurotyk za każdym razem podejmuje *ucieczkę w chorobę* przed konfliktem, to trzeba dodać, że w niektórych wypadkach ucieczka ta jest zupełnie usprawiedliwiona, i lekarz, który poznał ten stan rzeczy, usunie się w milczeniu i dyskretnie.

Ale przy dalszych rozważaniach pomińmy te wypadki wyjątkowe. W warunkach przeciętnych widzimy, że przez przesunięcie się w kierunku nerwicy jaźń osiąga pewien wewnętrzny *zysk z choroby*. Do niego przyłącza się w pewnych sytuacjach życiowych korzyść uchwytna, zewnętrzna, mniej lub bardziej cenna w rzeczywistości. Rozpatrzenie najczęstszy wypadek tego rodzaju. Kobieta traktowana brutalnie i wyzyskiwana bezwzględnie przez męża znajduje dość regularnie drogę do nerwicy, jeśli umożliwi jej to usposobienie, jeśli jest zbyt tchórzliwa lub zbyt moralna, by potajemnie szukać pociechy u innego mężczyzny, gdy nie jest dość silna, by rozejść się z mężem wbrew wszystkim przeszkodom zewnętrznym, jeśli nia ma szans na to, aby mogła utrzymać się sama lub znaleźć lepszego męża lub jeśli ponadto jest przywiązana zmysłowo do brutalnego małżonka. Choroba jej staje się jej bronią w walce z silniejszym mężem, bronią, której może używać dla obrony i nadużywać dla zemsty. Może uskarżać się na chorobę, gdy tymczasem prawdopodobnie nie mogłaby uskarżać się na swoje małżeństwo. Znajduje pomocnika w lekarzu, zmusza bezwzględnego męża, by ją oszczędzał, by łożył na nią, by pozwalał jej na wyjazdy z domu, a przez to na chwilowe wyzwolenie spod małżeńskiego jarzma. Tam, gdzie taki zewnętrzny lub przypadkowy zysk z choroby jest znaczny i nie może znaleźć żadnej namiastki realnej, tam nie będziecie mogli liczyć na duże możliwości terapeutyczne.

Zarzucicie mi, że to, co opowiedziałem o zysku, który przynosi choroba, przemawia tylko na korzyść odrzuconego przeze mnie poglądu, że jaźń sama pragnie nerwicy i tworzy ją. Pomalutku, moi panowie; nie znaczy to może nic więcej ponadto, że jaźń zgadza się na nerwicę, której powstawaniu nie może przeszkodzić, i czyni z niej to, co się da najlepszego, jeśli w ogóle coś da się z niej uczynić. Jest to tylko jedna strona rzeczy, w każdym razie przyjemna. W tej mierze, w jakiej nerwica daje korzyści, jaźń zgadza się na nią, ale wszak przynosi ona nie same korzyści. W zasadzie okazuje się natychmiast, że jaźń wdając się w nerwicę zrobiła kiepski interes. Okupiła ona zbyt

drogo osłabienie konfliktu, a cierpienia, których doznaje w związku z objawami, są, być może, równoważnikiem udręczeń spowodowanych przez konflikt, prawdopodobnie jednak stanowią zwiększenie przykrości. Jażń chciałaby pozbyć się przykrości spowodowanej przez objawy, nie oddając jednak korzyści płynących z choroby, i tego właśnie nie jest w stanie dokonać. Okazuje się przy tym, że nie była ona tak bardzo czynna, jak się jej wydawało, i to sobie dobrze zapamiętamy.

Proszę panów, gdy jako lekarze będziecie się stykali z neurotykami, wyzbędziecie się prędko nadziei, że ci, którzy najbardziej lamentują i narzekają na swoją chorobę, są najbardziej gotowi do przyjęcia pomocy i będą jej stawiali najmniejszy opór. Raczej przeciwnie. Natomiast zrozumiecie z łatwością, że wszystko, co przyczynia się do uzyskania korzyści z choroby, wzmacnia opór stłumienia i powiększa trudności lecznicze. Do tej korzyści z choroby, która, że się tak wyrażę, rodzi się wraz z objawem, musimy dodać jeszcze inną, która okazuje się później. Gdy taka organizacja psychiczna jak choroba przetrwała czas dłuższy, zachowuje się w końcu jak istota samodzielna; ujawnia coś w rodzaju popędu samozachowawczego; pomiędzy nią a innymi czynnikami życia psychicznego, nawet takimi, które są jej w gruncie rzeczy wrogie, powstaje pewien *modus vivendi*; nie zdarza się też prawie, by nie pojawiły się okoliczności, wobec których okazuje się znów potrzebna i zdolna do użytku, tak jak gdyby nabyła *funkcję wtórną*, wzmacniającą na nowo jej istnienie. Zamiast przypadku z patologii weźcie jaskrawą ilustrację z życia codziennego. Zdolny robotnik, zarabiający na swoje utrzymanie, staje się wskutek nieszczęśliwego wypadku w swym zawodzie kaleką; możliwość pracy się kończy, ale nieszczęśliwy otrzymuje po pewnym czasie małą rentę wskutek wypadku i uczy się wykorzystywać swoje okaleczenie jako żebrak. Jego nowa, jakkolwiek gorsza egzystencja opiera się teraz właśnie na tym, co pozbawiło go poprzedniej. Jeśli usuniecie jego kalectwo, pozbawicie go przede wszystkim zapomogi; powstaje pytanie, czy jest jeszcze zdolny do podjęcia dawniejszej pracy. To, co odpowiada takiemu wtórnemu wykorzystaniu choroby przy nerwicy, możemy dodać jako korzyść wtórną do pierwotnej.

W ogóle chciałbym wam powiedzieć, byście pozostając pod wrażeniem teoretycznego ujęcia choroby nie lekceważyli praktycznego znaczenia korzyści z niej wynikających. Pominąwszy owe wcześniejsze

uznane wyjątki, przypomina ona zawsze przykłady „o mądrości zwierząt”, które Oberländer ilustrował w piśmie humorystycznym „Fliegende Blätter”. Arab jedzie na swoim wielbłądzie wąską ścieżką, która wrzyna się w stromą ścianę górską. Na zakręcie drogi dostrzega nagle naprzeciw siebie lwa, który gotuje się do skoku. Nie widzi żadnego wyjścia; z jednej strony prostopadła ściana, z drugiej przepaść; odwrót i ucieczka są niemożliwe; uważa się za straconego. Inaczej jego wierzchowiec — ucieka on skacząc wraz z jeźdźcem w przepaść, a lew... może się tylko popatrzeć. Lepszego dla chorego skutku nie osiągają też w zasadzie i pomoce w postaci objawów neurotycznych. Dzieje się tak może w wyniku tego, że zlikwidowanie konfliktu przez wytworzenie objawów jest jednak procesem automatycznym, który może nie dorastać do wymogów życia i przy którym człowiek zrezygnował ze zużytkowania swoich sił najlepszych i najwyższych. Gdyby możliwy był wybór, należałoby raczej podjąć uczciwą walkę z losem, choćby i przyszło w niej zginąć.

Proszę panów! Jestem wam jeszcze dłużny dalsze umotywowanie, dlaczego w przedstawieniu nauki o nerwicach nie wziąłem za punkt wyjścia zwykłej nerwowości. Przypuszczacie może, że uczyniłem tak dlatego, że wykazanie seksualnego podłoża nerwic sprawiłoby mi wówczas większą trudność. Ale przypuszczenie takie byłoby błędne. W nerwicach przeniesienia trzeba najpierw opracować interpretację objawów, by dojść do tego przekonania o znaczeniu etiologicznym życia seksualnego. W zwykłych postaciach tak zwanych *nerwic aktualnych* znaczenie takie jest surowym faktem narzucającym się bezpośredniej obserwacji. Natknąłem się nań przed przeszło dwudziestu laty, gdy pewnego dnia postawiłem sobie pytanie, dlaczego przy badaniu ludzi nerwowych pomija się tak regularnie ich życie płciowe. Uwzględniając ten aspekt badaniom złożyłem wtedy w ofierze moją wziętość u chorych, ale już po krótkotrwałych próbach mogłem wygłosić zdanie, że przy normalnym życiu płciowym nie zda się nerwica — miałem na myśli: nerwica aktualna. Oczywiście, że zdanie to pomija zbyt łatwo różnice indywidualne, słabą jego stroną stanowi również nieokreśloność, która jest nieodłączna od orzeczenia „normalny”, ale dla ogólnej orientacji zachowało ono jeszcze dziś swoją wartość. Zaszedłem wtedy tak daleko, że ustanowiłem swoiste związki między określonymi postaciami nerwowości a pewnymi postaciami zaburzeń seksualnych, i nie wątpię, że mógłbym dziś ponownie zebrać

te same spostrzeżenia, gdybym miał jeszcze na usługi podobny materiał kliniczny. Przekonywałem się często, że mężczyzna, który zadowalał się pewnym rodzajem niepełnego zaspokojenia płciowego, na przykład masturbacją, zapadał na pewną postać nerwicy aktualnej i że ta nerwica ustępowała prędko miejsca innej, gdy zmieniał się sposób zaspokojenia seksualnego na inny, nie mniej naganny. Potrafiłem nieraz ze zmiany stanu chorego odgadnąć zmianę trybu jego życia seksualnego. Nauczyłem się też wtedy twardo obstawać przy swoich przypuszczeniach, póki nie udawało mi się przewyciężyć nieszczerości pacjentów i zmusić ich do potwierdzenia. Co prawda, woleli wówczas iść do innych lekarzy, którzy nie dopytywali się tak gorliwie o ich życie seksualne.

Nie mogło też wtedy ujść mej uwagi, że badanie schorzenia nie zawsze wskazywało na życie płciowe jako na przyczynę. Bywały wprawdzie przypadki zachorowań bezpośrednio pod wpływem szkodliwości oddziaływania przeżyć w dziedzinie seksualnej. Bywały jednak także inne, np. ktoś zachorował, ponieważ stracił majątek lub dlatego, że przebył wyczerpującą chorobę organiczną. Wyjaśnienie tej różnorodności nastąpiło później, gdy uzyskaliśmy wgląd w zakładane stosunki wzajemne między jaźnią a libido, i było ono tym bardziej zadowalające, im głębszy był ten wgląd. Człowiek popada tylko wtedy w nerwicę, gdy jego jaźń straciła zdolność umożliwiającą mu robienie użytku ze swej libido. Im jaźń jest silniejsza, tym łatwiej przychodzi jej rozwiązanie tego zadania; każde osłabienie jaźni z jakiegokolwiek powodu musi wyrzucić taki sam skutek, jaki wywiera zbyt wielki wzrost wymagań libido, a więc umożliwia zachorowanie neurotyczne. Istnieją jeszcze inne, bardziej ściśle związki między jaźnią a libido, które jednak nie znalazły się dotychczas w naszym polu widzenia, i dlatego nie będę ich tutaj wyjaśniał. Istotnym wyjaśnieniem pozostaje dla nas ta okoliczność, że w każdym wypadku i niezależnie od tego, na jakiej drodze nastąpiło zachorowanie, objawy nerwicy powstają kosztem libido, i w ten sposób świadczą o jej anormalnym użytkowaniu.

Obecnie muszę zwrócić waszą uwagę na decydujące różnice między objawami nerwic aktualnych a objawami psychonerwic, których pierwszą grupą, nerwicami przeniesienia, zajmowaliśmy się dotychczas tak wiele. W obu wypadkach objawy pochodzą z libido, są więc jej anormalnym użytkowaniem, namiastką zaspokojenia. Lecz objawy

nerwic aktualnych — ucisk głowy, uczucie bólu, stan podrażnienia w którymś z narządów, osłabienie lub zahamowanie jakiejś funkcji — nie mają żadnego „sensu”, żadnego znaczenia psychicznego. Zaburzenia nie tylko przejawiają się przeważnie na ciele, czego przykład mogą stanowić objawy histeryczne, lecz rzadko są same przez się procesami na wskroś cielesnymi, przy których powstawaniu nie biorą udziału te wszystkie złożone mechanizmy psychiczne, któreśmy poznali. Są więc rzeczywiście tym, za co uważano tak długo objawy psychonerwicowe. Ale jak mogą one w takim razie odpowiadać zastosowaniom libido, którą poznaliśmy jako siłę działającą w sferze psychicznej? Otóż, moi panowie, to właśnie jest bardzo proste. Pozwólcie mi odświeżyć jeden z pierwszych zarzutów, które zostały wytoczone przeciw psychoanalizie. Mówiono wówczas, że stara się ona o czysto psychologiczną teorię zjawisk nerwicowych i że nie ma zupełnie widoków powodzenia, ponieważ teorie psychologiczne nie mogą nigdy wytłumaczyć choroby. Pozwolono sobie zapomnieć, że funkcja płciowa nie jest czymś czysto psychicznym, tak samo jak nie jest czymś czysto cielesnym. Wpływa ona zarówno na życie fizyczne, jak i na życie psychiczne. Jeśli w objawach psychonerwicowych poznaliśmy przejawy zaburzenia tej funkcji będące jego skutkami psychicznymi, nie będziemy zdumieni znajdując w nerwicach aktualnych bezpośrednie skutki somatyczne (cielesne) zaburzeń seksualnych.

Dla ujęcia tych ostatnich daje nam klinika wewnętrzna cenną wskazówkę, uwzględnioną również przez innych badaczy. Nerwice aktualne wykazują w szczegółach swojej symptomatologii, a także w swojej właściwości wpływania na wszystkie układy narządowe i wszystkie funkcje, niezaprzeczone podobieństwo do stanów chorobowych powstających przez chroniczny wpływ obcych materii trujących lub przez nagłe ich odebranie, czyli do stanów zatrucia i abstynencji. Obie te grupy chorób zbliżają się do siebie jeszcze bardziej przez pośrednictwo takich stanów, które, jak chorobę Basedowa, nauczyliśmy się przypisywać również działaniu materii trujących, ale nie obcych trucizn, które zostały wprowadzone do organizmu, lecz tych, które powstają jako wynik jego własnej przemiany materii. Myślę, że na zasadzie tych analogii musimy uważać nerwicę za skutek zaburzeń w seksualnej przemianie materii: bądź że powstaje więcej toksyn (jadów) seksualnych niż dana jednostka może pokonać, bądź też, że warunki wewnętrzne i nawet psychiczne stają na przeszkodzie właś-

ciwemu zużytkowaniu tych materii. Mądrość ludowa hołdowała od dawna takiemu ujmowaniu natury pożądania seksualnego, nie na próżno nazywa ona miłość „upojeniem” i przypisuje zakochanie wpływom lubczyków, przy czym czynnik działający przenosi poniekąd na zewnątrz. Dla nas nadarza się sposobność, by wspomnieć o istnieniu stref erogenicznych i o możliwości powstawania podniecenia seksualnego w najrozmaitszych narządach. Zresztą wyrażenia „seksualna przemiana materii” i „chemizm płciowy” są dla nas pozbawione treści; nic o tym nie wiemy i nie możemy nawet zdecydować, czy należy przyjąć dwie materie seksualne, które nazwałoby się wtedy „męska” i „żeńska”, czy też możemy ograniczyć się do jednej tylko toksyny seksualnej, którą należy uważać za nosiciela wszystkich podrażnień libido. Gmach nauki o psychoanalizie, który stworzyliśmy, jest w rzeczywistości nadbudową, która powinna być kiedyś oparta na fundamencie organicznym; ale tego, jak dotąd, nie potrafimy jeszcze uczynić.

Psychoanalizę jako naukę charakteryzuje nie materiał, którym się ona zajmuje, lecz technika, jaką stosuje. Można psychoanalizę zastosować zarówno do historii kultury, nauki o religii i mitologii, jak i do nauki o nerwicach — bez pogwałcenia jej istoty. Nie zawiera i nie dokonywa ona nic innego, jak wykrycie nieświadomego w życiu psychicznym. Zagadnienia nerwic aktualnych, których objawy powstają prawdopodobnie wskutek bezpośredniej szkodliwości toksycznej, nie przedstawiają dla psychoanalizy żadnych punktów zaczepienia; może ona przyczynić się do wyjaśnienia w nieznacznym tylko stopniu i musi pozostawić to zadanie badaniu biologiczno-lekarskiemu. Rozumiecie teraz może lepiej, dlaczego nie wybrałem innego ugrupowania mego materiału. Gdybym obiecał wam „wstęp do nauki o nerwicach”, to droga od prostych postaci nerwic aktualnych do bardziej skomplikowanych psychicznych wskutek zaburzenia libido byłaby niewątpliwie słuszna. Przy pierwszych musiałbym zebrać wszystko, czego dowiedzieliśmy się z różnych stron, przy psychonerwicach zaś psychoanaliza doszłaby do głosu jako najważniejszy techniczny środek pomocniczy dla przeświecenia stanów. Ja jednak zamierzałem wygłosić i zapowiedziałem „wstęp do psychoanalizy”; było dla mnie ważniejsze, byście zyskali pojęcie o psychoanalizie niż pewne wiadomości o nerwicach, i dlatego nie mogłem wysuwać na plan pierwszy nerwic aktualnych, bezpłodnych dla psychoanalizy. Myślę też, że uczyniłem

wybór pomyślniejszy, gdyż psychoanaliza wskutek swych głęboko sięgających przesłanek i szerokiego ogarniania związków zasługuje na zainteresowanie każdego człowieka wykształconego; natomiast nauka o nerwicach jest takim samym rozdziałem medycyny jak każdy inny.

Jednak macie prawo przypuszczać, że będziemy musieli okazać pewne zainteresowanie również i dla nerwic aktualnych. Skłania nas do tego już ich ścisły związek kliniczny z psychonerwicami. Chcę was więc uprzedzić, że odróżnimy trzy czyste formy nerwic aktualnych: *neurastenię*, *nerwicę lękową* i *hipochondrię*. I ten podział nie został przyjęty przez wszystkich. Wszystkie te nazwy są wprawdzie w użyciu, ale treść ich jest nieokreślona i zmienna. Istnieją też lekarze, którzy sprzeciwiają się wszelkiemu rozróżnianiu w zawiłym świecie zjawisk nerwicowych, każdemu wyodrębnianiu jednostek klinicznych, i nie uznają oddzielenia nerwic aktualnych od psychonerwic. Myślę, że idą oni za daleko i nie obrali drogi wiodącej do postępu. Wyżej wymienione formy nerwic występują niekiedy w czystej postaci; częściej mieszają się ze sobą i z jakąś chorobą psychonerwicową. Ten stan rzeczy nie powinien skłonić nas do zaniechania wszelkich rozróżnień. Pomyślcie o różnicy między nauką o minerałach a nauką o kamieniach w mineralogii. Minerały opisuje się jako jednostki, zapewne w związku z okolicznościami, że występują często jako kryształy ostro odgraniczone od otoczenia. Kamienie składają się z mieszaniny minerałów, które spotkały się na pewno nie przypadkiem, lecz wskutek warunków, w jakich powstawały. W nauce o nerwicach rozumiemy jeszcze zbyt mało proces rozwojowy, by stworzyć coś podobnego do nauki o kamieniach. Ale na pewno uczynimy słusznie, jeśli naprzód wyodrębnimy spośród masy znane nam jednostki kliniczne, które można porównać z minerałami.

Godny uwagi stosunek między objawami nerwic aktualnych i psychonerwic stanowi dla nas jeszcze jeden ważny przyczynek do poznania tworzenia się objawów w tych ostatnich; objaw nerwicy aktualnej jest mianowicie często jądrem i stopniem wstępnym objawu psychonerwicowego. Stosunek taki obserwujemy najwyraźniej między neurastenią a nerwicą przeniesienia, zwaną histerią konwersyjną, między nerwicą lękową a histerią lękową, ale także i między hipochondrią a postaciami, o których będziemy wspominali później, mówiąc o parafrenii (*dementia praecox* i *paranoia*). Weźmy jako przykład przypadek histerycznego bólu głowy lub krzyża. Analiza wykazuje, że

dzięki zgęszczeniu i przesunięciu stał się on zaspokojeniem zastępczym dla szeregu fantazyj, libido i wspomnień. Lecz ból ten był też kiedyś czymś realnym i wtedy był wręcz objawem seksualno-toksycznym, cielesnym wyrazem podrażnienia libido. Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że wszystkie objawy histeryczne posiadają takie jądro, ale pozostaje faktem, że jest to wypadek bardzo częsty i że symptomatologia hysterii wyróżnia po prostu te czy inne spośród wpływów — normalne lub patologiczne — które wywiera na ciało podniecenie libido. Odgrywa ono rolę ziarenka piasku, które mięczak otacza warstwami masy perłowej. W ten sam sposób przemijające oznaki podniecenia seksualnego, które towarzyszą aktowi płciowemu, zostają zużytkowane przez psychonerwicę do wytworzenia objawów jako najwygodniejszy i najodpowiedniejszy materiał.

Jeszcze inny, podobny proces zasługuje na szczególne zainteresowanie pod kątem rozpoznawczym i leczniczym. U osób usposobionych do nerwicy, ale nie chorych, zdarza się wcale nie rzadko, że chorobowa zmiana cielesna — chociażby zapalenie lub skaleczenie — pobudza do pracy tworzenia objawów tak, że praca ta objaw dany jej w rzeczywistości czyni prędko przedstawicielem tych wszystkich nieświadomych fantazyj, które tylko na to czyhały, by opanować jakiś środek ekspresji. W podobnym wypadku lekarz obierze taką lub inną drogę terapii: albo zechce usunąć podłoże organiczne, nie troszcząc się o jego hałaśliwe przejawy nerwicowe, albo też będzie zwalczał powstałą przy tej sposobności nerwicę i lekceważył jej powód organiczny. Skutek przyzna lub nie przyzna racji to jednemu, to innemu postępowaniu; dla takich mieszanych wypadków nie dają się ustalić przepisy ogólne.

WYKŁAD XXV

Lęk

Panie i panowie! To, co powiedziałem w ostatnim wykładzie o nerwowości, uznacie na pewno za najmniej pełny i najbardziej niewystarczający z moich wykładów. Wiem o tym i myślę sobie, że nic nie zadziwi was bardziej niż to, że nie było tam mowy o lęku, na który przecież uskarża się większość ludzi nerwowych, który oni sami określają jako najstraszniejsze cierpienie i który może osiągnąć u nich

największe nasilenie i doprowadzić do przedsięwzięcia najbardziej dziwaczych środków ostrożności. Ale tematu tego nie chciałem skrócić; przeciwnie, postanowiłem sobie postawić problem lęku u ludzi nerwowych specjalnie ostro i wyjaśnić go wyczerpująco.

Lęku samego nie mam potrzeby opisywać; każdy z nas doznał kiedyś na sobie samym tego wrażenia lub — słusznie powiedziawszy — tego stanu uczuciowego. Ale myślę, że nigdy nie stawiano sobie dość poważnie pytania, dlaczego właśnie ludzie nerwowi odczuwają o tyle większy i o tyle silniejszy lęk niż inni. Może uważano to za zrozumiałe samo przez się — zwykle używa się przecież słów „nerwowy” i „lękliwy” jednego zamiast drugiego, jak gdyby miały to samo znaczenie. Ale do tego nie ma się żadnego prawa; bywają ludzie lękliwi, którzy poza tym wcale nie są nerwowi, jak również ludzie nerwowi cierpiący na wiele objawów, pośród których jednak nie można odnaleźć skłonności do lęku.

Jakkolwiek rzeczy się mają, pewne jest, że problem lęku stanowi punkt węzłowy, w którym spotykają się najrozmaitsze i najważniejsze zagadnienia, jest zagadką, której rozwiązanie musiałoby rzucić światło na całe nasze życie psychiczne. Nie będę twierdził, że mogę wam podać całkowite rozwiązanie, ale spodziewacie się pewnie, że psychoanaliza ujmie ten temat zupełnie inaczej niż oficjalna medycyna. Tam interesują się przede wszystkim zagadnieniem, jakie drogi anatomiczne biorą udział w powstawaniu stanu lęku. Twierdzi się zazwyczaj, że podrażniony jest rdzeń przedłużony, i chory dowiaduje się, że cierpi na nerwicę nerwu błędnego. Rdzeń przedłużony jest obiektem badania bardzo poważnym i pięknym. Przypominam sobie zupełnie dokładnie, ile czasu i wysiłku poświęciłem przed laty jego badaniu, ale dziś muszę powiedzieć, że nie wiem, co mogłoby być, moim zdaniem, bardziej obojętne dla psychologicznego zrozumienia lęku niż znajomość drogi nerwowej, po której przebiegają jego podrażnienia.

Przed wszystkim można sporo czasu zajmować się lękiem nie wspominając w ogóle o nerwowości. Zrozumiecie mnie bez trudu, gdy oznaczę ten lęk *realny* w przeciwieństwie do lęku *nerwicowego*. Otóż lęk realny wydaje się nam czymś bardzo racjonalnym i zrozumiałym. Powiemy o nim, że jest reakcją na postrzeżenie niebezpieczeństwa zewnętrznego, tzn. szkodliwości oczekiwanej i przewidywanej, że jest związany z odruchem zmierzającym do ucieczki i że trzeba nań spoglądać jako na uzewnętrznienie popędu samozachowawczego.

W jakich okolicznościach, tzn. przed jakimi przedmiotami i w jakich sytuacjach lęk występuje, będzie to naturalnie zależne po większej części od stanu wiedzy jednostki i jej poczucia mocy względem świata zewnętrznego. Uważamy to za zupełnie zrozumiałe, że człowiek pierwotny obawia się armaty i lęka się zaćmienia słońca, podczas gdy biały, który potrafi władać owym instrumentem i przepowiedzieć to zjawisko, pozostaje w tych warunkach wolny od lęku. Innym razem jest właśnie zbyt duża wiedza tym, co stwarza podstawę do lęku, ponieważ pozwala zawczasu poznać niebezpieczeństwo. Tak więc człowiek pierwotny przestraszy się tropu w lesie, który jednostce nie znającej się na rzeczy nic nie mówi, jemu jednak zdradza bliskość drapieżnego zwierzęcia; doświadczony żeglarz będzie z przerażeniem obserwował chmurkę na niebie, która pasażerowi wydaje się niepozorna, podczas gdy jemu zwiastuje zbliżanie się orkanu.

Przy dalszym rozważaniu trzeba sobie powiedzieć, że pogląd jakoby lęk wywołany czymś realnym był racjonalny i celowy, wymaga gruntownej rewizji. Jedynym celowym zachowaniem się wobec grożącego niebezpieczeństwa byłoby chłodne oszacowanie własnych sił w porównaniu z jego wielkością, a potem decyzja, co ma lepsze widoki na dobry wynik: ucieczka, obrona, czy może napad. W tym związku jednak nie ma dla lęku w ogóle żadnego miejsca; wszystko, co się dzieje, spełniłoby się tak samo i prawdopodobnie lepiej, gdyby nie doszło do wywiązania się lęku. Widzicie też, że gdy lęk jest silny ponad miarę, okazuje się zgoła bezcelowy, paraliżuje każdy czyn, a także ucieczkę. Reakcja na niebezpieczeństwo polega zwykle na mieszaninie uczucia lęku i akcji obronnej. Przestraszone zwierzę lęka się i ucieka, ale celowa w tym jest „ucieczka”, nie zaś „lękanie się”.

Nawiedza nas więc pokusa, by twierdzić, że wywiązanie się lęku nie jest czymś celowym. Może staranna analiza sytuacji, w jakiej pojawia się lęk, pomoże do lepszego zrozumienia go. Pierwszym jego czynnikiem jest przygotowanie do niebezpieczeństwa, które objawia się w spotęgowanej czujności zmysłów i napięciu ruchowym. To przygotowanie należy uznać bezsprzecznie za korzystne, jego brak może spowodować poważne skutki. Staje się ono punktem wyjścia, z jednej strony, akcji ruchowej, najpierw pod postacią ucieczki, a na wyższym stopniu — obrony czynnej, z drugiej zaś strony — tego, co odczuwamy jako stan lęku. Im bardziej ograniczone zostanie wywiązanie się lęku do pierwszego momentu, do sygnału, tym bardziej bez

przeszkód odbywa się przekształcenie gotowości lękowej w akcję, tym bardziej odpowiednio do celu przebiega cała sprawa. Gotowość do reagowania lękiem wydaje mi się więc czymś celowym, a wywiązanie się lęku czymś przeciwnym celowi tego, co nazywamy lękiem.

Unikam też bliższego roztrząsania pytania, czy słowa „lęk”, „obawa” i „strach” oznaczają to samo czy coś wyraźnie odmiennego. Myślę, że pojęcie lęku odnosi się do stanu nie mającego odniesienia do określonego przedmiotu, gdy tymczasem obawa skierowuje uwagę właśnie na przedmiot. Strach zdaje się natomiast mieć rzeczywiście specjalny sens, a mianowicie wysunięcie na plan pierwszy działania niebezpieczeństwa, które nie zostało przyjęte przez gotowość do lęku. Można by więc powiedzieć, że człowiek broni się przed strachem za pomocą lęku.

Pewna wieloznaczność i nieokreśloność w użyciu słowa „lęk” nie ujdzie naszej uwagi. Przeważnie rozumie się przez lęk stan subiektywny, w który jednostka popada przez postrzeganie „wywiązania się lęku” i który nazywa afektem. Czym jest afekt w sensie dynamicznym? Jest w każdym razie czymś bardzo złożonym. Afekt obejmuje, po pierwsze, pewne inercje lub wyładowania ruchowe, po wtóre pewne odczucia, a mianowicie dwojakiego rodzaju: postrzeżenia odbytych czynności ruchowych i bezpośrednie odczucia przyjemności i przykrości, które nadają afektowi, jak to się mówi, ton zasadniczy. Nie myślę jednak, że tym wyliczeniem ujeliśmy istotę afektu. Wydaje mi się, że wglądając głębiej w niektóre afekty poznajemy, iż jądrem, które trzyma cały zespół, jest powtórzenie pewnego określonego, doniosłego przeżycia. Przeżyciem tym mogłoby być tylko bardzo wczesne wrażenie natury ogólnej, które należy przenieść do prehistorii nie osobnika, lecz gatunku. Wyrażając się bardziej zrozumiale, stan afektywny byłby tak samo zbudowany, jak atak histeryczny, byłby, jak i on, osadem pewnej reminiscencji. Atak histeryczny można więc porównać z świeżo utworzonym afektem osobniczym, normalny afekt z wyrazem ogólnej hysterii, która stała się dziedzictwem pokoleń.

Nie przypuszczajcie, że to, co powiedziałem tutaj o afektach, stanowi uznany dorobek psychologii. Są to, wręcz przeciwnie, przekonania, które wyrosły na gruncie psychoanalizy i tylko tam się zadomowiły. To, czego możecie dowiedzieć się o afektach z psychologii, na przykład to, co mówi teoria Jamesa i Langego, jest dla nas, psychoanalityków, wprost niezrozumiałe i nie nadające się do dyskusji.

Nie jesteśmy jednak tak bardzo pewni i naszej własnej wiedzy o afektach; jest to pierwsza próba orientacji w tym ciemnym terenie. Idę więc dalej; co do uczucia lęku, to wydaje się nam, że wiemy, jakiego wczesnego wrażenia jest ono powtórzeniem. Powiadamy, że podczas aktu *narodzenia* tworzy się owo ugrupowanie odczuć przykrości, dążeń do wyładowania i doznań cielesnych, które stało się wzorem oddziaływania niebezpieczeństwa dla życia i odtąd powtarza się w nas jako stan lęku. Olbrzymie spotęgowanie podrażnienia przez przerwę w odnawianiu się krwi (oddychaniu wewnętrznym) było wówczas przyczyną przeżycia lęku, pierwszy lęk był więc toksyczny. Niemiecka i łacińska nazwa lęku: *Angst*, *angustiae*, oraz słowo *Enge* (oznaczające ciasnotę) — podkreślają, że ma on charakter utrudnienia oddychania, które było wtedy skutkiem sytuacji rzeczywistej, a dziś zostaje prawie zawsze odtworzone w afekcie. Zdajemy sobie sprawę i z tego, jak wielkie znaczenie ma okoliczność, że ów pierwszy stan lęku powstał wskutek rozłączenia się z matką. Naturalnie, jesteśmy zdania, że dyspozycja do powtórzenia pierwszego stanu lękowego została przez niezliczony szereg pokoleń tak gruntownie wcielona do organizmu, iż żaden osobnik nie może ująć uczucia lęku nawet wtedy, kiedy, jak legendarny Macduff, „został wycięty z łona swej matki”, a więc nie przeżył sam aktu narodzenia. Co stało się wzorem dla stanu lękowego u zwierząt spoza grupy ssaków, tego powiedzieć nie możemy. Nie wiemy też dlatego, jaki kompleks odczuwać jest u tych stworzeń równoważny naszemu lękowi.

Będziecie pewnie ciekawi, w jaki sposób można wpaść na myśl, że akt narodzin jest źródłem uczucia lęku i dostarcza jego pierwowzoru. Spekulacja bierze w tym najmniejszy udział; wykorzystałem raczej to źródło, jakim jest naiwna myśl ludowa. Kiedy przed wielu laty siedzieliśmy jako lekarze szpitalni przy obiedzie w gospodzie, jeden z asystentów kliniki położniczej opowiedział wesołą historię, która zdarzyła się podczas niedawnego egzaminu dla akuszerki. Kandydatka, zapytana, co to znaczy, gdy przy porodzie pokazuje się w odchodzących wodach *meconium* (smółka dziecięca), odpowiedziała bez namysłu: dziecko lęka się. Została wyśmiana i nie zdała egzaminu. Ja jednak wziąłem po cichu jej stronę, przeczuwając, że prosta kobieta z ludu swoim nieomylnym zmysłem odkryła ważny związek.

Przejdźmy teraz do lęku nerwicowego; jakie nowe przejawy i warunki są typowe dla lęku u ludzi nerwowych? Znajdzie się tu wiele

do opisania. Po pierwsze, stwierdzamy ogólną lęklivość, pewien, że się tak wyrażę, lęk w stanie lotnym, który jest gotów uczepić się każdej jako tako odpowiedniej treści wyobrazeniowej, który wpływa na zdanie osobnika, wybiera sobie właściwe oczekiwanie, czyha na każdą sposobność, by się dać usprawiedliwić. Nazywamy ten stan „lękiem oczekiwania” lub „lęklwym oczekiwaniem”. Osoby dręczone tego rodzaju lękiem przewidują zawsze najstraszniejszą z wszystkich możliwości, interpretują każdy przypadek jako zwiastuna nieszczęścia, wyzyskują w złym sensie każdą niepewność. Skłonność do takiego oczekiwania nieszczęścia posiada jako cechę charakteru wielu ludzi, których nie można zresztą nazwać chorymi, lecz jedynie nadmiernie lęklwymi lub pesymistami; znaczną sumę lęku oczekiwania przypisujemy zwykle chorobie nerwowej, którą nazwałem „nerwicą lękową” i zaliczam do nerwic aktualnych.

Druga postać lęku jest, w przeciwieństwie do wyżej opisanej, znacznie silniej związana psychicznie i połączona z pewnymi przedmiotami lub sytuacjami. Jest to lęk, który powoduje tak zwane fobie, niezmiernie różnorodne i często bardzo dziwaczne. Stanley Hall, wybitny psycholog amerykański, zadał sobie niedawno trud przedstawienia szeregu tych fobii, obdarzając je wspaniałymi greckimi nazwami. Brzmi to jak wyliczenie dziesięciu plag egipskich, tylko że ich liczba jest znacznie od dziesięciu większa. Posłuchajcie więc, co może stać się przedmiotem lub treścią fobii: ciemność, otwarte przestrzenie, koty, pająki, gąsienice, żmije, myszy, burza, ostrza, krew, zamknięte przestrzenie, tłum, samotność, przechodzenie przez mosty, jazda statkiem lub koleją itd. Przy pierwszej próbie orientacji w tym chaosie nasuwa się rozróżnienie trzech grup. Niektóre z przedmiotów i sytuacji wywołujących lęk mają w sobie także i dla nas, ludzi normalnych, coś niesamowitego, wykazują pewien związek z niebezpieczeństwem, i dlatego te fobie nie wydają nam się niepojęte, jakkolwiek są przesadzone w swej sile. Tak więc większość z nas doznaje przykrego uczucia przy spotkaniu węża. Fobia w stosunku do węzów jest, rzecz można, powszechna u ludzi, i wielki Darwin opisał obrazowo, jak to nie mógł oprzeć się lękowi przed rzucającym się nań wężem, jakkolwiek wiedział, że chroni go gruba szklana szyba. Do drugiej grupy zaliczamy wypadki, w których jest jeszcze jakiś związek z niebezpieczeństwem, jednakże zwykliśmy już lekceważyć to niebezpieczeństwo i nie wysuwać go na plan pierwszy. Do niej należy

większość fobii sytuacyjnych. Wiemy, że podczas podróży kolejną istnieje więcej szans nieszczęśliwego wypadku, niż gdy zostajemy w domu, mianowicie możliwość zderzenia się pociągów; wiemy też, że okręt może pójść na dno, przy czym z reguły tonie się; ale nie myślimy o tych niebezpieczeństwach i podróżujemy bez lęku kolejną i okrętem. Nie da się też zaprzeczyć, że wpadłoby się do rzeki, gdyby most zawalił się w tej chwili, gdy się nim przechodzi, ale zdarza się to tak rzadko, że jako niebezpieczeństwo nie wchodzi wcale w rachubę. Także i samotność posiada swoje niebezpieczeństwa i unikamy jej w pewnych okolicznościach; nie ma jednak mowy o tym, byśmy nie mogli jej znieść pod żadnym warunkiem choćby przez jedną chwilę. To samo dotyczy tłumu, zamkniętej przestrzeni, burzy itp. Co nas tak dziwi w tych fobiach neurotyków, to nie tyle ich treść, ile nasilenie. Od lęku typu fobii nie ma po prostu apelacji! Czasami odnosimy wrażenie, że neurotycy nie lękają się wcale tych samych przedmiotów i sytuacji, które w pewnych okolicznościach mogą wywołać lęk i u nas i które obdarzają oni tą samą nazwą.

Pozostaje trzecia grupa fobii, za którą nasze zrozumienie w ogóle podążyć nie może. Jak możemy ustalić tu związek z niebezpieczeństwem, który jednak dla ludzi cierpiących na fobię widocznie istnieje, gdy np. silny, dorosły mężczyzna nie może przejść z powodu lęku przez ulicę lub plac tak dobrze mu znanego miasta rodzinnego, czy zdrowa, dobrze rozwinięta kobieta popada w nieprzytomny lęk, ponieważ kot otarł się o skraj jej sukni lub myszka przebiegła przez pokój? W omawianych tu fobiach w odniesieniu do zwierząt nie może chodzić o proste spotęgowanie antypatii właściwej ogółowi ludzi, gdyż — jak gdyby dla zademonstrowania odwrotnego stanu rzeczy — jest wiele osób, które nie mogą przejść obok żadnego kota, by go nie przywołać i nie pogłaskać. Mysz — nazwa zwierzęcia, którego się tak obawiają kobiety — jest jednocześnie popularnym wyrażeniem pieszczotliwym; niejedna dziewczyna, która słucha z przyjemnością, gdy ją tak nazywa ukochany, krzyczy przeraźliwie, gdy spostrzeże zwierzątko o tejże samej milej nazwie. Co się tyczy mężczyzny dotkniętego obawą przed ulicami i placami, to nasuwa się jako jedyne wyjaśnienie, że zachowuje się on jak małe dziecko. Wychowanie zmusza wprost dziecko do unikania takich sytuacji jako niebezpiecznych i nasz pacjent cierpiący na agorafobię doznaje rzeczywiście ochrony przed lękiem, gdy mu ktoś towarzyszy podczas przechodzenia przez plac.

Obie opisane tu formy lęku, czyli znajdujący się w stanie swobodnym lęk oczekiwania i lęk związany z fobiami, są od siebie niezależne. Jedna nie jest na przykład wyższym stopniem drugiej, obie spotykają się z sobą tylko w drodze wyjątku, przypadkowo. Największa lęklivość ogólna nie musi objawiać się w fobiach; osoby, których całe życie jest ograniczone przez agorafobię, mogą być zupełnie wolne od pesymistycznego lęku oczekiwania. Można dowieść, że niektóre fobie, jak na przykład lęk przed przestrzenią, lęk przed koleją żelazną, zostają nabyte dopiero w latach dojrzałych; inne, jak lęk przed ciemnością, burzą, zwierzętami, zdają się istnieć od początku. Fobie pierwszego rodzaju mają znaczenie ciężkich chorób; inne zaś wydają się raczej dziwactwami, kaprysami. Jeśli ktoś wykazuje jedną z fobii tego drugiego rodzaju, to zazwyczaj można domyślać się istnienia u niego jeszcze innych, podobnych fobii. Muszę dodać, że wszystkie te fobie zaliczamy do *histerii lękowej*, tzn. uważamy je za chorobę blisko spokrewnioną ze znaną dobrze histerią konwersyjną.

Trzecia postać lęku nerwicowego stawia nas wobec zagadki, gdyż nie możemy dopatrzeć się związku między lękiem a grożącym niebezpieczeństwem. Tego rodzaju lęk występuje na przykład w histerii, towarzysząc objawom histerycznym, lub w jakichkolwiek warunkach podniecenia, gdzie oczekivalibyśmy lęku, albo też występuje niezależnie od jakichkolwiek warunków, niezrozumiały zarówno dla nas, jak i dla chorego, jako napad czysto lękowy. O niebezpieczeństwie lub ewentualnej jego przyczynie nie ma wtedy w ogóle mowy. Badając te spontaniczne napady dowiadujemy się, że zespół, który nazywaliśmy stanem lęku, może czasem ulec rozszczepieniu. Zamiast napadu w jego pełnym kształcie może wystąpić jeden jedyny, wybitnie rozwinięty objaw, a więc: drżenie, zawrót głowy, bicie serca lub brak tchu, a ogólne uczucie, po którym poznajemy lęk, może przy tym nie wystąpić lub być niewyraźne. A jednak te stany opisujemy jako „równoważniki lęku” i należy je pod względem klinicznym i etiologicznym postawić na równi z lękiem.

Powstają teraz dwa pytania. Czy można lęk nerwicowy, przy którym niebezpieczeństwo nie gra żadnej roli, lub tylko bardzo nieznaczną, uznać za powiązany z lękiem wywołanym czymś realnym, który jest jedynie reakcją na niebezpieczeństwo? I jak należy rozumieć lęk nerwicowy? Pierwszą naszą reakcją jest przecież chęć pozostania w zgodzie z przypuszczeniem, że gdzie występuje lęk, tam musi też znajdować się coś, czego się człowiek obawia.

Mamy dla zrozumienia lęku nerwicowego wiele wskazówek, których znaczenie chcę wyjaśnić, a które pochodzą ze spostrzeżeń klinicznych.

a) Nietrudno stwierdzić, że lęk oczekiwania lub lęklivość ogólna znajdują się w ścisłej zależności od pewnych spraw w życiu seksualnym, powiedzmy, od pewnych postaci zaspokojenia libido. Najprostszy i najbardziej pouczający wypadek tego rodzaju przedstawiają osoby podlegające tak zwanemu podnieceniu frustralnemu, tj. te, u których stany silnego podniecenia seksualnego nie znajdują dostatecznego wyładowania, nie zostają doprowadzone do zadowalającego finału, na przykład mężczyźni w okresie narzeczeństwa i kobiety, których mężowie nie posiadają dostatecznej potencji lub przez ostrożność skracają akt płciowy, albo dokonują go niezupełnie. W tych okolicznościach znika podniecenie libido, a na jego miejsce występuje lęk w formie zarówno lęku oczekiwania, jak i napadów oraz równoważników napadów lęku. Przerwanie aktu płciowego, jeśli bywa stosowane jako stały reżim seksualny, stanowi zwykłą przyczynę nerwicy lękowej u mężczyzn, zwłaszcza zaś u kobiet, i to tak dalece, że w praktyce lekarskiej zaleca się w wypadkach nerwicy tego rodzaju szukać przede wszystkim tej właśnie etiologii. Można też niezliczoną ilość razy przekonać się, że nerwica lękowa ustępuje, jeśli nadużycie seksualne zostaje usunięte.

Faktowi związku między wstrzemięźliwością seksualną a stanami lękowymi nie zaprzeczają, jak wiadomo, nawet lekarze, którzy stoją z dala od psychoanalizy. Mogę jedynie przypuszczać, że przeciwnicy nasi spróbują odwrócić ten stosunek, wypowiadając mniemanie, że chodzi przy tym o osoby, które są z góry skłonne do lęklivości i dlatego też zachowują wstrzemięźliwość w sprawach seksualnych. Ale przeciw temu przemawia stanowczo zachowanie się kobiet, których seksualność jest w swej istocie bierna, to znaczy zależna od mężczyzny. Im większy kobieta posiada temperament, a więc im bardziej jest skłonna do obcowania seksualnego i podatna do zaspokojenia, tym pewniej zareaguje na niemoc płciową mężczyzny lub na *coitus interruptus* (stosunek przerywany) objawami lęku, podczas gdy u kobiet nieczułych lub obdarzonych małą ilością libido tego rodzaju niewłaściwe postępowanie partnera odgrywa znacznie mniejszą rolę.

To samo znaczenie dla powstawania stanów lękowych posiada tak gorąco teraz przez lekarzy zalecana wstrzemięźliwość płciowa, naturalnie tylko wtedy, gdy libido, pozbawiona zaspokajającego wyładowania,

jest odpowiednio silna, a nie zostaje zużytkowana w znacznej mierze przy zastosowaniu uwznioślenia. Decydujące znaczenia dla wystąpienia choroby mają zawsze czynniki ilościowe. Także i tam, gdzie wchodzi w rachubę nie choroba, lecz ukształtowanie się charakteru, można łatwo się przekonać, że zahamowanie seksualne idzie ręką w rękę z pewną lękliwością i niepewnością, podczas gdy nieustanność i śmiała odwaga przynoszą ze sobą swobodę w zaspokajaniu pragnień seksualnych. Jakkolwiek stosunki te zmieniają się i komplikują przez działanie różnorodnych wpływów kulturowych, to jednak twierdzenie, że lęk jest związany z zahamowaniem seksualnym, jest prawdziwe w odniesieniu do większości ludzi.

Pozostało mi jeszcze wiele spostrzeżeń, którymi chcę się z wami podzielić — obserwacji przemawiających na korzyść stwierdzonego przeze mnie związku genetycznego między libido a lękiem. Należy tu na przykład jeszcze wpływ pewnych faz życia na schorzenia lękowe, którym to fazom, jak okresowi pokwitania i przekwitania, można przypisać znaczne spotęgowanie produkcji libido. W niektórych stanach podniecenia można też obserwować bezpośrednio pomieszanie libido i lęku oraz ostateczne zastąpienie libido przez lęk. Wrażenie, które otrzymujemy z wszystkich tych faktów, jest dwojakie: po pierwsze, że chodzi o nagromadzenie libido, która została powstrzymana od normalnego wyładowania, po drugie, że znajdujemy się przy tym całkowicie na terenie procesów cielesnych. Zrazu nie jest widoczne, jak się to dzieje, że z libido powstaje lęk; stwierdzamy tylko brak libido i na jej miejscu spostrzegamy lęk.

b) Drugą wskazówkę daje nam analiza psychonerwic, szczególnie hysterii. Słyszeliśmy, że w tej chorobie występuje często lęk towarzyszący objawom, ale też i lęk nie związany, który ujawnia się pod postacią napadu, albo też stanu trwałego. Chorzy nie potrafią powiedzieć, czego się lękają, i przez niewątpliwe opracowanie wtórne wiążą swój lęk z najbliższymi swojej sytuacji fobiami, jak: obawą śmierci, pomieszania zmysłów, apopleksjami. Jeśli poddamy analizie sytuację, z której powstał lęk, lub objawy, którym lęk towarzyszył, możemy z reguły wskazać, jaki normalny proces psychiczny nie doszedł do skutku i został zastąpiony przez zjawisko lęku. Wyrażmy się inaczej: odtwarzamy nieświadomy proces tak, jak gdyby nie uległ stłumieniu i przedostał się bez przeszkód do świadomości. Procesowi temu towarzyszyłoby także pewne określone uczucie, i otóż dowiadujemy

się ku naszemu zdziwieniu, że uczucie to, towarzyszące normalnemu procesowi, zostaje po stłumieniu w każdym wypadku, niezależnie od swojej jakości, zastąpione przez lęk. A zatem gdy mamy przed sobą histeryczny stan lękowy, to jego nieświadomym korelatem może być wzruszenie o podobnym charakterze, a więc: lęk, wstyd, zmieszanie, albo też pozytywne podniecenie libido czy równie dobrze — nieprzyjaźnie agresywne, jak złość i gniew. Lęk jest więc monetą obiegową, na którą zostają zamienione lub mogą być zamienione wszystkie wzruszenia uczuciowe, gdy przynależna im treść wyobrażeniowa uległa stłumieniu.

c) Trzecie doświadczenie zdobywamy u chorych podlegających czynnościom natrętnym, którzy w sposób godny uwagi — zdawać by się mogło — uchronili się od lęku. Gdy próbujemy przeszkodzić im w wypełnianiu właściwej im czynności przymusowej, np. ich mycia się lub stosowania pewnego ceremoniału przy wykonywaniu jakiejś czynności, albo gdy oni sami odważają się na próbę zaprzestania którejś z tych czynności, wtedy zostają zmuszeni do posłuszeństwa natręctwu przez okropny lęk. Rozumiemy, że lęk został pokryty przez czynność przymusową, która wykonywana była tylko po to, by zastąpić lęk. A więc w nerwicy natręctwa lęk, który musiałby się pojawić, zostaje zastąpiony przez objawy; także wtedy zwracamy się do historii, znajdujemy w tej nerwicy podobne ustosunkowanie: jako wynik procesu stłumienia — czy to wywiązanie się czystego lęku, czy to lęk pospołu z tworzeniem się objawów, czy wreszcie objawy bardziej rozwinięte, a za to bez lęku. Nie byłoby więc niesłuszne twierdzenie, że objawy powstają tylko wtedy, gdy chodzi o uniknięcie nieuchronnego poza tym wywiązania się lęku. Dzięki temu ujęciu lęk staje się niejako ośrodkiem naszego zainteresowania dla zagadnień nerwic.

Z obserwacji nad nerwicą lękową wywnioskowaliśmy, że uchylanie się libido od normalnego funkcjonowania, wywołujące lęk, odbywa się na gruncie procesów cielesnych. Z analiz historii i nerwicy natręctwa wynika prócz tego, że takie samo uchylenie z tym samym rezultatem może nastąpić na skutek zakazu ze strony instancji psychicznych. Tyle więc wiemy o powstawaniu lęku nerwicowego; brzmi to jeszcze w sposób dość nieokreślony. Na razie nie widzę jednak żadnej drogi, która mogłaby prowadzić dalej. Drugie zadanie, któreśmy sobie postawili, a które polega na określeniu związku między lękiem

nerwicowym, czyli anormalnie ulokowaną libido, a lękiem realnym, odpowiadającym reakcji na niebezpieczeństwo, wydaje się jeszcze trudniejsze do wykonania. Chciałoby się wierzyć, że chodzi tu o rzeczy zupełnie rozbieżne, a jednak nie mamy żadnego środka, by rozróżnić odczuwanie lęku wywołanego czymś realnym od lęku nerwicowego.

Związek, którego szukamy, daje się nareszcie ustalić, gdy bierzemy za punkt wyjścia często przez nas wspomniane przeciwieństwo między jaźnią a libido. Jak wiemy, wywiązanie się lęku jest reakcją jaźni na niebezpieczeństwo i sygnałem do ucieczki; nasuwa się więc pogląd, że przy lęku nerwicowym jaźń podejmuje taką samą próbę ucieczki przed wymogami swej libido, traktuje je jako niebezpieczeństwo, i to tak, jakby było ono zewnętrzne. Tym samym sprawdziłoby się nasze przypuszczenie, że tam, gdzie pokazuje się lęk, znajduje się też coś, czego się człowiek lęka. Analogię można jednak poprowadzić dalej. Jak próba ucieczki przed niebezpieczeństwem zostaje zastąpiona przez stanowczość i celowe środki obrony, podobnie i nerwicowe wyładowanie lęku ustępuje miejsca powstawaniu objawów, prowadzącemu do związania lęku.

Trudność sprawia teraz zrozumienie innego punktu sprawy. Lęk, który oznacza ucieczkę jaźni przed libido, ma przecież z tej właśnie libido powstawać. Twierdzenie to nie jest przejrzyste, co ostrzega nas, by nie zapomnieć, że libido danej osoby należy w gruncie rzeczy do niej samej i nie może się jej przeciwstawić jako coś zewnętrznego. Jest to dynamika topiczna rozwoju lęku, ciemna jeszcze dla nas — nie wiemy, jakie energie duchowe zostają przy tym wydatkowane i z jakich pochodzą systemów psychicznych. Nie mogę wam przyrzec, że odpowiem także i na to pytanie, ale spróbujemy iść dalej dwoma innymi tropami i oprzeć się przy tym znów na bezpośredniej obserwacji i na dociekaniu analitycznym, by przyjść z pomocą naszej spekulacji. Skierujemy uwagę teraz na powstawanie lęku u dziecka i na pochodzenie lęku nerwicowego, związanego z fobiami.

Lęklivość dzieci jest czymś bardzo zwykłym i rozróżnienie, czy jest to lęk nerwicowy czy realny, wydaje się bardzo trudne. Ba, wartość tego rozróżnienia wskutek zachowania się dzieci staje się nawet problematyczna, albowiem z jednej strony, nie dziwimy się, jeśli dziecko lęka się wszystkich obcych osób, nowych sytuacji i przedmiotów, i tłumaczymy sobie bardzo łatwo tę reakcję jego słabością i niewiedzą. Przypisujemy zatem dziecku wybitną skłonność do lęku

realnego i uważalibyśmy za coś zupełnie zrozumiałego to, że przyniosło tę lękliwość ze sobą na świat jako coś odziedziczonego. Dziecko powtarzałoby w ten sposób tylko zachowanie się człowieka pierwotnego, czy też członka dziś jeszcze istniejących dzikich ludów, który wskutek swojej niewiedzy i bezradności lęka się wszystkiego, co nowe, i wielu znanych mu rzeczy, które w nas nie wzbudzają już dziś uczucia lęku. Odpowiadałoby to też zupełnie naszemu przypuszczeniu, gdyby fobie dziecka były choć w części takie same jak te, które możemy przypisać owym okresom prehistorii.

Z drugiej strony, nie możemy przeoczyć, że nie wszystkie dzieci są lękliwe w tym samym stopniu i że te dzieci, które ujawniają specjalną płochliwość wobec wszystkich możliwych przedmiotów i sytuacji, okazują się później nerwowe. Dyspozycja nerwicowa zdradza się więc wyraźną skłonnością do lęku realnego, lękliwość zdaje się być czymś pierwotnym, i dochodzimy do wniosku, że dziecko, a później człowiek dorastający, lękają się napięcia własnej libido, ponieważ właśnie lękają się wszystkiego. Powstanie lęku z libido zostałoby więc w ten sposób odrzucone i przy badaniu warunków lęku realnego doszłoby się konsekwentnie do poglądu, że świadomość własnej słabości i bezradności — poczucia mniejszej wartości w terminologii A.Adlera — jest też ostateczną przyczyną nerwicy, gdy świadomość ta może trwać od czasów dzieciństwa aż do życia dojrzałego.

Brzmi to tak prosto i przekonywająco, że zasługuje na naszą uwagę. W rzeczy samej pociągnęłoby to za sobą przesunięcie zagadnienia nerwowości. Dalsze trwanie poczucia mniejszej wartości — a tym samym warunku wywiązania się lęku i tworzenia się objawów — wydaje się tak pewne, że zdałoby się raczej wyjaśnienie, gdyby w drodze wyjątku doszło do skutku to, co znamy jako zdrowie. Ale o czym przekonywa staranna obserwacja lękliwości dziecięcej? Małe dziecko lęka się naprzód osób obcych; sytuacje nabierają dopiero przez to znaczenia, że w skład ich wchodzi osoby, a przedmioty w ogóle dopiero później zaczynają wchodzić w rachubę. Tych obcych osób lęka się jednak dziecko nie dlatego, że przypisuje im złe zamiary i porównywa swoją słabość z ich siłą, i że wobec tego upatruje w nich niebezpieczeństwo dla swojego istnienia, spokoju i wolności od bólu. Takie dziecko nieufne i wystraszone przez agresywność panującą nad światem jest nieudaną konstrukcją teoretyczną. W samej rzeczy dziecko przestrasza się obcej postaci tylko dlatego, że jest nastawione na

widok osoby bliskiej i ukochanej, w gruncie rzeczy matki. W lęk przeistaczają się jego rozczarowanie i tęsknota, a więc nie zużytkowana libido, która nie może na razie zostać utrzymana w zawieszaniu, lecz znajduje ujście jako lęk. Nie może to chyba być przypadkiem, że w tej sytuacji, służącej dziecku jako pierwowzór lęku, zostaje powtórzony warunek pierwszego stanu lękowego podczas aktu narodzenia, mianowicie odłączenie się od matki.

Pierwszymi dziecięcymi fobiami sytuacyjnymi są obawy przed ciemnością i przed samotnością; pierwsza z tych fobii pozostaje często przez całe życie, a obu im jest wspólny brak ukochanej opiekunki, a więc matki. Usłyszałem raz, jak dziecko lękające się ciemności wołało do sąsiedniego pokoju: „Ciociu, mów do mnie, boję się”. „Ale co masz z tego? Nie widzisz mnie przecież”. Na to dziecko: „Kiedy ktoś mówi, robi się jaśniej”. Tęsknota w ciemności zostaje więc przetworzona na lęk przed ciemnością. Dalecy od przypuszczenia, że lęk nerwicowy jest tylko czymś wtórnym i specjalnym wypadkiem lęku realnego, widzimy raczej u małego dziecka coś, co objawia się jako lęk wywołany przez coś realnego, coś, co z lękiem nerwicowym ma wspólny rys zasadniczy, mianowicie powstawanie z nie zużytkowanej libido. Z prawdziwego lęku realnego zdaje się dziecko przynosić ze sobą mało na świat. We wszystkich tych sytuacjach, które później mogą stać się warunkami powstawania fobii: na wysokościach, na wąskich mostach, nad wodą, podczas podróży koleją i okrętem, nie okazuje dziecko prawie żadnego lęku, i to tym mniej, w im większej pozostaje niewiedzy. Byłoby bardzo pożądane, gdyby otrzymało ono w dziedzictwie więcej różnego rodzaju ochraniających życie instynktów; zadanie pilnowania go, koniecznego do przeszkodzenia mu w narażaniu się na jedno niebezpieczeństwo po drugim, byłoby przez to bardzo ułatwione. W rzeczywistości jednak dziecko przecenia początkowo swoje siły i jest wolne od lęku, ponieważ nie zna niebezpieczeństw. Będzie ono biegło nad brzegiem wody, wspinało się na framugę okienną, będzie igrało z ostrymi przedmiotami i ogniem, krótko mówiąc, będzie czyniło wszystko to, co łatwo może przynieść mu szkodę i przysporzyć troski opiekunom. Jest to wyłącznie dziełem wychowania, gdy budzi się w nim wreszcie lęk realny gdyż nie można przecież zezwolić na to, by samo dopiero zdobywało odpowiednie doświadczenie w tym względzie.

Jeśli bywają dzieci, które same pomagają po trosze w tym

wychowaniu rozwijającym poczucie lęku i które potem też same wynajdują niebezpieczeństwa, to dla zjawiska tego wystarcza wyjaśnienie, że przyniosły one ze sobą na świat w swoim ustroju więcej wymagań libido lub zostały znarowione przez przedwczesne jej zaspokajanie. Nic dziwnego, jeśli niektóre z tych dzieci stają się później neurotykami; wiemy, że największym ułatwieniem dla powstawania nerwicy jest niezdolność do znoszenia przez czas dłuższy znacznego nagromadzenia się libido. Widzicie, że dochodzi tu do głosu także i czynnik ustrojowy, którego prawom nigdy nie chcieliśmy zaprzeczać. Zastrzegamy się tylko przeciw temu, gdy ktoś dla tego jednego czynnika zapomina o wszystkich innych i wprowadza moment ustrojowy także i tam, gdzie według połączonych wyników spostrzeżeń i analizy nie należy mu się żadne miejsce lub co najwyżej — ostatnie.

Pozwólcie nam zreasumować spostrzeżenia poczynione nad lękalnością dzieci: lęk dziecięcy ma bardzo mało wspólnego z lękiem realnym, jest natomiast blisko spokrewniony z lękiem nerwicowym ludzi dorosłych. Powstaje on, jak i ten ostatni, z nie zużytkowanej libido i zastępuje brakujący przedmiot miłości przez jakiś zewnętrzny przedmiot lub sytuację.

Będzie wam teraz miło usłyszeć, że analiza fobii niewiele już nas może nauczyć nowego. Dzieje się przy nich to samo co przy lęku dziecięcym; nie zużytkowana libido zamienia się nieustannie w pozorny lęk realny, a więc nieznaczące zewnętrzne niebezpieczeństwo użyte dla zastąpienia roszczeń libido. Zgodność ta nie zawiera w sobie nic zadziwiającego, gdyż fobie dziecięce nie tylko są pierwowzorem późniejszych, które zaliczamy do „histerii lękowej”, lecz nadto stanowi bezpośredni warunek i wstęp do nich. Każda fobia histeryczna sprowadza się do lęku dziecięcego, jest jego przedłużeniem nawet wtedy, gdy zawiera inną treść, a więc musi być nazwana inaczej. Różnica obu cierpień leży w mechanizmie. U człowieka dorosłego nie wystarcza już dla przemiany lęku w libido okoliczność, że libido, jako tęsknoty, nie można w danej chwili zaspokoić. Dawno już nauczył się on utrzymywać taką libido w zawieszeniu lub użytkować ją inaczej. Lecz gdy chodzi o libido stanowiącą takie dążenie psychiczne, które uległo stłumieniu, wtedy powstają znów podobne stosunki jak u dziecka, które nie rozróżnia jeszcze rozdziału między świadomym a nieświadomym, a poprzez regresję do fobii dziecięcej otwiera się droga, na której może wygodnie dojść do skutku przekształcenie się libido

w lęk. Mówiliśmy, jak sobie przypominacie, wiele o stłumieniu, ale śledziliśmy przy tym zawsze tylko los wyobrażenia ulegającego stłumieniu, naturalnie dlatego, że był on łatwiejszy do rozpoznania i do przedstawienia. Co staje się z afektem, który należał do stłumionego wyobrażenia, to pytanie pozostawialiśmy zawsze na uboczu i dopiero teraz dowiadujemy się, że najbliższym losem tego afektu jest przekształcenie się w lęk — niezależnie od jakości, którą wykazałby przy zwykłym przebiegu. To przekształcenie się afektu stanowi jednak znacznie ważniejszą część procesu stłumienia. Nie jest tak łatwo o tym mówić, gdyż nie możemy przypuszczać istnienia nieświadomych afektów w tym samym sensie, jak to czynimy z nieświadomymi wyobrażeniami. Wyobrażenie pozostaje z jedną tylko różnicą tym samym bez względu na to, czy jest świadome czy nieświadome; możemy podać, co odpowiada nieświadomemu wyobrażeniu. Uczucie jednak jest procesem zmiennym, który powinno oceniać się w inny sposób niż wyobrażenie; nie da się powiedzieć bez głębszych rozważań i wyjaśnienia naszych przesłanek dotyczących procesów psychicznych, co odpowiada mu w nieświadomym. Tego nie możemy tutaj przedsięwziąć. Chcemy jednak utrzymać świeżo uzyskane wrażenie, że wywiązywanie się lęku jest ściśle związane z systemem nieświadomego.

Powiedziałem, że przekształcenie się w lęk, lepiej: ujście w formie lęku, jest najczęstszym losem libido, którą spotkało stłumienie. Muszę dodać: nie jedynym, lecz ostatecznym. W nerwicach odbywają się procesy, które starają się zahamować wywiązanie się lęku i którym się to rozmaitymi drogami udaje. W fobiach na przykład można wyraźnie rozróżnić dwie fazy procesu nerwicowego. W pierwszej odbywa się stłumienie i przeprowadzenie libido w lęk, który zostaje związany z niebezpieczeństwem zewnętrznym. Druga polega na budowaniu wszystkich tych ostrożności i ubezpieczeń, dzięki którym uniknie się zetknięcia z tym niebezpieczeństwem, traktowanym jako coś z zewnątrz. Stłumienie odpowiada próbie ucieczki jaźni przed libido odczuwaną jako niebezpieczeństwo. Fobię można porównać z oszańcowaniem przeciw niebezpieczeństwu zewnętrznemu, które w tym wypadku przedstawia wywołująca obawę libido. Słabość systemu obronnego polega w fobii naturalnej na tym, że forteca, tak wzmocniona na zewnątrz, pozostała dostępna napadowi od wewnątrz. Projekcja niebezpieczeństwa ze strony libido na zewnątrz nie może nigdy prowadzić do pożądaných skutków. W innych nerwicach są dlatego

w użyciu inne systemy obrony przeciw możliwości wywiązania się lęku. Jest to bardzo zajmująca część psychologii nerwic, niestety, prowadzi nas to zbyt daleko i wymaga gruntowniejszych wiadomości specjalnych. Chcę dodać jeszcze tylko jedno. Mówiłem wszak już o „obsadzie przeciwnej”, którą jaźń posługuje się przy stłumieniu i którą musi stale utrzymywać, by stłumienie było trwałe. Tej obsadzie przeciwnej przypada zadanie przeprowadzenia rozmaitych faz obrony przeciw wywiązywaniu się lęku po stłumieniu.

Powróćmy do fobii. Mogę teraz powiedzieć, że rozumiecie, jak niewystarczające jest, gdy chce się objaśniać tylko ich treść i nie zajmować się niczym innym oprócz pytania, skąd to pochodzi, że ten lub inny obiekt albo dowolna sytuacja stały się przedmiotem fobii. Treść fobii ma dla niej mniej więcej to samo znaczenie, co widoczne oblicze snu dla marzenia sennego. Trzeba dodać, z odpowiednimi ograniczeniami, że niektóre treści fobii, jak podnosi to Stanley Hall, nadają się na przedmioty lęku wskutek dziedzictwa szczepowego. Z tym przypuszczeniem zgadza się okoliczność, że wiele z tych przedmiotów lęku może uzyskać swój związek z niebezpieczeństwem tylko przez stosunek symboliczny.

Tak więc zrozumieliśmy, jak centralne miejsce zajmuje problem lęku w zagadnieniach psychologii nerwic. Przekonaliśmy się dobitnie o tym, jak dalece rozwój lęku związany jest z losami libido i systemem nieświadomego. Tylko jeden punkt odczuliśmy jako nie powiązany z całością, jako lukę w naszym ujęciu — ten jeden fakt, któremu jednak trudno zaprzeczyć, to mianowicie to, że lęk realny musimy uważać za przejaw popędów samozachowawczych jaźni.

WYKŁAD XXVI

Teoria libido i narcyzm

Panie i panowie! Już niejednokrotnie i nawet dopiero niedawno mieliśmy znowu do czynienia z rozróżnieniem popędów jaźni i popędów seksualnych. Najpierw stłumienie pokazało nam, że oba rodzaje popędów mogą występować przeciw sobie, że wtedy popędy seksualne formalnie ulegają i są zmuszone zdobywać zaspokojenie na okólnej

drodze regresji, przy czym znajdują wtedy dzięki swojej wytrwałości wynagrodzenie za klęskę. Potem dowiedzieliśmy się, że jedne i drugie popędy wykazują od samego początku odmienny stosunek do wielkiego wychowawcy — niedostatku, tak że nie przechodzą tego samego rozwoju i nie ustosunkowują się w ten sam sposób do zasady rzeczywistości. W końcu przekonywamy się, iż popędy seksualne są o wiele bliżej związane z uczuciem lęku niż popędy jaźni — rezultat, który wydaje się niezupełny tylko jeszcze pod jednym ważnym względem. Dla lepszego uzasadnienia dodamy przeto ten godny uwagi fakt, że niezaspokojenie głodu i pragnienia, dwóch najelementarniejszych popędów samozachowawczych, nie ma nigdy za skutek przemiany ich w lęk, podczas gdy przekształcenie się nie zaspokojonej libido w lęk należy, jak słyszeliśmy, do zjawisk najlepiej znanych i najczęściej spostrzeganych.

Nasze pełne prawo do rozróżniania popędów jaźni i popędów seksualnych nie może być zakwestionowane. Jest ono przecież dane wraz z istnieniem dążenia seksualnego jako specjalnej czynności jednostki. Można tylko zapytać, jakie znaczenie przypisujemy tej różnicy, za jak głęboką ją uważamy. Odpowiedź na to pytanie będzie zależała od stwierdzenia, jak dalece odmienne są przejawy somatyczne i duchowe popędów seksualnych i innych przeciwstawianych im popędów, i jak ważne są skutki wynikające z tych różnic. Do wysunięcia twierdzenia o istnieniu niezbyt zresztą uchwytnej różnicy między obiema grupami popędów dotyczących ich istoty nie mamy naturalnie żadnego motywu. Obie występują tylko jako nazwy źródeł energii jednostki i dyskusja, czy są w gruncie rzeczy czymś identycznym czy istotnie różnym — a jeśli są tym samym, to kiedy się od siebie oddzieliły — nie może być prowadzona w zakresie pojęć, lecz musi opierać się na faktach biologicznych poza nimi. O tym wiemy na razie zbyt mało, a gdybyśmy nawet wiedzieli więcej, nie wchodziłoby to w rachubę przy naszym zadaniu analitycznym.

Niewiele by nam też pomogło, gdybyśmy za przykładem Junga podkreślali pierwotną jedność wszystkich popędów i tę we wszystkim ujawniającą się energię nazywali „libido”. Ponieważ funkcja seksualna nie daje się w żaden sposób wyeliminować z życia psychicznego, jesteśmy zmuszeni mówić o libido seksualnej i asekualnej. Nazwę „libido” słusznie zachowujemy dla sił popędowych życia seksualnego.

Myślę więc, że pytanie, jak daleko należy posunąć niewątpliwie

uprawnione rozróżnienie popędów seksualnych i samozachowawczych, nie ma dla psychoanalizy wielkiego znaczenia; nie jest też ona kompetentna w tej sprawie. Biologia dostarcza w istocie rozmaitych punktów oparcia dla twierdzenia, że oznacza ono coś ważnego. Seksualizm jest wszak jedyną funkcją żyjącego organizmu, która wychodzi poza jednostkę i zabezpiecza jej powiązanie z gatunkiem. Nie da się zaprzeczyć, że jej wykonywanie nie zawsze przynosi korzyść jednostce, tak jak inne czynności, lecz przeciwnie, kosztem wielkiej rozkoszy naraża ją na niebezpieczeństwa, które zagrażają jej życiu i dość często je niszczą. Prawdopodobnie okażą się także potrzebne zupełnie specjalne, od wszystkich innych odmienne procesy przemiany materii, by utrzymać udział życia indywidualnego jako dyspozycję dla potomstwa. Wreszcie jednostka, która uważa siebie samą za rzecz główną, a swój seksualizm za jeden ze środków do osiągnięcia zaspokojenia, jest z biologicznego punktu widzenia tylko epizodem w szeregu pokoleń, znikomym wyrostkiem obdarzonej potencjalną nieśmiertelnością plazmy rozrodczej, jak gdyby chwilowym właścicielem fideikomisu, który go przeżyje.

Do psychoanalitycznego wyjaśnienia nerwic zbędne są jednakże tak daleko sięgające punkty widzenia. Za pomocą oddzielnego przesłędzenia popędów seksualnych i popędów jaźni zdobyliśmy klucz do zrozumienia grupy nerwic przeniesienia. Moglibyśmy sprowadzić je do sytuacji podstawowej, kiedy to dochodzi do rozdźwięku między popędami seksualnymi a popędami samozachowawczymi, lub też wyrażając rzecz biologicznie, choć mniej dokładnie: kiedy jedna pozycja jaźni — pozycja jako jednostki samodzielnej — sprzeciwia się innej — mianowicie pozycji jako członka szeregu pokoleń. Do takiego rozdwojenia dochodzi, być może, tylko u człowieka, i dlatego na ogół nerwica jest przywilejem raczej jego niż zwierząt. Zdaje się, że zbyt silny rozwój jego libido i umożliwione właśnie przez to wykształcenie bogato zróżnicowanego życia duchowego stworzyły warunki powstania takiego konfliktu. Widoczne jest bez trudności, że są to także warunki wielkich postępów, jakie człowiek poczynił, wychodząc poza obręb swojej wspólnoty ze zwierzętami, tak że jego skłonność do nerwicy byłaby tylko odwrotną stroną jego uzdolnienia. Ale i to są też tylko spekulacje, które odwracają uwagę od naszego najbliższego zadania.

Przesłanką naszej pracy było dotychczas, że mogliśmy odróżniać popędy jaźni i popędy seksualne według ich przejawów. W nerwicach

przeniesienia udawało się to bez trudności. Obsady energii, które jaźń skierowuje ku obiektom swych dążeń seksualnych, nazwaliśmy *libido*, wszystkie inne, wysyłane przez popędy samozachowawcze — *zainteresowaniem*, po czym śledząc obsady *libido*, ich przemiany i ich losy ostateczne mogliśmy zdobyć pierwsze pojęcie o pracy sił psychicznych. Nerwice przeniesienia dostarczyły nam tu najbardziej sprzyjającego materiału. Natomiast jaźń, jej budowa z rozmaitych organizacji, ich charakter i sposób funkcjonowania pozostały dla nas ukryte i mogliśmy przypuszczać, że dopiero analiza innych zaburzeń nerwicowych przyniesie nam zrozumienie tej dziedziny.

Wcześniej już zaczęliśmy rozciągać poglądy psychoanalityczne również na te inne schorzenia. Już w roku 1908 K. Abraham, po wymianie myśli ze mną, wypowiedział zdanie, że główną cechą zaliczanego do psychoz otępienia wczesnego jest *brak obsady obiektów przez libido* (w pracy pod tytułem „Różnice psychoseksualne między histerią a otępieniem wczesnym”). Powstało jednak wtedy pytanie, co się dzieje z odwróconą od obiektów *libido* chorych ulegających otępieniu. Abraham nie ościągał się z odpowiedzią: *libido* zwraca się u tych chorych ku własnemu „ja” i *ten zwrot stanowi źródło urojeń wielkościowych w chorobie zwanej dementia praecox*. Manię wielkości można wprost porównać ze znanym tak dobrze w życiu miłosnym przecenianiem seksualnym przedmiotu. Tak więc po raz pierwszy nauczyliśmy się rozumieć rys choroby psychicznej przez zestawienie z normalnym życiem miłosnym.

Oświadczam wam już teraz, że te pierwsze poglądy Abrahama utrzymały się w psychoanalizie i stały się podstawą naszego stanowiska względem psychoz. Przyswajano sobie powoli myśl, że *libido*, którą znajdujemy związaną z obiektami i która jest wyrazem dążenia do zdobycia zaspokojenia dzięki tym obiektom, może je także porzucić stawiając na ich miejsce własne „ja”. Nazwę dla takiego umieszczenia *libido* — *narcyzm* — zapożyczyliśmy od perwersji opisanej przez P. Näckego, w której dorosła jednostka obdarza własne ciało tymi wszystkimi czułościami, które rezerwuje się zazwyczaj dla obiektu seksualnego.

Powiadamy sobie natychmiast, że jeśli istnieje takie związanie *libido* z własnym ciałem i własną osobą zamiast z obiektem, to nie może być ono czymś przypadkowym i nic nie znaczącym. Wydaje się raczej prawdopodobne, że *narcyzm* ten jest stanem ogólnym i pierw-

tnym, z którego później powstała miłość do obiektów, przy czym jednak narcyzm niekoniecznie musiał zniknąć. Trzeba było przecież przypomnieć sobie z historii rozwoju libido, skierowanej ku obiektom, że wiele popędów seksualnych zaspokaja się początkowo na własnym ciele, w sposób, jak mówimy: *autoerotyczny*, i że tej zdolności do autoerotyzmu odpowiada po drugiej stronie pozostawienie popędów seksualnych w tyle w procesie wychowania do zasady rzeczywistości. Tak więc autoerotyzm był czynnością seksualną okresu narcystycznego.

Krótko mówiąc, wytworzyliśmy sobie o stosunku libido jaźni do libido obiektów wyobrażenie, które mogę wam unaocznić za pomocą porównania z dziedziny zoologii. Pomyślcie o tych najprostszych istotach żyjących, stanowiących mało zróżnicowane bryłki zarodki. Wysuwają one wyrostki, zwane nibynóżkami, do których przelewają substancję swego ciała. Mogą wciągać te wyrostki z powrotem i zwinąć w bryłkę. Wysuwanie wyrostków porównujemy z wysyłaniem libido do obiektów, podczas którego główna masa libido może pozostać w jaźni, i przyjmujemy, że w normalnych warunkach libido jaźni może zamienić się bez przeszkody w libido obiektów, ta zaś może być znowu z powrotem przyjęta do jaźni.

Za pomocą tych wyobrażeń możemy wytłumaczyć bardzo wiele stanów psychicznych lub, wyrażając się skromniej, opisać w języku teorii libido stany, które musimy zaliczyć do życia normalnego, jak zachowanie się psychiczne przy zakochaniu, w chorobie organicznej, we śnie. Dla stanu snu przyjęliśmy, że polega on na odwróceniu się od świata zewnętrznego i nastawieniu na pragnienie snu. To, co ujawniło się jako nocna działalność psychiczna w marzeniu sennym, znaleźliśmy jako będące na usługach snu i ponadto zupełnie opanowane przez motywy egoistyczne. Powiemy teraz zgodnie z sensem teorii libido, że sen jest stanem, w którym wszystkie obsady obiektów, zarówno dokonane przez libido, jak i egoistyczne, zostają porzucone i wciągnięte z powrotem do jaźni. Czy nie rzuca to nowego światła na stan wypoczęcia po wyspaniu się i na istotę zmęczenia w ogóle? Obraz błęgiego odosobnienia podczas życia w łonie matki, który wywołuje co noc człowiek śpiący, uzupełnia się w ten sposób również i od strony psychicznej. U śpiącego zostaje przywrócony pierwotny stan podziału libido, zupełny narcyzm, kiedy libido i zainteresowanie jaźni występują jeszcze zjednoczone i niemożliwe do rozróżnienia w jaźni, która wystarcza sama sobie.

Jest tu miejsce na dwie uwagi. Po pierwsze, jak odróżnia się

pojęciowo narcyzm i egoizm? Otóż myślę, że narcyzm jest to dopełnienie egoizmu przez libido. Gdy się mówi o egoizmie, ma się przed oczami tylko korzyść jednostki; mówiąc: narcyzm, bierze się też pod uwagę zaspokojenie jej libido. Jako motywy praktyczne dają się oba prześledzić oddzielnie na dłuższą metę. Można być absolutnym egoistą, a jednak podtrzymywać silne obsady obiektów przez libido o tyle, o ile zaspokojenie libido przez obiekt należy do potrzeb jaźni. Egoizm będzie wtedy pilnował, aby dążenie skierowane ku przedmiotowi nie przyniosło szkody jaźni. Można być egoistą i przy tym usposobionym bardzo narcystycznie, to znaczy posiadać bardzo małą potrzebę przenoszenia libido na obiekty, zarówno w bezpośrednim zaspokojeniu seksualnym, jak i w owych wyższych dążeniach, wywodzących się z pragnień, które to dążenia przeciwstawiamy nieraz „zmysłowości” jako „miłość”. Egoizm jest w tych wszystkich wypadkach czymś stałym i zrozumiałym sam przez się, natomiast narcyzm — elementem zmiennym. Przeciwnieństwo egoizmu, altruizm, nie pokrywa się pojęciowo z obsadą przedmiotów przez libido, różni się od niego brakiem dążeń do zaspokajania seksualnego. Ale w stanie pełnego zakochania altruizm łączy się obsadą obiektów przez libido. Przedmiot seksualny przyciąga do siebie z reguły pewną część narcyzmu jaźni, co staje się widoczne jako tak zwane „przecenianie seksualne” przedmiotu. Gdy przybywa jeszcze do tego altruistyczne przeniesienie egoizmu na przedmiot seksualny, przedmiot ten staje się niezmiernie potężny — wessał on jak gdyby całą jaźń.

Myślę, że odczucie to jako odpoczynek, jeśli po tej w gruncie rzeczy suchej fantastyce nauki przytoczę poetyckie przedstawienia ekonomicznego przeciwieństwa między narcyzmem a zakochaniem. Czerpię je z *Zachodnio-wschodniego dywanu* Goethego:

Sulejka: Volk und Knecht und Überwinder

Sie gestehn zu jeder Zeit:

Höchstes Glück der Erdenkinder

Sei nur die Persönlichkeit.

Jedes Leben sei zu führen,

Wenn man sich nicht selbst vermisst:

Alles könne man verlieren,

Wenn man bliebe, was man ist.

Hatem: Kann wohl sein! So wird gemeinet;

Doch ich bin auf andrer Spur:

Alles Erdenglück vereinet
Find' ich in Suleika nur.
Wie sie sich an mich verschwendet,
Bin ich mir ein wertcs Ich;
Hätte sie sich wegwendet,
Augenblicks verlör' ich mich.
Nun mit Hatem wär's zu Ende;
Doch schon hab' ich umgelost;
Ich verkörpere mich behende
In den Holden, den sie kost¹.

Druga uwaga jest dopełnieniem do teorii marzenia sennego. Nie możemy wytłumaczyć sobie powstania marzenia sennego, jeśli nie przyjmiemy, że stłumione nieświadome zdobyło pewną niezależność od jaźni, tak że nie poddaje się ono pragnieniu snu i zachowuje swoje obsady nawet wtedy, gdy wszystkie zależne od jaźni obsady obiektów zostały wycofane na korzyść snu. Dopiero wtedy można zrozumieć, że owo nieświadome może wykorzystać nocne zniesienie lub zmniejszenie cenzury i że potrafi ovladnąć resztkami z dnia, by z ich materiału utworzyć zabronione życzenie marzenia sennego. Z drugiej strony, mogą resztki z dnia zawdzięczać istniejącemu już połączeniu z tym stłumionym nieświadomym część swojej odporności na wycofanie libido podyktowane przez pragnienie snu. Ten dynamicznie ważny rys włączymy więc jako uzupełnienie do naszego poglądu na tworzenie się marzenia sennego.

Zachorowanie organiczne, podrażnienie bólowe, zapalenie narządów wytwarzają stan, który pociąga za sobą wyraźne oderwanie się libido od jej obiektów. Wycofana libido znajduje się znowu w jaźni, jako wzmocniona obsada chorej części ciała. Można nawet odważyć się na twierdzenie, że w tych warunkach oderwanie się libido od jej obiektów rzuca się bardziej w oczy niż odwrócenie egoistycznego zainteresowania od świata zewnętrznego. Stąd zdaje się otwierać

¹ *Sulejka*: Lud, niewolnik i zwycięzca przyznają w każdej chwili, że najwyższym szczęściem dzieci ziemi jest tylko osobowość. Można prowadzić każde życie, jeżeli się nie zatracą samego siebie; można stracić wszystko, byle tylko pozostać tym, czym się jest.

Hatem: Być może! Tak zwykle się myśli; ja jednak sądzę inaczej: całe szczęście ziemskie znajdują tylko w Sulejce. Wtedy gdy przynosi mi w darze całą siebie, moje ja nabiera dla mnie wartości; gdyby się odwróciła, zgubiłbym się w jednej chwili. Z Hatemem byłby koniec; ale już przypadł mi nowy los w udziale; wcielam się szybko w pięknego młodzianina, którego ona pięści.

droga do zrozumienia hipochondrii, w wypadku której pewien narząd w ten sam sposób absorbuje jaźń, mimo że dla naszego postrzegania nie jest chory. Ale opieram się pokusie pójścia dalej lub wyjaśnienia innych sytuacji, które stają się dla nas zrozumiałe lub możliwe do przedstawienia dzięki przyjęciu wędrówki libido obiektów do jaźni, ponieważ odczuwam potrzebę uprzedzenia dwóch zarzutów, które, jak wiem, mają teraz wasz posłuch. Po pierwsze, chcecie mi zarzucić, dlaczego we śnie, w chorobie i podobnych sytuacjach chcę koniecznie rozróżnić libido i zainteresowanie, popędy seksualne i popędy jaźni, podczas gdy dla naszych spostrzeżeń wystarczyłoby zupełnie przyjęcie jednej jedynej i jednolitej energii, która obsadza swobodnie to obiekt, to jaźń, wstępując w służbę zarówno jednego, jak drugiego popędu. Po drugie, jakże mogę się odważyć na traktowanie oderwania się libido od obiektu jako źródła stanu patologicznego, podczas gdy takie przejście libido obiektu w libido jaźni — lub, ogólniej, w energię jaźni — należy do normalnych, co dzień i co noc powtarzających się procesów dynamiki duchowej?

Na to mogę odpowiedzieć: pierwszy zarzut brzmi rozsądnie. Wyjaśnienie stanów snu, choroby, zakochania nie doprowadziłoby nas prawdopodobnie samo przez się nigdy do odróżnienia libido jaźni od libido obiektu lub libido od zainteresowania. Ale zapominacie przy tym o badaniach, które były dla nas punktem wyjścia i w świetle których rozpatrujemy teraz pewne sytuacje psychiczne. Rozróżnienie libido i zainteresowania, a więc popędów seksualnych i popędów samozachowawczych, zostało nam narzucone przez poznanie konfliktu, który wywołuje nerwice przeniesienia.

Od tego czasu nie możemy owego rozróżnienia zaniechać. Przypuszczenia, że libido przedmiotu może przejść w libido jaźni, wydało się nam jedynym, które jest w możności rozwiązać zagadkę tak zwanych nerwic narcystycznych, na przykład *dementia praecox*, zdać rachunek z ich podobieństw i różnic w porównaniu z histerią i natręctwami. Zastosujemy więc do choroby, snu i zakochania to, czego słuszność stwierdziliśmy gdzie indziej w sposób niewątpliwy. Możemy rozszerzyć te zastosowania i zobaczyć, jak daleko zajdziemy przy ich pomocy. Jedyne twierdzenie, które nie jest bezpośrednim wynikiem naszego doświadczenia analitycznego, polega na tym, że libido pozostaje sobą bez względu na to, czy zostaje skierowana na obiekty czy na własne „ja”, i nie przekształca się nigdy w zainteresowanie egoistyczne,

a także i odwrotnie. Ale twierdzenie to jest równoznaczne z ocenionym już krytycznie rozróżnieniem popędów seksualnych i popędów jaźni, którego ze względów heurystycznych będziemy się trzymali aż do ewentualnego niepowodzenia.

Także i drugi zarzut zawiera uzasadnione pytanie, jest jednak zwrócony w fałszywym kierunku. Oczywiście, że wciągnięcie libido obiektów w jaźń nie jest wprost chorobotwórcze; widzimy przecież, że dokonywa się ono za każdym razem przed snem, by cofnąć się wraz z obudzeniem. Pierwotniak wciąga swoje wypustki, by je znów wysunąć przy najbliższej sposobności. Ale jest to zupełnie coś innego, gdy pewien określony, bardzo energiczny proces powoduje oderwanie się libido od obiektów. Libido, która stała się narcystyczna, nie może potem znaleźć drogi powrotnej do obiektów i to zahamowanie jej ruchliwości staje się chorobotwórcze. Zdaje się, że nagromadzenie narcystycznej libido ponad pewną miarę nie bywa dobrze znoszone. Możemy sobie też wyobrazić, iż właśnie to spowodowało obsadę obiektów, że jaźń musiała wysłać swoją libido, by nie zachorować wskutek jej skupienia. Gdyby leżało w naszym planie zajmować się obszerniej chorobą zwaną otępieniem wczesnym, pokazałbym wam, że ów proces, który odrywa libido od obiektów i zamyka jej powrót do nich, jest zbliżony do procesu stłumienia i trzeba go ująć jako jego odpowiednik. Przede wszystkim jednak poczujecie znany grunt pod nogami dowiadując się, że warunki powstawania tego procesu są — o ile poznaliśmy je dotychczas — niemal identyczne z warunkami powstawania stłumienia. Zdaje się, że konflikt jest ten sam i rozgrywa się między tymi samymi mocami. Jeśli koniec jest zupełnie inny aniżeli na przykład przy histerii, to przyczyna tego może leżeć tylko w różnicy dyspozycji. Rozwój libido posiada u tych chorych swój słaby punkt w innej fazie; odpowiednia fiksacja, która — jak sobie przypominacie — pozwala na przedostanie się do objawów, leży gdzie indziej, prawdopodobnie w stadium pierwotnego narcyzmu, do którego powraca ostatecznie otępienie wczesne. Jest to ze wszech miar godne uwagi, że dla wszystkich nerwic narcystycznych musimy przyjąć miejsca związania libido, które sięgają znacznie wcześniejszych faz rozwoju niż w histerii lub nerwicy natręctwa. Ale słyszeliście, że pojęcia, które zdobyliśmy przy badaniu nerwic przeniesienia, wystarczają także i dla orientacji w praktycznie znacznie trudniejszych nerwicach narcystycznych. Cechy wspólne sięgają bardzo daleko; jest to w gruncie rzeczy

ta sama dziedzina zjawisk. Możecie jednak wyobrazić sobie, jak beznadziejnie kształtuje się wyjaśnienie tych chorób, należących już do psychiatrii, dla kogoś, kto do rozwiązania tego zadania przystępuje bez analitycznej znajomości nerwic przeniesienia.

Obrazu objawów otępienia wczesnego, który jest zresztą zmienny, nie określa się wyłącznie przez objawy, które powstają dzięki odepchnięciu libido od obiektów i jej nagromadzeniu jako libido narcystycznej w jaźni. Dużo miejsca zajmują w tym obrazie raczej inne zjawiska, które wynikają z dążenia libido do powrotu do obiektów, a więc odpowiadają próbie powrotu do dawnego stanu albo uzdrowienia. Objawy te wpadają nawet bardziej w oko, są wyraźniejsze; wykazują niewątpliwe podobieństwo do objawów hysterii lub rzadziej do objawów nerwicy natręctwa, są jednak pod każdym względem inne. Zdaje się, że libido przy *dementia praecox* w swym usiłowaniu dojścia znowu do obiektów, to znaczy: wyobrażeń obiektów, rzeczywiście coś z nich uchwyciła, ale niejako tylko ich cienie; mam na myśli przynależne im wyobrażenia słowne. Nie mogę tu więcej o tym powiedzieć, ale myślę, że zachowanie się dążącej wstecz libido pozwoliło nam zdobyć pogląd na to, co rzeczywiście stanowi różnicę między wyobrażeniem świadomym a nieświadomym.

Wprowadziłem was teraz w dziedzinę, w której należy oczekiwać najbliższych postępów pracy analitycznej. Odkąd mamy odwagę używać pojęcia „libido jaźni”, stały się dostępne naszemu badaniu nerwice narcystyczne; stanęło przed nami zadanie dynamicznego wyjaśnienia tych schorzeń i jednoczesnego uzupełnienia naszej znajomości życia psychicznego przez zrozumienie jaźni. Psychologia jaźni, do której zmierzamy, powinna się oprzeć nie na danych naszej introspekcji, lecz, jak przy libido, na analizie zaburzeń i uszkodzeń jaźni. Będziemy prawdopodobnie mało cenili naszą dotychczasową znajomość losów libido, którą zaczerpnęliśmy z badań nad nerwicami przeniesienia, gdy dokonana zostanie tamta, większa praca. Ale na to nie zaszliśmy w niej jeszcze dość daleko. Do bliższego zapoznania się z nerwicami narcystycznymi nie można dojść za pomocą techniki, którą posłużono się przy badaniu nerwic przeniesienia. Usłyszycie zaraz, dlaczego. Badając je doświadczamy zawsze tego, że po krótkim posunięciu się naprzód stajemy przed murem, który zmusza nas do zatrzymania się. Wiecie dobrze, że i w badaniu nerwic przeniesienia napotykał się takie twarde opory, ale mogliśmy burzyć je krok za krokiem.

W przypadkach nerwic narcystycznych opór jest nieprzezwyciężony; możemy co najwyżej rzucić ciekawym okiem poza wysoki mur, by zobaczyć, co się odbywa po drugiej stronie. Nasze metody techniczne musimy więc zastąpić innymi; nie wiemy jeszcze, czy nam się to uda. W każdym razie i o tych chorych nie brak nam materiału. Mówią oni wiele i, jeśli nie są to nawet odpowiedzi na nasze pytania, nie pozostaje nam tymczasem nic innego, jak interpretować ten materiał kierując się zrozumieniem, które zdobyliśmy przy badaniu objawów nerwic przeniesienia. Podobieństwo jest dostatecznie duże, by zapewnić nam początkowo powodzenie. Jak daleko zaprowadzi nas ta technika, to pozostanie kwestią otwartą.

Inne jeszcze trudności wstrzymują nasz postęp. Zagadnienia scho-rzeń narcystycznych i zbliżonych do nich psychoz mogą być rozwiązane tylko przez badaczy, którzy wyszkolili się w analitycznym badaniu nerwic przeniesienia. Ale nasi psychiatrzy nie studiują psychoanalizy, a my, psychoanalicy, widzimy zbyt mało przypadków psychiatrycznych. Musi rozwinąć się dopiero pokolenie psychiatrów, które przejdzie szkołę psychoanalizy jako nauki przygotowawczej. Początek robi obecnie Ameryka, gdzie wielu czołowych psychiatrów wykląda studentom naukę psychoanalizy i gdzie właściciele zakładów i dyrektorzy domów dla obłąkanych starają się obserwować chorych z punktu widzenia tej nauki. Jednak i nam udało się parę razy rzucić spojrzenie poza mur narcystyczny i właśnie chcę podzielić się z wami niektórymi ze spostrzeżeń, które zdaniem naszym, udało się nam poczynić.

Postać chorobowa znana jako paranoia, lub inaczej mówiąc, jako chroniczny obłąd systematyczny, zajmuje w próbach klasyfikacji dzisiejszej psychiatrii niejasną pozycję. Jej bliskie pokrewieństwo z *dementia praecox* nie ulega jednak żadnej wątpliwości. Pozwoliłem sobie raz zaproponować ujęcie paranoi i otepienia wczesnego pod wspólną nazwą *parafrenii*. Formy paranoi bywają opisywane odpowiednio do ich treści jako: mania wielkości, mania prześladowcza, mania miłosna (erotomania), mania zazdrości itd. Prób wyjaśnienia nie będziemy oczekiwali od psychiatrii. Jako przykład takiej próby, wprawdzie przestarzały i niezupełnie pełnowartościowy, wymienię uśiłowania wyprowadzenia jednego objawu z drugiego za pomocą porozumienia intelektualnego: chory, który wskutek właściwej mu skłonności pierwotnej uważa się za prześladowanego, ma jakoby z tego prześladowania wyciągnąć wniosek, że musi być osobistością

specjalnie ważną, i jakoby dlatego ma rozwinąć urojenia wielkościowe. Podług naszego poglądu psychoanalitycznego urojenia wielkościowe są bezpośrednim skutkiem rozszerzenia jaźni przez wciągnięcie libido obsadzającej obiekty, są narcyzmem wtórnym, czyli nawrotem narcyzmu pierwotnego, dziecięcego. Ale w przypadkach urojeń prześladowczych spostrzeżliśmy coś niecoś, co skłoniło nas do pójścia pewnym śladem. Uwagę naszą zwrócił przede wszystkim fakt, że w przeważającej liczbie wypadków prześladowca był tej samej płci co prześladowany. Można to było jeszcze wyjaśnić w sposób niewinny, ale w paru dokładnie zbadanych przypadkach okazało się wyraźnie, że osoba tej samej płci, najbardziej ukochana przed chorobą, przeistoczyła się od czasu zachorowania w prześladowcę. Dalszy rozwój staje się możliwy przez to, że ukochaną osobę według znanych powinowactw zastępuje inna, na przykład ojciec, nauczyciel, przełożony. Z takich wciąż mnożących się doświadczeń wyciągnęliśmy wniosek, że *paranoia persecutoria* (system urojeń prześladowczych) jest formą bronięcia się osobnika przeciw zbyt silnej skłonności homoseksualnej. Przemiana czułości w nienawiść, która, jak wiadomo, może stać się poważnym zagrożeniem dla życia obiektu ukochanego i znieawidzonego, odpowiada wtedy przejściu dążeń libido w lęk, przejściu, które jest stałym wynikiem procesu stłumienia. Posłuchajcie na przykład znowu ostatniego opisu przypadku zaczerpniętego z moich odnośnych spostrzeżeń. Młody lekarz musiał zostać wydalony z miasta rodzinnego, gdyż zagrażał życiu syna jednego z tamtejszych profesorów uniwersytetu, swemu najlepszemu przyjacielowi. Przypisywał temu dawnemu przyjacielowi diabelskie zaiste zamiary i demoniczną moc. Miał być winnym wszystkich nieszczęść, które w ostatnich latach spotkały rodzinę chorego, każdej niedoli rodzinnej i socjalnej. Ale nie dość na tym, zły przyjaciel i jego ojciec, profesor, byli ponadto przyczyną wojny, sprowadzili Rosjan do kraju. Prześladowca zasłużył na utratę życia po tysiąc razy i nasz chory był przekonany, że śmierć złoczyńcy położy kres wszystkim nieszczęściom. A jednak dawna czułość dla tegoż człowieka była jeszcze u pacjenta tak silna, że sparaliżowała jego rękę, gdy mu się razu pewnego nadarzyła sposobność zastrzelenia wroga z najbliższej odległości. W krótkich konferencjach, które odbyłem z chorym, wyszło na jaw, że przyjacielski stosunek między nimi sięgał daleko wstecz, do czasów gimnazjalnych. Raz jeden przekroczył on granicę przyjaźni; wspólnie spędzona noc nastęrczyła

sposobność do zupełnego stosunku seksualnego. Pacjent nasz nie zdobył się nigdy na taki stosunek uczuciowy do kobiet, który by odpowiadał jego wiekowi i jego ujmującej powierzchowności. Był zaręczony z ładną i wytworną dziewczyną, która zerwała jednak zaręczyny, ponieważ nie znalazła czułości u swego narzeczonego. Choroba jego wybuchła po latach właśnie w chwili, gdy mu się po raz pierwszy udało całkowicie zaspokoić kobietę. Gdy niewiasta ta objęła go pełna wdzięczności i oddania, poczuł nagle zagadkowy ból, biegnący jak ostre cięcie wokół górnej części czaszki. Interpretował sobie to doznanie później tak, jak gdyby zostało na nim wykonane cięcie, jakim obnaża się mózg przy sekcji, a ponieważ przyjaciel jego poświęcił się anatomii patologicznej, pacjent doszedł do wniosku, że tylko ten właśnie człowiek mógł mu przysłać ową kobietę na pokuszenie. Odtąd otworzyły mu się oczy i na inne prześladowania, których ofiarą miał stać się za sprawą dawniejszego przyjaciela.

Jak dzieje się jednak w przypadkach, w których prześladowca nie jest tej samej płci co prześladowany, które więc na pozór zaprzeczają naszemu wyjaśnieniu omawianego schorzenia obroną przed homoseksualną libido? Niedawno miałem sposobność badać taki przypadek i w tej pozornej sprzeczności udało mi się odnaleźć potwierdzenie. Młoda dziewczyna uważała się za prześladowaną przez mężczyznę, z którym miała dwa czule spotkania, jednakże w istocie skierowała swoje urojenie najpierw przeciw kobiecie, którą mogła uważać za zastępczynię matki. Dopiero po drugim spotkaniu uczyniła postępowanie, że to samo urojenie oderwała od kobiety i przeniosła na mężczyznę. Warunek tożsamości płci prześladowanego i prześladowcy był więc pierwotnie zachowany także w tym przypadku. W swojej relacji przed przyjacielem prawnikiem i przed lekarzem pacjentka nie wzmiankowała o tym stadium wstępnym swego urojenia i to prowadziło do wrażenia sprzeczności z naszym zrozumieniem paranoi — była to jednakże sprzeczność pozorna.

Homoseksualny wybór obiektu jest narcyzmowi pierwotnie bliższy niż heteroseksualny. Jeśli wypadnie odeprzeć potem niepożądane silne dążenie homoseksualne, to powrót do narcyzmu jest szczególnie ułatwiony. Miałem dotychczas bardzo mało sposobności mówić wam o podstawach życia miłosnego — w każdym razie nie było możliwe powiedzieć tyle, ile wiadomo nam na ten temat, a i teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Podkreślę to tylko, że wybór przedmiotu libido,

postęp w rozwoju libido, który następuje po stadium narcyzmu, może dokonać się podług dwóch różnych typów. Albo podług *typu narcystycznego*, przy czym na miejsce własnego „ja” wstępuje inne, najbardziej do niego podobne, albo podług *typu oparcia się*, przy czym osoby, które nabrały wartości dla osobnika przez zaspokojenie innych jego potrzeb życiowych, zostają wybrane również i przez libido jako obiekty. Silne przywiązanie libido do narcystycznego typu wyboru obiektu należy też do dyspozycji w kierunku jawnego homoseksualizmu.

Przypominacie sobie, że podczas pierwszego spotkania w tym semestrze opowiedziałem wam o przypadku urojenia zazdrości u pewnej kobiety. Otóż ponieważ jesteście tak blisko końca, usłyszelibyście pewnie chętnie, jak objaśniamy psychoanalitycznie takie urojenie. Ale mogę powiedzieć o tym mniej, niż oczekujecie. Odporność urojenia wobec argumentów logicznych i doświadczenia realnego objaśnia się, tak samo jak i w natręctwie, przez stosunek do nieświadomego, które jest reprezentowane i utrzymane w karbach przez urojenie lub natręctwo. Różnica między nimi znajduje uzasadnienie w odmienności topiki i dynamiki obu tych chorób.

Jak w paranoi, tak i w melancholii, której formy kliniczne — bardzo zresztą rozmaite — zostały już opisane, znaleźliśmy miejsce, z którego możliwy staje się wgląd w wewnętrzną strukturę tych chorób. Poznaliśmy, że wyrzuty sumienia, którymi melancholicy gnębią się bezlitośnie, dotyczą właściwie innej osoby, przedmiotu seksualnego, który stracili lub który z własnej winy stracił dla nich wartość. Moglibyśmy stąd wywnioskować, że melancholik wycofał wprawdzie swoją libido z obiektu, lecz uczynił to poprzez proces, który musimy nazwać „identyfikacją narcystyczną”, mianowicie — budując obiekt we własnym „ja”, rzutując go niejako na własną jaźń. Mogę wam tu podać tylko opis obrazowy, nie zaś uporządkowany, topiczno-dynamiczny. Otóż własne „ja” zostaje potraktowane jak porzucony obiekt i doznaje napastliwości i przejawów zemsty, które były przeznaczone dla obiektu. Również i skłonność do samobójstwa u melancholików staje się bardziej zrozumiała dzięki rozważeniu, że rozgoryczenie chorego trafia za jednym uderzeniem we własne „ja” i w ukochany i znienawidzony obiekt. W melancholii, jak i w innych chorobach narcystycznych występuje w bardzo wyraźny sposób rys życia uczuciowego, który od czasu Bleulera zwykliśmy nazywać *ambiwalecją*.

Rozumiemy przez to określenie zwrócenie się uczuć przeciwstawnych — tkliwych i wrogich — ku tej samej osobie. W trakcie naszych rozważań nie miałem, niestety, sposobności opowiedzieć wam więcej o ambiwalencji uczuć.

Prócz identyfikacji narcystycznej istnieje identyfikacja histeryczna, znana nam już od dłuższego czasu. Chciałbym móc już wyjaśnić wam różnice między nimi w sposób jasny i określony. O okresowych postaciach melancholii mogę wam donieść, co na pewno chętnie usłyszycie. Można mianowicie przy pomyślnych warunkach — zrobiłem to doświadczenie dwa razy — przez leczenie analityczne w przerwie choroby zapobiec nawrotowi stanu chorobowego. Dowiadujemy się przy tym, że przy melancholii i manii chodzi o rozwiązanie konfliktu w specjalny sposób, którego przesłanki są zupełnie zgodne z tym, co znajdujemy w innych nerwicach. Możecie sobie wyobrazić, ile zdobycy czeka jeszcze na psychoanalizę na tym polu.

Powiedziałem też, że przez analizę chorób narcystycznych mamy nadzieję uzyskać znajomość budowy naszej jaźni i poszczególnych instancji, które się na nią składają. Początek już zrobiliśmy. Z analizy urojeń ksobnych wyciągnęliśmy wniosek, że istnieje w jaźni rzeczywiście instancja, która nieustannie obserwuje, krytykuje i porównywa, i w ten sposób przeciwstawia się pozostałej części jaźni. Myślę więc, że chory zdradza nam prawdę jeszcze niedostatecznie ocenioną, gdy uskarża się, że każdy jego krok jest śledzony i obserwowany, każda myśl ogłaszana i krytykowana. Myli się tylko przenosząc tę niewygodną dlań moc, jako coś mu obcego, na zewnątrz. Czuje w swej jaźni rządy instancji, która przymierza jego „ja” aktualne i każdą jego czynność do *ideału jaźni*, który dana jednostka stworzyła sobie w ciągu swojego rozwoju. Myślimy też, że twór ten powstał w związku z zamiarem jednostki przywrócenia owego zadowolenia z samej siebie, które było związane z pierwotnym narcyzmem dziecięcym, lecz które od tego czasu doznało tylu uszkodzeń i urazów. Instancję samoobserwującą znamy jako cenzora jaźni — sumienie; jest to ta sama instancja, która nocą pełni czynność cenzury marzenia sennego i od której pochodzą stłumienia niedopuszczalnych pragnień. Jeśli przy urojeniu ksobnym ulega ona rozpadowi, to odsłania nam przy tym swoje pochodzenie z wpływów wywieranych przez rodziców, wychowawców i środowisko społeczne, z identyfikacji z poszczególnymi spośród tych wyróżnionych osób.

Byłyby to niektóre z rezultatów, które przyniosło dotychczas

zastosowanie psychoanalizy do chorób narcystycznych. Jest ich na pewno za mało i często brak im tej ostrości, która może być osiągnięta dopiero dzięki pewnemu obznajmieniu z nową dziedziną. Wszystkie zawdzięczamy wykorzystaniu pojęcia libido albo libido narcystycznej, z którego pomocą poglądy słuszne w odniesieniu do nerwic przeniesienia rozszerzamy także i na nerwice narcystyczne. Na pewno zadacie mi pytanie: czy możliwe jest, by się nam udało podporządkować teorii libido wszystkie zaburzenia w chorobach narcystycznych i psychozach, uważać wszędzie libido za czynnik winny choroby i nigdy nie czynić za nią odpowiedzialną zmiany w czynności popędu samozachowawczego? Otóż wydaje mi się, że ta decyzja nie wymaga pośpiechu, a przede wszystkim jeszcze nie dojrzała. Możemy spokojnie pozostawić ją postępowi pracy naukowej. Nie zdziwiłbym się, gdyby możliwość działania chorobotwórczego okazała się rzeczywiście przywilejem popędów libido, tak że teoria libido mogłaby święcić triumfy na całej linii, od najprostszyc nerwic aktualnych do najcięższyc zaburzeń psychotycznych. Znamy przecież jako rys charakterystyczny libido, że sprzeciwia się ona podporządkowaniu się rzeczywistości, Ananke. Ale uważam za nader prawdopodobne, że popędy jaźni zostają wtórnie porwane przez prowadzące do choroby podniety ze strony libido i zmuszone do zaburzenia funkcji. Nie widziałbym zaś w tym bynajmniej rozbicia się naszych dociekań, gdyby oczekiwało nas stwierdzenie, że w ciężkich psychozach same popędy jaźni zostają pierwotnie wprowadzone na błędną drogę; przyszłość pouczy o tym — was przynajmniej. Pozwólcie mi jednak powrócić jeszcze na chwilę do lęku, by rozjaśnić ostatni punkt, któryśmy tam pozostawili nie wyjaśniony. Powiedzieliśmy, że nie zgadza się to z tak dobrze zresztą zbadanym stosunkiem między lękiem a libido, żeby lęk realny miał być wyrazem popędów samozachowawczych wobec niebezpieczeństwa, czemu jednak nie da się zaprzeczyć. Jak wobec tego przedstawiałyby się sprawa, gdyby afekt lęku powstawał nie kosztem egoistycznych popędów jaźni, lecz kosztem libido jaźni? Stan lęku jest przecież w każdym wypadku bezcelowy i jego bezcelowość staje się jasna, gdy osiąga on wyższy stopień. Przeszkadza wtedy akcji bądź obronie, bądź też ucieczce, która jedynie jest celowa i służy samoobronie. Jeśli więc przypiszemy ów udział uczuciowy lęku realnego libido jaźni, działanie zaś — popędowi samozachowawczemu, to usuniemy wszelką trudność teoretyczną. Nie będziemy zresztą chyba poważnie wierzyli, że człowiek

ucieka, *ponieważ* odczuwa lęk? Nie, odczuwa on lęk i rzuca się do ucieczki z wspólnego motywu, który zostaje wywołany przez spostrzeżenie niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy przeszli przez wielkie niebezpieczeństwa życiowe, opowiadają, że nie lękali się wcale, tylko działali, na przykład mierzyli ze swej broni do drapieżnego zwierzęcia, i to było, oczywiście, najbardziej celowe.

WYKŁAD XXVII

Przeniesienie

Panie i panowie! Ponieważ zbliżamy się ku końcowi naszych wykładów, budzi się w nas pewne określone oczekiwanie, które nie powinno zostać zawiedzione. Myślicie sobie zapewne, że nie po to prowadził was przez wszystkie trudności materii psychoanalitycznej, by was w końcu opuścić nie powiedziawszy ani słowa o terapii, na której przecież polega sama możliwość uprawiania w ogóle psychoanalizy. Tematu tego nie mogę nie poruszyć także i z tego względu, że przy tym powinniście zapoznać się z nowym faktem, bez którego zrozumienie badanych przez nas chorób pozostałoby rażąco niepełne.

Wiem, że nie spodziewacie się wskazówek co do techniki stosowania analizy do celów leczniczych. Chcecie tylko wiedzieć najogólniej, jaką drogą działa terapia psychoanalityczna i czego mniej więcej dokonywa. A do tego macie bezsprzecznie prawo. Nie chcę wam tego jednak powiedzieć, lecz obstagę przy tym, byście to odgadli sami.

Zastanówcie się! Poznaliście zarówno całą istotę warunków zachorowania, jak i wszystkie czynniki, które dochodzą u chorego do głosu. Gdzież pozostaje miejsce dla wpływu terapeutycznego? Mamy więc najpierw dyspozycję dziedziczną: nie mówimy o niej często, ponieważ bywa stanowczo podkreślana z innej strony i nie mamy o niej nic nowego do powiedzenia. Ale nie myślcie, że jej nie doceniamy; właśnie jako terapeutom daje się nam jej siła wyrażnie we znaki. W każdym razie nie możemy nic w niej zmienić; zostaje ona i dla nas czymś danym z góry, czymś, co stawia opór naszym usiłowaniom. Potem — wpływ wczesnych przeżyć dziecięcych, które zwykliśmy w analizie wysuwać na plan pierwszy; należą one do przeszłości i nie

możemy uczynić ich niebyłymi. Potem — jeszcze wszystko to, cośmy objęli nazwą „odmowy ze strony rzeczywistości”, cały kompleks nieszczęść życiowych i ich następstw, takich jak konieczność obywatela się bez miłości, niesnaski rodzinne, nieodpowiedni wybór małżonka, krzywdzące stosunki społeczne, nadmierna czy wręcz uciskająca jednostkę surowość wymogów moralnych. Naturalnie, że byłoby tu dość punktów zaczepienia dla bardzo skutecznej terapii, ale musiałaby to być terapia, jaką według mniemania ludu wiedeńskiego stosował cesarz Józef — dobroczynna interwencja potężnego władcy, przed którego wolą schylają się ludzie i znikają trudności. Lecz kim my jesteśmy, byśmy mogli podjąć taką dobroczynność jako środek naszej terapii? Sami biedni i społecznie bezsilni, zmuszeni utrzymywać się ze swej praktyki lekarskiej, nie jesteśmy w stanie ofiarować naszych usług również i ludziom bez środków, jak to mogą jednak czynić inni lekarze przy innych metodach leczenia. Na to jest terapia nasza zbyt żmudna i zbyt długotrwała.

Może jednak z przytoczonych momentów uchwycicie się jednego z myślań, że oto właśnie znaleźliście w nim punkt zaczepienia dla naszych wpływów leczniczych. Mianowicie jeżeli stosowane przez społeczeństwo ograniczenia moralne mają swój udział w narzuconej choremu konieczności wyrzeczenia się, to leczenie może mu dodać odwagi lub wprost udzielić wskazówek co do sposobu przewycięzania tych przeszkód, zdobycia zaspokojenia i uzdrowienia: przez zrezygnowanie z urzeczywistnienia ideału tak wysoko cenionego przez społeczeństwo, które jednak tak często do ideału tego bynajmniej nie dąży. Teza, iż człowiek zostaje uzdrowiony przez to, że „wyżywa się” seksualnie, sprawia, co prawda, że na leczenie analityczne pada cień, iż nie służy ono moralności ogólnej, co bowiem zwraca jednostce, to zabiera ogółowi.

Ależ, panie i panowie, kto poinformował was tak fałszywie? Nie ma mowy o tym, by doradzenie seksualnego wyżycia się odgrywało jakąś rolę w terapii analitycznej. Chociażby już dlatego, że sami obwieściliśmy, iż u chorego istnieje ostry konflikt między dążnością libido a stłumieniem seksualnym, między kierunkiem zmysłowym a ascetycznym. Konflikt ten nie zostaje złagodzony przez to, że pomaga się jednemu z tych kierunków do zwycięstwa nad przeciwnym. Widzimy przecież, że u neurotyka asceza zachowała przewagę. Skutkiem tego jest właśnie ten stan rzeczy, że stłumione dążenie seksualne

przynosi sobie ulgę tworząc objawy. Gdybyśmy teraz, na odwrót, spowodowali zwycięstwo zmysłowości, to odsunięte na stronę stłumienie seksualizmu zostałyby zastąpione przez objawy. Żadne z tych dwóch rozstrzygnięć nie może położyć kresu konfliktowi wewnętrznemu, przy każdym z nich jedna ze stron konfliktu musiałaby być pozbawiona zaspokojenia. Zdarza się niewiele tylko przypadków, w których konflikt jest tak chwiejny, że zadecydować może moment zajęcia stanowiska przez lekarza, a te przypadki nie wymagają właściwie leczenia analitycznego. Osoby, w przypadku których lekarz mógłby wywrzeć taki wpływ, znalazłyby tę samą drogę także i bez lekarza. Wiecie przecież, że gdy młodzieniec żyjący w abstynencji decyduje się na nielegalny stosunek płciowy lub nie zaspokojona żona szuka kompensaty u innego mężczyzny, to nie czekają oni zazwyczaj na zezwolenie lekarza, a cóż dopiero analityka.

W tym stanie rzeczy przeocza się zwykle ten ważny punkt, że chorobotwórczego konfliktu neurotyków nie można mieszać z normalną walką dążeń duchowych stojących na tym samym gruncie psychologicznym. Jest to spór między mocami, z których jedna dopięta stopnia przedświadomego i świadomości, druga została zatrzymana na stopniu nieświadomego. Dlatego też konflikt nie może doprowadzić do żadnego rozstrzygnięcia; spierające się strony stykają się ze sobą tak mało, jak w znanym przykładzie niedźwiedź polarny i wieloryb. Prawdziwa decyzja może nastąpić dopiero wtedy, gdy obie strony spotkają się na tym samym gruncie. Myślę, że umożliwienie tego jest jedynym zadaniem terapii.

Ponadto mogę was zapewnić, że jesteście fałszywie poinformowani, jeśli przypuszczacie, że porada i kierowanie postępowaniem pacjenta w okolicznościach życiowych stanowią integralną część wpływu analitycznego. Przeciwnie, uchylamy się w miarę możliwości od takiej mentorskiej roli — niczego nie pragniemy bardziej osiągnąć, jak to, by chory powziął decyzję samodzielnie. W tym celu żądamy też, by odsunął na czas kuracji wszystkie ważne postanowienia życiowe, jak wybór zawodu, przedsięwzięcia gospodarcze, zawarcie lub rozwiązanie małżeństwa, i zaczął je podejmować dopiero po jej ukończeniu. Przyznajcie, wszystko to wygląda inaczej, aniżeliście sobie wyobrażali. Tylko u pewnych, bardzo młodocianych lub zupełnie pozbawionych pomocy i wewnętrznego oporu osobników nie możemy przeprowadzić zamierzonego odgraniczenia czynności

lekarza od czynności wychowawcy i w tych przypadkach musimy je ze sobą łączyć; uświadamiamy sobie wtedy dobrze odpowiedzialność, jaka na nas ciąży, i zachowujemy się z konieczną ostrożnością.

Z gorliwości, z jaką bronie się przeciw zarzutowi, że neurotyk zostaje przez kurację analityczną pchnięty w kierunku wyżycia się, nie powinniście jednak wyciągnąć wniosku, że działamy na niego tak, aby korzyść odniosła moralność społeczna. Jest to nam co najmniej równie dalekie. Nie jesteśmy wprawdzie reformatorami, lecz tylko obserwatorami, nie możemy jednak nie patrzeć wzrokiem krytycznym, tak że stało się dla nas niemożliwością stanąć po stronie konwencjonalnej moralności seksualnej, cenić wysoko sposób, w jaki społeczeństwo próbuje uporządkować praktycznie problemy życia seksualnego. Możemy łatwo dowieść, że to, co nazywa ono swoją obyczajowością, kosztuje więcej ofiar, niż jest warte, i że jego postępowanie ani nie opiera się na prawdzie, ani też nie świadczy o mądrości. Nie oszczędzamy pacjentom naszym zapoznania się z tą krytyką, przyzwyczajamy ich do wolnego od przesądów rozważania zarówno spraw seksualnych, jak i wszystkich innych i jeśli stawszy się samodzielnymi decydują się zgodnie z własną oceną na zajęcie jakiegokolwiek pośredniego stanowiska między pełnym wyżyciem się a bezwarunkową ascezą, to żaden z tych sposobów wyjścia nie ciąży nam na sumieniu. Powiadamy sobie, że kto wychowywał się w duchu bezwzględnej szczerości w stosunku do samego siebie, ten jest na stałe ochroniony przed niebezpieczeństwem niemoralności, choćby nawet skala jego moralności różniła się w jakiś sposób od skali przyjętej w społeczeństwie. Zresztą, strzeżmy się przed przecenianiem znaczenia wpływu abstynencji na nerwice. Chorobotwórczej sytuacji odmowy ze strony rzeczywistości i następującemu po niej zastojowi libido tylko w nielicznych przypadkach można położyć kres przez przeżycie stosunku seksualnego tego rodzaju, który jest łatwy do osiągnięcia.

Nie możecie więc wytłumaczyć działania leczniczego psychoanalizy zezwoleniem na wyżycie się seksualne. Rozejrzyjcie się za czymś innym. Myślę, że wtedy gdy odpierałem ten domysł, jedna moja uwaga naprowadziła was na właściwy ślad. To, przez co przynosimy pomoc, musi być zastąpieniem nieświadomego przez świadome, przekładem nieświadomego na język świadomości. Macie słuszność, właśnie tak jest. Przez to, że doprowadzamy nieświadome do świadomego, znosimy stłumienie, usuwamy warunki powstawania objawów, zamieniamy

konflikt chorobotwórczy na normalny, na którego rozwiązanie jakiś sposób musi się znaleźć. Nie wywołujemy u chorego nic innego oprócz tej jednej zmiany psychicznej; tylko tak daleko, jak daleko ona sięga, możemy pomóc. Gdzie nie ma stłumień lub analogicznego procesu psychicznego, który by można było odmienić, tam terapia nasza nie ma nic do zrobienia.

Cel naszego usiłowania możemy wyrazić w rozmaity sposób: uświadomienie świadomego, zniesienie stłumień, wypełnienie luk pamięciowych — wszystko to wychodzi na jedno i to samo. Ale może wyznanie to nie zadowoli was. Jako wyzdrowienie neurotyka przedstawialiście sobie coś innego, mianowicie: że po poddaniu się uciążliwemu działaniu psychoanalizy, staje się on innym człowiekiem; a oto całym rezultatem ma być to tylko, że będzie miał w sobie nieco mniej nieświadomego i nieco więcej świadomego niż przedtem. Otóż nie docenicie prawdopodobnie znaczenia takiej zmiany wewnętrznej. Uleczony neurotyk stał się rzeczywiście innym człowiekiem, w gruncie rzeczy pozostając jednak naturalnie tym samym; znaczy to, iż stał się takim, jakim mógłby być w najlepszym razie w najprzychylniejszych warunkach. A jest to bardzo wiele. Gdy usłyszycie, jak wiele trzeba uczynić i jakiego trzeba wysiłku, by przeprowadzić ową na pozór mało znaczącą zmianę w jego życiu psychicznym, wówczas znaczenie takiej różnicy w poziomie psychicznym wyda się wam dopiero wiarygodnym.

Zbaczam na chwilę od przedmiotu, by zapytać, czy wicie, co nazywamy terapią przyczynową. Nazywamy tak mianowicie zabieg, który nie jest skierowany przeciw objawom choroby, lecz stawia sobie za zadanie usunięcie jej przyczyn. Czy więc nasza terapia psychoanalityczna jest terapią przyczynową, czy nie? Odpowiedź nie jest prosta, ale daje może sposobność przekonania nas o bezwartościowości zadawania takich pytań. O ile terapia analityczna nie stawia sobie za najbliższe zadanie usuwania objawów, zachowuje się ona jak terapia przyczynowa. Możecie powiedzieć, że pod innym względem nie można jej za taką uważać. Śledziliśmy mianowicie już od dawna powiązania przyczynowe daleko poza stłumienie, aż do związków popędów, ich względnych nasileń właściwych poszczególnym organizmom i odchyleniu ich drogi rozwojowej. Przypuśćcie, że byłoby możliwe wtargnąć w ten warsztat na drodze chemicznej, powiększyć lub zmniejszyć ilość znajdującej się tam libido lub wzmocnić jeden popęd kosztem drugiego; byłaby to terapia przyczynowa we właściwym sensie, dla której analiza

nasza dostarczyłaby niezbędnej wstępnej pracy wywiadowczej. O takim wpływanu na procesy libido nie ma na razie, jak wiecie, mowy; nasza terapia psychiczna sięga do innego miejsca całego zespołu, nie wprost do widocznych dla nas korzeni zjawisk, jednakże dość daleko od objawów, do miejsca, które stało się dla nas dostępne wskutek bardzo szczególnych warunków.

Co więc musimy uczynić, by zastąpić u pacjenta naszego nieświadome przez świadome? Przypuszczaliśmy niegdyś, że jest to bardzo łatwe, że musimy tylko odgadnąć to nieświadome i zakomunikować mu je. Ale wiemy już, że popełniliśmy tu krótkowzroczną omyłkę. Nasza wiedza o nieświadomym nie jest równoważeniowa z jego wiedzą; gdy podajemy mu naszą wiedzę, to przyjmuje on ją nie na miejsce swego nieświadomego, lecz obok niego, i zmienia się wtedy bardzo mało. Musimy wyobrazić sobie to nieświadome raczej topicznie, musimy znaleźć je w jego wspomnieniu tam, gdzie powstało ono wskutek stłumienia. Stłumienie to należy usunąć, wtedy dopiero zastąpienie nieświadomego przez świadome da się urzeczywistnić. Otóż jak usuwa się takie stłumienie? Nasze zadanie wkracza tu w drugą fazę — najpierw szukanie stłumienia, potem usunięcie oporu, który to stłumienie stawia.

Jak usuwamy ten opór? W ten sposób: odgadując go i komunikując pacjentowi. Opór pochodzi także ze stłumienia, z tego samego, które chcemy znieść, albo z takiego, które nastąpiło wcześniej. Tworzy go wszak obsada przeciwna, która powstała w celu stłumienia gorszącej dążności. Czynimy więc teraz to samo, cośmy chcieli uczynić już z początku: interpretujemy, odgadujemy i podajemy do wiadomości; ale czynimy to teraz we właściwym miejscu. Obsada przeciwna lub opór nie należy do nieświadomego, lecz do jaźni, która jest przecież naszym współpracownikiem, należy zaś do niej nawet wtedy, gdyby miała być nieświadoma. Wiemy, że chodzi tu o podwójne znaczenie słowa „nieświadome”, z jednej strony jako zjawiska, z drugiej jako systemu. Wydaje się to bardzo trudne i ciemne; ale, nieprawdaż, jest to jednak tylko powtórzenie? Jesteśmy od dawna na to przygotowani. Spodziewamy się, że opór ten będzie zniesiony, obsada przeciwna wciągnięta z powrotem, jeśli tylko umożliwimy jaźni poznanie go za pomocą naszej interpretacji. Z jakimi siłami popędowymi współpracujemy w takim wypadku? Po pierwsze, z dążeniem pacjenta do wyzdrowienia, dążeniem, które skłoniło go do podjęcia wspólnej

z nami pracy, i po drugie, z pomocą jego inteligencji, którą podtrzymujemy przez naszą interpretację. Nie ulega wątpliwości, że inteligencja chorego łatwiej może rozpoznać opór i znaleźć treść odpowiadającą stłumionej, gdy poddamy jej odpowiednie wyobrażenia o tym, czego ma oczekiwać. Gdy mówię: „spójrzcie w niebo, widać tam balon powietrzny”, to znajdziecie go znacznie łatwiej, niż gdybym rozkazał wam popatrzeć z górę, czy tam czegoś nie zobaczycie. Także i studentowi, który patrzy po raz pierwszy przez mikroskop, mówi profesor, co powinien zobaczyć, inaczej nie dostrzeże niczego, chociaż jest tam coś do zobaczenia.

A teraz do faktów. W szeregu postaci schorzeń nerwowych, w histeriach, stanach lękowych, nerwicach natręctwa sprawdza się nasze przypuszczenie. Przez wyszukanie stłumienia, odkrycie oporów, interpretowanie treści stłumionej udaje się rzeczywiście rozwiązać zadanie, a więc przewyciężyć opory, usunąć stłumienie i zamienić nieświadome w świadome. Otrzymujemy przy tym bardzo wyraziste wyobrażenie o sposobie, w jaki rozgrywa się w duszy pacjenta silna walka o przewyciężenie każdego oporu, normalna walka duchowa na tym samym gruncie psychologicznym między motywami, które chcą utrzymać obsadę przeciwną, a tymi, które są gotowe ją porzucić. Pierwsze — to dawne motywy, które swojego czasu doprowadziły do stłumienia; wśród ostatnich znajdują się świeżo przybyłe, które miejmy nadzieję, roztrzygną konflikt po naszej myśli. Udało nam się odświeżyć stary konflikt, który spowodował stłumienie, poddać rewizji proces wtedy zakończony. Jako nowy materiał przynosimy, po pierwsze, napomnienie, że ówczesne rozstrzygnięcie doprowadziło do choroby, i obietnicę, że inna decyzja utoruje drogę do wyzdrowienia, po drugie — olbrzymią zmianę wszystkich warunków od czasu owej pierwszej odmowy. Wtedy „ja” było słabe, infantylne i miało może powód uważać żądanie libido za niebezpieczeństwo. Dziś jest ono wzmocnione, doświadczone i prócz tego, ma przy sobie pomocnika w osobie lekarza. Możemy więc przypuszczać, że doprowadzimy odświeżony konflikt do lepszego zakończenia, niż było nim stłumienie, i jak powiedziałem, sukces, jaki osiągniemy w histeriach, nerwicach, lękach i natręctwach, potwierdzi nasze zdanie.

Istnieją jednak inne postacie chorobowe, w zastosowaniu do których mimo podobieństwa warunków nasz zabieg leczniczy nie przynosi nam nigdy powodzenia. I tu chodzi o pierwotny konflikt

między „ja” a libido, który doprowadził do stłumienia — jeśli trzeba je nawet inaczej scharakteryzować topicznie — i tutaj jest możliwe wysledzenie miejsc, w których w życiu chorego zaszły stłumienia. Zastosowujemy tutaj ten sam zabieg, jesteśmy gotowi do tych samych obietnic, przynosimy tę samą pomoc przez podawanie pacjentowi do wiadomości wyobrażeń tego, czego ma oczekiwać, i znowu różnica czasu między terażniejszością a owymi zmianami sprzyja innemu zakończeniu konfliktu. A jednak nie udaje się nam znieść oporu lub usunąć stłumienia. Pacjenci ci, paranoicy, melancholicy i dotknięci *dementia praecox*, pozostają na ogół niewzruszeni i odporni wobec terapii psychoanalitycznej. Czemu należy to przypisać? Nie brakowi inteligencji; pewnego stopnia sprawności intelektualnej musimy naturalnie od naszych pacjentów wymagać, ale na przykład tym tak bystro kombinującym paranoikom nie brak jej na pewno. Nie zbywa im też na żadnej innej sile popędowej. Melancholicy na przykład posiadają w bardzo wysokim stopniu świadomość — której brak paranoikom — że są chorzy, i dlatego cierpią tak bardzo, ale przez to jeszcze nie są podatni na interwencję psychoanalityczną. Stoimy tu wobec faktu, którego nie rozumiemy i który dlatego każe nam wątpić, czy zrozumieliśmy rzeczywiście wszystkie warunki pomyślnego wyniku, możliwego w innych nerwicach.

Gdy zajmujemy się naszymi histerykami i chorymi cierpiącymi na nerwicę natręctwa, występuje wnet przed nami drugi fakt, do którego nie byliśmy żadną miarą przygotowani. Po chwili musimy mianowicie spostrzec, że chorzy ci zachowują się względem nas w sposób zupełnie szczególny. Przypuszczaliśmy przecież, że zdaliśmy sobie sprawę z wszystkich sił popędowych wchodzących w rachubę podczas kuracji, że całkowicie wyjaśniliśmy rozumowo na czym polega sytuacja wytwarzająca się między nami i pacjentem, tak że stała się ona przejrzysta jak przykład arytmetyczny, i oto wydaje się, że jednak wkrada się coś, czegośmy w tym rachunku nie uwzględnili. Ten nieoczekiwany czynnik jest wielopostaciowy; opiszę naprzód jego przejawy częstsze i łatwiej zrozumiałe.

Widzimy więc, że pacjent, który nie powinien szukać niczego innego, jak tylko wyjścia z konfliktów, na które cierpi, wykazuje specjalne zainteresowanie się osobą lekarza. Wszystko, co pozostaje w związku z tą osobą, wydaje mu się znacznie ważniejsze niż jego własne sprawy i odwraca jego uwagę od choroby. Obcowanie z nim

staje się zatem na pewien czas bardzo przyjemne, jest szczególnie uprzejmy, stara się, gdzie może, okazać wdzięczność, okazuje delikatność i zalety swojego charakteru, których byśmy może wcale się u niego nie doszukali. Toteż lekarz wyrabia sobie wtedy dobre zdanie o swoim pacjencie, wdzięczny jest przypadkowi, który pozwolił mu przyjść z pomocą właśnie specjalnie wartościowej jednostce. Jeśli lekarz ma sposobność rozmawiać z krewnymi pacjenta, słyszy z zadowoleniem, że upodobanie to jest wzajemne. Pacjent nie przestaje w domu chwalić lekarza, wysławiać jego co raz to nowe zalety. „Jest on panem zachwycony, ufa panu ślepo; wszystko, co pan mówi, jest dla niego niby objawieniem”, opowiadają krewni. Czasami ktoś z tego chóru widzi jaśniej i mówi: „zaczyna to być już nudne, że nie mówi o niczym innym jak o panu, tylko pana ma ciągle na ustach”

Chcemy wierzyć, że lekarz jest dostatecznie skromny, aby tę ocenę swojej osoby przez pacjenta przypisać nadziejom, które ten może z nią wiązać, i rozszerzeniu jego horyzontu intelektualnego przez odkrycia niespodziane i sprawiające ulgę, które przynosi ze sobą kuracja. Analiza robi też w tych warunkach wspaniałe postępy, pacjent rozumie wszystko, o czym mu tylko napomknąć, zagłębia się w zadania, które stawia mu kuracja, materiał wspomnień i skojarzeń napływa obficie, pewnością i trafnością swoich interpretacji pacjent zdumiewa lekarza, który może stwierdzić z satysfakcją, jak chętnie chory przyjmuje wszystkie nowości psychologiczne, które zwykły budzić u ludzi zdrowych najzaciętszy opór. Dobremu porozumieniu się chorego z lekarzem podczas pracy analitycznej odpowiada też obiektywne, przez wszystkich uznane polepszenie stanu chorobowego.

Tak piękna pogoda nie może jednak trwać zawsze. Pewnego dnia chmurzy się. Zjawiają się trudności w leczeniu; pacjent utrzymuje, że nic mu nie przychodzi na myśl. Ma się nieodparte wrażenie, że nie interesuje się on więcej pracą i że lekkomyślnie obchodzi znany sobie nakaz mówienia wszystkiego, co mu przez myśl przechodzi, i bez dopuszczenia rozważań krytycznych. Zachowuje dystans wobec kuracji, jakby ona nie jego dotyczyła, tak jakby nie zawarł owej umowy z lekarzem; jest widocznie zaabsorbowany czymś, co jednak chce zatrzymać dla siebie. Jest to sytuacja niebezpieczna dla leczenia. Stoi się tu niezaprzeczenie przed potężnym oporem. Ale co się stało?

Gdy ma się możliwość wyjaśnić znowu sytuację, to rozpoznaje się jako przyczynę — przeszkody wynikające z przeniesienia przez pacjenta

na lekarza intensywnych uczuć tkliwości, do których nie upoważnia go ani zachowanie się lekarza, ani stosunek powstały wskutek kuracji. W jakiej formie przejawia się ta tkliwość i do jakich celów zmierza, to zależy naturalnie od osobistych warunków obu zainteresowanych osób. Jeśli wchodzi w grę młoda dziewczyna i młody mężczyzna, to odniesiemy wrażenie normalnego zakochania się, znajdziemy, iż jest zrozumiałe, że dziewczyna zakochała się w człowieku, z którym może przebywać dużo sama i mówić o rzeczach intymnych, który na spotkaniach z nią występuje w korzystnej pozycji, obdarzony przewagą ratownika, i prawdopodobnie przeoczymy, że u neurotycznego dziewczęcia należałoby raczej oczekiwać zaburzenia zdolności kochania. Im bardziej osobiste warunki lekarza i pacjenta oddalone są od przytoczonych, tym bardziej będziemy zdziwieni, gdy mimo to znajdziemy ten sam stosunek uczuciowy. Powyższe tłumaczenie uchodzi jeszcze, gdy młoda kobieta nieszczęśliwa w małżeństwie wydaje się opanowana silną namiętnością do swojego lekarza, będącego jeszcze w wolnym stanie, gdy gotowa jest dążyć do rozwodu, aby móc należeć do niego, lub gdy w wypadku przeszkód społecznych nie cofa się przed nawiązaniem z nim tajemnego stosunku miłosnego. W tych warunkach słyszy się jednak ze zdumieniem od kobiet i dziewcząt wypowiedzi świadczące o ich zupełnie określonym zajęciu stanowiska względem problemu terapeutycznego: wiedziały zawsze, że tylko miłość może je uzdrowić, i od początku leczenia przypuszczały, że przez to obcowanie dane im będzie wreszcie to, czego im życie dotychczas odmawiało. Tylko dzięki tej nadziei zadały sobie tyle trudu w kuracji i pokonały trudności komunikowania wszystkiemu lekarzowi. Sami od siebie dodamy: i łatwo zrozumiały wszystko, w co zazwyczaj trudno jest uwierzyć. Ale takie wyznanie jest dla nas niespodziane; obala ono nasze przewidywania. Czy jest to możliwe, że pominęliśmy najważniejszy punkt w naszym planie?

I rzeczywiście, im bogatsi jesteśmy w doświadczenie, tym mniej możemy protestować przeciw tej poprawce, tak kompromitującej dla naszej naukowości. W pierwszych przypadkach można było jeszcze uwierzyć, że kuracja analityczna natknęła się na przeszkodę wskutek zdarzenia przypadkowego, to znaczy nie leżącego w jej zamiarach i przez nią nie wywołanego. Gdy takie tkliwe przywiązanie pacjenta do lekarza powtarza się jednak regularnie w każdym nowym przypadku, gdy zjawia się ono w najniepomyślniejszych warunkach, przy

wprost groteskowej dysproporcji — także i u starzejącej się kobiety lub w stosunku do siwobrodego mężczyzny, nawet i tam, gdzie naszym zdaniem nie ma mowy o żadnych pokusach — wtedy musimy przecie porzucić myśl o niepożądanym przypadku i zdać sobie sprawę, że chodzi tutaj o zjawisko, które pozostaje w najgłębszym związku z istotą choroby.

Ten nowy fakt, który w ten sposób nie bez oporów uznajemy, nazywamy *przeniesieniem*. Mamy na myśli przeniesienie uczuć na osobę lekarza, gdyż nie wierzymy, że sytuacja kuracji mogłaby usprawiedliwić powstanie podobnych uczuć. Przypuszczamy raczej, że cała ta gotowość uczucia pochodzi skądinąd, była przygotowana w chorej i przy sposobności leczenia analitycznego zostaje przeniesiona na osobę lekarza. Przeniesienie może występować jako burzliwe żądanie miłości, lub też w formach bardziej umiarkowanych; w stosunku do starszego mężczyzny może u młodej dziewczyny zamiast pragnienia miłosego stosunku wynurzyć się życzenie, by zostać przyjętą jako ulubiona córka; dążenie libido może być złagodzone aż do propozycji nierozzerwalnej, lecz idealnie platonicznej przyjaźni. Niektóre kobiety potrafią uwznioślać przeniesienie i tak długo je modelować, póki nie uzyska pewnej zdolności do życia; inne muszą je przejawiać w jego postaci surowej, pierwotnej, przeważnie niemożliwej do przyjęcia. Ale w gruncie rzeczy istnieje ono zawsze i nie pozwala nigdy zapomnieć, że pochodzi z tego samego źródła.

Nim zapytamy, gdzie należy umieścić ten nowy fakt — przeniesienie — postaramy się uzupełnić jego opis. Jak dzieje się to u pacjentów — mężczyzn? Należałoby przecież przypuszczać, że tu nie wystąpi element różnicy i pociągu płci. Otóż nie o wiele inaczej niż u kobiet — musi brzmieć odpowiedź. To samo przywiązanie do lekarza, to samo przecenianie jego zalet, to samo zajęcie się jego sprawami, ta sama zazdrość względem wszystkich, którzy są mu bliscy w życiu. Uwzniesione formy przeniesienia są częstsze między mężczyzną a mężczyzną, natomiast bezpośrednio pragnienie seksualne występuje tu rzadziej — w tej mierze, w jakiej jawny homoseksualizm ustępuje na plan dalszy wobec innych przejawów tego składnika popędowego. U swoich męskich pacjentów lekarz spostrzega też częściej niż u kobiet tę postać przeniesienia, która na pierwszy rzut oka zdaje się sprzeciwiać wszystkiemu, co zostało dotychczas opisane, a mianowicie przeniesienie wrogie, czyli *negatywne*.

Zrozumiemy naprzód, że przeniesienie występuje u pacjenta od początku leczenia i przez jakiś czas jest najsilniejszym bodźcem popędowym jego pracy. Nie czuje się go wcale i nie trzeba się też o nie troszczyć, dopóki działa na korzyść wspólnie uprawianej analizy. Gdy zmienia się potem w upór, trzeba zwrócić na nie uwagę i rozpoznać, że zmieniło ono swój stosunek do kuracji, przy czym może to nastąpić w dwojakiego rodzaju i przeciwnych sobie warunkach: po pierwsze, gdy stało się jako tkliwa skłonność tak silne, gdy tak wyraźnie zdradziło swoje pochodzenie z pragnień seksualnych, że musiało wywołać u pacjenta opór wewnętrzny przeciw sobie, i po drugie, gdy składa się z wrogich dążeń zamiast tkliwych. Wrogie uczucia ujawniają się w zasadzie później niż tkliwe i spoza nich; w swym równoczesnym istnieniu stanowią one dobre odbicie ambiwalencji uczuć, która występuje w przeważającej części naszych bliskich stosunków z innymi ludźmi. Uczucia nieprzyjemne oznaczają tak samo przywiązanie uczuciowe jak i uczucia tkliwe, podobnie jak przekora oznacza tę samą zależność co posłuszeństwo, mimo, że ze znakiem przeciwnym. Nie może ulegać dla nas wątpliwości, że wrogie uczucia względem lekarza zasługują na miano przeniesienia, gdyż do ich powstania sytuacja kuracji nie daje na pewno żadnego wystarczającego powodu; konieczna koncepcja ujemnego przeniesienia utwierdza nas więc w przekonaniu, że nie zbłądziliśmy w ocenie przeniesienia pozytywnego, czyli tkliwego.

Skąd pochodzi przeniesienie, jakich przysparza nam trudności, jak je przewyciężamy i jaką korzyść wyciągamy z niego ostatecznie, to wymaga obszernego omówienia w technicznych wskazówkach do analizy, dzisiaj zaś dotknę tylko z lekka tego zagadnienia. Jest wykluczone, byśmy ustąpili wymaganiom pacjenta, wynikającym z przeniesienia, byłoby jednak nierozsądnie odrzucić je nieuprzejmie, lub nawet z oburzeniem; przewyciężamy przeniesienie wykazując choremu, że jego uczucia nie pochodzą z obecnej sytuacji i nie dotyczą osoby lekarza, lecz że powtarzają to, co się już wcześniej choremu zdarzyło. W taki sposób zmuszamy go, by owo powtórzenie zamienił na wspomnienie. Wtedy przeniesienie, które — niezależnie od tego czy tkliwe, czy wrogie — w każdym wypadku zdawało się najsilniej zagrażać kuracji, staje się jej najlepszym narzędziem, za pomocą którego dają się wyświełać najbardziej ukryte zakamarki życia duchowego. Chciałbym jednak powiedzieć parę słów, które uwolnią

nas od zdziwienia wobec wystąpienia tego nieoczekiwanego zjawiska. Nie zapominajmy przecież, że choroba pacjenta, który poddaje się analizie, nie jest czymś zamkniętym, zeszytniałym, lecz rośnie i rozwija się dalej, jak żywa istota. Początek leczenia nie kładzie końca temu rozwojowi, ale gdy kuracja stała się jakąś dominantą w przeżyciach chorego, okazuje się, że odtąd wszystko, co jest wytworem choroby, rzutuje na jeden jedyny punkt, mianowicie na stosunek do lekarza. Przeniesienie można więc porównać z warstwą kambium między drzewem a korą, z której to warstwy wychodzą nowe tkanki i pochodzi rozrost pnia wszcz. Gdy przeniesienie osiągnęło już to znaczenie, wtedy praca chorego nad wspomnieniami ustępuje na plan dalszy. Nie będzie wtedy niesłuszne, gdy powiemy, że nie ma się już więcej do czynienia z dawną chorobą pacjenta, lecz ze świeżo stworzoną i przetworzoną nerwicą, która zastępuje pierwszą. To nowe wydanie starej choroby psychoanalityk śledził od początku, widział jej powstanie i rozwój i orientuje się w niej szczególnie dobrze, ponieważ stoi sam jako obiekt pośrodku niej. Wszystkie objawy u chorego straciły swoje pierwotne znaczenie i zyskały nowy sens; polega to na tym, że wchodzi one teraz w jakieś relacje z przeniesieniem; lub też pozostały tylko te objawy, którym mogło się udać takie przetworzenie. Pokonanie tej nowej, sztucznej nerwicy łączy się jednak z usunięciem choroby, z którą pacjent przystąpił do kuracji, z rozwiązaniem naszego zadania leczniczego. Człowiek, którego stosunek do lekarza stał się normalny i który jest wolny od działania stłumionych dążeń popędowych, pozostaje taki i we własnym swoim życiu, gdy lekarz opuszcza go raz na zawsze.

To niezwykle, dla kuracji wprost zasadnicze znaczenie posiada przeniesienie przy hysterii lękowej i nerwicy natręctwa, które dlatego obejmujemy słusznie jedną nazwą *nerwice przeniesienia*. Kto dzięki pracy analitycznej uzyska pełne wrażenie co do faktu przeniesienia, ten nie może wątpić dalej, jakiego rodzaju są stłumione dążenia, które stwarzają sobie wyraz w objawach tych nerwic, i nie żąda silniejszego dowodu, że pochodzą one od libido. Możemy powiedzieć, że nasze przekonanie co do znaczenia objawów jako zastępczych zaspokojeń libido zostało ostatecznie umocnione dopiero przez uwzględnienie przeniesienia.

Obecnie mamy pewną podstawę do poprawienia naszego wcześniejszego dynamicznego ujęcia procesu leczenia i pogodzenia go

z nowym poglądem. Gdy chory musi zwalczać normalny konflikt z oporami, które odkryliśmy w analizie, potrzebny mu jest silny bodziec, który wpływa na decyzję w pożądanym przez nas, wiodącym do uzdrowienia kierunku. Inaczej mogłoby się zdarzyć, że zdecydowałby się on na powtórzenie dawniejszego wyniku i stłumiłby znowu to, co zostało doprowadzone do świadomości. Rozstrzygnięcie tej walki zależy nie od jego zrozumienia intelektualnego — nie jest ono do tego ani dostatecznie silne, ani swobodne — lecz jedynie od jego stosunku do lekarza. Póki jego przeniesienie stoi pod znakiem pozytywnym, póty nadaje ono lekarzowi autorytet, zamienia się w wiarę w jego twierdzenia i poglądy. Bez takiego przeniesienia lub w wypadku, gdy jest ono negatywne, pacjent nie udzieliłby posłuchu lekarzowi i jego argumentom. Wiara powtarza przy tym dzieje swego powstania: jest ona potomkiem miłości i z początku nie trzeba jej było wcale argumentów. Dopiero później przyznała im tyle miejsca, że poddaje je próbnemu rozpatrzeniu wtedy, gdy pochodzą od ukochanej osoby. Argumenty bez takiej podpory nie miały nigdy znaczenia i dotychczas dla większości ludzi nic nie znaczą. Człowiek jest więc na ogół tylko o tyle dostępny od strony intelektualnej, o ile jest zdolny do obsadzenia obiektu przez libido, i mamy dostateczne powody w rozmiarach jego narcyzmu upatrywać granicę dla jego poddawania się wpływowi nawet najlepszej techniki psychoanalitycznej.

Zdolność zwracania obsad obiektów przez libido także i na osoby musimy przypisywać wszystkim ludziom normalnym. Skłonność do przeniesienia występująca u wymienionych neurotyków jest tylko niezwykle silnym spotęgowaniem tej właściwości ogólnej. Otóż byłoby przecież bardzo dziwne, gdyby rys charakteru ludzkiego tak rozpowszechniony i posiadający takie znaczenie nie został nigdy spostrzeżony i oceniony. Stało się to też rzeczywiście. Bernheim z nieomylną ostrością spojrzenia oparł naukę o zjawiskach hipnotycznych na twierdzeniu, że wszyscy ludzie są w pewien sposób zdolni do ulegania sugestii, czyli „sugestywni”. Sugestywność ta nie jest niczym innym jak skłonnością do przeniesienia, ujętą może zbyt ciasno, tak że nie pozostało w niej miejsca dla przeniesienia ujemnego. Ale Bernheim nie umiał nigdy powiedzieć, czym właściwie jest sugestia i w jaki sposób dochodzi do skutku. Była ona dla niego faktem zasadniczym, co do pochodzenia którego nie mógł dać żadnych wyjaśnień. Nie rozpoznał on zależności *suggestibilité* od seksualizmu, od czynności libido. My

zaś musimy zauważyć, że porzuciliśmy w technice naszej hipnozę po to, aby odkryć znowu sugestię występującą w zjawisku przeniesienia.

Teraz jednak zatrzymuję się i udzielam głosu wam. Spostrzegam, iż pewien zarzut wzbiera w was tak silnie, że odebrałyby wam zdolność słuchania, gdybym nie dopuścił was do głosu. „A więc przyznał się pan nareszcie, że pracuje z pomocą sugestii, podobnie jak hipnotyzer. Już dawno pomyśleliśmy to sobie. Ale w takim razie po co ta okrężna droga poprzez wspomnienia przeszłości, odkrycie nieświadomego, interpretację i tłumaczenie zniekształceń, ten niesłychany nakład wysiłku, czasu i pieniędzy, jeśli tym, co jedynie działa, jest sugestia? Dlaczego nie stosuje pan wprost sugestii przeciw objawom, jak to czynią inni, uczciwi hipnotyzerzy? A dalej, jeśli chce pan wytłumaczyć, że na drogach okrężnych, którymi pan idzie, zrobił pan liczne, pełne znaczenia odkrycia psychologiczne, które przy sugestii bezpośredniej pozostają w użyciu, to kto może teraz ręczyć za pewność tych odkryć? Czy nie są one także rezultatem sugestii, mianowicie sugestii nie zamierzonej? Czy nie może pan narzucić choremu także i w tej dziedzinie wszystkiego, co pan chce i co się panu wydaje słuszne?”

To co mi tu zarzucacie, jest niezwykle ciekawe i musi otrzymać odpowiedź. Ale dziś nie mogę już tego uczynić, brak nam czasu. A więc następnym razem. Zobaczycie, że potrafię wam odpowiedzieć. Dziś muszę jeszcze skończyć to, co zacząłem. Obiecałem wyjaśnić wam za pomocą faktu przeniesienia, dlaczego nasz wysiłek leczniczy nie ma powodzenia w nerwicach narcystycznych.

Mogę to uczynić w paru słowach i zobaczycie, jak prosto rozwiązuje się ta zagadka i jak dobrze się wszystko zgadza. W wyniku obserwacji możemy skonstatować, że chorzy na nerwicę narcystyczną nie posiadają zdolności przeniesienia lub posiadają tylko niedostateczne jej pozostałości. Odrzucają oni lekarza nie wskutek nieprzyjaźni, lecz wskutek obojętności. Dlatego też nie podlegają jego wpływowi; to, co mówi, pozostawia ich chłodnymi, nie wywiera na nich żadnego wrażenia, dlatego też mechanizm uzdrowienia, który uruchamiamy u innych, odnowienie konfliktu chorobotwórczego i pokonanie oporu stłumienia, nie da się u nich zastosować. Pozostają takimi, jakimi są. Podejmowali oni już często na własną rękę próby samoleczenia, które doprowadziły do wyników patologicznych; nie możemy nic w tym zmienić.

Na zasadzie naszych wrażeń klinicznych, odniesionych z obserwacji tych chorych, twierdziliśmy, że musieli oni porzucić obsadę obiektów

przez libido i przekształcić libido obiektów w libido jaźni. Przez podkreślenie tej cechy oddzieliliśmy ich od pierwszej grupy neurotyków (histeria, nerwica lękowa i natręctwa). Ich zachowanie się przy próbie terapii potwierdza to przypuszczenie. Nie występuje u nich wcale przeniesienie i dlatego są niedostępni naszemu wysiłkowi; my ich uleczyć nie możemy.

WYKŁAD XXVIII

Terapia analityczna

Panie i panowie! Wiecie, o czym będziemy dziś mówili? Zapytywaliście mnie, dlaczego nie posługujemy się w terapii psychoanalitycznej bezpośrednią sugestią, jeśli przyznajemy, że nasz wpływ polega istotnie na przeniesieniu, to jest na sugestii, i do tego nawiązaliście wątpliwości, czy przy takiej przewadze sugestii możemy ręczyć za obiektywność naszych odkryć psychologicznych. Obiecałem dać wam wyczerpującą odpowiedź.

Sugestia bezpośrednia jest to sugestia skierowana przeciw ukazywaniu się objawów, walka między waszym autorytetem a motywami stanu chorobowego. Nie troszczycie się przy tym o te motywy, żądacie tylko od chorego, by stłumił ich manifestacje w objawach. Nie stanowi to wówczas zasadniczej różnicy, czy wprawiacie chorego w stan hipnozy, czy nie. Bernheim stwierdził znowu z cechującą go przenikliwością, że sugestia stanowi istotę zjawisk hipnotycznych, lecz hipnoza sama jest już wynikiem sugestii, stanem sugerowanym, i stosował z upodobaniem sugestię na jawie, która może sprawić to samo, co sugestia w hipnozie.

Cóż więc chcecie w tej kwestii najpierw usłyszeć, głos doświadczenia, czy też rozważanie teoretyczne?

Zacznijmy od pierwszego. Byłem uczniem Bernheima, do którego udałem się do Nancy w roku 1889 i którego książkę o sugestii przetłumaczyłem na język niemiecki. Stosowałem przez lata leczenie hipnotyczne, początkowo z sugestią zakazującą, później zaś kombinując je z Breuerowskim wypytywaniem pacjenta. Mogę więc mówić o wynikach terapii hipnotycznej lub sugestywnej na zasadzie bezpośredniego

doświadczenia. Jeśli według starego powiedzenia lekarskiego idealna terapia powinna być szybka, pewna i nie nieprzyjemna dla chorego, to metoda Bernheima spełniała istotnie dwa z tych wymagań. Dawała się przeprowadzić znacznie szybciej, to znaczy bez porównania szybciej niż analityczna, i nie narażała chorego ani na wysiłek, ani na przykrości. Dla lekarza było to przy stałym stosowaniu — monotonne: w każdym przypadku w ten sam sposób, z tym samym obrządkiem należało zabraniać istnienia najrozmaitszym objawom, bez możliwości dowiedzenia się czegokolwiek o ich sensie i znaczeniu. Była to praca rzemieślnicza, nie zaś działalność naukowa, praca przypominająca magię, zaklinanie i czary; ale to nie jest istotne w porównaniu ze sprawą korzyści chorego. Niestety jednak trzeciego warunku brakowało — pewna nie była ta metoda w żadnym razie. W jednym przypadku dawała się zastosować, w innym — nie; w jednym udawało się dokonać wiele, w innym bardzo mało, przy czym nigdy nie znano przyczyny. Gorszy jednak niż ta kapryśność zastosowalności zabiegu był brak trwałości wyników. Gdy po pewnym czasie słyszało się znowu o tych chorych, dowiadywano się, że stare cierpienie powracało, lub też zostało zamienione przez nowe. Należało hipnotyzować na nowo. Poza wszystkim istniało jeszcze podyktowane doświadczeniem zastrzeżenie, by nie pozbawiać chorego samodzielności przez częste powtarzanie hipnozy i nie przyzwyczajając go do tej terapii jak do narkotyku.

Trzeba przyznać, że czasami wszystko szło dokładnie według życzenia; po niewielu wysiłkach osiągnięto pełny i trwały wynik dodatni. Ale warunki tak pomyślnego zakończenia pozostawały nieznanne. Pewnego razu zdarzyło mi się, że ciężki stan, który całkowicie usunąłem przez krótkie leczenie hipnotyczne, powrócił bez zmiany, gdy chora powzięła do mnie urazę bez winy z mej strony; po pojednaniu się doprowadziłem na nowo i znacznie gruntowniej do jego zniknięcia, powrócił jednak znowu, gdy chora pogniewała się ze mną po raz drugi. Innym razem zdarzyło mi się, że chora, której kilkakrotnie pomogłem za pomocą hipnozy do wydobycia się ze stanów nerwowych, pewnego dnia podczas leczenia jednego specjalnie uporczywego napadu zarzuciła mi nagle ramiona na szyję. Skłoniło to przecież do zajęcia się mimo woli pytaniem dotyczącym istoty pochodzenia autorytetu sugestywnego.

Tyle doświadczenia. Pokazuje nam ono, że rezygnując z sugestii

bezpośredniej nie porzuciliśmy niczego, co by nie dało się zastąpić. Pozwólcie mi teraz przeprowadzić pewne rozważania. Stosowanie terapii hipnotycznej wymaga zarówno od pacjenta, jak i od lekarza tylko bardzo nieznacznego wysiłku. Ta terapia jest w najpiękniejszej zgodzie z tą oceną nerwic, do której dziś jeszcze przyznaje się większość lekarzy. Lekarz mówi neurotykowi: nic panu nie brakuje, jest to tylko nerwowe, i dlatego mogę paroma słowami w parę minut usunąć pańskie dolegliwości. Sprzeciwia się to jednak naszemu myśleniu ujmującemu rzecz pod kątem energetycznym, aby wielki ciężar można było podźwignąć za pomocą małego wysiłku, zabierając się do tego bezpośrednio i nie korzystając z pomocy odpowiednich urządzeń. Doświadczenie poucza, że w wypadku nerwic sztuka ta — jeśli stosunki te można porównać — nie udaje się. Wiem jednak, że argument ten nie jest niezbity; bywają też „wyładowania napięć”.

W świetle poznania, które zdobyliśmy przez psychoanalizę, możemy opisać różnicę między sugestią hipnotyczną a psychoanalityczną w sposób następujący: terapia hipnotyczna chce coś zakryć i zatuszować w życiu duchowym, analityczna — coś odkryć i usunąć. Pierwsza używa sugestii, by zakazać objawów, wzmacnia stłumienia, lecz pozostawia nie zmienione wszystkie procesy, które doprowadziły do powstania objawów. Terapia analityczna sięga dalej, do korzeni konfliktów, z których powstały objawy, posługuje się sugestią, by zmienić wynik tych konfliktów. Terapia hipnotyczna pozostawia pacjenta bezczynnym i nie zmienionym i dlatego tak samo jak dotychczas nieodpornym wobec każdego nowego powodu do zachorowania. Kuracja analityczna nakłada zarówno na lekarza, jak i na chorego zadanie wykonania ciężkiej pracy, która zostaje wykorzystowana do zniesienia oporów wewnętrznych. Przez pokonanie tych oporów życie duchowe chorego zostaje zmienione na stałe, podniesione na wyższy stopień rozwoju i uchronione przed nowymi możliwościami zachorowania. Ta praca przewyciężenia jest istotą kuracji analitycznej, chory ma jej dokonać, a lekarz umożliwi mu to za pomocą sugestii, działającej *wychowawczo*. Toteż zupełnie słusznie powiedziano, że leczenie psychoanalityczne jest to pewien rodzaj *wychowania późniejszego*.

Mam nadzieję, że wyjaśniłem wam, czym różni się nasz sposób stosowania sugestii jako terapii od jedynie możliwego sposobu jej zastosowania przy terapii hipnotycznej. Dzięki sprowadzeniu sugestii

do przeniesienia rozumiecie też kapryśność, która uderzyła nas przy terapii hipnotycznej, w przeciwieństwie do terapii analitycznej, dającej się obliczyć jak najdokładniej. Przy zastosowaniu hipnozy jesteśmy zależni od tego, w jakim stopniu pacjent zdolny jest dokonać przeniesienia, sami jednak nie możemy wywierać na tę zdolność żadnego wpływu. U hipnotyzowanego przeniesienie może być negatywne lub, jak najczęściej się zdarza, ambiwalentne, może on chronić się przed przeniesieniem za pomocą specjalnej postawy; niczego się o tym nie dowiadujemy. W psychoanalizie pracujemy nad samym przeniesieniem, rozwiązujemy to, co mu się przeciwstawia, sporządzamy sobie instrument, którym chcemy oddziaływać. W ten sposób staje się dla nas możliwe wyciągnięcie zupełnie innych korzyści z tych mocy, jakie sugestia daje nam do dyspozycji; ujmujemy ją w ręce: nie chory sugeruje się sam, jak mu się podoba, lecz to my kierujemy jego sugestią o tyle, o ile jest on w ogóle podatny na jakiegokolwiek wpływy.

Powiecie pewnie, że niezależnie od tego, czy siłę napędową naszej analizy nazwiemy przeniesieniem czy sugestią, istnieje jednak niebezpieczeństwo, że wpływ wywierany na pacjenta czyni obiektywną pewność naszych odkryć wątpliwą. To, co jest dobre dla terapii, szkodzi badaniu. Jest to zarzut podnoszony najczęściej przeciw psychoanalizie i trzeba przyznać, że jeśli nawet nie jest trafny, to jednak nie można go odrzucić jako niedorzecznego. Gdyby natomiast był usprawiedliwiony, to psychoanaliza nie byłaby niczym innym, jak pewnym rodzajem leczenia sugestią, tyle że specjalnie dobrze zamaskowanym, wyjątkowo skutecznym — można by wtedy lekko traktować wszystkie jej twierdzenia o wpływach życiowych, dynamice psychicznej i nieświadomym. Tak myślą też przeciwnicy psychoanalizy, zwłaszcza sądzą, że wszystko, co dotyczy doniosłości przeżyć seksualnych, jeśli już nie same te przeżycia, „wmówiliśmy” chorym, gdy tymczasem to w naszej własnej zepsutej wyobraźni wyrosły te kombinacje. Odparcie tych zarzutów przychodzi łatwiej, jeśli powołamy się na doświadczenie, niż jeśli posłużymy się wywodem teoretycznym. Kto sam przeprowadzał psychoanalizę, mógł niezliczoną ilość razy przekonać się o tym, że niemożliwe jest zasugerowanie tego choremu w ten sposób. Naturalnie, że nie sprawia żadnej trudności uczynić go zwolennikiem pewnej teorii i w ten sposób przyczynić się do tego, by brał udział w możliwej omyłce lekarza. Zachowuje się on wtedy jak ktoś inny, jak uczeń, ale w ten sposób wpłynęło się tylko na jego inteligencję, nie zaś na jego

chorobę. Rozwiązanie jego konfliktów, przewyciężenie jego oporów udaje się tylko wtedy, gdy podsunęto mu zgodne z jego wewnętrzną rzeczywistością wyobrażenia tego, czego ma oczekiwać. To, co w przypuszczeniach lekarza było niesłuszne, odpada znowu w przebiegu analizy, musi zostać cofnięte i zastąpione przez coś słusniejszego. Za pomocą starannej techniki usiłuje się zapobiec powstaniu tymczasowych rezultatów sugestii, ale gdy one wystąpią, jest to już bez znaczenia, gdyż nie poprzestaniemy na pierwszym sukcesie. Nie uważa się analizy za skończoną, jeśli ciemne strony przypadku nie zostały wyjaśnione, luki pamięci wypełnione, okoliczności powodujące stłumienia — znalezione. W pomyślnych rezultatach, które zjawiają się nazbyt wcześnie, upatrujemy raczej przeszkody niż postępu pracy analitycznej i burzymy te skutki znowu, doprowadzając znów do rozłożenia przeniesienia, z którego one wynikają. W gruncie rzeczy ten ostatni rys odgranicza leczenie analityczne od czysto sugestywnego i uwalnia rezultaty analityczne od podejrzenia, że są skutkami sugestii. Przy każdym innym leczeniu sugestywnym przeniesienie jest starannie ochraniane, nie zaś naruszane; przy leczeniu analitycznym czyni się je samo przedmiotem leczenia i poddaje rozłożeniu w każdym jego nowym przejawie. W końcu kuracji analitycznej przeniesienie samo musi zostać zniesione i jeśli teraz zjawi się, lub też zostaje zachowany pomyślny skutek, to nie polega on na sugestii, lecz na dziele przewyciężenia oporów wewnętrznych, dokonanych z jej pomocą, na osiągniętej przez chorego przemianie wewnętrznej.

Powstawaniu sugestii pojedynczych przeciwdziała to, że podczas kuracji musimy nieustannie zwalczać opory, które potrafią przekształcać się w negatywne (wrogie) przeniesienia. Nie zaniedbamy też powołać się na to, że bardzo wiele tych wyników pojedynczych analiz, na które mogłoby paść podejrzenie, że są produktami sugestii, znalazło potwierdzenie z innej strony, wolnej od zarzutu. Naszymi poręczycielami są w tym wypadku chorzy cierpiący na otępienie wczesne i paranoicy, którzy oczywiście pozostają całkowicie poza podejrzeniami co do ulegania wpływowi sugestii. To, co opowiadają nam ci chorzy o interpretacji symboli i o fantazjach, które przedostały się do ich świadomości, zgadza się najzupełniej z rezultatami naszych badań dotyczących nieświadomego w nerwicach przeniesienia i przemawia w ten sposób mocno za obiektywną słusnością naszych, tak często podlegających wątpliwości, interpretacji. Myślę, że nie zbłądzicie, jeśli zaufacie tym punktom analizy.

Uzupełnijmy teraz nasze przedstawienie mechanizmu uzdrowienia formułując je w terminach teorii libido. Neurotyk nie jest zdolny do używania życia i do czynu, po pierwsze, dlatego, że libido jego nie jest skierowana na żaden przedmiot realny, po drugie zaś, dlatego, że znaczną część posiadanej energii musi zużywać na to, by utrzymać libido w stłumieniu i bronić się przed jej atakiem. Byłby uzdrowiony, gdyby konflikt między jego jaźnią i jego libido skończył się i gdyby jego jaźń mogła znowu rozporządzać swoją libido. Zadanie terapeutyczne polega więc na tym, by uwolnić libido z jej dotychczasowych związań, niedostępnych działaniu jaźni, i oddać ją znowu na usługi jaźni. Gdzie więc tkwi libido neurotyka? Łatwo ją znaleźć; jest ona związana z objawami, które zapewniają jej jedyne na razie możliwe zaspokojenie zastępcze. Trzeba więc, aby psychoanalityk stał się panem tych objawów, rozwikłał je, uczynił właśnie to, czego żąda od niego chory. Do rozwikłania objawów konieczne jest zwrócenie się aż do ich źródeł, odnowienie konfliktu, z którego powstały, i za pomocą tych sił popędowych, którymi w swoim czasie osobnik rozporządzał, skierowanie konfliktu ku innemu wynikowi. Tej rewizji procesu stłumienia można dokonać tylko częściowo, opierając się na śladach wspomnień o wydarzeniach, które do stłumienia doprowadziły. Decydująca część pracy zostaje wykonana, jeśli w stosunku pacjenta do lekarza, w przeniesieniu, powtarzają się stare konflikty, w których chory chciałby się zachować tak, jak zachowywał się w swoim czasie, podczas gdy za pomocą zmobilizowania wszystkich dostępnych sił psychicznych skłania się do innej decyzji. Przeniesienie staje się więc polem bitwy, na którym mają się spotkać wszystkie walczące ze sobą siły.

Cała libido, jak i wszystko, co się jej sprzeciwia, skupia się w tym jednym: w stosunku do lekarza; przy czym niepodobna uniknąć tego, że objawy zostają pozbawione libido. Zamiast własnej choroby pacjenta występuje sztucznie stworzone przeniesienie, choroba przeniesieniowa, zamiast najrozmaitszych nierealnych przedmiotów libido — jeden, znów fantastyczny przedmiot, którym jest osoba lekarza. Ale nowa walka o ten przedmiot zostaje przeniesiona z pomocą sugestii lekarskiej na najwyższy szczebel psychiczny i przebiega jako normalny konflikt duchowy. Przez uniknięcie nowego stłumienia zostaje położony kres rozterce między jaźnią a libido i przywrócona zostaje duchowa jednolitość osobowości. Gdy libido zostaje znowu uwolniona od

związania z tymczasowym przedmiotem — osobą lekarza, nie może już powrócić do swoich wcześniejszych przedmiotów, lecz pozostaje do rozporządzenia jaźni. Siłami, które zwalczano podczas tej pracy terapeutycznej, są: z jednej strony, niechęć jaźni względem pewnych kierunków libido, która objawiła się jako skłonność do stłumienia, a z drugiej strony — oporność, czyli lepkość libido, która niechętnie porzuca raz przez siebie obsadzone przedmioty.

Praca terapeutyczna rozpada się więc na dwie fazy: w pierwszej cała libido zostaje wyparta z objawów do przeniesienia i tam ześrodkowana, w drugiej przeprowadzona zostaje walka o ten nowy przedmiot i libido zostaje uwolniona. Zmianą decydującą o dodatnim wyniku jest wyłączenie stłumienia przy tym odnowionym konflikcie, tak że libido nie może znowu uciec przed jaźnią w nieświadome. Zostaje to umożliwione przez przemianę w jaźni, która dokonywa się pod wpływem sugestii lekarskiej. Jaźń zostaje powiększona kosztem nieświadomego za pomocą pracy interpretacyjnej, która zmienia nieświadome w świadome; zostaje pogodzona z libido przez pouczenie i skłonna jest zezwolić jej na jakieś zaspokojenie, płochliwość zaś jaźni względem wymogów libido ulega zmniejszeniu dzięki możliwości zadośćuczynienia części libido za pomocą uwznioślenia. Im bardziej pokrywają się procesy podczas leczenia z tym opisem idealnym, tym większy będzie sukces terapii psychoanalitycznej. Granice temu sukcesowi wyznacza brak ruchliwości libido, która może się opierać porzuceniu swoich obiektów, i sztywność narcyzmu, który nie dopuszcza do przeniesienia na obiekty bez ograniczeń. Może więc więcej światła na dynamikę procesu uzdrowienia rzuci sformułowanie następującej uwagi: chwytamy całą libido, usuniętą spod panowania jaźni, skierowując przez przeniesienie część jej na osobę lekarza.

Nie będzie też zbyt cenne napomnienie, że z podziału libido, który zostaje ustanowiony podczas i za pomocą leczenia, nie powinniśmy wyciągnąć żadnego bezpośredniego wniosku o umieszczeniu libido podczas choroby. Jeśli przyjmiemy, że udało się nam pomyślnie rozwiązać przypadek przez ustalenie i następnie uwolnienie silnego przeniesienia na lekarza jako na ojca, to wniosek, że chory cierpiał przedtem wskutek takiego nieświadomego przywiązania swojej libido do ojca, byłby błędny. Przeniesienie na ojca jest tylko polem walki, na którym opanowujemy libido; libido chorego została tam skierowana z innych pozycji. Owo pole walki musi się koniecznie pokrywać

z jedną z ważniejszych fortec wroga. Obrona stolicy nieprzyjacielskiej nie musi przebiegać właśnie przed jej wrotami. Dopiero po rozwiązaniu przeniesienia można zrekonstruować w myślach podział libido, który istniał podczas choroby.

Z punktu widzenia teorii libido możemy też powiedzieć jeszcze ostatnie słowo o marzeniu sennym. Marzenia senne neurotyków służą nam, na równi z ich czynnościami pomyłkowymi i swobodnymi skojarzeniami, do odgadnięcia znaczenia objawów i odkrycia pozycji libido. Pokazują nam w formie spełnionego pragnienia, jakie dążenia życzeniowe uległy stłumieniu i jakich obiektów uczepiła się libido, która wy dostała się spod panowania jaźni. Dlatego interpretacja marzeń sennych odgrywa w leczeniu psychoanalitycznym wielką rolę i w niektórych wypadkach jest przez dłuższy czas najważniejszym narzędziem pracy. Wiemy już, że stan snu sam przez się sprowadza pewne ustąpienia stłumień. Dzięki takiemu zmniejszeniu ucisku ciężącego na stłumionym dążeniu staje się możliwe, że zdobywa ono sobie w marzeniu sennym daleko jaskrawszy wyraz, niż jest to dopuszczalne dla objawu za dnia. Badanie marzenia sennego otwiera więc najwygodniejszy dostęp do poznania tego, co stłumione i nieświadome, do czego należy libido odebrana jaźni.

Ale marzenia senne neurotyków nie różnią się pod żadnym istotnym względem od snów ludzi normalnych; nie dadzą się, być może, w ogóle od nich odróżnić. Byłoby bezsensowne zdawać sprawę ze snów neurotyków w sposób, który by nie miał znaczenia również i dla snów ludzi normalnych. Musimy więc powiedzieć, że różnica między nerwicą a zdrowiem zachodzi tylko podczas dnia, nie trwa zaś w czasie snu. Zmuszeni jesteśmy więc pewną ilość przypuszczeń, które wysuwamy na podstawie istnienia związku pomiędzy snami i objawami neurotyka, przenieść także na człowieka zdrowego. Nie możemy też zaprzeczyć, że i człowiek zdrowy posiada w swym życiu psychicznym to, co jest jedynym czynnikiem umożliwiającym tworzenie się zarówno marzeń sennych, jak i objawów, i musimy wyciągnąć stąd wniosek, że i zdrowi dokonują stłumień, że zużywają pewien nakład sił, by je utrzymać, że i u nich system nieświadomego ukrywa dążenia stłumione i jeszcze obsadzone przez energię oraz że *pewna część libido wymyka się u nich spod władzy ich jaźni*. Tak więc i człowiek zdrowy jest potencjalnie neurotykiem, tylko że marzenie senne zdaje się być jedynym objawem, który zdolny jest on stworzyć. Poddając jednak jego życie na jawie

dokładniejszemu badaniu, odkrywamy — co obala owo ostatnie wymienione złudzenie — że to rzekomo zdrowe życie usiane jest niezliczonym mnóstwem tworów objawowych, jakkolwiek drobnych, nie mających znaczenia praktycznego.

Różnica między zdrowiem nerwowym a nerwicą jest więc czymś ograniczającym się do strony praktycznej, a wyznacza ją wynik ostateczny decydujący o tym, czy danej osobie pozostała dostateczna zdolność do używania życia i zdolność do pracy. Sprowadza się ona prawdopodobnie do względnego stosunku między pozostałymi na wolności a związanymi przez stłumienie porcjami energii i ma charakter ilościowy, nie zaś jakościowy. Nie mam potrzeby przypominać, że jest to pogląd uzasadniający teoretycznie przekonanie o zasadniczej uleczalności nerwic mimo ugruntowania ich na podłożu ustrojowym.

Tyle możemy wywnioskować z faktu identyczności marzeń sennych u ludzi zdrowych i u neurotyków dla charakterystyki zdrowia. Dla samego marzenia sennego wynika jednak dalszy wniosek, że nie powinniśmy rozpatrywać go w oderwaniu od jego stosunku do objawów nerwicowych, że nie powinniśmy myśleć, iż jego istota wyczerpuje się przez formułę przeniesienia myśli w archaiczną formę wyrazu, lecz musimy przyjąć, iż pokazuje on nam rzeczywiście aktualne umieszczenia libido i obsady obiektów.

Tak oto zbliżamy się do końca. Może jesteście rozczarowani, że w rozdziale o terapii psychoanalitycznej przedstawiłem wam tylko teorię, nie zaś warunki, w których należy rozpocząć kurację, i skutki, które ona osiąga. Zaniecham jednak podania pierwszych, dlatego że nie zamierzam dawać praktycznych wskazówek do uprawiania psychoanalizy, drugich zaś — z uwagi na powstrzymujące mnie od tego liczne motywy. Na początku naszych wykładów podkreśliłem, że przy sprzyjających warunkach osiągamy rezultaty lecznicze, które nie pozostają w tyle za najpiękniejszymi wynikami z dziedziny terapii wewnętrznej, i mogę jeszcze dodać, że nie mogłyby one zostać osiągnięte za pomocą żadnego innego zabiegu. Gdybym powiedział więcej, wzbudziłbym podejrzenie, że chcę za pomocą reklamy przekrzyknąć rozlegające się donośnie głosy postponujące moją naukę. Wielokrotnie także i na zjazdach lekarskich koledzy-lekarze grozili psychoanalitykom, że przez zestawienie ponoszonych w terapii analitycznej niepowodzeń i wywoływanych urazów otworzą ogółowi cierpiących oczy na bezwartościowość tej metody leczenia. Ale taki zbiór, abstrahując od

jego nienawistnego i delatorskiego charakteru, nie dałby nawet odpowiedniej podstawy do słusznego wyrokowania o leczniczej skuteczności analizy. Terapia analityczna jest, jak wiecie, młoda; trzeba było długiego czasu, by można było ugruntować jej technikę, i mogło to się stać tylko podczas samej pracy i pod wpływem wzrastającego doświadczenia. Wskutek trudności nauczania lekarz początkujący w psychoanalizie jest w większym stopniu niż inny specjalista skazany na swoją własną zdolność do dalszego kształcenia się, tak więc na zasadzie rezultatów pracy pierwszych lat jego praktyki nie będzie można nigdy osądzić skuteczności terapii analitycznej.

Wiele prób leczenia nie powiodło się w pierwszym okresie istnienia analizy dlatego, że zostały przedsięwzięte w wypadkach, które nie nadają się w ogóle do takiego zabiegu i które dziś, według naszych wskazań, z góry wykluczamy. Ale i te wskazania mogły zostać wypracowane tylko na drodze prób. W owym czasie nie wiedziano jeszcze, że *paranoia i dementia praecox* w rozwiniętych postaciach są niedostępne dla leczenia, i miano jeszcze prawo próbować tej metody na najrozmaitszych chorobach. Najwięcej jednak niepowodzeń w tych pierwszych latach miało miejsce nie z winy lekarza, ani też z powodu poddawania leczeniu niewłaściwego obiektu, lecz wskutek nie sprzyjających warunków zewnętrznych. Mówiliśmy tylko o oporach wewnętrznych, o oporach pacjentów, które są nieuniknione i które można przezwyciężyć. Opory zewnętrzne przeciw analizie, które zostały przygotowane przez warunki życia chorego, przez jego otoczenia, mają małe znaczenie teoretyczne, ale wielką doniosłość praktyczną. Leczenie psychoanalityczne można postawić na równi z zabiegiem chirurgicznym: obie metody wymagają, by zostały przedsięwzięte przy najpomyślniejszych dla swego powodzenia zarządzeniach. Wiecie, jakie przygotowania zwykł czynić przy tym chirurg: odpowiednie miejsce, dobre światło, asysta, usunięcie rodziny itd. Otóż spytajcie sami siebie, ile z tych operacji wypadłoby pomyślnie, gdyby musiały się odbywać w obecności wszystkich członków rodziny, którzy by wścibiali swoje nosy do pola operacyjnego i wydawali głośnie okrzyki przy każdym cięciu. Przy leczeniu psychoanalitycznym interwencja krewnych stanowi po prostu niebezpieczeństwo, i to takie, którego zażegnać nie możemy. Jesteśmy uzbrojeni przeciw wewnętrznym oporom pacjenta, które uznaje się za konieczne, ale jak należy się bronić przeciw tym oporom zewnętrznym? Do krewnych pacjenta nie można

przystąpić z żadnym wyjaśnieniem, nie można ich skłonić, by trzymali się z dala od całej sprawy, nie należy układać się z nimi, ponieważ narażamy się na niebezpieczeństwo utraty zaufania chorego, który — zresztą słusznie — żąda, by jego mąż zaufania był także po jego stronie. Kto w ogóle wie, jakie rozłamy panują często w rodzinie, tego jako analityka nie może zaskoczyć spostrzeżenie, że najbliższym krewnym chorego czasami zależy mniej na tym, by wyzdrowiał, niż by pozostał taki, jaki jest. Gdzie nerwica pozostaje w związku, jak to się często zdarza, z konfliktami między członkami rodziny, tam osobnik zdrowy nie zastanawia się długo przy wyborze między własnym dobrem a uzdrowieniem chorego. Nie ma się czemu dziwić, gdy małżonek niechętnie spogląda na leczenie, w którym, jak słusznie może przypuszczać, wyjdzie na jaw rejestr jego grzechów; toteż my się temu nie dziwimy, ale nie możemy sobie czynić wyrzutów, gdy nasze usiłowania pozostają bezskuteczne i są przerwane przed czasem z tego powodu, że opór męża przyłączył się do oporu chorej żony. Przedsięwzięliśmy właśnie coś, co wobec istniejących warunków było nie do przeprowadzenia.

Zamiast opowiadać o wielu wypadkach, chcę wam przedstawić tylko jeden, w którym ze względu na swe zobowiązania lekarskie ucierpiałem niemało przykrości. Przed wielu laty podjąłem się analitycznego leczenia młodej dziewczyny, która już od dłuższego czasu nie mogła wskutek lęku ani wyjść na ulicę, ani też zostać sama w domu. Chora przyznała się powoli, że wyborażnię jej zajęły przypadkowe spostrzeżenia czułego stosunku między matką a zamożnym przyjacielem domu. Była jednak o tyle niezręczna — lub tak wyrafinowana — że dała matce wskazówkę co do tematów omawianych podczas godzin analizy, a to w ten sposób, że zmieniała zachowanie swe względem matki, obstawała przy tym, by tylko matka chroniła ją od lęku przed samotnością i, pełna lęku, zastępowała jej drzwi, gdy ta chciała wyjść z domu. Matka sama była dawniej bardzo nerwowa, została jednak uleczona przed laty w zakładzie wodoleczniczym. Dodajmy, że poznała w tym zakładzie mężczyznę, z którym mogła nawiązać stosunek zaspokajający ją pod każdym względem. Zdumiona gwałtownymi naleganiami dziewczęcia zrozumiała *nagle*, co oznaczał lęk jej córki. Pojęła, że ta zachorowała, aby uwięzić matkę i pozbawić ją wolności, niezbędnej do obcowania z kochankiem. Prędko zdecydowała matka położyć kres „szkodliwemu” leczeniu. Umieszczono dziewczynę w za-

kładzie dla chorych nerwowo i pokazywano ją przez czas dłuższy jako „biedną ofiarę psychoanalizy”. Długo także prześladowano mnie obmową z powodu złego wyniku tego leczenia. Zachowałem milczenie, ponieważ uważałem się za zobowiązanego do dyskrecji lekarskiej. Znacznie później dowiedziałem się od jednego z kolegów, który odwiedził ów zakład i widział tam dziewczynkę cierpiącą na agorafobię, że stosunek między jej matką a zamożnym przyjacielem jest wszystkim wiadomy i posiada prawdopodobnie aprobatę małżonka i ojca. Tej „tajemnicy” poświęcono więc leczenie.

W latach przedwojennych, gdy napływ chorych z wielu krajów uczynił mnie niezależnym od łaski lub niełaski miasta rodzinnego, trzymałem się zasady, by nie podejmować się leczenia chorego, który sam sobą nie rozporządza i w swych najważniejszych sprawach życiowych nie jest niezależny od innych. Nie każdy jednak psychoanalityk może sobie na to pozwolić. Z mojego ostrzeżenia przed krewnymi wyciągniecie może wniosek, że należy w celu leczenia psychoanalizą izolować chorych od ich rodzin, ograniczać więc tę terapię do pacjentów znajdujących się w zakładzie dla nerwowo chorych. Ale nie mogę zgodzić się z wami w tym względzie; jest znacznie korzystniej, gdy chorzy — o ile nie znajdują się w okresie ciężkiego wyczerpania — pozostają podczas leczenia w tych warunkach, w których muszą walczyć z postawionymi im zadaniami. Krewni jednak nie powinni niweczyć swym zachowaniem tej korzyści i w ogóle nie powinni występować wrogo przeciw usiłowaniom lekarza. Ale jak skłonicie do tego te czynniki niedostępne dla naszego wpływu! Oceniacie też, naturalnie, jak dalece na widoki leczenia wpływają środowisko socjalne i stan kulturalny rodziny.

Nieprawdą, wszystko to stwarza smutne perspektywy dla skuteczności psychoanalizy jako terapii, nawet jeśli przeważającą ilość naszych niepowodzeń przypiszemy tym przeszkodom zewnętrznym. Przyjaciele analizy radzili nam, byśmy na zestawienie niepowodzeń odpowiedzieli przeprowadzoną przez nas statystyką sukcesów. Nie zgodziłem się na to. Zazaczyłem, że statystyka jest bezwartościowa, jeśli zestawione pozycje są zbyt mało jednorodne; a przypadki schorzeń nerwicowych, które poddawano leczeniu, nie były rzeczywiście równoważące pod każdym względem. Prócz tego okres, który można było ogarnąć, był zbyt krótki, by sądzić o trwałości uzdrowień, a wielu przypadków nie można było w ogóle podać do wiadomości. Dotyczyły one osób,

które zachowywały w tajemnicy tak swoją chorobę, jak i leczenie i których uzdrowienie musiało również pozostać w ukryciu. Najsilniejszym momentem hamującym było jednak zrozumienie, że ludzie zachowują się bardzo irracjonalnie, jeśli chodzi o terapię, tak że nie ma się widoków przekonania ich za pomocą rozsądnych środków. Nowość terapeutyczna zostaje przyjęta z szalonym entuzjazmem, jak było na przykład wtedy, gdy Koch oddał na użytek ogółu w walce z gruźlicą swoją pierwszą tuberkulinę, lub też bywa traktowana z niezgłębioną nieufnością, jak np. rzeczywiście zbawienne szczepienie ospy, będące odkryciem Jennera, które jeszcze dziś ma swoich nieprzejednanych przeciwników. Przeciw psychoanalizie istniał widocznie przesąd. Gdy uleczono ciężki przypadek, można było słyszeć: to nie jest żaden dowód, chory sam przyszedłby do zdrowia w tym czasie. Kiedy inna chora, która przeżyła cztery cykle depresji i manii i którą zacząłem leczyć w przerwie po okresie melancholii, znalazła się w trzy tygodnie później u początku okresu manii, wszyscy członkowie rodziny, a także i wysokie autorytety lekarskie, u których zasięgnięto porady, byli przekonani, że nowy napad może być tylko skutkiem próbnej analizy. Przeciw przesądom nie można nic uczynić; widzicie to teraz znowu na przesądach, które jedna grupa narodów prowadzących wojnę wysunęła przeciw innej. Najrozsądniejsze jest czekać i pozostawić je czasowi, który je zużywa. Pewnego dnia ci sami ludzie zaczynają myśleć o tych samych rzeczach zupełnie inaczej niż dotychczas; dlaczego nie myśleli tak już wcześniej, pozostaje niezgłębioną tajemnicą.

Być może, że przesąd przeciw terapii analitycznej zmniejsza się już teraz. Ciągłe rozpowszechnianie się nauk analitycznych, zwiększenie się liczby lekarzy stosujących leczenie analityczne w niektórych krajach zdaje się o tym świadczyć. Kiedy byłem młodym lekarzem, spotkałem się z taką samą burzą świata lekarskiego przeciw leczeniu hipnotycznemu, które dzisiaj „trzeźwi” przeciwstawiają psychoanalizie. Ale hipnotyzm jako czynnik leczniczy nie dotrzymał tego, co początkowo obiecał; my, psychoanalicy, możemy uważać się za jego prawnych spadkobierców i nie zapominamy, ile zawdzięczamy mu podniet i wyjaśnień teoretycznych. Szkodliwości przypisywane analizie ograniczają się zasadniczo do przemijającego spotęgowania konfliktu, jeśli analiza jest niezręcznie przeprowadzana lub przerwana w połowie drogi. Otrzymaliście jednak sprawozdanie z tego, co robimy z chorymi, i możecie wyrobić sobie własny sąd o tym, czy nasze usiłowania zdolne

są doprowadzić do trwałych uszkodzeń. Nadużycie analizy jest możliwe w rozmaitych kierunkach, zwłaszcza przeniesienie jest niebezpiecznym środkiem w rękach niesumiennego lekarza. Ale przed nadużyciem nie jest zabezpieczony żaden lekarski środek ani zabieg; jeśli nóż nie kraje, nie może też uleczyć.

I oto kończę, panie i panowie. Będzie to więcej niż zwykła *façon de parler*, jeśli wyznam, że dotkliwie odczuwam liczne braki moich wykładów. Przede wszystkim żałuję, że tak często obiecywałem powrócić znowu w innym miejscu do poruszonego zaledwie tematu, a potem wzgląd na całość nie pozwalał mi dotrzymać przyrzeczenia. Pragnąłem zdać sprawę z rzeczy nie skończonej, znajdującej się w trakcie rozwoju, i mój skrócony wykład przedmiotu stał się sam niezupełny. W niektórych miejscach przygotowałem już materiał do wyciągnięcia wniosku ostatecznego, a potem sam tego nie uczyniłem. Ale nie mogłem wcale ubiegać się o to, by uczynić was znawcami; chciałem tylko dać wam wyjaśnienie i podniecie.

Spis rzeczy

Przedmowa do III wydania w przekładzie polskim <i>Kazimierz Obuchowski</i>	5
Przedmowa do II wydania w przekładzie polskim <i>Lucjan Korzeniowski</i>	25
Słowo wstępne	47
Część pierwsza. Czynności pomyłkowe	49
Wykład pierwszy — Wstęp	49
Wykład drugi — Czynności pomyłkowe	57
Wykład trzeci — Czynności pomyłkowe (ciąg dalszy)	68
Wykład czwarty — Czynności pomyłkowe (zakończenie)	84
Część druga. Marzenie senne	103
Wykład piąty — Trudności i pierwsze zbliżenia	103
Wykład szósty — Założenia i technika tłumaczenia	117
Wykład siódmy — Jawna treść marzenia sennego i utajone myśli senne	128
Wykład ósmy — Marzenia senne dzieci	139
Wykład dziewiąty — Cenzura senna	147
Wykład dziesiąty — Symbolika w marzeniu sennym	158
Wykład jedenasty — Praca marzenia sennego	175
Wykład dwunasty — Analiza przykładów marzeń sennych	186
Wykład trzynasty — Cechy archaiczne i dziecięce marzenia sennego	198
Wykład czternasty — Spełnienie życzenia	210
Wykład piętnasty — Niepewności i krytyki	223
Część trzecia. Nauka ogólna o nerwicach	234
Wykład szesnasty — Psychoanaliza i psychiatria	234
Wykład siedemnasty — Znaczenie objawów	245
Wykład osiemnasty — Związanie z urazem. Nieświadome	258
Wykład dziewiętnasty — Opór i tłumienie	268
Wykład dwudziesty — Życie seksualne człowieka	281
Wykład dwudziesty pierwszy — Rozwój libido i organizacje seksualne	294
Wykład dwudziesty drugi — Perspektywy rozwoju i regresji (etiologia)	310

Wykład dwudziesty trzeci — Drogi tworzenia się objawów	326
Wykład dwudziesty czwarty — Zwykła nerwowość	342
Wykład dwudziesty piąty — Lęk	353
Wykład dwudziesty szósty — Teoria libido i narcyzm	369
Wykład dwudziesty siódmy — Przeniesienie	385
Wykład dwudziesty ósmy — Terapia analityczna	400

Wstęp do psychoanalizy to najbardziej znana, klasyczna już książka Freuda, która zapoczątkowała rozwój i popularyzację psychoanalizy jako teorii, metody badawczej i środka terapii. Zawiera cykl wykładów wygłoszonych przez autora w latach 1915 – 1917 przed audytorium składającym się z lekarzy i „laików obojga płci”, którym wyjaśniał podstawowe założenia swej koncepcji. Znając główne zastrzeżenia, jakie wobec niej wysuwano, wykłady te potraktował niezwykle poważnie, przygotowując je w postaci napisanego tekstu.

W pierwszych wykładach analizuje czynności pomyłkowe i marzenia senne, udowadniając istnienie nieświadomości. Przedstawia przede wszystkim te objawy nieświadomości, które występują w życiu codziennym. Pokazuje, że nic w naszej psychice nie jest przypadkowe. Są tylko zjawiska zrozumiałe, które umiemy zinterpretować, i niezrozumiałe, których jeszcze zinterpretować nie umiemy.

W dalszych wykładach autor wyjaśnia podstawy nauk o nerwicach, prezentuje również trzy zasadnicze wątki teorii psychoanalitycznej: teorię lęku, teorię libido i narcyzmu oraz teorię przeniesienia.

Dzieło Freuda zostało przełożone na 16 języków.

ISBN 83-01-03863-2



9 788301 038632